

Droga do nikąd – Józef Mackiewicz

Autor jeszcze przed wojną ogłasza drukiem szereg doskonałych nowel i ciekawą tematycznie powieść p. t. "Bunt rojstów". W 1943 r. bierze udział w komisji dla zbadania zbrodni katyńskiej. Zebrany tam materiał umożliwia mu napisanie już w Anglii znakomitej książki ? rozprawy p. t. "Zbrodnia katyńska", przetłumaczonej na szereg języków.

Powieść "DROGA DONIKĄD" pokazuje czytelnikowi życie ludzi na kresach wschodnich i na Litwie w latach 1940 ? 41, a więc w okresie, kiedy obszar ten dostał się we władanie systemu sowieckiego. Na tle rodzących się wówczas konfliktów rozwija się ciekawa fabuła, obejmująca trójkąt małżeński w szeregu tragicznych powiązań. Tłem jest dzika tych okolic przyroda, przepięknie przez autora przedstawiona i tak wielką rolę odgrywająca w przygodach bohaterów powieści. Wybitny talent narracyjny autora powoduje, że czytelnik od pierwszych stron aż do końca trzymany jest w stałym napięciu. "DROGA DONIKĄD" będzie na pewno wielkim WYDARZENIEM LITERACKIM NA EMIGRACJI.

Żonie mojej, Barbarze

Poza powieściowymi osobami wszystko jest autentyczne w tej relacji. Ludzie, zwierzęta i rzeczy; zdarzenia, tajne dokumenty i daty; nazwy wsi; świt i zachód o czasie moskiewskim, linia przebiegająca rojstami, która dzieliła litewską i białoruską republikę sowieckie, a także kierunek każdej drogi. Autentyczne są nazwiska oficerów ludowego komisariatu bezpieczeństwa państwowego? N.K.G.B

Autentycznym nazwiskiem jest również: Wiśniewski. Zatem go bardzo mało, prawie przelotne, a imienia nie wymienię. Gdy przed laty, w tamtym okresie, opracowywałem pierwsze szkice do niniejszej powieści, on, Wiśniewski, pożyczył mi maszynę do pisania. Powiedziałem wtedy: "Panie Wiśniewski, jeżeli kiedykolwiek wydam tę książkę, podziękuję panu na jej wstępie". On tylko odkiwał głową z niedowierzaniem, powiedziałbym nawet, że z tego rodzaju lekceważeniem, jakie się w ciężkich opresjach życia posiada dla projektów pozornie nierealnych.

Nie wiem, czy i gdzie żyje w tej chwili Wiśniewski: w litewskiej, białoruskiej czy w polskiej republice sowieckiej? Ale słowa dotrzymałem i mu ? dziękuję.

AUTOR

Część pierwsza

KAROL

I

Marta obsypała kluski mąką i przykryła stolnicę serwetką, aby nie wyschły zbyt przed gotowaniem, a także, aby chronić je przed natarczywością much, zbierających się w kuchni. Potem otrzepała ręce i na twardym, dębowym progu porąbała żywiczne polano na cienkie drzazgi. Na fajerce stał już duży garnek z osoloną wodą. Marta odpięła fartuch, obejrzała raz jeszcze uważnie kuchnię i przeszła do pokoi.

Na kominku w pokoju Pawła zegar wskazywał wpół do piątej. Za pół godziny pociąg powinien odejść z miasta, za drugie pół godziny słychać będzie jego gwizd na przejeździe, i wtedy należy

rozpalić ogień. Marta podeszła do półek z książkami i przeciągnęła palcem po krawędzi polerowanego drzewa. Kurz leżał grubą warstwą.

Wróciła, więc do kuchni po ścierkę i zaczęła sprzątać. "Jutro opadnie nowy kurz, a jeśli go zetrę, pojutrze będzie leżał taki sam. I tak będzie trwało dopóki..." - Marta przeraziła się (niedokończonej myśli, jak złego słowa wypowiedzianego w złą godzinę. "Boże, Boże, niech już zostanie tak jak jest. To jedno, chociaż: żebym mogła tu żyć między tymi półkami w tym domu, wśród tych rzeczy i z Pawłem, który zjawi się za chwilę!" - Zegar na kominku wycykiwał wpół do szóstej, ale pociągu nie było słychać. Marta przeszła do sypialni.

Własne odbicie w lustrze pociesza w samotności, tak jak dobry przyjaciel spotkany w chwili, w której nie ma się co począć. Marta przybliżyła twarz do lustra, wypatrując przedwczesnych zmarszczek. To, że ich nie znalazła, nappełniło ją raczej niemiłym zdziwieniem. Zaczęła więc przegarniać włosy na skroniach w poszukiwaniu siwizny. "Jakie to dziwne" - myślała - "ani jednego siwego włosa, ani jednego śladu zmartwienia". Ale jakże bardzo zaniedbała się w ostatnich czasach! W bocznej szufladzie leżała dawno nieużywana szminka. Odrośły jej długie włosy, i trzeba by zmienić uczesanie. Marta szcztokowała je teraz uważnie, a potem upinała długo, sprawdzając efekt z obu profilów. Postanowiła także przebrać się i umalować: "Paweł będzie zadowolony. Zwłaszcza jeżeli przywiezie ze sobą Karola".

Oni tymczasem siedzieli wprost na torze, na szynie, na głównym dworcu kolejowym i czekali. Było późne lato roku 1940.

- Życie nasze - mówił Karol - składa się już od dawna prawie wyłącznie z czekania. Czekania w kolejce, czekania na żarcie, czekania na areszt, czekania na dalszy postęp skomunizowania kraju, w każdym razie czekania na coś bardziej jeszcze przykrego niż jest dzisiaj. Taka jest reguła, i nie ma co zawracać sobie głowy.

Paweł splunął pomiędzy rozstawione kolana i odparł:

- Wyjątek stanowi czekanie na wojnę kogo bądź ze Związkiem Radzieckim.

W tej chwili czekali na pociąg podmiejski. Miał wyruszyć o godzinie piątej po południu. Zegarek wskazywał już wpół do siódmej. Czekali. Na zwrotnicach zaczęły się zapalać latarnie. Było szaro. Mżył deszcz.

- Sowiecka pogoda - wycodził Karol.

- Hm...

Obok siedzieli i stali ludzie w bezruchu.

- Czy pociąg przyjdzie? - zapytał Paweł, podnosząc wzrok na przechodzącego kolejarza, który nie przystając zapalał swą ręczną latarkę. Ale ten wzruszył ramionami i poszedł dalej.

Siedzieli w najgorszych ubraniach i roboczych butach. Paweł przeciągnął dłonią po wilgotnych włosach, bo czapki wsadzili sobie pod tyłek, żeby było wygodniej. Paweł był ongiś dziennikarzem; posiadał w podmiejskiej okolicy mały domek. Teraz po utracie dawnej posady kupił do spółki ze swoim przyjacielem piłę za 60 rubli, bo zamierzali pracować w pobliskim lesie jako drwale. Kraj dopiero zaczął się sowietyzować.

Na sąsiedni tor wjechał duży pociąg, ale nie ich. Lokomotywa wysapywała niepotrzebną już parę. Na froncie uczeponą miała gwiazdę z sierpem i młotem. Była to zatem lokomotywa reprezentacyjna. Pociąg miał aż dwa wagony sypialne. Przyszedł z Moskwy przez Mińsk; tablice na wagonach głoszą: Mandżuria - Litwa.

Z wagonów zaczęli wychodzić szarzy ludzie, niosąc drewniane kufry, toboły i worki. Przyjaciele patrzyli na nich milcząc. Później Karol trącił w bok Pawła:

- "Mandżuria...", co?

- Aha...

- Wielkość Związku Sowieckiego robi na mnie zawsze wielkie wrażenie. A na ciebie: nie? Pomyśl tylko: Ukraina, góry Kaukazu... W Turkiestanie rosną winogrona... Rosną czy nie?

- Rosną.

Na dachu jednego z wagonów ustawiono głośnik radiowy. Śpiewał przezeń baryton pięknie i z przejęciem. Wisiały na deszczu czerwone flagi i prawie w każdym oknie dworca portrety Stalina. Było szaro, deszcz się wzmaczał, ryczało radio. Pociągu podmiejskiego wciąż nie podawano. Byli głodni i źli.

Z wagonu sypialnego wyszli pasażerowie. Pan w płaszczu deszczowym, pani w kapeluszu mocowała się z parasolką; jeszcze dwóch panów. Zaczęli wynosić ogromne, lśniące walizy.

Ludzie, czekający na pociąg podmiejski, zbliżali się ociężale i tłoczyli w pewnej odległości, ażeby obejrzeć cudzoziemców ubranych tak, jak jeszcze niedawno sami chodzili ubrani... Pasażerowie mówili głośno i gardłowo. Tragarzy na dworcu nie było widać. Podróżni stali bezradni wśród ciężkich walizek naradzając się między sobą. Wreszcie jeden z nich, dostrzegłszy widocznie barczystą postać Karola, kiwnął nań parasolem. Niewątpliwie mogliby zarobić trochę, przenosząc Europejczykom walizki. Innego dnia zrobiliby to na pewno, ale w tej chwili żaden z nich się nie ruszył. Za ciężką wydała się ta robota. Nie walizki, oczywiście, ale "w ogóle"... - jak to powiedział Karol, robiąc nieokreślony ruch w powietrzu. Później odwrócił głowę:

- Po jakiemu oni rozmawiają?

- Nie słyszę stąd.

- Może ktoś z korpusu dyplomatycznego.

- Może.

Deszcz padał. Siedzieli nieruchomo. Cudzoziemcy obrzucili ich wzrokiem szczerej wzdargi. Pan otworzył parasol, którym poprzednio kiwał, i odwróciwszy się do pani powiedział:

- Co za typowa ospałość wschodnich ludzi.

- Lenistwo - odrzekła pani.

Pociąg podmiejski podano tym razem o godzinie 8 wieczorem, czyli z trzygodzinnym opóźnieniem. Wszystko rzuciło się do zdobywania go szturmem. Paweł rozerwał komuś rękaw płaszcza zębami trzymanej piły. W przepelnionym wagonie śmierdziało mokrym ubraniem, machorką i tym specyficznym odorem niewietrzonego wagonu - ni to zwietrzałą farbą, ni to węglowym kurzem.

Domek Pawła stał niedaleko przystanku kolejowego wśród sosnowego lasu. Gwiazdy świeciły, i nie było bardzo ciemno. W domu elektryczność się nie paliła, i żona Pawła ustawiła na stole świecę.

- Co się stało?

- Nie wiem - odparła Marta - od rana się nie pali. Pewnie coś w elektrowni. Mniejsza z tym. Daję zaraz kolację.

- Patrz, kupiliśmy nową piłę - powiedział Paweł. - Jutro musimy o świcie iść do pracy.

Za oknem szumiały drzewa na jakimś dziwnie jesiennym wietrze, choć był to dopiero sierpień. Paweł pokręcił się na miejscu, zerwał kartkę z sowieckiego kalendarza.

Siadaj - powiedział do Karola - czemu nie sia dasz?

- Później nie wypuszczając kartki zbliżył się do świecy i milcząco czytał tekst na odwrocie:

"Czterdziesta rocznica strajku zakaukaskiej drogi żelaznej w Tyflisie - pod kierunkiem towarzysza Stalina". "Dwudziesta rocznica przyjęcia przez międzynarodowy kongres uchwały marynarzy o

nieprzewożeniu materiałów wojennych przeciw Związkowi Radzieckiemu." "Czwarta rocznica przemówienia towarzysza Stalina na przyjęciu bohaterów Związku Radzieckiego." "Trzydziesta siódma rocznica mowy Lenina na II zjeździe RSDRP w obronie formuły pierwszego paragrafu..."

- Boże! Co za nuda!

- Będziecie jedli kluski kartoflane?! - zawołała Marta z kuchni.

- Mogą być kluski - odparł Paweł rzucając na podłogę zmiętą kartkę.

II

- Już wiem, o co bolszewikom chodzi - mówił Karol, prychając wodą w ustawioną na pokrywie studni miednicę.

Wstawało właśnie słońce z lasów pokrywających kraj. Na każdym listeczku lśniła rosa, o której powszechnie mówi się, że jest srebrna, choć w istocie swej nijaka, nieziemska, z nieba spadła, i dlatego tak orzeźwiająca. Ptaki na drzewach robiły razem z nimi swą poranną toaletę smarując dziobem piórka i głośno usiłując przekonać się nawzajem, że na świecie jest radośnie. W rzeczywistości tylko zwierzęta albo bardzo doświadczeni ludzie wiedzą, w jakim stopniu radość zależy od stanu pogody. - Zawsze wychodzili o świcie pod studnię, żeby się umyć. Sprawiało im przyjemność prosto ze snu skoczyć obydwoma nogami w świeżość dnia jak w orzeźwiającą rzekę.

- Wiem, wiem...- powtarzał Karol niemal wesoło, przecierając ręcznikiem po mokrym torsie. - Bolszewizm nie od radości "nieba" chce oderwać człowieka, a właśnie przeciwnie, od radości "ziemi". On nie jest wrogiem, jak to powiada pierwszy z brzegu klecha, życia pozagrobowego, a właśnie życia doczesnego. On niczego nie "rozpętał", jak to utrzymywali nasi ojcowie w okresie rewolucji 1917-18 r., a na wszystko, absolutnie na wszystko nałożył pęta! Ot, co!

- Słuchaj, ja się nachylę - przerwał mu Paweł - a ty polej mi wodą plecy... Ufff! Zimna...

- Teraz wiem, że bolszewizm powstał nie z walki z Bogiem, a z walki z człowiekiem, z jego przyrodzonym prawem do wolnego życia.

- Dzisiaj w nocy przyszedłeś do tego przekonania?

- Dziś w nocy.

- Dajże ten ręcznik!

Słońce dosięgło już wierzchołków sosen. Studnię obrastały krzewy wiśniowe, z których można było zerwać i zjeść na czczo purpurowe owoce. Paweł lubił Karola zawsze, a teraz może więcej niż kiedyś, w tej zaś właśnie chwili chyba najwięcej. Po prostu nadawał się on do tego, by go lubić w rześkiej atmosferze budzącego się dnia; pasował do niej ze swym zdrowym ciałem i pogodnym usposobieniem. Miał on kiedyś duży majątek ziemski nad rzeką Dźwiną, który mu teraz przepadł. Wychowywał się u jezuitów, ale trochę ciasne poglądy szkolne przełamał następnie na dwóch fakultetach uniwersyteckich, które ukończył z odznaczeniem. Co go najbardziej charakteryzowało, to skłonność nie tyle do filozofii, ile do filozofowania, skłonność, która u niego objawiała się zarówno w darze obserwacji, jak i poddawaniu wszystkiego, co widzi, krytyce. Dłubał w szczegółach z pasją, którą na Zachodzie europejskim przypisują dłaczegoś naturze Rosjanina, a która właściwie jest po prostu tylko cechą wrodzonej inteligencji. Karol - był to duży, silny blondyn, o regularnych rysach twarzy. Ideał typu nordyckiego, o którym marzył Hitler.

- No, powiedz jeszcze coś mądrego - odezwał się Paweł wciągając portki, gdy Karol szorował swe zęby, mocne jak u psa. Ten zamruczał coś w odpowiedzi, ale w tej chwili Paweł spostrzegł, idącą za płotem, żonę miejscowego handlarza, Weronikę. Przez jedną chwilę z zapatrzenia nie mógł trafić nogą w nogawkę, zawstydził się tego zaskoczenia, a ona też poczerwieniała lekko, zaraz odwróciła głowę i udała, że go nie widzi. Nie słuchając już Karola zapinał pas, przebiegał szybko palcami po

guzikach rozporka i patrzył w ślad za nią. Odczuwał niejaką przykrość, że musiała tak wcześniej wstać chyba tylko po to, żeby się z nim zobaczyć, bo dokąd mogła iść o tej porze? Przez chwilę miał takie uczucie, jakby wstydził się za nią przed Karolem. Słońce przeświecało jej ciemnoblond włosy na czubku głowy niby aureolę.

- Skąd się taka ładna wyrodziła w tym kraju, gdzie dziewczęta są przeważnie toporne, mają nisko osadzone zadki i krótkie nogi? - zauważył Karol, wypluwając wodę z ust i patrząc za nią również.

Handlarz miejscowy, Wincenty Rojkiewicz, który dorobił się niegdyś na skupowaniu po wsiach okolicznych bydła i skór po cenie tańszej niż rynkowa, znalazł ją w siole Popiszki - po drugiej stronie puszczy.

Puszcza zwana Rudnicką od miejscowości Rudniki, położonej w jej środku, leżała w odległości 20 kilometrów na południe od miasta. Stanowiła jedną z resztówek niekończących się ongiś lasów Wielkiego Księstwa Litewskiego. W niej polowali wielcy książęta, a po zjednoczeniu Litwy i Polski królowie obydwu narodów. Carowie Wszechrosji nie raczyli do niej zaglądać, obrawszy sobie za rewir do polowań bardziej słynną Puszcę Białowieską, gdzie do dziś dnia żyją żubry, podczas gdy w Rudnickiej wyginęły one na przełomie XVIII i XIX wieków. Ale ostatniego niedźwiedzia zabito w niej na początku XX, gdzieś przed rokiem 1914.

Od tej fatalnej daty począwszy, kraj przechodził z rąk do rąk piętnaście razy podczas licznych wojen. Z rosyjskich w niemieckie, w bolszewickie, litewskie, polskie i znowu litewskie, polskie ... Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej zjeżdżał tu na łosie jeszcze w roku 1938. W cień drzew ukradkiem zaledwie zaglądała historia, i od jakich przodków, przez jaki szlachetny atawizm zrodziła się piękność Weroniki, niepodobieństwem byłoby dojść dzisiaj. Być może, pochodziła od jakiegoś przygodnego kochanka, z licznych zabłąkanych czy polujących w puszczy myśliwych...

Były to ziemie nie tylko litewskie, białoruskie i polskie jednocześnie, zjednoczone w przeszłości i pokłócone współcześnie; zamieszkiwali je też Żydzi i Rosjanie; na tych ziemiach zwycięscy w wojnach tatarskich wielcy książęta osadzali przed wiekami jeńców dając im grunty i przywileje. Dlatego wśród sosen północnych zdarzało się spotykać jeszcze minarety z półksiężycem; tu, w stołecznych ongiś Trokach nad potrójnym jeziorom, zasiedli krymscy Karaimi, wyznający Pięcioksiąg Mojżeszowy, ale odrzucający Talmud; kościoły katolickie budowano przeważnie w stylu włoskiego baroku, rzadziej w gotyku; cerkwie prawosławne w niezmiennie kopulasto bizantyjskim stylu; z czasów Reformacji zostało trochę wyznawców Kalwina, mniej Lutra; w bardziej zaś odległych od miasta stronach, wśród lasów i bagien, ludzie szukający prawdy poddawali się wpływom różnorodnych sekt; w ten sposób pokłócone ze sobą Cerkiew i Kościół zgodnie zwalczały badaczy Pisma Świętego, baptystów, zielonoświątkowców, sztundystów i wiele innych herezji...Ale opisywać szczegółowo ludzi tego kraju byłoby równie długo, co wymieniać wszystkie jego rośliny, zwierzęta albo rzeki i jeziora, które z dużej wysokości dostępnej dziś samolotom wydają się być podobne kałużom, osłanym po wielkim deszczu; tu dodać może by jeszcze wypadało, że niebo nad krajem jest przeważnie chmurne.

Gdy Hitler ze Stalinem podzielili wschodnią Europę, Sowiety wkroczyły doń czerwoną armią w latach 1939-40, i był to początek tego nowego okresu, o którym nikt na świecie nie wiedział przedtem, w co się wyrodzi kraj i ludzie, gdy zostaną opanowani przez współczesny bolszewizm.

Weronika liczyła wówczas 28 lat i była dla Pawia cudzą żoną. Sam zaś Paweł z Karolem zaczęli pracować w pobliskim lesie.

Z początku nie szło im bardzo. Drwał zawodowy, Franciszek, zwany „spod Lasu”, bo posiadał samotną chatę z daleka od osady na leśnym skraju, zwykł był pouczać:

- Piła powinna chodzić równiutko jak po sznurku, leciutko tak. - Brał do ręki i pociągał w poprzek kłody: "Ziń-ziń-ziń..." - I tak równo, letko, zaaaaawszystkiem letko. Broń Boże, nie poddawać, nie popychać, a tylko ciągnąć, ot jak: "Ziń-ziń-ziń-ziń..." Nie naciskać! Od nacisku idzie krzywo, zaczyna trzeć. A sosna, ona, wiadomo, mokra, żywiczna. Żywica, jak pokryje piłę, to wtedy: stop

maszyna!

- A jaka na to rada?

- Jedna tylko i jest rada: naftą smarować. Uhum, innej nie ma.

Od tego czasu zaczęli zabierać ze sobą do lasu butelkę nafty i przenikliwy jej odór towarzyszył im stale. Karol tylko niedzielami wyjeżdżał do miasta, żeby zobaczyć się z matką, którą ulokował u starej ciotki. Jako były oficer rezerwy, obowiązany był zarejestrować się w sowieckiej komendanturze wojskowej, a ponieważ tego nie uczynił, żył na stopie półlegalnej. Leśniczy wyznaczył im odcinek pracy wzdłuż drogi. Cztery pary kolein biegły po niej, wyżłobione w piasku: na wprost wpadały w kałużę zastałą po ostatnich deszczach, czarną, a jednak czystą jak lakier (po wierzchu pływały igły sosnowe, a w głębi usadowiło się odbicie nieba), potem ciągnęły dalej piaskiem aż do zakrętu, gdzie nikły w krzakach leszczyny.

Karol zaczynał zazwyczaj optymistycznie, po sowiecku wykrzykując:

- Dawaj!

"Zińń-zińń-zińń-zińń..." Tam i na powrót, bez liczenia czasu, piłowali wpatrzeni w nieskończoną klepsydrę biegnących ciurkiem trocin. Sypią się i sypią, takie już znane, zżyte z kolanem, gdy się piłuje na klęczkach, z końcem buta, gdy pozycji stojącej, z listkami roślin; układają zawsze w jednakowy wzór miliony i miliony drobinek, w które się patrzy godzinami, rozumie ich rozpęd, ką padania, wacha ich świeżość, przemieszaną z zapachem żywicy i nafty.

- Dawaj!

W ten sposób aż do drugiego śniadania. Później rozkładali przyniesiony ze sobą posiłek. Karol nie bywał już tak rozmowny, jak rankiem, a coraz częściej popadał w długie milczenie. Zawsze o tej porze przelatywała tamtędy sójka, zawsze z łomotem skrzydeł siadała na to samo drzewo i zawsze, zobaczywszy ich w dole, robiła taki sam wielki krzyk ostrzegawczy.

- Ach, głupia - westchnął Paweł.

- Dlaczego głupia?

- Że też jej to sprawia zabawę udawać, że spostrzega nas

po raz pierwszy, choć zna nas równie dobrze, jak my ją. I kogo ona leci ostrzegać, przed czym?

- Daj jej spokój.

- Dam, jeżeli ci na tym zależy - i Paweł leniwie odwrócił głowę. W odpoczynku, na który sobie pozwalał, nauczył się patrzeć tylko w kierunku przypadkowego ułożenia twarzy; wyciągnięty na mchu, oszczędzał każdy ruch. Pewnego dnia Karol odezwał się od niechcenia:

- Tu ktoś pętał się w nocy kolo naszych metrów.

- Po czym sądzisz? - Taaak... Widzę. Poruszał sztabel. Szczapy na wierzchu poprzewracane.

- Może gajowy coś sprawdzał.

- No, dość leżenia! Dawaj rąbać.

- Cóż, dawaj.

Droga była mało uczęszczana, i w ciągu dnia prawie nie widywali ludzi. Kiedyś zajrzał znowu do nich Franciszek spod Lasu; przysiadł się na jednym z powalonych pni i przyglądał w milczeniu, jak nie przerywając roboty na zbędne powitanie rozłupywali drzewo. Po dłuższej chwili powiedział:

- A dlatego jednakże, to sztuka robić siekierą.

- Pewnie, że sztuka. A bo co?

- Nic, ja tak sobie tylko przyuważam. Ot, pan - wskazał ruchem głowy na Karola - kudy silniejszy, a rąbie gorzej. Bo, widzisz, to nie od siły zależy siekierą władać, a od oka. Znaczy z przyrodzenia trzeba mieć zdolność do tego. Żeby w sam środek trafić. Dziecko też polano rozszczepi, tylko rzecz w tym, żeby w środek uderzyło, a nie po kolanie...

Karol rąbał istotnie niewprawnie i denerwował się często. Słuchając Franciszka spuścił ostrze w twarde sęk aż zgrzytnęła stal, przerwał, oparł się na trzonku dwoma rękami i oświadczył:

- Franciszek ma rację. Do każdej pracy trzeba mieć zdolność przyrodzoną. Tak samo w sztuce fizycznej, jak każdej innej. Oto dlaczego stachanowszczyzna fałszywa jest w samym założeniu. Przypuśćmy, że Stachanow nie był błagą, a geniuszem. To co z tego? Tak sarnio, jakbyśmy żądali od malarzy czy literatów, żeby tworzyli masowo dzieła genialne, dlatego że jeden spośród nich jest geniuszem...

Paweł skrzywił się: - Rąb, rąb, Karol. W ten sposób do wieczora nie postawiany trzech metrów!

Franciszek spojrział w bok i wstał: - Idzie biały czort. Ot, nie lubię ja tego Litwina.

Przez las szedł leśniczy.

- Za co?

- A za co jego lubić.. Do widzenia.

Leśniczego "białym" nazywano dla jego zupełnie jasnej, prawie lnianej czupryny. Był to blondyn barczysty, krępy i młody, powolny w ruchach i gburowaty. Bardzo rzadko zachodził do lasu i nigdy nie miał zwyczaju ani się witać, ani żegnać z ludźmi. Ktoś go ponoć widział uśmiechniętego i powiadał, że twarz jego przybierała wtedy wyraz dziecinnej łagodności. Może być, że dla uniknięcia tego wyrazu starał się być zawsze zasępionym.

- Cóż... wy tu za metr stawiacie! To nie metr! - upominał.

- A jak trzeba, panie leśniczy?

- Jak. Wiadomo, jak. Sześć centymetrów trzeba dorzucić w górę. Drzewo osiada.

Nikt nie wiedział, w jaki sposób utrzymywał się ten człowiek nadal na stanowisku leśniczego po wkroczeniu bolszewików. Posiadał na Żmudzi koło pruskiej granicy ponad 20 ha gruntu. Zaciętą, kułacką nienawiścią nienawidził Sowietów. Drwalom, którzy targowali się przy wypłacie w kancelarii, zwykł był powiadać:

- Ja wam tego gówna nie żałuję! - i miał gruboskórnymi palcami portrety Lenina na banknotach czerwonych.

Byli jednak i tacy, którzy go lubili. Karol nie znosił. Leśniczy jeszcze raz spod lnianej czupryny spojrział ponuro na ustawiony sztabel, dotknął go końcem buta i poszedł w las bez pożegnania.

Po południu pracowali zazwyczaj milcząc, zrzadka przerzucając się jakimś półsłówkiem lub przekleństwem. Pod wieczór, gdy oczy nabiegały krwią od zmęczenia, zaczynało się również czerwienić słońce; o tej porze pnie sosen przybierały odcień miedzi. Butelkę z naftą zostawiali wetkniętą między szczapy ustawione w metr, zabierali narzędzia, torby, pusty dzban po zsiadłym mleku i wracali do domu.

Tylko o świcie, gdy wyskakiwali z łóżek wprost pod zimną wodę studni, czuli się rażno, i Karol robił się znowu rozmowy. - Któregoś ranka wyszli nieco później do roboty. Przekroczyli tor kolejowy, minęli pierwszy zakręt i nagle - uderzyło w nich spojrzenie szklanych oczu samochodu, który stał na drodze akurat obok miejsca ich pracy. Mimo woli zwolnili kroku, ale żaden nie przemówił słowa. Przy samochodzie kręciła się grupka ludzi. Widać było i leśniczego, jak rozkraczony swoim zwyczajem - stał w poprzek rowu przydrożnego. Jeden z obecnych, który wzrokiem mierzył zbliżających się z daleka, przeskoczył ten rów, stanął pośrodku drogi wyraźnie oczekując aż podejda bliżej. Karol szedł sztywno jakoś, miarowo i nagle syknął przez zęby:

- Przepadłem, jeżeli zaczną badać dokumenty. Ludzie przy samochodzie byli w cywilu, prócz jednego wojskowego w czapce o czerwono-granatowym otoku NKWD. Pryśł ranny nastrój; nogi zrobiły się ciężkie, uczucie przykrości krążyło nieuchwytnie koło żołądka. Paweł zauważyły, że ułożone wczoraj metry były porozrzucane. Czegoś w nich widocznie szukali. Tknięty złym przeczuciem, po myślał, iż mogliby powiedzieć, że wcale tu nie pracują, a w zupełnie innej partii lasu, gdyby nie leśniczy...

Człowiek stojący pośrodku drogi wskazał na nich palcem i zapytał leśniczego:

- Ci tu pracują?

Leśniczy spojrzał spode łba i spokojnym, surowym głosem odpowiedział bez mrugnięcia powiek:

- Nie, to nie ci.

W tej chwili Karol przystanął bezradnie. Człowiek w skórzanym płaszczu już miał zadać mu jakieś pytanie, gdy nagle leśniczy wyprzedził go i krzyknął:

- Nu, co stoicie! Gęby rozwarłszy! O której do roboty?!

A później narzekacie, że małe zarobki! Do Wysokiej Górki kilometr drogi jeszcze, a oni stoją! już! Poszli pracować!

Ruszyli, wyminawszy enkawudzistę nie oglądając się za siebie. Z tyłu doszedł jego głos, gdy mówił do leśniczego:

- A wy, grażdanin leśniczy, co tak, jak za dawnych czasów? Po staremu ciągle na robotników pokrzykujecie, a? Nie dooooooobrze. U nas tak do robotników się nie zwracają. Pora już przywyknąć do nowego...

Szli spokojnie, równo, prawie noga w nogę. Topory na ramieniu, na toporzyskach torby z posiłkiem przewieszone, piła w ręku. Ominęli kałużę, zakręt, leszczynę. Paweł odetchnął ciężko.

- Wyratował - mruknął Karol.

- Uhum.

Minęli parów i mostek na ruczaju.

Gdzie to jest ta Wysoka Górka? - spytał Karol.

- Tu zaraz będzie. Dróżką w prawo. Stamtąd widać dobrze.

- Co widać?

- Daleko widać, stamtąd.

- Aha.

Dłaczegoś nie rozmawiali ze sobą więcej. Po przyjeździe na miejsce zabrali się zaraz do roboty, żeby czasu darmo nie tracić. Ale robota im nie szła. Na trzeciej kłodzie piła zaczęła nagle zaciskać. Paweł spróbował zażartować:

- Może skoczyć po naftę do starego sztabla? Karol ze złością porzucił rączkę piły, wyprostował się, otarł pot rękawem. - Nic z tego nie będzie - powiedział. Przysiedli i zapalili.

Po dłuższej chwili z olchowego młodniaka wychylił się leśniczy. Gdy podszedł blisko, spojrzał na wetkniętą w poprzek kłody piłę i mruknął:

- Co, kiepsko chodzi?

- Zaciska. Naftę zostawiliśmy...

- Ech wy, pilszczyki! Wracajcie na stare miejsce - Zrobił ruch głową.

- A co to było, panie leśniczy? Czego oni tam szukali?

- Co było... - przeciągnął. - Ktoś pewnie coś chował po lesie, ktoś inny doniósł... - I nagle rzucił ze złością. - Co tam pytać, co było? Cholera ich wic, co było! Zostaliście żywi-zdrowi? Zostaliście na swobodzie?! Nu, i dziękujecie... Panu Bogu. - Zawrócił i odszedł, jak zwykle, bez pożegnania.

Gdy wracali o zachodzie słońca do domu, drogą biegł jeszcze wyraźny ślad opon samochodowych. Tego wieczoru Maria zmywszy naczynie po kolacji zastukała do pokoju Karola. - Gdzie jest Paweł? - zapytała. Karol miał zwyczaj o tej porze, pomimo zmęczenia, czytać jeszcze przed nocą. Tym razem zasiała go siedzącego nieruchomo na krześle bez książki z wystygłym niedopałkiem papierosa w ręku. Ocknął się, zaskoczony.

- Nie wiem... Wyszedł pewnie gdzieś - Uprzątnął sobie w tej chwili, że Paweł mógł się udać na schadzkę z Weroniką, i nie chciał, aby Marta sądziła, że zmieszał się jej pytaniem. - Może coś robi na podwórzu?

- Nie, nie ma go tam. Bardzo się pan przejął dzisiejszym zejściem w lesie? - zagadnęła, aby coś powiedzieć.

- Nie... Tylko...

- Tylko trochę - odpowiedziała Marta i ujęła za klamkę.

- Widzi pani, to jest tak: do życia w nowych warunkach fizycznych zawsze można się przyzwyczaić. Ale do psychicznych

warunków może być trudniej. Hm...życie w wiecznym niepokoju,

a głównie bez nadziei na uzyskanie tego spokoju w przyszłości, hm, to jakby przyzwyczaić się do życia bez jutra.

Nie sądzi pani że to jest istotnie trochę, tego ...

- Tak, tak, ma pan rację - przytaknęła z roztargnieniem Marta, pochłonięta własnymi myślami. - A on dawno wyszedł?

- Zdawało mi się, że przed chwilą.

Paweł wrócił późno do domu, ale żona nie pytała go, gdzie był.

III

Każde miasto przedstawione plastycznie powinno by posiadać kształt piramidy. Pośrodku spiętrza się w wysokich gmachach i świątyniach, wystrzela ku górze dorobkiem duchowej i materialnej kultury, następnie zaś spłaszcza ku peryferiom, przechodzi u podnóża piramidy w wieś. Krańce, stykające ze sobą miasto i wieś, nie tworzą wyraźnej granicy, a raczej pas neutralny na wpół mieszczański, na wpół chłopski. Mieszkają w nim trochę rolnicy, trochę mieszczenie ostatnich zawodów. Dorożkarze konni, asenizatorzy, kowale, cieśle; bliżej miasta prostytutki złodzieje, dalej karczmarze, paserzy, wyrobownicy rozmaitych zawodów, wreszcie zdecydowany proletariatus. Są tam małe domki, i często niebrukowane ulice. Za obramowaniem parkanu rosną chude jabłunki; koło płotów, pod którymi odlewają się przechodzący mężczyźni, krzewią się czasem jarzębiny, których czerwone jagody nanizują dziewczynki zamiast koralików, dorośli zaś zbierają na przyprawę do wódki, jeżeli nie zostaną przedtem zjedzone przez gile i jemiołuszki, których wczesne pojawienie się jesienią wróży zazwyczaj mroźną zimę. Ten pas wokół miasta ma wybitne właściwości promieniujące, sięgające z jednej strony głęboko w pole i lasy, z drugiej zaś w zaułki i spelunki, i fabryki śródmieścia.

Dom Pawła leżał poza obrębem tego pasa, już na właściwej wsi, ale jeszcze w zasięgu jego promieniowania. Stąd różnice klasowe zarysowane były dość wyraźnie. Średniej zamożności letniska podmiejskie otoczone były zwartą masą tradycji chłopskich, z przymieszką sprytu i złościwości miejskiego proletariatus. Jeszcze przed wielkim przewrotem Marta kilkakrotnie wyrażała

swoje z tego względu obawy, które okazały się nieuzasadnione. Z chwilą wkroczenia bolszewików stosunki się zaostrzyły, a raczej wyrównały. Współżycie sąsiedzkie zacieśniło się.

W tym pierwszym okresie Paweł zetknął się bliżej z Weroniką w okolicznościach dość przypadkowych. Było to jeszcze przed podjęciem pracy w lesie.

Pewnego dnia wybrał się do miasta celem odwiedzenia swych dobrych znajomych, Łaszowskich, którzy zawsze byli mu bardzo przyjaźni. Łaszowski był kiedyś wyższym urzędnikiem kolejowym, znanym poza tym z zaradności życiowej. Paweł nie widział go wprawdzie od dawna, ale doszły go słuchy, że ponoć i w zmienionych warunkach daje sobie dobrze radę i gdzieś, jak to mówiono: urządził się. Żonę jego uważał za gościnną i bezpretensjonalną, zresztą bardzo poczciwą.

Był dzień upalny: 5 sierpnia 1940 roku. Paweł zdążając do Łaszowskich myślało tym, co powie im przy spotkaniu, a wspinając się po klatce schodowej uśmiechał bezwiednie pod nosem, jak ktoś, kto mimo woli przygotowuje sobie zawczasu żartobliwe słowa powitania. Nie wiedział, że Łaszowska już od dwóch tygodni sprawuje stanowisko "uprawdomu", czyli administratora znacjonalizowanej kamienicy, w której mieszkali na czwartym piętrze. Gdy doszedł do pierwszego, usłyszał na górze klótnie. "Czyżby to ona?" - pomyślał ze zdziwieniem, gdyż zdawało mu się, że poznaje ją po głosie, i zwolnił kroku. Wspiąwszy się wyżej nie miał już wątpliwości. W otwartych drzwiach stała Łaszowska, której w tej chwili jakiś jegomość coś perswadował, czego Paweł nie dosłyszał, gdyż tamten mówił szybko i niewyraźnie,

- Jak towarzysz śmie! - krzyknęła Łaszowska. - ja, stara komunistka, nie pozwolę sobie!... - i ręce, zaciśnięte w pięści, przyciskała do swych dużych zwiędłych piersi, którymi wykarmiła dwie zdrowe córeczki.

Paweł zatrzymał się, zdumiony. Zdawało mu się, że ona go nie dostrzega lub też udaje, że nie dostrzega. Oderwał rękę od poręczy schodów, zrobił krok w tył, zawrócił i zbiegi szybko z powrotem. W myślach wyobraził sobie, że opowie o tej scenie Marcie, zaczynając od słów: "Nie wierzyłem po prostu własnym uszom..." Nagle ogarnął go po raz pierwszy ten rodzaj wielkiego zniechęcenia, które w późniejszym okresie opadało go tylokrotnie. Postanowił pierwszym pociągiem wracać do domu.

W pobliżu dworca kolejowego wszystkie ulice wylotowe wypchane były ciżbą ludzką. Środkiem jezdni maszerowały na plac dworcowy zwarte szeregi, inne nadchodziły lub czekały w kolejce aż przednie ustawią się i zrobią im miejsce. Nad głowami tłumu kołysały się czerwone sztandary. Monotonne szurganie nóg po bruku zagłuszało dźwięki trzeciej międzynarodówki. W gazecie, którą dziś czytał, nie było żadnej zapowiedzi o tak wielkiej manifestacji. Zapytał kilku przechodniów, ale nikt nie wiedział, co miała oznaczać.

- Zapytaj pan tych, co idą - odparł ktoś, wzruszając ramionami.

"Właściwie, po co?" - pomyślał Paweł, ale otarłszy się o starszego człowieka, z wyglądu rzemieślnika, który maszerując usiłował nogą złapać takt w szeregu, spytał półgłosem, o co chodzi?

- O ważne rzeczy - odpowiedział tamten.

W poczekalni dworca panował ścisk. Nikogo nie puszczano na peron. Pociągi podobno miały odejść później. Wielu próbowało przepchać się koło biletera, ale w drzwiach stał żołnierz z czterograniastym bagnietem na karabinie i ludzie cofali się znowu. Bileter kolejowy był to człowiek już nie -młody, z natury widać mrukliwy. Na czapce jego tkwiła gwiazda, daszek opadał na oczy, oczy na wąsy, wąsy wisiały w dół nad zaplutą podłogą. W zmarszczkach twarzy czaił się brud stacyjny.

- Panie! - zawołała jakaś kobieta. - Niech pan zlitui się, mnie dzieci czekają w domu...

- Nie ma tu żadnych panów - odburknął. Kobieta cofnęła się rozglądając bezradnie.

- Jak do niego, cholera, mówić? - rzuciła szeptem zapytanie.

- Wiadomo, jak - odpowiedziała inna.- "Towarzyszu" trzeba mówić.

- Towarzyszu... - zaczęła znów pierwsza tonem biadającym , ale urwała raptownie.

W przejściu ukazał się oficer NKWD. - Nie można teraz! Czego się pchacie?! Ech, naród jaki niezorganizowany! - zawołał. Okrzyk nie był groźny, nie poparł go też żadnym przekleństwem ani nawet srogą miną. Po prostu powiedział stanowczo i z dobrze wyreżyserowaną perswazją. Zrobił krok naprzód i "naród", nazwany przezeń niezorganizowanym, zaczął się od razu cofać tłocząc szybko tu tyłowi, jak poprzednio tłoczył się do przodu. Zrobiło się cicho. Tylko gdzieś w kącie kwiliło dziecko, trzymane na czyimś ręku. Kilku robotników rozsiadło się na cementowej podłodze, rozłożywszy swój posiłek pomiędzy piły, siekiery, śmiecie i niedopałki papierosów. Inni stali grupkami lub siadali pod ścianą, bo ławki zostały dokądś wyniesione. Cały ten tłum kobiet, dzieci, robotników, chłopów, nieokreślonego zawodu mieszczan, wszystko, co było w tej chwili na dworcu i co chciało dokądś jechać w swoich indywidualnych sprawach, zepchane zostało do dawnej poczekalni III klasy, której drzwi zamknięto następnie na klucz, aby nie przeszkadzali zorganizowanej manifestacji przed dworcem.

Paweł dowiedział się nareszcie, że uroczystość odbywa się ku czci delegatów, którzy przybywają właśnie z Moskwy, przywożąc ze sobą zgodę Rady Najwyższej SSSR na włączenie kraju do Związku Sowieckiego. - Za oknami zagrały wszystkie zebrane orkiestry.

Wielkie szyby dworców kolejowych, zmęczone ciągłym i w dzień, i w nocy wypatrywaniem ruchu ludzkiego przed podjazdem, nie myte prawie nigdy, zachodzą z biegiem czasu - bielmem kurzu. Z wewnętrznej strony pajak rozpostarł pajęczynę, i Paweł, który docisnął się do okna, patrzył przez nią, jak przez kratę więzienną. Żołnierze sprezentowali broń. Hymn sowiecki grał. Delegaci wychodzili z dworca..

Poprzez cieniutką kratę zakurzonej pajęczyny dostrzegł limuzynę, która, lśniąc lakierem, bardzo śpiesznie, widocznie zapóźniona, okrążyła plac lawirując między szeregami manifestantów i zatoczyła pod samo niemal okno. To przedstawiciele prasy miejscowej. Jeden z pierwszych wysiadł Łaszowski. Taki, jak dawniej, tłusty na twarzy, rubaszny w ruchach, pewny siebie, gdy zajeżdżał kiedyś, bywało, przed dworzec, witał się z przodownikiem policji, szedł na kieliszek wódki do bufetu, odpowiadał ruchem głowy na ukłony niższych rangą kolejarzy. Nic się nie zmienił; szwedzka bródka i ogromna gwiazda czerwona w klapie... - Paweł musiał mimo woli mruknąć coś pod nosem, bo stojący obok robociarz zapytał:

- Co pan mówi?

- Ładna maszyna...

- Owszem, niczego sobie.

Paweł wycofał się z okna i stał przez chwilę namyślając się, w jaki sposób przeczekać do końca uroczystości, gdy prawie koło samego ucha usłyszał szept:

- Czy pan nie wie, czy nas prędko puszcza z tej sali?

Odwrócił się. Koło niego stała Weronika. Pasma płowych włosów przylepione miała do wilgotnych skroni. Od jej nadmiernej bliskości, z upału i widocznego zmęczenia, parowało kobiecym ciałem.

- Tu tak strasznie duszno - powiedziała dla czegoś szeptem.

- Cóż robić - odrzekł pociągając nosem.

- Żeby choć było gdzie sięść.

- A usiądźmy, jak inni, na podłodze koło ściany. Trudno. Zresztą, to nic może już długo trwać.

Spojrzała pod siebie z wahaniem. Cementowa podłoga była brudna. Obok wpółleżał, wsparty na łokciu, jakiś człowiek, który co chwila wolną ręką smarkał nos w dwa palce, strząsał na ziemię i wycierał je przywykłym ruchem o spodnie. W kącie zatroskana kobieta wysadzała kilkuletnią

dziewczynkę, która już nie mogła wytrzymać. Znaleźli gdzieś wolne miejsce i przykucnęli na zgiętych nogach wsparci o siebie, przytuleni z musu całym bokiem. Ręka Weroniki przesunęła się kilkakrotnie po udzie, usiłując naciągnąć spódnicę na kolana.

- Nie, tak nie można - powiedziała. Istotnie, w ten sposób kucnąwszy, musiała z daleka ukazywać majtki pod spódnicą; podwinęła ją więc pod siebie i zdecydowanym ruchem usiadła na podłodze. Za oknami grzmiała wciąż orkiestra. Człowiek obok znowu się wysmarkał. Z placu dochodziły okrzyki wiwatujących. Paweł uśmiechnął się do Weroniki i też usiadł wyciągając nogi.

- Dobrze, że ja pana spotkałam... - szepnęła. - Bo tak samej...

- Przecież jasny dzień.

- Wszystko jedno, ale jakoś... sama nie wiem, straszno - I przywarła mocniej do niego.

IV

W połowie września zawiadomiono wszystkich robotników, że na podwórzu miejscowej szkoły ludowej o godzinie czwartej po południu odbędzie się wielki wiec. Przewodniczący sielsowietu miał wiedzieć, z jakiej okazji, ale tak się był przejął pierwszą wizytą jakiegoś delegata z miasta, że zapomniał. Na pytania, więc odpowiadał z rozdrażnieniem: "Wiec! No, wiec. nie rozumiesz! Będzie wiec. Jaki?!.. Pójdiesz, to zobaczysz, jaki. Co mnie tu głowa będziesz zawracać!"

"Chodź, zobaczmy!" - powiedział Karol do przyjaciela.

Szli na wiec, poprzedzani przez grupę robotników, na których przodzie kroczył jeden o szerokiej i czerwonej twarzy, zdradzającej oznaki przepicia. Kulał na lewą nogę, za to tym energiczniej wymachiwał prawą ręką rozczapierając przy tym wszystkie palce. Droga wypadła przez las. Jego rozpięta niedbale, wzdęta na wietrze bluza przesłaniała widok ścieżki, po której wszyscy szli gęsiego. Kulawy nie odwracając głowy, pokrzykiwał do idących z tyłu:

- Ja im dam wiece! Taka ich mać tam i nazad i w poprzek! To oni myślą, że oni z robotników wariatów będą strugać! Zaczekajcie, chłopcy, już my im pokażem!

- Daj, Leoś, spokój - odezwał się któryś, obojętnie spluwając w bok na wrzosa. Ale kulawy uspokoił się dopiero przy zbliżaniu się do szkoły.

Na ganku wisiała czerwona flaga. Pod nią tkwiło nieruchomo dwóch milicjantów. Poniżej na stopniach stał mówca, nieznany nikomu w okolicy. Przed wrotami na podwórzu czekała mała limuzyna, przez której okno dostrzec można było młodą dziewczynę. Przeglądając się w lusterku szofera, karminowała sobie wargi.

Tłok wzrastał. Przybyli robotnicy i robotnice okolicznych robót sezonowych, z szos, lasów i łąk torfowych, a w lej liczbie wiele maskującej się na robotach publicznych inteligencji miejskiej. Był to pierwszy tego rodzaju wiec w okolicy. Mówca mówił długo i monotonicznie. Już po kilku minutach ludzie, którzy rozsiedli się wygodnie na trawie, zaczęli poziewać. Słowa, wszystkim dobrze znane z gazet, plakatów, radia i transparentów, padały równo jak krople z dachu. Zresztą, poznać było, że agitator jest już zmęczony, że już chyba kilka wieców podobnych musiał dziś odbyć z tą samą intonacją w głosie, gestami i wykrzyknikami. Mówił o przewidzianych wyborach, kandydatach, których zresztą nikt nie znał, przestrzegał przed uchylaniem się od obowiązku głosowania, zapowiadając, że w paszporcie każdego wyborcy robione będą odpowiednie adnotacje.

Paweł siedział pośrodku podwórza, zabawiając się mrówką, której przegradzał drogę coraz to inną przeszkodą, gdy mówca, kończąc przemówienie, krzyknął: "Niech żyje republika radziecka! Miech żyje ojciec wszystkich mas pracujących całego świata, kochany nasz nauczyciel i wódz, wielki, genialny towarzysz Stalin!!!" - Głos mu się załamał z ochrypnięcia, wznosił wysoko rękę, ruchem tym podciągając w górę starą marynarkę i ukazując przedawnione ślady potu pod pachami.

- Niech żyje! - odchrząknął pierwszy kulawy robotnik, wymachując również ręką. - Niech żyje! - krzyknięto z wielu stron naraz i ludzie powstali z miejsc. Powstał również Karol. Paweł pozostał sam jeden na trawie; mrówka mu w tej chwili gdzieś uciekła, zresztą - poczuł się nagle, jakby sam był na wpół rozduszonym owadem wśród depczących wokół nóg. Zdążył cofnąć prędko rękę przed czymś obcasem i wstawał powoli.

- Towarzysze!... - wołał mówca - Towarzysze! - krzyczał, jak to zwykle się krzyzczeć, gdy chodzi o zagłuszenie wiwatującego tłumu. - Towarzysze!... Wysyłamy dziękczynną depeszę od robotników, chłopów i inteligencji pracującej do naszego kochanego! ...ukochanego! ...Sta...!

- Hurra! - Nie dano mu dokończyć.

- Towarzysze! Dziękczynną depeszę za zgodę na przyjęcie naszego kraju!... Do wielkiej rodziny wolnych narodów Związku Ra.....!

- Hurra!

Mówca urwał, wierzchem dłoni wytarł ślinę w kącikach ust, kiwnął szybko głową na znak, że wiec skończony, i znikł W drzwiach budynku szkolnego. Ludzie milczkiem i tłocząc się w bramie opuszczali podwórze.

Wracali bezładną kupą, tym razem piaszczystą drogą, milcząc; niektórzy tylko poruszali szczękami, jakby żuli w gębie coś niesmacznego. Paweł oglądnął się za Karolem, ale go nie było. Widocznie poszedł sam na przełaj przez las. Na zakręcie dopędziła ich i minęła szara limuzynka, na trzecim biegu torując sobie drogę poprzez piach. Z okna jej wy chyliła się ta sama dziewczyna i powiewała czerwonym szalem. Jej chuda ręka, wystająca z rękawa bluzki, miała w sobie coś z naiwnego gestu dzieciennych zabaw.

Kulas odmachnął jej przyjaźnie ręką i odwracając twarz do idących obok, wycedził powoli:

- Poszła ona w ...mać, kurwa czerwona.

Zwolnili kroku, bo samochód obdał wszystkim kurzem. Dzień był gorący.

- Taksówką, taka ich mać, rozjeżdżają... - odsapnął kulas, któremu iść było ciężko.

- A czego wrzeszczeliście "hurra", w takim razie? - niespodziewanie wtrącił Paweł.

- No... A jakże inaczej?... - odpowiedział kulas i odwrócił do Pawła swą szeroką twarz, na której malował wyraz szczerzego zdziwienia.

Znów popłynęły dni jednostajnej pracy. Wstawali o świcie, wracali o zachodzie słońca. Dni stawały się znacznie krótsze, tylko norma robocza pozostała niezmienna. Paweł nie widywał się w ostatnich czasach z Weroniką, nie układało mu się; czuł się zmęczony i chodził wcześniej spać.

Jakoś w sobotnie popołudnie Franciszek spod Lasu zaprosił na samogon, który był sam wypędził. Dzień był chmurny. Karol ciągle w złym humorze od ostatniego widzenia się z matką w mieście, przepijał milczkiem. Franciszek niby to gościnnie podejmował, a też niezupełnie był w swoim sosie. To żonę poganiał, to w okno wyglądał, jakby o oczekiwał kogoś, choć na pytanie Pawła odpowiedział, że ni kogo więcej się nie spodziewa. Goście mieli wrażenie, że coś mu leży na sercu. Wypili już pół litra, gdy powiedział nie spodziewanie:

- Bądźcie, panowie, ostrożni... - A gdy spojrzeli na niego, trochę zaskoczeni, dodał łagodząc. - Jak to tak sobie tylko mówię, jak to powiadają, na wszelki wypadek.

- A cóż my takiego... - nie dokończył Karol i wzruszył ramionami. - Zresztą, między swymi.

- Ja panu powiem, tylko, że, ot, słów nie bardzo dobrać potrafię... Jakby to wyrazić, przykładem, pod Niemcem czy chociażby pod tym samym Ruskim dawniej... A! To była inna sprawa. A za bolszewika, to swój człowiek prze staje być swoim... I lichy wie, dlaczego tak wychodzi?

- A żeby na przykład nie dawać się?! - Jak dawać się?

- No, powiedzmy, dawniej strajkowali ludzie...

- Ach, też pan jak dziecko! - przerwał Franciszek. - Któż to może poradzić! Zniszczą, zdepczą każdego, ani obejrzy się.

- No dobrze - upierał się Paweł - ale dlaczego w takim razie koniecznie przytakiwać? Jak na przykład na tym wiecu. Wszyscy jak jeden człowiek: "Hurra!".

- Widzisz pan, a ja to rozumiem. Inaczej i być nie może. Bo straszna teraz siła ludziom dana. Takiej siły wprzód nikt a nikt nie miał. A dziś każdy. I ludzie sami tej siły przełękli się.

- Co za siła?

- A ta siła i jest, że każdy jeden, kto tylko zechce, może zgubić. Nie trzeba, jak kiedyś bywało, nożem czy zza węgla albo i w lesie jakim strzelić. Dziś słowem jednym można zgubić. Poszedł z donosem, powiedział co na drugiego i tamten człowiek przepadł. Prawda, że i przedtem można było naszczeakać, ale to inna sprawa, za wszystkim inna rzecz była. Zaraz zapytali, a gdzie dowody? A gdzie świadkowie? A skąd wiesz? A sąd, a tamto i drugie, i trzecie. I jeszcze patrzaj, żeby za swój donos samemu nie przyszło się płacić. A dziś... Powiesz: zapisali i koniec. Ani sądu, ani niczego. Oto, skąd i jest, że każdy na oczach innych nie chce w niczym różnicy podać, żeby od reszty nie różnić się. Razem, to razem. Kto pierwszy "hurra", jak pan mówisz, to za nim wszyscy "hura". - Przechylił się w tył na ławie i krzyknął do drugiej izby:

- Mania! Daj tu literkę jeszcze jeden! Karol, który po wypiciu udobruchał się i wpadł w lepszy nastrój, zadysponował półgłosem: - Żeby tych jeszcze ogóreczków małosolnych. Doskonale!

- Aha, słusznie. Mania! I ogóreczków daj jeszcze! Słyszysz? - zawołał Franciszek, a po chwili zwróciwszy się do Pawła: - A pan co myślisz, że pana nie przyuważyli, że siedziałeś na trawie i nawet nie wstałeś, jak na cześć Stalina wiwatowali? Przyuważyli... bądź pan o to spokojny.

Karol spuścił głowę i bawił się machinalnie pustym kieliszkiem.

- No, i co? - Paweł spojrzał w twarz Franciszka prawie wyzywająco.

- A cóż może być?... - odparł tamten.

- Nie ma sensu, nie ma sensu... -- zabębnił nerwowo palcami po stole Karol.

- Co mówisz? - podniósł nań wzrok Paweł.

- Wszystko nie ma sensu. Bo dokąd to prowadzi?

- Donikąd, zapewne.

- Więc nie ma sensu. Bo każda czynność musi mieć cel. Musi. Po coś czy dla kogoś musi się robić. A my po co tak robimy, jeżeli ani dla ludzi, ani dla siebie? Może właśnie trzeba zmienić stanowisko...

- Co chcesz, żebyśmy robili? Rąbiemy drzewo. Widocznie potrzebne.

- To pan słusznie powiedział - przytaknął Franciszek. Gospodyni wniosła nową butelkę i talerz z ogórkami.

O tej porze, to znaczy już dobrze po zachodzie słońca, szła przez ogród Ola, najbliższa sąsiadka Marty, żona Antoniego Rymaszewskiego, niosąc, jak codziennie, garnek mleka z wieczornego udoju. Przelazła przez dziurę w płocie, minęła studnię, obrośniętą wiśniami, machinalnie wyciągając przed się rękę, aby osłonić oczy przed niewidocznymi gałązkami, i pchnęła furtkę wiodącą z ogrodu na podwórze. Pies, poznawszy ją węchem, zamerdał ogonem. Marta była sama w kuchni. Z okna padało światło wydłużoną strugą, oświetlając na żółto pień sosny.

Ola wprawnym ruchem domacała się klamki i jak to leżało w jej zwyczaju, z lekkim westchnieniem postawiła na stole dzban mleka.

- Tylko co dołam. Ciepłe jeszcze. - Zaczęła przelewać. Co ja to chciałam powiedzieć... Będzie pani jeszcze zacierkę, może, robić?

- Nie, mój mąż nie lubi parzonego mleka. - Nie luuubi?... - przeciągnęła ze zdziwieniem Ola, jakby tu chodziło o jakieś ważne zaskoczenie. Wzięła pusty dzban, ociągała się chwilę i nagle zbliżając się do Marty wyszeptała:

- Niech pani przestrzeże swego męża, żeby ostrożny był z Franciszkiem.

- Z którym Franciszkiem?!

Ola obejrzała się po kuchni, jakby dla sprawdzenia, czy nikt jej nie dosłyszy, i zniżyła głos: - Z tym, co pod lasem mieszka. O nim mówią, że związał się z sielsowietem i całą tą ich paczką... Podobno jemu przykazano śledzić i donosić.

- Na kogo?

Wzruszyła ramionami.

- A zdawało się taki porządny człowiek, Ola westchnęła w odpowiedzi. - Dobranoc. - Ale zatrzymała się jeszcze u drzwi. - A i ten Rojkiewicz, żeby czasem nie zaszkodził... Pani wie... - spuściła oczy - mąż tej Weroniki...

- Ach, wiem, wiem - uśmiechnęła się Marta, machnąwszy lekceważąco ręką. - Dobranoc.

Paweł wrócił do domu późno w noc i spał ciężkim przepitym snem. Gdy nad ranem wszedł do kuchni i zaczerpnąwszy z wiadra pił chciwie wodę pełnymi haustami, by ugasić płonące po samogonie pragnienie, Marta zrobiła mu uwagę:

- Ty uważaj jednak... - Żeby tylko te twoje flirty nie sprowadziły nam na głowę jakiego nieszczęścia.

V

Deszcz padał przez trzy dni. Deszcz drobny i ukośny. Nisko nad ziemią rozpostarte strzechy chat ociekały kroplami, które z czasem wydrążą rowek wokół domu, wypłuczą z piasku drobne kamyki, błyszczące mokrością, gdy słońce po jawi się znowu. Ale słońce pojawia się coraz rzadziej, natomiast chmury chadzą coraz gęściej, prędeziej i niżej. - Ech, jesień, jesień! Koła furmanek żłobią głębsze koleiny w rozmiękłych drogach. Obumiera nać na kartofliskach, ostatnie liście pastewnych buraków, w lesie gniją ostatnie grzyby.

Pociągnęły pierwsze klucze żorawi i - rzecz dziwna: nigdy jeszcze ludzie, przywykli od wieków do miedzianych głosów tych ptaków o jesiennej porze, nie zadzierałi tak często głowy i nigdy przedtem nie stawali tak długo, jak teraz, śledząc oczyma aż rozplyną się w dalekości nieba.

Takoż było i z Pawłem: podniósł wzrok i patrzył w nie bo długo, długo nie mogąc oczu oderwać, aż ofuknął go Karol okrzykiem znad skarpy:

- Na żorawiach świat się nie kończy. Nieś prędeziej!

Deszcz padał trzy dni, ale Karol z zaciętością wbijał drewniane kołeczki w skarpe, umocniając darń nad rowem odpływowym. Paweł cisnął przed nim naręcze kołków i po szedł strugać nowe. - Porzucili poprzednią pracę, gdyż wszyscy drwale objęci zostali organizacją nowego związku zawodowego i otrzymali każdy po kilka ankiet do wypełnienia. Poszczególne rubryki kwestionariuszy wnikały w najdrobniejsze szczegóły osobistego życia. Nie ulegało wątpliwości, że ten szczegółowy rejestr ma na celu przeprowadzenie w przyszłości gruntownej filtracji wśród robotników. Natomiast ci, którzy pracowali przy budowie wielkiego rowu odwadniającego łąki torfiane, nie podlegali jeszcze tym restrykcjom. Zaangażowali się tedy do pracy umacniania darni skarpy nowego rowu.

Rankiem nad rowem stała mgła. Czasem utrzymywała się do południa. Ubrania nasiąkały wilgocią.

Ręce były mokre przez cały dzień; buty i spodnie na kolanach umazane w wiecznym błocie; od nieustającej wilgoci i niewygodnej pozycji ukośnej, w jakiej się pracowało, bolały kości. Po twarzy spływał pot na przemian z deszczem.

Wieczorem pewnej soboty Karol pojechał, jak zwykle do miasta, ale wrócił dopiero aż we wtorek po południu.

- Co się stało?!

- Ach, nic - odparł cierpko. - Takie tam różne domowe zawracanie głowy. Masz, przywiozłem ci na pocieszenie ostatni numer moskiewskiej "Litieraturnoj Gaziety".

Paweł rzucił okiem na wielki wstępny artykuł o Dostojewskim, zamieszczony z okazji jakiejś rocznicy. Zaczynał się od słów: "Stalin powiedział o Dostojewskim..."

- Ale czegoś taki skwaszony? - zapytał odkładając gazetę.

- Ja? Nie... Tylko wilgoć widocznie źle na mnie działa.

Wieczorem po pracy, po raz pierwszy poruszyli temat zbliżającej się zimy. Karol zauważył mimochodem, że wątpi, czy przez okrągły rok uda się im otrzymać robotę na wsi, tym bardziej gdy sezonowe się skończą. Nazajutrz pracował milcząc, to znów przesadnie kłął pogodę, choć deszcze właśnie ustały.

- Knujesz coś? Co? - spytał go Paweł żartobliwie.

- Et, tam, sam wiesz, co można knuć. Ale swoją drogą, jeżeli nie dostanę chronicznego reumatyzmu, to chyba będzie cud. W takim błocie!

Na tym rozmowa się urwała.

W najbliższą sobotę Karol znów pojechał do miasta i więcej nie wrócił. Paweł chodził sam do roboty. Po kilku dniach dostał kartkę od Karola, że ma nadzieję uzyskać jakąś posadę w szkolnictwie ludowym. Później przysłała druga kartka z zawiadomieniem, że otrzymał pracę w dawnej wzorowej szkole powszechnej, której kierowniczką była Maria Zwolińska. Właśnie Paweł zapoznał go z nią swojego czasu, bo pochodziła z sąsiedztwa. Paweł sądził, że Karol raczej dobrze trafił. Marta była tego samego zdania.

Siedzieli przy kolacji we dwoje. Marta zwróciła mu uwagę, że zabrakło już cukru do herbaty. - Musisz pojechać do miasta - powiedziała.

- Tak, tak - odparł spieszenie. - Sam wiem, że muszę. Zresztą, w ogóle muszę... - I zamyślił się nad czymś. A później dodał. - Chcę się też zobaczyć z Karolem.

W mieście panowała ta sama dojmująca wilgoć. W szkole Zwolińska przywitała go, zwykłym u niej, nerwowym i bezpośrednim przejściem do opowiadania o czymś, co ją w tej chwili przejmowało.

- Walczę - mówiła - z tymi panami z komisariatu oświaty, którym wciąż się zdaje, że uczucia narodowe można sobie lekceważyć! No, niech pan spojrzy!

- Na co mam patrzeć? - zapytał, rozglądając się po dużym, jasnym korytarzu szkolnym.

- No, nie widzi pan tych wszystkich haseł i plakatów?

Na ścianach, nie widzi pan?!

- Widzę, owszem. Ale to przecież dziś wszędzie to samo.

- Ach, nie o to chodzi! Ale przecież dostrzega pan chyba, że są pisane w obcym języku! A w mojej szkole procent dzieci...

Paweł podszedł do ściany i począł odczytywać napisy. Były to slogany głoszące, że "życie w Sowietach jest najszcześniejsze", że "teraz dopiero nastąpi prawdziwa wolność", że "dziecko jest

przyszłością narodów związkowych, a Stalin ojcem wszystkich dzieci", że "Stalin jest największym nauczycielem", że... Odwrócił się i wzruszył ramionami:

- Dlaczego pani chce, żeby to koniecznie dzieci miały czytać? Nie bardzo rozumiem.
- Widzi pan, bo ja bym jednak chciała, że skoro to jest szkoła polska, to bądź co bądź musi być całkowicie w naszym języku, bo przecież...
- Proszę mi powiedzieć, gdzie jest Karol? - przerwał jej sucho.
- Pracuje tu - odrzekła głosem nieco urażonym. - Te raz go nie ma, wyszedł w jakichś sprawach do inspektoratu szkolnego. Myślę, że nie przyjdzie prędzej z powrotem jak za dwie godziny.

Choć miasto liczyło nie więcej niż 250 tysięcy mieszkańców, a życie jego skupiało się na kilku głównych ulicach centrum, Paweł nie spotkał prawie znajomych. Tych zaś kilku, których spostrzegł, spieszyło dokądś albo przechodziło właśnie na drugą stronę jezdni. W poprzek głównej ulicy wisiał olbrzymi transparent z napisem:

"Związek Radziecki wyratował nas od okropności wojny! Niech żyje Stalin! Wódz mas pracujących!"

Na następnym rogu drugi, takich samych rozmiarów: "Dziękujemy Stalinowi za nową, radosną przyszłość naszych dzieci!"

Na skrzyżowaniu ktoś dotknął ramienia Pawła. Był to Leon, młody aplikant adwokacki, dawny kolega jeszcze z gimnazjum. Przywitali się, szczerze ucieszeni spotkaniem, i poszli chodnikiem, opowiadając sobie wzajemnie nowiny. W pewnym momencie Leon spytał:

- Ty byłeś w naszej pralni? Prawda?
- Nie... - zdziwił się. - W pralni? W jakiej pralni, co za pralni?
- Ach, nie... - Leon zamilkł, przeszedł kilka kroków milcząc.
- To ty nie znasz Tadeusza Zakrzewskiego? - Nie znam. Kto to jest?

Zawahał się chwilę, namyślając, potem odpowiedział wy mijająco:

- Nic ważnego. Tak sobie tylko pytam. Zresztą, pralnia, no, normalna pralnia bielizny. Nasze znajome trzymają, Czasami tam spotykamy się. Schodzą się tam najkomicniejsi ludzie... Pogadać, pohandlować... Rozumiesz?
- Domyślam się - odparł Paweł sądząc, iż chodzi zapewne o rodzaj pokątnej giełdy czarnego handlu.
- Ja tam właśnie idę, możebyś zaszedł ze mną, jeżeli nic masz nic lepszego w tej chwili.

Paweł zgodził się chętnie. Skręcili w bok i minęli kilka ulic. W jednym z zaułków, pnącym się malowniczo w bezładzie starych kamienic, z dala już dostrzegało się spory szyld: "Pralnia". Dwa schodki prowadziły wprost z chodnika do nawpół otwartych drzwi, skąd nagrzane powietrze parowało na ulicę. Okno wystawowe zawieszono chusteczkami i damskim, niebieskim fartuszkim, z widniejącym na jego tle portretem Salina. Siedział tam też ryży kot. Stalin uśmiechał się łagodnie do przechodniów, a kot mrużył zielone o czy. Jedna z trzech prasowaczek, przystojna dziewczyna, której spod zawiniętej na głowie chusteczki wymykało się pasmo ciemnych włosów, naciskając żelazkiem zerknęła bystro na wchodzących, na poły zalotnym, a na poły ironicznym uśmiechem witając Leona. Ten kiwnął jej głową w niemym porozumieniu i pchnął wąskie drzwi do pokoju za ladą.

Pośrodku stał stół, za nim pod ścianą ceratowa kanapka. Pokoik był ciasny. Zakratowane okno, niedbale przesłonięte dawno niepraną firanką, wychodziło na podwórze kamienicy. Trzech młodych mężczyzn rozmawiało, paląc papierosy, o rzeczach obojętnych. Jeden z nich, siedzący na kanapce, pykał z fajeczki, przysłuchując się w milczeniu. Sposób, w jaki siedział, jakoś nienaturalnie

zgarbiony, jego skoncentrowany wzrok, nawet fajeczka, którą przekładał językiem z jednego końca ust w drugi, wszystko to zrobiło na Pawle wrażenie czegoś sztucznego. Był to Tadeusz Zakrzewski. Leon przedstawił mu Pawła i rozmowa, na chwilę przerwana, potoczyła się dalej wokół jakiejś starej afery spadkowej. Paweł nie bardzo wiedział, po co tu właściwie przybył. Wszyscy, poza Leonem, byli mu obcy.

- Gdzie pan pracuje? - zagadnął raptownie Zakrzewski.

- Nigdzie. Szukam właśnie czegoś. - Czy pan zna Wulfkę?

- Szofera?

Odkiwiał głową potakująco.

- Owszem, znam.

- Ma tu zaraz przyjść - odrzekł, wyjmując fajkę z ust.

Paweł wyraził powściągliwe zdziwienie.

W tej chwili otworzyły się drzwi i wszedł Wulfka.

Wulfka należał kiedyś do popularnych postaci miasta.

Był to jedyny Żyd wśród szoferów taksówek. Specjalizował się w nocnych kursach.

Z chwilą wkroczenia bolszewików był jednym z pierwszych, którzy wietrzyli za nowym porządkiem rzeczy. Czymże bowiem był dotychczas? Szoferem taksówki. Własnej, to prawda, ale zawsze tylko sługą. Czasem otrzymał większy napiwek, czasem większy kieliszek wódki. Raz dostał w twarz od pijanego oficera; wielokrotnie poklepywany był dobrotliwie po ramieniu. Widział wiele możliwości i stron życia, ale chyba na zawsze miał je omijać swym autem, by w końcu, zmęczony, albo przepity, powracać do garażu śmierdzącego benzyną i smarem. I oto nastał czas wyzwolenia.

Wulfka zrobił się na początek agitorem, potem awansował na pełnomocnika instytucji, której przeznaczenia nie bardzo rozumiał. Następnie, delegowany do prowincjonalnego miasteczka, w krótkim okresie przejściowym staje się niemal dyktatorem, tytułowanym przez wystraszonych mieszkańców komisarzem. Szoferska kurtka skórzana w sam raz przydała się do pasa, przy którym powiesił pistolet systemu "Nagan", i zdawało mu się, że wygląda właśnie tak, jak wyglądają słynni "czekiści", o których czytywał dotychczas w antybolszewickiej literaturze. Sądził, że jest w przedsionku zawrotnej kariery.

Ale już po upływie kilku tygodni Wulfkę przenoszą do innego prowincjonalnego miasteczka, gdzie w uporządkowanym na nowo ładzie społecznym mianowany zostaje zastęp i kierownika posterunku milicji. - O tym okresie opowiadał teraz Zakrzewskiemu w ten sposób:

- Jak przysłali tych milicjantów ze wschodu, to jednego dnia coś mnie nie podobało się, to ja wtedy jednego milicjanta wyrugalem, tak po naszemu, "po matieri", pan rozumie? To wtedy woła mnie kierownik i mówi: "U nas tak nie wolno". Pan rozumie? A później zdarzyła się taka rzecz: aresztowali w okolicy pana Boguckiego, który miał majątek. Pan wie. Bogucki? On był dyrektorem banku. To ja jego wypuściłem, bo on porządny człowiek zawsze był. To pan wie, co mnie powiedzieli? "Wy", powiedzieli, "towarzyszu, nie jesteście mocni w zasadach walki klasowej. Czy on porządny, czy nieporządny, to nie ma nic do rzeczy. Do rzeczy ma to, że on był posiadaczem, któremu my to posiadanie odebraliśmy. I dlatego on zawsze będzie naszym wrogiem". Pan rozumie? - Rozumiem, odpowiedział Zakrzewski; a co się stało z taksówką? Wulfka odmachnął w odpowiedzi ręką gestem pełnym zniechęcenia i zwrócił się do Pawła:

- Pan zna pana Boguckiego?

Ale Paweł go nie znał.

- On teraz gdzieś się schował. - Nastąpiło milczenie.

Wulfka poprawił się na krześle, rozpiął szynel, czapkę zsunął na tył głowy, założył nogę na nogę i zmienił temat rozmowy:

- Słuchajcie, panowie, ja wam powiem otwarcie. Ja byłem teraz szoferem w takiej komisji wojskowej i z nią objechałem kawał Rosji. Byłem w Moskwie, Kijowie, Odessie. Owszem, w dużo miastach, a teraz wracam ze Smoleńska... - Zamyślił się, podłubał w nosie, wytarł dyskretnie palce o róg serwety na stole i nagle ożywił się:

- Co to za ludzie, ja ich nie rozumiem? Czego oni chcą i dlaczego oni tak żyją?! Mnie pytali: "Nu, jak tam u was żyło się pod panami?" To co ja mogę odpowiedzieć? Prawdy przecież nie powiem. To ja mówię: "No, ot, tak, podobnie, jak u was za carskich czasów". He he he... To mnie jeden stary bierze na bok i mówi do ucha: "To ty myślisz, że u nas za carskich czasów żyło się źle?.." A ja jemu mówię na drugie ucho: "A ty myślisz, że u nas żyło się kiepsko?..."

Obecni zaśmiali się krótko.

- Słuchajcie, Wulfka - odezwał się nagle Zakrzewski tonem trochę protekcyjnym, wyjmując przy tym fajeczkę z ust i wskazując nią Pawła. - Wy tu nie moglibyście jakiejś pracy wykombinować, ot, dla ...obywatela.

Wulfka obrócił się do Pawła. - Pracy... Pracy jest te raz pełno.

- W lesie albo kamienie tłuc na drogach - wtrącił Zakrzewski. - Ale tu chodzi, by wykombinować coś ekstra.

- Daj pan spokój - machnął ręką szofer - pan myśli może, że jak ja Żyd, to mogę coś zrobić? Nic ja nie mogę.

Leon, który w międzyczasie załatwiał półgłosem jakąś sprawę z jednym z obecnych, wstał i powiedział, że musi już. iść. Paweł skorzystał, żeby wstać również, pożegnał się i wyszli razem.

- Co to za protektora wyszukaliście sobie w tym ja kimś Zakrzewskim? - zapytał, gdy znaleźli się na ulicy.

- Ciekawy człowiek.

- Nie wydaje mi się.

- A ty z nim pogadaj.

- Sztuczny jakiś, pretensjonalny. I w ogóle ci inni, ten Wulfka, ni stąd, ni zowąd, co to za towarzystwo?

- Teraz się spieszę - rzucił na pożegnanie Leon. - A z Tadeuszem porozmawiaj, radzę ci; zobaczysz.

Paweł przypomniał sobie, że miał się wystarać o trochę cukru w mieście, poszedł go szukać i stracił na to więcej czasu niż przypuszczał. Gdy powrócił do szkoły Zwolińskiej, powiedziano mu, że Karol był i już wyszedł, a także - że więcej nie będzie tu pracować, bo właśnie dostał w inspektoracie przydział do nowego uniwersytetu robotniczego. Paweł zastanawiał się chwilę, czy ma próbować odszukać go w jego prywatnym mieszkaniu, ale ze względu na spóźnioną porę zaniechał.

Minęło dwa tygodnie. Paweł był zbyt zapracowany, aby w tym czasie udawać się do miasta. O Karolu nie wspominał. Mirta zapytała go kiedyś:

No, cóż z twoim przyjacielem? Wzruszył ramionami. Zrozumiała, iż był zły na niego, nie daje o sobie znaku. Jakoś tego samego dnia dowiedzieli się z list osób trzecich, że Karol otrzymał nominację na inspektora i objął katedrę "zasad leninizmu i stalinizmu".

VI

Antoni Rymaszewski, z zawodu stolarz, urodził się w dawnej gubernii mińskiej w roku 1903, czyli w okresie, gdy rządy nad Europą sprawowali jeszcze carowie, królowie i kajzerzy. Zapisany do stanu włościańskiego jako syn chłopca. Ojciec jego miał kilka dziesięcin gruntu miary rosyjskiej i był człowiekiem, którego nazywają popularnie twardym, tzn. pracowitym i skąpym. Z biegiem lat dorobiwszy się bogatej gospodarki i dokupiwszy ziemi, zabezpieczył sobie starość, a dzieciom przyszłość. Rewolucja, która obaliła ca rów, wydała między innymi w końcu lat dwudziestych dekret o "rozkułaceniu wsi", czyli usunięciu z niej wszystkich tych chłopów, których określono mianem "kułak". Określenie było trafne, albowiem chłopci tej kategorii istotnie przez całe życie zaciskać musieli swe kułaki, czy to wokół narzędzi rolniczych, czy też każdego grosza w garści, bacząc, by się nie potoczył na zbędne wydatki. W ten sposób mogli się jedynie czegoś dorobić w tamtych czasach. Nawiasem do dać należy, iż ręce chłopskie zmywają się w tym kraju tylko do pewnego stopnia i wieku. Później skóra od zmian czterech pór roku, od mrozu, słońca, deszczu i wichru, pęka, myta zaś rzadko - dla oszczędzenia zarówno mydła, jak czasu - nabiera w te pęknięcia brudu codziennej pracy. Tak więc zacisnięte kułaki są zazwyczaj ciemne, w przenośni powiedzieć by można o nich: czarne.

Po raz ostatni zacisnęły się one w bezbronnej rozpacz, gdy wszystkich tych lepiej zagospodarowanych chłopów, za ładowano razem z rodzinami do wagonów bydłowych i wywieziono w lasy dalekiej północy. Liczba ich sięgała 3,7 miliona. Wśród nich znalazła się również rodzina Rymaszewskich. Ojciec zmarł wkrótce na zsyłce. Antoni był wówczas młodym i zdrowym chłopcem. Pogłódowawszy na przymusowych robotach w lasach, próbował dwa razy ucieczki, ale bez powodzenia. Nie zniechęcił się. Po raz trzeci uciekł w towarzystwie innego syna chłopskiego. Wiele rzek przebyli wpływ, mokli na deszczu i marzli nocami. Żywili się prze ważne jagodami, a także surowymi grzybami, które, jak wiadomo, na północy są o wiele zdrowsze niżli w lasach położonych bardziej na południe. Kontrola kraju nie osiągnęła jeszcze tej doskonałości, do jakiej doprowadzona jest dzisiaj. W ten sposób zdolali dotrzeć do Moskwy j zaoszczędzone zawczasu specjalnie na ten cel pieniądze kupili na dworcu Białoruskim bilety do Mińska. Pociąg ruszył.

Dojechali jednak tylko do Orszy. Stamtąd idą piechotą bocznymi drogami. Ciągłe na zachód, ciągle na zachód. Pewnego razu natknęli się na patrol GPU; uciekali. Towarzysz Rymaszewskiego został zastrzelony. On sam ukrył się w lasach. Szedł już tylko nocami, na wpół przytomny z głodu i wyczerpania, kierując się wciąż na zachód, ku odrutowanej granicy, by przedostać się na stronę polską. Ostatnią noc przepelzał całą na brzuchu, podarł ubranie w strzępy, pokaleczył się o druty, a jednak zdołał się wydostać z granic Związku Sowieckiego. Utyłany w błocie, w łachmanach, wycieńczony do ostatnich granic ludzkiej wytrzymałości. Wspominał później o tym dniu jako o najszcześniejszym w swoim życiu.

Po latach nauczył się stolarki i ożenił się z Olą. W posagu przypadło jej 2 hektary gruntu i jedna krowa. Następnie dokupili sobie jeszcze jeden hektar i jeszcze jedną krowę.

VI

W roku 1940, gdy do kraju wkroczyli bolszewicy, Rymaszewski był już od dziesięciu lat osiadłym, małorolnym wyrobnikiem, ojcem kilkuletniej Krysi. Sąsiedzi radzili mu uciekać.

- Gdzież ja teraz będę uciekał? - odpowiadał, kładąc nacisk na słowo "teraz" i wzruszając ramionami.

Wówczas sąsiedzi zastanowili się i zmienili zdanie:

- A i prawda, że jemu teraz to nie bardzo jest gdzie uciekać.

Rymaszewski splunął z wyraźną odrazą dla toczącej się dyskusji. Inni pokiwali głowami.

- Jak on ma uciekać? Co on żonę i dziecko weźmie na rękę albo też zostawi samych?!
Rzeczywiście, nie ma jak.

- A i dobytek, chociażby krów tych, teraz nie przeda, bo kto będzie kupował w niepewnym czasie!

- Ach, nie o krowy tu rozchodzi się! - odparł z podrażnieniem Rymaszewski. Ale nigdzie nie ruszył. Został. Starał się najrzadziej wychodzić z domu i nie pokazywać ludziom na oczy, nie przypominać o swojej osobie. To naturalnie nic nie mogło pomóc, i pewnego dnia tej jesieni zjawił się u niego młody Andrzej Bożek, sekretarz sielsowietu.

Przewodniczącym sielsowietu został Bolesław Drużko, miejscowy szewc, człowiek starszy i spokojny. Natomiast sekretarzem mianowano niedawno Andrzeja Bożka, bliskie go sąsiada Rymaszewskiego. Bożek sam był synem kułaka, ale wybór padł na niego ze względu na jego zdolności i za miłowania organizacyjne. Przed niespełna rokiem był jeszcze członkiem tzw. "Młodzieży Państwowej" i wiceprzewodniczącym wiejskiego koła Związku Młodzieży Katolickiej, ulubieńcem poprzedniego proboszcza. Z chwilą wkroczenia bolszewików z zapalem przerzucił się do działalności społeczno-politycznej nowego obozu. Proboszczem został inny ksiądz w tym czasie; Bożek omijał go starannie i starał się nie chodzić nawet drogą koło plebanii. Zresztą, prawdę rzekłszy, inna równoległa droga, która z jego chaty wiodła do centrum osady, nie była wcale dłuższa.

Rymaszewski wybierał się był właśnie do miasta i glansował pieczołowicie cholewy swych nowych butów postawiwszy nogę na krześle, gdy wszedł Bożek.

- Antoni - powiedział - was do sielsowietu potrzebuja.

Rymaszewski zbladł. Czyścił dalej but i nic nie odpowiedział. Z drugiej izby wyszła Ola.

- Po co? - spytała.

- Tam... jedna sprawa taka... Na chwilę. Tylko prędko - dodał Bożek, usiłując nadać swemu głosowi ten ton niezależnej obojętności, jaki był zaobserwował u swych przełożonych, ale nie opanował go jeszcze dostatecznie, więc koniec dania wypadł mu prawie jak pogrożka.

Ola też przybladła i spojrzała na męża.

- Wraz przychodzę - odezwał się Antoni, ale Bożek nie ruszył się z miejsca, dając tym do zrozumienia, że mają pójść razem. Wtedy Rymaszewski rzucił szcztokę na podłogę i skierował się do drzwi.

- Antoś... - wyszeptala bezradnie żona. - Ty... Ty by może... - Sama nie wiedziała, co chce powiedzieć.

- A, daj spokój - odparł szorsitko. - Idziemy - zwrócił się do Bożka.

Szli szybko i obydwaj milczeli. Antoni wiedział z doświadczenia, że w takich sprawach pytaniami nic uratować nie można. Z prędkości poszli na przełaj i mokre wrzosa chłastały mu po wyczyszczonych przed chwilą cholewach. Z daleka już widać było stojący przed domem sielsowietu samochód osobowy marki sowieckiej. "Ech", pomyślał, "tu ty trzeba było włożyć stare, szkoda nowych..." Z żoną się nie pożegnał, jak należy, a tylko burknął do niej jakieś cierpkie słowo. Ot, życie!

Weszli po trzech schodach, i Bożek bez pukania otworzył drzwi na prawo. "Jest!" - powiedział wchodząc pierwszy.

Za stołem w zielonej bluzie wojskowej, z rzemieniem na ukoś i pistoletem u boku, siedział jakiś oficer. Rymaszewski spojrzał na stół, na którym leżała czapka i po jej czerwono-sinym otoku poznał przynależność do NKWD. Siedzący podniósł głowę, spokojnie rzucił wzrokiem wprost w twarz Rymaszewskiego i znowu bez słowa pochylił się nad maszynopisem. Rymaszewski wchodząc

zamierzał zachować niezależność ruchów, zapytać dla utrzymania pozoru, po co go zawołali, na pytania odpowiadać tonem obojętnym, ale zdekoncertowało go, że oficer NKWD z wyraźnym skupieniem studiuje jakiś dokument, a na niego nie zwraca najmniejszej uwagi. Chciał więc z kolei przemówić do obecnego Drużki i nawet rozglądał się po izbie, ale Drużko patrzył w zupełnie innym kierunku z wyraźną intencją uniknięcia wzroku Antoniego. Bożek zaś niby przerzucał pilnie jakieś papiery na drugim stole. Panowała prawie idealna cisza, tylko wiatr z zewnątrz dobijał się łagodnie do szyby. Rymaszewski chciał jednak koniecznie coś powiedzieć. W tym celu odchrząknął już, gdy raptownie poczuł tak dobrze mu znane kiedyś uczucie odpływu energii; uchodziła mu w dół ciała, nieprzyjemnie tak, wzdłuż nóg; i oto znika już prężność pod kolanami, i oto przypomina sobie, iż żeby utrzymać postawę, najlepiej jest jeszcze stać tylko bez ruchu i czekać.

Siedzący za stołem lejtenant NKGB, Czemołanow, wciąż nie podnosząc wzroku coś mruknął do siebie, sięgnął ręką, nie patrząc, po czerwony ołówek i podkreślił jakiś ustęp w maszynopisie.

Rymaszewski stał ciągle; spojrzał sobie pod nogi, zobaczył przyczepioną do końca podeszwy grudkę nawozu, chciał wytrzeć o podłogę, ale się nie zdecydował.

Czemołanow rękawem lewej ręki zlekka przesłaniał maszynopis, a palcami prawej przebierał machinalnie wąski rzemyk na piersiach, który mu podtrzymywał pas z pistoletem. Nagle podniósł oczy i zapytał rzeczowo:

- Rymaszewski Antoni?

- Tak - odpowiedział tamten głucho.

- Aha, nu taaaks... - przeciągnął. - Tu nie ma czego badać. Tu - i stuknął palcem po maszynopisie - wszystko jest dokładnie wyszczególnione. Każdy szczegół. Znaczy, winien?

- Winien - odparł cicho Antoni, stojąc na swych rozmiękłych pod kolanami nogach.

- Hm, taaak... Żona, dzieci, tu?

- Tu, a gdzie one podzienia się. - I dodał ochryple:

- Jedna córeczka tylko.

Czemołanow siedział wciąż z nogami podciągniętymi pod krzesło, łokcie na stole, spokojnie, trochę pochylony ku przodowi, prawie grzecznie.

- Kto ukrywał broń i ulotki kontrrewolucyjne w lesie, tam koło drogi, co? - I uczynił ruch podbródkiem, widocznie nie znając miejscowości, i dlatego w złym kierunku od stołu, przy którym siedział.

Rymaszewski poruszył prawą ręką, rozstawiając dłaczegoś palce.

- Ja nie wiem. Ja do lasu nie chodzę.

- Wy nie wiecie? - zapytał Czemołanow, kładąc nacisk na słówko "nie". - Wy, Rymaszewski, duuużo wiecie. Wy wszystko wiecie, jeżeli tylko chcecie wiedzieć. - Wyciągnął nogi, oparł się plecami o poręcz krzesła i spojrzał z tym samym, co uprzednio, rzeczowym wyrazem twarzy w szybę okna. Widać stąd było gałązkę sosny i kawałek szarego nieba. Być może, iż gdyby od tamtej strony, to znaczy od nieba, zajrzeć w oczy Czemołanowa, wyczytałoby się w nich jakby przeblysł tęsknej nudy. Czemołanow znów zwrócił się do Antoniego. - Ale nie chcecie wiedzieć, co?!

Ten tylko przełknął ślinę.

Czemołanow poruszył szczękami tłumiąc ziewanie i za raz przybrał bardziej surowy wyraz. On sam wiedział przecie doskonale, że żadnej broni ani żadnych ulotek ukrytych rzekomo w sztablach drzewa nigdy nie było, a donos sprzed kilku miesięcy okazał się fałszywym, tak samo jak maszynopis leżący przed nim na stole nie dotyczył wcale Rymaszewskiego, a był po prostu nowym okólnikiem do wszystkich powiatowych oddziałów NKGB w sprawie konfidenckiego rozpracowania terenu. Uczynił pauzę.

- Tak ot co, Rymaszewski, was by trzeba... - i urwał. - Wy co, ciągle na szkodę Związku Sowieckiego chcecie działać, hę?

- Ja... ja... nigdy. To jest, broń Boże, przeciwnie...

- Hm, a czymże możecie dowieść waszej lojalności?

Rymaszewski, nie pojmując jeszcze, otworzył obydwie dłonie ruchem bezradnym. - No... ja... pracuję...

- Pracuję, to mało. Każdy teraz pracuje. Kto nie pracuje, ten nie je.

Rymaszewski stał znowu bez ruchu.

- Kto nie pracuje, ten nie jeee... - przeciągnął jeszcze raz Czemodanow. - Trzeba, Rymaszewski, w inny sposób dowieść swej dobrej woli. - I po pauzie: - Trzeba, Rymaszewski, demaskować wrogów Związku Sowieckiego. Ot co!

Nastała cisza. A potem coś, jakby z dalekich zaświatów, zaczęło się z trudem przeciskać poprzez zwoje mózgowe Antoniego i zanim mógł pojąć, że to jest nadzieja, już zaczęła mu spływać do serca. Dom... Izba... żona, córka... Matko Boża, czyżby miał powrócić?! Teraz poczuł, jak mu coś rozpiera pierś i jednocześnie, prawie jak coś najmiłsze go pod słońcem, przedstawił sobie trzy schodki przy ganku sielsowietu, po których może dane mu będzie zbiegnąć, by wrócić do domu! Czemodanow, czapka na stole wydały się nieomal bliskie...

- Zrozumieliście? - usłyszał jakby z oddalenia jeszcze, ale już się ocknął i odpowiedział służbiście, prawie wesoło:

- Rozumiem.

- Nu, ot, na razie. Podpiszcie tu. - I lejtenant wy ciągnął spod dokumentów, zawczasu widocznie przygotowany, złożony we czworo karteluszek papieru, rozprostował go i podsunął spokojnie na drugą stronę stołu; umaczał pióro i podał. Przygotowany był na to, że Rymaszewski zechce odczytywać, jak to czynią nieliczni, którzy usiłują zachować do końca pozory, ale Rymaszewski zgiął się tylko nad stołem, przez sekundę jedynie zawahał, czy ma na nim położyć trzymaną wciąż w ręku czapkę, wpakował ją jednak szybkim ruchem pod pachę i niewygodnie prędko podpisał nie czytając. Zauważył jedynie w tekście wyraźne litery: NKGB i wskutek nagłej śmiałości, która go ogarnęła, za pytał wyprostowując się:

- Co znaczy: NKGB, bo za moich czasów...

- Ludowy komisariat bezpieczeństwa państwowego*) -

*) NKGB - *Narodnyj Komissariat Gosudarstwiennoj Biezopashosti*, utworzony dla jeszcze większego usprawnienia akcji policyjnej NKWD. Szefem NKGB mianowany został Merkułow rozstrzelany w sprawie Berii w r. 1953.

odparł sucho Czemodanow, wysuszył bibuła podpis i zrobił ruch ręką w kierunku drzwi.

Antoni chciał właściwie coś jeszcze powiedzieć, może nawet podziękować, uklonił się, ale cofnął się tylko i ujął klamkę.

- Rymaszewski! - zawołał nagle znad drugiego stołu Bożek. - Ty u mnie uważaj tylko!... - i pogroził mu palcem, przymykając jedno oko.

Czemodanow zrobił niechętny ruch głową, milcząco dezaprobując wyskok Bożka, ale nic nie powiedział. Pochylił się znowu nad okólnikiem, a gdy buty Rymaszewskiego zastukały po schodkach ganku, przeciągnął paznokciem po ustępie maszynopisu, który podkreślił uprzednio czerwonym ołówkiem. Bożek zlekka skonfudowany wstał.

- No, więc, towarzysze - podjął Czernodanow - u was bardzo mało zrobiono. Nic, można powiedzieć. Praca organizacyjna nie rozpracowana wcale. - Wziął papierosa, przypalił od zapalki podanej mu usłużnie przez Bożka. - Tu punkt czwarty okólnika - wypuścił dym nosem, a papieros poruszał mu się w kąciu ust do taktu słów - brzmi wyraźnie: "Natychmiast zorganizować faktyczne, ... faktyczne" - powtórzył z naciskiem - "sprawdzanie osób podlegających ewidencji w ich miejscu zamieszkania i dla każdej rodziny zaprowadzić specjalny formularz sprawy, celem za rejestrowania w 2 oddziale NKGB (patrz rozporządzenie NKWD SSSR nr 001223)".

Szewc Drużko stał przed stołem z rękami wyciągniętymi jak na baczność. Bożek z boku, pochylony służbiście i wpatrzony w litery okólnika z wyrazem nabożności na twarzy. Czernodanow podniósł głowę, strzepnął popiół i rzucił niecierpliwie:

- Siadajcie, towarzysze. Wy, wasze meldunki, ściśle, jasne, możliwie krótkie, kierować teraz będziecie do towarzysza Raczenki w zarządzie gminy, który zastępować mnie będzie w terenie. Raczenkę już znacie?

- Tak jest - odpowiedzieli jednym głosem.

- Nu, ot i w porządku.

Czernodanow włożył papiery do teczki, niedbale skinął ręką na pożegnanie, wyszedł, zbiegł po schodach do czekającego samochodu i otworzył drzwiczki.

- Do miasta? - zapytał szofer, naciskając starter.

- Uhum.

W tej chwili Franciszek, zwany "spod Lasu", zbliżał się do domu sielsowietu i już z daleka uklonił się, ale Czernodanow go nawet nie zauważył.

Ola, po wyjściu męża, siała jeszcze jakiś czas w otwartych drzwiach jak skamieniała. Potem rzuciła się w głąb izby, porwała bez słowa swą dużą, siedmioletnią córeczkę na ręce; była za ciężka, więc postawiła ją z powrotem i ciągnąc za sobą pobiegła do sąsiedniej chaty swej zamężnej siostry.

- Mania! Mego zabrali! - krzyknęła od progu. Mała Krysia, ledwo mogąc nadążyć za matką, rozplakała się.

- Jak?! Kiedy?! - zawołała siostra od pieca, pchając szuflę z ciastem chlebowym w rozpalony otwór. Jej córeczka, rówieśniczka Krysi, też zaczęła płakać. - Cicho, dzieci!

- Poprowadzili!... Już nie zobaczę!... Bożków chłop! przyszedł i wezwał. Boże mój, Boże!... - Zawodziła po babsku, rozdierająco i zgrzytliwie.

Mania, spotniała przy piecu, odgarnęła włosy z czoła, wytarła ręce w fartuch i zaczęła rozpytywać, z emocji zapominając o zasunięciu blachą otworu paleniska. Przeszła długa chwila zanim mogła coś wyrozumieć z oderwanych okrzyków i zawodzeń siostry.

- Co robić?! Manieczka?! Przyszedł i wezwał!... Zasuń blachą piec, Mania. Co robić?!

- Ach, Boże, zapomniałam z tego strachu. A ty jemu dała choć czego na... - urwała. Chciała powiedzieć: "na drogę?"

- Nic nie dała! Mania! Co robić?! Boże mój, Boże! U mnie ręce trzęsą się! Żeby ich, tych!...

- Cicho, nie krzycz. Dzieci, precz z izby! Idźcie bawić się.

W tej chwili kura rozgdakała się w sionkach po zniesieniu jajka. Ola zaczęła szlochać wielkim głosem, a łzy spływały jej po twarzy, nie wycierane, tworząc na policzkach mokre smugi. Później obydwie kobiety zaczęły mówić jedna przez drugą, niby to radzić, ale wszystkie rady były właściwie bezradnie. Mania powróciła do wypowiedzianego w pierwszym odruchu zdania i nie

widziała innego wyjścia niż żeby spakować najpotrzebniejsze rzeczy i trochę jedzenia, lecieć do sielsowietu, póki nie za późno, i doręczyć Antoniemu zanim go powiozą do więzienia. Za oknem słychać było śmiechy dziewczynek. Ola machinalnie podeszła do okna i nagle urwała w pół szlochu... Sekundę stała jak wryta, a później krzyknęła: "Wraca!!!"...

Mania doskoczyła do okna, wyglądając ponad jej ramię.

Isiotnie, między sosnami, na wrzosach, rysowała się sylwetka Antoniego, który szedł szybkim, z daleka mogło się zdawać, wesołym krokiem.

- Wraca! Matko Przenajświętsza! ...Ola skoczyła do drzwi, gdy z nagłą decyzją zawróciła, poszukała oczami po ścianie i padła na kolana przed popularną litografią Chrystusa o płonącym sercu, która wisiała w rogu izby. - W imię Ojca i Syna, i Ducha...

- Mama! Tatus wraca!... - wpadła do izby Krysia i zatrzymała się, przenosząc wzrok z matki na święty obraz tak jej dobrze znany, na którym Chrystus z kamiennie łagodnym wyrazem wskazywał na promieniste serce, podobne do zabawki choinkowej. Ciotka ujęła ją delikatnie za łokcie z tyłu i szepnęła:

- A ty by też uklękła i podziękowała Panu Jezusu ...

Rymaszewski zbył kilku słowami pytania kobiet, oświadczył, że wszystko w porządku, spojrzał na swą chatę radosnymi oczyma, jakby mu ją kto podarował na nowo. Pod wieczór przyniósł samogonu i zaprosił Andrzeja Bożka.

Gdy podpili sobie już dobrze, Antoniego opanowała rzewna czułość. W tej chwili chciałby naprawdę coś bezinteresownego zrobić dla Bożka, wygodzić mu, okazać przyjaźń, sam zresztą nie wiedział, jakby nawet po trzeźwemu sformułować podobne uczucie względem bliźniego, gdy się chce komuś koniecznie oddać choćby jakąkolwiek usługę. "Co mu takiego powiedzieć w zaufaniu najszczerzym?..." - Próbował zebrać myśli, ale one leciały szumiącym w głowie strumieniem alkoholu i wszystkie wydały się błahe, splątane... Naturalnie, że Czernodanow miał słuszość, on, Antoni, istotnie dużo wiedział... Wiedział na przykład, że szwagier, mąż Mani, handluje potajemnie świniami i sprzedaje mięso po cenach spekulacyjnych na czarnym rynku... Że starego kłusownika Sosnowskiego, z zaścianku Borowi ki, podejrzewają, że ukrył dubeltówkę, którą posiadał kiedyś... Że Stankiewicz, nie, nie Jan, ale Adam Stankiewicz z Nowosiółek był kiedyś wachmistrzem w żandarmerii, a za meldował, że był kapralem w ułanach... Że... I nagle, jak to bywa po pijanemu, niespodziewanie dla siebie samego, przechylił się przez stół j głośnym szeptem, którego nie mógł opanować, zaczął zwierzać Bożkowi, że Paweł i Weronika... Weronika, żona Rojkiewicza...

Ola, która usługiwała przy stole, odezwała się z udaną naganą w głosie:

- Ot, też, mężczyźni! Babskimi plotkami zajmują się... - W rzeczywistości jednak rada była, że mąż nie po rusza poważniejszych tematów.

Ale Bożek był już kompletnie pijany. Mełł jakieś słowa bez związku, zrobił ruch ręką w kierunku Oli i na jej uwagę odpowiedział bez sensu:

- Tttty... Ola, nie bój się... My wszystkich, mówią! - trzasnął pięścią w stół. - I Weronika, i nie-Weronika, i wszystkich... Ty zobaczysz jeszcze... - A że był jeszcze młody i nie bardzo zwyczajny takiej ilości samogonu, po zieleniał na twarzy, chwiejnym krokiem trzymając się ściany wyszedł na ganek i ciężko, chorobliwie rzygał na schodki i na końce swoich butów.

VII

Marta, żona Pawła, nie była zazdrosna. Inne kobiety miewały o to do niej nawet pretensje, zupełnie jakby tu chodziło o wyłamanie się z przyrodzonej solidarności. Niektóre czuły się prawie urażone: "Cóż ona sobie myśli!..", powiadały o Marcie, być może podejrzewając ją w głębi ducha o chęć wywyższenia się w ten szczególny sposób po nad inne. Paweł w miarę możliwości korzystał z tej

niewątpliwej zalety swojej żony. Teraz jednak rosnące wciąż kłopoty materialne, ostatnio zwłaszcza brak zarobków po ukończeniu robót sezonowych, niepewność jutra, wszystko to razem wytwarzało atmosferę nie sprzyjającą wszelkiemu romantyzmowi rzeczy, a tym samym nieprzychylną dla kobiety nawet tak ładnej, jak Weronika.

Nieustannie krążyły wieści o dokonywanych aresztowaniach - zarówno w mieście, jak na wsi, i nikt prawie nie spał spokojnie w nocy. W domu Pawła boczne drzwi nie były teraz zamykane, zawsze gotowe, by nimi uciekać chyłkiem do ogrodu, przez płot i w las. Nocą budziły ich widma: na przeciwległej od okna ścianie pojawiały się nagle i drżały cienie pelargonii rosnących w doniczkach na para pecie; szły w górę, sięgały sufitu koło pieca, a z nimi razem posuwał się krzyż witryny okiennej, oświetlanej od zewnątrz, jeszcze z bardzo daleka, reflektorami jadącego po szosie samochodu. Zazwyczaj te cienie, padające na ścianę, budziły wcześniej zanim jeszcze pies zdążył zaszczekać na podwórku, taką już wyrobili w sobie instynktowną czujność. Paweł i Marla zrywali się z łóżek, podchodzili do okna i mimo woli trzymając się za ręce patrzyli bez słowa na migające w oddali latarnie, na idące od nich w niebo słupy jasności, które od wiadomego wzgórka spadały raptownie w korony drzew i poprzez bezlistną już prawie płataninę brzoź

i klonów, dzielących dom od szosy, świeciły prosto w twarz. Jeżeli światła nikły raptem na zakręcie, szli spać. Jeżeli zbliżały się, rosły, kłuły w oczy, a później mignawszy poprzez podwórko, kładły się wydłużoną wstęgą na drogę za płotem, ręce ich ścisnęły się bezwiednie i kurczowo: wypatrywali, czy auto zwolni biegu, czy nie zazgrzytają hamulce. Ale auta miały ich dom.

Ach, Weronika, Weronika! Nie były to noce dla niej przydatne. - Sen wracał dopiero nad ranem. Pies, wygłodniały, długo musiał poszczekiwać, zanim Marta ukazywała się na ganku. Pod kredensem gryzła sobie spokojnie mysz. Dzień wstawał niewyspany, niebo kłębiło się chmurami, podobnymi do bezładnej, zużytej pościeli.

Weronika nabrała zwyczaju przychodzenia pod różnymi pretekstami gospodarskiej natury, których w sąsiedztwie wiejskim nigdy nic mogło brakować. Jej oczy trzepotały zawsze trochę niepewnie pod rzęsami, gdy rozmawiała z Martą, ale zdawało się jej, że zachowuje pozory dostatecznie ukrywając własną przebiegłość. Dopiero przesadna, jak jej się zdawało, obojętność, a czasem ledwo dostrzegalna ironia w obejściu Marty wprawiały ją w zakłopotanie. Nie mogła oczywiście słyszeć, jak Marta mówiła do męża: Zobacz tam, czego ta "twoja" Weronika znowu chce?" Nie mniej jednak instynktownie wyczuwała lekceważenie ze strony prawowitej żony, gdy ta zostawiała ją sam na sam z Pawłem, nie przerywając sobie jakiejś pilnej własnej roboty. Drażniło Weronikę i to, że sama nie potrafi się znaleźć tak, jakby chciała czy układała w duchu, ani też zachować równie idealnej obojętności w ruchach i słowach. Miała wrażenie, że sytuacja się czemuś rozłazi, jak ten przetarty materiał pod palcami.

Nie Marta, a. przeciwnie, Weronika stawiała się coraz bardziej zazdrosna.

Ktoregoś dnia, gdy szła z Pawłem ścieżką przez las, nie wytrzymała:

- Co ona taka... Odstępuje ciebie dla mnie czy co? Taka dumna czy jak?! - W zielonkawych oczach zamigotała złość.

Paweł nie umiał, a, po prawdzie, to i nie chciało mu się nawet odpowiadać. W duchu przyznawał rację Marcie, że czasy istotnie nie były właściwe do tego rodzaju dodatkowych powikłań. Stawał się też z. każdym dniem coraz bardziej rozdrażniony w obejściu i wyrażnie, jak się Weronice zdawało, szukał pretekstu, aby unikać z nią częstszych spot-kań. Szedł w milczeniu i dopiero po dłuższej chwili mruknął:

- Nie wiem, czego ty chcesz. Wolałabyś, żeby co?

- Ja nie chcę żadnego podarunku. Paweł uśmiechnął się szczerze.

- A po drugie... - podjęła i urwała nagle. U wylotu ścieżki widniały już białe ramiona krzyża, postawionego tam

przed kilku laty na pamiątkę jakiegoś człowieka, który zmarł w drodze.

- Co "po drugie"? - spytał z roztargnieniem. Zrobili jeszcze kilkanaście kroków- milcząc.

- Nic... Tak tylko sobie pomyślałam - odpowiedziała, łagodniejąc nagle. A później szepnęła. - Co będzie dalej?

Ba, żeby to on wiedział, co będzie dalej. Żeby to on mógł wiedzieć, co będzie dalej.

Weronika spojrzała z ukosa, pytająco, a jemu się zdawało przez mgnienie oka, że ułowił w jej wyrazie twarzy to samo naiwne zaufanie, którym go obdarzyła wtedy na dworcu kolejowym. Szedł dalej milcząc, ze spuszczoną głową. Zbliżali się do krzyża, przy którym mieli się rozstać. Chciałby już być przy nim, żeby zostać wreszcie sam. Weronika niby bezwiednie zwalniała kroku. Później zatrzymała się i poprawiała pończochę, umocowaną nie podwiązką, a po chłopsku tasiemką pod kolanem. Paweł zerwał kiść sosny, patrzył na nogę w grubej pończosze i żuł w zębach gorycz igieł.

- To kiedy teraz? - spytała strącając w dół spódnicę i ruszając dalej.

Wzruszył ramionami: - Nie wiem.

Doszli do krzyża. Spuściła oczy, powiedziała "do widzenia" i poszła.

Wincenty Rojkiewicz wrócił wcześniej do domu, niż był zapowiedział, i spotkał żonę ponurym spojrzeniem. "A niech będzie, co chce" - pomyślała Weronika, wyczytawszy zły wyraz jego twarzy.

- Gdzie ty badziała się? - spytał.

- Badziała się. No!

Przez moment zawahał się, ale hamując wybuch powiedział spokojnie:

- Werka, ja tobie sto razy mówiłem, żebyś tam... do nich nie chodziła.

"Naplotkowali już czy domyśla się?" - przemknęło Weronice i odpowiedziała bez zastanowienia:

- Chodziłam pożyczyc przetaku.

- Przetaku! Ja tobie kupię trzy, jak chcesz!

"Ot, głupi", pomyślała, "nawet nie sprawdzi, że nasz prawie nowy", ale odparła: ...

- Gdzie dzisiajszym czasem można co kupić!...

Rojkiewicz wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, i za chwilę znów powrócił. - Co ty! To ty nie słyszałaś, że oni są pod uczotem! Dziecko ty, tak?! Nie wiesz, jakie teraz czasy?! Chcesz nieszczęścia na dom sprowadzić! Mało jeszcze... - I sam sobie przerywając, już zmienionym tonem powiedział:

- Przed godziną Jana aresztowali.

- Którego?!

- "Którego?!... Jana, męża Mani.

- Za co?!

Zdjął kozuch i powiesił na gwoździu. - Za to, że świnię kupił w Nowosiólkach i sprzedał w mieście.

- To co, to nie wolno? - zapytała Weronika ze szczerym zdziwieniem, zapominając o kłótni. - Nie wolno już handlować?

Rojkiewicz nie odpowiedział i znowu wyszedł, trzaskając drzwiami. Spojrzała za nim w okno, jak wziął wiadro, szedł do studni, zaczął o łańcuch i odkręcał korbę. "Konia poszedł napoić", westchnęła dla czegoś z rezygnacją i odwróciła się do codziennych sprzętów izby, obrzucając je bezradosnym wzrokiem.

*) Ucziot (ros.) - ewidencja. W tym znaczeniu: pod obserwacją dyskretną ze strony NKGB.

Są rzeczy, o których się po prostu wie, że istnieją, które stanowią fakt oczywisty, a do których nie podobna się przyzwyczaić tylko dlatego, że jedynie z trudem dają się wyobrazić. Podobnie Paweł, ilekroć przypominał sobie, że Karol w tej chwili wyklada "Zasady leninizmu i stalinizmu", nie mógł się z tą myślą uporać. Przymykał oczy, usiłował wywołać w sobie obraz przyjaciela na katedrze czerwonego uniwersytetu, zestawiając go z poprzednimi jego słowami, z jego odruchami, które znał tak dobrze, dowcipami... Nie, nie klapowało. Jak to mogło się stać? Zastanawiał się, czy trudność nie pochodzi w gruncie z lenistwa myśli, z braku dostatecznej jej żywości? Po prostu może wszystko rozstrzyga czas, potrzebna ilość czasu, i czy rzeczy, tak zwane popularnie niepojętymi, nie wydają się takimi dlatego jedynie, że następują zbyt raptownie? Może za rok, dwa, trzy wydałyby się naturalnymi?

Rozstawszy się z Weroniką wrócił do domu i zasiadł beczynnym w swoim pokoju. Na półce stały stare jego książki, traktujące o jakichś sprawach, dziś nieistotnych. Za oknem rozrósł się krzak bzu i o tej porze zwieszały się zeń kiście nasion. Czerwonobrzuchy gil przyleciał, usiadł tuż za szybą i łuskał te nasiona. - "Przecież jednak życie idzie trybem normalnym..." - myślał zapatrzonego w ptaka. "Ptaki to są ładne stworzenia, ładne, ładne, ładne".

Marta krzyknęła z drugiego pokoju: - Ja wychodzę na chwilę!

Ocknął się. Było mu wstyd, że tak siedzi beczynnym. Usłyszał, jak w kuchni stuknęły drzwi. Poszła zapewne do sąsiadek wymienić coś z rzeczy na produkty. Żyli już od pewnego czasu w ten sposób, a głównie za żonine sukienki, których się wyzbywała. Roboty sezonowe się skończyły. Tak dłużej trwać nie może i nie można dłużej siedzieć z założonymi rękami! Trzeba coś postanowić.

Przyciągnął bezmyślnie leżący na stole podręcznik pszczelniczy, który był kupił dwa miesiące temu, myśląc, że może postawi w ogrodzie ule. Rzucił wzrokiem na pierwsze zdanie: "Zawdzięczając genialnemu Stalinowi, przemysł pszczelniczy..." - "Nie ma co, wszyscy w tej samej sytuacji, nie ja jeden" - pomyślał, wstał i przeszedł się po pokoju. - „A Karol znalazł wyjście. Tak, Karol, i to bardziej zagrożony od innych. I protektora sobie, powiadają, znalazł wpływowego. Mój Boże: "A jak inaczej?", wyraził się ów kulawy robotnik..."

Chodził coraz szybciej po pokoju tam i z powrotem. "Trzeba zaraz coś rozstrzygnąć, coś postanowić. Ani godziny dłużej!" Spojrzał na zegarek: jeszcze zdąży na południowy pociąg podmiejski... W tej chwili uprzytomnił sobie, że już kilkakrotnie jeździł z podobnym postanowieniem do miasta, żeby, jak mawiał, "rozpatrzyć się i o coś zaczepić", a za każdym razem bez skutku. W raptownej zaś decyzji ruchu, którą powziął w tej chwili, nie ma nie tylko żadnego konkretnego planu, ale brak mu nawet jasności myśli, jakby jej w ogóle unikał? Czy nie dlatego chodzi tak szybko po pokoju, że gna go obawa, żeby właśnie myśli nie doprowadzić do logicznego końca? - "Zaraz, zaraz" - zatrzymał się pośrodku - "nie wolno dać się zapeszyć samoanalizie. Trzeba się zaczepić o jakąś praktyczną burtę, brać rzeczy jakimi są. O, właśnie, jakimi są! Wcale nie ucieka od decyzji, tylko po prostu ją odkłada. Odkłada do..." - Znowu spojrzał na zegarek. - "Trzeba się spieszyć na pociąg!"

- Jednym słowem - powiedział głośno do samego siebie - zobaczę jeszcze. Tak, to jest właściwa formuła: zobaczę...

Przeliczył pieniądze, jakie miał w kieszeni, było ich mało. Może wypadnie mu, sądził, przesiedzieć w mieście nieco dłużej, przenocować itd. Musi mieć trochę pieniędzy, aby nie być zbyt skrupowanym w ruchach. Obrzucił mimo woli wzrokiem pokój i nagle przypomniał sobie, że w szafie, ukryta za parasolami, stała stara szabla, karabela, którą zdjął z jej honorowego miejsca nad kanapą. Nie była zbyt cenna, pochodziła z końca XVIII wieku, na co wskazywał strój ulana, wykutego w srebrze na rękojeści. Pochwa wysadzona była również srebrem małoprocentowym. Sprzeda ją, postanowił, do nowego muzeum. Wyciągnął szybko z szafy, dlatego z uczuciem, jakby kradł cudzy klejnot rodzinny. Prędko, nie patrząc nawet na szablę, którą tak lubił opakował ją w starą gazetę; był to akurat ten sam numer "Litieraturnoj Gaziety", którą przywiózł kiedyś Karol. Napisał pośpiesznie kartkę do żony zostawiając ją na widocznym miejscu i wybiegł z domu.

Okres, w którym liście opadają w tym kraju z drzew, łączy się zazwyczaj z okresem wiatrów. Gdy idzie się z wiatrem, liście biegną z tyłu; gdy się wychodzi, odchodzi z domu, są one jak wierne pieski, które toczą się po ziemi, odprowadzając kawałek drogi na ostatnie pożegnanie, czy też jak oswojone ptaszki, pisklęta rude, żółte, brązowe, śmiesznie i niezgrabnie podskakując wydłużanym stadem i czepiające się cholew albo nogawic spodni. Wiatr zadmie, i w swoim dziecinnym ferworze liście jesienne robią minę, jakby nigdy nie miały zamiaru opuścić podróznego, a owszem toczyć się za nim aż na kraj świata, a nawet zawadiacko wyprzedzają go na ścieżce. Zwłaszcza liście klonowe na swych pogiętych nóżkach okręcają się młynkiem i wyczyniają tyle szmeru, że ścieżka wydaje się być żywą. Wierzyć im jednak nie można. Cała hałastra zatrzyma się nagle i układa w błocie na płask.

Ale raptowny, jesienny wiatr przeskakuje na lewo. Paweł, nastawiając od tej strony kołnierz palta, nie mógł się oprzeć wewnętrznemu uśmiechowi, gdy widział, że liście, które go zoczyły z tamtej strony drogi, zrywają się i pędzą w ukos poprzez koleiny, doganiając go wyciągniętą kolumną, zawsze z jakimś większym liściem jak oficerem na przodzie, tylko po to, by powiedzieć: do widzenia.

Wszystko to są jednak czułości na niby. Ileż to razy w życiu podnosił Paweł jakiś wyjątkowo piękny liść, w pierwszym odruchu postanawiając przechować go na pamiątkę, a nigdy do tego nie doszło. Po prostu pokręcił go za łodyżkę i rzucił. A ktoś, kto siedł z tyłu nadeptał albo i kołem przejechał. Bo to się tylko mówi o wzajemnej miłości między człowiekiem i krajobrazem, a w gruncie bujda to wszystko! I cóż to może być za miłość pomiędzy na przykład Pawłem i liściem? Fiuu! Wiatr jesienny i tyle; chmury nad drzewami i drzewa, które można mieć w słusznym podejrzeniu, że szumią tak samo wrogowi jak swemu. Cierpki zapach grzybów, kory, wilgotnego mchu; mgiełka nad rojstem i całe szczęście, że deszcz nie pada.

I znowu liście biegną z tyłu.

VIII

Z nastaniem jesieni portretom Stalina w witrynach sklepowych przestały wreszcie dokuczać muchy. Miasto przybrało wygląd jeszcze bardziej szaro-czerwono-szary. Wszyscy mieszkańcy wpadli na ten sam pomysł, aby się sztucznie przybiednić. Kobiety zamiast kapeluszy włożyły chustki na głowę, mężczyźni zaś czapki. Każdy wdział ubranie możliwie najstarsze i podniszczone. Do jesieni pasowały palta koloru nijakiego, spod których wystawały spodnie niezaprasowane, również koloru nijakiego. Z drugiej jednak strony unikano Wyróżniania się szczególną biednością. Przeciwnie, chodziło o to właśnie, aby się jak najmniej wyróżniać, zlać z otoczeniem możliwie najidealniej, przystosować do tłą. W ten sposób w państwach kapitalistycznych usiłują zlewać się niewidocznie z tłumem ulicy szpicle policyjni i konfidenti. Po wkroczeniu armii czerwonej sztuka rozpyływania się w szarości dnia stała się od razu udziałem wszystkich; nie musiała być zatem trudna, skoro ulica od pierwszych dni przybrała wygląd, jakby szły nią wyłącznie tłumy konfidentów.

Ludzie sowieccy, wkraczający do miasta, spotykali obraz znany im z domu. W większości zatem zaskoczeni bywali nic dobrobytem, panującym poza granicami Związku, a raczej faktem, że w państwach kapitalistycznych wyglądało nie gorzej, a mniej więcej podobnie jak w ojczyźnie mas pracujących, choć propaganda twierdziła co innego. Nie wszyscy jednak byli tego samego zdania.

Starszy lejtenant NKGB Michał Zajcew, napisał do swego brata list, w czarnych kolorach malując sytuację, jaką zastał. Przybył on z pierwszymi oddziałami i zatrzymał się w trzeciorzędym hotelu, nazwanym dla czegoś przez właściciela "Italia". Hotel położony był w dawnej dzielnicy handlowej. Właściciel przezornie schował całą pościel, pokoje nie były sprzątane od kilku dni, służba, poza jedynym portierem, rozbiegła się. Nadomiar złego nastąpiło krótkie śpięcie, a mechanika w ogólnym rozprężeniu nie dało się odszukać. Stary portier przyniósł do numeru świecę wetkniętą w butelkę po piwie i żeby udobruchać gościa, zapytał, czy nie sprowadzić mu "dziewczynek"?

Zajcew, który dotychczas nie stykał się z jawną prostytutką, za której uprawianie idzie się w Sowietach do łagrów, w pierwszej chwili nie zrozumiał, a później poczerwieniał i odrzucił propozycję z oburzeniem. Portier widział w swoim długim życiu nieskończoną ilość różnych gości, więc się nie dziwił i życzył mu dobrej nocy.

Nazajutrz Zajcew, nie mogąc dostać szklanki gorącej herbaty, wyjął z podróżnej torby papier listowy i napisał list do Moskwy.

"Drogi Kola, słyszałem i czytałem dotychczas dużo, ale nigdy nie przypuszczałem, iż świat kapitalistyczny do tego stopnia tonie w nędzy i brudzie. I to podwójnym: fizycznym i moralnym... Nigdzie tu poza tym nie ma ani stołówek, ani kooperatyw... Wyobraź sobie, że już pierwszego wieczoru zaproponowano mi kobiety, które tu z nędzy i głodu zmuszone były sprzedawać swoje ciało... Ulice niesprzątane... Tłumy ludzi wiwatują oczywiście, ciesząc się z wyzwolenia..."

Schodząc po schodach z zapieczętowanym listem, poklepał po ramieniu starego portiera w halu:

- Nu, co? Cieszyście się?

- Naturalnie. Jakżeby inaczej? - Odparł tamten bez uśmiechu. - Cieszymy się. Bardzo nawet.

Zajcew spojrzał mu w oczy i nagle zwątpił w jego słowa. "Stary chrzan!", pomyślał. "Takich się nic przerobi".

Od tamtego dnia minęło pół roku. Paweł, przechodząc do muzeum obok kościoła św. Kazimierza, minął Zajcewa, którego wówczas jeszcze nie znał. Zajcew stał w towarzystwie dwóch oficerów sowieckich i przyglądał się barokowej architekturze świątyni; ziewał, przesłaniając ręką usta. Muzeum mieściło się naprzeciw.

Zajmowało ono duży gmach pośrodku placu. Było pierwszym ośrodkiem, mającym skupić siły naukowe kraju, rozproszone wskutek zamknięcia uczelni i innych organizacji tego typu. Paweł nie spodziewał się nawet, iż spotka w muzeum tylu znajomych. Pracowało w nim kilku profesorów uniwersytetu i gimnazjów, kilku luźnych naukowców i miłośników-dyletantów spośród elity intelektualnej miasta wszystkich zamieszkujących je narodowości. Poszedł szerokimi schodami na piętro. Na klatce schodowej b. profesor uniwersytetu po profesorsku, niezgrabnie, pomagał woźnemu w przesunięciu jakiejś skrzyni. Paweł minął go nie zatrzymując się i wszedł do jednej z sal. Kazano mu czekać, gdyż dyrektor muzeum, jedyny autentyczny naukowiec sowiecki, rozmawiał właśnie z Moskwą przez telefon ze swego gabinetu.

Któryś z byłych nauczycieli uśmiechnął się podając Pawłowi rękę:

- Jedyna przyzwoita praca - szepnął nachylając się konfidencko. - Konserwacja tego, co było, nie?

- Zupełnie jak u Romanowa.

- Jakiego Romanowa? - spytał szybko, zaskoczony brzmieniem nazwiska cesarskiego.

- Pantelejmona.

- Co to za jeden?

- Pisarz sowiecki. Nie czytał pan jego książki "Trzy pary jedwabnych pończoch"?

- Nie.

- Charakteryzuje w niej inteligencję rosyjską w pierwszych latach po rewolucji w Moskwie. Właśnie tak samo skupiała się i właśnie w muzeum... Nawet pod takim samym hasłem konserwacji przeszłości. Identycznie. Jak to się jednak wszystko powtarza... - zakończył gorzko. Były nauczyciel uśmiechnął się z przymusem i odszedł.

Po upływie pół godziny Paweł zdecydował się zapukać nieśmiało do drzwi kancelarii.

- Tsss... - wyskoczył z niej ten sam były nauczyciel gimnazjalny. - Dyrektor rozmawia z Kownem.

- Mówił pan, że z Moskwą.
- Proszę pana - odciął tamten cierpko - czego pan sobie właściwie u nas życzy?
- Już wspomniałem. Chciałbym sprzedać starożytną szablę.
- Nie kupujemy. - Zawrócił na pięcie i zaniknął za sobą drzwi do kancelarii.

Paweł wyszedł na plac nawprost pomnika Lenina i Stalina. Pod cokołem stała młoda para. Dziewczyna trzymała za rękę swego przyjaciela i patrzyła mu w twarz z rozkochaniem. W jej oczach szkło się odbicie nieba. Wypogodziło się. Nad połączoną kopułą kościoła na tle błękitu krążyło stadko białych gołębi. Paweł, zły na siebie za jałową stratę czasu, teraz przyspieszył kroku. Postanowił zająć do Konrada, byłego adwokata, o którym krążyły słuchy, że ma jakieś rozległe ni to możliwości, ni to stosunki. Paweł znał go z dawnych czasów jako człowieka uczynnego. O jakie to stosunki w tej chwili mogło chodzić, nie miał pojęcia. W każdym razie chciał się z nim zobaczyć. W domu go jednak nie zastał. Powiedziano mu, że wykłada na kursach wieczorowych.

- Wykłada? Co? - zdziwił się Paweł.
- Fizykę.

Paweł udał się pod wskazanym adresem. Nie było stąd daleko. Konrad miał w szkole własny pokój, coś pośredniego pomiędzy gabinetem fizycznym a gabinetem prywatnym.

- Jak się masz! - wyciągnął dłoń na powitanie.
- Nigdy nie wiedziałem, że jesteś fizykiem - odpowie dział Paweł.
- A tak. To było zawsze moje, jak powiadają Anglicy, hobby. Teraz się przydało.
- Gdy prawo nie ma zastosowania?
- Gdy prawo nie ma zastosowania.

Paweł nie rozwodząc się długo, wyluszczył z czym przychodzi, że mianowicie chce, raczej, że musi koniecznie coś znaleźć, jakąś pracę, bo inaczej... rozłożył ręce bezradnie. - Mówiono mi - zakończył nieśmiało - że ty podobno... że masz jakieś sposoby, no, możliwości...

- Bzdury ci ktoś prawił. Zresztą, mniejsza - odparł Konrad, przybierając poważny wyraz twarzy. Pomyślał chwilę. - No, a w prasie?... -- przeciągnął trochę niepewnym głosem, ale ułowiwszy przelotnie wzrok Pawła, poprawił się z namaszczeniem w krzesło. - Choć oczywiście, ja rozumiem, to nie jest w tej chwili odpowiednie. Tak, tak.

- Wolałbym - wtrącił Paweł- coś takiego, no, aby nie musieć...
- Tak, tak, ja oczywiście rozumiem. Ja na przykład osobiście wykładam w dziedzinie zupełnie neutralnej. Fizyka. Poczekaj, więc cóż by tu tobie pomóc, poradzić ...Hm.

- Towarzyszu Konradzie! - zawołała nagle, uchylając drzwi bez pukania, jakaś dama. - Dziś godzina konstytucji stalinowskiej została przesunięta. Więc czyby towarzysz nie zgodził się swą fizykę... - Konrad nie dał jej dokończyć; zerwał się z krzesła i pobiegł do drzwi tym specjalnym truchcikiem starszych panów, w którym obydwie nogi wybiegają ja koś naprzód w zgiętych kolanach, a bardziej ociężały zadek jakby fruwa z tyłu w powietrzu.

- Naturalnie, naturalnie, towarzyszeko dyrektorko. Bardzo chętnie.
- Poza tym podjęła dama - chciałabym was prosić, czy byście nie poprowadzili piątej klasy w niedzielę na odczyt... - Paweł nie dosłyszał, na czyj odczyt, gdyż Konrad uczynił brzuchem ruch ku przodowi, dyrektorka się wycofała, a on zamknął za sobą drzwi, i sądząc po krokach poszli wolno korytarzem.

Pozostawszy sam, Paweł rozglądał się po gabinecie. Nad szafą z przyborami fizycznymi wisiał portret Stalina. Obok stołu, półki z książkami naukowymi. Na stole leżał tom w zielonej oprawie. Sięgnął poń ręką i jał przerzucać kartki. Było to najświeższe wydanie "Słownika politycznego".

Litera A

.....

AGENT. - Agentura szpiegowska państw kapitalistycznych. W zakres jej działalności wchodzi tajny sabotaż przeciwko SSSR...

.....

AGONIA. - W przenośni mówi się o agonii państw kapitalistycznych...

.....

ASCETYZM. - Odwraca uwagę mas pracujących od walki o lepsze jutro, osiągnięte przez partię Lenina-Stalina...

Litera B

.....

BANDYTYZM. - Zbrojny napad na SSSR...

Litera W

.....

WATYKAN. - Agentura i ostoja międzynarodowej re akcji, szaleństwa i nienawiści. Dysponuje ogromnymi środkami szpiegostwa i propagandy...

.....

WROGOWIE LUDU. - Trockistowsko-bucharinowscy agenci obcych wywiadów, którzy...

Wrócił Konrad, przepraszając za przerwę, westchnął, dając tym do zrozumienia, jak przykre ma teraz obowiązki, jednocześnie jednak zerknął spod oka podejrzliwie i nawet z pewnym rozdrażnieniem na Pawła, widocznie mając mu za złe, że był mimowolnym świadkiem rozmowy w drzwiach. Paweł dla odwrócenia jego uwagi powiedział odkładając książkę:

- Boże, cóż to za głupia katarynka.

- Co? Ach, słownik polityczny. Taaak. - Uśmiechnął się kwaśno. - Straszna bzdura. Z drugiej jednak strony - zaczął poważniejąc - nie wolno widzieć wszystkiego wy łącznie od strony negacji i kpín. Ostatecznie to oni nas zwyciężyli, a nie my ich.

- Nie zwyciężyli, bo nikt się nawet nie bronił. Zadali cios w plecy...

- Wszystko jedno, wszystko jedno. Albo raczej: tym bardziej. Takie słowa, jak "zdradziecko", "cios w plecy" itp. to są wszystko dziecinne frazesy, mój drogi. W polityce realnej się nie liczą. Liczą się tylko fakty i siła. Dość nasłuchaliśmy się bajek o "kolosie na glinianych nogach". Okazało się, że glina wcale mocna. Jedno państwo za drugim rozpada się w drzazgi, a oni jakoś... przeciwnie. Zupełnie przeciw nie. - Wziął ze stołu okulary, których używał do czytania i począł je przecierać nerwowo, za czym ciągnął z wzrastają cym rozdrażnieniem. - Dość, dość, mój drogi, tej wiecznej donkiszoterii. Trzeba się wreszcie nauczyć myśleć trochę realniej i brać rzeczy istotne pod uwagę, a nie ciągle spoglądać przez różowe szkła romantyzmu. - Podniósł okulary pod światło. - My zwłaszcza jesteśmy narodem nieuleczalnie chorym na najstraszliwszą chorobę, bo samobójstwa. Tak też o nas inni sądzą, i dlatego lekceważą. Raz skończyć z ty mi szarżami kawaleryjskimi, z przelewami krwi pour le roi de Prusse, z tym porywaniem się z motyką na słońce.

Paweł mimo woli wtrącił nietaktownie:

- Czyżbyś miał na myśli "słońce konstytucji stali nowskiej"...

- Cóż to znowu za dowcip? To może ma być złośliwość pod moim adresem? Toś źle trafił, mój kochany, bo właśnie ja...

- Ależ, Konradzie, skądże znowu. Co ci do głowy przychodzi! Nie rozumiesz się na żartach czy co? Nie pojmuję twego rozdrażnienia.

- Nie, bo widzisz - odrzekł pojednawczo - czasy nie są dla żartów stworzone. My nic, tylko wiecznie... jak ten Hotentot z nożem w zębach. Trzeba się oduczyć tych gestów, niepotrzebnych ofiar itd. Mówię - a mówię to, jak się domyślasz, nie tylko w swoim imieniu, ale... - Tu odchrząknął i zrobił minę, jaką czynili kiedyś starostowie, zasiadający do przewodniczenia radzie powiatowej. - Ale mówię w imieniu - zniżył głos poufnie - czynników mających szerszy horyzont niż my tu, dwaj. Żadnych wystąpień, żadnych ekscesów...

- Zdaje się, że nie zachodzi tego obawa. Raczej przeciwnie. Wszyscy niestety...

- Właśnie, że nie "niestety", mój drogi, a "chwała Bogu!" Naszym zadaniem zachować substancję narodową, stan posiadania, utrzymać się samym. Nawet położyć uszy po sobie, mówiąc ordynarnie. To może nie jest przyjemne, ale...

- Wygodne - wtrącił Paweł.

- Ale konieczne, konieczne! - dokończył Konrad, hamując ponownie wybuch rozdrażnienia. Spojrzał na zegarek.

Paweł przesunął wzrokiem po ścianach obitych w zielonawe tapety i przypomniała mu się nagle zielona sukienka Marty, którą wymieniła onegdaj na kawałek słoniny. "Czas, czas! Szkoda czasu", pomyślał. Ale Konrad chciał zakończyć swą przemowę jeszcze jednym argumentem:

- Zresztą, nie trzeba zapominać, jeżeli już wychodzimy z założeń politycznych, że już raz, i to przez sto lat, byliśmy opanowani przez Rosję i wyszliśmy z tego cało.

- Ty myślisz, że dziś to jest ta sama Rosja?

- Identyczna.

Paweł nie odpowiedział i dopiero po chwili milczenia, która nastąpiła, odezwał się:

- Właśnie chciałem cię prosić, żebyś dopomógł mi, jak to się wyraziłeś, do "położenia uszu po sobie"... ("Eh", pomyślał jednocześnie, "niepotrzebnie tych słów użyłem").

- Tak, słusznie, no, akurat zastanawiam się... - I Konrad, nie przestając bawić się okularami lewą ręką, prawą przerzucił przez poręcz, rozsiadł się wygodniej, powiódł roztargnionym wzrokiem i zapytał: - Co to jest? Co ty masz w tym opakowaniu? Parasol?

- Nie, nie parasol. To jest szabla.

- Co takiego?!! - Zerwał się z krzesła na równe nogi. - Szabla?! Coś ty zwariował z szablą chodzić po mieście?!! Przecież...

Paweł przerwał mu i zaczął tłumaczyć, iż jest to zabytek muzealny, stara karabela wysadzana srebrem, ale Konrad nie dał mu dokończyć!

- Srebrem czy nie srebrem! Co to ma do rzeczy! Kto dziś będzie o to pytał, kiedy ona została zrobiona: sto lat temu czy cztery! Ja nie rozumiem ludzi, takiego pokroju, jak ty! Wszystko sobie lekceważą, wszelkie przepisy, rozporządzenia. Przecież wyraźnie ogłoszono we wszystkich językach krajowych: zdać całą broń palną i sieczną. I sieczną, i sieczną! - powtarzał. - Bo inaczej grozi surowa kara. Aha, nawet w rubryce siecznej wymieniono specjalnie: szable. Więc jak ty możesz narażać siebie, no i ostatecznie innych... Przychodzić tu, do mnie, w biały dzień... A gdyby tak nagle rewizja! Nie!!!!... - I aż zakręcił się z oburzenia na miejscu. Paweł nie był pewien, czy Konrad nic przesadza w okazywaniu oburzenia, aby tym prędzej go się pozbyć. Wstał nie poruszając już sprawy, dla jakiej przyszedł. Pożegnali się z pewnym zażenowaniem, ale Konrad, opanowując się, już na progu, dorzucił:

Przyjdź więc może za kilka dni. Tylko już bez... - Uśmiechnął się wymuszenie, ale urwał spojrzawszy szybko wzdłuż korytarza.

- Dobrze, dziękuję - odrzekł Paweł bez przekonania, w ostatniej jeszcze chwili spotkawszy przypadkowo wzrok portretu ponad szafą z instrumentami fizycznymi. Jak wiele portretów o zamartwym na ustach uśmiechu, wydawał się uśmiechać ironicznie.

Dochodziła piąta po południu. Mrok już dawno zgęstniał. Paweł nie jadł obiadu. Na ulicy było chłodno i nieprzytulnie wśród rzadkich latarni. Złe samopoczucie fizyczne potęgowała jeszcze świadomość własnej niezaradności, straconego daremnie czasu. Gdy przypominał sobie, że nie ma pieniędzy, nie umiał po prostu zahamować wzrastającego w nim przygnębienia na myśl, że mógłby powrócić do domu znowu z pustymi rękami. Postanowił pożyczyć u kogoś ze znajomych, przede wszystkim jednak na razie pozostawić gdzieś szablę na przechowanie do jutra, zanim rozejrzy się za nową możliwością jej sprzedaży. Niewygodna była w noszeniu, ręce mu marzły, opakowanie zaczęło się przecierać i z boku wyłaziły już końce srebrnego krzyża główni. - "W każdym razie nie wieżę mnie jej z powrotem na wieś!", pomyślał.

Zaszedł do najbliższej mieszkających znajomych, jakich sobie przypominał, ale ci odmówili stanowczo: „Nie możemy się narażać!”. W pierwszej chwili Paweł zatrzymał się na progu zdumiony, ale zamiast się roześmiać z ich obaw, zrobił uprzejmie nieśmiałą minę, co jeszcze bardziej spotęgowało stanowczość odmowy. Na stole stała właśnie herbata nalana do szklanek i stygła. Paweł wycofał się tyłem, za czepił szablą o uszak drzwi, powiedział "przepraszam" i znalazł się na ulicy. Pierwotnie zamierzał opowiadanie o śmiesznym zachowaniu Konrada użyć jako dowcipne zagajenie prośby, ale teraz porzucił tę myśl.

Zaszedł do znajomej wdowy po oficerze, zamieszkałej w sąsiedztwie.

- Ani na jedną godzinę nawet !- odpowiedziała. - Nie może pan chyba wymagać, abym narażała swoje dzieci!

- Tym razem wzruszył tylko ramionami i poszedł dalej. Począł mżyć deszcz.

W ten sposób zaczęło się jedno z najbardziej przedziwnych przeżyć Pawła. Chodził od jednego do drugiego ze swoich znajomych w swoim rodzinnym mieście, upraszając jak o łaskę, by który z nich zechciał pozwolić na pozostawienie u niego na przeciąg jednej nocy starej, historycznej szabli, którą przodkowie tego kraju nosili u boku jako klejnot i oznakę szlachectwa, którą dziedziczyli z ojca na syna i którą bronili ojczyzny przed najazdem wrogów; tak się jednak złożyło, że ludzie, do których właśnie zachodził, odmawiali mu tej łaski. Najgorsze było, że głodny i zziębnięty nie mógł opanować zdenerwowania, argumenty żartobliwe czy przekonywujące dawno mu już wypadły z głowy, chwilami przygnębienie przeradzało się po prostu w uczucie wewnętrznej paniki. Miał teraz twarz zmęczoną, mokrą od deszczu, nos czerwony z zimna, i ten jego wygląd tym bardziej wzbudzał podejrzenie, że chodzi mu o jakąś sprawę niezupełnie czystą. Z drugiej strony owładnął nim zacięty upór, ażeby nie wracać w tym stanie do domu, bez uprzedniego załatwienia czegokolwiek w mieście. Z biegiem godzin postanowienie to przerodziło się nieomal w maniackie pragnienie pozbycia się starej szabli. Gazeta, rozmiękła na deszczu, darła się coraz bardziej. Przechodził z ulicy w ulicę, w niektóre już po raz wtóry. Stawał w cieniu, usiłując przypomnieć sobie adresy innych jeszcze znajomych, gubił je znowu w pamięci, zmarzł w nogi i szedł dalej. W pewnej chwili uświadomił sobie całą śmieszność swej sytuacji: biegania z szablą pod pachą wieczorem w deszcz po mieście... Znowu przystanął, starając przywrócić w sobie równowagę ducha i zastanowić się, w jaki sposób mogło do tej tragikomicznej dla niego sytuacji dojść? "Czasy nie są stworzone dla żartów", przypominał sobie słowa Konrada, a później kolor tapety jego gabinetu i znów, drogą skojarzenia, zieloną sukienkę Marty.

Zachciało mu się palić. Oparł szablę o róg bramy, wyjął papierosy i zapalki. W tej chwili z hałaśliwym szczekaniem wypadł na niego pies. Paweł porwał więc szablę i upuścił zapalki; palce miał trochę skostniałe; pochylił się nad zapalkami i wtedy spod pachy wypadła mu szabla z brząkiem na chodnik. Wyszedł dozorca domu i przyjrzał mu się podejrzliwie. Paweł podniósł szablę i ruszył, aby czym prędzej zniknąć za rogiem.

- Hej! Ty! Co tu chciał, pod bramą! - okrzyknął go dozorca. Paweł przyspieszył kroku. Ale pies,

ośmielony widocznie głosem swego pana, rzucił się za oddalającym z głośnym szczekaniem i dopadł jego nogi. Paweł chciał go odruchowo kopnąć, pies uskoczył i zaczął ujadać jeszcze głośniej. Dozorca podszedł aż do rogu i znowu krzyknął tym razem z groźbą w głosie:

- Ej! Ty tam! Co tam niesiesz pod pachą?! - Paweł przycisnął szablę mocniej łokciem i szedł tak prędko, że prawie biegł. Jakiś przechodzień zatrzymał się na przeciwległym chodniku i obejrzał się za nim. Pies wciąż ujadał z tyłu. Z sąsiedniej, ciemnej bramy wychyliła się baba i zapytała przechodnia: - Złodziej jakiś? - Wtedy Paweł zauważył że inny przechodzień ruszył w skos przez jezdnię jakby mu chciał przeciąć drogę, i nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, pobiegł tak szybko, jak mógł. - Trzymać!! - krzyczał dozorca. - Złodziej! - wrzasnęła baba. Paweł biegł nie oglądając się, porwany wewnętrzną paniką, byle prędzej, byle prędzej. Usłyszał za sobą przenikliwy gwizd. Nie wiedział teraz, czy to serce mu tak bije, puls w skroniach, czy też stukają nogi goniących go ludzi. Skręcił w pierwszą ulicę na prawo. Na szczęście, nie była prawie oświetlona; skręcił w lewo i biegł co sił. "Złoodziej!" usłyszał jeszcze raz wyraźniej i wpadł w bramę przechodnia; to mu przywróciło świadomość, że zna przecie dobrze rodzinne miasto i winien wiedzieć, którędy uciekać. Wybiegł na drugą ulicę nie zauważony. Jakiś samochód ciężarowy turkocząc zagłuszał krzyki. W tej chwili olśniła go myśl, że w kamienicy, którą miał przed sobą, z najbliższej klatki schodowej jest wejście do mieszkania Leona. Wśliznął się do niej, nie zauważony przez nikogo, i poszedł schodami na trzecie piętro. Przyciskał teraz szablę do piersi z całej mocy, aby uciszyć bicie serca i wyrównać oddech. Poprawił czapkę na głowie i zadzwonił.

Leon sam otworzył mu drzwi. Szablę obejrzał z ciekawością. Wydobył nawet z pochwy i złożył się nią jak do fechtunku, później wsadził z powrotem i rzuciwszy na kanapę chętnie zgodził się ją przechować. Pożyczył też Pawłowi trochę pieniędzy. Porozmawiali ze sobą pół godziny, po czym Leon chciał go poczęstować herbatą, ale Paweł odmówił, mając nadzieję zastać jeszcze kogoś o tej porze w kawiarni.

- No, jak chcesz, szkoda.

- Naprawdę, bardzo jestem tobie wdzięczny - powie dział Paweł.

- Ależ nie ma za co. - A po namyśle dodał: - Zresztą, może i ja pójde z tobą. Zagramy sobie partyjkę szachów.

- Świetnie.

Dochodziła ósma wieczór. Na ulicy było po dawnemu pusto i ciemno. Paweł czuł się, jak człowiek, któremu raptem wielki kamień spada z serca. W kawiarni było ciepło, dużo ludzi. Orkiestra grała właśnie modną "Katuszę":

"Rozkwitały jabłonie i gruuusze,

"Wy-chodziiiiła na-brzegi Katiuuusza"...

Paweł zapomniał o swym postanowieniu szukania znajomych, porozmawiania, rozpatrzenia się... Zamiast tego zamówiwszy sobie filiżankę gorącej kawy zasiadł do gry w szachy i beztrąsko się w nią zagłębił. Czuł się prawie szczęśliwy. Na lewo ich stolika opowiadał ktoś wyświechtaną już anegdotę o rzodkiewce: "Wszyscy są jak rzodkiewka, z wierzchu czerwoni, a poskrobać, okazuje się, że pod spodem - biali..." Ha ha ha - słyszał śmiech. Paweł wygrał pierwszą partię. Orkiestra zaintonowała marsz sowiecki: "Jeśli zawtra wojna, jeśli zawtra w pochod..."

Poprzez zatłoczoną kawiarnię przeciskał się w kierunku Pawła reżyser nowopowstałej kameralnej scenki. Stał chwilę przypatrując się grze i zapytał:

- Co pan teraz porabia?

- Nic.

- Ja bym dla pana coś miał.

- Mianowicie? - mruknął Paweł z roztargnieniem, wpatrzony w deskę szachową.

- Wie pan, chodziłoby o to... Żeby z naszych klasyków na przykład... Lub z innych autorów wybierać od powiednie ustępy i przerabiać na małe jednoaktówki. Oczywiście, trzeba by dobierać odpowiedni tekst, to znaczy, jakby to powiedzieć... - oparł się o stół - najbardziej takie lewicowe, czerwone, słowem, odpowiadające duchowi czasu... Pan mnie rozumie?

- Rozumiem - odpowiedział nie zastanawiając się Paweł - ale się nie podejmuję.

Leon pochłonięty całkowicie grą, podchwycił bezmyślnie wypowiedziane słowa i - jak to bywa przy szachach - bębniąc łbem zabranego konia w blat powtarzał machinalnie:

- Rozumiemy, mistrzu, rozumiemy, mistrzuniu rozumiemy dobrze, rozumiemy... szach! Ale niech nam pan teraz nie przeszkadza.

Sytuacja Pawła istotnie była krytyczna. Figura i pionek przewagi na korzyść przeciwnika.

- Spróbuję jeszcze - i posunął wieżę. Partner się zamyślił. Reżyser odszedł bez słowa.

- Czego się właściwie wszyscy boją? - spytał Paweł, czekając na ruch.

- Kto?

- No, wszyscy, mówię.

- Aaa, wszyscy... Szach!

Beznadziejnie. Paweł cofnął króla. Leon wahał się chwilę, wreszcie ujął za głowę lauffra. - A ty się nie boisz?

- Ja? - odchrząknął Paweł i wzruszył ramionami.

- No, więc. Myślę, że lego samego i wszyscy. Szach.

Paweł zasłonił się pionkiem i spytał:

- Gdzie ty właściwie teraz pracujesz?

- Nie! Nic to tobie nie pomoże. Szach! Gdzie pracuję? W biurze statystycznym. Robimy wykazy porównawcze.

- Porównawcze? - Cofnął znowu króla.

- Porównawcze. Tak. Jak kiedyś było źle, a jak teraz jest dobrze. A co na to powiesz? - I zrobił groźny ruch wieżą.

- Nic nie powiem. Poddaję się.

- Gramy jeszcze jedną?

- Nie - odrzekł Paweł - chcę jednak pogadać z reżyserem. - Wstał i podszedł do stolika w końcu sali.

Leon obojętnie zrzucał figurki do pudełka. Za oknami zaczął padać pierwszy śnieg.

Tej nocy aresztowano kilka osób w mieście.

IX

Śnieg padał przez całą noc, a gdy ułożył się już wygodnie na jezdni, chodnikach i dachach, rozparcelował się ciasno, ale solidnie, na gałęziach drzew - zaczął topnieć. Ziemia nie była jeszcze zamrożona i nie dawała mu potrzebnego oparcia. Dozorcy domów wyszli o świcie przed kamienice i milcząc z niewyspania poruszali drewnianymi szuflami przezuwając jeszcze nocne widziadła. Powietrze było zimnowilgotne jak w ostygłej przykro łaźni; powietrze było przeciwstawieniem ciepłego barłogu, w którym jeszcze spały dzieci, jeszcze śniły, zanim jawa nie obudzi je do lepienia kulek z mokrego śniegu. Ale wtedy chodniki będą już za miecione, z

nieprzyjemnym odorem unosić się będzie ciepła mgiełka ze zlewów kanalizacyjnych, a jezdnia pokryje się brudnożółtym śluzem. Tylko na dalekich przedmieściach śnieg biały topniał bardzo wolno. Zbudzone wróble rozmawiały gęsto w gałęziach; pojedyncze sikorki, sprawnie, lustrując sęgi drzewa opałowego, wykrzykiwały swe: "tiń-tiń!".

Wzdłuż ulicy ciągnął po topniejącym śniegu nadmiernie szeroki ślad opon samochodowych. O świcie aresztowano Konrada. Gdy go wyprowadzono do czekającej przed kamienicą małej limuzyny NKGB, z największą przykrością odczuł na zimnie czczość w żołądku, zastała w jamie ustnej ślinę i niesmak rannego papierosa. "Najgorsze jest to" - pomyślał - "że nie mogłem się napić gorącej herbaty". Trzęsło nim. Przesunął palcami po szyi, wyczuł krzywo, po omacku, zawiązany krawat, ale go nie poprawił. Dwóch pi jaków wracało skądś, podtrzymując się wzajemnie i gestykulując.

Synek dozorczy, rozbudzony niezwykłym o tej porze ruchem, usiłował przepchać się do drzwi. Wyglądał śmiesznie z pierzem poduszki w rozczochranych blond włosach.

- A ty czego?! Czego tu nie widział?! - krzyknął nań ojciec. - Poszedł spać! - i zatrzaskał mu przed nosem drzwi.

Szofer poprawił się na siedzeniu i wyrzucił przez okno niedopałek papierosa, który w ciemnosinym poświcie zatoczył półkole i upadł na śnieg, żarząc się przez czas jakiś aż zgasł raptownie. Auto zabuksowało po wilgotnym śniegu i odjechało. Z dala tylne światelko wyglądało, jak tlejący się przed chwilą niedopałek, później znikło.

Dozorca ujął szuflę, opartą o ścianę, i spychał śnieg na jezdnię. Dwóch pijaków szło wciąż ulicą, a naprzeciw nich dwie starsze kobiety w białych chusteczkach, z książkami do nabożeństwa śpieszyły do kościoła na jutrznię. Zaczęły się krzyżować drogi ludzkie.

NKWD i NKGB zajmowało największy w mieście gmach po byłych sądach. Konrad, jako dawny adwokat, znał w tym gmachu na pamięć wszystkie prawie sale, korytarze, biura śledczych, notarialne, sądów grodzkich, okręgowych, apelacyjnych, pokoje i ubikacje. Nie był tu nigdy tylko o takiej porze: na przełomie nocy i dnia. Zaprowadzono go do pokoju nr 217 i posadzono w krzesło. W drzwiach stał żołnierz z bagnetem na karabinie. Konrad musiał długo czekać, za nim zjawił się starszy lejtenant Zajcew.

Zajcew nie reprezentował klasycznego typu ludzi NKWD. Młody, o jasnych włosach z wicherkiem na czubku głowy, z podobnym nieporadnym kosmykiem nad czołem, miał ruchy szybkie, prawie wesołe, twarz szczupłą, a niebieskie oczy biegały żywo pod jasnymi rzęsami.

Ojciec jego, Fieoktist Jegorycz, był za caratu drobnym urzędnikiem pocztowym w Jarosławiu. Do ruchu rewolucyjnego poczuł pociąg jeszcze w gimnazjum realnym. Później Fieoktist wstąpił do partii "eserów", aresztowany został w roku 1901, sądzony i skazany na dwa lata zesłania do Syberii. Na przejściowym etapie znalazł się wiosną roku 1902 w więzieniu w Aleksandryjsku pod Irkuckiem. W tym czasie przybyła tam nowa partia więźniów a wśród nich niejaki Feliks, syn Edmunda, Dzierżyński. Zesłańcy musieli być zatrzymani, ponieważ rzeki, którymi mieli płynąć dalej, stały jeszcze pod lodem. Pobyt w więzieniu przykrzył się im, poza tym naczelnik więzienia, człowiek surowy, wydał zarządzenie sprzeczne z regulaminem. Było bowiem prawem więźniów politycznych, że w ciągu dnia mogli chodzić swobodnie po gmachu więziennym i dopiero na noc zamykano ich w celach. Korzystali też z prawa wychodzenia na miasto w asyście konwojenta dla czynienia zakupów prywatnych. Tymczasem naczelnik zarządził, aby więźniów zamykano w celi o godzinę wcześniej niż dotychczas, a wychodzenia na miasto w ogóle zakazał.

Zarządzenia te wywołały sprzeciw a następnie bunt więźniów, na którego czele stanął Dzierżyński. Przepędzili wartowników, opanowali cały gmach i zabarykadowali go od wewnątrz. Naczelnik więzienia przestraszył się konsekwencji służbowych, gdyż w wyniku śledztwa mogło wyjść na jaw, że przekroczył przepisy. Nie mógł się jednak uporać własnymi środkami i zmuszony był zwrócić się telegraficznie do władz przełożonych. Wówczas z Irkucka przybył wicegubernator, zaopatrzony

w specjalne pełnomocnictwa, i osobiście rozpoczął pertraktacje z więźniami, obiecując im przywrócenie wszystkich przysługujących praw. Incydent został załagodzony.

W roku 1917, gdy wybuchła rewolucja w Rosji, młodszy syn Fieoktista, Michał miał zaledwie lat siedem. Ojciec je go, który zaprzyjaźnił się z Dzierżyńskim podczas buntu więziennego w Aleksandryjsku, postanowił tę przyjaźń odnowić, gdy Dzierżyński stał się wszechpotężnym kierownikiem "Cze ka", przemianowanej w latach następnych na GPU. Dzierżyński wziął go do siebie. Z biegiem czasu ojciec Michała stał się coraz bardziej zamknięty w sobie. Kiedyś bywało w jego zwyczaju, po powrocie do domu ze służby, powiesić pał to w przedpokoju i wchodzić zacierając ręce, jakby z zimna, bez względu na pogodę. Teraz zaprzestał nawet tego familiarnego ruchu, który dzieci pamiętały od zawsze. Starszy syn, Mikołaj, uczył się w Moskwie w szkole agrotechnicznej. Matka starzała się szybko. Gdy ojciec zachorował ciężko, wezwano z Moskwy Kołę. Przybył, ale widać było, że chce czym prędzej powrócić, i w duszy czeka tylko, aby dramat rodzinny mieć już poza sobą. Na dwa dni przed śmiercią stary Fieoktist powiedział do poprawiającej mu poduszki żony: "Kiedyś w więzieniu było lżej niż dziś na swobodzie..." "Bóg z tobą, Bóg z tobą! Co ty mówisz!" - szepnęła oglądając się, czy aby dzieci nie słyszą. Ale chory mówił bardzo cicho. Umarł jeszcze przed likwidacją opozycji.

Koła wyjechał. Michał, potem już, zdjął w sam czas port rety Trockiego i Bucharina ze ściany, spalił je i wstąpił na służbę do GPU, legitymując się zasługami ojca, starego rewolucjonisty i przyjaciela Dzierżyńskiego. Pozornie jednak nie bardzo nadawał się do tej służby. "To jakiś wesoły mały" - powiedział o nim raz szef, krzywiąc się z lekka. - "Wódkę on pije?"

"Nie", odparł urzędnik, który przemawiał za Michałem Zajcewem, zwracając uwagę na proletarsko-rewolucyjną przeszłość ojca. Szef się zastanawiał. "No, choć ta zaleta, że wódki nie pije, bo poza tym wygląda..." I przydzielił go na stanowisko podrzędne. Ale na początku 1940 Zajcew uzyskał rangę starszego lejtenanta.

Gdy wszedł do pokoju nr 217, w którym siedział Konrad, len już był sobie ułożył, jakie stanowisko zajmie. Postanowił zaskoczyć swoim fair-play, domyślając się, o co będzie oskarżany, a nawet cokolwiek przesadzić o swojej "winie". - "Jak im trochę piasku sypnę w oczy", myślał, "to nie zaszkodzi. Powinni mnie zrozumieć, a może, kto wie, ocenić..." - Postanowienie to dodało mu otuchy i pewności siebie. Poprawił wreszcie krawat i wysłuchawszy stereotypowych oskarżeń, którymi zarzucił go Zajcew, odparował:

- Rozumiem doskonale, że przyjaźń sowiecko-niemiecka jest w tej chwili tylko sprawą taktyki. Nie będę się wdał w jej ocenę. Do tego za mało posiadam danych. Ale w tej sytuacji, jaka się wytworzyła w Europie, przekonany jestem, że Związek Radziecki musi w końcu stać się naszym sojusznikiem, a my powinniśmy dążyć do szukania w nim oparcia. Interes jest wspólny bez względu na to, czy ktoś jest, czy nie jest komunistą. Cóż mi zarzucacie? Że utrzymuję tajne kontakty, łączność z zagranicą? Owszem, przyznaję się, ale to dla obopólnego dobra. W ten sposób bowiem mogę oddziaływać na społeczeństwo uspokajająco, powstrzymywać odruchy niechęci w stosunku do Związku Radzieckiego, a nawet... - zawahał się - tak, nawet nastrajać przychylnie do Związku Radzieckiego. Przez stosunki, które mi zarzucacie, nabieram jednak autorytetu w społeczeństwie i autorytet ten wyzyskuję dla umacniania przekonania, że Niemcy, mimo pozorów, są w gruncie wspólnym wrogiem, przeciwko które mu może już w niedługim czasie, ramię przy ramieniu... - Spojrzał na Zajcewa i urwał. W pierwszej chwili zdawało się, że trafił istotnie celnie: na twarzy Zajcewa dostrzegł wyraz zaskoczenia, nawet usta nieco otworzył, co mu nadawało wygląd prawie dziecienny, ale później wyczytał w jego oczach wyraźne znudzenie. "Jakiś niski rangą facet" - pomyślał - "nie wszystko kapuje. Za mądre dla niego to, co mówię".

Zajcew wstał i dał ręką znak, że za chwilę wróci. Poszedł zameldować szefowi. Dopiero po dłuższej chwili wrócili razem. Miedoczkin, szef miejskiego oddziału NKGB, ubrany po cywilnemu wcale nienagannie, o twarzy szerokiej, nalanej, z wyglądu powiedzieć by o niej można: kociej, o ruchach raczej leniwych, z rękami w kieszeniach spodni, stał bez uśmiechu o dwa kroki przed Konradem i patrzył nań z góry w dół. Nie dałoby się rozpoznać, z pogardą czy zainteresowaniem. Konrad zaczął

powtarzać przed nim swoje uprzednie expose, tym razem z większą pewnością siebie i kładąc większy nacisk na swą dobrą wolę. Miedoczkina patrzył, zdawało się, nie słuchając. Jako wytrawny w swej dziedzinie fachowiec, rozumiał przede wszystkim wagę spontanicznego przyznania się Konrada do winy. Następnie ocenił jego zdecydowaną pewność siebie, której nie należało dopuścić do skostnienia, gdyż mogłaby utrudnić dalsze śledztwo. Wiedział, że w takich wypadkach trzeba zastosować chwyt, rzadko zresztą stosowany w pierwszych godzinach badania. Konrad mówił jeszcze, gdy Miedoczkina, już w pół obrotu, wskazując go ruchem głowy przez ramię, mruknął do Zajcewa:

- Wysadzić z siodła. - Zawrócił, nie wyjmując rąk z kieszeni. Konrad urwał w pół słowa, i teraz on z kolei z nieco rozchyłonymi ustami patrzył ze zdziwieniem na marszczące się na siedzeniu spodnie Miedoczki, widoczne spod marynarki uniesionej rękami w kieszeniach... W tej chwili Zajcew młodzieńczym ruchem głowy odrzucił z czoła kosmyk włosów, wstał, obszedł biurko i trzasnął Konrada pięścią w zęby. Ten runął na podłogę razem z krzesłem. Miedoczkina usłyszał upadek w chwili, gdy zamykał za sobą drzwi.

- Kopyłowa - powiedział sucho do urzędnika przechodzącego właśnie korytarzem - proszę mnie połączyć zaraz ze starszym majorem, komisarzem Gładkowym.

Zajcew wrócił na swe dawne miejsce przy biurku. Konrad uniósł się, wskutek szoku nie czując nawet bólu. Był tylko bardzo błądy. Z ust ciekła mu krew. Podniósł krzesło, siadł i wyjąwszy z kieszeni chusteczkę, przyłożył ją do ust.

- Nu, a teraz nazwiska! - skomenderował Zajcew.

Konrad spojrzał nań wzrokiem zamglonym.

- Papierosa, co? - spytał Zajcew i nie czekając odpowiedzi wyciągnął poprzez stół pudełko. Konrad wziął jednego drżącą ręką, zauważył przy tym, że mały palec też krwawi. "To od upadku", pomyślał i wytarł machinalnie palce o spodnie.

- Nam pośredników do narodu nie potrzeba! - mówił Zajcew, całym ciałem przechylając się naprzód przez biurko. - Wszystek naród jest z nami! Wszystek - zrobił szeroki ruch ręką. - Rozumiecie?

Konrad kiwnął odruchowo głową, nie odejmując chusteczki od ust.

Paweł przenocował u Leona. Nazajutrz rano sprzedał w sklepie komisowym starą szablę za lichą cenę i poszedł do kameralnego teatrzyku na próbę, ażeby zapoznać się z jego poziomem i repertuarem. Podobnie jak szkół, teatrów również było w mieście więcej niż przedtem. Właśnie jedną z nowo powstałych scenek kierował do spółki ze znanym literatem reżyser, który dnia poprzedniego zagadnął Pawła w kawiarni.

Było zimno. Wszyscy na scenie chodzili w paltach. Próbowano jakąś przeróbkę z powieści. Na pustej widowni siedziało kilkoro dzieci, trzymając na kiju wielką papierową gwiazdę, jaką się obnosi w dzień Bożego Narodzenia.

- Co to za dzieci? - spytał Paweł.

- Też aktorzy - odparł reżyser. - Będziemy próbowali, ułożoną na zbliżające się święta, nową szopkę dziecinną. Już bez diabła i aniołów. Tylko stara gwiazda się przydała - i zaśmiał się krótko.

- Skąd pan je wytrzasnął?

- Kogo? Dzieci? A, to z jednej ze szkół. Nie wiem, czy pan zna panią Zwolińską? Kierowniczką wzorowej szkoły powszechnej. Dobra dla nas najzdolniejsza. Obywatele! - krzyknął ku scenie. - Co jest z tym drugim aktem? - Klasnął w dłonie i poszedł.

Sceniczna adaptacja urywka starej powieści w tendencyjnych skrótach wydała się Pawłowi straszliwą szmirą. Prze siedział cały drugi akt, zmarł i poszedł do kawiarni, gdzie po próbie miał się spotkać z reżyserem.

Oczekując przerzucał gazetę. Na drugiej stronicy zna laż poważny artykuł jednego z profesorów. Były to rozważania ściśle fachowe, niemające nic wspólnego z polityką i utrzymane w tonie naukowego obiektywizmu na temat stanu prac wykopaliskowych w kraju. Ale jedno z ostatnich zdań brzmiało: "W obecnej chwili, gdy literatura i nauka przeżywa prawdziwy rozkwit..."

Wszedł reżyser i przysiadł się do Pawła.

- Jak się panu podobało?

- Owszem...

- No, to chwała Bogu. Wręczam tu panu dwa tomy. Zwłaszcza polecam uwadze ten... - uniósł nieco w górę. - Gdyby pan coś mógł z niego spreparować, zrobiłoby to bardzo duże wrażenie, bo autorka popularna i głośna. Właśnie coś w tym rodzaju, jak pan to widział na dzisiejszej próbie. Cieszę się, że się panu podobało.

Paweł nic nie odpowiedział, wziął książki i położył obok na stoliku.

- I jeszcze jedna rzecz - podjął reżyser. - Nie musi się pan już tak bezwzględnie trzymać liter tekstu. Liter, rozumie pan? Skrót nie zawsze odpowiada całości. Czasem dodać kilka słów swoich, żeby wyszło gładziej... - Zatarł ręce i zrobił porozumiewawczy ruch palcami w powietrzu.

W tej chwili gwar w kawiarni przycichł nagle. W progu otwartych drzwi stanęło dwóch oficerów sowieckich w szynelach i wysokich "budienowkach". Zatrzymali się, niezdecydowani. Po wyrazie ich twarzy poznać było, że nie mogą się zdecydować na wejście, nie będąc pewni, czy przebywanie w tym lokalu nie przysporzy im jakowychś kłopotów służbowych. - "Pójdziemy", mruknął młodszy i za wrócili. W przejściu zetknęli się z Karolem, który wchodził w towarzystwie jakiegoś nieznajomego. Paweł odwrócił głowę do okna. Reżyser przechylił się poprzez stolik i zniżając głos zapytał:

- Czy zna pan tego pana, który wszedł?

- Którego?

- Ten jasny blondyn, wysoki, przystojny.

- A bo co?

- Tak sobie pytam... - Przeszedł na szept. - Mówią o nim, że służy w NKWD...

- Nie wiem.

Tamci usiedli w oddaleniu.

- Aha, więc teraz omówmy sprawę pańskiego honorarium...

Paweł wracał do domu wieczornym pociągiem podmiejskim. Ale na pierwszym za miastem przystanku oświadczone pasażerom, że pociąg dziś nie pójdzie dalej. Ściemniało się. Po niebie płynął między chmurami wczesny księżyc i brał przymrozek. Topniejący i rozjeżdżony w ciągu dnia śnieg zamarzał w grudki. Od domu dzieliło go jeszcze osiem kilometrów. Iść było niewygodnie i ślisko. Czarne sylwetki ludzi rozpyływały się i nikły w mroku, podążając każda swoją drogą. Paweł wybrał najkrótszą koło nieczynnej cegielni i przez las. Gdy się oddalił od stacji, zauważył, że idzie za nim tylko jeden człowiek, opierający się na lasce, w czapce nasuniętej na oczy. Kroczył z widocznym trudem, ale, jak się zdawało, przyspieszał, jak umiał, aby dogonić Pawła. Ten zwolnił kroku i obejrzał się jeszcze raz.

- Pan mnie nie poznaje? - zapytał człowiek, zbliżając się i sapiąc z utrudzenia.

Księżyc oświecił na chwilę jego mięsistą twarz, w którą zapadła para oczu, otoczonych w tej chwili zmarszczkami uśmiechu. Mógł liczyć lat około sześćdziesięciu. Złe ostrzyżone włosy, w większości siwe, wyłaziły mu spod nieco przyciasnej czapki. Po jego ruchach poznać było człowieka nie obytego z niewygodną wiejską drogą. Paweł pochylił się ku przodowi.

- Archimandryta... Serafim?!...

- Tsss... - syknął tamten nie przestając się uśmiechać. - Proszę do mnie mówić per pan, per obywatel, towarzysz... jak się panu podoba, tylko zapomnieć na razie o moim stanie duchownym.

- Więc... pan ukrywa się? W przebraniu? Co się stało? Przecież na razie nikogo z duchowieństwa prawie nie ruszają. Ani katolickiego, ani prawosławnego - dodał,

- No, widzi pan, mnie ruszyli. Tylko zdążyłem im uciec.

- Za co?

- Ach, grzeszki młodości - westchnął. Poszli obok siebie. - Zresztą, pan wie chyba - podjął po chwili duchowny - że brałem czynny udział w politycznym życiu emigracji rosyjskiej. Spodziewałem się tego.

- No, taaak, prawda. - I dodał: - Nie można im tego brać chyba za złe, co?

- A nie można, a nie można. Może odpoczniemy chwilę pod tą szopą. Co to, cegielnia?

- Ciężka droga - powiedział Paweł, wchodząc do szopy i siadając na wystającym drągu opuszczonego kierunku.

- Ech, na stare lata - westchnął duchowny. Rozejrzał się po nieprzytulnym otoczeniu. Księżyc płynął i płynął ciągle w tym samym miejscu nieba. Nikł za chmurami, czasem przeświecał je na wylot, znów się chował, znów wyłaniał i płynął dalej. - Zresztą, to nie to samo...

- Co nie to samo? - spytał Paweł.

- Pan powiedział: katolickie i prawosławne. To duża różnica.

- Dlaczego?

- Widzi pan, cerkiew prawosławna już dwadzieścia lat temu przeszła to, co kościół katolicki dopiero zaczyna przechodzić. Od kościoła oni wymagają jeszcze tylko lojalności, małych kompromisów... Uhum. A od nas już ślepego posłuszeństwa. Dwadzieścia lat temu certowali się i z cerkwią, to znów na przemian prześladowali ją, różne stosowali chwyt. Teraz mają dostateczne doświadczenie w tej dziedzinie: powoli, etapami... Nie strasząc. Dziś u nas i patriarcha w Moskwie słucha NKWD. A zaczęło się, jeżeli pan zna historię Tichona, też od kompromisów... Uhum.

- Zimno. Ruszymy chyba.

- Taaak - przeciągnął wstając. - Ot, widzi pan, jak to Pan Bóg rozporządził. No, a co pan porabia? Paweł za całą odpowiedź machnął niechętnie ręką.

- Uhum, uhum, rozumiem. - Dreptał po starczemu po ostrym śniegu. - Proszę nie wziąć za wymówkę, ani za złe słowo, ja to nie do pana mówię, a tak, w ogóle... Ale nie rozumiano nas, Rosjan, w naszym nieszczęściu. Uhum. Tak. A teraz przyszła i na innych kolej.

- No, niektórzy twierdzą, że to właśnie Rosja do nas przyszła, Rosjanie.

- Uhum, wiem, wiem, słyszałem. Pocieszają się, pocieszają się. Każdy pociesza się w nieszczęściu, chociażby nieprawdą, a pociesza się. Nikomu złego nie życzę, ale gdy przekonają się, żeby nie było za późno, za późno...

- To znaczy, kiedy przekonają się? Nie odpowiedział zrazu.

- Ja wiem. Wśród Rosjan też są tacy optymiści - podjął po chwili - co to mówią: "Naród został rosyjski, jakim był, tylko po wierzchu pociągnięty pleśnią bolszewicką". Owszem, że zostało jeszcze trochę, nie przeczę, ale to, co jest na wierzchu, co rządzi, co działa, to nie pleśń, to już zupełnie nowa substancja, to bryła sowiecka. Uhum, ludzie, widzi pan, sądzą, że jak Pan Bóg spuści karę, to ją zaraz musi cofnąć. Jakby to tylko krótkoterminowe kary Pan Bóg uznawał; dlatego wielu jest takich nawet wśród wierzących: w niebo wierzą, a w piekło nie wierzą. A Pan Bóg, On mierzy

wiekami. To wielkie złudzenie myśleć, że jak wydarzy się coś złego, to zaraz, jutro, już musi być naprawione, ku lepszemu pójść. Niestety, często tak bywa, że od jutra zaczyna się dopiero jeszcze gorsze. Ludzie muszą wycierpieć swoje. Po młodości przychodzi starość, a nie odwrotnie - po starości młodość. Tak to jest. Uff! Ciężko iść. Odpocznijmy chwilę.

Znowu siedli, tym razem na wywalonym pniu świerka.

- A co, zdaniem pana, krótko mówiąc, stanowi główną cechę, różniącą naród rosyjski od sowieckiego, jak go pan nazywa? - zapytał Paweł.

- Krótko mówiąc... Krótko nie można powiedzieć. A jeżeli pan chce krótko, to: wszystko! Wszystko różni. Bo co zostało wspólnego? Język, powie pan, i co jeszcze? Bagnet czterograniasty i bury szynel?... Ja panu powiem, że nie ma w Europie dziś dwóch narodów tak do siebie niepodobnych, jak naród rosyjski i naród... sowiecki. Naród - to nie język, naród - to jego dusza, to jego tęsknoty, jego pieśni, jego literatura. Naród kształtuje się pod wpływem wychowania. Naród rosyjski, który dziś znamy, ukształtował się ostatecznie dopiero w wieku XIX. Pan zna rosyjską literaturę, prawda? A wie pan, kiedy Gogol pisał swego "Rewizora"? Za czyjego panowania? Za panowania cara Mikołaja I. "Żandarmem Europy" nazywano tego cara. I oto ten "żandarm" pozwalał, żeby wystawiać sztukę, w której wszyscy: i urzędnicy, i cały system łącznie z żandarmami wykpiiony był do nitki... Klasyczna literatura rosyjska - to tenże Gogol, Tolstoj, Dostojewski, Turgieniew, Czechow, Szchedrin... wszystko duch sprzeciwu, niezadowolenia, szukania prawdy, rozcinania włosa, duch wątpliwości ludzkiej. Chyba tylko jedna na sto książek literackich wydawanych w Rosji nie stawiała po stronie uciśnionych i prześladowanych, nie krytykowała stanu istniejącego. A dziś nie ma takiej, która by nie deptała właśnie uciśnionych i nie wychwalała uprzywilejowanych, nie kłaniała się stanowi panującemu...

- Może ze szczerego zadowolenia... - wtrącił Paweł.

- Tak, pan sobie żartuje w tej chwili... Kiedyś zebrały się, bywało, trzy osoby przy wódce czy samowarze i pierwsza ich rozmowa, to była łajać władzę. Dziś zbierze się dwóch i zaraz piją zdrowie Stalina. Naród rosyjski kochał stopy i lasy, a sowiecki - kominy fabryczne. Naród rosyjski ciągle buntował się przeciw kajdanom, a sowiecki nie tylko się nie buntuje, on je liże! Tak zwana "dusza rosyjska" - to była dusza buntu; dusza sowiecka - to dusza psiej uległości. Naród rosyjski, niech jemu to Pan Bóg zapomni, to był naród spiskowców, sowiecki - szpiclów i prowokatorów, i donosicieli! - Zakaszał się i urwał. Chmury poszły sobie, i księżyc już więcej nie płynął, a stał w miejscu i mroził. - A dobrze jest w lesie - powiedział. - Cicho, bezpiecznie. - Pogrzebał kijem u nóg w zamarzłych liściach borówek i podjął już spokojniejszym tonem. - Pan nie pamięta, bo jeszcze był za młody, w roku 1912 w tym samym mieście, za panowania cesarza Mikołaja II, wieczna mu pamięć... W jakimś piśmie wydrukowano taki ustęp: "Gdy powstanie gniew narodu i spadnie w postaci pięści, z rządu carskiego mokrego miejsca nie zostanie!" Coś w tym guście. A jakże, był o to proces i wie pan, na co skazano redaktora?

- No?

- Na dwa tygodnie twierdzy. Na dwa tygodnie. Może pan sobie wyobrazić, co by się stało z takim, który by napisał: "Z rządu stalinowskiego nie zostanie mokrego miejsca"?

- Pewnie, że trudno sobie wyobrazić, ale stopień tolerancji nie stanowi tu o żadnej granicy jakościowej.

- Uhum, ma pan rację, to nie stanowi. Tak sobie tylko wspomniałem... - Wstał z pnia i poszli.

Droga prowadziła przez jar leśny. Staruszek szedł bez słowa, całą uwagę skupiając na swych krokach, które stawiał drobno i ostrożnie. Opierał się na lasce, to znów chwycił Pawła za ramię, żeby się nie pośliznął. Zapadała noc. Paweł zaczynał się niecierpliwić, gdyż stary znacznie opóźniał tempo marszu często się zatrzymując i odpoczywając na stojąco.

- Gdzie pan myśli nocować? - zapytał go.

- A u jednego z pańskich sąsiadów. Proszę mi wybaczyć, że nie powiem, u którego. Człowiek bojący, uhum. A o świecie znów. Daleko jeszcze?

- Będzie ze cztery do pięciu kilometrów.

W jarze było zupełnie ciemno. Gałęzie świerków zasłaniały światło księżyca. Czasami z krawędzi urwiska wysterczał korzeń, w ciemności zdający się posiadać kształt fantastyczny.

- Niech pan nic myśli - zaczął znowu duchowny - że we mnie jest jakoweś zaślepienie nacjonalistyczne, które widzi przeszłość tylko w różowych kolorach. Raczej przeciwnie. Ja właśnie potępiam ten odruch wiecznego buntu, który tkwił kiedyś w naszym narodzie. On to i sprowadził całe nieszczęście. Powiedziano jest bowiem, że "kto mieczem wojuje, od miecza ginie". Chciałem tylko podkreślić, że przyczyną katastrofy była raczej tolerancja niż nietolerancja. Czy pan wie, ile razy ten największy zbrodniarz wśród czekistów, Feliks Dzierżyński, był wypuszczony przez policję carską na wolność? Sześć czy siedem razy. Śmieszne, prawda? I znowu wracał do swej roboty rewolucyjnej. A gdyby go raz powieszono, uratowałoby się życie milionów ludzi, których on zgładził później...

Paweł nie odpowiedział, gdyż dyskusja powodowała opóźnienie marszu. Ale stary znów podjął:

- Pan pytał o różnice. Naród sowiecki jest odwróceniem, przeciwieństwem narodu rosyjskiego, a nie jego podobieństwem. Jest taka anegdota o słoniu, która w kilku słowach ma charakteryzować każdy naród. Na zadany mianowicie temat: "Słoń", Anglik opisał polowanie na słonie, Francuz napisał: "Słoń i miłość", Niemiec - ścisłą rozprawę naukową...

- Znam tę anegdotę - przerwał Paweł.

- Uhum, kto jej nie zna. Stara anegdota. Otóż, jak pan sobie przypomina, Rosjanin miał rzekomo zastanowić się: "Czy istnieje w ogóle słoń?" Niby to miało go charakteryzować jako sceptyka, człowieka, który wszystko na świecie podaje w wątpliwość. A dziś zapewne obydwaj zgodzimy się na to, co by odpowiedział sowieciarz. Odpowiedziałyby: "Stalin powiedział o słoniu..." i basta, żadnego sprzeciwu, żadnej krytyki, żadnej wątpliwości, wszystko jasne, wszystko wiadome. I teraz niech pan z łaski swojej porówna te dwie odpowiedzi. Czy może być coś bardziej sobie przeciwstawnego? Krańcowy sceptycyzm i krańcowy afirmatyzm, ziemia i niebo, ogień i woda!

Wyszli z lasu. Het, na lewo, zaświecił ogień w chacie, ale znikł zaraz, nie wiadomo, zgaszony czy przesłonięty nierównością terenu. Księżyc się nieco skłonił bliżej ziemi i teraz ukośnie oświetlając trupim blaskiem zlodowaciałe skiby nadawał krajobrazowi odcień bezmiernego smutku i opuszczenia. Na prawo kępa drzew. Żadnych ludzi, żadnych zwierząt. Nad głowami gwiazdy i pustka. Nigdzie nie zaszczekał pies. - "Dobrze jest w taką pustkę" - myślał Paweł - "bezpiecznie od ludzi". - Cisza, tylko kroki ich po dawnemu rozgniały z chrzęstem zmarzłą powierzchnię drogi. Idzie się, idzie bez końca. Ale po co mówić? Po co przeszkadzać ciszy w jej trwaniu? Jutro już może wiatr ją zakłóci, drzewa zechcą gadać, wrony polecą nisko nad rolą z krakaniem, potoczy się furmanka po grudzie, chłopska. Przepędzą ciszę. Dziś niech ma swoje, niech korzysta na zdrowie z nocy, niech się cieszy, niech się modli, niech robi, co chce! Niech im wybaczy chrzęst kroków i nie zwraca na nich zbytnej uwagi. Oni sobie przejdą chyłkiem, polem, potem przez kępę, potem pastwiskiem... Ach, zając się zerwał!

Krzaki, za krzakami musi być rów... Ale wychyliwszy się z krzaków stanęli raptownie. Gdzieś, bardzo daleko, błyskały reflektory aut.

- Co to?! - szepnął duchowny, odruchowo wstrzymując Pawła ręką.

- Te światła? To już szosę widać. Jadą...

- Jadą - powtórzył jak echo.

Rozstając się wkrótce potem, ojciec Serafim zatrzymał rękę Pawła w swojej, podniósł głowę, jakby mu gwiazdy miały dopomóc do przypomnienia czegoś, odchrząknął, powiedział: "Uhum" i zapytał:

- Czy pan się nie spotykał czasem z takim panem, co nazywa się Zakrzewski?
- Owszem - odparł Paweł z wahaniem.
- Zna go pan?
- Słabo.
- Hm. Śmiały człowiek. Jeżeli nie prowokator, to śmiały człowiek.
- No, nie sędzę, żeby był...
- Nie, nie, uchowaj Boże! Ja nic takiego złego nie chciałem powiedzieć. Tylko że tak, ot, dzisiaj. Śmiały człowiek. Uhum - i uściśnął rękę na pożegnanie.
- A pan go zna? - spytał Paweł. - Dobrze?
- Nie... - odpowiedział, oddalając się. - Też słabo.

X

Jeszcze w drodze Paweł postanowił nie okazać po powrocie do domu żadnej opryskliwości w obejściu, ani nie szukać ucieczki w innym objawie złego humoru, jak to jest czasem w zwyczaju, gdy się przed kimś bliskim chce ukryć ciężar ugniatający serce. Układał sobie, że potrafi rzecz wyłożyć rozsądnie i uzasadnić ją. - Powie Marcie, że będzie na razie pracował dla teatrzyku; teatrzyk - to jeszcze nie NKWD; a później, no, później zobaczy się.

Wchodząc potrafił po ciemku krzesło, tłukąc sobie boleśnie kolano, i zaklął. Marta się obudziła i chciała wstać, aby mu przygotować wieczerzę, ale skłamała, że nie jest głodny. Wtedy ona spojrzała na niego spod oka, obserwując wyraz rozdrażnienia na jego twarzy; pytania zbywał półsłówkami.

- Coś taki ponury? - zapytała. - Stało się może coś złego?
- Nic się nie stało. Co się miało stać. Musiałem wracać piechotą i zmęczyłem się. Spać mi się chce - oto wszystko.

Nazajutrz wstał późno, rozłożył na biurku czysty papier, który ze sobą przyniósł, wziął pióro, a lewą ręką przerzucał kartki przyniesionej powieści, którą znał zresztą dobrze i która ongiś uważana była za radykalną. Miał z niej wysnuć wątek sceniczny. Odłożył pióro. "Takie coś", pomyślał, "uchodziło kiedyś za talent! Cóż za płytkość! A przecież kiedyś i mnie się podobała". Zamyślił się nad tym "kiedyś" i daleko odbiegł wspomnieniami. W tej chwili żona zajrzała przez drzwi. Wziął pióro nie podnosząc głowy znad czystego papieru. Marta obrzuciła wzrokiem książkę i papier i odeszła bez słowa, widocznie, aby mu nie przeszkadzać. Wtedy odłożył pióro. - "Przecież te dialogi" - myślał - "w ogóle nie nadają się na scenę... A grunt, że będą miały zupełnie inny sens, niż... W ten sposób, jak to chciał reżyser, znaczyłoby rzecz całą sfalszować. Cóż za paskudna robota!" Zapalił papierosa. "Powiedzmy, trzymać się ściśle tekstu i tylko go odpowiednio przetasować... Jak szuler karty..." - Puścił dym w okno, a gdy skończył palić, długo i metodycznie gasił niedopałek w popielniczce. - "Może i można: opuścić tamte ustępy, a przestawić i zsyntetyzować te, tu... Tekstu to nie bardzo zmienia. Nie, tekstu nie zmienia, ale intencję zmienia gruntownie. A zresztą, cóż to mnie obchodzi! Pracuję anonimowo, wykonuję zawodowo płatne zlecenie". - Wziął pióro, umaczał w atramencie, ale zamiast pisać, kreślił na papierze esy-floresy.

- Słuchaj - otworła nagle drzwi Marta - dziś na obiad będzie, wiesz co? Kasza gryczana, którą tak lubisz. Ze słoninką! - Mówiła od progu ze sztuczną pogodą w głosie i oczy jej się śmiały, ale z jakimś smutnym przymusem. Odczuł, że czyni ten wysiłek jedynie po to, by go rozchmurzyć. Zrobiło mu się przykro. Odłożył pióro i sam się uśmiechnął, również z wysiłkiem, ale najserdeczniej, jak tylko potrafił.

Nareszcie! Ucieszyła się, podeszła lekko stąpając, stanęła nad nim koło biurka, patrząc z góry na

papier i rozłożoną książkę. Ręce założyła do tyłu i zapytała śmiesznie:

- Powiedz, co ty tu robisz takiego w tajemnicy? Przede mną?

- Nie w tajemnicy - odpowiedział zmęczonym głosem. - Dlaczego w tajemnicy? Skąd ci to przyszło do głowy? Widzisz, próbuję pisać. - Mówił siląc się na swobodę, ale czuł, jak mu coś w niej przeszkadza i mimo woli musiał zrobić zapewne wymęczony grymas, bo pogładziła go po głowie i spytała bardzo łagodnie:

- Co? Te śliczne esy-floresy?

Uśmiechnął się blado i zaczął jej opowiadać. Cicho opowiadać wszystko po kolei. Wszystko, jak było. Od początku, od wizyty w muzeum, od wizyty u Konrada, dziwną historię z szablą, grę w szachy, spotkanie z reżyserem... Ona słuchając przestała gładzić jego włosy, oparła lewy łokieć na stole, nie zdejmując wszakże prawej ręki z jego głowy, sama się nachyliła, tuż, policzek przy policzku. Słuchała. Przed nimi leżał kawał papieru na biurku z wyrysowanymi zakrętami. Przez otwarte drzwi dochodziło z kuchni bulgotanie i syczenie wody, wyskakującej z garnka na gorącą płytę. Kot z podniesionym strzeliście ogonem, łaszcząc się o uszaki drzwi i po kociemu skradając wzdłuż ścian, wszedł szukając Marty. Nie było nikogo więcej w całym ich domu. Co tu więc ukrywać lub przeinaczać... Taki los. "Ot, i wszystko", skończył Paweł.

- Słuchaj - powiedziała szeptem. - Nie rób tego.

W pierwszym odruchu chciał się zachnąć, bronić swego postanowienia, ale wsparł tylko głowę na dłoni i nagle załamał się wewnętrznie. Objęła go prawą ręką za szyję i mocniej przytuliła swój policzek. - Nie rób tego. - Paweł odwrócił twarz, bojąc się rozplakać. W kuchni wciąż bulgotała i syczała woda. Marta pocałowała go w skroń.

- Nie rób tego. Nie trzeba. Po co?

Wiedział, co chciała powiedzieć. Wszystko wiedział. Był jej wdzięczny, że nie mówiła więcej. Milczał.

- Kochany mój, damy sobie i bez tego radę.

- Wszyscy... - zaczął drżącym głosem.

- Niech sobie nawet wszyscy! Chociaż nie wszyscy, nie. Ale gdyby nawet wszyscy, wszyscy... To nie my, dobrze?

- A jak inaczej...

- Pomyślimy coś, zastanowimy się, wykombinujemy.

- A żyć, z czego?

- Mój Boże, no jakoś jeszcze ludzie sobie radzą... Poczekaj, wiesz co? - Powiedziała nadrabiając sztuczną swobodą. - No, nie patrz tam ciągle w kąt. Odwróć głowę, o tak.

- Co?

- Opowiadałeś na przykład o jakimś Zakrzewskim. Zakrzewski, tak? Może byś z nim pogadał jeszcze, może on coś...

- Cóż on tam może pomóc...

- Ale spróbuj. Sam mówiłeś, że ten jakiś twój znajomy...

- Leon.

- No, właśnie, Leon radził ci, żebyś z nim porozmawiał. Może coś z tego wyjdzie. Zresztą, ja nie mówię, że koniecznie on. Nie on, to kto inny. No, nie smuć się, mam już dobre przeczucie. Chodź, wstań nareszcie od tego biurka. Chodźmy na obiad, bo tam kartofle się rozgotują i moja kasza przypali.

Dał się ciągnąć za rękę, po dziecinnemu, niby to ociągając, niby jeszcze nie powiedziawszy ostatniego słowa, ale w rzeczywistości poczuł nagle ogromną ulgę i nawet radość. Poza tym i dzień był prześliczny za oknem, i kaszę gryczaną istotnie lubił bardzo. Przelotnie pogłaskał kota i zasiadł do stołu.

Marta postawiła talerze, przyniosła obiad z kuchni. Kot usiadł na wolnym krześle, zwęził źrenice do ledwo widocznych szparek, bo było mu za jasno w tym miejscu i mruczał bez powodu.

Nie było więcej mowy o poprzednich zamiarach Pawła. Nie było też mowy o żadnych złych nowinach. Przy końcu obiadu Marta prosiła, żeby narażał drzewa i naniósł więcej wody ze studni, bo chce robić pranie.

- I wody naniosę - odparł.

Wstał od stołu, pocałował żonę i wyszedłszy na podwórko, ujął siekierę. Z nabranego już przyzwyczajenia przejechał, próbując, palcem wzdłuż ostrza, postawił polano na pieńku i ciął. Do wtóru, gdzieś w lesie kuł dzieciół. Marta, niosąc drewniany kubel z żarciem dla prosiaków, wyszła z domu, nucąc półgłosem piosenkę. Spojrzał ku niej z rozczeniem, wytarł rękawem pot z czoła i pomyślał: "Sądzi, zapewne, że dokonała wielkiego dzieła. Ale kto wie, czy w rzeczywistości ja bym potrafił sprepować coś odpowiedniego na tę ich parszywą scenę; to jeszcze pytanie?... Do tego trzeba być albo wyzutym z wszelkiego smaku, albo - przeciwnie - posiadać wielki talent". Nachylił się, ustawił nowe polano na pieńku. "Tak, wielki talent, żeby umieć pisać przeciw własnej wyobraźni i pisać przy tym dobrze. Skąd mnie do takiego talentu. Ona myśli, że ja bym potrafił. Kobieta, dopóki kocha, zawsze przecenia swego męża. A ja bym nie pootraaaafił!" I ciął z rozmachem. "Drzewo rąbać, to co innego. Ale być pisarzem w sowieckich warunkach, to sztuka. Sztuka, sztuka, sztuka". Postawił sękatą sztukę drzewa i zastanowił się przez chwilę nad kierunkiem uderzenia. Obrócił w palcach, przytrzymał i rąbnął. Nie rozłupał. Przewrócił topór i wałnął tępym końcem; drzewo trzasnęło, ale sęki nie puściły. Zapomniał, o czym myślał przed chwilą, skupił się w sobie, przysiadł trochę, uniósł po raz drugi i - łomot-jeszcze-go-raz! Rozpadło się. Wyprostował się z lubością. W chlewie kwiczały i kłóciły się prosiaki przy żarciu. Marta usiadła na progu i roztrzącała je, dogadując im z cicha. A Paweł myślał: "Żeby dali pożyc choć takim życiem".

- A gdzie jest ta obiecana woda! - zawołała wesoło Marta.

- Prawda, woda, zapomniałem. Już niosę. - Wbił z rozmachem siekierę w pień. Poszedł do studni, zaczął wiadro o łańcuch i odkręcając walec patrzył, jak niknie w czarnej czeluści. Studnia była głęboka "Swoją drogą Marta ma rację. Z Tadeuszem porozmawiam"...

W tej chwili usłyszał z tyłu od płotu czyjś szept. Odwrócił się raptownie jak przyłapany na głośnym mówieniu do samego siebie. Za płotem, wsparta bokiem o pień brzozy, który zasłaniał ją od strony domu, stała Weronika. Wówczas oderwał rękę od walca i opuszczył ją bezwładnie. Zwolniony łańcuch rozkręcał się coraz szybciej, szybciej, walec zaczął furkotać z rozpędu, aż het, w głębi plusnęło wiadro z całej mocy. Ciężkim krokiem podszedł do płotu. Nie starał się nawet uśmiechnąć.

- Gdzie byłeś przez te kilka dni? - spytała Weronika.

- W mieście byłem.

- No, i co tam... - spojrzała na niego uważnie, później trochę w bok. - Chciałam tylko zapytać... Czy my nie spotkamy się jutro może? - Zielonkawe oczy zwęziły się i dodała szeptem. - Mąż wyjeżdża.

Paweł, patrząc sobie pod nogi, kopnął i rozdeptał stary, zmarznięty grzyb pod płotem. - Nie - powiedział - jutro znowu muszę do miasta.

- Co ty tam robisz ciągle, w mieście?

- Jak to co, pracy szukam.

- Będziesz tak jeździł, aż ciebie aresztują.

- Za co mnie mają aresztować.

- A za co wszystkich?

- Wszystkich nie aresztują. - Podniósł wzrok i zobaczył, jaka jest ładna w tej chwili. Może ładniejsza jeszcze niż zazwyczaj. Położył rękę na jej palcach opartych o płot. Wysunęła ku niemu twarz, jakby go chciała pocałować, ale szepnęła tylko niespodziewanie:

- Wiesz... a może... może my by z tobą wyjechali?

- Dokąd?! - zdumiał się szczerze i aż głowę cofnął do tyłu.

- Ty nie wiesz, co mówią, że Bożek mówił... - zaczęła bezładnie zdyszonym nagle szeptem, gdy od domu zawołała właśnie Marta:

- Woody! - A nie widząc go przy studni. - Gdzie jesteś?! Paweł!

- Ach - syknęła Weronika, wrywając palce spod jego ręki, i poszła szybko wzdłuż płotu nie oglądając się. Zauważył tylko jej szorstki ruch, jakim poprawiła chustkę na ramieniu.

- Zaraz! - odkrzyknął. Powrócił do studni i zaczął nakręcać wałek. Ale łańcuch szedł pusty do góry. Zaklął.

- Co się stało? Co tam majstrujesz? - pytała Marta, zbliżając się wolno.

- Puściłem wał i wiadro z rozpędu zeskoczyło z haku. Diabli nadali. Trzeba go teraz będzie "wilkiem" łapać.

- No, widzisz, jaki jesteś nieostrożny - odpowiedziała łagodnie. Pochylając się zaglądali razem w czarny otwór. Studnia była głęboka, i woda na jej dnie nie odbijała niczyjej twarzy.

Część druga

TADEUSZ

XI

Kobiety, gdy są tylko same, pozwalają sobie na niejedno, czego by mężczyźni krępowali się mówić lub czynić. Są w gruncie śmielsze od mężczyzn, między sobą. Może dlatego, że solidarniejsze i że mniej się obawiają odpowiedzialności za swe słowa. Stąd zgromadzenie kobiet w kooperatywie wiejskiej przybrało od razu charakter burzliwy.

Gdy się zbliża zima, błogosławieństwem stają się walonki, które chronią nogi przed zimnem. Ale walonki w gospodarskiej krzątaniu na podwórzu, wśród śniegu, błota i gnoju, są możliwe do użycia tylko gdy się je wsadza w kalosze. Fabryki wyrabiające kalosze były w kraju liczne. Jedna z nich, w mieście Lidzie, odległa stąd zaledwie o kilkadziesiąt kilo metrów, zaopatrywała kiedyś całą okolicę w promieniu. Dla czegoś prawie równocześnie z rozpoczęciem kampanii zwiększenia produkcji w fabrykach zabrakło kaloszy. Nigdzie nie można było dostać ich za żadną cenę.

Przyszedł grudzień. Zima nie była spóźniona. Narzekania wzrosły. Nagle obwieszczono, że kalosze kobiece przysły i będą sprzedawane w kooperatywie po cenie bardzo niskiej, jak wszystko, co ma być przeznaczone do użytku ludzi pracy. Kobiety zebrały się tłumnie od rana, ale kaloszy nie było.

Żona towarzysza Raczenki, Katarzyna, która zarządzała kooperatywą, młoda, kanciasta w ruchach, w źle leżącym czarnym żakiecie, powiedziała, że jutro.

Na półkach stały chropowate szklanki z butelkowego szkła, kilka butów wybrakowanych, bo nie do pary, w kącie worek soli. Zapalek, machorki i nafty już zabrakło. Raczenkowa miała na nogach walonki z kaloszami - bo w sklepie było zimno - ale kupione na prywatnym rynku, a nie dostarczone przez fabrykę.

- Podwiozą - mówiła uspokajająco. - Wszystko będzie, wszystkiego podwiozą, nie denerwujcie się, obywatelki.

- Na wiosnę!

- W maju!

- Jakoś u was długo wiozą! Już od pół roku słyszymy to samo!

Raczenkowa wyniosła do sieni pusty bidon po nafcie, ustawiając kopnęła go końcem nogi i milczała. Blacha za dudniła głucho.

- Co oni mają?! - wykrzykiwała jedna z kobiet. - Nic oni nie mają! Istne korojedy, cały kraj obiorą, oczyszczą, ludziom ostatki pozabierają. Dlaczego przedtem wszystkiego było, a teraz o każde głupstwo stań i stój w kolejce, marznij albo jeszcze w deszczu...

- To pół biedy, że w kolejce, ale żeby choć doczekać. A to stoisz kilka godzin, a dojdiesz do sklepu i okazuje się, że nie ma nic, że darmo człowiek stał.

- Dlaczego wprzód...

- Dlaczego?! - krzyknęła Raczenkowa obracając się nagle do zebranych - to wy nie wiecie dlaczego?!

- A wy sama skąd możecie wiedzieć? - zapytała ją Marta, która stała najbliżej lady. - Tu nie byliście, a dopiero teraz przyjechaliście z Sowietów.

- Właśnie dlatego, obywatelko, ja i wiem, bo przyjechałem z ojczyzny mas pracujących. Dlatego wiem! U was dlatego nie było kolejek przed sklepami, że towar był tylko dla bogaczy, dla burżujów i panów. Biedni nie mieli za co kupować, bo cierpieli nędzę. A dzisiaj każdego stać, dzisiaj masy mogą kupować! Stać i kolejki, i brak towarów.

Zanim skończyła przerwał jej wybuch bezładnego śmiechu i wykrzykników. Ale Raczenkowa nie dała za wygraną: za swą pustą ładą, jak za szańcem, sama jedna przeciw masie, broniła pozycji Związku Radzieckiego. Trudno jej było, ale też przybyła tu nie po to, by gnuśnieć w beczyność.

- To ja też burżujka?! Co?! - krzyczała Ola z tłumu.

- Ale musicie zaczekać! Zaczekać! - usiłowała prze krzyczeć Raczenkowa.

- Czekać i boso chodzić, tak?!

- A po czemu teraz masło! A kiełbasa! A obuwie! - krzyczały jedna przez drugą. - Czy nie dziesięć razy drożej?!

- Igły nawet kupić nie można!

- Chyba tylko portret Stalina... - Która z kobiet wy krzyknęła te słowa, nie podobna było w tłumie ustalić, ale niejednej wydały się już one nazbyt śmiałe, bo nagle głosy zaczęły zacichać, a Maria, żona Franciszka spod Lasu, powiedziała nawet:

- No, jak nie ma kaloszy, to czego tu stać w sklepie i po pustemu bałbotać. - Zawróciła się do wyjścia. Za nią ruszyły dwie inne.

Raczenkowa, która miała za sobą doświadczenia komsomołu oraz kursy agitatorów w Charkowie, wiedziała zarówno z teorii, jak praktyki, iż nie wolno doprowadzić do incydentów z tłumem. "Tłumem", mówił jej kiedyś Iwan Mikołajewicz Jegorow, świetny wykładowca, "trzeba kierować i pro wadzić, a nigdy nie kłócić się z nim albo zwalczać. Zwalczać i likwidować trzeba tylko jednostki z tłumu, i też umiejętnie, indywidualnie. Oto do czego potrzebny jest nam aparat agencyjny naszych władz bezpieczeństwa, tak szkalowany przez państwa kapitalistyczne; jest on w istocie swej najbardziej nieodzownym składnikiem postępu. Bo nieodzowne jest usunięcie kija ze szprych, gdy koło ma się toczyć na przód. Naprzód! Zresztą, i stare przysłowie mówi, że "łyżka dziegiu psuje beczkę miodu". Trzeba ten dziegieć usunąć sprawnie, żeby się nie rozmazał. Trzeba

to umieć robić. Niezgrabne ręce przy tej czynności pobrudzą cały miód i w rezultacie wynika strata. Podobnie z tłumem, trzeba postępować ostrożnie..." Raczenkowa puściła więc mimo uszu wykrzyknik o Stalinie, natomiast skorzystawszy z chwilowe go uciszenia przechyliła się cała ku przodowi, oparła, nalegając brzuchem na ladę, aż zatrzaski z boku spódnicy jej się rozpięły, i zaczęła mówić głosem mocnym:

- Co wy mnie tu, obywatelki, ze swoim masłem, butami czy igłą w oczy kłujecie! My idziemy naprzód, my budujemy wielką przyszłość, my świat cały wzruszamy ze starych posad i przenosimy na nowe tory! A wy w kółko o maśle jakimś, o igłach. Co warte było wasze masło, wasze buty, gdy naród w jarzmie?! My wam niesiemy wolność, a kiełbasa i buty przyjdą... - Nie dokończyła.

W tej chwili dał się słyszeć tętent koni i szczęk rynsztunku. Wszystkie oczy spojrzały ku oknu. Pluton kawalerii za trzymał się na drodze, a podoficer, przechylając się w siodle, wołał coś do okna. Raczenkowa odrzuciła deskę, wyszła zza lady i skierowała się prędko do drzwi.

- Ej, obywatelko! - krzyknęła za nią któraś. - Spódnice zgubicie.

- Dziękuję - odpowiedziała ostentacyjnie, zapinając zatrzaski w pośpiechu i zbiegając z ganku.

- Dobrze, że w majtkach nie wyskoczyła!

- Jeszcze nie wiadomo, czy ma.

- Może jej ich nie podwieźli. - I kobiety ruszyły ku drzwiom, wychodząc za nią przed sklep, aby przyjrzeć się żołnierzom.

- Gdzie tu będzie droga do Białej Waki?! - pytał pod oficer ściągając konia, który tańczył w miejscu, wyrzucał głową i gryzł wędzidła.

Poznać było po Raczenkowej, gdy tak stała, drobna i zaniedbana, koło długiej szabli nie obawiając się drepczącego konia... choć twarzy nie było jej widać, po plecach zdawało się poznać było, że dumna się czuje na oczach wszystkich kobiet ze wspólnoty z tym oddziałem zbrojnych mężczyzn. Uniosła twarz, zmarszczyła lekko czoło i wyciągnęła rękę:

- To będzie tu... Zaraz, niech sobie przypomnę... Pierwsza droga na lewo. - Nie była zupełnie pewna, ale nie chciała zapytać którejś z kobiet miejscowych.

- Nie - odezwała się wysuwając naprzód Weronika. - Na lewo nie przejedziecie. Trzeba prosto tutaj aż do szosy i wtedy dopiero w lewo.

- Ot, ta, krasawica, wie najlepiej - wyszczerzył zęby podoficer, dotknął ostrogą boku końskiego, podjechał do niej blisko, nie zwracając więcej uwagi na Raczenkową i cały aż się wychylił z siodła w uśmiechu. Reszta jeźdźców wyszczerzyła się też do Weroniki i stłoczyła z tyłu.

- Isz, piękność jaka.

Weronika poczerwieniała, chowając wyciągniętą rękę, cofnęła się o krok przed koniem i poprawiła chustkę na piersiach. Z wysokości siodła padło jeszcze kilka żartów i cmokań, za czym oddział, dzwoniąc podkowami po grudzie, ruszył stępą we wskazanym kierunku. Podoficer raz jeszcze się obejrzał rzędem białych zębów na opalonej twarzy.

Raczenkowa, w brzydkim zakiecie, ze źle dopiętym w pośpiechu rozporkiem spódnicy, z którego przeświecał bokiem skrawek koszuli, spojrzała przelotnie na Weronikę i bez słowa, odmierzając przesadnie duże kroki, wracała do sklepu. Tłum kobiet rozchodził się bez pożegnania. Ona zamknęła drzwi i została sama w kooperatywie. Przypomniła się jej ławka w świeżo założonym, bezcienistym skwerze charkowskim, dawno już temu, gdy po dziewczęcemu wyciągnęła przed siebie w powietrze obydwie nogi, obute w gumowe pantofle, oparła na udach dłonie i przechyliła zalotnie głowę, zaglądając w twarz Jegorowa... Przerwała mu właśnie w chwili, gdy perorował z ogniem, co tak bardzo w nim lubiła. Ale w owym momencie zachciało się jej nagle być tylko przekorną dziewczynką:

- "Wszystko to dobrze, Wania, ale powodzenie w miłości osiągają nie "masy" kobiet, ale jednostki, jak myślisz, hę?" - I po co to jej była potrzebna taka zalotność! Przeraziła się surowym wyrazem twarzy Jegorowa, który, zaskoczony w pół zdania, zamilkł, a później odpowiedział sucho:

- "Są rzeczy, Katarzyno Aleksandrowno, które się nie na dają do żartów" - i zrobił ruch, jakby chciał zaraz wstać, ale się powstrzymał. Nie powiedział: "Katieńka", ale właśnie "Katarzyna Aleksandrowna". Jej opadły bezwładnie nogi, a on posiedział jeszcze chwilę i potem pożegnał się obco.

- "Ależ ja zażartowałam..." - szepnęła wtedy i urwała przypomniawszy, że on właśnie powiedział, iż nie należy żartować...

Ktoś pchnął z zewnątrz drzwi.

- Machorki nie ma? - zagadnął chłop, wsuwając głowę.

- Jutro będzie.

- Ech!... - usłyszała razem z trzaśnięciem drzwi, od którego aż szklanki z zielonego, butelkowego szkła zadzwoniły na półkach.

Całe to niepotrzebne nikomu zbiegowisko kobiet przed kooperatywą pokierowało inaczej krokami Pawła, a kto wie może dalszym jego losem... Szedł do przystanku kolejowego i zatrzymał się ujrawszy tłum kobiet przed sklepem, pluton kawalerii, Weronikę zarumienioną, z błyszczącymi oczami, przekomarżającą się, jak mu się zdawało, z żołnierzami i ukłuło go coś podobnego do zazdrości, a zarazem opanowała wielka niechęć do przechodzenia tamtędy, tak że cofnął się za róg płotu. Nie było jednak innej drogi do przystanku. Natomiast dzień był słoneczny, mroźny. Śnieżny puch pokrywał grudę. Paweł zatęsknił nagle do ruchu, do powietrza, które się wciąga pełną piersią i postanowił nie jechać pociągiem, a pójść piechotą do miasta. Zawrócił więc, na przełaj w skos minął wrzosy, wyszedł na bity trakt i poszedł udeptaną z boku ścieżką.

Uszedłszy zaledwie z kilometr, zetknął się z jadącą na przeciw furmanką, którą wyminął nie patrząc, pochłonięty myślami.

- Dzień dobry - usłyszał nagle i - prrr!

W furmance, odziany w kozuch i burkę, siedział Tadeusz Zakrzewski.

- Ach, to śmiesznie! - wykrzyknął Paweł podchodząc.

- Co śmiesznego? - spytał Tadeusz.

- Zbieg okoliczności śmieszny. Bo ja właśnie szedłem do miasta, żeby się z panem zobaczyć.

- Zatem, nie śmiesznie, a świetnie, bo by inaczej mnie pan nie zastał, a i nie wiadomo, jak długo jeszcze.

- A dokąd pan jedzie?

- Na razie... Do Ejszyszek tylko.

Paweł, szczerze ucieszony ze spotkania, począł namawiać, żeby zajechał teraz do niego, coś sobie przegryzą i później będzie mógł jechać dalej. W międzyczasie zaś pogadają trochę. Do miasteczka Ejszyszek będzie około 50 kilometrów, powiedział spoglądając na słońce; zaraz południe, tak czy owak do wieczora chyba nie zdąży i będzie musiał gdzieś nocować po drodze... Tadeusz rzucił okiem na zegarek na ręku i prawie bez namysłu się zgodził. Zrobił miejsce dla Pawła, ten przysiadł się bokiem i ruszyli.

- Co słychać w mieście? - zapytał.

- To samo - odparł Tadeusz. - O aresztowaniach pan słyszał? Konrada pan zna? Wie pan? Też aresztowany!

- Jego?! Jego aresztowali?!

- Fanfaron. Wpadł pewnie przez głupotę. Później aresztowano jeszcze kilku. Zapewne w związku z nim. Aha, między innymi dziś w nocy i Leona.

- Leona?!...!

Zatrzymali się na przejeździe kolejowym. Przeleciał po ciąg, który zagłuszył odpowiedź Tadeusza. Koń podniósł głowę i stulił uszy ku tyłowi, nieprzyjemnie rażony hałasem pociągu. "Jak to dziwnie się złożyło, że nim nie pojechałem", pomyślał Paweł.

Gdy przyjechali do domu, po przywitaniu i przedstawieniu Marcie gościa Paweł powrócił do tematu ostatnich aresztowań, wtrącając retoryczny zwrot, że nikt teraz nikogo nie może być pewny.

- Nikt - przyznał Tadeusz. - Właśnie dlatego nie można się obejść bez ryzyka. Ryzykować trzeba. Nie można być konsekwentnym wtedy, gdy konsekwencja doprowadza do absurdu. Czy ja mogę być zupełnie pewny pana, a pan mnie? Oczywiście, że nie możemy być. Więc jaki wniosek z tej przesłanki? Taki, żeby się nie komunikować wzajemnie? Czyli doprowadzić do kompletnego sparaliżowania społeczeństwa, na czym właśnie bolszewikom najbardziej zależy, a w czym przesadzając w strachu im pomagamy.

- O! Przyznaję panu rację - powiedziała Marta. - Zawsze twierdzę, że przesadzamy i tylko jedni drugich ekscytujemy w strachu.

Tadeusz przypomniał sobie, że ma flaszkę wódki w wozie, i wyszedł, aby ją przynieść.

- No, jak on się tobie wydaje? - spytał Paweł żonę.

Marta zrobiła grymas, wydymając wargi: - Bo ja wiem... - odparła, ustawiając kieliszki przy talerzach.

Tadeusz wrócił i nalewał stojąc. - Wypijmy na "ty", - zaproponował Pawłowi. Jest to dziś jedynie wygodna forma. Prosit! Więc: ty? Otóż, mój drogi, wracając do te matu: w społeczeństwach, że tak powiem, normalnych...

- Niechże pan siada - przerwała Marta.

- Dziękuję. W społeczeństwach normalnych wiadomo jest, za co człowiek wpada, a za co nie. Kto łamał prawo, ten wiedział, że może go spotkać kara. W Sowietach wpada się zarówno za przestępstwa, jak za nic. W jaki zatem sposób możesz wiedzieć, czego się wystrzegać, a czego nie? Ich normy prawne są zupełnie nowe. Także po nowemu trzeba na nie reagować.

- Ale jak?

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się. - Trzeba właśnie dojść, wyszukać: jak.

- I jakież są rezultaty pańskich dotychczasowych poszukiwań? - spytała Marta.

- Widzę, że pani domyśla się, że to robię. Dobrze. Więc znowu, ryzykując, nie będę ukrywał. Pani pyta o rezultaty? Dotychczas są bardzo nikłe. Pewne ściśle praktyczne wnioski na codzienny użytek. Tak na przykład, że lepiej jest uprawiać i zostać złapanym na małym wykroczeniu, niż nie robiąc być podejrzanym o przestępstwo poważne. Ja, ot, sobie handluję po trochu niby, czyli według ich pojęć uprawiam zakazaną spekulację...

- A w rzeczywistości, co robisz? - zagadnął Paweł.

Tadeusz wziął z talerza kęs blina i zanim przełknął trwało milczenie. "Zupełnie inny wydaje rai się teraz", pomyślał Paweł, "niż gdy go poznałem za pierwszym razem. Nie używa też fajki, a pali papierosy."

- Napijmy się - zaproponował Tadeusz. - Ale co za sprawę, mówiłeś, że masz do mnie?

Wychylili wódkę.

- Niech pan poradzi mężowi - wtrąciła Marta - czym by on mógł się teraz zająć?

Tadeusz powoli odstawił kieliszek, wziął nóż i widelec, począł krajać, zapatrzonego w talerz.

Paweł uważał, iż powinien wtrącić jakieś wyjaśnienie:

- Zrobiłeś na mnie wrażenie wówczas w pralni... - zaczął - jakby to powiedzieć, no przede wszystkim człowieka wzbudzającego zaufanie... - "Jak to dziwnie, że zaczynam właśnie od kłamstwa", pomyślał.

- Tobie radzę tak - przerwał Tadeusz. - Kupić konia i wóz i zostać woźnicą. - Umaczał kawałek bliny w śmie tanie, nachylił się ku przodowi, by nie kapnąć i wsadził do ust. - Po pierwsze, najwyższe zarobki wśród robotników niewykwalifikowanych; po drugie, maksymalna możliwość swobody ruchu; po trzecie, co dla ciebie może być najważniejsze, wszyscy robotnicy są rejestrowani, wtłaczani w związki zawodowe, kontrolowani, przesiewani i tak dalej, jak to wiesz. Natomiast jedynie robotnicy z własnymi końmi są ciągle jeszcze wolni... Dlaczego? Sądzę po prostu, iż dlatego, że trudno ich jakoś... - zrobił ruch zaciskania pięści. - Może dlatego, że znaczna część pochodzi ze wsi, może żeby ich nie odstraszać na razie, bo są bardzo poszukiwani w tej chwili w kraju, który mimo zmechanizowania na papierze stoi na trakcji konnej. No, tak... Po czwarte zaś mógłbyś być pomocny mnie.

- Hm...

- Ależ to świetny pomysł... - zaczęła Marta i urwała, spojrzawszy na męża. - Ale skąd wziąć pieniędzy?

- Tak - poparł ją Paweł. - Koń, wóz - kosztują.

- Zima przychodzi. Powiedzmy, na razie tylko sanie. To dużo taniej.

- Wszystko jedno, ale nie mam tyle.

- Może będę mógł pożyczyć - powiedział wolno Tadeusz.

Marta i Paweł wymienili ukradkowe spojrzenia.

W następnej chwili pies zaczął ujadać; słychać było, jak szarpie łańcuchem i aż chrypnie od uciskającej go obroży. Marta wstała i wyszła zobaczyć.

Za płotem, spacerowym krokiem, rzucając niedbałe spojrzenia na furmankę stojącą po środku podwórza, szedł Antoni Rymaszewski. Marta wróciła.

- Kto tam był? - spytał Paweł.

- Sąsiad? - spytał Tadeusz.

- Tak - odparła krótko, siadając do stołu.

Jedli milcząc, tylko pies szczekał za oknem. Gdy skończy li, Tadeusz spojrzął na zegarek. - No... ale czas już chyba na mnie.

Marta niewybrednym ruchem trąciła nogą Pawła pod stołem. On zmieszał się w pierwszej chwili w obawie, czy gość nie zauważył, a nie wiedząc, jak nawrócić do poprzedniej rozmowy na temat kupna konia i ponętnej propozycji pożyczki, zaczął namawiać Tadeusza, by pozostał i przenocował u nich. Tadeusz ponownie spojrzął na zegarek, jakby decyzja mogła zależeć właśnie od godziny. Zawahał się, pomyślał chwilę i odpowiedział:

- Dobrze, ale w takim razie pod warunkiem, że jutro pojedziesz ze mną razem.

- Ja?! - wykrzyknął Paweł, zaskoczony.

- Tak. Obgadamy twoją przyszłą karierę furmańską. Może nawet coś kupimy odpowiedniego w Ejszyszkach. Miasteczko słynęło ongiś z targu końmi. Pojedziesz?

Paweł się zgodził. Marta milczała.

Dawno już krótkie słońce zimowe przesunęło się znad lasów południowych nad lasy zachodnie i zaczęło dotykać co wyższych wierzchołków sosen; koń chrupał owies, prosiaki dwa razy wyżarty swoją dzienną porcję; wrony, leniwie i wysoko, zwiastując mróz, ciągnęły stadami, obsiadając szczyty drzew; dymy z chałup poszły prościutko w górę; w dalekich więzieniach zapalono nieosłonięte żarówki; zając kicał z gęstwiny do skraju lasu, szykując się do żeru na runi polnej; błysnęła pierwsza gwiazda na niebie, pierwsze reflektory samochodów na ziemi; skrzypnęły studzienne żurawie po wsiach. Najkrótszy dzień żegnał krainę narodów Związku Radzieckiego i oddalał się na kapitalistyczny zachód.

- ...trzeba zdać sobie przede wszystkim bardzo dokładnie sprawę z sytuacji - mówił Tadeusz, chodząc wielkimi krokami po pokoju Pawła tam i na powrót. - To, co widzimy wokół, jest rodzajem psychicznego paraliżu. Powiadasz: "Skutek terroru psychicznego, jakiego świat dotychczas nie widział". Słusznie, ale jakie są źródła, na czym bazuje się ten terror, skąd czerpie swą siłę magiczną? Znajomość psychiki ludzkiej? Owszem, zgadzam się, ale to jeszcze nie wy prowadzi nas ze sfery ogólników. Trzeba wiedzieć z chirurgiczną dokładnością, który tu mianowicie klawisz ludzkich zwojów mózgowych jest naciskany. Moim zdaniem, bolszewicy dokonali naprawdę epokowego wynalazku i jak wszystkie tego rodzaju, jest on względnie prosty. Natura ludzka wskutek swej niedoskonałości, nie jest w stanie osiąść prawdy absolutnej. W tych warunkach kłamstwo w dziedzinie psychicznej jest zjawiskiem równie naturalnym, jak, po wiedźmy, w dziedzinie fizycznej jest nim żywioł powietrza, wody i tak dalej, bez których nie możemy się obejść. Niezależnie od tego, czy będzie to kłamstwo złe, złośliwe, czy też niewinne, towarzyskie, czy, jak bywa, miłosierne. Jeżeli teraz nawrócimy do mego poprzedniego porównania z wodą, zobaczymy, że ongiś znalazł się wielki wynalazca, który pod żywioł wody podstawiał koło i wyzyskał w ten sposób naturalny potencjał dla swych celów. Identycznie zrobili bolszewicy: pod naturalny potencjał ludzkiego kłamstwa podstawili młyńskie koło, nie po to, by mleć mąkę albo piłować deski na tartaku, ale żeby przepytłować ludzką psychikę. Ja nie będę tu mówił o doktrynie bolszewickiej. Jest to temat bez dna. Ja mówię o technice bolszewickiej, bo tylko znajomość techniki może nam dać klucz do zahamowania ich maszyny. Otóż bolszewicy doszli na podstawie studiów bardziej praktycznych niż teoretycznych, że skon centrowane kłamstwo ludzkie posiada siłę, której granic na razie nie znamy, że można dokonać przewrotu gruntownego w takich dziedzinach, jak mowa ludzka, znaczenie słów itd. - Tadeusz zatrzymał się pośrodku pokoju, uniósł głowę i wskazał palcem sufit:

- Jeżeli ty albo ja, albo ktoś z normalnych ludzi w normalnych warunkach zechce na przykład zebrać, że sufit jest nie biały, a czarny, to rzecz wyda się nam zrazu bardzo trudną. Zaczniemy od kołowania, chrząkania, wskazywania na cienie po jego rogach, będziemy tłumaczyć, że w istocie swej nie jest on już tak zupełnie czysto biały... Jednym słowem, będziemy się posługiwać skomplikowaną metodą, która zresztą nie doprowadzi w końcu do celu, bo nikogo nie przekona my, że sufit jest czarny. Co robią natomiast bolszewicy? Wskazują sufit i mówią od razu: "Widzicie ten sufit... On jest czarny jak smoła". Punkt, dowiedli od razu. Ty myślisz, że to jest ważne dla ludzi, że prawda jest odwrotna? Zapewne tak myślisz. A oni się przekonali na podstawie praktyki, że to wcale nie ważne. Że wszystko można twierdzić i że twierdzenie zależy nic od jego treści, a od sposobu jego wyrażenia. I oto widzimy jak dochodzą do następnego etapu, powiadając do ludzi tak: "A teraz wyobraźcie sobie, że istnieją podli kłamcy, wrogowie wszelkiej prawdy naukowej, postępu i wiedzy, którzy tak nisko upadli w swym nikczemnym zakłamaniu za pieniądze kapitalistów, że ośmielają się łącać w żywe oczy, że sufit jest biały!" I zebrany tłum wyrazi swe oburzenie, wzgardę, a nawet śmiać się będzie i wykpiwać tak oczywiste kłamstwa tych wrogów prawdy... My sądzymy dotychczas, że oni mogą wyczyniać takie seanse zbiorowej hipnozy tylko u siebie po uprzednim zmaltretowaniu swoich obywateli. Nic podobnego. Oto przychodzą do nas i wydają na przykład broszurkę o tym, co u nas się działo. Dla nas o nas samych. Ja tobie zaraz pokażę. - Wyjął z podręcznej teczki małą, szarą książeczkę.

- Co to jest? - spytał Paweł, który wpołleżąc na kanapie i słuchając Tadeusza zabawiał się

głodzeniem kota, a teraz wyciągnął rękę po broszurę.

Dziełko wydane zaraz po wkroczeniu armii czerwonej w granice wschodniej Polski w r. 1939, nosiło tytuł "Zapadnaja Bielaruś". Na odwrocie okładki: "Państwowe wydawnictwo literatury politycznej. 18 drukarnia moskiewskiego trestu politgrafiki. Nakład 100 tysięcy". - Widziałem to - rzekł Paweł zwracając.

- Czytałeś?

- Nie.

- To posłuchaj: "W Polsce istniało takie prawo, że gdy zaskrzypi koło u wozu chłopskiego, niepokojąc sen obszarnika, chłop musiał płacić 7 złotych sztrafu. Obszarnik miał prawo bić chłopą aż do utraty przytomności, zabrać odeń ziemię i cały inwentarz za długi - zupełnie bezkarnie i bez żadnego sądu... Robotnik pracował więcej niż 20 godzin na dobę... W armii panował system kar cielesnych, bito pałką mi... żydzi mogli chodzić tylko po niektórych ulicach, po innych nie mieli prawa..."

Paweł roześmiał się szczerze.

- Ty się śmiesz? Śmieje się może jeszcze kilku, do słownie. Ci, którzy jeszcze rozumują starymi kategoriami, kiedy to twierdziliśmy, że podobna lektura byłaby lekturą humorystyczną. W tym tkwił właśnie nasz błąd. To nie jest literatura humorystyczna. Oni to kolportują u nas masowo i... ludzie się nie śmieją. Nie do pomyslenia? - mówiś. - Owszem, to jakby na przykład wydać w Londynie książkę, że przechodnie nie mieli prawa mijać pałacu królewskiego inaczej, jak na przykład na klęczkach albo coś w tym rodzaju. Zaręczam lobie, że też nie będą się śmiali, gdy zostaną zagarnięci przez bolszewików. Zaręczam. "Nie do pomyslenia" może być coś jedynie póty, póki istnieje możliwość wytknięcia tego kłamstwa palcem. Z chwilą Jednak gdy palec zostanie sparaliżowany, wszystko staje się do pomyslenia. Oni o tym właśnie wiedzą.

- No, ale poza granicami...

- Co poza granicami? Zaprzeczenie każde stwarza jedynie sporność sprawy. I wiele milionów powie sobie: "Ostatecznie, nie ma dymu bez ognia"... Otóż bolszewicy stworzyli: dym bez ognia. To są rzeczy genialne, mój drogi! Sto tysięcy nakładu dla rozpowszechnienia w naszym kraju, który jeszcze pół roku temu wiedział, jak było naprawdę!

- Schował broszurę i wyjął inną książeczkę, w czerwonej, płóciennnej okładce.

- Co ty za bibliotekę wozisz ze sobą? - zażartował Paweł.

- A to, dla pewnych celów... misyjnych - odpowiedział Tadeusz tym samym tonem. - Ty może myślisz, że oni tak piszą tylko na najniższym szczeblu propagandy? - Ciągnął dalej. - Więc posłuchaj wielkiego pisarza Maksyma Gorkiego, jak on pisze o świecie niesowieckim: "...I cóżbyście robili, gdybyście nie umieli łączyć?!... Ogromną zasługą władzy sowieckiej jest stworzenie takiej prasy, która szeroko zaznajamia ludność z życiem całego świata i demaskuje kłamstwa tego życia... Fakt znamienity tego świata, to wrogi stosunek do myśli..."

- Oj, dosyć - Paweł zrobił ruch ręką.

- Ty możesz sobie na to pozwolić, żeby przerwać, ale miliony i miliony muszą słuchać podobnych rzeczy, muszą. W głowie zaczyna się kręcić. Jakaż może być dyskusja, gdy wszystko postawione jest właśnie do góry nogami. Słowa mają tu znaczenie odwrotne albo nie mają żadnego. Odbierz ludziom pierwotny sens słów, a otrzymasz właśnie ten stopień paraliżu psychicznego, którego dziś jesteśmy świadkami. To jest w swej prostocie tak genialne, jak to zrobił Pan Bóg, gdy chciał sparaliżować akcję zbuntowanych ludzi, budujących wieżę Babel: pomieszał im języki.

- Więc jakież jest, twoim zdaniem, sposób przełamania tego zbiorowego paraliżu, wywołanego hipnozą kłamstwa?

- W każdym razie nie można go szukać na drodze polemiki. Sam fakt bowiem polemiki wciąga w

orbitę i prze nosi nas w płaszczyznę bolszewickiego absurdu.

- Więc jaki? Powiedz.

- Należy go szukać na drodze równie prostych odruchów psychicznych: strzelać!

Paweł usiadł i oderwał rękę od kota:

- Jak to, strzelać? Do kogo?

- Zwyczajnie. Po prostu. Do bolszewików.

Nastąpiło milczenie. Tadeusz wciąż chodził tam i z powrotem po pokoju. Kot, który mruczał dotychczas, urwał i obejrzał się na Pawła.

- Wybacz mi - odezwał się Paweł - ale czy to rozwiązanie nie jest już trochę za proste?

Powiedziałbym: za naiwne?

- Czy ty znasz - odparł Tadeusz, zatrzymując się po środku pokoju - bajkę Andersena o szacie królewskiej? Wiesz, tę, że była taka szata, którą tylko ludzie sprawiedliwi mogli widzieć, i gdy król szedł, rzekomo w nią przybrany, a w istocie goły, wszyscy krzyczeli: "Cóż za przepiękna szata ta", bo nikt nie ośmielił się przyznać, że jej nie widzi. I dopiero naiwne dziecko zawołało pierwsze: "Ależ on jest goły!" Ten okrzyk naiwny przywrócił wreszcie poczucie rzeczywistości wszystkim. Tak samo pierwszy naiwny jak go nazywasz, strzał...

- Nie wszystko da się uprościć za pomocą przerośniętych i cytaty. Gdyby życie wypełnione było tylko gotowymi wzorami do naśladowania... Ale przede wszystkim strzały po ciągną za sobą ofiary wśród strzelających. Więcej nawet, mogą być właśnie na rękę bolszewikom, demaskując ich wrogów, służyć za prowokację...

- Jakby oni i bez tego nie wiedzieli, kto jest ich wrogiem!

- ...Po zabójstwie Kirowa - ciągnął nie przerywając sobie Paweł - nie tylko opozycja partyjna, ale setki tysięcy ludzi, zwłaszcza resztki rosyjskich sfer antysowieckich, przy płaciło głową.

- Teraz ja ci zarzucę naiwność rozumowania. Rozumujesz ciągle jeszcze kategoriami "mieszczańskimi". Takie rzeczy, jak preteksty czy prowokacje, w ich starym, materialnym znaczeniu, również uległy przeobrażeniu. Za czasów gdy strzelano do Kirowa, bolszewicy nie doszli jeszcze do tej perfekcji w ich wynalazku, co dziś. Kirow - to był właśnie ostatni objaw przeżytego okresu. To, co osiągnęli dziś za pomocą swego koła, podstawionego pod strumień skondensowanego kłamstwa, przekonało ich, że stare metody policyjnych prowokacji są zbyt proste. Hitler, gdy napadał na Polskę, przebierał ponoć jakichś tam zbirów w polskie mundury na granicy, którym kazał następnie atakować niemieckie posterunki. Stare, mieszczańskie kawały! Bolszewicy wiedzą, że nie trzeba nic: robić. Wystarczy tylko: powiedzieć... Czy ty myślisz, że jak napadali na Finlandię potrzebowali podstawiać jakiegoś przebranego faceta, który by strzelił do nich pierwszy z linii Mannerheima? Po co! Oni po prostu: po wiedzieli. Tylko powiedzieli, że Finowie pierwsi zaczęli strzelać. To wystarczy. Gdyby im dziś potrzebne było wywarcie represji podobnej, jak to było po zabójstwie Kirowa, to sądzisz, że będą czekać na pretekst strzałów albo sami oddadzą strzał prowokacyjny? Nic podobnego! Oni tylko: oświadczą, że taki strzał padł. A jeżeli im to nie będzie w tej chwili potrzebne, to żebyś strzelił sto razy, schowają to w kieszeń. Nie wszyscy jeszcze mogą to pojąć, że oni mogą powiedzieć cokolwiek bądź, co tylko chcą. - Tadeusz podjął swój spacer po pokoju, milcząc przez czas dłuższy. Kot zeskoczył z kanapy i skierował się do drzwi.

- Bolszewicy - zaczął znowu Tadeusz, otwierając drzwi i wypuszczając kota - bolszewicy niczego tak bardzo nie boją się na świecie, jak strzałów, strzałów wśród... ciszy. Oni doskonale rozumieją, jakiego rodzaju moralnym echem od bić się może podobny strzał. Po co utrzymują ten przeogromny aparat policyjny? Największy na świecie. Myślisz, że dla zabawy? Tak sobie przez wrodzony sadyzm, jak to przedstawia naiwna propaganda antysowiecka? Śmieszne? Przez miłość do setek tysięcy enkawudzystów, żeby im dać nieprodukcyjne posady i pensje. Tyle pieniędzy, tyle energii ludzkiej wyrzucić na marne? Nieee, mój drogi, oni się w takie rzeczy nie bawią! Konkretny

strach przed strzałami zmusza ich do tego; zapobieżenie strzałom, niedopuszczenie do nich za cenę tego zawrotnego budżetu policji politycznej!

- Przypuśćmy, że masz rację. Ale strzały są objawem materialnej przemocy. Wynika więc, że ich logicznym prze znaczeniem jest kierowanie i trafiać również w jakąś moc materialną. Innymi słowy, propagując strzały, wysuwasz potęgę materialną sowiecką ponad jej psychiczne oddziaływanie czyli przeczysz sam sobie.

- Nie, nie przeczę. Po pierwsze: psychiczne działanie bolszewizmu, jak każde tego rodzaju, wymaga ciszy i skupienia. Nie da się chloroformować pacjenta, gdy ten się rzuca; nie da się hipnotyzować w atmosferze krzyku, hałasu, a tym bardziej huku strzałów. Jeżeli to, co przeżywamy w tej chwili, podobne jest do złego snu, to czyż ze snu nie najłatwiej jest wyrwać kogoś hukiem? Materialne znaczenie strzału sprowadza się jedynie do kawałka ołowiu, który trafia w ciało. Ale huk wystrzału, to jego moralne znaczenie o wiele większe od poprzedniego i niezależne, czyś trafił, czy chybił. Ba, a przecież tu chodzi o masy. Ty się możesz zbudzić ostatecznie od trzasku wywróconego krzesła, a masy czym zbudzisz? Tylko strzałem. - Zapalił papierosa i niewidzącym ruchem podał ognia Pawłowi. - Ach, przepraszam. Nie palisz?

- Nie tak dużo.

- Mój ojciec był sztabs-kapitanem w rosyjskiej armii carskiej w tamtej wojnie. Zima roku 1915 pułk jego rzucony został do Suwałk, pod sam front. Wyładowali się z pociągu i zajęli przygotowane koszary w oczekiwaniu dalszych dyspozycji. Tymczasem Niemcy, którzy są mistrzami wojny, za skoczyli raptownie. Rano, gdy pułk ustawiał się najspokojniej na dziedzińcu koszar, do Suwałk wpadł pluton kirasjerów niemieckich. Dowódca tego plutonu w asyście tylko dwóch konnych wjechał przez bramę na podwórzec i mając przed sobą tysiąc uzbrojonych ludzi, kazał im po prostu składać broń. I wiesz, co nastąpiło? Wszyscy zaczęli karabiny rzucać na kupę, a podoficerowie przynaglali ludzi. Oficerowie w tym czasie jeszcze się golili. Kilku z nich wyskoczyło w szelkach i też potraciło głowę. Mój ojciec mydlił sobie twarz przed oknem. Gdy zobaczył, co się dzieje, odłożył spokojnie pędzel, wziął karabin, pchnął okno, zmierzył i wystrzelił. Nie trafił, ale to nie było konieczne. Niemcy rzucili się do ucieczki, tak jak przedtem wpadli, a wszyscy żołnierze z powrotem do karabinów. Tak oto jednym strzałem ratuje się tysiące przed psychiczną przewagą jednostek. To prze życie ojca, który je często opowiadał, zapadło mi głęboko w pamięci. Nie będę ci prawić truizmów. Podobne rzeczy są znane i powtarzają je wszystkie kroniki wojenne setkami. Niemcy dlatego, moim zdaniem, są mistrzami wojny, bo rozumieją lepiej od innych właśnie jej psychiczną grę. Czytałeś zapewne w gazetach o wyczynach niejakiego generała Rommla na francuskim froncie sprzed kilku miesięcy. To są jeszcze dziecinne igraszki w zestawieniu z tym, co wyczyniał w tamtej wojnie z Włochami, na froncie pod Isonzą. Brał w niewolę siły stokroć silniejsze, działając metodą psychicznego sparaliżowania tłumu. Stare rzeczy, jeżeli chodzi o wojnę. Natomiast w polityce dopiero bolszewicy doprowadzili je do perfekcji, jaką widzimy.

- Dlaczego w takim razie postępują tak ostrożnie, do każdej rzeczy podchodzą etapami?

- Właśnie dla uniknięcia ryzyka takiego strzału z okna. Na wojnie ryzyko jest niezbędne. Ale oni nie chcą wojować, oni wolą brać gołymi rękami i mają rację. Oni nie znoszą ryzyka i, w ich sytuacji, mają rację.

- Widzę - powiedział Paweł wstając - że uważasz Sowiety za tzw. kolosa na glinianych nogach, którego można jednym strzałem...

- Tak. Na glinianych. Niestety, nie wszyscy tylko sobie zdają sprawę z rodzaju gliny. Sowiety są najmniej materialistycznym państwem na świecie. Cała ich siła oparta jest wyłącznie na operowaniu psychiką ludzką.

Było bardzo późno w noc, gdy poszli spać. Tadeusz do stał posłanie na tej samej kanapie, na której ongiś sypiał Karol.

Paweł wszedł na palcach do sypialni, żeby nie budzić Marty, ale ona leżała na wznak z otwartymi

oczami.

- O czym tak długo gadaliście? - spytała.

- O polityce.

- Boże, czy nie szkoda czasu? - I po chwili dodała:

Sama ciebie namawiałam, ale teraz... Doprawdy nie jestem zupełnie pewna... Po co właściwie masz jechać do Ejszyszek, ty?

- No, zobaczymy - odparł Paweł ściągając buty.

XII

Część wschodnich obszarów Polski, zajęta przez wojska sowieckie w roku 1939, włączona została do białoruskiej republiki sowieckiej ostatecznie aktem z dnia 2 listopada tegoż roku. Natomiast ziemia wileńska łącznie z całą Litwą prawie o rok później, bo 3 sierpnia 1940, do litewskiej republiki sowieckiej. Dlatego różnica w zasobności tych republik była ogromna. W litewskiej proces sowietyzacji życia dopiero się zaczynał, podczas gdy na ziemiach włączonych do białoruskiej był już na ukończeniu. Wynikała stąd przede wszystkim różnica cen. W litewskiej można było jeszcze do stać na czarnym rynku buty, ubranie, skórę, manufakturę, inne fabrykaty, galanterię i żelazo, natomiast po białoruskiej stronie brakło tych rzeczy kompletnie. Kilo cukru kosztowało w Wilnie 3 ruble, a w Lidzie - 15, Baranowiczach 25, w Brześciu 60 rubli. Za pilnik płacono się w Litwie 2 ruble, za granicą zaś biegnącą o kilkadziesiąt kilometrów bardziej na wschód - 14 rubli. Rozrósł się handel pokątny i wymienny, zwany oficjalnie spekulacją.

Władze sowieckie walczyły ze spekulacją w ten sposób, że po prostu rozciągały na tereny włączone do "wielkiej rodziny narodów wyzwolonych" zakaz wolnego poruszania się. Wprawdzie na stacjach nie było nigdzie napisane, że kolejami jeździć nie wolno, owszem, podmiejskimi było wolno, ale dalekobieżnymi... "Po co?", pytał kasjer przy okienku. "Pokaż dokument podróży". Tuż przy okienku stał agent NKGB. Kandydat na pasażera wycofywał się zazwyczaj tyłem, z uśmiechem winowajcy na ustach, a później bokiem, bokiem, usiłował czym prędzej zniknąć w tłumie.

Ponieważ auta prywatne przestały w ogóle egzystować, najbardziej rozpowszechnionym i zarazem najpewniejszym pozostał stary środek lokomocji: furmanka konna.

Tadeusz wiozł ze sobą 10 tuzinów pilników do pił, grube paczki z bibułą do tytoniu, pięć tysięcy proszków od bólu głowy, za które płacono po 2 ruble za proszek, gdyż brak medykamentów dawał się szczególnie we znaki na wsi. Poza tym większą ilość sacharyny w pudełkach. Wszystko to zamierzał przekazać handlarzom w Ejszyszkach, którzy ze swej strony przerzucą towar za granicę białoruską.

Zakładając o świetle dobrego konia, maści deresz, do lekkiego wózka, Paweł spytał Tadeusza, skąd wziął taki wspaniały zaprząg? Tamten odparł wymijająco, że to od przyjaciół. Paweł zagwizdał z cicha z uznaniem i pojechali.

Pociągnęły się najpierw łyse, kuliste wzgórza, po których wiła się droga i koła stukały twardo na zamarzniętej ziemi. Niebo po zimowemu zaciągnięte było jednolitą, białoszarą pokrywą chmur; bezmierne pola pokryte jak lukrem po wierzchu tylko drobnym śniegiem, z którego przeziarała ruń zasiewów jesiennych. Gdy wjeżdżali na wierzchołek wzgórza, patrzyli przed siebie, jak spada, wije się znów w górę pusta droga, niknie z oczu i znowu, hen, daleko ukazuje się na trzecim z kolei wzniesieniu.

- Szeroko tu - ziewnął Paweł, wyciągnął nogi w sianie i założywszy ręce za głowę, na wpół leżąc, począł patrzeć w niebo.

Tadeusz cmoknął na konia i poruszył lejcami. Koła po toczyły się zwawiej.

- Przegadaliliśmy wczoraj do pół nocy - odezwał się Paweł sennie - ale przyznasz, że niewiele wiem o tobie. Nawet, skąd pochodzisz.

- Z Wołynia. Byłem kiedyś agentem ubezpieczeniowym.

- Jeżeli to nie jest tajemnicą...

- Chcesz zapytać, skąd się tu wzięłem i kim właściwie jestem? To że mój ojciec był oficerem jeszcze dawnej armii rosyjskiej, o tym ci już, zdaje się, mówiłem. - Pojechali teraz stępa pod górę i Paweł uniósł się na łokciu przysłuchując się.. - Rewolucja bolszewicka w roku 1917 zastała nas w Kijowie. Mieszkaliśmy później w Moskwie i Rostowie nad Donem. Ojciec umarł... Zawsze miałem za złe matce, że później w opowiadaniach robiła go ofiarą bolszewickiego terroru, co zresztą ułatwiało jej niejedno po tej stronie. W rzeczywistości zaś umarł on śmiercią zupełnie naturalną, w rok po rewolucji. Ja miałem wtedy lat szesnaście. Przyglądałem się jej, tej rewolucji, i zacząłem myśleć, dużo myśleć. Myślenie stało się wówczas moim zawodem, bo innego nie miałem. Śmieszne, co?

- Nie, dlaczego?

- Tk-tk! - cmoknął na konia. - Słusznie. Przyroda nie zna rzeczy śmiesznych. Śmieszność i humor, tak zwane poczucie humoru, są to w istocie jedynie wykrzywienia ludzkiej psychiki. Świat jest poważny... Byłem agentem ubezpieczeniowym na wschodnich terenach Polski. Jeździłem. Poznałem bardzo dużo ludzi. Szarych ludzi. Nigdy nie byłem na górze. To, co poznałem, poznawałem wszystko od dołu. No, a gdy teraz góra rozwalila się, sądzę, że przyszła pora...

Zaczęli zjeżdżać z pochyłości i Tadeusz napinając lejce przytrzymał konia, zdawało się, skupiając na tej czynności całą swoją uwagę. Na dole rozpędził, zacinając biczem, aby z tym większą łatwością wjechać na następne wzgórze; dopiero w połowie pochyłości dał koniowi przejść na stępa. Puścił wtedy wolno lejce i wyciągnął papierosa.

- Zapalisz? - Zapalenie na wietrze zajęło im trochę czasu. Tymczasem koń wciągnął na szczyt i oczom podróżnych ukazała się równa droga, biegnąca wśród niskorostej brzeziny i krzaków. Dalej, wprost przed nimi, widniał nie równy, czarnozielony grzebień świerków na horyzoncie.

- Puszczaj już? - spytał Tadeusz, chowając zapalniczkę do kieszeni pod kozuchem.

- Uhum. - Obydwaj przez chwilę patrzyli milcząc na ten banalny widok, jaki stanowią w tym kraju postrzępione wierzchołki leśne na tle białego nieba. Tadeusz znowu ruszył lejcami i potoczyli się monotonnie po równinie.

- Widzisz - podjął znowu - muszę ci się przyznać do pewnej... jakby to nazwać... ni to właściwości charakteru, ni to organizmu... Powiedzmy przykładowo: są ludzie, którzy wchodzą sobie najspokojniej na cudze podwórka strzeżone przez złe psy i ku największemu zdumieniu gospodarzy psy nie gryzą tego intruza. Nie gryzą go w ogóle żadne psy. Otóż mnie na ogół nie gryzą ludzie. A chyba wiesz z własnego doświadczenia, że są oni raczej gorsi od psów... - urwał i po chwili zmienił temat:

- Zwróć uwagę, że przeżywamy teraz największe do świadczenie dziejowe. Dotychczas tysiące ludzi zastanawiało się nad fenomenem bolszewickim, patrząc nań bądź to z okien turystycznego wagonu, bądź z łagrów i katorg. Zналиśmy zarówno straszną nędzę tamtego życia, jak jego tak zwane osiągnięcia: fabryki, stachanowszczyzny, zналиśmy wykresy, statystyki, doktryny, teorię i praktykę w granicach Związku Radzieckiego. Jednej rzeczy nie zналиśmy dotychczas, jedna tylko dziedzina leżała nie w zasięgu naszego doświadczenia, a jedynie luźnych hipotez i przypuszczeń, właśnie najważniejsza dla całego niesowieckiego świata, ta: "Co się stanie, gdy pewnego ranka machina bolszewicka wystąpi ze swych granic i zetknie się ze starym, wolnym światem? Jakie formy przybierze wtedy jej akcja i jakie formy - reakcja wolnych ludzi?" Oto było pytanie, na które nikt przed rokiem 1939 nie mógł dać odpowiedzi. I oto dziś na pytanie to odpowiedzieć możemy my. Spójrz, co się dzieje wokół! Wszystko się rozkłada, rozpada, całe narody przeistaczają się w mięż, w gówno!

Paweł podciągnął nogi, usiadł wygodniej i patrzył w las, w który wjeżdżali, ale Tadeusz zdawał się w tej chwili nie spostrzegać ani lasu, ani drogi.

- Najważniejsze - mówił - aby z tego, co się u nas dzieje, wyciągnąć słuszne, a nie znowu fałszywe wnioski. Jakże śmieszne wydają się mi te puste frazesy, na które wyłano tony farby drukarskiej, gdy poddawano psychohistoriozoficznej analizie zjawisko procesów i pokajañ moskiewskich w roku 1937! "Rosyjska dusza" - mówiono - "azjatyckie rabstwo". Wszystko' bzdura! Tak samo kajać się i tarzać w błocie będą Anglicy w Londynie, Francuzi w Paryżu, Niemcy w Berlinie, Polacy w Warszawie!... - Odchrząknął, przechylił się, splunął na bok i dodał głosem ochrypłym. - A może jeszcze o wiele gorzej - kto to wie?

Paweł żuł w zamyśleniu źdźbło siana, które wyciągnął z wozu.

- Dziś mówią - podjął Tadeusz - że "bolszewizm nie jest taki straszny, jak go malują", albo nie wierzą i sceptycznie tylko pokiwiają głowami: "Ach, ten Wschód!... My, Anglicy, my Francuzi, Niemcy, Włosi, my ulepieni jesteśmy z innej gliny, my byśmy się nie dali!" "My nigdy nie upadniemy łak nisko! My mamy swoją kulturę zachodnią, która..." I tak dookoła Wojtek. Niestety, kłamstwem można pacjenta uspokoić, ale nigdy uleczyć ani uchronić go przed zarazą. Zresztą, bo ja wiem, czy słusznie upieram się przy tym jednym terminie: "zaraza", na określenie tego psychicznego paraliżu. Można go też porównać do hipnotycznego

działania kobry. A wiesz, jak najpraktyczniej unieszkodliwić kobrę? Nic wiesz? To ci powiem: bierze się tęgi kij i wali kobrę w łeb.

- No-no - mruknął Paweł pod nosem - no-no.

Jechali wciąż lasem.

Miasteczko Ejszyszek od wieków zamieszkałe było głównie przez handlarzy żydowskich. Brukowane kocimi łbami, wykoszlawionymi jak bardzo stare obcasy; rynek pusty w dnie nietargowe; sklepy, w których wiszą konopiane sznury, łań cuchy, babskie chusty, w oknach stoją zakurzone talerze z fajansu, a w drzwiach beczka ze smarem do kół, czasem po społu z workiem mąki lub zardzewiałym pługiem. Cztery restauracyjki z przygodnym zajazdem.

W tej chwili większość sklepów była zamknięta. Otworzono kooperatywę, w której nowym zwyczajem kupować można było tylko ograniczoną ilość towaru na podstawie zaświadczeń.

- Kak ich chalera! Żydouki prahlatyje! - przeklinali chłopci, wyładowując zły humor z tego stanu rzeczy na sprzedawczynię.

Istotnie, głównie Żydówki miejscowe obsługiwały kooperatywę, jak niedawno jeszcze obsługiwały sklepy swoich ojców i mężów. Nie są już jednak grzeczne, jak bywało, i zabiegające o klientów. Przeciwnie, roztargnione, niedbale traktujące tych, którzy z właściwych klientów przeistoczyli się raczej w petentów.

Restauracje czynne są jeszcze, ale już głośno się mówi o otwarciu stołówki ludowej. Z tego to powodu obywatel Szloma Kowarski ma wielkie zmartwienie.

Do niego właśnie zajechali.

Trudno byłoby określić na oko, ile lat liczył sobie ten człowiek. Skronie przyprószone siwizną, twarz tłusta i po marszczona zarazem. Nos koloru buraczanego. Oczy małe, ukryte. Gdy tak stał pod piecem, grzejąc plecy, na pierwszy plan wysuwał się jego brzuch. Marynarkę miał rozpiętą, a na wytłumaczonej kamizelce leżała tombakowa dewizka. Stał i patrzył w nieznana dal, jaka się przed nim rozwierała ponad puste stoliki restauracji, poprzez szare okienka w szary dzień, który się włókł po ulicy. Jakaś bardzo stara i zapewne już bardzo dawno wyssana przez pajaka mucha wisiała w pajęczynie okna, ale Kowarski jej nie spostrzegał. Nie przywykł spostrzegać rzeczy nieistotnych, nieważnych. Rzeczą istotną była w tej chwili katastrofa interesów. Lecz jego twarz nie wyrażała na pozór nic z tego, co mówił bólem przepojony głos jego żony, dochodzący zza niskiego przepierzenia:

- Uś uś uś... Och...

- Co pani jest? - zapytał Paweł starej Żydówki.

- Ja mam słabe serce.

Kowarski ani drgnął. Patrzył przed siebie, wprost w okno. w wolną przestrzeń nieba ponad chlewem z drugiej strony ulicy.

Miał on dwie córki. Starsza, Sonia, była ładna, czarna, chodziła w wysokich bucikach, modnych teraz. Młodsza, Gałka, brzydka, podobna do ojca z twarzy, brzucha i nóg, została członkiem miejscowego komsomołu.

Nazajutrz rano Paweł obudził się, gdy Tadeusza już nie było w izdebce. Przeciągnął się, ziewnął kilka razy i zaczął się ubierać.

- Gałka!!..., - krzyczał ojciec w głębi restauracji - Kum a her!

Gałka poleciała do sklepu, aby sprzedać chłopu żądane przezeń obwarzanki i pięć deka landrynek dla dzieci. Stamtąd dochodził jej miody głosik, załamujący się w zjadłym skrzeczeniu, gdy targowała się o kopiejkę, targowała z namiętnością starej żydowskiej przekupki:

- Co gada, co gada takie rzeczy! - krzyczała do chłopca - te landrynki, to jeszcze polskie landrynki!

Paweł nie dosłyszał odpowiedzi kupującego, a tylko znów wysoki, skrzekliwy głos Gałki:

- Nie sowieckie, nie! Co mnie będzie mówić! Sowieckie ja za pół ceny mogę sprzedać. A to nastojaszczce landrynki... Nie zawracać mnie głowa!

- Uś uś... - lamentowała stara z cicha, i tak samo, jak wczoraj, Kowarski stał pod piecem we frontowej izbie, tylko zdawało się nogi rozstawił jeszcze szerzej i milczał. Sonia ubrała się elegancko i poszła na rynek, gdzie w jednym z opuszczonych sklepów zapowiedziany był odczyt pt. "Kontrola i nadzór mas pracujących nad użytkowaniem ziemi, lasów i wód w wolnej ojczyźnie Związku Radzieckiego".

Paweł zamówił sobie śniadanie i przy okazji dowiedział się źródła troski małżeństwa Kowarskich. Interesy rozwijały się przed rokiem 1939 znakomicie. Restauracja dawała coraz większe zyski, zwłaszcza odkąd wybudowano nową szosę. U Kowarskiego była większa frekwencja niż u konkurentów. Prawda, że pracował ciężko. Jeździł, skupywał żywność za pół darmo, targował się o każde ćwierć grosza, kombinował, oszukiwał. Ale się dorabiał. Postanowił tedy inwestować i rozszerzając interes zbudował nową płytę w kuchni.

Najlepszy zdun przyjechał z miasta i postawił mu płytę na dwanaście fajerek. Stało się to prawie w przeddzień wkroczenia armii czerwonej.

Porządki nastąpiły zupełnie inne. Miejskowe władze postanowiły uruchomić ludową stołówkę. Obejrzano wszystkie restauracje i Kowarskiego okazała się najobszerniejsza, a przede wszystkim jego kuchnia najbardziej pojemna. Ko misja ustaliła to w protokole i nad Szlomą Kowarskim zawisło widmo nacjonalizacji przedsiębiorstwa, oczywiście łącz nie z jego własnym domem, który był kupił w roku 1928.

- Tyle lat pracy, tyle lat pracy... Uś uś... - stękała stara. - Sonia, ona chodzi na każde zebranie polityczne, Gałka w komsomole. Ale co to pomoże, co to pomoże?...

Tadeusz wrócił przed południem, załatwiwszy część interesów dosyć pomyślnie, zabrał z kolei nową partię przemytu i poszli z Pawłem przez pusty rynek do karczmy Hackiela Goldmana. Ten, nie sprawdzając i nie patrząc nawet, wsunął paczkę pod ladę i wypłacił pieniądze bez słowa. Tadeusz zgarnął je do kieszeni i siedli przy stoliku koło bufetu, zamówiwszy wódkę i smażone rybki.

Żyd zapytał, jaka była droga, a później dyskretnie o no winy z miasta. Słuchał uważnie, co mu Tadeusz mówił, sam nie wtrącając już ani słowa. Po chwili milczenia, która potem nastąpiła, Tadeusz

odezwał się nagle:

- I co pan powie, panie Hackiel, tak na zdrowy, kupiecki rozum: człowiek pracuje całe życie, a tu przychodzi taka władza i odbiera mu za jednym zamachem wszystko.

- Komu? - zapytał Hackiel za szynkwase, wydrapując paznokciem brud z kieliszka.

- No, a chociażby staremu Kowarskiemu. Hackiel wzruszył ramionami: - Czy to władza winna?

- A kto?

- On sam sobie winien. Po co jemu było stawiać w kuchni dwanaście fajerek?

Tadeusz wypłuł na podłogę kawał rybiej ości i nic nie odpowiedział.

W Ejszyszkach wypadło zatrzymać się przez dwa dni, w oczekiwaniu na przyjazd pośrednika, który miał zabrać cały transport sacharyny. Tegoż dnia miał się odbyć co tygodniowy targ, jeszcze dozwolony.

Od świtu już stukały po bruku kola. Trzęsły się, podrzucane na nierównej jezdni, baby na u wozach, jagnięta, worki, świnię; szli chłopcy w kozuchach z Lejcami w rękach, szły krowy uwiązane za rogi z tyłu wozu. Różnoraki, wielokrotny gwar uderzał w zapotniałe szyby izby.

Gdy zaraz po śniadaniu Tadeusz wyszedł na rynek, do pokoju wpadła zadyszana Sonia:

- Jakaś milicja przyszła!... - Zanim Paweł zdążył się zorientować, chwyciła wiszący na gwoźdźniku wbitym w ścianę klucz i wepchnęła mu w rękę.

- Od czego to? - spytał szeptem.

- Od wygodki, prędko!

Kowarscy z bogaciwszy się wydzielili sobie na wspólnym podwórzu własny wychodek i dorobili doń klucz, ażeby inni mieszkańcy domu nie mogli zeń korzystać. Paweł wyszedł tylnymi drzwiami, wcisnął się pomiędzy śmietniki, kurnik i wozownię, otworzył kluczem drzwi, zamknął je na haczyk od wewnątrz i czekał. Niedługo. Już po kilku minutach usłyszał obcasy Soni, wymijające na podwórku kupy gnoju. Zastukała, śmiejąc się wesoło:

- Niech pan wychodzi! Oni chcieli tylko napić się lemoniady!

Paweł odczepił haczyk i wyszedł również rozweselony. Znów śmietniki, kurnik, wozownia. Przed nim po dziedzińcu śmigwały zgrabne łydki Soni, a dalej parkan, domy, grudniowe niebo i głucho turkotał jarmaczny dzień w miasteczku, korzystając jeszcze z wolnego handlu. - "Wolność!" - pomyślał - "Cóż to za rzecz!". - Dużymi krokami dopędził Sonię, uchwycił ją za rękę.

- Ach, Sonia, Sonia! Jaka z ciebie rozstrzepanica. Dziś targowy dzień, tysiące obcych ludzi w miasteczku, a ty mnie

w ustępie zamykasz.

Zaśmiała się wyrывая bez przekonania rękę.

- A ja wiem?... Kto pan taki? Wiem, że pan Pilecki, to on...

- Kto taki?

- Pilecki.

- Jaki Pilecki?

- No, Pilecki - zatrzymała się patrząc w zdumieniu na Pawła. Pański przecie kolega, no ten, co razem z panem mieszka, no?

- Aaaa... Tak, naturalnie, Pilecki. Na ciebie patrząc pomieszało mi się w głowie. To, mówisz, że co on?

- Oj, puścić mnie! Nie mam czasu, pełno ludzi w sklepie.

- Sonia! rozległ się okrzyk starego Kowarskiego.

Paweł puścił jej rękę, wyszedł na ulicę i stanął przed domem, przyglądając się ruchowi jarmacznemu. Tadeusz obiecał być wrócić przed południem i mieli pójść razem oglądać konie na rynku. - "Pilecki...", pomyślał, "kogoś miałem znajomego o tym nazwisku...", ale nie mógł sobie przypomnieć. Postanowił pozdrowić go żartem w ten sposób, jak wróci. Ale nie doszło do tego.

Gdy uśmiechając się wewnątrz Paweł wszedł do izdebki, zastał tam niespodziewanie Tadeusza, który musiał wejść widocznie drzwiami od podwórza. Był ubrany jak do podróży, szybko pakował walizkę, i można było wnioskować z jego podnieconych ruchów, że jest czymś bardzo zaaferowany.

- No, chwała Bogu, że jesteś! - powiedział szybko, nie patrząc na Pawła. - Gdzie byłeś? Zresztą, wszystko jedno, nie mam czasu! Słuchaj...

- Co się stało?

- W porządku, w porządku. Nic. - Wyjął z bocznej kieszeni grubą paczkę banknotów. - Tu masz - powie dział zniżając głos - pięćset czerwoców, które tobie pożyczam. To znaczy pięć tysięcy rubli. Możesz sobie kupić niezłego konia, bo teraz spadają w cenie na łeb w obawie kolektywizacji. Wozy, niestety, drogie, ale jakoś kombinuj. Później porozmawiamy szczegółowo. Teraz ja się strasznie śpieszę. Nie będziemy mogli wracać razem, bo tak się zło żyło, że zaraz muszę jechać z pewnym człowiekiem... na białoruską stronę. Ty wracaj, jak potrafisz. Dobrze by było, że byś już tu nie nocował.

- Dziękuję - odparł Paweł, biorąc pieniądze. - Więc jak i kiedy się zobaczymy?

- Aha... - Tadeusz zatrzymał się w progu, zawahał, wszedł z powrotem i zamknawszy drzwi powiedział: - Słuchaj, gdyby zaszedł taki, zresztą mało prawdopodobny, wypadek, żebym w przeciągu trzech miesięcy od tej chwili do ciebie się nie zgłosił, to bądź łaskaw zejść do pralni, wiesz, zapytaj o pannę Halę i powiedz jej, że ja... Zresztą, nic nie mów szczególnego, powtórz tylko, jak było, to już ona będzie wiedziała. Ale nie wcześniej niż po upływie trzech miesięcy. Szczęśliwej drogi!

- Nawzajem. Pomogę ci założyć konia.

Gdy Paweł zamykał bramę za wyjeżdżającym Tadeuszem, przypomniał sobie dopiero:

- A pieniądze - zapytał - komu mam zwrócić pożyczkę w razie czego; pieniądze?

- Też jej.

W kilka godzin później ostatni pijak wytoczył się z knajpy Szlomy Kowarskiego, zwałił się do czekającego nań wozu, a koń, nie kierowany, ruszył utartym szlakiem cło domu. Po dobie jak milkną kawki na kopułach cerkiewnych, stada wron w parkach miejskich, jak zacichają kopyta konnicy, która wróciła do koszar po ćwiczeniach, a na szosę opada tylko po nich zwolna kurz i pustka - tak z cicha zapada w martwość po dniu rynkowym małe miasteczko w dale kim, sennym kraju. Pozostają nawisłe chmury, bezładne żdźbła słomy, koński nawóz, drgające na wietrze pierze po sprzedanej kurze. I tylko na niektórych drogach, wybiegających na kształt palców u ręki i jakby uciętych zapadającym mrokiem, jak cisza w uszach tak dzwonią w pustce druty na słupach telegraficznych.

XIII

Śnieg padał i padał. Od Tadeusza wciąż nie było wiadomości. Paweł kupił sobie konia w mieście, wozu odpowiedniego nie znalazł, ale też nie był mu na razie potrzebny. Po życzył od Mani sanie, które stały bezużytecznie w szopie, gdy mąż jej, Jan, wciąż jeszcze siedział w więzieniu za nielegalną sprzedaż świni.

Pracę znalazł w odległym o pięć kilometrów sowchozie; przy zwózce drzewa z lasu do smolarni.

Pewnego ranka jechał aleją prowadzącą do byłego pałacu dawnego właściciela, gdy spotkany człowiek prosił, by go podwieźć. Na skinienie głowy, siadł tyłem do wiatru i za pytał Pawła:

- Do lasu?
- Tak. Wozić osikę.
- Dużo płacą?
- Mało. 10 rubli za metr.
- Na machorkę, musić, ledwo zarobisz?
- Prawie że nie więcej.

Chłop zdjął rękawicę, przechylił się, w dwa palce ująwszy nos zgrabnie się wysmarkał, wytarł wierzchem dłoni i włożył rękawicę z powrotem.

- Zmieniłem jednego pana na drugiego - powiedział.

- A tamten był zły?

- Kto jego wie, jaki on tam był w sobie. Ja po jego po kojach nie chodziłem. Pan siedział we dworze, a ja w chacie. A teraz jak w kazarmach. - Zeskoczył koło kuźni, podziękował i poszedł drogą do smolarni.

Ranek był mroźny. Na drzewach osiadła szuć. Lasy były go obszarzaki rozrzuciły się po wzgórzach i jarach, bardzo niedogodnych do wywózki drzewa. Paweł wybrał sąg stojący pośrodku polany i zabrał się do ładowania, ale robota niesza mu tego dnia. Na spodzie leżały ogromne szczapy i nierozłupane komle. Trzeba było odrywać je od zmarzłej ziemi, dźwigać i wrzucać do sań.

Podrąbywał łód siekierą, podwazał żerdzią, nie zważając na pot, który zalewał mu oczy. Ciągnął, dociągał porzucał na chwilę, aby złapać trochę oddechu; po chwili zbierał siły i ujmował za nowo. Ręka zaczęła mu krwawić od zadrażnienia, nie czuł bólu, skupiwszy całą uwagę na zawilej kombinacji podciągnięcia kłody i oparcia jej brzegu o podłogę sań. Nagle koń zrobił krok na przód, by zerwać pęd młodej sośniny spod śniegu, i odciągnął sanki o kilka centymetrów. Kłoda ześliznęła się i padła w zagłębienie. Paweł skoczył wściekły, porwał konia za uzdę, targał nim, kłął brzydko, po chamsku; w uniesiony do góry łeb koński z wystraszonymi oczyma patrzył prawie z nienawiścią: "Naazaaad!!" krzyczał, pchając wstecz. Robotę musiał zaczynać od nowa.

Tak szła szczapa po szczapie, ale największych nie miał siły unieść. Odwrócił się mimowoli do towarzyszy, którzy opodal ładowali swoje sanie. Jeden stał już gotów na drodze i skręcał "cygaretkę". W pobliskim zagajniku chłopak z sąsiedniej wsi przeklinał straszliwymi słowami swoją klacz. Prawie nad jego głową dzieciół wykuwał sosnowe szyszki: obrabiał je dziobem, wyjadał nasienie, następnie silniejszym uderzeniem wytrącał je ze szczeliny i leciał po nową. Wracał, szorstko prując powietrze skrzydłami i migocąc w słońcu pstrokacizną. Wsadzał zgrabnie nową szyszkę do szczeliny i zabierał się do pracy. Wykończył, znów wytęcił i znów leciał po następną. W ten sposób płynęły godziny. Na śniegu pod sosną gromadził się stos obrobionych szyszek.

Paweł załadował wreszcie sanie, spiął łańcuchem, podniósł lejce i wziął do ręki bad. "Ale, czy wyjadą z tego śniegu?" - myślał z niepokojem. "Ach, Boże, żeby tylko koń wyciągnął. Koniowi dopomóż, nie mnie!...?? - Wielki, kary grzbiet wspiał się w łuk, uda zadrgały w strasznym naprężeniu, podpinka na podsiedziółku skrzypnęła złowrogo... Paweł z boku wpił swoje ramię w kłonicę sań, nogi wparł w śnieg: "No, no, nooo! Kary! ??- Sanki drgnęły, już, już prawie... I raptownie lewa użwa, zbyt przepojona tłuszczem ześliznęła się z hołobli, duha poleciała precz. Koniec. Trzeba konia na nowo zaprzęgać.

Zacisnął zęby. A czas leci. Leci, dzieciół po nową szyszkę. Suną obłoki nad drzewami. Sunie słońce na niebie, nieubłagane. Chłopak z zagajnika zdążył już wyjechać na drogę.

- Co tam jest z tobą? - krzyknął do Pawła.
- Użwa, psia ją mać..., mać, mać! Nietrzyma!
- Wsadź pod spód rękawicę albo jedliny kawałek! - odkrzyknął i ruszył.

Paweł wyjechał z polany ze znacznym opóźnieniem. Droga do smolarni była miejscami zawiana, miejscami zwiana aż do piasku. Nie można było ani na chwilę spuszczać z niej wzroku. Bo droga dla woźnicy jest istotą pełną wyrazu a zmienną jak samo życie. Ma swoje humory i swój charakter.

Prowadzi w dół na łeb, to znów pod bardzo ciężką górę. Czai się na swej prostej niespodziewanym korzeniem spod śniegu, kamieniem. Droga może być wprawdzie przyjacielem, ale bywają dni, w których staje się wrogiem najgorszym, z którym się walczy w pojedynkę. Mróz się wzmaczał. Wszystko wokoło zaczynało skrzypieć. Paweł tego dnia ledwo zdążył obrócić z lasu do smolarni dwa razy.

W drodze powrotnej do domu było już ciemno. Na zachodzie pozostało po zorzy wieczornej jedynie wąskie, zsiniałe pasmo jaśniejszego nieba. Paweł podciągnął wyżej podpinkę na podsiedziółku, ukląkł na przodzie sań i ujął lejce.

- Uważajcie, chłopcy, nocą - odezwał się jeden z woźniców na tylnich saniach - a to mówią, że wilki jakoby pojawiły się.

Paweł spojrzał pytająco na gajowego, który stał przy drodze i patrzył na odjeżdżających.

- Ech, tam, mówią - mruknął gajowy. - Jedne owieczkę w zaścianku zjedli. Jeszcze nie wiadomo, czy sam gospodarz na mięso jej nie chciał sprzedać. Żeby na świecie nie było gorszych strachów jak wilki! - Odwrócił się ociężale i spojrzał ku zachodowi.

Gnali szybko. Mróz zapierał dech. Paweł zwrócony do konia miał tuż przed sobą kłęb jego zadu, który niestrudzenie kołysał się i miesił tylnymi nogami drogę. Od blasku gwiazd błyszczała ona wyszlizganym mrozem. Jechali lasem jak między ścianami czarnego korytarza. Po upływie godziny zamigotało wreszcie światelko na przejeździe kolejowym. Minąwszy go skręcił między domy osiedla. Bolesnie, prawie płacząc-zawodząc skrzypiał żuraw w obejściu Rojkiewiczów.

O tej samej porze Marta przesłaniając z boku dwoma rękami oczy zbliżyła je do szyby, by odczytać termometr za oknem. Wskazywał 29 stopni poniżej zera. W lesie pękały z mrozu drzewa.

Paweł zjeżył się pod kożuchem i pomyślał: "A jak inni w ten sposób całe życie, z domu do lasu, z lasu do domu..." I gdy chwilę potem wchodził do sieni, otrzepując ze szronu futrzany kołnierz, postanowił nieoczekiwanie: "Można być jednak szczęśliwym!..."

Od tego postanowienia minęło dziesięć dni. Pogoda uległa gwałtownej zmianie. Marta wstała o piątej rano, wprost na koszulę narzuciła wielki kożuch, wciągnęła na bose nogi walonki i zapaliła świeczkę w ręcznej latarni. Odsypawszy poranną miarę owsa, poszła przez podwórze do stajni. Pies pobiegł z tyłu. Skobel usuwał się z trudem. Mar ta musiała na śniegu postawić miarę owsa i latarnię, a później dwoma rękami otwierać drzwi. Pies obwąchał owies i ziewnął, tak szeroko rozdziawiając mordę, że w blasku latarni widać było czarne jego podniebienie; następnie zębami począł iskać pchły w kudłach koło ogona. Koń stulił uszy i sapał ciężko w żłób. O piątej rano czasu moskiewskiego panowała głęboka noc. Paweł spał jeszcze. Ale koń musiał być nakarmiony co najmniej na godzinę przed wyjazdem. Do pracy wyjeżdżał Paweł zazwyczaj o szóstej. Dlatego Marta wstawała wcześniej, by mu oszczędzić godzinę snu, sama zaś mogła później jeszcze wrócić do łóżka i odespać trochę.

Na dworze stała wilgotna mgła. Śnieg był miękki, drzewa czarne i mokre. Od kilku dni panowała odwilż. Gdzieś w sąsiedztwie zapiał kogut. Jednocześnie prawie, daleki jak echo, dał się słyszeć gwizdek pierwszego pociągu z miasta. Pod kożuch i koszulę wdzierał się przejmujący chłód. Marta wróciła do kuchni, przysiadła przed paleniskiem płyty i zaczęła rozpalać ogień na ranne śniadanie dla męża. Pies łapą otworzył drzwi, wpuszczając strumień zimnego powietrza i za pach mokrej psiej skóry.

- Poszed do budy! - krzyknęła na niego i zatrzęsnęła drzwiami. Pies, który słyszał ten okrzyk wiele razy w ciągu doby, wycofał się tyłem i poszedł nie do budy, a wzdłuż płotu obwąchiwać znane mu na pamięć zapachy.

W wilgotnoziastym powietrzu komin ciągnął z trudem, ogień rozpałał się niechętnie. Potem wstał Paweł. Przeszedł przez kuchnię bez słowa i wyszedł na podwórko. Pies mu siał podbiec na jego przywitanie, bo usłyszała, jak Paweł krzyknął: "Poszed do budy!" - Po chwili powrócił, ostukał buty z przyklejonego śniegu o próg.

- Po czemu płaciłaś mąkę ostatnio? - spytał, poprawiając rzemień na spodniach. Spojrzała na niego z ukosa.

- Ależ ty i chodzisz rozchełstany, jak...

- No, już dobrze, dobrze... - odparł szorstko, przechodząc do pokoju.

- Osiemnaście rubli za pud! - zawołała za nim. Odpowiedział coś, czego nie dosłyszała. Zarobki Pawia nie przekraczały przeciętnie dwudziestu rubli dziennie, bardzo rzadko sięgając trzydziestu. Ledwo wiązały koniec z końcem.

Maria pobiegła do ogrodu, w to miejsce, gdzie rosła kępa sosen. Nogą roztrąciła śnieg, zerwała garść zielonych pod śniegiem listeczków borówczanych i powróciła szybko. Herbaty ani prawdziwej, ani sztucznej nie można było teraz

dostać, chyba za grube pieniądze. Zaparzali więc liście borówek zrywanych z lasu. Dawały one piękny kolor różano-herbaciany i żadnego smaku. Po wypiciu osiadał na szklankach brudny i trudny do wymycia osad.

- Poszed do budy! - krzyknęła jeszcze raz na psa, który się płatał pod nogami. Pies poszedł do furtki i tam przy siadł, gdy nagle zawarczał krótko i zaczął szczekać. Obróciła się pośpiesznie i zobaczyła postać, której w ciemności nie mogła rozpoznać. Był to Tadeusz.

Przyjechał pierwszym, rannym pociągami. Marta, gdy go poznała po głosie, odczuła instynktowną przykrość, że nie będzie mogła pójść spać zaraz po śniadaniu; Paweł na jego widok poczuł instynktowną przyjemność, że nie będzie potrzebował wyjeżdżać zaraz na robotę. Tadeusz, mimo że również niewyspany, był w dobrym humorze.

- Przyjechałem po twoją duszę - żartował zacierając ręce przed ogniem. - Musimy sfinalizować nasz układ i chciałbym dziś jeszcze ruszyć w drogę.

Marta słuchała uważnie, mrużąc oczy. Paweł patrzył nań pytająco.

- Znasz warunki, w jakich handluję - ciągnął Tadeusz - jeżeli ten zakazany proceder, objęty dziś pojęciem spekulacji i przemytu, można nazwać handlem. Z ryzyka i niebezpieczeństw, mam nadzieję, też zdajesz sobie sprawę. - Tu rzucił wzrokiem w kierunku Marty i dodał: - Zresztą, nie przesadzajmy, nie są one tak wielkie, jak się wydają.

Marta spuściła wzrok, poprawiając coś na stole.

- Dobrze. Słucham - wtrącił Paweł.

- Proponuję więc następujące warunki: Będziesz jeździł ze mną, gdy wypadnie tego potrzeba. Mój towar i manipulacja, twoje środki komunikacyjne. Praca i ryzyko wspólne. Zysk czysty na połowę. Przy tym z przypadającej na ciebie części otrzymasz na rękę dzienną najwyższą stawkę, jak byś pracował normalnie gdzie indziej, bo wiem, że nie masz pieniędzy. Resztę zaś potrączę na spłatę twego długu. Dobra? Nie bój się, może po dwóch, trzech najwyższych wyjazdach, spłacisz cały dług.

- To są świetne warunki - odpowiedział Paweł, unikając dłużej wzroku żony. - Czekałem na ciebie od kilku tygodni. Dlaczegoś dopiero dziś przyjechał?

- Niedawno wróciłem, a później chciałem doczekać się bezksiężycowych nocy.

Wyjechali o wczesnym popołudniu, tak aby linię rozgraniczającą litewską republikę radziecką od białoruskiej mogli przekraczać nocą. Było stąd niezbyt daleko, ale mu sieli zrobić krąg do odległej o dziesięć kilometrów samotnej osady, w której zdeponowany był towar Tadeusza. Zanim dojechali zapadał już zmierzch. Paweł pozostał w sankach, podczas gdy Tadeusz z właścicielem zagrody znosili worki i pakowali je w sanie.

Noc gęstniała. Nie dojeżdżając dużej wsi Stasiły, stanowiącej oficjalne rozgraniczenie między republikami, Tadeusz kazał skręcić w prawo i zatrzymać przy pierwszej chacie jakiegoś osiedla. Poszedł, zastukał i znikł w sieniach, ale już po chwili powrócił.

- Nie ma go - powiedział markotno i postął przy saniach niezdecydowany. - Psia krew! Nie wiem, co robić. Sami nie przejeździemy.

- Dlaczego?

- Bo tu trzeba wiedzieć, jak... Teraz zaczynają się lasy i tam zasadzają się teraz bandyci, którzy polują właśnie na takich, jak my: z towarem. Później znowu linia graniczna na rzeczce i bywają częste patrole. A w Stasiłach do tego wszystkiego straż chłopska każdego podejrzanego ma prawo zatrzymać. Dadzą tacy drągiem po głowie, zabiorą towar i po krzyku; między sobą się podzielą. Człowiek miejscowy, i o wie, którędy się przemknąć, bo sytuacja ciągle się zmienia. Miałem takiego przewodnika właśnie i diabli wiedzą, gdzie go poniosło. Hm...

W dali widać było duży płomień, skaczący dziko wśród nocy. - Wieprza osmalają czy co - mruknął Tadeusz w zamyśleniu. - Podjedźmy tam - zdecydował.

Koło czwartej chaty paliło się ognisko podsycane słomą, i w jego migotliwym blasku dostrzec było kilka sylwetek. Okazało się, że robili coś wokół rozkopanego kopca, w którym na zimę zwykle się przechowywać kartofle.

- Zmrozili, na czysto zmrozili! Gnój! Na pola wyrzucić! - biedował gospodarz. Tadeusz odciągnął go na bok i zaczął mu coś tłumaczyć. Ludzie przerwali swą czynność, przyglądając się przybyszom. Paweł wylazł również z sań, żeby się ogrzać trochę przy ognisku.

- Hm, cóż, droga można pokazać, dlaczego, owszem - mruczał gospodarz podchodząc z Tadeuszem. - A ile pan dajesz?

- Pięć czerwoniców dosyć chyba będzie?

- Mało - uciął chłop. - Za taką rzecz, mało.

- No, to ile?

- Bez stu rubli szkoda gadać. Pan sam, widzę, nie palcem robiony. Wiesz, co za interes. Dzisiejszym czasem, oho!... A ot, ja wszystkie kartofle stracił, przemrozili na błoto. Ot, tobie, i żyj do wiosny. A cóż to sto rubli, nic!

- Samogon musisz będziesz pędzić z nich, a? - dociał zbliżając się sąsiad, bo wiadomo, że samogon kartoflany wyrabia się tylko z mrożonych. Gospodarz udał, że nie słyszy docinka.

Tadeusz zgodził się dać sto rubli.

- Kościa! - zawołał gospodarz do syna. - Moża ty by podsiadł do ichnich sań i pokazał ludziom drogą, jaką, wiesz, ... teraz.

Syn, chłopak dwudziestokilkuletni, nie miał widocznej ochoty i wymawiał się. Odwilż, mówił, woda rozlana. Noc ciemna: - Gdzie ja tam będę pokazywał... Sam nie znajdę.

Innym razem może by ojciec przyznał rację synowi, ale prawdopodobnie poniesiona strata uczyniła go bardziej ła-sym na zarobek.

- Podjedź, Kościa, mówił łagodnie, prawie prosząco. Za trzy godziny będziesz z powrotem w chacie. Toż nie daleko. Tam, na Kacze Bagno, dziś spokojnie i przez rzeczkę. A da lej niechaj sami

jadą. Weź kożuszek.

- Rzeki lodem dziś nie przejedziesz. Woda wszędzie.

- To prowadź na mostek.

- Na mostku... Kto ich wie, jak tam na mostku...

Ot, oni, sto rubli dają. Możliwość dorzucić cokolwiek jeszcze...

- Za sto rubli i ja by pojechał pokazać - odezwał się ten sam co uprzednio chłop.

- To jedź! - odciął mu Kością ze złością, jednak po szedł do chaty po kożuszek. Za chwilę wyszedł, ale z tyłu wybiegła baba.

- Gdzież ty jego na taka noc posyłasz! - zakrzyczała do męża. - Zwierz ty! Ludzie jakieś po nocy badzają się, nie wiadomo co za jedne! I skąd, cholera, ich nieczysta siła przyniosła! A ty zaraz: "Jedź"! Nie wiadomo jeszcze, czy za płacą, po nocy, w lesie!

- O, co się tyczy zapłaty, to już prawda, że trzeba z góry dać - przyznał gospodarz.

Tadeusz dał mu sto rubli i obiecał jeszcze czerwońca do rzucić chłopcu po przeprowadzeniu. Baba umilkła. Gdy odjeżdżali, stary krzyknął jeszcze: - Kością!

- A?!

- Ty, synek, uważaj!

Nie odpowiedział.

Noc była czarna, wietrzna wiatrem, który już od kilku dni nawiewał niespodziewaną w ciągu zimy odwilż. Płynące po niebie chmury od czasu do czasu uchylały zasłonę z gwiazd i wtedy dostrzec było można odbłask rozlanych kałuży po śniegu, lęk duhy kiwający się nad końskim łbem, czarne zarysy lasu. Kością, któremu Paweł oddał lejce i bał, wyciągnął go pokazując w lewo:

- Tam, ot, oni zasiadają. Pilnują głównej drogi. A my jak raz bokiem, bokiem damy się, i nawet nie usłyszą.

- Kto? Bandyci?

- A cóż pan myślał.

Paweł wsadził ręce w rękawy burki i poprawił się na siedzeniu. Tadeusz milczał. Kością siedział bokiem na przodzie sań. Koń przystanął w kałuży.

- No, jedź, jedź, braciszku, czego stanął - mruknął Paweł.

- A niech on wody popije. - Cicho, cicho bulgotała woda. Koniowi niewygodnie było pić, zgiął jedną nogę w kolanie, sącył długo, uparcie poprzez wędzidło. Wreszcie uniósł łeb, zamłaskał i niepopędzany sam ruszył.

- Co z tymi kartoflami u was wyszło takiego? - spytał Paweł, aby przerwać naprężone milczenie.

- To i wyszło, że sam baćka winien. Przyjechali, tygodnie temu dwa, ludzie z miasta i "dawaj", proszą, "kartofli im sprzedać". Prawda, cena dawali akuratna, dobra cena, ale gdzież w taki mróz będziesz kopiec rozkopywać...?! Nu, my, tak-siak tłumaczyli im, ale oni przystali jak te muchy do konia: sprzedaj im koniecznie i jeszcze nadbawili. A później straszyć zaczęli, że sowieli pod wiosnę rekwirować będą. Wiadomo, każdy na swoją stronę ciągnie. Ot, baćka i złakomił się na zarobek. Słomą, mówi, okryjem, od mrozu zasłonim... A gdzież tam słomą zasłonisz! Otwarli kopiec, a teraz jak od liga przyszła, patrzymy wczoraj, że jakby dym dał się z kopca. Dziś odkopali: nawskroś przemarznęte.

- Dużo kartofli?

- Wszystkie, jakie miałem... Teraz po cichu pojedziem - dodał. - Lepiej nie gadać.

Wyjechali z lasu. Kościa zeskoczył z sań i poszedł przed koniem, człapiąc butami w mokrym śniegu.

- To już Kacza Łąka? - zapytał go szeptem Tadeusz.

- Kacze Bagno - poprawił Kościa i nagle przystanął. - Ciccicho... - Postali chwilę nasłuchując. Nic, tylko wiatr, wiatr prawie wiosenny, ciepły, dał im w twarz, nasiąknięty wilgocią, zapachem śniegu, upajającą świeżością przestrzeni, wiatr z południa. Kościa odwrócił się i szepnął:

- Postojcie tutaj. - Sam zniknął w ciemności. Nie było go długo. Później dało się słyszeć ciche człapanie; po wrócił i wyjaśnił szeptem:

- Baćka, to on mądry. Niechajby sam jechał. Ja mówił, że rzeki nie przejedziem. Jemu to tylko zarobek w głowie... Trzeba teraz na lewo, do drogi i na mostek. Na tym mostku sowieci często stoją. Pilnują. Pan - zwrócił się do Pawła - niechaj lejce puści, ja konia za uzdeczkę przeprowadzę. Podjedziem bliżej, może słyszeć będzie, czy są. Tylko cicho teraz... Dobrze, że wiatr z tamtej strony. Może i przeskoczym jakkolwiek.

Pojechali między krzakami, ale Kościa prowadził pewnie jak po wyraźnej drodze. Gałęzie były po oczach, w ciemności nie było widać nic prócz niewyraźnych sylwetek zarośli. Po upływie kilkunastu minut dobrnęli do grobli. Znowu po stali, nasłuchując. Nic, tylko wiatr. Kościa pociągnął nosem, rozsunął krzaki wikliny, włożył na groblę. Było tak ciemno, że nawet gdy się patrzyło z dołu, sylwetka jego nie odcinała się na tle nieba. - Ja pójdę zobaczyć - szepnął znowu, jak za poprzednim razem, znikł w mroku i znowu nic, tylko wiatr leciał nad nakrytymi śniegiem moczarami, szarpiąc gałązki krzaków. Minęła bardzo długa chwila, podczas której nie dochodził żaden inny odgłos. Wreszcie powrócił.

- Zdaje się, nie czuć nikogo. Wjedziem na grobla. Mo stek niedaleko. Tylko, że bieda, że śnieg na bierwionach nadto zmyło... Czy przeszorujem, nie wiadomo, my przez nie co, po gołym drzewie? Sanie ciężkie, widać.

- Przepchniemy - odszepnął Tadeusz.

- Pewnie, że stać nie będziem, ręce założywszy. Ale czy zdołamy tylko? Można by śniegu podsypać pod płozy, ale szumu narobim. A po drugie, czy jest u was łopata?

- A mostek długi?

- Nieee...

- To jazda - zdecydował Tadeusz. - Koń mocny. Już bez słowa podparli sanie, wydostali się na groblę.

Mostek leżał o ćwierć kilometra dalej. Szli obok sań piechotą. Na niebie zbiegały się chmury. Gwiazdy znikły. Zrobiło się czarno. Nagle koń stuknął kopytem o drzewo, potknął się, poderwał i załomotał po mostku. - "Raaazem!"... skomenderował Kościa świszczącym szeptem. Paweł chlasnął konia biczem i jednocześnie wszyscy trzej wparli się ramionami w sanie, pchając je z całej siły po oślizłych belkach mostu. Płozy zazgrzytały po drzewie, koń sapiąc głośno i tłukąc podkowami robił wiele hałasu. - "Raaazem!" podbechtywał Kościa. O kilka kroków dalej zamajaczyła biała płachta śniegu po drugiej stronie mostu. - "No, koniec udrę ki..." przemknęło Pawłowi, i zebrał muskuły do ostatniego, najwyższego napięcia. "Jak wtedy osikę", pomyślał. "Ciągle coś pchać trzeba; bo życie, dobrze się mówi, że się je pcha naprzód..."

I oto w tej samej chwili, nagle, posłyszeli z lewej strony w ciemności wyraźny chrzęst rozsuwanych krzaków i jednocześnie padły dwa głosy:

- Stoooj! A wy dokąd, obywatele!? - Głosy były lekko zdyszane. Najwidoczniej patrol usłyszał z pewnej odległości podejrzany rumor na mostku i zdążył nadbiec w samą porę. - Dokąd po nocy! A?

- Jeden z żołnierzy, szybko sapiąc, wdrapywał się na groblę.

- Po koniu!! - syknął Tadeusz z mocą, wskazując kolanami z tyłu do sań. Paweł podskoczył bokiem

i ze zwisającymi w powietrzu nogami, szarpnął lejce i zaczął bić batem konia, nie bacząc, że zaczepia o głowę Koście. Ten skulił się, siłą rozpędu pchał jeszcze, później skoczył na przód sań.

- Stój! Stój! - rozległy się z tyłu wołania. Uciekający jednak zdążyli już odgalopować kilkanaście kroków i wszystko zapewne mogłoby się skończyć dobrze, gdyby na drodze ludzkiego życia nie zdarzały się przeszkody i takie, jak drobny garb na grobli, powstały wskutek zasypania uprzedniej jamy świeżym piaskiem. Wzniesienie było ledwo znaczne, miało nie więcej wysokości niż dwa centymetry, a długości może około dwóch metrów, dostateczne jednak, by - wystawione w ciągu kilku dni trwającej odwilży na działanie wiatrów i słońca - stanowić odpływ dla tającego śniegu... Płozy zgrzytnęły po gołym piasku, koń stanął.

- Ach! - zdołał wykrztusić Kościa; Paweł walił biczem prawie na oślep. Z tyłu słychać było kroki dobiegających ludzi. - Stooooj! Taka wasza mać!! - W tejże samej chwili Tadeusz, jakby się sam ze sobą zaszamotał gwałtownie, bo nie mógł sięgnąć do kieszeni burki, którą przyciskał kolanem, ale w następnej sekundzie przechylił się, wyrwał ją, wy dostał granat i rzucił prawidłowym łukiem, ale z niewygodnej pozycji za siebie, bez dostatecznego rozmachu, za blisko. Usłyszeli jak ciężki przedmiot padł na drogę opodal - "Głowy!!... Chować!!!"... - zdążył jeszcze krzyknąć, sam padając na płask w saniach. Paweł zgarbił się, upadł na niego bokiem; Kościa chciał zeskoczyć z sań i zaplątał się w lejce obcasem buta; odczepił je jednak, najwidoczniej nie zdając sobie sprawy z tego, co zaszło. Ale już błysk rozdarł ciemności, ogłuszający wszystko huk, ciepły oddech powietrza i z gwizdem przeleciały odłamki! - Koń oszalał ze strachu, stanął dęba, rzucił się naprzód, szarpnął sanie, przeciągnął przez piasek. Z tyłu padł pierwszy strzał, ale już pędzili po śniegu.

- Ajaj! - krzyknął boleśnie Kościa, trzymając się jakoś śmiesznie za przód sani. - Ajajaj!... Oj!... - i zwałił się na

groblę. Lewa jego ręka była jeszcze wyciągnięta ku saniom, ale ciemność nocy nie pozwalała rozeznaczyć szczegółów upadku. Znowu bzyknęły kule. - Ratujcie!... usłyszeli zamierający głos. Paweł mimo woli się obejrzał, ale nie zobaczył nic. Chciał coś powiedzieć, coś zrobić, zatrzymać konia, sam nie wiedział, co: zeskoczyć, ratować tego, co upadł? Zastanowić się? Ale nie było sekundy do stracenia. Po prostu nie było czasu.

- Po koniu! Po koniu! Po koniu! - powtarzał obok niego drewnianym głosem Tadeusz i pędzili na oślep w czarną przestrzeń.

Kule przestały gwizdać. Widocznie ludzie z tyłu dobiegli i musieli się zatrzymać nad leżącym chłopakiem. Później padły jeszcze ze trzy-cztery strzały, ale pociski bezpiecznie poszły sobie bokiem nad moczarami. Minęła dłuższa chwila zanim Paweł poczuł na nowo oddech świeżego wiatru, który chłodził pot spływający po twarzy. Pędzili w ten sposób z pół godziny, za czym przeszli w stępa, aby dać wytchnąć koniowi.

- Narwali się - mruknął Tadeusz.

Przed nimi raptownie wyrósł z ciemności las.

- Czy jego trafili kulą, czy dostał odłamkiem? - zapytał Paweł wciągając ciężko powietrze. Tadeusz nie odpowiedział. Później dopiero, w lesie, odezwał się:

- I tak nie dowiemy się nigdy.

Koń przystanął w tej chwili, rozstawił tylne nogi, które mu drżały z wyczerpania, i długo, z nerwowymi przerwami, odlewał pod siebie.

XIV

W chacie na ławkach przy stole w rogu izby siedziało kilku ludzi oczekujących w umówioną noc na towar. Gospodarz, chłop barczysty, powstał, przymrużył oczy dla lepszego rozeznania przybyłych i obracając się w pół do siedzących, rzucił przez ramię:

- Oni.

Okna chaty zawieszane były workami, żeby światło skąpej lampki naftowej nie przedostawało się na zewnątrz. Płomień, targnięty powietrzem otwartych drzwi, zamigał gwałtownie, jak powieki człowieka na widok niespodziewanych gości. W półmroku trudno było rozeznaczyć twarze obecnych. W izbie było chłodno, ale duszno, zalatywało dymem, kwaśnym odorem baranicy i machorki. Jeden, co był jeszcze w czapce, zdjął ją z namysłem, niby to z uwagą obejrzał wierzch, a następnie ułożył na parapecie okna.

- Jak droga teraz? - zapytał inny, wciśnięty w sam kąt pod obrazy święte. Różowa bibułka, którą upiększony był wizerunek Chrystusa, opadała mu jednym końcem na głowę, więc co chwila usuwał ją z włosów jak natrętną muchę.

- Droga dobra - odpowiedział Tadeusz.

- Prosto jechali?

- Prosto, traktem. Spokojnie. Żywej duszy nie spotkaliśmy.

- To szczęśliwie.

Gospodarz wyszedł z Pawłem, ażeby mu pokazać, gdzie ma umieścić konia. Pomógł odprząc i przyniósł siana. - Oho - powiedział - szparko jechali, że cały w pianie. Niech podje na razie; z godzinę poić nie można, póki nie ostygnie. A później owsa dam.

Paweł przyznał, że jechali szybko i podziękował. Gdy wrócili do chaty, rozmowa toczyła się jakiś czas wokół tematów raczej ogólnikowych. Dopiero gdy gospodarz wniósł samogon i zakąski i wypito po kilka kolejek, chłop w średnim wieku, o drobnej, usianej piegami twarzy, odważył się poruszyć sprawę aktualne:

- Człowiek jest wszystko jedno jak ta żywioła - mówił wyciągając ponad stół swą żylastą szyję. - Nie może wiedzieć, co jego czeka. Ot, ty, Romka - zwrócił się do siedzącego go pod obrazem - biłeś onegdaj wieprza, a czy on wiedział, co jego czeka? Nie wiedział. Tym samym przykładem i człowiek. Czy my mogli dopuścić jakie dwa lata temu, że tak wyjdzie? Starzy ludzie, choć to, prawda, i my nie młode, bywało, opowiadali, jak to była w pańszczyzna. Zdawało się, słuchając, przed wiekami to było, a ot dziś, kto wie, czy nie gorsza od tamtej.

Siedzący naprzeciw skrzył papierosa, potem uważnie, długo ślinił bibułkę, aż gdy zapalił, wtrącił:

- Ja by inaczej powiedział. Mnie zdaje się, że tamta pańszczyzna dlatego jednak gorsza była. Wtedy byli ludzie, co żyli dobrze i nawet bardzo dobrze, panowie bogate i tam różne urzędniki, generały... A przy nich jednocześnie drugie, powiedzieć, jak my, nie tylko biedne, ale jak niewolnicy wszystko równo. Tym sposobem krzywda wychodziła wyraźna. A dziś krzywda, ona w oczy nie kole nikomu.

- Jak, nie kole?

- Po mojemu, to tak. Wyrównali.

- Wyrównali! - wykrzyknął nazwany przedtem Romką. - Gdzież ta wyrównania twoja? Ty chyba nie widział tych ichnich partyjnych i tam różnych enkawudzystów, że tak mówisz... Puza u nich nażarta, wszystkiego mają. Co ty możesz równać się z takim politrukiem?

- A ty im zazdrościsz? - zapytał poprzedni. Zarzucił nogę na nogę i podciągnął cholewę buta. - Ja im nie zazdroścę. A po drugie, niesprawiedliwie ty, Romka, mówisz, że ja nie widział. Dlaczego, ja widział dużo. I tych z puzem nażartych też. Ale co i z tego? Co ich za życia? Czy oni mogą, tak jak dawniej, żyć swoją wolą? Nigdy! Takie same niewolne, może jeszcze gorsze. Na każde słowo uważaj. Co to za życia w strachu? Bądź ty u nich generałem, bądź u nich, nie wiem, jak ważnym, a każdy tylko drysta przed tą ich NKWD. To czy tak żyje człowiek? Osika tak żyje, a nie człowiek. - Nastąpiło milczenie. - A widzieć, to ja widział więcej twego - dodał po chwili.

Tadeusz słuchał mówiącego z wyraźnym zainteresowaniem. - Wy tutejszy? - zapytał go.

- Nie. Ja spod Radoszkowicz mołodczańskiego powiatu. Niedaleko starej granicy. - Zakąsił jakiś drobiazg, a później płynnie i obrazowo zaczął opowiadać, głównie zwracając się do Tadeusza:

Posiadał trzy hektary gruntu. Gdy na jesieni roku 1939 przyszli bolszewicy, sam z kilkoma innymi ustawiał na ich powitanie bramy triumfalne, umajane jedliną. Ale już po dwóch miesiącach rozczarowanie było powszechne. W listopadzie 1939 jeździł po wsiach specjalny agitator-politruk, który wygłaszał odczyty. Słuchali go wszyscy milcząc. Po odczycie politruk odpowiadał na zadawane pytania. Zebrani interesowali się głównie zagadnieniami natury materialnej. Pytali, czy jest w Sowietach cukier, bo jakoś zabrakło? Albo materiały na ubrania? O cokolwiek jednak zapytali, na wszystko agitator odpowiadał, że tego jest pod dostatkiem, że tylko trzeba poczekać, a podwożą wszystkiego! Wtedy jego coś skusiło, nieczysta siła chyba, zażartować: wstał z ostatniej ławki, na której siedział, i zapytał: "A nędzy u was dużo?". Użył polskiego słowa "nędza", i agitator nie zrozumiał znaczenia. Na wszelki jednak wypadek odpowiedział, że mnóstwo jest, że ją podwożą.... Wtedy wszyscy zebrani wybuchnęli głośnym śmiechem - Opowiadanie przerwał Romka:

- Ale przyznaj się, zdrowo musić przedtem samogonu kierznął, żeby taka pytania stawiać?

- A wiesz, co - odparł opowiadający - że trzeźwy był. Nawet żeby choć szkalik jaki, ale nic nie pił od rana.

Obecni z niedowierzaniem pokiwali głowami.

- No, opowiadaj dalej - przynaglił Tadeusz.

Więc dalej było tak: jak wybuchł śmiech, agitator, zdezorientowany, zaczął rozpytywać się o przyczynę. Wy tłumaczono mu sens żartu. Uśmiechnął się, nic nie powiedział. Ale nazajutrz żartownisia aresztowano. W ten sposób dostał się do Wilejki, siedziby sąsiedniego powiatu, gdzie zorganizowano duże więzienie. Zaledwie po upływie dwóch i pół miesiąca zmasowano już w tym więzieniu przeszło 3 tysiące ludzi, przeważnie chłopów. Zanim przyszło do wyroku, uciekł z drugim jeszcze. Tamten miał wyrok pięciu lat za to, że wyjechał z domu, przywiązał konia z wozem w jakimś miasteczku do płotu i sam wrócił piechotą do chaty.

- Jakże to tak? - zapytał Tadeusz - nie rozumiem.

- Bardzo prosto. Od własnego dobra uciekł. Żeby konia więcej nie mieć. Na co jemu koń, na szarwarki? Wytrzymać nie można było, jak zaczęli ludzi na roboty wyznaczać. Kamienie na przykład zima wozić. Ludzie wozili, palce sobie odmrażali, całą zimę wozili. A przyszło do płacenia, dali kilka kopiejek za metr. Zaczy za darmo pracuj. Pracować, to jeszcze pół biedy, ale z czego konia karmić? W ten sposób dużo kto koni zaczął wyzbywać się. Ten człowiek miał dwa hektary ziemi, z tego konia nie ukarmisz.

Kilku przytaknęło kiwnięciem głowy: - No, tak, z tego nie ukarmi.

Tymczasem gnali i gnali: jak nie kamienie, to drzewo z lasu, jak nie drzewo, to żwir czy glinę, woź im i woź bez przerwy. A kto nie pojedzie, temu trzy lata więzienia. A jeżeli przykładem nie pojedzie, a w tym samym czasie gdziekolwiek robota prywatna weźmie, tak jemu cztery lata więzienia. Ot, jakie prawo.

- Takie prawo, co zrobić - przytaknęli inni. Paweł, który siedział dotychczas milczący, wtrącił się do rozmowy, której temat obchodził go teraz bezpośrednio:

- U nas - powiedział - lżej na szczęście. Z koniem można jeszcze wolnego zarobku szukać i stawki znośne.

- Będzie i u was, będzie to samo. Nie bieduj przed czasem. Zaczekaj. Oni zawsze tak, pomału, pomału; nie żeby od razu zadusić, a stopniowo gardło zaciskają.

Skądciś, ledwo dosłyszalne, przyplątało się dalekie pianie koguta. Gospodarz ostrożnie uchylił worka zawieszonego na oknie, zerknął, jakby podpatrywał rzecz nieprzystojną i powiedział:

- Świtać będzie.

Wyładowali z sań większość towaru, przenosząc go do dużej szopy, gdzie stały sanki przybyłych chłopów. Gospodarz który odgrywał rolę pośrednika, przeliczył, sprawdził i udał się z Tadeuszem do chaty, aby mu wypłacić pieniądze. Chłopi zaczęli wychodzić jeden po drugim z izby. Wszystkim nagle zrobiło się śpieszno. Paweł prędko założył konia i ruszyli w dalszą drogę, zanim świt rozjaśnił się na wschodzie.

Pogoda się psuła. Zaczął padać deszcz, a później deszcz ze śniegiem. Dotychczas nie rozmawiali ze sobą na temat fatalnej przeprawy przez rzeczkę, jak się zazwyczaj unika przykrych wspomnień, gdy nadarzyła się okazja, aby skupić całą uwagę w innym kierunku. Raz tylko przyszło na myśl Pawłowi, że nawet nie wie, jak Kościa wyglądała: czy był blondyn, czy miał ciemne włosy? Jak był ubrany?... "Weź kożuszek", mówił jego ojciec. Jakie miał oczy? Było ciemno wtedy, noc, choć oko wykol. Tadeusz umyślnie wybrał taką noc bezksiężycową. Nagle przypomniał sobie tamten krzyk i wzdrygnął się wewnątrz.

- Czy ty sądzisz - zapytał, uderzając biczem po śniegu - że to ujdzie nam płazem?

- Na pewno.

Przesadnie apodyktyczny ton zirytował nagle Pawła.

- Skąd możesz być taki pewny! Przecież dziś jeden drugiego szpieguje i jeden na drugiego donosi!

- Ale nie bierzesz pod uwagę odwrotnej strony medalu: że właśnie

dlatego jeden boi się drugiego, przez co każdy woli trzymać język za zębami, a nie mieszać się w jakiegokolwiek

bądź afery, nawet w charakterze świadka.

- Oby się twój optymizm sprawdził. Ale ten Kościa... jeżeli wyżył, ojciec jego, ludzie przy tych zgniłych kartoflach, jeżeli ich wezmą na spytaki?

- Na pewno wezmą. Ale cóż oni widzieli? Dwóch ludzi w nocy i konia, którego nawet maści rozeznac nie mogli. Tak i powiedzą: nic nie widzieli, nic nie wiedzą. W dodatku, na szczęście dla nas, śnieg spadł. Zaniosło wszystkie ślady.

Resztę towaru dostarczyli pewnemu gajowemu lasów państwowych, który jeszcze nadal sprawował starą funkcję. U niego, po zakończonej transakcji znów pili samogon, jak kazał zwyczaj.

Chleb drożał, mąki było brak, cukier dostawało się dopiero po długim staniu w kolejce przed drzwiami kooperatywy, jeżeli wypadkowo wydawano po funcie na głowę mieszkańca. Ale samogon! Samogon ze zboża! Samogon z kartofli! Samogon z cukru! Samogon z mąki! Samogon pędzili wszyscy. W Markowszczyźnie i Kowalach, Rojstelach, Dogirach, Pojdatach, Kozłowszczyźnie i jak one się tam nazywają wszystkie wsie, sioła, zaścianki i okolice!... W Olechowiczach, Krudziszczu, w Wielkich i Małych Solecznikach w Białej i Czarnej Wace, w Płucianach, we wszystkich wsiach nazywanych Nowosiólkami, Słobódkami, Pohostami, Leśnikami, po lewym i prawym brzegu Wilii, od starej do nowej granicy, aż het, za Niemen, za Prypeć, w górę Horynia, Stochodu, nad brzegami rzek, które w tym kraju noszą tę samą nazwę: Łań... Od ujścia Dźwiny w Zatokę Ryską, po brzegi Czarnego Morza, po całej Białorusi, Litwie, Ukrainie, Wołyniu płynął samogon. Ludzie pili, tak jak nigdy dotąd. Pili na umór i na zapomnienie. Samogon się lał; na białym śniegu pozostawiał ślady wyrzuconej brahy, rzygowiny pijaka i odór fermentacji w powietrzu...

Nazajutrz wstali późno. Głowa bolała. Dzień zrobił się słoneczny i mroźny. Świeży śnieg pokrywał gałęzie świerków. Stały białe, jakby wystrojone do pierwszej komunii. Tadeusz wyszedł poziewając szeroko. Gajowy, który zajęty był właśnie pakowaniem do sań zakupionego towaru, odezwał się doń na pozór obojętnie:

- Co to ja chciałem powiedzieć... Aha, mnie to tam kawałka chleba i jaki literek mleka nie szkoda dla gości, ale panowie wolej zjeżdżajcie przed nocą z mojej gajówki.

- Pojedziemy zaraz, ma się rozumieć. Abo co?

- Niiic... - odparł, sprawdzając chomąt. - Rano tylko był jeden człowiek, to bałkotał...

- Worek ze skórą trzeba schować lepiej - ziewnął Tadeusz i pomyślał, że gajowy straszy, bo wyjeżdżając nie chce, by zostali sam na sam z jego młodą żoną.

- Otóż ten worek, to i jest najgorszy, nieskładny taki... Pan słyszał, że jakoby trzeciej nocy ktoś na linii granicznej w sowietów granatem rzucił?

Tadeusz cisnął niedopałek i uważnie przydeptał go nogą.

- Nie, nie słyszałem. Opowiadał kto?

- Już gadają. Dzisiejszym czasem, widzisz pan, buty sześćset rubli, a sumienie kopiejka... Tpprrr! Stoj, ty! Cholera! - przykrzyknął na konia ściągając lejce. - Do tyłu! - Cofnął sanki na drogę, uważnie wymościł worek ze skórą w sianie, obetkał z wierzchu koniczyną, a potem jeszcze raz obszedł dookoła, brodząc w śniegu, by zobaczyć, czy co nie

wystaje. Wreszcie ujął bat.

- Nu, ja na Lida.

- A nam jak wyjechać?

- A dokąd teraz?

- Do domu.

- Starą drogą nie jedźcie. Lepiej tym trybem leśnym aż do pasieki. Później w lewo, rojstem, rojstem aż do traktu. A stamtąd już, jak chcecie. Rzucił nogę do sań, drugą się odbił jak w

łódce, cmoknął na konia i posunął lasem.

Paweł pożyczył wiadra od gospodyni i szedł właśnie poić konia. Zanim doszedł do stajni, dogonił go Tadeusz.

- Zakładaj! Szybko! Jedziemy zaraz.

Kilka już dni jechali krajem dożywającym ostatnie dni starego ustroju. Do wsi przybywali agitatorzy, wychwalając system kolektywnej gospodarki. Chłopi milczeli. Ale tam wszędzie, gdzie tego żądano, zapadały zbiorowe uchwały przeistoczenia dotychczasowej, indywidualnej eksploatacji ziemi w kolektywną. Indywidualnym gospodarstwom wyznaczono podatki w pieniądzu, zbożu, wełnie, mięsie, których spłata przekraczała możliwości chłopów. Półtora roku temu, po wkroczeniu bolszewików, rzucili się oni do dzielenia dworskiej ziemi i ubiegali o nadziały. Nie przeszkadzano im w tym, owszem, nowe władze rozdawały chętnie. Dopiero później wyznaczono podatki i świadczenia. Wtedy ludzie poczęli uciekać od nadziałów, ale powiedziano im: stop! Coś wziął, musisz uprawiać i od tego płacić rządowi. Gospodarstwa chłopskie zaczęły się załamywać. W tych warunkach wprowadzenie kolektywizacji wydało się wielu jedynym, możliwym jeszcze wyjściem. Ziemię dworską miano z powrotem złączyć w dawnym obszarze, tworząc sowchozy, czyli gospodarstwa państwowe.

A wsie łączyć w kołchozy.

Pierwszym odruchem na skutek nowych porządków rolnych stała się wielka ludzka zawiść.

Ci, którzy zawdzięczając burżuazyjnej reformie rolnej zdołali się usamodzielnąć od gromady, uzyskać nadziały własne i pobudować na tak zwanych koloniach, czyli chutorach, stali się teraz głównym przedmiotem tej zawiści. Wydzielone gospodarstwa utrudniały sprowadzenie ich z

powrotem do wspólnoty, a zatem i do kolektywu. Wieś nie mogła przetrwać uprzywilejowanej sytuacji tamtych: "My", powiadano, "mamy iść w kołchoz, a oni - to co?! Panowie?! Na własnym taki będzie siedział?! Jak wszystkim, to niechaj będzie wszystkim!..."

- Boże-sz ty mój! - tłumaczył się przed gromadą Jan Chont - czyż to ja winien?! Czyż ja przeciwnie się? Jak władza każe, to owszem, ja z chęcią... - i rozkładał ręce. Ale oczywiście nikt nie wierzył, żeby Jan Chont, który przeszedł na własną, wydzieloną ze wsi kolonię jeszcze w roku 1936, miał chęć powrotu, a tym bardziej do kołchozu. Dlatego bał się on złego humoru dawnych sąsiadów bardziej niż NKWD. Wracał, bywało, do domu, nawet okiem nie rzucił na gospodarkę,

do której nabrał nagle szczególnej niechęci i powiadał z goryczą:

- Spalą jeszcze, czego dobrego. I za co? Czy to ja komu co ukradł albo czy zamordował kogo? Nikomu nic, zdaje się, złego nie zrobił.

Istotnie, Chont nikogo nie zamordował nigdy, a jak tam było z kradzieżą, nie bardzo wiadomo, ale też chyba, jeżeli, to tylko jaka małość. Wypracował swoje siedem hektarów z synem i dwoma córkami, bo żona odumarała go dawno; karczował pnie na porębie, ostatnie żyły wyciągał z siebie. - Więc za co, Boże ty mój, za co ta nieszczęścia?!

- Spalić, to może i nie spalą - pocieszał go krewniak.

- Co najwyżej wywiozą i gospodarka zabiorą.

- Zdaje się, nikomu ja złego nie robił... - Powtarzał Chont z tępyim uporem, poruszając zaciśniętymi szczękami. Przesuwały mu się w pamięci obrazy przeszłości, jak widma grzechów w rachunku sumienia przed spowiedzią. Usiłował je przepędzić, zapomnieć, za niektóre rozgrzeszał sam siebie, ale tyle ich było w długim życiu, i nie wiadomo, który teraz wyskoczy i za gardło chwyci. A najgorsze ze wszystkich te siedem hektarów! I to jeszcze bez łąk, trzeba powiedzieć. Bo łąki dokupił w starym czasie, popod rzeczką, trzy hektary. Prawda, że nie rozpowiadał nikomu, ale wiedzą, wiedzą na pewno! Razem dziesięć, znaczy, hektarów. A teraz sprawa z synem.

Osiem miesięcy temu werbowano ochotników do fabryk w Leningradzie. Chont uplanował w swej chytrłości, żeby namówić

syna, Adama. Zapisał go na listę w gminie, jak się kiedyś zapisywało na asekurację. Gdy go wyprawił, mawiał znacząco przy byle okazji: "Syn mój na fabryce w Sowietach". Ale po kilku miesiącach syn powrócił. W nocy, zakradłszy się jak złodziej. Do rana siedział, grzał się pod piecem, choć to nie była zima, i opowiadał: Chłopców z tej samej gminy, którzy pojechali razem, skazywano po kolei na różne kary więzienia. Za co? - Wzruszył ramionami... Jeden, to spóźnił się po raz trzeci o dwadzieścia minut do pracy; dostał za to trzy lata więzienia. A innych, to nawet nie wie dokładnie. On sam uciekł. Wiele tygodni szedł piechotą, czasem szwarcował się do jakiegoś pociągu.

Ojciec słuchał syna ponuro. Rano wyprowadził go i ukrył w stodole. Mógł oczywiście wydać władzom, ale nie zrobił tego.

Od tej jednak chwili trzeba było ciągle wypatrywać, czy kto obcy nie idzie-jedzie drogą? Las był pod nosem, ale zimą w lesie, czy to jest życie? A nawet i chociażby latem... Nie, to już nie było żadne życie.

Tadeusz skłamał gajowemu, że pojedą do domu wprost. Kierował się na wschód, zataczając wielki krąg po kraju, a Paweł powoził i nie pytał. Jana Chonta poznał Tadeusz dawno, podczas jednej z uprzednich swoich wypraw w te strony. Dogadał się z nim rychło i obaj byli wtedy zgodni co do korzyści płynących z handlu. Położenie chaty na odludziu, na wzgórzu, z daleką perspektywą na trzy strony świata, z czwartą utykającą w lesie i moczarach nadrzecznych, wydawało się szczególnie dogodnie. Wtedy syn był jeszcze w domu.

Okolice pod śniegiem zmieniła wygląd, ale Tadeusz odgrzebywał ją w pamięci i nie zablądził. Chata wyraźniej teraz rysowała się na szczycie wzgórza, gdyż otaczające ją drzewa utraciły liście.

Zimny wiatr hulał swobodnie. Dwa psy obskoczyły sanie, ujadając wściekle i nie podobna było nogi wysadzić. Tadeusz otworzył już usta, by zawołać, gdy w progu ukazała się młoda dziewczyna, patrzyła jakiś czas z daleka na przybyłych i dopiero po chwili wolnym krokiem poszła

do wrót, uciszając psy.

- Ojca nie ma - powiedziała.

- A gdzie jest?

- Od rana pojechał na pracę. Przyszli z sielsowietu i nakazali. Wróci nieprędko. - Stała u wrót, nie spuszczać wzroku z niespodziewanych gości, i nie zapraszała. Tadeusz zasępił się.

- A syn?

- Brata też nie ma. W Leningradzie.

- W Leningradzie?!... - zdumiał się Tadeusz, który nic nie wiedział o całej sprawie. Dziewczynie drgnęły powieki, ale spojrzała prosto w oczy i powtórzyła twardo: - Tak.

- Nie poznajesz mnie? - spróbował się uśmiechnąć.

- Owszem - odparła sucho. Było coś wyraźnie niedomówionego

w jej zachowaniu. Paweł przyglądał się ciekawie, gdy raptownie drgnęła ona całym ciałem i odwróciła się szybko, usłyszawszy stuknięcie drzwi w chacie za sobą. Zanim zdążyli pojąć przyczynę tego odruchu, cofnęła się od bramy, jakby w poczuciu nagłego niebezpieczeństwa.

W drzwiach chaty ukazał się Jan Chont, który stanowczym krokiem zaczął iść w ich kierunku. Nie dochodząc wrót machnął ręką:

- Zjeżdżajcie.

- Dzień dobry - odpowiedział Tadeusz, ze zdziwieniem podnosząc brwi.

- Dzień dobry, dzień dobry - odparł krótko chłop - i zjeżdżajcie dalej. Nie ma co tu pod bramą wystawać.

- Ja chciałem... - zaczął Tadeusz wyraźnie zaskoczony.

- Nie ma, nie ma! Żadnego interesu ja nie mam i robić nie chcę! Mało jeszcze biedy... No, już - podrzucił głową prawie groźnie - pojechali! - Zbliżył się do wrót i w twarzy jego malowała się wewnętrzna pasja. Paweł ujął krócej lejce, koń zastrzygł uszami. Psy na nowo zaczęły szczekać.

- Chyba że prawda, co mówią - odrzucił Tadeusz wciąż jeszcze z zamarłym uśmiechem na ustach - że u was, "na Białorusi ludzie jak gusi".

- A ty jeden tylko taki, orzeł, znalazł się! A! - krzyknął Chont i od razu piana ukazała mu się w kącikach ust. - Orzeł, mać twoja taka i owaka! Nu, pojechali precz, a to psami poszczują!

Dziewczyna zbladła i cofnęła się jeszcze kilka kroków dalej. Twarz Tadeusza pociemniała. Poruszył się gwałtownie na siedzeniu.

- No, ty! Psami to nie bardzo strasz! Wiesz ty!... - ale pohamował się zaraz.

- A ot, ja... wraz tu wam pokażę!... - ryknął chłop i oczy wyszły mu z orbit; jednocześnie ogłębła się gwałtownie, jakby chciał wyrwać kół z płotu, i ręce latały mu nieprzytomnie. Dziewczyna patrzyła rozszerzonymi ze strachu źrenicami. Paweł, nie czekając na reakcję Tadeusza, cmoknął na konia i ruszył. Jeden pies wyskoczył na drogę, rzucając się koniowi do pyska. Gdy się odwinął trochę w bok, Paweł ze smakiem ciął go biczem, aż gwizdnęło w powietrzu.

Ujadanie zagłuszyło przekleństwa, które wyrzucał za nimi gospodarz.

Całe to niespodziewane zdarzenie odbyło się w czasie tak krótkim, iż nie podobna było uszeregować w głowie związku przyczynowego. Zjeżdżali w dół ze wzgórza; prawa płoza

podskoczyła na wystającym ze śniegu korzeniu. Paweł przypomniał sobie w tej chwili, co mu kiedyś mówił Tadeusz, że jego, Tadeusza, "nie gryzą ludzie"... Uśmiechnął się złośliwie i chciał zażartować na ten temat, ale zerknąwszy bokiem na towarzysza, przemilczał: Tadeusz miał wyraz twarzy, jakiego u niego dotychczas nie widział. Być może, miał taki sam, gdy rzucał granatem, ale wtedy było zupełnie ciemno. Był to wyraz twardego kamienia, barwy szarej; patrzył przed siebie, zdawało się, wzrokiem niewidzącym.

Po rozlanej i zamrożonej wodzie ruczaju przedostali się na drugą stronę rzeki i znikli w gęstych rojstach z widoku okien chaty na wzgórzu.

- Co to było? - zapytał wreszcie Paweł, zwalniając tempo jazdy i sięgając po papierosa, bo miejsce było zaciszne od wiatru...

- Daj i mnie - powiedział Tadeusz. - Przypuszczam, że - wypuścił kłąb dymu - lokalna odmiana "amoku", czyli po naszymu, po prostu: rozpacz.

- A, czytałem taką powieść.

- Uhum.

- Był też film z tego kiedyś.

- Był. Był i film.

W tym czasie Jan Chont powrócił do chaty. Nic nikomu nie mówiąc, jał wdziewać kozuch, przepasał się rzemieniem, wziął kij i wyszedł na drogę. Córka patrzyła za nim w ślad długo, aż minął na rozstaju krzyż z rozpiętą na nim Męką Pańską. Potem pobiegła do stodoły.

- Adam!

- Ja! - odezwał się brat z góry siana.

- Ty obacz... Zleż moża, a to baćka poszedł sam do wsi... Nic nie gadał jakoś...

Nastąpiło długie milczenie.

Adam zsunął się niechętnie, otrzepał z siana i nie patrząc na siostrę poszedł do lasu za ruczaj.

Paweł z Tadeuszem też wjechali w las, a gdy wreszcie zmieniwszy kierunek ze wschodniego na północny a później, coraz bardziej odchylając się ku zachodowi, wyjechali znów na pustą przestrzeń pól pokrytych śniegiem, piąty z kolei dzień ich podróży zaczął zanikać i mrok gęstnieć.

Popasawszy trochę jechali dalej. Skręcili, objeżdżając bokiem dużą wieś, i znów wydostali się na drogę. Brał mróz, chmury poszły sobie spać; po raz pierwszy w tym tygodniu wyszedł młody sierp księżycy, oświecił im trochę drogę i przyjrzał się czemuś okrągłemu, jasnemu, co leżało w pośrodku wyslizganej sanny, zwrócone do nieba. Paweł wychylił się, zmrużył oczy w wysiłku, ale nie mógł rozpoznać w pierwszej chwili i kierował się trochę w bok, żeby nic zaczepić. To coś, to był, wydający się ogromnym w mdłym oświeceniu księżycy, ludzki goły zad. Człowiek szedł widocznie ze wsi, opity podłym samogonem, chciał się załatwić po drodze, spuścił spodnie, nagle stracił przytomność, a może po prostu zasnął, wyrócił się na twarz, gołym zadkiem do góry - na pośmiewisko księżycy i wszystkich gwiazd i, być może, zamarł w nikczemnej pozie, urągając ludzkiej godności. Był to widok straszny. Koń zaczął chrapać, boczyć się, strzyc niespokojnie uszami, tak że Paweł musiał ściągnąć go batem.

- Ech - westchnął tylko mijając, a później oglądał się jeszcze raz.

- Jedź, jedź nic zatrzymuj się - przynaglił Tadeusz. - Zaraz tu winna być granica republiki.

Gdzieś, z dalekiej widocznie szosy, doszedł ich uszu klakson samochodu.

- A może on jeszcze żył?

- Cholera go tam wie, może i żył. W lewo, w lewo teraz.

Linie graniczną przejechali szczęśliwie. Następnie długo, bardzo długo, jak się im zdawało, jechali, nie szcędząc konia, bocznymi drogami do miasta. Było już daleko po północy, gdy dotarli do pierwszych domów przedmieścia. Zamknięte na drewniane okiennice, zdawały się spać razem z mieszkańcami. Tadeusz postanowił pójść do siebie piechotą. Obydwaj byli tak wymęczeni podróżą, że w ciągu ostatnich godzin prawie nie zamienili słowa... Dopiero przy pożegnaniu Tadeusz, już wylaząc z sań, oświadczył krótko, że na rzecz Pawła przypadło z czystego zysku 1750 rubli. Wypłacił mu 300 rubli za sześć dniówek, licząc po 50 każda, resztę zachował na spłatę długu. Paweł zgrabiętymi palcami zgarnął banknoty do kieszeni między kapciuch z tytoniem i zapalniczkę.

XV

Rozstawszy się z Tadeuszem Paweł odczuł podświadomie nieokreśloną ulgę, jakby wyzwolenie spod ciężącego mu przymusu. "Do domu! Do domu! Nareszcie do domu!" - powtarzał sobie w duchu i mimo wielkiego fizycznego wyczerpania, niewyspanej nocy i skostniałych na mrozie członków, poweselał wewnętrznie. - "A tam", myślał, "Marta sobie czeka; gorąca herbata..." Z tym zarobkiem w kieszeni planował kilkudniowy wypoczynek.

- No! Kary! - wołał na konia, który i tak biegł szparko, wężąc nozdrzami znajome powietrze. Zachciało mu się palić, ale wiatr smagał w pędzie, wypadałoby zatrzymywać konia, więc pożałował czasu.

Było koło godziny czwartej nad ranem, gdy wjechał na podwórko. Pies witał skomląc z radości i machając ogonem; Marta się obudziła; w oknie błysnęło światelko; za chwilę drzwi domu ze znajomym skrzypnięciem otwarły się, w kożuchu sięgającym pięt, narzuconym na koszulę, wybiegła na jego spotkanie. Chciał jej powiedzieć coś dobrego na przywitanie, ale poczuł, że język mu ze zmęczenia i zimna skołowaciał w gębie. Zdjął rękawice, miał zgrabiące ręce i wykrztusił:

Możebyś rozwiązała supoń u chomātu, bo moje ręce...

Ale rzemień się zacisnął, Marta miała za słabe palce, a koń nie chciał stać spokojnie, ciągnął do stajni. Odsunął więc ją w milczeniu i rozsypywał, zaciskając zęby.

- Zrób herbaty - powiedział tylko.

- Bardzoś zmarzł? - zapytała troskliwie, dotykając jego ramienia.

- Uhum.

Później pił herbatę, gdy Marta krzątała się w stajni. Następnie położył się do łóżka obok żony, chciał jej coś opowiedzieć z przygód podróży, głównie o chłopaku, który nazywał się Kością, ale od razu zasnął.

Co to było?! Granat jakiś rzucony na podwórze?! Salwa?! Krzyk?!... - Obudził się raptownie z ciężkiego zapomnienia; był jasny dzień. Stukały drzwi i czyjeś kroki w przyległym pokoju, a Pawłowi zdawało się, że słyszy wszystko już dawno, chyba przez cały, długi sen. Zawołał Martę.

- No, co, wyspałeś się? Nie chciałam ciebie budzić, ale pan Dawidowski przychodzi już trzeci raz...

- Kto taki? - przetaił oczy, niezupełnie jeszcze przytomny.

Staruszek Dawidowski był to emeryt, który całe życie przesłużył na kolejach państwowych i jeszcze przed pierwszą wojną światową zakupił był z oszczędności leśną działkę w sąsiedztwie. Po wyjściu na emeryturę wszystko, co posiadał, wpakował w budowę dużego, drewnianego domu na tej działce. Miejscowy technik wystawił go bez gustu, z werandą oszkloną różnokolorowymi szkiełkami, jaka była modna w budownictwie wiejskim, stanowiącym pomieszanie nowoczesnego stylu ze smakiem dawnych dacz rosyjskich, które budowali sobie w carskich czasach z bogaceni kupcy. - Obecnie, a stało się to przed miesiącem, dom ze względu na jego objętość podciągnięty został pod kategorię ulegających nacjonalizowaniu i miał być oddany na użytek kolonii letnich dla

dzieci. Onegdaj przyszedł Bożek z sielsowietu i kazał Dawidowskiemu wynieść się w ciągu dwóch dni, bo, twierdził, mają nastąpić remonty i przeróbki wewnętrzne. Dawidowski wynajął w sąsiedztwie jeden pokój i przyszedł właśnie do Pawła prosić go, aby przewiózł mu rzeczy.

Paweł zaczął się wymawiać, tłumacząc, że wrócił z ciężkiej pracy, że koń zmęczony...

Ale Dawidowski prosił bardzo:

- Jeden raz pan obróci, nie więcej. Przecież to tuż, kilka kroków. No, może dwa razy - dodał po namyśle. - U mnie rzeczy niedużo. Trochę starych rupieci.

Marta wsławiła się za staruszką. Istotnie, było blisko. Dawidowski zaproponował nieśmiało 10 rubli i Paweł, acz niechętnie, ale dał się nakłonić i nie targował.

Po przybyciu na miejsce okazało się jednak, że rupieci było bardzo dużo, a poza tym jeszcze trochę drzewa opałowego. Siary krzątał się, zaaferowany, starał pomagać, jak umiał, i usiłował pocieszać i siebie, i żonę swoją.

- Cóż dla nas - mówił - rzeczywiście dom jest za duży. Letników teraz już nie będzie pewnie, bo to nie dawne czasy. A ot, dla dzieci tu będzie wesoło w ogródku.

- A z czego żyć będziemy? - odezwała się chmurnie żona.

- No, przecież tak nas nie zostawią chyba. Emerytury mają przyznać. A może jakaś lekka praca się nadarzy.

Paweł ładował, nie wdając się w rozmowę. W gruncie rzeczy szkoda mu było starych ludzi i wypadało okazać pomoc sąsiadom, z drugiej jednak strony umówiona cena była śmiesznie niska. Ładował już trzeci raz, a rozglądając się po rozrzuconych przedmiotach oceniał ich ilość na jeszcze jeden, albo nawet dwa obroty.

- O, to, kiedy łaska, proszę gdzieś ostrożnie umieścić... - Staruszek niósł zakurzoną, pod szkłem, w czarne ramki oprawioną jakąś zbiorową fotografię urzędników kolejowych z roku 1901, na której sam Dawidowski stał trzeci z lewa w drugim rzędzie. Pokazał siebie palcem, do niepoznania młodego. Tylko charakterystycznie zarysowana szczeka, wówczas golona, dziś pokryta siwym zarostem, zdawała się być tą samą. Paweł umieścił fotografię na sprężynach wywróconego do góry nogami fotelu.

Dla skrócenia sobie drogi jechał na przełaj, przez zamrażnięte bajorko i gęsty las sosnowy. Gdy, wyładowawszy w nowym mieszkaniu, zawrócił z pustymi saniami po następne rzeczy, jadąc wyjeżdżonym już przez siebie śladem kolein, niespodziewanie z krzaków wystąpiła Weronika. Paweł w pierwszej chwili nawet ucieszył się i odruchowo ściągnął lejce.

Z Weroniką utrzymywał w dalszym ciągu stosunki, choć mimo nalegań z jej strony spotykali się teraz rzadko. Nie mógł się zdecydować na zerwanie, zresztą w gruncie wcale go nie pragnął. Przypuszczać należy, iż gdyby bliżej było analizować uczucia, na pierwszy plan ponad inne wysunęłaby się namiętność posiadania i żal pozbycia się tej własności. Gdy widział ją w tłumie czy w otoczeniu innych kobiet, najładniejszą ze wszystkich, słyszał nieomal wewnętrzny szept, który mu mówił: "A ona jest twoja..." Gdy oglądali się za nią mężczyźni, robili mniej lub bardziej łakome uwagi pod jej adresem, mógł sobie milczeć z całym spokojem, to "ona była jego..." Miałże zrezygnować i powiedzieć sobie: "Była, ale już nie jest i nigdy nie będzie..." Wmawiał w siebie, że w obecnym swym zapracowaniu byłby zadowolony, gdyby rzecz rozchwiała się sama przez się. Tak w siebie wmawiał nieraz... Ale czy mógł być zupełnie tego pewny? Czy wiedział, jaką przyjmie postawę z chwilą gdy Weronika przestanie się narzucać sama? Oczywiście, że nie wiedział. Natomiast wiedział z całą pewnością, iż nie może dopuścić, aby absorbowała go w tym stopniu, do jakiego rościła pretensje. Na tym tle dochodziło pomiędzy nimi do ustawicznych kłótni, a po ostatniej nie widzieli się już dwa tygodnie. Teraz Weronika stanęła przy saniach i głosem skruszonym, mrugając powiekami, powiedziała:

- Przyszłam... popatrzeć choć z daleka... Uśmiechnął się, zmieszany. - Siadaj - powiedział, imitując

ton beztroski - podwiozę.

- Dokąd?

- Dokąd chcesz.

- Dokąd ja chcę...

Rozmowa zaczęta w ten niezgrabny sposób urwała się nagle i nastało kłopotliwe milczenie, grożące rozpełźnięciem się w takiej próżni, po której każdy zazwyczaj domawia sobie w samotnych myślach niedopowiedziane słowa i rozsądnie naprawia rzecz w imaginacji, gdy bywa, że już naprawić się nie da. Weronika miała na ustach stereotypowe pytania, dokąd był jeździł, gdzie teraz pracuje - i temu podobne tylekroć wypowiedziane banały, które nie prowadzą do niczego, chyba do straty drogiego czasu, gdy, raptownie pchnięta instynktem, przystąpiła bliżej i zapytała bez namysłu:

- Ty mnie już więcej kochać nie będziesz?

Kto wie, czy słowa te nie były właśnie najgorzej dobrane... Skracając od razu dyskusję do sedna sprawy, jakby biczem podcięły Pawła. Obudziły w nim mimowolny opór, jaki się budzi wobec czegoś, co zdaje się być narzucane przemocą.

- Słuchaj, Weronika - zaczął sucho, ale spojrzawszy w jej pałające oczy, oczy zielone, przeszedł w łagodną perswazję. - Ja przecież jestem zapracowany teraz... Ty sama widzisz... Od rana do nocy. A do tego, chyba sama rozumiesz, jaka jest moja sytuacja niepewna. Gdzie ja mogę mieć czas... - i przekładając lejce z batem do prawej ręki objął ją lewym ramieniem i pocałował. Twarz miała zimną na mrozie; zimne były też jego i jej kożuchy, a pozycja, w jakiej stała przy saniach, niewygodna. Koń się poruszył i płoza omal nie przycisnęła jej nogi, obutej w długi, męski but. - Ostrożnie! - zawołał. - Poczekaj, siądź, bo tak stać niewygodnie. Przecież, no po prostu, no szczerze mówiąc, nie w głowie teraz... - Koń pociągnął wolno, poczuwszy, że oboje siedzą w saniach.

- A jak z żoną idziesz spać, to też tobie nie w głowie, a w czym? - Przerwała brutalnie, zsuwając jego ramię ze swoich pleców. Paweł spochmurniał.

- Przy czym tu żona - mruknął.

- A ot, przy tym.

- To ty masz męża.

- Ja moga rzucić.

- To rzuć - odpowiedział prawie ze złością.

- A ty, co, dwie chcesz sobie zachować? A może więcej?

- Słuchaj, Weronika, ty mówisz jak głupia. No, więc, co ty sobie wyobrażasz? Ja rzucę żonę dla ciebie i co?

- Możemy wyjechać...

- Co ty z tym wyjazdem, tyle razy już powtarzasz. Dokąd wyjechać? Na Kazakstan chyba.

- Nie do Kazakstanu, a ja już znajdę dokąd.

- Zwariowałaś chyba.

Weronika zeskoczyła raptownie z sań, zachwiała się, tracąc równowagę, ale ją zaraz opanowała, przystanęła i wyciągając rękę powiedziała przez zaciśnięte usta:

- Żebyś nie pożałował! Pamiętaj!

Paweł zatrzymał konia. Spojrzał na nią jeszcze ze złością w oczach, ale złość topniała szybko pod wpływem żalu.

- Weronika.

Ona jednak odwróciła się i poszła w las, brodząc w swych butach z cholewami przez głęboki śnieg, tak że dół spódnicy zamiatał po wierzchu.

- Weronika!

Nie obejrzała się. Paweł patrzył aż zniknęła między drzewami i dopiero wtedy cicho cmoknął na konia. Jechał zgnębiony, a zasłyszane ongiś słowa Franciszka spod Lasu same lały mu do głowy: "Straszna teraz władza ludziom dana..." Przygarbił się i, zamyślony, uderzając biczem, rysował znaki na śniegu.

Przed swym opuszczonym domem stało bezradnie dwoje staruszków nad resztkami bezwartościowego rupiecia i z troską wyczekiwało Pawła.

- Ach, baliśmy się już tak, że pan nie przyjedzie... - zaczął Dawidowski i urwał. Zapobiegliwie, po starczemu nieudolnie pomagał teraz w ładowaniu. Gdy już wszystko było zabrane, Dawidowski podszedł do Pawła i wciskając mu w dłoń w kilkoro złożony banknot czerwono, tym dyskretnym ruchem, z jakim przed rokiem 1914 ludzie dobrze wychowani płacili honorarium lekarzom, dziękował serdecznie.

Paweł nie przyjął zapłaty. Powiedział coś w tym rodzaju, że jest obowiązkiem sąsiedzkim pomóc w potrzebie... Że jeżeli jeszcze będzie mógł coś zrobić dla nich, to uczyni chętnie... - W tej chwili spostrzegli Bożka, który stał w pewnej odległości i przyglądał się przenosinom, nie witając z nikim. Dawidowskiemu zaszkliły się od mrozu oczy. Paweł też się dłaczegoś rozrzewnił.

Wracając do domu myślał o Marcie.

Bo jeżeli można powiedzieć, że Weronika zaczęła rozmowę źle, to skończyła ją w każdym razie fatalnie. Paweł przestraszył się jej groźby, a w takiej chwili jest ludzkim zwyczajem oglądać się za oparciem u kogoś bliskiego, kogoś, z kim się dzieli dołę-niedolę. Weronika zdziałała więc tyle, że wszystkie myśli Pawła pobiegły w kierunku Marty: uczucie własnej wobec niej winy, wyrzuty sumienia, poczucie solidarności we wspólnym losie; wszystko to razem wezbrało w nagły przypływ odradzającej się z popiołów przyzwyczajenia miłości.

Gdy rozpręgał konia, zaczął padać śnieg a jednocześnie zerwał się wiatr i zapowiadało na zadymkę. - "Zaraz wszystko jej powiem", postanowił, "i naradzimy się wspólnie, co robić..."

Marta kupiła za pieniądze, które jej wręczył, trochę białej, pszennej mąki, aby wreszcie upiec jakąś smaczniejszą bułkę, i zajęta była w tym czasie mieszeniem ciasta. Paweł wszedł do kuchni i nie zdejmując kożucha objął ją, pochyloną nad dzieżą, ramieniem i przytulił do siebie.

- Ach, Boże - krzyknęła ze szczerym rozdrażnieniem.

- Co ty robisz! Ostrożnie! - Ręce miała ubabrane w cieście; Paweł ośnieżonym kołnierzem dotknął jej nagiej szyi i zimne krople pociekły na jej piersi, pod odchylną w zgięciu bluzkę i koszulę. Nie mogła palcami zlepionymi ciastem wytrzeć ciekących kropli, wstrząsnęła gwałtownie głową, nadmiar złego rozwiązała się jej chusteczka i powylażyły kosmyki włosów. - Oszalałeś czy co! - powiedziała ze złością,

wyprostowując się i trzymając bezradnie wyciągnięte przed siebie ręce, po których spływała lepka maź ciasta.

Paweł poczuł się głupio, zawstydzony swą niewczesną czułością, a równocześnie dotknięty i rozżalony; poszedł do swego pokoju i nic jej nie powiedział z tego, co przedtem postanowił był wyznać. Przez chwilę oddawał się bezpłodnej goryczy osamotnienia, w jakie czuł się wtrącony w swej wyobraźni; nieomal rozczulał się nad samym sobą, gdy przypomniawszy radość, z jaką wczoraj jeszcze powracał do domu, spokój i odpoczynek, który sobie planował. Z tamtego nastroju nie zostało teraz nic.

Zadymka się wzmagala. Wiatr, zrazu leniwie, po czym coraz energiczniej zaczął dobijać się do

okien, oblepił szyby śniegiem, wył i gwizdał na przemian. Paweł wyszedł, aby pozamykać okiennice. Śnieg padający z góry hulał ze śniegiem podrywany z dołu, przeistaczając świat w jedną, białą, nieprzenikloną chmurę. W taką noc można spać spokojnie. Uspokojony trochę i ukołyszany wewnętrznie zawieją, zaczął rozważać na zimno i wtedy powziął zamiar przeniesienia się do miasta na zarobki. W ten sposób, rozważał, zniknie na jakiś czas przynajmniej z oczu Weroniki, a później może się wszystko da naprawić...

Marcie zakomunikował o swym postanowieniu podczas kolacji. - "Słyszałem", mówił, "że teraz nadarzą się doskonale zarobki w mieście". - Była tym przykro zaskoczona. Aby zmienić temat rozmowy, zaczął ją nagle wypytywać, czy nikt nie zachodził podczas jego podróży z Tadeuszem. Marta usiłowała sobie przypomnieć.

- Owszem... Zaraz, aha, był ten... no, Franciszek.

- Spod Lasu?

- Tak.

- Czego chciał?

- Nawet nie wiem. Pytał o ciebie. Mówił, że jakiś interes ma.

- I coś mu powiedziała?

- Że pojechałeś do miasta na zarobki.

- No, tak. Słusznie.

Wiatr za oknami wciąż się wznosił i wznosił. Stukał do drzwi i okien, a nie wpuszczany - wlaził do komina i huczał w piecu. Ale w domu było ciepło i przytulnie.

XVI

Łaszowski nie robił spodziewanej przez siebie kariery w dziennikarstwie. Wprawdzie redaktor naczelny lokalnej "Prawdy", człowiek przybyły z Moskwy i obcy na tym terenie, lubił go dosyć i po znacznym skorygowaniu puścił mu ze dwa artykułiki, ale przeczytawszy trzeci uznał, że Łaszowski wciąż jeszcze nie chwyta i nie pojmuje z ducha tych zadań, jakie stawia przed dziennikarzem prasa sowiecka. - "To nawet niezłe, ale" - mówił - "to nie jest to..." - Przeniósł go więc na stanowisko redaktora technicznego do łamania numeru w nocy.

Żonie Łaszowskiego też nie udało się, a to wskutek intryg lokatorów, utrzymać na posadzie "uprawdomu". Usunięci z dotychczasowego, obszernego mieszkania, nie przyjęli Łaszowsky zaproponowanych im w zamian dwóch ciasnych pokojów w ciemnej oficynie i przenieśli się na przedmieście do drewnianego domu ojca, właściciela zakładu ogrodniczego.

O ojcu mało kto przedtem wiedział, ponieważ Łaszowski w dawnych czasach wstydził się jego manier prostaka. Ojciec dorobił się, wyrósłszy z chłopaka do posług przy ogrodniku wiejskim w pewnym prywatnym majątku. Zebrawszy trochę pieniędzy założył małe własne przedsiębiorstwo ogrodnicze, plantacje i oranżerię w mieście. Wykształcił syna, ale sam pozostał - jakim był dawniej. Natomiast zakład ogrodniczy rozwijał coraz skuteczniej. W nowym ustroju winien był właściwie zostać uznanym za kapitalistę, i ten fakt niepokoił trochę syna, który właśnie ubiegał się o przyjęcie do politycznej szkoły dziennikarskiej w Moskwie. Gdy jednak przyszło do wypełnienia odpowiedniej ankiety, chwilę tylko się zastanawiał, postukując końcem obsadki po zębach, i zdecydowanie wpisał: "Syn robotnika".

O swoich zabiegach Łaszowski nie mówił zresztą nikomu. Postanowił jednak zrobić wyjątek w stosunku do Karola, którego poznał niedawno na odczycie publicznym pt. "Wolność prasy i wolność druku w Związku Radzieckim". Karol przyjęty został do partii i Łaszowski spodziewał się, że może za jego protekcją uzyskać poparcie miejskiego komitetu partyjnego dla swego podania.

Zatelefonował do Karola dnia poprzedniego i umówili ranne spotkanie w kawiarni. Ale wypadki tej nocy niespodziewanie pokrzyżowały ten plan.

Dnia poprzedniego odbywało się plenarne posiedzenie sejmu republiki związkowej w Kownie. Łaszowski w nocy otrzymał normalnie przez agencję prasową teksty przemówień, umieścił je według zawczasu wydanych wskazówek redaktora na pierwszej stronie, złamał numer, przeczytał jeszcze raz uważnie w rewizji, oddał na maszynę i zamierzał właśnie wyskoczyć na kieliszek wódki do nocnej knajpy, którą nielegalnie utrzymywał w podwórzu dozorca domu, gdy o czwartej rano zjawił się redaktor naczelny. Od czasu do czasu zachodził w ten sposób do drukarni dla dokonania inspekcji. Ziewając, poprosił o rewizję numeru i poszedł czytać do swego gabinetu. Za chwilę wyskoczył czerwony na twarzy: "Dać mi w tej chwili stenogram przemówień!" Łaszowski nigdy jeszcze nie widział go w stanie tak podnieconym. Natychmiast wręczył mu maszynopisy. Redaktor rzucił okiem na jeden z nich i zawołał: "Wstrzymać maszynę! Proszę połączyć mnie zaraz z Kownem!" Wystraszony Łaszowski przeczytał sam po raz trzeci teksty na pierwszej stronie. Wszystkie przemówienia były prawie identyczne, zawierające te same zwroty; mówcy dziękowali Związkowi Radzieckiemu za wyzwolenie, piętnowali i wyklinali czasy niewoli kapitalistycznej itd. Nie było w nich nic zgoła, co by je różniło lub mogło wzbudzać zastrzeżenia. Tymczasem redaktor przy telefonie pieniał się, nie mogąc uzyskać potrzebnego połączenia międzymiastowego. Było wpół do piątej rano. Maszyna stała. Robotnicy nie szli spać. Łaszowski odważył się zastukać do gabinetu i zapytać redaktora o przyczynę zwłoki. Okazało się, iż chodzi o to, że jeden z mówców nie zakończył swego przemówienia okrzykiem na cześć Stalina.

- Hm... To rzeczywiście z jego strony... - zaczął Łaszowski, drapiąc się w policzek.. Po chwili przyszło mu jednak do głowy zaproponować: -Proszę towarzysza redaktora, a czybyśmy nie mogli sami wstawić tego okrzyku? Zecerzy pomęczeni, już powinni iść do domu. Maszyniści stoją i czas tracą...

- Towarzyszu Łaszowski, kiedy wy się wreszcie nauczycie rzetelnego podejścia do pracy dziennikarskiej! Ja wiem, że w waszej prasie burżuazyjnej były takie zwyczaje, żeście pozwalali sobie na fałszowanie prawdy! U nas każda rzecz musi być sprawdzona raczej dziesięć razy, zanim zostanie raz wydrukowana. U nas nie wolno dopuścić jednego słowa nieprawdy!

- Tak, rzeczywiście... że należałoby... - jękał się Łaszowski.

- Jakie wy macie pojęcie o poczuciu odpowiedzialności?! - mówił redaktor, chodząc tam i z powrotem szybkimi krokami. - Jeżeli ten mówca istotnie nie wzniósł okrzyku, a w gazecie będzie, że wzniósł, to po pierwsze, będzie to kłamstwo, a po drugie, wyglądać może, że ja pokrywam... A jeżeli, przeciwnie, wzniósł okrzyk, a my go nie umieścimy, to wiecie, czym to pachnie? Sabotażem! A kto będzie odpowiadał?

- Ale przecież agencja... - zaczął znów Łaszowski, ale w tej chwili zadzwonił telefon. Udało się wreszcie połączyć z sekretarzem sejmu. Ten posłał pismo do prywatnego mieszkania mówcy, bo tamten nie miał telefonu. Następnie zbudzono stenografa, gdyż mówca twierdził, że okrzyk wzniósł. Wkrótce po wpół do siódmej linia międzymiastowa uległa chwilowemu uszkodzeniu. Zanim rozwikłano sprawę, Łaszowski nie mógł opuścić ani na chwilę redakcji, tym bardziej że redaktor był ciągle obecny. Numer wyszedł dopiero o godzinie 10 minut 20 na miasto.

Paweł, który przybył do miasta, pozostawił konia jak zwykle u znajomego w dzielnicy za rzeką i poszedł rozbłądnąć się za pracą do śródmieścia. Szedł ulicą w dół aż do kapliczki, skąd rozwidlały się trzy wąskie zaułki, wiodące przez trzy mosty w głąb miasta. Skręcił w najbliższy na prawo, pusty, pozbawiony sklepów. Jedną stronę zaułka wypełniał ślepy mur opuszczonego klasztoru. Drewniany chodnik urywał się z tej strony, i trzeba było przechodzić na drugą stronę, na której stał rząd niskich kamieniczek, o głęboko zapadłych, starych bramach i tuż nad ziemią położonych oknach. W tej samej właśnie chwili i w tym samym kierunku podążał wysoki człowiek, którego twarz zasłaniał nastawiony kołnierz futra. O tej rannej porze nikogo nie było więcej w całej uliczce. Paweł przechodząc w skos, mimo woli spojrzał w twarz idącego, a cofnąć się nie miał już

możności. Wysokim człowiekiem był - Karol.

"Minąć ostentacyjnie i nie podać ręki" - przemknęło błyskawicznie w głowie Pawła. Karol zatrzymał się na sekundę, jakby szukając słów, z niewyraźnym kształtem uśmiechu na ustach.

- No, co, bardzo jesteś na mnie rozżalony? - powiedział, wyciągając rękę.

- Nie... No, cóż... przeciągnął Paweł, ściskając podaną dłoń. - Każdy ma prawo zmieniać przekonania.

- Słusznie. Ja je zmieniłem gruntownie. Tak, tak, mój drogi, zmieniłem i teraz jestem naprawdę przekonany.

Paweł, niższy od Karola o pół głowy, gdy szli tak ciasnym chodnikiem, czuł się jakby przytłoczony osobą tamtego i zamilkł.

- Wcale się swej wewnętrznej przemiany nie wstydzę, a wręcz przeciwnie - ciągnął Karol łagodnym tonem. - Każdą rzecz trzeba poznać z bliska, żeby o niej sądzić, i ja właśnie poznałem.

- Nie mogę o sobie powiedzieć - wtrącił Paweł z gorzką ironią w głosie - żebym i ja jej nie poznał.

- Wierzę, ale daruj mi, podejrzewam, że jednostronnie. Nie myśl, że my... - to "my" wymówił Karol prawie uroczyście - że my patrzymy na rzeczy płasko. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak dalece każdy szczegół poddawany jest u nas krytyce i samokrytyce...

- Na przykład - przerwał mu Paweł - krytykujecie posunięcia rządu, krytykujecie zapatrywania Stalina...

Karol obejrzał się za siebie, ale nikogo nie było w pobliżu.

- Widzisz, to, coś powiedział w tej chwili, to jest typowa demagogia, którą kiedyś uważaliśmy fałszywie za wolność krytyki. Po co krytykować rzeczy, o których wiemy, że są dobre. Krytyka dla samej krytyki jest rzeczą bezpłodną, hamującą postęp, jeżeli nie powiem wprost: głupią. Dokąd ty idziesz teraz? - I nie czekając odpowiedzi, dodał: - Co byś powiedział, żebyśmy sobie zaszli do kawiarni, umówiłem się tam właśnie z jednym facetem.

Paweł zawahał się, pomyślał, że należy wręcz odmówić, i odpowiedział:

- Dobrze.

Przeszli kilka ulic, plac i zasiedli w narożnej kawiarni. Staremu kelnerowi, który podszedł, Karol, unosząc się na centymetr z krzesła, podał rękę. - Proszę dwie kawy i ciastka.

Kelner uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Co, nie ma ciastek? - spytał Karol. - No, to może pierożki. Też nie ma? Aha, no więc wszystko jedno, dwie kawy.

Gdy kelner postawił dwie szklanki napełnione czarną cieczą, Karol podziękował i zwrócił się do Pawła:

- Więc widzisz, mój drogi. Przede wszystkim zdać sobie trzeba sprawę, że od razu nie można zrobić wszystkiego. Najważniejsze jest na razie przywrócenie godności ludzkiej. Widziałeś na przykład w autobusie: oficerowie sowieccy często

stoją, gdy nie ma miejsc, albo ustąpią nawet swoje jakiejs babie. Czy mógłbyś sobie wyobrazić coś podobnego dawniej, w czasach ekskluzywności naszego oficerstwa? Nie do pomyślenia było, żeby jakiś kapitan na przykład ustąpił miejsca kobiecie z koszem jaj. Widzisz, ja podaję rękę kelnerowi, wcale nie, jak może myślisz, dla demonstracji, ale po prostu, że to jest mój znajomy. A jak dawniej było? Ty sam też ---spojrzał na buty Pawła - ubrany jesteś jak zwykły furman, tylko co z kozła zlazły. A czy mógł kiedyś taki zająć do tej eleganckiej kawiarni?

- W Ameryce i krajach demokratycznych już dawno... - zaczął Paweł.

- O, właśnie! - przerwał mu Karol. - Teraz trzymam cię za słowo. W krajach demokratycznych. To znaczy, że sam przyznajesz, iż to jest postęp.

- Nie, nie przyznaję. Bo objawy, o których wspominasz, wynikają tu z innych okoliczności. Takich mianowicie, jakie panują w koszarach na najniższym szczeblu rekruckim albo w więzieniach, gdzie mogą znaleźć się ludzie najróżniejszych ster, stanów, wykształcenia itd., a objęci jedną racją wyższej dyscypliny wyzbywają się swych dotychczasowych różnic socjalno-cywilnych i stają się nawzajem równi wobec rygoru, jeżeli już nie chcemy użyć słowa: terroru.

- Gdzie ty widzisz ten terror? - Karol umyślnie zniżył głos, bo mu się zdawało, że Paweł mówi zbyt głośno. - W literaturze antysowieckiej chyba. Co, czy stoi nad nami jakiś straszny enkawudzista z naganem w rękę? Widzisz ty gdzie na ulicach zbrojne patrole? Bagnety, druty kolczaste? Ludzie idą sobie spokojnie ulicą, a my siedzimy i pijemy kawę. Słyszałeś ty choć jeden strzał?

- Ach, Karolu, nie udawaj głupca! - odpowiedział Paweł z rozdrażnieniem. - Mówię przede wszystkim o terrorze psychicznym. Zresztą... Sam przecie mówiłeś, że bolszewizm nie od nieba odrywa człowieka, a od ziemi, i że jest wrogiem życia doczesnego przede wszystkim, i że na wszelkie objawy tego życia nałożył pęta. Mówiłeś tak czy nie? Pamiętam jeszcze przy studni wtedy...

- Mówiłem. Nie tylko przyznaję, ale gotów ci jestem wyznać, że uświadomienie sobie tej prawdy doprowadziło mnie pośrednio do zrozumienia drogi, po której kroczy komunizm. Bo jego zainteresowania leżą w sferze przyszłości. Konflikt zachodzi tu nie pomiędzy niebem i ziemią, a pomiędzy celami życia na tej samej ziemi. Jeżeli budujesz dom, to co ci sprawia radość: automatyczny ruch kładzenia cegły czy myśl o tym, że ten dom będzie zbudowany? Nie można niczego budować nie wybiegając myślą naprzód. Jakże chcesz budować przyszłość tkwiąc jednocześnie po czubek głowy w teraźniejszości, w tej doczesności właśnie, w tym bezmyślnym konsumowaniu życia? Oto dlaczego bolszewizm, który chce zbudować lepszy świat, odrywa nas od doczesności, nakłada pęta na bezcelowe szafowanie radością życia, a wskazuje jego cel. A to, że droga jest daleka...

- I nie masz żadnych wątpliwości co do tego?

- Co do czego?

- No, do tego celu, do tej drogi, po której nas goni terrorem?

- Ty znowu z tym terrorem! Na czym on, twoim zdaniem, głównie polega?

- Na tym, że nikt nie ma prawa powiedzieć, że jest niezadowolony.

- A dlaczego ma być znowuż tak bardzo niezadowolony? Pamiętasz, jak pracowaliśmy w lesie? Ciężko było i narzekałeś na zarobki, prawda? Ale czy przypominasz sobie, coś ty w dawnych czasach płacił robotnikom za spłowanie na podwórku metra drzewa, porąbanie i złożenie? Po 50 groszy płaciłeś na człowieka. A wiesz, co kosztowało 50 groszy? Jeden kufel piwa w restauracji.

- Nie pięćdziesiąt, a czterdzieści. A za to teraz nie ma ani piwa, ani restauracji, ani nic, i robotnik gównem tylko może kupić za te swoje czerwonce!

- Ccciszej. Nie denerwuj się. Przede wszystkim nie są wcale "moje", bo ja...

Paweł trzymał ręce złożone na blacie stolika, a wzrok miał utkwiony w niedopitą szklankę kawy, gdy raptownie podniósł oczy i patrząc wprost w twarz Karola powiedział z naciskiem:

- Kanalia.

Karol zbladł. W następnej chwili wstał, mogło się wydawać, że chce się rzucić na Pawła, ale zamiast tego, nie patrząc nań, bez jednego słowa podszedł do bufetu, by zapłacić obydwie kawy. Ręce mu drżały, gdy wyjmował pieniądze. Z kilku stolików spojrzano niespokojnie w ich kierunku. Siedzący przy najbliższym, dobrze ubrany pan w średnim wieku zamknął z trzaskiem leżącą na blacie papierosnicę, wpakował ją do tylnej kieszeni i z wyrazem niesmaku na swej szczupłej

twarży obrzucił Pawła, mijając jego stolik, spojrzeniem, jakim się obdarza człowieka źle wychowanego, który w publicznym lokalu nie umie się zachować odpowiednio.

Paweł pozostał sam, czując, że mu wypieki występują na twarz. Zdawało mu się, że w tej chwili wszyscy w kawiarni muszą nań patrzeć ze szczerą niechęcią. Odwrócił twarz do okna, usiłując wytworzyć wrażenie, że obojętnie kogoś wypatruje. Kelner podszedł i bez słowa zabrał puste szklanki. I oto w takiej to chwili wszedł właśnie na salę Łaszowski. Przystanął, rozglądając się wokół, najwyraźniej szukał kogoś oczami, kogo nie było, a spostrzegłszy Pawła, zbliżał się doń powoli z wyrazem hamowanego rozczarowania. W innej okoliczności Paweł nie pragnąłby tego spotkania, ale w tej chwili odczuł wielką ulgę.

- Sto lat już nie widzieliśmy się - powiedział przybyły. - Co u pana słyszać? Czy nie było tu Karola, pan zdaje się zna go dobrze?

- Owszem... Był. Wyszedł właśnie przed chwilą. Niech pan siada - dodał skwapliwie.

- Ach, to fatalne. Umówiłem się z nim. Niestety, tak się złożyło, że musiałem się spóźnić. To pech! - Usiadł na krześle opuszczonym przez Karola. - Słyszałem, że pan zmienił zawód, co? Z biczem pan pracuje? Och - westchnął - żeby pan wiedział, jak ja panu zazdroszczę tej pracy. Słowo daję.

Paweł chciał wtrącić już, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby i on się do niej zabrał, ale się powstrzymał. Powiedział natomiast, że przyjechał właśnie dziś rano do miasta i zamierza tu trochę pozarobkować. Łaszowski wpatrzył się w przeciwległą ścianę coś sobie przypominając.

- Zaczekaj pan - powiedział po chwili - nie dalej jak wczoraj, przypomina mi się, ojciec mój szukał człowieka z wozem do pracy w swoim zakładzie ogrodniczym. Nie odpowiadałoby to panu?

- Nic nie wiedziałem, że ma pan tu ojca i że posiada on przedsiębiorstwo ogrodnicze.

- No, przedsiębiorstwo, to za dużo powiedziane. Taki sobie mały ogródek. Mój ojciec sam pracuje... Taaak. Trzeba panu wiedzieć, że zawsze był robotnikiem.

- Nie znacionalizowali dotychczas jego zakładu?

- Ach, nie dziś, to jutro... - westchnął konfidencyjnie Łaszowski. - Chciałby pan, to mogę zaprowadzić do mego ojca, bo ja teraz tam mieszkam.

Paweł chciał, i niezwłocznie opuścił kawiarnię.

Zbliżał się koniec lutego. Zdarzyło się kiedyś, że wskutek raptownie nastącej ciepłoty już w połowie lutego rozwarły się pączki na bzach. Dawno temu to było. Ale i w normalnych latach, choć w lutym zazwyczaj śniegi leżą jeszcze głębokie i mrozy bywają silne, zaczyna jednak coś kielkować w powietrzu, coś, co pobudza nadzieję w ludziach i soki w roślinach. Zrywa się czasem wiatr gwałtowny niby to zimny, a przecież inny niż w styczniu. Pnie drzew robią się bardziej czarne, a gałęzie rysują się wyraźnie na tle białego nieba. Śnieg twardy się staje, zleżały. Człowiek obeznany z tymi objawami pociąga wtedy nosem i mówi do sąsiada: "Do wiosny idzie" a sąsiad kiwa potakująco głową. Pod nawisłymi chmurami leci kruk i woła po wiosennemu: gardłowo, krótko i urywanie. Już wtedy wiadomo, że ściele gdzieś gniazdo w koronie najwyższych drzew lasu. Bywa, że zaraz potem wracają do kraju białodziobe gawrony. W tym to czasie chytry ogrodnik sztucznie wyprzedza przyrodę i dla swych przyziemnych, mieszczańskich celów zarobkowych rozbudowuje inspekty, łapie w południe pocieplające słońce, a od dołu potrzebuje wiele końskiego nawozu, który grzeje ziemię. Oto jak się złożyły okoliczności, w wyniku których Paweł przyjął pracę u starego Łaszowskiego przy zwózce nawozu, umawiając się z nim po cenie 8 rubli za furę.

Były to dni mozolnej pracy. O zmierzchu, opatrzywszy koniu w stajni, chodził na obiad do małej knajpy, mieszczącej się opodal przy rynku. Zmęczony i brudny, zasiadał przy stoliku, bez żadnej myśli ubocznej, cały skoncentrowany w szczękach, którymi żuł, co mu właśnie podano do jedzenia. Widelec w ręku podświadomie przypominał mu widły, którymi przez cały dzień nakładał i wykladał gnój. Pewnego dnia, siedząc twarzą do oszklonych drzwi, w których jedna szyba była wybita i zastąpiona kawałkiem tektury, spostrzegł wchodzącego oficera sowieckiego. Przybyły

zatrzymał się rozglądając, a później niepewnym krokiem podszedł do szynkwasu i zapytał:

- Czy nie można dostać u was pudru?
- Pudru?... - zdziwił się gospodarz, unosząc w górę brwi. - U nas? Pudru? Nieeee...
- A gdzie można kupić?
- Obecnie? - zastanowił się i dlaczegoś zapytał: - Dużo trzeba?
- Dwa, trzy kilo.

Gospodarz potrząsnął przecząco głową. O tej późnej porze prócz Pawła siedział w knajpie jeden tylko, jeszcze młody, chłop, przybyły ze wsi. Popatrzył na oficera rozbawionym wzrokiem. Ten poczerwieniał, przeprosił grzecznie i wycofał się zawstydzony.

- Na urlop, musi, do Moskwy wraca. Pospiekulować chce - powiedział chłop. - Też człowiek.
- Może niekoniecznie do Moskwy, a do innego miasta - zwrócił uwagę gospodarz, wytarł mokrą ścierką ladę, po czym wziął do ręki szczotkę i zabrał się do zamywania podłogi. Niebo o wielopiętrowych chmurach płynęło ze zwykłym majestatem, jak na jego wysokość przystało. Z drugiej strony pustego rynku przed piekarnią stał ogonek bab. Gospodarz zmiotł śmiecie, wyrzucił je wprost na ulicę i pozostawił drzwi otwarte dla wentylacji. Wtedy to z zewnątrz doszły głosy dzieci:
- Hela! Helaaa! - wrzeszczał jakiś chłopak, wymachując prętem. - Chodź bawić się! - Z sąsiedniego zaułku wybiegły dwie dziewczynki i jeszcze jeden mały chłopczyk. Hela stała wciąż koło drzewa rosnącego samotnie na rynku, którego kora obgryziona była przez konie.

- Hela! Chodźżesz!

- A w co bawić się? - zapytała.

- W kolejkaaa! - odrzekł chłopak, oddalając się z innymi ku drewnianym barierom rynku. Hela poszła za nimi. - W kooperatywa?! - zawołała z tyłu.

- Aha!

Dzieci ustawiały się w rząd przed barierą, imitując kolejkę-ogonek przed sklepem. Stały nieruchomo, a co pewien czas któreś przelażło na drugą stronę. Urozmaicenie miała stanowić kłótnia wywołana przed wyimaginowanymi drzwiami wyimaginowanej kooperatywy, którą likwidował najstarszy chłopiec, grający rolę milicjanta: wrzeszczał ordynarnie i wymachiwał trzymanym prętem. Wiatr, który igrał żdźbłami słomy na bruku, igrał też włosami dzieci, gdy one znów ustawiały się posłusznie przed brzydkim, nadpróchniałym słupem bariery.

Paweł, sam nie zdając sobie sprawy, trzymał nóż i widelec nieruchomo w zaciśniętych pięściach, z łokciami opartymi na siole, i zapatrzył się w zabawę dzieci. Nagle, czy to beznadziejność jej treści, smutek czy nuda, czy tęsknota jakaś za czymś wolnym, dalekim a nieuchwytnym sparła go w piersiach z taką siłą i tak odczuwalnym skurczem, jak chyba nigdy dotąd. Po raz pierwszy miał uczucie, że narasta w nim przemożna, śmiertelna nienawiść do otaczającej go rzeczywistości, szczerą nienawiść, której w tym nasileniu nie zdołały w nim dotychczas rozpalić ani strach i bieda własnego życia, ani wywody Tadeusza, ani żadne z poprzednich doświadczeń i obserwacji. Patrzył przed siebie, nie widząc już tych kilkorga dzieci, nie czując, że drzwi są otwarte i zimne powietrze ogarnia go za kolana. Gospodarz stał wciąż z miotłą w ręku na progu, on również zapatrzony w tamtą stronę, i po chwili mruknął:

- Nowa zabawa.

Paweł ocknął się: - Tak. - Skończył jeść, zapłacił i wyszedł.

Na nocleg wracał do mieszkania znajomych, które wskutek ustawowego ograniczenia powierzchni mieszkalnej przepełnione było lokatorami. W kilku pokojach gnieździł się różni ludzie. Pan, który

przedtem żył z renty; pani baronowa, biorąca ongiś przeszkody na wyścigach konnych, z mężem dziś zatrudnionym pracą fizyczną; były pułkownik armii litewskiej, zatrudniony w państwowej kooperatywie, i były kapitan armii polskiej, pełniący funkcje stróża nocnego przy składzie węgla. Następnie - wdowa z siostrą i trojgiem dorastających córek. Kuchnia była wspólna, wspólna łazienka, a jedyny klozet mieścił się przy końcu korytarza. W tym to korytarzu, za bardzo niską opłatą, otrzymał Paweł kąpiel do spania. Stały tam dwie szafy, z których wydobywał się odór naftaliny. Kanapka, na której sypiał, była za krótka. Pod nią stał worek białej mąki, produkt sprytu byłego pułkownika. Swoje brudne skarpetki musiał Paweł rozwieszać na noc na poręczy koło głowy. Tuż sypiał pies, własność wdowy, duży dog, który karmiony różnymi odpadkami psuł powietrze na całym korytarzu. Baronowa otwierała wówczas drzwi na przestrzał i przeciąg ziębił skulone nogi Pawła. Wszyscy lokatorzy maszerujący po kolei do klozetu systematycznie potracali jego, wystającą nieco z kanapki, poduszkę.

Gdy wrócił tego wieczoru, już przechodząc przez kuchnię dowiedział się o dwóch doniosłych zmianach: wdowa z niewiadomych przyczyn została aresztowana dziś rano; baron zaś otrzymał posadę w gostorgu; "doskonałą posadę", jak ją określiła jego żona, kobieta starszawa, ale w pretensjach.

- Cieszy się pan?! - zapytała, filuternie przekrzywiając utlenioną głowę z odrastającymi pasmami ciemnych i siwych włosów.

- Z czego? Z tego, że aresztowali wdowę?

- Ach, fe... Nie! Z tego, że mój mąż dostał taką posadę.

- Szalenie - odparł z sarkazmem i poszedł do swego kąta w korytarzu.

Ale sen nie przychodził. Spod drzwi pokoju, gdzie mieszkała ze swą siostrą wdowa, widniała wąska szpara światła i dochodziły szepty. Ktoś, chyba brat, przyszedł się dowiedzieć o szczegóły i z bezmyślnym uporem, jak się wydawało Pawłowi, dopytywał się teraz, co mówiła aresztowana w ostatniej chwili.

- Nic nie mówiła! - słysząc było zniecierpliwiony głos siostry. - Co miała mówić... Co ty chcesz, żeby mówiła?

- Ani jednego słowa?

- Oj, jaki ty jesteś, doprawdy! Mówiła, owszem: "Ach, Boże mój, ach, Boże mój, ach, Boże..." Ot, co mówiła.

Paweł przewrócił się na drugi bok i usiłował zasnąć.

Rano zbudziło go gwałtowne targnięcie za ramię. Otworzył oczy, zobaczył nad sobą pochyloną twarz Leona i zamknął je z powrotem, sądząc, że śni, gdyż Leon aresztowany był już od kilku miesięcy.

- No, zbudź się wreszcie! - wołał Leon. Paweł znów otworzył oczy:

- Skąd... Ty...? Przecież...

- Już od tygodnia wypuścili. Wstawaj. Musiałem czort wie o której zwlec się z łóżka, żeby ciebie przyłapać zanim wyjedziesz na pracę. Chyba z pół godziny dobijałem się do tych waszych cholernych drzwi, aż jakaś dziewczynka mi otworzyła. Tadeusz prosił, żeby ciebie sprowadzić. Ma jakąś ważną sprawę.

- Coś nieprzyjemnego się stało?! - zapytał Paweł siadając zupełnie już zbudzony.

- Nie... Chyba nic takiego. Ubieraj się. Ależ tu śmierdzi w tym korytarzu!

- Ja chcę więcej niż obalić Stalina! Ja chcę z nim razem wyrzucić do diabła cały bolszewizm! To "chcę" proszę traktować jako cel idealny. Nazywają go, Stalina, słońcem. Gdyby tak było w rzeczywistości, ujęcie za rękę przysłowiowej motyki byłoby niewątpliwie rzeczą beznadziejną.

Ale tak nie jest. Jeżeli przyjmiemy, że motyka i słońce są jak dwa przeciwstawne bieguny, z których jeden symbolizuje bezzmierną słabość, a drugi szczyt potęgi, to podstawiając pod te symbole z jednej strony pojedynczego człowieka w całej jego indywidualnej słabości, a z drugiej Stalina z całą jego potęgą zbiorową, będziemy jednak musieli dojść do prawdy obiektywnej, że dzieli ich między sobą przestrzeń o miliony lat astronomicznych... mniejsza, niż prawdziwe słońce od prawdziwej motyki. Prawda bowiem obiektywna poucza nas, że nawet cała ludzkość nic nie może przeciw słońcu, a natomiast rozwalić czerep Stalinowi może nawet pojedynczy człowiek. Za rozsądną zatem podstawę akcji antybolszewickiej obieram prawdę obiektywną, jako najsilniejszą pozycję, z której winno się prowadzić atak. Jej siłę charakteryzować może między innymi miara tej nienawiści, z jaką ją bolszewizm zwalcza pod każdą jej postacią. - A teraz pozwól panowie - ciągnął dalej Tadeusz - że im wyjaśnię, dlaczego zaprosiłem ich o tak wczesnej godzinie. Zazwyczaj podobne rozmowy odbywają się wieczorami, jeżeli nie w cieniu konspiracyjnej nocy. Uczyniłem to wszakże umyślnie, właśnie dla skonfrontowania najbardziej trzeźwych w ciągu białego dnia godzin, z najbardziej, pozornie, fantastycznym..., nazwijcie go jak chcecie, moim zamiarem.

- Z kolei o konspiracji. Wszystko w Sowietach, co jest materialne, jest ich słabą stroną, włącznie do terroru materialnego, mimo że znamy go również ze strony dosyć namacalnej. Wszystko natomiast, co jest niematerialne, duchowe, psychiczne jest ich silną stroną, włącznie do terroru psychicznego, niemającego sobie równych ani w przestrzeni, ani

w dziejach naszego globu. Stąd doświadczenie poucza nas, że każda próba spisku w Sowietach upada nie skutkiem zewnętrznego, materialnego nacisku, a skutkiem wewnętrznego, psychicznego rozkładu. Czy jest to argument wystarczający dla niepodjęcia jeszcze jednej próby? Po namyśle doszedłem do przekonania, że - nie. Czy jest ktoś z panów agentem NKGB? - zapytał nagle, nie zmieniając intonacji głosu i odwrócił twarz do okna.

Nastąpiła cisza, przerywana jedynie rytmicznym, nieokreślonym stukiem dochodzącym z dołu. Poza Tadeuszem, Leonem i Pawłem, obecnych było jeszcze dwu ludzi. Jeden z nich o wąskiej, jak ściętej na płask, twarzy, siedział sztywno, zlekka tylko odchylony ku tyłowi, z nogą przerzuconą przez nogę, i robił wrażenie oficera w ubraniu cywilnym. Miał na sobie wcale dobrze skrojony garnitur o brązowym odcieniu, śnieżnobiały kołnierzyk i starannie zawiązany krawat. Drugi stanowił jego przeciwieństwo pod każdym względem: niski, tłusty, łysawy, o inteligentnych oczach osadzonych głęboko w pulchnej twarzy, mógł być właściwie przedstawicielem każdego zawodu cywilnego. Natomiast odziany był właśnie w strój stanowiący mieszaninę pół wojskowego i sportowego. Spod rozpiętej jasnej kurtki widniał rudy pulower narciarskiego typu, a na nogach miał podniszczony oficerskie buty kawalerskie. Siedział pochylony, z łokciami wspartymi o uda, słuchając unosił czasem jasne brwi w górę i palcami złączonych dłoni wyczyniał w zamyśleniu różne łamańce.

- Przepraszam - przerwał ciszę domniemany oficer - co to tak stuka pod nami? - Zebranie odbywało się nie w zwykłym dotychczas pokoju za pralnią, a w pokoju Tadeusza na piętrze, stanowiącym jednocześnie poddasze, na które wchodziło się po drewnianych schodach z sieni. Pytanie wypowiedziane było tonem na tyle przesadnie rzeczowym, iż w zestawieniu z treścią przemowy Tadeusza uchodzić mogło za rodzaj dyskretnego ironii. Pulchny cywil uśmiechnął się nawet kącikami ust do swych palców.

- To jest magiel. W piwnicy. Ręczny migiel naszej biednej pralni. - Odpowiedział Tadeusz tonem doskonale opanowanym, w najmniejszym stopniu nie zdekoncentrowany pytaniem. Tamten kiwnął głową na znak, że rozumie.

Nagle wstał Leon i zwracając się do Tadeusza, powiedział:

- Ty wiesz, że ja wyszedłem tydzień temu z NKGB... - i poczerwieniał. - A na każdym, kto zostanie wypuszczony, ciąży...

- Cóż ja jestem temu winien, Leonie - przerwał mu Tadeusz rozkładając ręce i uśmiechając się przyjaźnie. - Siadaj, proszę cię. Z ogromnej ilości moich znajomych i przyjaciół wybrałem i zaprosiłem tu czterech panów. Nie sądzę, by który z was mógł się czuć urażony moim pytaniem.

Chciałem wyłącznie uprzytomnić wszystkim istotę rzeczywistości, w której się obracamy. Nie w większym i nie w mniejszym stopniu może być ktoś z was agentem NKGB, jak ja osobiście prowokatorem na przykład.

- Albo wszyscy razem - wtrącił tłusciuch, nie unosząc głowy znad kolan i bawiąc się palcami.

- Słusznie, albo wszyscy. Próbujemy jednak rozważać sprawę dalej, jakby wszyscy... nimi nie byli. Zgoda?

- Zgoda - odezwało się tamtych dwóch. Paweł i Leon w milczeniu kiwnęli głowami.

- A więc powracam do swego projektu. Proszę mi darować, że plan o tak przeogromnym zasięgu, nazywam skromnie "projektem". Czy jednak przypuszczacie panowie, że Hitler zakładając partię złożoną z siedmiu osób albo Lenin objijający się po kawiarniach szwajcarskich mieli dużo więcej szans od nas?

- Myślę, że, do pewnego stopnia, tak - odparł rzekomy oficer. - Równie dobrze bowiem mógłbyś wymienić Napoleona albo innego mocarza. Wszystko więc zależy od tego, czy czujesz się na siłach postawić siebie w jednym rzędzie z tymi wielkościami?

- Nie, tego nie chciałem powiedzieć. Przyznaję się do błędu. Ja nie chcę być żadnym cezarem ani żadnym "Fuh-rerem". Raczej kimś w rodzaju pana Principa, który swym strzałem w Serajewie wywołał pierwszą wojnę światową, a w rezultacie zmienił oblicze świata. Principa... zaraz, jakże mu było na imię?

Wszyscy spojrzeli po sobie, a tłusciuch uniósł nawet rękę i potarł nią czoło, ale nikt nie mógł przypomnieć.

- A więc - podjął Tadeusz - osobnikiem, jak widzicie panowie, względnie skromnym, którego nie pamięta się nawet z imienia chrzestnego. Wodzowie tworzą. Ja bym chciał tylko obalić. Gmach buduje się bardzo misternie, a rozsadza - czasem jedną bombą. Zadanie stokroć łatwiejsze.

Tadeusz mówił płynnie jak aktor, trzymając każde słowo na wodzy. Oczy miał wpół przymknięte, ale spod rzęs dostrzec było można, że błyszczały. Później wstał od stołu, przy którym siedział, i zaczął chodzić po pokoju z wesołą werwą.

- Pierwsze pytanie: Czy bolszewizm da się rozsadzić od wewnątrz? Wszyscy skłonni jesteśmy twierdzić, że nie da się, ponieważ dotychczas się nie dało. To nie jest argument przekonujący. Z równym powodzeniem można by twierdzić, że w ruletce nie padnie czerwone, ponieważ 28 razy z rzędu padło czarne. Teraz pytanie drugie: kto może rozsadzić bolszewizm? Moim zdaniem, nie może tego dokonać jakiś poszczególny naród na własną rękę, a międzynarodowa, raczej beznarodowa masa, czyli to, co bolszewizm dziś tworzy. W roku 1917, może jeszcze 1920 którymś, mógł to jeszcze zrobić jeden tylko naród rosyjski, bo bolszewizm był wtedy sprawą wewnętrzną rosyjską. Dziś jest sprawą naprawdę beznarodową. Bolszewizm i Rosja - są to dziś rzeczy zupełnie odrębne. Bolszewizm spycha sprawy narodowe na plan drugi, także

antybolszewizm może mu się przeciwstawić jedynie w razie równie szczerego zepchnięcia spraw narodowych na plan drugi.

- Ja proszę o głos - odezwał się domniemany oficer, podnosząc rękę gestem uroczystym.

- Proszę.

- Obalić bolszewizm może praktycznie i wyłącznie wojna z nim. Normalna wojna zewnętrzna, na którą wszyscy czekamy. Skończyłem.

- A w tej chwili - wtrącił Leon - jest ona najmniej oczekiwana, gdyż cały świat stara się na wypródki nie wojować z Sowietami, ale je sobie pozyskać.

Tadeusz przeniósł uśmiechnięty wzrok z jednego na drugiego i podjął natychmiast:

- Zupełnie słuszne uwagi. Tak pierwsza, jak druga. Załóżmy, że wojna rozstrzygnie o wszystkim.

Ale wojna byłaby dla nas czymś w rodzaju wygranej na loterii. Czy jednak człowiek może układać swój całoroczny budżet na spodziewanej wygranej na loterii? Nie, ani takiego człowieka, ani takiego budżetu - nie nazwałbym solidnym. A cóż dopiero mówić - zwrócił się do Leona - gdy, jak słusznie zauważasz, wojna nie jest spodziewana, czyli wynik loterii bardziej niż wątpliwy. Ja wychodzę z odwrotnego założenia: jeżelibyśmy mieli siedzieć z założonymi rękami, to już raczej w wypadku wojny, chociaż nie uważałbym tego za wskazane. Ale brak wysiłku mógłby być usprawiedliwiony rachunkiem, że wysiłek ten dokonają za nas inni, siły zewnętrzne. Gdy jednak tego nikt nie chce za nas zrobić...

W tej chwili oficer zmienił przerzucanie nóg, przezornie podciągnąwszy spodnie na kolanach, strzepnął z nich jakiś pyłek i zauważył:

- Ale za jaką cenę? Jaką cenę zamierzasz wstawić w budżet, nazwijmy go, "solidnego" człowieka, który zakłada rzecz tak niesłychanie wątpliwą, jak udanie się przewrotu wewnętrznego? Ile ofiar, ile młodzieży...

Tadeusz przerwał tym razem niecierpliwie:

- Przede wszystkim, jeżeli chodzi o młodzież, to raczej powinna być od tego, żeby się biła, niż od tego, żeby gniła. Ale poruszyłeś zagadnienie najważniejsze. Kwestię opłacalności wysiłku, w danym wypadku - ofiar, czyli wyboru pomiędzy walką i niewalką. Zachodzić ona może tylko wtedy, jeżeli przez niewalkę zachowasz siły, które byś w walce musiał lub mógł zmarnować. Otóż ten wybór nie istnieje w tej chwili. Dylemat, aktualny w stosunku do każdego innego najeźdźcy na globie, w stosunku do najeźdźcy bolszewickiego nie istnieje, dlatego że porządek rzeczy jest tu niejako odwrócony. Bolszewizm predystynowany jest do tego, aby zniszczyć bez reszty siły niebolszewickie. I to w każdym wypadku. Nie broniąc się, nie walcząc, ułatwiasz mu tylko zadanie zniszczenia samego siebie. Można by przyjąć formułę taką: jeżeli walcząc masz znikome szanse na życie, to nie walcząc nie masz żadnych. Bolszewizm bowiem likwiduje nie za czyn wrogi, a za odmienną myśl. Ja mówię tu tylko w granicach zimnej kalkulacji, odrzucając takie argumenty, jak że lepiej zginąć z honorem niż bez niego. To rzecz gustu, a nie kalkulacji. Ale jedyna szansa niezginiecia, przyznaję tobie, drobna, jest w walce. Nawet jeżeli chodzi tylko o przedłużenie życia, to jest ono po stronie walki. Po stronie poddania się, po stronie kompromisu nie ma, powtarzam, żadnej szansy, bo bolszewizm nie zna kompromisu. Gdyby go znał, nie byłby bolszewizmem, to jasne. A więc zlikwidowani zostaną wszyscy niebolszewicy. Pozostaną tylko ci, którzy się na bolszewików dadzą przerobić, czyli przekuć z własnego narodu na naród sowiecki. Owszem, nie walcząc oszczędzisz pokaźną liczbę ludzi tej kategorii, ale oszczędzisz dla kogo? Dla tychże bolszewików, oczywiście. Według ich formuły, że masa winna być "socjalistyczna z treści, a narodowa jedynie z formy"... Jeżeli wyjdziemy z założenia, że bolszewizm jest złem, a ja z tego wychodzę właśnie, to idąc na kompromis przyczyniasz się pośrednio do wzmocnienia tego zła. Powiadasz, walka ma wątpliwe widoki zwycięstwa; niech będzie nawet: żadnych. Zgadzasz się? Ja się nie zgadzam, ale zakładałam w tej chwili, że się zgadzam. Ja idę nawet dalej i zakładam, że teoretycznie w walce z bolszewizmem ginie cały naród bez reszty. Otóż, skoro uważam, że bolszewizm jest złem w samym sobie, złem obiektywnym, wolę, żeby mego narodu nie było wcale, niż żeby był narodem bolszewickim i stał się instrumentem do rozpowszechniania zła na świecie! - Tadeusz odetchnął głęboko, zamilkł, powrócił do stołu i usiadł na dawnym miejscu. Po chwili przerwał milczenie, które nastało po jego słowach:

- A panowie nie wolą?

Akurat magiel na dole przestał turkotać. Tłuszcioch nie zmieniając pozycji, mruknął coś sobie pod nogi.

- Co? - zapytał go Tadeusz.

- Owszem, ja się zgadzam z tobą. - Inni milczeli.

- Wracam do poprzedniego tematu - zaczął znów Tadeusz. - Doszedłem do przekonania, że ustrój

sowiecki stanowić winien pod pewnym kątem idealny wzór dla kontrsowiecizmu. Włóczę się po całym kraju. Zarabiam, ale nie zarobek jest istotnym celem trybu życia, jaki wiodę. Obrabiając moje pole doświadczalne, chciałem się upewnić co do reakcji psychicznej różnych ludzi na działanie bolszewizmu. Powiem, jakie są tego wyniki. Reakcje są oczywiście różne, zależnie od indywidualności danego osobnika, ale niezależne od przynależności narodowej, rasy czy religii. Moim zamiarem było wyszukanie ogólnoludzkiej odtrutki, antyrecepty na ogólnoludzką receptę sowiecką. Odszukać w mechanizmie psychiki ludzkiej ten guzik, za pociśnięciem którego mechanizm mógłby zacząć działać w kierunku odwrotnym od tego, w którym działa za pociśnięciem guzika sowieckiego... - Tadeusz nagle, jakby zgubiwszy wątek myśli, zatrzymał się i po chwili:

- Nie bać się, panowie! Nie ma czego. Kot na widok psa robi wielki garb, aby się wydać większym. Także i Sowiety wcale nie są tak straszne, jak się wydają. Mogę panów zapewnić, że w gruncie rzeczy boją się mas ludzkich o wiele bardziej konsekwentnie, niż ujarzmione przez nich masy boją się NKWD.

- Kiedy ją zaczniesz stosować? - spytał oficer.

- Co?

- Tę kontrreceptę.

- Mam nadzieję, że w tych dniach. - Nie uśmiechnął się. Dlatego nikt z obecnych nie wiedział, czy kpi, czy mówi poważnie. - Jak widzicie, na razie żadna organizacja podziemna tu nie zaistniała w tym pokoju. Nie figurujecie na żadnej liście i nie jesteście związani żadną konspiracją. Ja was dopiero chcę do niej namówić, gdy przyjdzie czas. Może jutro, może za rok. O żadnym konkretnym planie na razie nie mówię. Macie czas do namysłu. Proponuję jednak następne zebranie w ciągu najbliższych... Zresztą, nie mogę powiedzieć, kiedy. Chciałbym wtedy wysłuchać przemyślanej przez was repliki, no, krótko: zgody lub niezgody.

Wychodzili nie razem. Pierwszy wyszedł domniemany oficer. Następny - Paweł.

Po upływie kilku minut grubas w rudym swetrze ujął za klamkę drzwi, otworzył je i już przestąpił próg, gdy nagle cofnął się.

- Gawriło - powiedział stając z powrotem w progu. Tadeusz i Leon spojrzeli nań zdumieni.

- Co za Gawriło?... Jaki Gawriło?...

- No, Princip nazywał się: Gawriło. Przypomniałem to sobie dopiero teraz.

Tamci roześmieli się.

- A, no widzisz! - zawołał wesoło Tadeusz.

- Do widzenia.

- Z Bogiem!

Gdy schodził po niewygodnych, drewnianych schodach, trochę bokiem, uważnie patrząc pod nogi, młoda prasowaczka, ubrana już w palto i chustkę na głowie, obserwowała go przez szparę w przepierzeniu, dzielącym klatkę schodową od kuchni. Dziewczyna wyczekała aż zamknął za sobą drzwi wyjściowe na ulicy i wtedy, niepostrzeżona przez inne kobiety w pralni, wyszła drzwiami prowadzącymi na podwórze, minęła bramę wjazdową i poszła jego śladem. Tamten kroczył powoli, nie oglądając się. Minąwszy kilka ulic, raz się tylko zatrzymał przed witryną nowej księgarni "Goszdatu". Ranny, dojmujący mróz nie szkodził mu widocznie, choć wokół ludzie szli szybko, z podniesionymi kołnierzami. Z zainteresowaniem przeczytał kilka tytułów nowych książek, widniejących przypadkowo pomiędzy długimi szeregami dzieł Stalina i Lenina. W tym czasie dziewczyna pochyliła się głęboko, poprawiając zapięcie przy śniegowcu, tak że brzegi jej chustki zakryły twarz. On poszedł dalej, powoli kupował gazetę na rogu, wsadził ją machinalnym ruchem do kieszeni kożuszka, skręcił w ruchliwą ulicę na prawo, wyszedł przed gmach uniwersytetu

robotniczego i - znikł w jego sieniach.

Dziewczyna zatrzymała się, studiując uważnie program wykładów, wywieszony na ścianie. Upłynęło kilkadziesiąt minut. Grubas wyszedł i mijając dziewczynę mruknął coś nod nosem do siebie samego. Wtedy ona poszła z powrotem.

Leon pozostał dłużej u Tadeusza. Rozmawiali jakiś czas nie poruszając tematu poprzedniej dyskusji. W pewnej chwili Leon zapytał:

- Kto to jest właściwie ten gruby, łysawy, w rudym swetrze? Widziałem go kilka razy w pralni, ale... Nie chodzi mi oczywiście o imię i nazwisko, tylko co za typ?

- Miał ciekawe dzieciństwo: mył buty wielkim ludziom, czasem kopyta koniom, na których siedzieli.

- Nie rozumiem.

- Wyobraź sobie, jego ojciec był robotnikiem magistrackim w pewnym dużym mieście i czyszcicielem pomników. Zabierał często syna do pomocy. Najwięksi tego świata, gdy się ich uwiecznia w pomnikach, mają później do czynienia ciągle z..., za przeproszeniem, gównem gołęmbim. Opowiadał mi, jak zwłaszcza pewien myśliciel pokrywany był nim ze szczególną gruntownością. Nie chciałbym, żeby mi stawiano pomnik, gdy zmienię oblicze jednej szóstej globu ziemskiego! A ty?

Leon uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Więc ty na niego zwróciłeś uwagę specjalną, na tego tłusciocha? Masz, znaczy, dobre oko, to człowiek o wyjątkowej inteligencji, wyjątkowej, tak. Zresztą, najbliższy mi... - przerwał i po chwili zmienił temat: - Słuchaj, Leonie, zastanawiałem się i przyznam, że bardzo żałuję, że nie podpisał w NKGB zobowiązania do współpracy. Mielibyśmy jedną szansę więcej.

Leon zachmurzył się. Poszukał w kieszeni papierosów, nie znalazł ich i spojrzał na stół.

- Masz tu - powiedział Tadeusz, podsuwając mu blaszane pudełko z tytoniem. - Skręć sobie.

- Oni nie są tacy głupi - mruknął Leon śliniąc bibułkę.

- Są, są głupi. Dlaczego sądzisz, że typy o ciasnym horyzoncie myślenia mają być mądrzejsi od ludzi o szerokich horyzontach? To paradoks. No, ale już się nie odstanie. A o Konradzie nie ma w dalszym ciągu wiadomości?

- Wątpię, żeby go puścili. Wsik na amen.

- Chwała Bogu. To był tylko szkodnik. Zresztą, nadęty dureń.

Leon wzruszył niedostrzegalnie ramionami, a po chwili milczenia zapytał: - A jakże się tobie podoba Paweł?

Tadeusz podszedł do okna i patrzył. Niebo wypogodziło się. Łagodny jego błękit rozpościerał się nad mroźnym dniem, ponad dachami starego miasta, które piętrzyły się, białe, w śniegu w bezładnym ugrupowaniu, wśród pogiętych anten, wiszącej bielizny, gołębników, zewnętrznych schodów i wielkiej ilości kominów aż do najwyższego piętra przeciwległej góry, z której strzelały w to niebo dwie wieże kościelne.

- Paweł... Hm, Paweł - zaczął, ale nie dokończył, bo w tej chwili na dole stuknęły drzwi kuchenne. Tadeusz oderwał wzrok od kościoła na wzgórze. - Przepraszam cię na chwilę, zdaje się, że przyszła Hala, mam do niej interes, sekundę, dobrze? - Wyszedł, zamykając drzwi, zbiegł po kilku stopniach i zatrzymał się w połowie schodów. Młoda dziewczyna, zaróżowiona od mrozu, podniosła nań twarz i wyszeptała spod chustki:

- Dziś o szóstej wieczorem.

- Dziękuję - odparł Tadeusz.

XVIII

W lasku, dzielącym Martę od przystanku kolejowego, spotykało się trzy rodzaje śladów na śniegu: cztery łapki, dwie szerzej rozstawne, dwie wężiej, jak w odwróconej figurze trapeza - to wiewiórki; cztery łapki wyciągnięte nierównymi parami, na kształt ukośnika - to zająca; równiutka linia łapek - to lisa. Ślady wiewiórki są krótkie i giną przy pniu drzewa. Ślady zająca nie kończą się nigdy, zawsze nie równe w odskokach, dłuższe, krótsze, biegną w las i z lasu, krzyżują, płaczą się chaotycznie. Ślady lisa idą niby z poważną rozważą do celu; gdy śnieg jest głębszy, towarzyszy im po wierzchu delikatny rowek, jakby kto puszką do pudrowania pociągnął po śniegu - to znak lisiego ogona.

Lis biegł prościutko pod wiatr, przepisowo, i zdawało się, że wszystko zawczasu powinien był zwąchać i usłyszeć, ale przeszkodził mu dąb. Dąb jest jedynym drzewem, które bezmyślnie przedłuża walkę jesieni z zimą. Gdy inne drzewa dawno już skapitulują, a nawet zapomną o swych liściach, jak się zwykło zapominać rzeczy zeszłoroczne, dąb wciąż jeszcze zachowuje - swoje. Brzydki pogięte, zwiedle, pokręcone, twarde, trzyma czasem do samej wiosny. Stąd się zdarza, że nagle w środku zimy, gdy wokół jest cicho i pulchnie, najlichszy wiaterek, potrącając wyschłe liście dębu, wywołać może raptowny zgrzyt, podobny do nieprzyjemnego hałasu powstałego przy potrąceniu blaszanego wieńca na cmentarzu. Każdy zwierz wie, że tak bywa, a przecież często się daje zaskoczyć. Gdy młody dębczak rosnący na kierunku, w którym biegł lis, zaszperał, jakby umyślnie, żeby go nastraszyć, lisa przebiegły w pierwszej chwili ciarki, i choć się opanował od razu, przecież zatrzymał się, uniósł w zgięciu przednią łapkę, odwrócił pyszczek i ze szczerym niesmakiem spojrzał na drzewo, bo nie lubił, a zresztą nie znał się na żartach. W ten sposób zapomniał na chwilę o pilnowaniu wiatru; na krótką chwilę, w ciągu której tuż przed nim na ścieżce ukazała się Marta. Zaskoczony raptownie, lis nigdy nie rzuca się do ucieczki na oślep; także i teraz: cofnął się, zawrócił wolno i pobiegł nie śpiesząc z powrotem w gęstwinę. Dębczak zaśmiał się za nim sucho, a Marcie wydało się dłaczegoś, że lis musi być chory albo postrzelony. Nie namyślając się wkroczyła w głęboki śnieg i brnęła śladem. W tym miejscu rosły gęste krzewy jałowcowe, splątane z młodą świerczyną. Odgarniała je, przedzierając się dalej, ale lisa wciąż nie było widać. Wróciła wreszcie na ścieżkę, otrzepując się ze śniegu, i choć pobiegła później prędko, ale czas stracony spowodował, że spóźniła się na ranny pociąg do miasta. Skutkiem tego musiała odłożyć wyjazd do następnego, który odchodził w południe. Chciała doręczyć mężowi list, który przyszedł na jego imię z Rygi, stolicy łotewskiej republiki radzieckiej, a który otwarła, nie mogąc poskromić ciekawości.

Na dworcu w mieście zarządzono lotną rewizję bagażu i dokumentów w ramach podjętej walki ze spekulacją. Marta nie miała bagażu, a dokumenty jej były w porządku: mocą paszportu, wydanego jeszcze przez dawne władze, jako stała mieszkanka kraju, automatycznie stawiała się obywatelką Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Zanim jednak minęła barierę rewizji upłynęło sporo czasu.

Tymczasem Paweł po wyjściu od Tadeusza zdążył jeszcze zwieźć kilka fur nawozu i wracał pustymi saniami przez most na rzece, ażeby się udać na posiłek. Na lodzie rzeki stało kilka zamyślonych wron; naprzeciw sunęły sanie ładowne cegłą i podzwaniały łańcuchami. Takie to były szczegóły owego dnia, ostatniego, w którym pracował dla ogrodnika Łaszowskiego.

Po dłuższych dowiadywaniach się Marta odszukała wreszcie męża w knajpie przy ryneczku. Gdy zobaczył ją wchodzącą, przestraszył się w pierwszej chwili, czy nie zaszło coś złego w domu, ale uspokoiła go zaraz i wręczyła list.

Dawny jego znajomy pisał, ażeby zaszedł do pewnego sklepu artelowego i zapytał o niejakiego pana Boguckiego, który ma ważną sprawę do Pawła. Znajomy wyjaśniał dalej, że Bogucki bawił jeszcze niedawno u niego w Rydze i że on polecił mu Pawła jako człowieka, na którym można polegać przy załatwieniu właśnie tego ważnego interesu.

Paweł przypomniał sobie, iż pisał przed kilku miesiącami do znajomego w Rydze, wspominając między innymi, że jest teraz furmanem.

- Co to może być? - zapytała Marta. Paweł wzruszył ramionami i wsadził list do kieszeni.
- Kto to jest ten Bogucki? Znasz go?
- Był taki dyrektor banku, ziemianin, coś w tym rodzaju. Aha, opowiadał mi o nim ostatnio Wulfka. Nie mam pojęcia, czego może chcieć.

Rozmawiali jeszcze przez czas dłuższy. Marta musiała wracać, nie mogąc zostawić domu samego na noc. Zresztą, nie miałyby gdzie tu spać. W ostatniej chwili przypomniała sobie jeszcze o swoim rannym spotkaniu z lisem...

- W odległości, mówię ci - opowiadała - no, jak do tych drzwi. - Pokazała ręką i pomyślała jednocześnie, że odległość musiała być chyba kilkakrotnie większa, ale się nie poprawiła. - Wyobraź sobie, idę ścieżką... - Zanim skończyła opowiadanie dobiegała godzina szósta wieczór.
- Ach, Boże! wykrzyknęła - przecież to teraz ostatni pociąg. A miałam wracać o czwartej.

O tej samej porze Karol opuszczał gmach uniwersytetu robotniczego, ażeby się udać na spotkanie z człowiekiem, który zachodził doń dziś rano. Przedstawił się on jako tajny delegat NKWD przy miejskim Komitecie partyjnym, oświadczając, iż ma pewną ważną a dyskretną sprawę, którą chciałby omówić z Karolem zupełnie, jak twierdził, szczerze, konfidencko i na osobności. Wyzначył mu spotkanie dwadzieścia minut po szóstej wieczorem i miejsce spotkania niezbyt odległe, tłumacząc nawet dokładnie i uprzejmie trasę, którą może najbliżej dojść, ukończywszy swój wykład o szóstej; między innymi wychodząc z zaułka na róg parku miejskiego... To było wszystko. Prosił jeszcze, by o spotkaniu zachował najzupełniejszą tajemnicę. Karol przyrzekł naturalnie, przejęty ważnością misji i podniecony jej tajemniczością, a nieznajomy, niski grubas, w krótkim kożusku, wydał mu się człowiekiem szczerym i sympatycznym.

Plan zastrzelenia Karola powziął Tadeusz już od dłuższego czasu, a to dla wypróbowania odstraszającego dla innych efektu, jaki musiałoby za sobą pociągnąć zastrzelenie osoby tak eksponowanej i znanej w całym, niedużym mieście. Byłby to pierwszy krok na drodze planowanego kontrterroru. Wszystko rozpracowane zostało dokładnie z dawnym czyszcicielem pomników, którego nikt prawie w mieście nie znał. Tego dnia, po wyjściu z zebrania, nie mieli się już spotykać; dla zachowania ostrożności Hala zbadać miała, czy nikt go nie śledzi, a też pośredniczyć w zakomunikowaniu ostatecznego terminu Tadeuszowi. Zasadzka umiejscowiona została zawczasu w rogu parku miejskiego u wylotu ciemnego zaułka.

Piętnaście minut do szóstej Tadeusz wpuścił kulę do lufy pistoletu kaliber 7,6 typu "Mauser", zabezpieczył go i wsadził w kieszeń palta łącznic z zapasowym magazynkiem. Na ulicach było ciemno. Miał stąd bardzo blisko, więc się nie śpieszył. Wewnętrznie cieszył się z siebie, że jest zupełnie spokojny i opanowany w każdym ruchu.

Marta, zasiedziawszy się z mężem, musiała znowu śpieszyć. Te kilka minut, które zajęło jej opowiadanie o lisie, spowodowało, że chwila, w której mijają na ulicy jedną z latarni, przypadła na moment, w którym Karol mijal ją z przeciwległej strony, i w ten sposób zetknęła się z nim twarzą w twarz. Prawic że wpadła na niego, powiedziała: przepraszam - zanim rozpoznała go, ale on pierwszy się zatrzymał i nagle odezwał:

- Chciałem pani coś powiedzieć.

Marta poczuła się niemiłe zaskoczona.

- Owszem... Ale ja się bardzo śpieszę; naprawdę.
- Nie dłużej jak dwie, trzy minuty.
- To może mnie pan podprowadzi w takim razie. Idę na dworzec.

Karol zawahał się chwilę, spojrzął na zegarek. Było dziesięć minut po szóstej. Znając dobrze miasto, pomyślał, że może przejść kawałek ulicą, którą musiała iść Marta, a później zdąży jeszcze wykręcić na umówione miejsce spotkania inną drogą. Zawrócił więc i zaczął głosem, który mu drżał z wewnętrznej emocji:

- Chciałem powiedzieć... Mąż pani, to znaczy Paweł, zachował się wobec mnie... Zresztą, nie będziemy o tym mówić. Nie chcę się z nim wdawać w żadne dyskusje polityczne. Zostawmy to na później. Ja się nic obrażam. Chwała Bogu, wszelkie kodeksy honorowe i temu podobne śmieszności nie funkcjonują już. Niech on sobie tam uważa mnie za kogo chce. Natomiast ja...

Marta słuchała przygnębiona, idąc w milczeniu z pochyloną głową,

- Tak, natomiast ja chciałem tylko to powiedzieć pani, i mam nadzieję, że w zupełnym zaufaniu, że... Otóż dotychczas robiłem wszystko i użyłem wszystkich moich wpływów, aby was zostawili w spokoju i nie ruszali. Jakkolwiek pani sama chyba rozumie, że... Nie chcę tu używać żadnych górnolotnych słów. Nie chodzi mi też o żadne objawy wdzięczności. Po prostu tak jest i koniec. To tylko chciałem powiedzieć. - Był bardzo zdenerwowany, bardziej niż przypuszczał z początku i czuł, że jest niezadowolony z siebie. Zawrócił raptownie, zanim Marta mogła odpowiedzieć słowo. Odszedłszy kilka kroków, zatrzymał się i znowu spojrzął na zegarek. Było 17 minut po szóstej. Zawołał dorózkę i kazał się wieść pod wskazany adres. Z tego miejsca trasa nie wypadała koło parku miejskiego.

Uliczka, na którą przyjechał, w ogóle nie miała takiego, jak zanotował, numeru domu. Szukał długo i daremnie, co go jeszcze bardziej zdenerwowało. Musiał, tak sądził, zapewne błędnie zanotować. Zmarzył w ręce manipulując ręczną latarką elektryczną, a gdy wreszcie zrezygnował z dalszych poszukiwań i wsadził ją w kieszeń palta, skonstatował, że zgubił jedną rękawiczkę.

"Co za pechowy jakiś dzień!" - pomyślał z rozdrażnieniem.

Pan Bogucki był to przysadzysty, szpakowaty już jegomość, który się trochę jąkał. Ubrany w stary garnitur o stalowym odcieniu, z ledwo dostrzegalną tłustą plamą na klapie. Opowiedział Pawłowi, że majątek jego leżał po drugiej stronie Niemna... To znaczy, po lewej, poprawił się. Duży majątek ziemski. Później, jak wie, jesienią roku 1939 wkroczyła na jego teren armia czerwona... O władzy sowieckiej wyrażał się w zdaniach powściągliwych i ostrożnych. Paweł słuchał tego przydługiego wstępu apatycznie. Lecz oto Bogucki przysunął bliżej krzesło i powiedział:

- Chodzi o skarb.

Była to historia dosyć banalna: przewrót, ucieczka, aresztowanie. ("Gdyby nie pewien Żydek, nie wiadomo, jakby się skończyło...") Jednym słowem, trochę tam w majątku pozostało w skrzyni okutej: złota, srebra stołowego i innych drogocЕННОści, trochę waluty zagranicznej... Skrzynia zakopana w sadzie, przy ścieżce, cztery kroki od rozłożystej jabłoni, koło której rośnie krzew caprifolium. - ..Pan wie", dokończył, "z takimi czerwonymi jagódkami jesienią?"

- Wiem. Ale co pan nazywa: trochę?

- Pan mówi o złocie i tak dalej? - Bogucki poruszył się nerwowo na krześle i po chwili namysłu zaczął wyliczać rzeczowo wartość zakopanego. Było tego nie trochę, a dużo. Gdy skończył, Paweł zapytał:

- Ile?

- Co ile?

- Ile pan daje z tego?

- Trzecią część.

- Nie da się zrobić.

Zaczęli się targować jak zawodowi kupcy, bez uciekania do zbytecznych frazesów. Paweł wyłożył

Boguckiemu, że po pierwsze nie może tej operacji wykonać sam, po drugie wymaga ona wiele kosztów, po trzecie związana jest z ryzykiem, i to dużym, "z którego chyba pan zdaje sobie sprawę, co?" Bogucki, acz niechętnie, przytaknął skinieniem głowy. - A dalej: jakie są warunki miejscowe? Bez przekupienia kogoś na miejscu nie da się też nic zrobić. Nadomiar złego ziemia jest teraz zamarznięta.

Stanęło wreszcie na pół na pół. Bogucki opisał szczegółowo okolicę, położenie okien, werandy, jabłoni, a także ludzi w majątku. Długo się zastanawiał nad pytaniem, komu można by więcej zaufać. Wreszcie polecił dawnego ogrodnika, jeżeli jeszcze żyje. Dodał, że według jego wiadomości w majątku jest teraz sowchoz. Gdy wreszcie rzecz cała została ubita, Bogucki wyznał, że sam ukrywa się na razie w mieście pod fałszywym nazwiskiem, ujął w obydwie ręce prawicę Pawła, potrząsając nią serdecznie i przechylając głowę na bok, twierdził, że mu bezgranicznie ufa.

Paweł pobiegł wprost do pralni. Działo się to na drugi dzień po odbytej u Tadeusza dyskusji. Zastał go na naradzie z grubasem, którego poznał wówczas, i - jak wtedy - w pokoju na górze. Na widok wchodzącego przerwali rozmowę. Tadeusz był nie w humorze i najwidoczniej niezbyt zadowolony z niespodziewanej wizyty Pawła. Nastąpiło kłopotliwe milczenie, gdyż Paweł w obecności trzeciej osoby również nie mówił, z czym przyszedł.

- Słyszałem - odezwał się pierwszy Tadeusz - że nazwałeś swego przyjaciela, Karola, kanalią?

- Od kogo?

- Widzisz, jak sprawnie pracuje mój wywiad - odrzekł żartobliwie. - Miałeś rację, to rzeczywiście kanalia!

- Ale od kogo słyszałeś?

Tadeusz machnął ręką i sposepniał. - Przecież to było w kawiarni! A przy okazji, jeżeli nie znudziło cię wysłuchiwanie moich sentencji, to wysłuchaj jeszcze jednej, która zresztą może ci się przydać: każdy człowiek czy organizacja, czy instytucja, a przede wszystkim wszystkie policje na bożym świecie z NKGB naturalnie na czele, które interesują się informacjami, mają zawsze kupy drobnych, nikomu niepotrzebnych wiadomości, a z wielkim jedynie trudem zdobywają ważne i dla nich istotne. Sztuka polega jedynie na operowaniu drobiazgami w ten sposób, by wywołać w człowieku osaczonym wrażenie, że wiedzą o nim wszystko. Najczęściej zaś gównem o nim wiedzą. Nie daj się złapać na tę wędkę, gdy - tu odstukał w odwrotną stronę stołu - zaczną ciebie kiedy badać. Myślisz, że ja dużo wiem? - dodał gorzko. - Też wiem, co było w kawiarni, a co się stało na przykład, że... Co chciałbym wiedzieć naprawdę, tego nie wiem!

Grubas wstał w tej chwili i oświadczył, że musi już iść. Tadeusz chciał go zatrzymać, ale Paweł wtrącił wręcz, że ma bardzo ważną sprawę. Bardzo, podkreślił. - No, dobrze, zgodził się Tadeusz, podając rękę tamtemu:

- Więc w takim razie do pojutra? Obmyślimy nowy

sposób, co?

Grubas zgłosił się istotnie pojutrze, ale nie zobaczył już Tadeusza. Paweł zaś, po odbytej rozmowie, nie zawiadamiając nawet starego Łaszowskiego, że przerywa pracę, udał się natychmiast do domu, by przygotować się do drogi i dać wypocząć koniowi.

Trzeciego dnia stary Łaszowski odezwał się do syna, gdy ten wrócił z redakcji: "Ot, to i jest praca z tymi inteligentami! Rzuci i nawet nie pofatyguje się, żeby słowo powiedzieć jedno. A jeszcze robotnikiem chce się nazywać! Tfu! - splunął.

XIX

Droga jest czymś dla człowieka, bez czego życie jego byłoby wegetacją tylko. Rośliny wegetują, a

nie żyją, bo nie mogą się ruszać, nie mogą wyjść na drogę, i pójść nią. Natomiast człowiek bez dróg, po których chodzi, jest nie do pomyślenia. Wszystkie tęsknoty, bodźce, impulsy życia pchają go na drogi, a one biegną przed nim do złego i dobrego, rozchodzą się, schodzą i prowadzą, prowadzą. Drogi tego kraju

są dalekie, krzyżują się jednak często, czasem rozbiegają z jednego punktu, jak ramiona gwiazdy bolszewickiej. Pną

się w górę, zapadają w kotliny, w których pachnie wilgotną ziemią, jadą po korzeniach drzew, kamieniach, utykają w błocie. Zryte koleinami kół, wyslizgane płozami sań, zawiane śniegiem lub przysypane kurzem.

Gdyby wmyśleć się w psychiczną genezę drogi, należałoby dojść do przekonania, że jest składową częścią, nierozdzielnie skutą z pojęciem wolności ludzkiej. Ograniczenie mechaniczne wolności osobistej odbywa się przez ograniczenie dróg, po których obywatelowi wolno chodzić, zamykając go wciąż w ciśniejszych rogatkach państwa, obszaru, gubernii, miasta, gminy, kołchozu aż do korytarza więziennego włącznie, aż do metrowej długości celi.

Drogi Związku Radzieckiego istnieją tylko jako kompromis z rzeczywistością, jako dowód, że ideał bolszewicki jest nieosiągalny. Oni by chcieli, żeby ludzie chodzili po drogach tylko w koniecznej potrzebie, jak się chodzi do wychodka. Krają więc je, przecinają szlabanami zakazów, tamują w granicach poszczególnych republik, ograniczają w ich wnętrzu, hamują na terenie każdej gminy. Kto walczy z drogą, ten walczy z wolnością. Bolszewicy walczą i nienawidzą wielkiej drogi.

Tadeusz rozpracował dokładnie cały plan działania. Skądciś wytrzasnął fałszywe dokumenty dla obydwu. Paweł stał się mieszkańcem miasteczka Oszmiana. Dokument Tadeusza opiewał na imię mechanika-aktorysty.

- Już się nie będziesz nazywał...Pilecki? - zażartował Paweł.

- Pilecki? Poczekaj, a skąd ty wiesz?

- Sonia Kowarska mi o tym mówiła.

- Jaka Sonia?! A... Ta siksa z Ejszyszek. Prawie zapomniałem już. Nie, będę się nazywał inaczej, bardziej odpowiednio do naszej wyprawy.

- ?

- Skarbek. - Wydał wargi z zuchowatym grymasem, zadowolony ze swego dowcipu. - Tomasz Skarbek.

Wyjechali przed świtem. Tadeusz zaczął wyklądać swój plan:

Nie podobna wykopać w zimie ze zmarzniętej ziemi skrzyni ze złotem, pośród cudzego sadu, koło domu zajmowanego przez zarząd sowchozu, na oczach zawsze podejrzliwych, a może wrogich ludzi. Trzeba kogoś wciągnąć do spółki na miejscu. Właściciel polecił dawnego ogrodnika. Na razie innego wyboru nie mają. Ufać jednak nie można nikomu. Trzeba działać przekupstwem. W tym celu wziąłem ze sobą znaczną sumę pieniędzy. Ale przekupywać papierowymi rublami za wydostanie skrzynki złota i waluty jest rzeczą naiwną. Wykopie sam i zabierze, znajdzie lepszych współników do podziału. Nie ma żadnych sankcji. Wyjdźmy zatem z następującego założenia: są dwie rzeczy najbardziej nielegalne w Sowietach: złoto i broń. Różnica jest jednak ta, że złoto pociąga wszystkich, a broń odstrasza. Wtajemniczą zatem ogrodnika, że tam jest zakopana skrzynia z bronią, na przykład podczas odwrotu oddziałów polskich w roku 1939... Dadzą mu, powiedzmy, pięć tysięcy rubli za pomoc i tyle będzie ich widział! Inna możliwość: gdyby zechciał wydać? Co na tym zarabia? Nic, guzik. Przeciwnie, żadnych pieniędzy i ciągnięcie po śledztwach, z niewiadomym i dla niego samego wynikiem. - Plan był ryzykowny, ale wydawał się logiczny.

Bez większych przeszkód minęli linię rozdzielającą dwie republiki i zagłębili się w teren względnie znajomy, którym wracali wówczas z ostatniej wyprawy. Na drugim noclegu w średniej wielkości

wszyscy przyjęła ich gospodyni, nie odpowiadając nawet na powitanie. Męża nie było zrazu w domu.

- Nocować to u nas nie bardzo gdzie jest... - burknęła ochryple. - I konia nie wiem, czy będzie gdzie postawić. Zajechaliby może gdzie indziej.

- No, jakoś będzie, nie? - powiedział Tadeusz, wyłaząc.

- Nie wiem, chyba jak mąż wróci.

Powrócił istotnie niebawem, ale również niechętny i mrukliwy. Zgodził się jednak przenocować.

Tymczasem w izbie zebrali się kilku sąsiadów, zwabionych ciekawością zobaczenia podróżnych. Gospodarz podszedł do pieca, zapalił łuczywo i nim dopiero małą lampę naftową.

- Co, nie ma zapalek? - spytał Tadeusz.

Tamten skinął na odczepnego palcami,

- No, a jak się w ogóle teraz u was żyje? - A? - Pytał dalej Tadeusz, rozcierając zmarznięte ręce.

Gospodarzowi najwidoczniej nie w smak wydał się temat. Poprawił knot i zawołał w ciemny otwór przepierzenia:

- Ania!

- Co?! - odezwała się córka.

- Przynieś kożuch tam jaki i poduszki. Im tu na ławie pościeleni.

- No, pójdą już i ja - odezwał się jeden z sąsiadów wstając ociężale.

- Zaczekaj jeszcze, Józef, pójdziem razem - powiedział drugi.

- Co tam czekać. Ot, ludzie spać chcą. Wiadomo, z drogi.

Tadeusz, który nigdy nie wyruszał inaczej jak z kilkoma butelkami samogonu, wydobyl dwie z podróżnego worka i postawił na stole, więc wszyscy zostali. Rozmowa przeszła wkrótce na tematy dotyczące bezpośrednio ich wsi.

- Ty, Adamka - mówił chłop, nazwany uprzednio Józefem - ty uważaj. Palców między drzwi nie suń. Siedź cicho. Sielsowietem ciebie wybiorą, a jak wrócą dawne czasy?

- Czy ja pcham się w sielsowiety?

- Adamka, ty swoje mów, a ja powiem swoje. Kołchozy jak zrobią, to zrobią. A ty ludzi nie napędzaj. Bo jak, czego dobrego, podejdzie, daj Boże, wojna, to wtedy tobie ludzie...

- Ja nikogo nie napędzam - wypierał się tamten - ale zresztą i nie lękam się kołchozów, jak nie przymierzając ten Chont...

- Jaki Chont? - zagadnął Tadeusz.

- Tu, taki jednosielec był. Pan go nie znasz.

- Skąd może znać - odezwał się któryś. - Człowiek z drogi przyjechał.

- Daleko stąd? - zapytał Tadeusz.

- Nie tak, żeby daleko. Dwie mile będzie, może z hakiem. Strasznie już on bał się do kołchozu iść, a prócz tego syn z robót uciekł. Tak ot, u niego, od tego wszystkiego, w głowie coś pomieszało się. Poszedł, sam na syna donos ułożył, a potem powrócił i wziął gospodarkę swoją spalił. Sam siebie podpalił. Zdurniawszy już był za wszystkim.

- A po drugie - przypomniał sobie Adamka nie będzie u nas kołchozu jak tylko dobrowolnie. Powiedziano żesz na zebraniu onegdaj.

- A ty wszystkiemu wierzysz, co na zebraniu mówią?

- Ciebie, musi, zapytają! Ciebie zapytają? - cietrzewił się Józef.

Gospodarz wychylił szklaneczkę wódki i zakonkludował:

- Prawda, że pytać nikogo nie będą.

Jutro wstało mgliste, szare i znowu mroźne. Koń przekraczał wysoki próg stajni na zastałych nogach, ociągając się. Gdy już wsiadali do sań wyszedł gospodarz, włosy miał w nieładzie, a w nich żdźbła słomy.

- Co to za człowiek ten Adamka? - zapytał Tadeusz, okutując się szczelnie w burkę.

- Teraz, to kto jego wie. Kiedyś porządny człowiek był. - I po chwili, jakby sobie coś przypominając, dodał kwaśno: - Niepotrzebne te gawędy wszystkie. Nagubi ona ludzi, ta samogonka.

Znowu droga przed nimi. Przy drodze krzyż na rozstaju; wisi blaszany Chrystus, a nad nimi siedzi trznadel iskając sobie w piórkach. Po obu stronach pociągnęły się krzaki,

zarośla, pola śniegiem pokryte, znów lasy, znów pola.

Było już południe, gdy zatrzymali się na chwilę przy rozwidleniu dróg, zastanawiając, którą jechać. Raptownie na drodze wyrosły sylwetki dwóch milicjantów.

- Skąd to jedziecie? - zapytał jeden, podchodzący do sań. Pawłowi serce zabiło gwałtownie, ale odpowiedział głosem obojętnym, że z Oszmiany.

- A po co?

- Ech - wpadł mu w słowo Tadeusz, przybierając idealnie szczery ton - wstyd prawie przyznać, towarzyszu, ale w złej sprawie. Do Korelicz jedziemy, siostrze za mąż ze chciało się wychodzić. Nu, ot i my, żeby tylko wódki popić.

- To aż za Niemen?

- Za Niemen.

- To u was widać, mało roboty, że po weselach rozjeżdżacie.

- Roboty jest. Już jak wrócimy, to tak, po stachanowsku się weźmiem do niej, do roboty... zażartował Tadeusz dobroduszenie.

Żaden z milicjantów się nie uśmiechnął. - "Zaraz każą dokumenty pokazać" - pomyślał Paweł, ale milicjanci, kiwnąwszy głową, poszli drogą. Zaledwie odjechali kawałek, gdy z lewej strony, z zarośli, wylazł chłop i ocieniwszy ręką oczy patrzył w kierunku lasu, gdzie na przełaj przez pola podążały jakieś sanie.

- Co to, łapią kogoś? - spytał Tadeusz. Tamten patrzył w dal, nie odpowiadając, a potem mruknął obojętnie:

- Uciekli.

- Wciąż tylko uciekają! - rzucił dziwnie jakimś przyciszonym głosem Tadeusz - A żeby tak za widły! He?!

- Ohohoho... - pokiwał ironicznie chłop.

- Jak tu nam jechać na Korelicze? - przerwał Paweł.

— Prosto - odpowiedział i tknął brudnym palcem w horyzont przed nimi.

Nazajutrz po wyjeździe z Korelicz Tadeusz przypomniał sobie coś, rozpiął burkę, pod nią kozuch i wydobył zawiniętą paczkę.

- Masz - powiedział - schowaj. To pieniądze. Mnie za dużo jest nosić wszystkie. Za wypchany będę. Połowę miejty.

Na miejsce przybyli koło południa. Dawna izba czeladna, do której ich zaproszono na obiad, obecnie stołówka sowchozu, wybielona była wapnem czysto. Kierownik wyjechał do Baranowicz, więc Tadeusz podał się głośno za traktorzystę, który miał być zaangażowany, Paweł zaś za furmana, który go przywiózł i odwiezie z powrotem po rzeczy, jeżeli się tamten ugodzi.

Kury dawnym obyczajem spacerowały po klepisku i pies, stary, pański, po dawnemu jeszcze się wabił Lord. Za oknem widać było drzewo w sadzie, jabłoń. Sądząc z odległości, kierunku werandy, na prawo od kuchni czeladnej i innych jeszcze wskazówek, których udzielił Bogucki, mogła to być ta sama jabłoń, pod którą leży złoto. Do izby wszedł parobek, rzucił w kąt chomąt i podszedł grzać się do pieca.

- A to co za panowie tacy? - rzucił stamtąd nie odwracając głowy.

- A, ot, panowie - podchwycił żartobliwie Tadeusz - majątek przyjechaliśmy kupować.

- Kupujcie, ja mogę sprzedać.

- Nie ma już i nie będzie więcej sprzedaży - odezwał się poważnie starszy jegomość o wyglądzie ekonoma. - Skończyli się i panowie, i sprzedaże. Teraz wszystko ludowe - dodał z akcentem napuszonej surowości.

Dziewczyna, zajęta gotowaniem przy piecu, odwróciła się, żeby przyjrzeć się lepiej przybyłym.

- Jadzia - odezwał się stary, wskazując ich wzrokiem. - Proszę tu i towarzyszom traktorzystom obiad dać.

Jeden z parobków burknął za stołem: - Dziś do miski, to każdy towarzysz. Tylko tołku nie ma z tego towarzystwa...

- Dlaczego? - wtrącił Tadeusz, przybierając swój mentorski ton. - Jeżeli ziemię teraz sprawiedliwie podzielili, każdy na swoim może pracować.

- Ziemi nie podzielili - odpowiedział ten sam starszy jegomość. - Majątek, jak był, tak został, tylko że teraz nie pański, a... nasz, wspólny.

- Taką ich mać... z tą wspólnotą! Biednemu wiatr zawsze w oczy - odszczeknął parobek.

- Wy, obywatelu, z takim gadaniem... - chciał go skarcić tamten, ale urwał i łagodnie zwrócił się do Tadeusza. - Człowiek, jak ciemny, to nie widzi własnego interesu, Będą szkoły, przyszlą lepsze książki wtedy zrozumieją ludzie.

W tej chwili wszedł wysoki człowiek, lat przeszło czterdziestu, z wygolonym podbródkiem, w czapce-cyklistówce na głowie, schludnie odziany w szarą kapotę nieokreślonego kroju. Czapkę powiesił na haku i zbliżył się do stołu szukając miejsca.

- Proszę, proszę - odsunął się grzecznie stary i zwracając do przybyłych: - Ot, poznajcie obywatele, to nasz obywatel ogrodnik, a to obywatel mechanik, na traktorze ma pracować.

Paweł nie mógł się powstrzymać, by nie przyglądać się uważnie człowiekowi, z którym, według przewidzianego planu, mieli zawierać ryzykowną spółkę. Cerę miał szarą, jak jego kapota, ale oczy duże i spokojne.

Ogrodnik mieszkał w małym domku, tynkowanym z zewnątrz na biało, do którego przytykała zniszczona oranżeria. Poszli do niego zaraz po obiedzie. W jego izdebce było schludnie. Na podłodze leżał chodniczek z wiejskiego, kolorowego samodziału. Na komodzie cykał budzik. Koło lustra zatknięte papierowe kwiaty. Takież kwiaty stały we flakonach zrobionych z gilz artyleryjskich pocisków z okresu pierwszej wojny światowej, ustawionych po obu stronach Matki Boskiej Bolesnej. Kilim wiszący na sznurze oddzielał drugą część izby, skąd przeziarało łóżko z czystymi na nim poduszkami. Była nawet półeczka z książkami. Obok leżał starannie złożony we

czworo dodatek nadzwyczajny starej gazety, zapowiadający wybuch wojny niemieckiej z roku 1939.

- Pamiątka? - spytał Paweł, oglądając go ciekawie.

Ogrodnik uśmiechnął się smutnie, kiwnąwszy głową.

Cała atmosfera tego pokoiku wydała się gościom jakąś oazą, żywym wspomnieniem minionych czasów. Nie zastanawiając się dłużej, Tadeusz - powodowany impulsem swej ryzykownej zasady - ujawnił ich właściwą sytuację socjalną.

- Ja to odrazu zauważyłem - odparł ogrodnik - że panowie, jak to mówią, coś lepszego. Cóż robić, teraz takie czasy, że każdy się ukrywa i przebiera. Tu to nie bardzo bezpiecznie, ale jak pan powiedział, że jest mechanik, to może być na razie spokojny. To dzisiejsza arystokracja, he he. Proszę, niech panowie siadają, takie tu u mnie mieszkanko małe... Ja zaraz zrobię herbaty. I przenocować będzie można.

Obydwaj dziękowali serdecznie, wspominali o kłopotach, mobili ceregiele i gadali grzeczności ze smakoszoństwem ludzi, którzy po długim poście dorywają się nagle do mięsa. Poweselał jeszcze bardziej w oczach i ten mały pokój, i sad za oknem. Od południowej strony kapło z dachu. W starym wazonie, który pozostał po jakiejś zagranicznej roślinie i stał pod rynną wypełniony wodą, przeglądało się zachodzące słońce. Gdy krople spadały z dachu, od zagnała poruszanej tafli refleksy biegały po suficie.

- Więc panowie znali pana Boguckiego? Ach, jaka szkoda jego majątku. Dobry człowiek był, gospodarz sprawiedliwy... Trochę lubił pieniądze, no, ale kto ich nie lubi, he he...

- A jakże się tu ludzie zachowywali? - spytał Tadeusz.

- Strasznie nawet opowiadać. Jak zwierzęta, jak dzikie zwierzęta z początku. Ale za to później... Czysta komedia, teraz chcieliby powrotu dawnych czasów. Ale czy wrócą?... zakończył w przestrzeń.

"Tak-nie, tak-nie, tak-nie..." cykał budzik pod obrazem Matki Boskiej Bolesnej.

Tadeusz, gdy ogrodnik wyszedł na chwilę, zatarł ręce z ukontentowaniem: - No, więc, świetnie się składa. Mam najlepsze przeczucia! Powiadam ci - i trzasnął żartobliwie Pawła po łopatce - jeszcze wywrócimy bolszewizm do góry nogami!

- Z twoim szczęściem do ludzi... - odpowiedział Paweł tym samym tonem.

Plan swój rozwinęli przed ogrodnikiem dopiero nazajutrz po śniadaniu. Gdy opowiadali zmyśloną historię, słuchał z pewnym zaniepokojeniem, ale w skupieniu, gdy zaś doszli do skrzyni zawierającej broń, zasępił się wyraźnie. Zdawało się, że twarz jego nabrała jakby ostrego wyrazu, a cień zniechęcenia przebiegł po niej i utkwiał w kącikach ust. Gdy wymienili kwotę nagrody, nie odpowiedział nic, wstał, podszedł do komody, nabijał fajeczkę tytoniem i, wciąż odwrócony plecami, odezwał się po chwili niezwykle u niego, rzeczowym tonem:

- Panowie z nikim o tym nie rozmawiali?

- Nie. Uchowaj Boże.

- Proszę wystrzegać się. Zwłaszcza tego starego pana, co to wczoraj zapoznał nas. To taki sobie szlachcic był, miał ładną gospodarkę, dziś robi z siebie komunistę. Później ta... dziwka, Jadzia, to... też dobra kur..., plotkarka - poprawił się. Milcząc wyszedł do kuchni, a gdy powrócił, powiedział krótko:

- Więc spróbujemy. To trzeba w dzień robić. We dwóch starczy. Ja i może - zwrócił się do Tadeusza pan... przepraszam...

- Skarbek - odrzekł Tadeusz - Tomasz Skarbek.

- Tak, to może ja z panem Skarbkiem. Wymyślimy jakiś pretekst.
- Jest pan ogrodnikiem, więc zawsze może pan coś kopać w ogrodzie.
- No, tak, tak, naturalnie.

Paweł wyszedł powąłęsać się po obejściu. Opatrzył konia i z nudów zaszedł do pustej o tej porze czeladnej poflirtować z Jadzią. Tadeusza zobaczył dopiero w obiad. Był rozpromieniony. Prowadził jakieś długie narady z ogrodnikiem, a później szepnął do Pawła na osobności:

- Jutro musimy być gotowi do odjazdu. Wszystko w porządku. Ogrodnik wymyślił, że będziemy w tym miejscu wkopywać żerdź dla anteny. Dobra myśl?
- Dobra.

Nie podobna było siedzieć cały dzień w gościnie u ogrodnika. Paweł znów poszedł do Jadzi, o której ogrodnik wypowiadał się w słowach nader niepochlebnych, co jednak nie zmieniało rzeczy, że była ładna, silnie zbudowana, miała twarde piersi, choć czuć ją było trochę dymem kuchni i zapachem jarzyn. Do jej izdebki prywatnej wchodziło się po schodach w kształcie drabiny. Paweł, idąc za nią, wpatrywał się w delikatną skórę w zgięciu pod kolanami, która przeświecała pod spódnicą i stąpawszy fałszywie omal nie spadł ze stromej drabiny. Odwróciła się i zaśmiała wesoło, przyglądając spódnicę:

- Pewnie podpatrywał, gdzie nie trzeba...

Pozostał u niej, i na noc nie powrócił do domu ogrodnika. Jeden guzik jej białych, staromodnych majtek przyszyty był czarnymi nićmi, a gdy żartem zganił ją za to, westchnęła:

- Bieda teraz wszędzie.

Kierownik sowchozu wciąż jeszcze nie był powrócił.

Po południu trzeciego dnia pobytu Tadeusz ciągnął przez sad ogromną żerdź, położył ją pod jabłonią i siadł na niej; jął skręcać papierosa w oczekiwaniu ogrodnika. Paweł założył konia i uwiązawszy go w szopie za stajnią, stał na ganeczku ogrodniczego domku, patrząc na objawy zbliżającej się wiosny. Szła skądś, od Morza Czarnego, z Wołynia, z bagien poleskich, zza Prypeci, cała w podróżowionych obłóczkach po jasnym niebie. Z metalicznym chrzęstem spadały pożółkłe sopte lodowe z okapu dachu. Kałuże szklily się tłusto na śniegu śladami płóz, zbrukane nawozem. Sikorki wołały na jej spotkanie: ti-ju, ti-ju!

Nagle na ścieżce między drzewami ukazała się Jadzia. Biegła. Wdepnęła w kałużę i ani się nie obejrzała śpiesząc wprost na Pawła, w spódnicy krzywo zapiętej i w narzuconej chuście. Łapiąc oddech wyrzuciła z siebie niezrozumiałe słowa:

- No, co robisz tu jeszcze?! Czemu nie jedziecie?! Czego czekacie jeszcze?!

Paweł zdetonował się, ale zmusił do uśmiechu i wyciągnął nawet rękę, żeby ją objąć. Odtrąciła ją.

- Uciekajcie zaraz! Ogrodnik na was do milicji donos złożył.
- Ogrodnik?!...
- Ogrodnik.
- Ogrodnik?!...!
- No, co pytasz sto razy: ogrodnik, ogrodnik... Mówię, że ogrodnik!

Paweł otworzył usta jak zdumione dziecko i jednocześnie zobaczył, że Tadeusz, widocznie zniecierpliwiony oczekiwaniem, ruszył przez sad w przeciwnym kierunku, ku zabudowaniom. Jadzia mówiła śpiesznym szeptem:

- Ach, durnie, przepadniecie wy za nic. Już ja wiem. jeżeli mówię... Ten ogrodnik, to chytry człowiek. On niby ze wszystkimi trzyma. Mówili, że on jakieś złoto wykopał w sadzie, aresztować

chcieli zeszyłym latem, ale wykręcił się i jeszcze do komitetu wybrali.

- Wykopał zło...? - ale Paweł nie dokończył zdania, gdyż w tym momencie spostrzegł, jak Tadeusz zwolnił kroku, a później stanął jak wryty i, tak jak stanął, stał opuściwszy ręce w pozie dziwnie bezwolnej, sam pośrodku sadu. Było coś strasznego w tym raptownym sparaliżowaniu jego ruchów. Naprzeciw wyszło zza odryny trzech milicjantów z karabinami i kilku chłopów. Wszystko to trwało nie dłużej jak trzy, cztery sekundy. Tadeusz odwrócił się raptownie...

- Stać! - wrzasnął milicjant. Wtedy on rzucił się do ucieczki, ale w tejże chwili złapał go parobek przyczajony z boku. Tadeusz trzasnął parobka pięścią w twarz, zwałił na ziemię, ale powalonemu udało się uchwycić go za nogi i wywrócić. W tym samym momencie podbiegł chłop w rozpiętym kożuchu i pałąk uderzył Tadeusza po głowie. Ogłuszony, próbował się zerwać, wyprostować, wyciągnął rękę, ale otrzymał drugi cios przez oczy, zęby, nos. Zatoczył się wtedy z podniesioną ręką, krew pociekła po twarzy i zdawało się, że się rozpląkał. Z tyłu doskoczył człowiek z grubym kołem.

- Nie bić! - krzyknął milicjant - żywego brać!

Ale człowiek już uderzył z góry w dół po czapce. Czapka zwisała na uchu, a tamten wciąż po głowie, po głowie, po głowie kołem!

Paweł nie widział więcej twarzy przyjaciela. Dostrzegł tylko po raz ostatni, jak się pochylił, później cały zgiął się jakoś w pół ciała, właśnie w jego stronę, jakby się kłaniał czy żegnał z daleka.

- Czego... Oni... - wyszeptał w przerażeniu Paweł - jego... biją?... - I jak przez sen usłyszał odpowiedź Jadzi:

- Bo mogą, to i biją.

Za krzakami agrestu ścieżką od rozwalonej czemuś lodowni statecznie i sztywno, spokojnie, jakby się nic w tym sadzie nie działo, szedł ogrodnik.

Paweł skoczył za róg domu, skrył się, ale nogi chwiały się pod nim i ręce drżały jak w febrze.

- Uciekaj tędy! - dognała go Jadzia. - Konia zostaw, nie zdążysz! Na te rojsty, za rzekę. Ja powiem, że uciekłeś w drugą stronę, do lasu. A ty biegnij, tam dalej będzie taki brzeźniak gęsty, ze dwa kilometry. Zobaczysz. Tam zaczekaj. W brzeźniaku. Rozumiesz?! - Targała go za kożuszek. Ja tobie wieczorem sanki podprowadzę.

- Jakże ty...? - wybełkotał.

- Już moja w tym głowa, nie twój interes. Jak mówię, że przyprowadzę... Prędko, uciekaj!

Uciekł.

Czekał.

Przyszedł najpierw zmierzch, siny od stygnącego śniegu, później co raz ciemniejszy aż czarny w końcu. Od dawna już zimno przejęło Pawła do kości. Później nie czuł nawet, jak marznie. Zaczął się bać i zdawało się, że strach dodaje mu ciepła. Bał się strasznie, żeby nie złapali. Wtulił cały między gęste krzewy i głęboki śnieg. Bał się coraz bardziej, ale czekał jeszcze. Przyszedł księżyc. Dwa razy przejeżdżali niedaleko ludzie sankami, raz pies gdzieś zaszczekał w pobliżu, i Paweł poczuł, że serce mu zamiera. Przyszedł mróz. Zrobiło się już bardzo zimno. W mózgu tykał gorączkowo puls, zupełnie jak budzik ogrodnika. - "Czy już nie przyjedzie?" - pomyślał. Tak-nie, tak-nie, tak-nie..." cykał puls w głowie.

Nie przyjechała. Paweł przywołał całą energię i siłę woli do życia. Wypełził ostrożnie z krzaków i powłókł się na przełaj, grzęznąc w śniegu, przedzierając przez haszcze, na przełaj przez rojsty, przez pola, przez lasy. Nie pamiętał już, w jakim miejscu i po raz który sięgnął ręką do kieszeni w poszukiwaniu tytoniu i zapalek, które - też nie pamiętał - gdzieś zostawił czy zgubił: gdy nagle w kieszeni na piersiach kurtki namacał skostniałymi palcami gruby pakiet... Przez czas jakiś szedł

bezwiednie, trzymając palcami za kieszeń kurczowo. Później się zapiął, wyprostował i po raz pierwszy otrzepał ze śniegu.

XX

Sprawa pieniędzy, które znalazły się w kieszeni Pawła, stała się dominującą od chwili jego powrotu. Jeszcze gdy leżał w gorączce dochodził go jak przez sen gruby głos męski i podniesiony Marty, które zdawały się o coś sprzeczać. Kilka dni temu wrócił, wypuszczony z więzienia, Jan, mąż Mani, i zażądał zwrotu pożyczonych sanek. W gruncie rzeczy nie były mu potrzebne, bo teraz nie miał nawet konia, ale za to tym bardziej potrzebował pieniędzy. Chciał więc zapłaty i za przeszłe użytkowanie i zaliczki za dzierżawę ich na przyszłość albo natychmiastowego zwrotu.

Chwilowa sytuacja Pawła nie budziła żadnego podejrzenia. Wiadomo było, że pracował w mieście, i każdy rozumiał, że będąc chorym nie mógł sobie pozwolić, aby koń stał i żarł darmo. Że więc wydzierzał komuś swój zaprzęg, jak to oświadczyła Marta, było rzeczą naturalną. Ale Jan żądał pieniędzy. Marta wiedziała, że sanki przepadły bezpowrotnie, że zwrócić ich nie można będzie, wyjaśnić sprawę też nie mogła, więc nie widziała innego wyjścia, jak zaproponować Janowi, że je od niego odkupi. On się zgodził. Marta po dłuższym targowaniu wyjęła na własną rękę z paczki owiniętej w gazetę odpowiednią sumę i kupiła przepadłe sanki za cenę niską, ale i tak Jan zrobił na tym dobry interes, bo sprzęt był marny, a do tego zbliżała się wiosna.

Paweł nie pamiętał nawet, jak dobrnął do domu. Z początku żona obawiała się, że dostał zapalenia płuc, i chciała już wzywać lekarza, ale po kilku dniach stan się poprawił. Pewnego wieczoru zaczął jej po raz drugi, tym razem dokładnie, opowiadać całą historię, którą знаła dotychczas z urywanych zdań pierwszego dnia jego powrotu. Słuchała milcząco. Gdy kończąc doszedł do miejsca, jak uciekł i czekał daremnie na obiecane przyprowadzenie konia i sanek, westchnęła tylko cicho. Po dłuższej pauzie, która nastąpiła, utnęła:

- A ona ładna była?
- Kto?
- No, ta Jadzia, o której opowiadałeś.
- Taka sobie - odparł niechętnie.
- Może i ją aresztowali...

Paweł opadł głową na poduszki, patrząc w sufit. Nagle uniósł się na łokciu i opierając głowę na dłoni, przypomniał sobie:

- Poczekaj! Ale gdzie był krzak caprifolium? Nie było krzaku caprifolium!... Nie, nie pamiętam go zupełnie, żeby był.

Marta wstała, poprawiła mu łóżko i poszła przebierać kartofle na sadzonkę. Myśleli oboje o tym samym: o pieniądzach.

Nie żeby którekolwiek z nich uważało, że można nie oddać ich w całości do pralni, owej Hali, tak jak to kiedyś polecił był Tadeusz jeszcze w Ejszyszkach, ile ciążyła im świadomość, że naruszyli już sumę, spłacając sanki Janowi. Ale z drugiej strony, skąd było wziąć...

Po upływie kilku dni, gdy Paweł mógł już wstawać, a później zaczął nawet wychodzić, Marta zaczęła doradzać mu, żeby nie śpieszył się z pójściem do miasta. - "Kto wie", mówiła, "jaki obrót przyjąć mogło śledztwo? Czy możesz być pewien, że nie dojdą i nie wykryją całej tej pralni? Żeby tylko nie zrobili tam jakiejś zasadzki". - Paweł przekonany był, że nic nie mógł w sowchozie zostawić takiego, co w konsekwencji mogłoby naprowadzić na jego osobisty ślad. Oczywiście, oboje nie mówiąc sobie tego budowali na tym, że Tadeusz został zabity i że przeto nie mógł składać żadnych zeznań. - "Ani jedna z kobiet w pralni", zapewniał Paweł, "nie zna nawet mego

prawdziwego nazwiska. Wiedział tylko Leon i prawdopodobnie, tak sędzę, ów otyły facet..."

Czas mijał w nieustannym naprężeniu nerwów i męczącym wyczekiwaniu na coś, co - jak się pocieszali wzajemnie - nie powinno było nastąpić. Raz gdy o niespodziewanej porze stuknęła furka, Paweł zbladł i skonstatował z przykrością, że nie może opanować drżenia rąk. Marta udała, że tego nie zauważa i wstała z pozornym spokojem, aby zobaczyć, ale Paweł zatrzymał ją raptownie, nie wytrzymując wewnętrznego napięcia.

- Poczekaj. Ja sam - powiedział zduszonym głosem.

Przyszedł Franciszek spod Lasu. Od czasu pierwszej przestrogi Oli upłynęło już wiele miesięcy. Paweł wiedział, że Franciszek związany jest współpracą z zarządem sielsowietu, a prawdopodobnie pełni funkcje konfidenta, a teraz przypominał sobie, że Marta wspominała, iż kilkakrotnie już zachodził podczas jego nieobecności w jakiejś sprawie. Nie przywiązywał do tego większej wagi, ale w tej chwili przywitał się z nim milcząc i nie podnosząc wzroku czekał, co tamten ma mu do powiedzenia.

Franciszek wydawał się być czymś zakłopotany i kołował w rozmowie, co wzbudziło tym większą czujność Pawła. "Że wiosna się spóźnia", myślał, "o tym każdy wie, nie od Franciszka mu się o tym dowiadywać". "Kartofli"? Nie, kartofli na sadzonkę nie będzie kupował, własnej starczy. - "Czy był chory"? Owszem, był, jeszcze ciągle czuje się trochę niezdrów... (Ale, co dalej, co dalej?!) Wypadało mu właściwie zaprosić gościa do mieszkania, nie mógł się jednak jakoś zdobyć, trawiony nerwową gorączką dowiedzenia się (prędzej, prędzej), z czym przyszedł?! Właściwie, to Franciszek chciał tylko pożyczyć piły od Pawła, tej piły, której zęby ongiś sam stroił, bo jego... Paweł przerwał mu: Dobrze, dobrze, mogą zobaczyć. - Przeszli do drewni. Franciszek stuknął palcami po stali, a później, jak to się fachowo wypróbowuje, gwałtownie postawiwszy wygiął ją o ziemię. Piła wydała długi dźwięk płaczący, przeciągły jak skarga zanikająca w oddali. Ale Franciszek nie dosłuchał dźwięku do końca i zaczął zupełnie od rzeczy: "Czy Paweł myśli, że on co złego robi? Ludzie mówią, że z sielsowietem "trzyma". Ale na czym to "trzymanie" polega? Każdy ratuje się dziś, jak może. Ale żeby on na kogoś donosił, to już nieprawda! Boże, strzeż od takiego grzechu! On to i chciał tylko powiedzieć, żeby Paweł wiedział.

- Ale przy czym tu ja?

- Ni przy czym, tak tylko. Chciałem powiedzieć. - Nagle pochylił się, podniósł z ziemi zardzewiały gwóźdź, przyglądając mu się z uwagą, jakby to był jakiś ważny, gospodarski przedmiot i dodał. - Żeby pan wiedział... Jeżeli zdarzy się, że... że na przykład czasy się zmieniają.

Rzucił gwóźdź na ziemię. W swoim zakłopotaniu, żegnając się, zapomniał zabrać piłę, o pożyczenie której prosił.

Paweł w milczeniu podniósł porzucony gwóźdź i też począł go obrabiać w palcach jak ważny, gospodarski przedmiot. Nagle, w ostatniej chwili, gdy Franciszek był już za furką, przypomniał sobie coś, o czym już dawno nie pamiętał:

- Franciszek! - zawołał.

Tamten zatrzymał się w pół obrotu.

- A co to było... Co to było wtedy z tą rewizją w lesie, gdyśmy drzewo piłowali?

- A ja skąd mogę wiedzieć - wzruszył ramionami i poszedł.

Paweł stał jeszcze jakiś czas, później odetchnął głęboko.

Nazajutrz wybrał się do miasta.

Gdy wszedł w znaną sobie uliczkę, zauważył od razu, że szyld znikł. Ponieważ orientował się zawsze według niego, a nie pamiętał nawet numeru domu, minął go i przystanął w zdumieniu. Pralni nie było. Zawrócił z powrotem i nie mógł się połapać. Wreszcie poznał schodki. Okno zamknięte było okiennicą na głucho; drzwi zabite deskami. Doznał przykrego wrażenia zamętu w

głowie, ponieważ nagle zdało mu się, że Tadeusz, że wszystko było tylko nierealnym widziadłem. Wszedł przez bramę na podwórze, ażeby dowiedzieć się czegoś od kobiety, która pełniła funkcję dozorczyńi domu. Tu jednak natrafił na nieprzewidzianą przeszkodę: z oddali już dochodził straszliwy jazgot i krzyki. Dozorczyńi pokłóciła się z inną babą z tej samej kamienicy i od słowa do słowa na klatce schodowej, później koło studni, później koło śmietnika doszło do wylewu tych strasznych pomyj, które potrafi tworzyć język ludzki w ustach kobiety, gdy nią już być przestaje. "Tfu"! - splunął jakiś człowiek, który stał obok. Paweł minął go, niezauważony teraz przez nikogo, podszedł do drzwi, które, wiedział, z pralni wychodziły na podwórze. Były tak samo zaryglowane. Potok brudnych słów lał się w dalszym ciągu z ust dozorczyńi. W tym stanie rzeczy niepodobieństwem było pytać ją o cokolwiek. Wyszedł na ulicę.

Boguckiego nie zastał. Odpowiedziano, że podobno wyjechał i zamknięto mu drzwi przed nosem. Do mieszkania Leona nie mógł się w ogóle dostukać. Jakiś lokator z przeciwka, zawołał doń cierpko, żeby nie robił hałasu. Paweł zbiegł po schodach, nie uświadamiając sobie nawet, że te wszystkie ledwo wpólotwierane drzwi i nieprzyjazne twarze, nie sprawiają mu dla czegoś żadnej przykrości. Jeszcze raz, bez wiary wewnętrznej w słuszność swoich kroków, poszedł w znaną uliczkę; przybywszy tam, zatrzymał się, popatrzył. Była pusta. Zza rogu wyjechał wóz naładowany jakimiś starymi meblami i toczył się wolno w przeciwnym kierunku. Stać w ten sposób nie było sensu. "Czy ja jestem temu winien, że nie mogę oddać tych pieniędzy?" - pomyślał Paweł. "Zdaje się, że zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, aby..." Ale nie chciał dłużej myśleć. Zawrócił. Odchodząc obrócił się po raz ostatni... i wolnym, spokojnym krokiem, poszedł do fryzjera; chciał to już dawno uczynić, bo miał za długie włosy.

W małym zakładzie strzygł tylko jeden pracownik. W rogu, twarzą od okna, wciśnięty między wiszące palta, siedział drugi klient i czekał swojej kolejki. Paweł nie zwróciwszy na niego uwagi powiesił kożuch, siadł i wyjął pudełko z tytoniem. Po dłuższej chwili siedzący obok z widocznym przymusem i przesadnie ugrzecznionym tonem wyjąkał słowa powitania. Paweł odwróciwszy się, zaskoczony, zobaczył, iż był to stary znajomy, zecer z drukarni, do której Paweł zachodził w dawnych czasach często. Znał go chyba od lat pięciu jako przyjaznego i rozsądnego człowieka. Właśnie w dzisiejszym numerze lokalnej "Prawdy", którą kupił na dworcu, uderzony był wyjątkowo przykrym tonem "wywiadu", jakiego udzielił ten zecer w rubryce "Wypowiedzi robotników". Zapewniał w nim o bezgranicznej miłości i wdzięczności dla Związku Radzieckiego za wyzwolenie, cytując jednocześnie nieprawdopodobne zgoła przykłady nędzy dawnego zecera, głodowe stawki itd... Kończył zaś słowami o własnym sercu, które: "krwawiło i rozdzierało się w bólu przy składaniu pod butem systemu kapitalistycznego artykułów oszczerczych i wrogich względem Związku Sowieckiego i Jego Wodza, genialnego Stalina".

Paweł odkiwnął głową, milcząc.

- Czy pan myśli, że to ja sam tak mówiłem? - odezwał się szeptem zecer.

- Co? A... w "Prawdzie"? Tak, czytałem - odparł Paweł krótko.

- Kazali. Nic nie poradzisz. Kazali podpisać i koniec. Spróbuj przeciwstawić się... - mówił dalej zduszonym szeptem. - Pan przecież sam chyba wie.

- Ja wiem, ja wiem. - I Paweł zaczął przyglądać się portretom wiszącym na ścianie. U fryzjera był nie tylko przepisowy Stalin, ale ponadto Woroszyłow, Mołotow i Budienyj.

- Przecież... - jeszcze bardziej zniżając głos, szeptał zecer - pan wie, jak było... Razem pracowaliśmy... I jak ślicznie się zarabiał. Ot, chociażby i to palto, co mam... - Było coś nieprzyjemnie poniżającego w tych szeptem składanych usprawiedliwieniach nieomal po psiemu skomlących, i Paweł mimo woli przytaknął:

- Tak, tak. Pamiętam. - Zecer ucieszył się z tych słów. Zaczął skrupulatnie wyliczać, co mógł kupić kiedyś za swoją dawną pensję.

- Wszystko, co mam, to jeszcze zawdzięczam... ot, chociażby i to palto - powtórzył.

- Tak, tak.

- A wie pan, że robotnikom, to chyba teraz najgorzej...

- Tak, tak.

Nastała cisza, którą przerywało tylko dzwonienie nożyczek. Fryzjer i jego klient milczeli.

- A co pan teraz robi? - zagadnął po chwili zecer.

- Ja? Chcę kupić konia i wóz - odpowiedział Paweł machinalnie i poczuł w zdumieniu, że po raz pierwszy wypowiada słowami swoją ukrytą myśl. Tak, chcę kupić konia - powtórzył twardo.

Zecer zastanowił się i powiedział:

- Jeżeli pan chce kupić konia, to ja mogę naraić. Sąsiad mój sprzedaje. Dobry koń. I wóz do tego.

Paweł ożywił się od razu i zapominając zupełnie o po przedniej niechęci, zaczął rozpytywać. Zecer dał mu dokładny adres: w końcu przedmieścia, na którym sam mieszka. Już prawie na wsi. Niech się na niego powoła. Jest to stary człowiek, uczciwy - mówił wymieniwszy uprzednio nazwę ulicy i domu - tylko trochę fiksowaty. Stuknął palcem w czoło.

- Jak to fiksowaty? Dziwak jakiś?

- Nie... Nie żeby dziwak, zdaje się nawet rozumny człowiek, tylko, widzi pan, on ptaszkami zajmuje się. Bywa, całymi dniami chodzi i na drzewa patrzy. Ale sam w sobie sprawiedliwy człowiek. Autobusem niech pan jedzie, a stamtąd piętnaście minut piechotą, nie więcej. - Zecer rozgadał się już teraz na dobre i znać było, że jest zadowolony z obrotu rozmowy. Fryzjer skończył, strzepnął fartuch i zawołał: "Następny!"

- Jeżeli panu się śpieszy, to ja zaczekam - powiedział półgłosem zecer.

Paweł chętnie skorzystał z uprzejmości. Gdy skończył strzyżenie, pożegnał zecera uściskiem dłoni i szybko skierował się do drzwi.

- A niech towarzyszy - powiedział już zupełnie głośno zecer, zasiadając poważnie na fotelu przed lustrem - niech towarzyszy nie zapomni na mnie się powołać.

- Dobrze, dziękuję - odparł Paweł.

Nie wahał się więcej. Był zdecydowany: zima się kończy, kupi wóz i kupi sobie konia. Jakby z bardzo daleka zaświtała jeszcze jedna wątpliwość, ale tym razem była to już naprawdę ostatnia: "A co na to powie Marta?... Marta ucieszy się z mojej decyzji" - dopowiedział sobie w myślach i wskoczył do autobusu.

Sad owocowy, obramowany żywopłotem i starodrzewiem, teraz bez liści, łagodnie opadał ku rzeczce. Furtkę otworzyła garbata dziewczyna. Paweł obrzucił wzrokiem całe obejście i powiedział:

- Ładnie tu pewnie u was latem, co?

- A niczego sobie. I rzeczka jest w dole. Niech pan tędy idzie, ścieżką. Tam spotka ojca.

Stary leżał na słomie w szałasie zbudowanym z gałęzi i obserwował poprzez otwór z przeciwległej strony. Paweł przedstawił się, powołał na znajomego zecera i wyjaśnił cel przybycia.

- Na ptaki sieci pan nastawia? - spytał w końcu.

- A pan na ptaszkach zna się?

- Znam - odrzekł z przekonaniem Paweł, przypominając sobie uczniowskie lata, gdy z namiętnością hodował w klatkach ptaki śpiewające. - Ale, teraz pan łapie? Pod wiosnę?

- To znaczy, pan mało się zna, jeśli pyta. Bo szczygły to tylko pod wiosnę i łowi się, a nie, jak inne, na jesieni. Na bodziaki łowi się.

Obok rozczyszczzonego toku wisiała klatka z wabikiem, który odzywał się niezbyt rażno. Stary podał mu głos, do tego stopnia idealnie naśladowujący szczygła, że Paweł aż spojrzał zdumiony.

- W ten sposób, to i rozmawiać pan może z ptakami.

- A wiesz pan, bez mała, że rozmawiam. Było się czasu nauczyć. Pogoda dobra, a nie idą. Też swój humor mają. Wycofał się rakiem z szałas, zabrał klatkę z wabikiem i poszli ścieżką pod górę ku domowi.

Gospodarz otworzył stajnię i wyprowadził dobrze zbudowanego, sześciolatniego kasztana z białymi pęciami. Obmacali palcami żebra, kłęb, zajrzeli pod ogon, w zęby, w kopyta.

- Za przeproszeniem, dupka, to jak u panienki. A strzałkę pan widział, jaka w kopycie?

- Widziałem.

- Kopyt suchy. Jednym słowem.

Paweł machinalnie trącił końcem buta pod kolano przedniej nogi. Stary zerknął nań z dezaprobatą.

- Co tam próbować pod kolana. Czy pan kupuje pod siodło? Do ataku jeździć pan nie będziesz, a dzisiejszym czasem, za przeproszeniem, gnój wozic. Choć, jak pan widzi, i przednie nogi mocne. Przeprowadził go następnie truchcikiem po podwórzu. Koń był dobry. Potargowali się bardziej dlatego, aby zadośćuczynić tradycji kraju, w którym jeszcze nikt nie sprzedał i nikt nie kupił niczego bez targu, i ugodzili w ciągu pięciu minut, po czym gospodarz zaprosił do domu.

W jasnej, obszernej izbie okna i część ścian zawieszane były klatkami różnych wymiarów i kształtów. Zewsząd dochodziło ćwierkanie i śpiew ptaków. - Zaraz nam córka poda cokolwiek zakąsiec i po kieliszku. "Borysz" wypić należy się. Bez tego nie można - powiedział stary ptasznik,

Przy jednym z dwóch okien, w samym rogu, zwyczajem prawosławnym paliła się lampka, ledwo rozświetlając twarz Matki Boskiej. Paweł przyjrzał się jej.

- Kazańska, cudotwórcza - wyjaśnił ptasznik.

- Pan prawosławny?

- Nie. Tylko żona, nieboszczka, świeć Panie nad jej duszą, była ruska. Ożeniłem się w Symbirsku nad Wołgą. Na jej pamiątkę świecę przed ikoną. A zresztą... nie ten do nieba trafi, kto jakiej wiary, a kto sprawiedliwy.

No, i cóż było dalej? - pytał Paweł, gdy siedzieli już dawno przy stole, a stary opowiadał dzieje swego ojca, który jeszcze w połowie zeszłego wieku wyemigrował nad Wołgę: "Miedziana kopiejka" - mówił - "choć daleko jej do rubla, przecież cenę swą miała. Głodnych było mało, a bogatych dużo. Ojciec owocami handlował, a sadów było w Symbirsku nad Wołgą! Oho! Ojciec zaczął później sam dzierżawić, dorobił się. Kupił wreszcie... Ech, bywało wyjdiesz rankiem do sadu, pod jesień, jeszcze rosa, owoce spadają, jagody dzikie czerwienią się, nasiona wszelakie dojrzały, a ptaków, ptaków - ciżba nieprzebrana! Zjeżdżali,

na rynki handlarze, znawcy, miłośnicy ptaków. Nie sprzedawało się byle co i byle komu. Ptaki bywały nawet uczone. Raz za trzyletniego gila, wyuczonego gwizdać melodie, wziął 50 rubli srebrem. A pan wie, co w tamte czasy było 50 rubli?! Ho, hoho! Dzisiaj nie ma takich pieniędzy. Weź na przykład tego czyża. - Stary wstał, podszedł do jednej z klatek, otworzył, wypuścił ptaszka do pokoju. - Cztery lata u mnie. Ja bym jego za żadne pieniądze nie sprzedał, ale i nie kupiłby nikt, bo kto ich ma dzisiaj, pieniądze na to? Nikt. - Ptasznik otworzył górną połowę okna i czyż wyleciał, siadł na poręczy werandy, ale nie uciekał.

- Tatko całe mieszkanie wyzięb! - sarknęła garbata, która weszła z kuchni.

- Nie burcz, nie burcz - mruknął stary i zagwizdał nagle po czyżemu, czysto i sucho. Ptasek wleciał z powrotem do pokoju. Garbata podeszła do okna i zatrzasnęła je.

Ptasznik zrobił ruch głową w jej kierunku: - Dobra ona u mnie córka, ale na ptaszkach nie rozumie się.

- Nie rozumie się! - podchwyciła jego słowa. - A za co opału kupić? Tatko myśli, że ciągle stare czasy.

- Myśleć, ja nie myślę. Dobrze wiem, że nowe.

- I wyjechał pan? - nawiązał Paweł do opowiadania.

- Pan wie, kto w Symbirsku rodził się? Włodzimierz Iljicz Uljanow. Kiedy on Leninem przezwano się, nie pamiętam. A my z nim jednolatki byli. Pamiętam jego dobrze... Gdzie jego tam nosiło po świecie, później... ale wyniosło, w górę wyniosło. A szkoda. Życie było kiedyś. Czółnem, bywało, płyniesz o świecie na wyspę, zapadki stawisz... Albo wiosną, gdy wody rozleją szerooooooko! A w cerkwi zadzwonią, to tak, zdaje się, jakby głos żywy biegł po wodzie niby czajka, skrzydłami dotykając. Przestrzeń, swoboda... Wyjechałem, pytasz pan? A co tam było robić? Ptaki zabronili łowić, a jakże! Zamiast tego ludzi do klatek nasadzali. Co tu i mówić. Ot, teraz słyszę, wszyscy na Hitlera naskoczyli, cały świat krzyczy, że morduje Żydów. A czemu to zapomnieli, jak w bolszewicką rewolucję gołych oficerów za nogi po bruku ciągal, duchownych do przerębli rzucali, kupcom oczy łupili? Co to, Żyd co lepszego od oficera czy innego? To samo człowiek. Ale ja nie o tym chciałem mówić. Mordować, w każdym narodzie mordują, ale że kraj zmienili. Nawet i nie to, że nędza nastąpiła, a tak... zmienili. Żona umarła przy rodach. Córka tylko, ot, kaleka; z ojca strony trochę krewnych tu zostało. Wtedy jeszcze optować było można. No, to i zaoptowałem w ojcowiznę. Domek ten kupiłem.

Paweł poczęstował go tytoniem. Stary zrobił przeczący ruch ręką: - Nie będziemy jeszcze palić. Zakąsimy i po kieliszku, jednym, drugim, a to ja zagadałem się i nie częstuję. A później zapalimy na świeżym powietrzu.

- Bo co, ptakom dym szkodzi?

- Nie. Żeby bardzo, to nie szkodzi, ale zawsze.

- Delikatne; lepiej już być człowiekiem niż ptaszkiem zażartował Paweł.

- Zależy, jak jakim. Ja nie uczony, ale powiem panu, że ludzie nawet uczeni, a nie zawsze pojmują, kiedy mówią: ptaszki. U nich i dzięcioł ptaszek, i sikorka, i drozd, i kanarek ptaszek. Że ptaszek, to prawda, ale każdy innego gatunku. A my, ludzie, im naprzeciw, to też tylko gatunek jeden i ten sam, a nie żeby kilka.

- Są jednak różnice między narodami.

- Są, nie będę się spierał, ale tylko z wychowania czy obyczajów, a nie z gatunku. Czy to będzie jaki tam Hiszpan czy Ruski, czy Francuz, czy Niemiec, to wszyscy, jakby powiedzieć: tylko szczygieł czy tylko sikorka. I nie tak jak różne sikorki, jeden naród, na przykład: bogatki, drugi: czarnogłówki, a trzeci: czubatki. Nie, wszystkie to samo, na przykład: czarnogłówki. A zwyczaj, ma się rozumieć, różne mogą być. Gil na przykład na swobodzie je zwyczajnie jarzębinę, a w klatce woli konopie. Znaczą, zwyczaj swój zmienia. Ale różnica gatunku w czym innym objawia się. Widzisz pan tę klatkę, do połowy chustką zawiniętą? Ja w niej próbuję połączyć samca czyż z samką kanarką. W nauce, to one uchodzą, jakby powiedzieć, za najbliższych krewnych, z jednego pnia, jednej rodziny. A zobacz pan, ile sztuki trzeba, ile zachodu, ile różności i jakiego doboru, a jeszcze rzadko udaje się doprowadzić, żeby czyż pokrył samkę kanarką. W dodatku jajka wychodzą najczęściej puste. Tymczasem uczeni nazywają, że oni są bliskie, a między narodami, to tylko i szukają różnicy i ciągle wywodzą, że jeden od drugiego daleki. A za przeproszeniem pana... - urwał i czekał aż córka, która weszła zabrać brudne talerze, wyjdzie do kuchni.

- ...tak ot, za przeproszeniem pana, żeby pokryć Polaka z Niemką czy jakiego Francuza z Ruską, to żadnych do tego sztuk nie trzeba... I dzieci jeszcze rodzą się, bywa, zdrowsze. A dlaczego? Bo my wszyscy, kość z kości, krew z krwi te same... I nawet Żydzi, choć Chrystusa zamordowali, też te

same.

"Szkoda", pomyślał Paweł, "że go Tadeusz nie znał..."

I nagle na wspomnienie tamtej okrwawionej głowy wstrząsnął nim dreszcz.

- A co? Śmierć przeleciała? - zauważył ptasznik. - No, pan jeszcze młody, a ot ja...

W tym momencie stuknęły drzwi wejściowe, słychać było jakąś krótką rozmowę w kuchni i następnie ciężkie kroki w sieniach.

- Kto to? - zapytał Paweł i obejrzał się na okna. Na dworze robił się już zmierzch.

- To pewnie Fjodor Mikołajewicz, mój przyjaciel. - Drzwi się otwały i stanął w nich człowiek bardzo wysoki, w mundurze oficera czerwonej armii, z oznakami majora. Ptasznik wstał. Paweł uniósł się również i powiedział:

- Chyba mnie już czas w drogę.

- Eee, zaczekaj pan teraz. Poznaj bolszewika - odparł ptasznik. Przybyły uśmiechnął się, wyciągając rękę do starego: Miał włosy mocno szpakowate, na skroniach zupełnie siwe. Nos długi, raczej mięsisty, natomiast skórę na twarzy suchą, poorly zmarszczkami. Specjalnie wyróżniały się jednak jego oczy, które skutkiem swej wewnętrznej wyrazistości zatracaly do tego stopnia zewnętrzny swój kolor, że trudno byłoby odpowiedzieć na pytanie, jakiej właściwie są barwy? Gospodarz przedstawił wzajemnie gości i zaraz objaśnił obszernie: z Fjodorem Mikołajewiczem łączą go najstarsze więzy przyjaźni jeszcze z Symbirsk. Służyli też razem w wojsku carskim, tylko że tamten dochrapał się rangi oficerskiej i wyszedł w końcu do rezerwy w stopniu kapitana. W roku 1920 zmobilizowali go bolszewicy do wojny z Polską. - I widzisz pan, komu służy! - zakończył z uśmiechem. - Majorem nawet został. I oto los pokierował spotkać się znowu po latach. Zachodzi prawie codziennie na pogawędkę. Z nim możesz pan rozmawiać, jak ze mną, szczerze.

- Tu z garnizonem? - spytał Paweł.

- Tak. W koszarach za rzeką - odparł tamten.

- Konia sprzedałem, Mikołajewiczu - oświadczył ptasznik.

- Szkoda. Ładny koń był.

Usiedli. Przybyłemu nalał gospodarz pełną szklankę wódki - niech dopędza! Ten wypił haustem do połowy, wziął widelec, trzymając go szukał przez chwilę oczami po stole, aż ptasznik przysunął mu talerzyk z grzybkami. - "Aha..." - mruknął oficer i dziobnął jeden widelcem. Rozmowa potoczyła się na temat koni, następnie spóźnionej wiosny. Później jedli jakiś czas w milczeniu. Po chwili ptasznik uczynił ruch głową w kierunku Pawła:

- Też nie lubi bolszewików.

- Hm... - mruknął major pod nosem i podciągnął ku sobie kawałek wędzonej szynki domowego wyrobu. - A za co?

- Śmieszne pytanie stawiasz, Mikołajewicz - wtrącił ptasznik.

Paweł podniósł wzrok na majora, oczy ich spotkały się na chwilę i zatrzymały. Czy to pod wpływem wypitej wódki, czy zachęcony wyrozumiałością spojrzenia, Paweł nie zawahał się z odpowiedzią.

- Za łgarstwo przede wszystkim.

- Łgarstwo? W odniesieniu do czego?

- Do wszystkiego.

- A... Do wszystkiego.

Nastało milczenie, które zdawało się świadczyć, że major chce się uchylić od dalszej dyskusji, gdy

niespodziewanie tym samym spokojnym tonem, nie przerywając jedzenia, podjął:

- To jest wyłącznie kwestia przyzwyczajenia.

- Sądzi pan?

- Bez wątplenia. I oswojenie przyjdzie z czasem.

- Może - odparł z niechęcią Paweł.

- My, proszę pana - mówił major równym głosem - wychowaliśmy się w tak zwanej kulturze chrześcijańskiej. I ojcowie nasi, i dziadowie. Dlatego wszystko, co w niej było nieprawdą, nawet najoczywistszą, nas nie raziło. Przywykliśmy. Ot, jak ten czyżyk do klatki naszego kochanego gospodarza. Panu może pokazywał? No, więc. Ale co by pan powiedział, gdyby na przykład jakiś nieobyty zajechał... No, powiedzmy, ludzie z innej planety przybywają do nas, do chrześcijan. Pierwsze pytanie: jaka u nas religia, czym odznacza się, jakie przykazania? I odpowiedź: wyznają Boga, który jest uosobieniem miłości, a przykazania takie, żeby drugiemu nie robić nic złego. Aha, nu, i na drugi dzień, powiedzmy, ci ludzie z drugiej planety dowiadują się, że my od tysięcy lat nic innego nie robimy jak tylko drugiemu zło: mordujemy, w więzieniach trzymamy i coraz to wymyślamy nowe wynalazki, żeby móc zamordować nie jednego już bliźniego, ale całe tysiące od jednego machu. Co by pan powiedział, żeby sam był z tamtej planety? Powiedziałby: "Ależ to największe łgarze, jakich spotkałem". - Znowu nałożył sobie na talerzyk. - Czego symbolem jest krzyż? Wielkich nakazów: "Nie zabijaj, kochaj bliźniego, jak siebie samego" itd. A wie pan chyba, w jaki sposób ten znak krzyża najbardziej, najskuteczniej rozpowszechnia się po świecie? Proszę, już druga taka wojna, a ile ich było przedtem! Ludzie idą jeden drugiego mordować, a tam gdzie zamordują postawią znak: "kochaj bliźniego"; zamordują i znak: "nie zabijaj"; zamordują i znak postawią: "on w ciebie kamieniem, a ty - chlebem", i tak dalej, i tak dalej. Im więcej morderstw, tym więcej krzyżów, Miliony krzyżów po tamtej wojnie, miliony będą po tej, miliony tych symboli miłości bliźniego, a każdy postawiony akurat w miejscu, gdzie bliźni został zamordowany. Ten sam morduje i ten sam często krzyż stawia. To nie jest kłamstwo? Jest. Ale my przywykliśmy, że tak jest, i nikomu do głowy nie przyjdzie nawet wytykać.

- To, zdaniem pana, nie może być po prostu wojny sprawiedliwej?

- Owszem, być, to ona by mogła, tylko że jej nie ma. Ja mówię z punktu chrześcijańskiego, oczywiście. Powiedzmy krucjaty w wiekach średnich, w obronie wiary, mogłyby być, owszem, ale nie były. I dziś też każdy prawie naród idzie na wojnę "z Bogiem", tylko dlaczegoś tak dziwnie się składa, że żaden z tych narodów, z których każdy odprowadzany jest modłami, ani też wszystkie one razem, właśnie tylko z jednym nie próbowały walczyć, z tym, który Boga prześladował najczęściej dotychczas w dziejach. ...I to nie jednego chrześcijańskiego, ale wszystkich, ilu ich jest. Z tym wrogiem swych bogów nie tylko nie walczą, ale jeszcze dobre interesy robią. Czy to nie jest łgarstwo? Jest naturalnie.

Ptasznik słuchał ze spuszczoną głową, i pokiwał nią.

- Nie lubi on Boga bardzo, Fjodor Mikołajewicz, to niedobrze.

- Nie, dlaczego, Michale Andrzejewiczu, owszem, ja nawet bardzo lubię, tylko zależnie jakiego? Może tego, do którego twoje ptaszki modlą się śpiewając. A tego z cerkwi czy kościoła też ani nie lubię, ani lubię, tylko mówię po prostu, jak jest.

- To nie nam rozstrzygać. To nie na nasz rozum sprawa - ciągnął ptasznik w zamyśleniu.

- Oto właśnie, zupełnie tak samo i bolszewicy mówią. Ludzi do konłagierów wsadzą czy do więzień, ruszać się nic pozwolą, a każą wychwalać i dziękować za wolność. A ich zapytasz: "Jakże to, bracia, u was tak wychodzi jakoś na odwrót?" To i odpowiedzą akurat to samo: "Ty, widać, w piśmie naszym nieuczony, durak ty za wszystkim, to nie twego rozumu sprawa". Może być, ja przepraszam - zwrócił się do Pawła - nie chciałem obrazić, bluźnierstwo jest to, co mówię. Ale dla bolszewika będzie tak samo bluźnierstwem, jeżeli pan zwątpi w słowa Stalina. I ciągle wychodzi na

jedno.

Ptasznik wciąż w zamyśleniu:

- Jeszcze nic nie wiadomo... W puszczy Rudnickiej, mówią, prorok jakiś pojawił się i wojnę przepowiada na wiosnę.

- Co? - zagadnął go major. Ale Paweł wtrącił w tej chwili:

- Zupełnie "na jedno", jak pan mówi, to nie wychodzi. Chociażby z tego względu, że w ustroju niebolszewickim można wypowiadać się głośno i krytykować, i wytykać błędy itd., a w bolszewickim nie można.

- A po co? - odparł oficer. - Pan na przykład wiesz, może nawet z własnego doświadczenia, że słowa Ewangelii: "Proście, a będzie wam dano", to nieprawda. I wie pan też o tym z doświadczenia innych ludzi, którzy w modlitwach nie raz prosili i nie otrzymali. I wiedzą o tym tysiące, setki tysięcy, miliony tych innych. A czy przyjdzie panu do głowy wystąpić publicznie i wołać wielkim głosem: "Słuchajcie! To nieprawda!" Dlaczego do pana nikt nie ma o to pretensji, ani pan sam do siebie? A ja na przykład znałem dobrze marszałka Tuchaczewskiego, i też wiem dobrze, że nieprawdą jest, jakoby był on szpiegiem niemieckim i agentem kapitalistycznym, tak samo jak nieprawdą, że Trocki, Bucharin i inni byli tymi, za kogo ich głoszono. I moi znajomi wiedzą, i znajomi moich znajomych, i tysiące, i miliony wiedzą. Ale tak samo nie ma co dziwić się, że ja, że inni nie wystąpią i nie krzyczą o tym wielkim głosem. Niech pan pozwoli jeszcze chwileczkę... - zrobił ruch ręką, wstrzymując odpowiedź Pawła. - Pan może powie, że gdybym ja wystąpił, to by mnie w ustroju sowieckim nikt ze strachu nie podtrzymał, a przeciwnie, wszyscy z tych milionów, którzy wiedzą, że to ja mam rację, jeszczeby mnie zakrzyczeli, potępilli i podeptali? Słusznie. Ale czy tak samo, nie potępiłyby pana miliony chrześcijan, gdyby pan zechciał zaprzeczać Ewangelii, a razem i ci, dla których jest ona szczerze obojętna a którzy do kościoła nigdy nie chodzą, nie wierzą i wiedzą, że pan ma rację? Niech pan pozwoli jeszcze... - major zaczął tracić swój pierwotny spokój i mówił ze wzrastającą namiętnością. - Bo najważniejsze, że słuszność będą mieli oni, a nie pan. Bo po co pan ma to mówić? Wolność słowa? Wolność krytyki? Wolność wypowiadania własnego zdania? Pan wie, co to jest? To jest właśnie ta pycha jednostki, która za jednakowy grzech uważana jest i tu, i tam! Panu pozwolą wypowiadać się czy drugiemu, i już pan i drudzy będą to uważali za wolność. Ale niech pan najpierw zapyta, czy to jest ważne, czy to jest potrzebne komu, to co ma pan powiedzieć? Czy pan to mówi z intencją dla dobra, czy tylko, aby dać upust własnej pysze i pragnieniu władzy nad innymi, aby im narzucić swoje zdanie. Człowiek po prostu chce powiedzieć, tak samo jak chce zjeść. A powie czy zje i nic go nie obchodzi, czy inni są z tego syci. Tak jest naprawdę. I więcej panu powiem: tak zwana wolność słowa prowadzi często do własnej niewoli. Człowiek wciąż się, chce wciąż mówić dalej, a żeby go słuchali, zacznie iść na ustępstwa w stosunku do słuchaczy, na kompromisy, zacznie mówić tylko pół prawdy, później ćwierć prawdy, a z tego może wyjść, że łże nie tylko innym, ale nawet sobie. A wszystko przez pychę: "Ja, moje zdanie!" A na czorta ono komu, to jego zdanie! Prawdziwa wolność jest nie w słowach, proszę pana, a w milczeniu. W tym właśnie, żeby słowa nie zakłamały własnych, prawdziwych, wewnętrznych myśli. Na tym polega prawdziwa wolność jednostki w stosunku do przytłaczającej ją zbiorowości. - Odetchnął i mówił już spokojniej. - Przez tysiące lat przywykliśmy nie krytykować spraw wiary świętej, a teraz przywykamy nie krytykować wiary bolszewickiej. Mówię panu, to kwestia przyzwyczajenia. Przywyknie i pan z czasem. Od razu przyjść nie może, człowiek jest niesforny. Dlatego i potrzebne są z początku GPU i NKWD, jak kiedyś potrzebna była inkwizycja, a teraz więzienia, obozy. Etapami. Ot, nasz gospodarz, on powoli przyzwyczaja swoich czyżyków: najpierw zieloną chustką okryje klatkę, w spokoju trzyma... łamie charakter...

- Łcesz, łcesz wszystko, Mikołajewicz, łcesz! - ptasznik uderzył pięścią w stół.

- Dlaczego łżę? Mnie się zdaje, że ja wcale nie łżę. Mnie się zdaje, że ja mówię prawdę. - Nalał sobie pół szklanki wódki, chciał wypić, ale odstawił, zauważywszy puste przed współbiesiadnikami, napełnił więc wszystkim. - Na zdrowie! Też ważna rzecz, zdrowie. Ja nie łżę.

Sam byłem prawosławnym, rosyjskim oficerem, wiernie służyłem carowi. A oto teraz jaki mundur noszę... Z początku rzygać się chciało na samego siebie. Ale cóż, jeżeli każda władza od Boga pochodzi... I chyba tak musi być, skoro widzimy, że On się z tym pogodził. - Po raz pierwszy od chwili gdy zaczął mówić oczy jego zwęziły się i błysnęły w nienawistnej jakiejś ironii; nie poznać było, czy przeciw Bogu, który go zawiódł, czy przeciw Stalinowi, któremu służy. - Coż, wypijem.

Paweł wychylił szklankę jednym haustem, skrzywił się, przeciągnął palcem po wargach.

- A jeżeli to jest tylko pycha wypowiadać własne zdanie, to po co pan wypowiadał je wobec mnie?

- Przez pychę. Człowiek jest słaby.

Paweł sięgnął ręką po zakąskę, nagle zbladł, zachwiał się na krześle i tak jak siedział runął na podłogę koło stołu. Głowę miał zawsze mocną, ale widocznie nie wydobrał jeszcze dostatecznie po ostatnich przejściach, i organizm, wyczerpany zarówno fizycznie, jak nerwowo, nie wytrzymał nadmiaru alkoholu.

- Eee... Słabizna... - usłyszał jeszcze nad sobą słowa starego ptasznika.

XXI

Ooo!... Jak długo nie przychodzi wiosna. Ooo!... Jakże się czeka i czeka na spóźnioną. Leśniczy w nocnych pantoflach wyszedł rano na ganek, wyciągnął ramiona, aż trzasnęło w stawach, ziewnął, podrapał się w zadek, spojrzał od niechcienia po czubkach niskorosłych sosenek, które ławą ciągnęły się aż do wysokopiennego lasu. Ziewnął raz, drugi i przeniósł wzrok na szaromleczne niebo, niebo bez wyrazu, nie przepowiadające nic. Wtedy dopiero powiedział do Pawła, że od jutra może wozić budulec z lasu do rampy kolejowej.

- Po czemu?

- Dziesięć rubli od wozu.

- Czerwońca?! Siedem kilometrów?! Daj Boże obrócić dwa razy, a pud owsa kosztuje...

Leśniczy przejechał się dłonią wzdłuż nieogolonego jeszcze podbródka, skrzywił się, machnął ręką na odczepne i zawrócił bez słowa odpowiedzi. - Czego on czeka od tej wiosny? Co jemu, co innym może dać odwilż albo roztopy? Trochę wilgoci w butach i tyle tego.

Paweł wrócił do domu, założył konia i pojechał szukać w okolicy furazu. Na rozstaju spotkał Rymaszewskiego, który szedł w tym samym kierunku, więc ściągnął lejce. Rymaszewski kiwnąwszy głową na znak podziękowania, przysiadł się sąsiedzkim zwyczajem, aby podjechać kawałek. Wyjął tytoń, skręcili w bibułkę papierosy. Wiatr zgasił dwie zapalki.

- Daj pan mnie. - Rymaszewski sięgnął po pudełko, zapalił, osłaniając kunsztownie rękami ogień, podał go Pawłowi i oddał pudełko z podziękowaniem..

O wiosnie nie mówili.

- Do gminy? - spytał Paweł, puszczając dym.

- Tak. - Rymaszewski wypluł drobinki machorki, oblizał językiem wargi. - Raczenko wzywa.

Siedział przygarbiony, spojrzał spode łba na nowego konia, chciał zapytać, gdzie go Paweł kupił i za ile, ale zaniechał. Co mu tam po takich informacjach. Ostatnio wzywano go kilkakrotnie do sielsowietu, ale nic ciekawego nie wiedział. Bożek pokiwał głową, nie wróżąc dobrego. - "O Pawle, co wie?" - A nic, co by wiedzieć takiego... - "Źle Rymaszewski". - Teraz wezwał Raczenko. Prawda, że źle, sam wiedział, że źle.

Paweł chętnie zaproponował Rymaszewskiemu, że go podwiezie, bo zamyślił przy okazji zapytać go o Weronikę. Ponoć gdzieś wyjechała w tamtym czasie, gdy go nie było, a później chorowała. Nie

wypadało jednak rozpytywać we wsi, a zresztą kogo? Wstydził się, bo i tak już za dużo gadano. A Rymaszewskiego nie miał się czego krępować. Dlaczego o Rymaszewskim wiedzano bardziej niż o wszystkich innych, że jest konfidentem, i przyjęto wiadomość tę traktować jako naturalną, trudno powiedzieć. Przypuszczalnie, przyczyna głębsza tkwiła w tym, że Rymaszewski szczerze nie lubił tej pracy. Paweł pamięta, że gdy piłowali jeszcze drzewo z Karolem, narzekali raz na źle dostrojone zęby, to znów żywicę, że klejka... Koniecznie trzeba lubić to, co się robi, w przeciwnym wypadku robi się źle. Rymaszewski robił źle, niezgrabnie. Bożek dawał do zrozumienia, że podejrzewa go, iż rozmyślnie nie chce dobrze robić. Nie miał racji. Rymaszewski chciał, ale nie potrafił, bo nie lubił. Był kiepskim konfidentem, stąd wszyscy o tym wiedzieli, że nim był. Pawłowi zdawało się nawet, iż może być pewnym, że Rymaszewski po to idzie teraz do gminy, żeby między innymi i na niego meldunek składać, a Rymaszewski też wiedział, że Paweł wiedział.

- A gdzie to jest... Weronika Rojkiewiczowa, że jej wcale nie widać? - spytał Paweł, przesłaniając rękawem udane ziewnięcie..

Rymaszewski, wyrwany z zamyślenia, zastanowił się chwilę i odrzekł na wpół żartobliwie: - Do proroka pojechała. Do Popiszek. Lekarstwa na miłość szukać. - Później uśmiechnął się porozumiewawczo. - A może i na co innego jeszcze...

Paweł puścił mimo uszu docinek. - Ach, do Popiszek. Przecież tam jej rodzina mieszka. - Poczuł ulgę. - Co ona, z mężem się pokłóciła?

- Kto ją tam wie... - mruknął Rymaszewski, któremu w tej chwili inne myśli przyszły do głowy. - Jak pan sądzi, czy to naprawdę może być taki człowiek, co przyszłość odgaduje? Ja, to nie wierzę. "Prorok"! nazywają. Jaki on tam prorok. Popiski chłopak, nagle: prorok.

- A co on przepowiada?

- Takie tam, różne... Oła moja mówiła, że ostatniej niedzieli ksiądz na kazaniu strach, jak krzyczał i nakazywał nie wierzyć w takie głupstwa.

- On co złego mówi?

- Nieee. A wreszcie, ja nie wiem... Ludzie mówią, jakoby prawi, że wojna wkrótce z Sowietami wybuchnie. A pan myśli, że to może nastąpić? Wkrótce?

- Kto to może wiedzieć.

- To pan słusznie powiedział: kto może wiedzieć - westchnął Rymaszewski, ciężko westchnął.

- Gdzie by to owsa można kupić? W Borkowszczyźnie myślałem - przerwał milczenie Paweł.

- Nie wiem. Chyba najpewniej, niech pan spróbuje u Rukowskiego. Tak, to już najpewniej u niego.

- A to może najlepsza rada - ucieszył się Paweł i zaraz za leśnym mostkiem wstrzymał konia, a gdy Rymaszewski zlął, by iść dalej, sam skręcił drogą na prawo.

Raczenko był to młody, niespełna trzydzieści lat liczący mężczyzna, o suchej, proporcjonalnej budowie, ale niskiego wzrostu... Na służbę NKWD wstąpił dopiero przed trzema laty. Wyróżniwszy się zdolnościami i taktownym zachowaniem podczas likwidacji resztek kułackich pozostałości w białoruskiej SSR, przydzielony został do elitarnej ekipy wysłanej na ziemie wyzwalone w roku 1940. Przy tym uwzględniono, że i żona jego, partyjna komunistka, miała ukończoną szkołę agitatorów. Raczenko pochodził z okolic Pskowa; ojciec jego, który był rybakiem, utonął podczas wypadku w jeziorze Pejpus jeszcze w czasach przedrewolucyjnych, których syn nie pamiętał. Rozczytawszy się ostatnio w "Cichym Donie" Szołochowa, zapragnął nadać swej sylwetce wygląd zewnętrzny tamtych bohaterów. Nosił więc niską czapkę barankową, tzw. kubankę, którą sprawił sobie jeszcze w Mińsku. Natomiast krótki, czarny kożuszek, który kazał sobie przesyć również na modłę kozacką, nabył dopiero tutaj. Także buty, o miękkiej marszczącej cholewie, uszył mu szewc miejscowy. W ten sposób przyodziany chadzał po osadzie gminnej, gdzie pełnił funkcje politruka i kierownika oddziału NKGB; wyprostowany, odpowiadając na ukłony chłopów grzecznie, ale

poważnie. Do dziewcząt się nie zalecał, choć z żoną, Katarzyną, starszą odeń o rok, która była kierowniczką kooperatywy, odległej o kilka kilometrów, widywał się nie częściej jak raz w tygodniu. Rymaszewskiego przyjął zimno, nie prosił siadać, nie ukrywał niezadowolenia z jego odpowiedzi: - Nic nie wie, nawet o najbliższych sąsiadach! Baba przez płot zajrzy, a i ta więcej się dowie! Ech-ma... i jeszcze seksot się nazywa!

Rymaszewskiemu zdawało się w tej chwili, jakoby od lat już nic innego nie czynił, tylko wciąż i wciąż stał przed jakimś stołem i obracał nerwowo czapkę w rękach. Najgorzej, że w takich wypadkach wszystko z głowy ucieka, niczego przypomnieć nie podobna.

- Aha... on pojechał, ot, teraz nawet, do Rukowskiego, Raczenko cisnął niedopałkiem w podłogę:

- No to co, że pojechał?! Pojechał - przedrzeźnił go - no i co z tego? A?!

Rymaszewski obracał czapkę: - Rukowski... były obszarnik. Nie bez tego, że jakieś rozmowy mieć mogą...

- Eee! - machnął ręką Raczenko. - Rozmowy. Tu nie chodzi o to, co mogą mieć, a co mają. Trzeba faktów! Faktów!

A Rymaszewskiemu przypomniało się dlaczegoś właśnie teraz, że żona prosiła, aby w sklepiu prywatnym kupić zeszyt dla Krysi... Ot, jakie fakty lały do głowy... I koniecznie, żeby nie w kratkę, a liniowany... - Raczenko spojrzał nań spod portretu:

- Źle, Rymaszewski. Cóż, sam wiedział, że źle.

Tego samego ranka w mieście z okna pierwszego piętra głównego gmachu NKGB wyskoczył na ulicę człowiek. Było tak, że okno nie zostało domknięte z racji wietrzenia, gdyż całą noc w pokoju nr 218 badano jednego po drugim trzynastu chłopów litewskich z okolicy Święcian, podejrzanych o nacjonalistyczne sprzysiężenie. W tej chwili nowego aresztowanego badał lejtenant Kopyłow i nikogo prócz strażnika we drzwiach nie było więcej. Człowiek pchnął Kopyłowa w momencie, gdy ten podszedł do karafki z wodą, stojącej na sąsiednim stole. Zwalił go razem z tym stołem, karafką, szklanką, kałamarzem i leżącymi tam aktami.. Kopyłow zerwał się i rzucił za nim do okna, gdy tamten przesadził już jedną nogę i obydwojema rękami trzymał się za boki futryny. Strażnik nie wiedział, czy ma strzelać, czy podbiec i pchnąć bagnetem; mógłby zrobić jedno lub drugie, ale Kopyłow niefortunnym ruchem swoim zasłonił uciekającego plecami. W ułamku sekundy ich straszne oczy, oczy walczących ze sobą mężczyzn, spotkały się. Aresztowany prawą, nieopartą nogą z podkutym obcasem buta kopnął Kopyłowa w twarz, i ten runął po raz drugi; sam zaś wykręcił się w oknie i skoczył w dół. Było wysoko. Zapewne połamałby sobie nogi, gdyby wiosna przyszła była wcześniej i miał pod sobą suchy bruk. Tego ranka jednak leżały tam zwały zmiecione z jezdni śniegu. Z drugiego pokoju wypadł Greczannikow, oficer sprężysty, o czarnych jak węgle oczach i czarnych kędzierzawych włosach. Odepchnął w biegu strażnika, przeskoczył przez Kopyłowa. wyrwał z kabury pistolet o długiej lufie i wychylił się z okna. Ale uciekający był widocznie taktyk nie lada. Wprost z zasy skoczył jak ryś na ogłupiałego wartownika pełniącego

służbę na zewnątrz gmachu. Nim go dopadł, ten zdążył zdjąć karabin, ale nie zdążył go jeszcze pochylić trzymając w dwóch rękach koło twarzy przed sobą, gdy człowiek już porwał z drugiej strony za kolbę, trzasnął okropnie zamkiem karabinu wprost w zęby, łamiąc mu szczękę i obalając na ziemię. Greczannikow nie mógł strzelić, gdyż celowałyby jednocześnie w wartownika. Strzelił dwie sekundy później, gdy uciekinier przebiegał jezdnię do wylotu sąsiedniego zaułka. Nie trafił. Rzecz sama w sobie była tak niezwykła, że sąsiedni wartownicy, nie wdrożeni praktycznie w podobne incydenty, nie połapali się dostatecznie szybko. Zaczęli strzelać, gdy już znikł za rogiem. Jedna z kul, odbita rekoshetem o mur, gwizdnęła fałszywie w powietrzu. Uciekinier przesadził na bliższy parkan z lekkością zdumiewającą dla jego otyłej budowy, pobiegł dalej, wpadł w sień kuchenną przeciwległego parteru, przebiegł na drugą stronę klatki schodowej, potrafił jakąś kobietę, wybiegł na inną ulicę i znikł. Kobieta zdążyła zauważyć jedynie, że był bez czapki i miał na sobie sweter barwy rudej.

Cała dzielnica została natychmiast otoczona gęstą strażą i przystąpiono do przeszukiwania domów, ale bez rezultatów. Przechodnie obchodzili z daleka i patrzyli przeważnie w inną stronę. Nikt się też później nie dowiedział, kim był wyskakujący oknem, bo jak można się dowiedzieć rzeczy, nie dowiadując o niej wcale...

Nie dowiedział się też Paweł, jakkolwiek pośrednio albo, kto wie, może nawet i bezpośrednio wyniki badań aresztowanego. gdyby nie udało mu się uciec, mogły były zauważyć i na jego losie.

* * *

Podjeżdżając do zabudowań Rukowskiego Paweł zobaczył z daleka, jak gospodarz, rozkładając i składając długie ręce, przekonywał o czymś sąsiada, b. właściciela majątku Wykonty, obecnie również okrojonego do 30-hektarowej resztówki, gwarantowanej konstytucją litewskiej republiki radzieckiej.

Paweł uwiązał konia u płotu i poszedł w ich kierunku.

- Kochany Witoldzie - perswadował Rukowski - weź w takim razie pod uwagę, że szkodzisz nie tylko sobie ale i innym. W ten sposób podrywasz stanowisko nas wszystkich.

- Ani jednego ziarnka! - zaciął się Witold a spostrzegłszy Pawła skorzystał, żeby się pożegnać, poszedł drogą między wierzbami, dawnym wygonem dla bydła.

Rukowski westchnął:

- Wariat! - I zwrócił się do Pawła: - Co kochanego gościa sprowadza? - Miał zwyczaj mówić do każdego per "kochany". Będąc już dobrze po pięćdziesiątce nie tracił na zewnątrz dobrego humoru, zawsze przejawiając młodzieńczy optymizm. W ostatnich czasach słuchał uważnie komunikatów radiowych, wyłapując z nich dużo pomyślnych wiadomości. - Anglicy biją Niemców w Afryce na łeb! - oświadczył z miejsca. - To wielka radość. A ten wariat... - i zrobił ruch ręką w kierunku, w którym znikł sąsiad.

- Dlaczego wariat? - spytał Paweł.

Rukowski wyjaśnił: przed kilkunastu dniami nałożono na trzydziestohektarowe gospodarstwa rolne obowiązek dostarczenia tyle zboża w ramach przymusowych dostaw dla państwa, ile w ogóle wyprodukować nigdy nie byłby w stanie. - Naturalnie, że jest to cyfra fantastyczna - ciągnął - ale trzeba dostarczyć. Trzeba. Trzeba ich przekonać o naszej dobrej woli, naszej chęci współpracy. Że my nie jesteśmy żadnym wrogiem ludu, jak nas nazywają, żadnym sabotażystą, a przeciwnie potrafimy dokonać rzeczy nawet ponad siły.

Paweł czekał, nie przerywając, aż skończy.

- Niech wiedzą - mówił Rukowski - że chcemy szczerze brać udział w produkcji, nie uchylamy się od obowiązków obywatelskich. Tylko w ten sposób ich krzywdzący stosunek do nas ulec może zmianie. Zobacz pan, na przyszły rok to się wszystko ułoży. Ja wymiotłem u siebie całe zboże ze spichrza, zebrałem resztkę pieniędzy, brakowało, to sprzedałem biżuterię żony, a nawet futro; pojechałem po wsiach, skupiłem trochę wszędzie, gdzie się tylko dało, gdzie jeszcze mogłem coś znaleźć, wyprosiłem nawet i, proszę pana, dostarczę im wszystko, czego żądają, do ostatniego kilo! No, a ten wariat - i znowu wskazał w kierunku dawnego wygonu - ten wariat powiada, że jak tyle żądają, to on nie da ani jednego ziarnka! Cóż poradzić z głupcem?!

- A ja chciałem właśnie kupić u pana kilka pudów owsa...

- Kochany mój, nie dziś, nie dziś. Widzi pan, jak się składa. Ja bym rad, no, ale cóż począć... - Rozłożył ręce. Grunt - tylko nie martwić się. Damy radę, powiadam panu.

- To fatalnie - mruknął Paweł.

- Nic fatalnego nie ma. Głowa do góry! Właśnie mówię panu, że zaczynają bić Hitlera na Zachodzie!
- Przyznam się - odparł Paweł kwaśno - że mnie więcej obchodzi, co się dzieje na Wschodzie niż na Zachodzie.
- Ach, jakże pan takie rzeczy może mówić! Od zwycięstwa nad Hitlerem zależy...
- Mnie pud owsa potrzebny, a pan mnie pobitym Hitlerem pociesza.

Rukowski zniżył głos, choć nie było żywej duszy wokoło: - Sowiety przejdą do naszego obozu. Oni sami zaczynają już przejrzywać, że tak nie można dalej. Ale my nie powinniśmy uchodzić za czarne owce ani w ich oczach, ani w oczach Europy. Nam trzeba pójść im trochę na spotkanie. Ot, co.

- A siana pan też nie ma?
- Nie, kochany. Zostawiłem sobie ledwo kapeczkę, a i to kwaśne... A zresztą trzeba się liczyć z nastrojami, proszę pana. Niech pan weźmie na przykład, mój Józio, kochany chłopiec, naturalnie brzdąc jeszcze, co mu tam, czternaście lat dopiero, ale, powiadam panu, ja mu się przysłuchuję i... Wie pan, że jemu dużo rzeczy się podoba, on się wciąga. I pod pewnymi względami ja mu nawet przyznaję rację. - Ujął Pawła pod ramię podprowadzając kilka kroków. - Tym bardziej, proszę pana, sam pan chyba przyzna, kochany, że w ostatnich czasach znacznie się uspokoiło. O nowych aresztowaniach prawie nie słychać...

Tak, Paweł musiał przyznać, że się uspokoiło, i wielu, nie tylko Rukowski, zaczęło bardziej optymistycznie patrzeć w przyszłość.

- Niech mi pan wierzy, kochany panie Pawle, jesteśmy w przededniu zupełnej normalizacji stosunków.

Nagle zatrzymali się obaj uniósłszy głowy i przesłaniając oczy rękami patrzyli w górę. Po niebie, nad ziemią pokrytą jeszcze śniegami, leciały pierwsze bociany.

Zaczynała się wiosna 1941 roku.

XXII

Wprowadzenie czasu moskiewskiego w kraju było niewątpliwie dużą anomalią. Dotychczasowa różnica dwóch godzin wynikała nie z różnic politycznych, a zwyczaju i zachowania się słońca. Utarło się bowiem, że wkracza ono do Europy przez łańcuch Gór Uralskich i gdy przychodzi do Moskwy, robiąc tam ranek, ma jeszcze długą drogę przed sobą zanim dosięgnie zachodnich połaci b. Wielkiego Księstwa Litewskiego. Jest to droga wytknięta przez klęskę Napoleona, ale słońce robiło ją codziennie w czasach o tyle wcześniejszych, że nikt nie może twierdzić, jakoby kiedykolwiek mogło być inaczej. Borodino, Możajsk, Wiaźma, Smoleńsk, w poprzek Berezyny, Mińsk, a stąd Czarnym Traktem, wysadzonym podwójnym szpalerem wielkich brzoź. Gdy w Moskwie w gmachu przy placu Dzierżyńskiego pod numerem 2, to znaczy w Ludowym Komisariacie Bezpieczeństwa Państwowego, pracowano już przy pełnym świetle dziennym, w dalekim kraju, świeżo wyzwolonym spod jarzma kapitalistycznego, ledwo zaczynało świtać.

Naczelnik 3 oddziału 4 wydziału centrali NKGB w Moskwie, starszy lejtenant bezpieczeństwa państwowego Rudaków, wchodząc do pokoju z pliką papierów, zamknął za sobą szczelnie drzwi i powiedział do maszynistki:

- Proszę przygotować się do pisanja.

Maszynistka wkręciła arkusz ruchem machinalnym i nie odwracając głowy, spytała:

- Jak zawsze?
- Tak. W rogu na prawo.

Wystukała: "Ściśle tajne." Za czym: tik-tik-tik-tik... podkreśliła i czekała.

- Po środku, proszę. Podkreślić: "Instrukcja" (tik-tik-tik-tik...) Dobrze. Dalej od nowego wiersza, też po środku, małymi literami: "O sposobie przeprowadzenia operacji wysiedlenia elementu antysowieckiego z Litwy, Łotwy i Estonji." Pod spodem: jedynka, punkt. "Ujęcie ogólne".

Punkt. Podkreślić. Od nowego wiersza, z normalnym odstępem. Tekst. Proszę pisać.

Maszynistka spojrzała bokiem w okno, przekrzywiła głowę i zmrużyła mimo woli lewe oko. Słońce z tej strony dokuczliwie trafiało w źrenicę.

- Chwileczkę, czy mogę przesunąć firankę?

- Proszę. - Rudakow skrzypiąc butami przeszedł się po pokoju, trzymając papiery w ręku. - Już? Dobrze.

"Wysiedlenie elementu antysowieckiego z republik nadbałtyckich..." - dyktował.

- Nadbałtyckich - dużą literą?

- Małą - "jest zadaniem o wielkiej politycznej wadze. Właściwe przeprowadzenie akcji zależy od tego..."

Wprawne ręce maszynistki biegły po klawiaturze ze wzrastającą szybkością. W równych odstępach dzwonił dzwoneczek, stukała przekładnia.

"...przy tym należy wyjść z założenia, aby operacja przeszła bez hałasu i paniki, tak iżby nie dopuścić do żadnych wystąpień i innych ekscesów, nie tylko ze strony wysiedlanych, lecz również ze strony pewnej części ludności otaczającej, wrogo usposobionej względem władzy sowieckiej."

Od nowego wiersza, proszę.

"...trafnie oceniając sytuację, wykonawcy mogą i po winni stosować wszelkie decyzje, skierowane do tego samego celu: aby bez hałasu i paniki wypełnić zadanie".

Punkt drugi: "Sposób instruowania". Podkreślić.

"Instrukcje dla operacyjnych grup powiatowych trójek winny być udzielone nie wcześniej jak dnia poprzedniego w możliwie krótkim terminie poprzedzającym akcję, z jednoczesnym uwzględnieniem czasu niezbędnego na przyjazd na miejsce akcji..."

Rudakow chodził wciąż po pokoju poskrzypując butami i nowym pasem. Zatrzymał się, gdy maszynistka zmieniła drugi arkusz, patrzył, jak wkłada kalkę, dyktował:

"Powiatowe trójki zawczasu przygotowują niezbędne środki transportowe, celem przerzucenia grup operacyjnych do wsi..."

Od nowego wiersza.

... Krótko opowiedzieć, kim są wysiedlani, że wrogami ludu i narodu sowieckiego, a zatem..."

Przy zakładaniu następnej kartki Rudakow siadł za biurkiem, zapalił papierosa i chowając zapalniczkę domowego wyrobu dyktował dalej: "Punkt czwarty".

"Sposób dokonania wysiedlenia... Po przybyciu na miejsce, grupy operacyjne nawiązują kontakt z (zachowaniem niezbędnej konspiracji) z miejscowymi przedstawicielami władzy..."

... Akcja rozpocznie się z nastaniem świtu. Wszedłszy do domu wysiedlanego, starszy grupy operacyjnej zgromadza całą rodzinę do jednego pokoju, zachowując przy tym środki ostrożności...

... Wysiedlanym pozwala się zabrać ze sobą rzeczy codziennego użytku, nie więcej jednak niż 100 kg na rodzinę...

... Wszystkie osoby, które w trakcie przeprowadzanej akcji zajdą do domów wysiedlanych, podlegają zatrzymaniu...

... Jeżeli w trakcie akcji wokół domu wysiedlanego zaczął się zbierać mieszkańcy wsi, należy im zaproponować, aby się rozeszli do domów, nie dopuszczając do utworzenia tłumu...

... Działać należy w każdym wypadku twardo i zdecydowanie, ale bez wytwarzania hałasu i paniki. Odbierać..."

- Chwileczkę - powiedziała maszynistka. - Koniec strony.

Rudakow czekał, postukując ołówkiem po blacie stołu. Następnie przedyktował pięć wierszy i znowu wstał, aby się przechadzać tam i z powrotem.

"Reguły rozdzielania rodziny od głowy rodziny". Punkt. Podkreślić. Od nowego wiersza.

- Przepraszam bardzo, ja chciałam jeszcze raz poprawić firankę.

- Co wy dziś, Mario Siergiejewno, z tym słońcem?

- Szybko idzie. Wiosna już... - spojrzała po raz pierwszy na dyktującego. Rudakow się nie uśmiechnął. - Przepraszam - powiedziała siadając i wyciągnąwszy przed siebie ręce na klawiaturze, jak pianistka gotowa do wzięcia akordu, czekała.

"Wobec tego, iż duża ilość wysiedlanych powinna być aresztowana i rozmieszczona w specjalnych obozach, a rodziny ich skierowane zostaną gdzie indziej, do specjalnych miejsc osiedlenia w odległych okręgach, przeto należy akcję wysiedlania rodzin, zarówno jak głów rodzin, dokonać jednocześnie, nie uprzedzając nikogo o mającym nastąpić rozdzielaniu..."

... Doprowadzenie na dworzec kolejowy odbywa się nie inaczej jak w dzień, dla uniknięcia wszelkich niespodzianek, i na wspólnym dla całej rodziny środku lokomocji, a dopiero na dworcu głowę rodziny, pod taktownym pretekstem, umieszcza się w specjalnym wagonie...

... W czasie pakowania rzeczy w mieszkaniach wysiedlanych, należy uprzedzić głowę rodziny, ażeby swoje osobiste rzeczy układał do innej walizki, pod pretekstem, że mężczyźni podlegać będą inspekcji sanitarnej oddzielnie od kobiet i dzieci."

- Już?

- Tak jest: "i dzieci".

Rudakow spojrzał na zegarek, podyktował jeszcze dwie stronicę, zawierające punkt 6: "Reguły konwojowania wysiedlanych" i punkt 7: "Reguły przy ładowaniu do wagonów".

- Wszystko. Teraz odstęp i dużymi literami: ZASTĘPCA LUDOWEGO KOMISARZA BEZPIECZEŃSTWA PAŃSTWOWEGO ZWIĄZKU SOCJALISTYCZNYCH REPUBLIK RADZIECKICH, KOMISARZ BEZPIECZEŃSTWA PAŃSTWOWEGO 3 STOPNIA -

SIEROW

- Dobrze. Dziękuję. - Wyszedł zabierając ze sobą okólnik do podpisania.

XXIII

Hukanie sów podobne jest czasem do dalekich odgłosów lokomotywy. Dlatego, być może, śniła mu się płaszczyzna szyn rozległej stacji kolejowej, migocąca w świetle latarni: zbiegające i rozbiegające tory, czerwone i zielone sygnały... Hu-huhu! odjeżdżał jakiś parowóz w bardzo daleki, nieznany kraj, ale zanim znikł w ciemności snu o wyjeździe, inny głos, urywany, przykry, natrętny, zły, przebiegał w poprzek różnokolorowych semaforów i wdzierał się pod czaszkę...

- Pies strasznie szczeka! Pies szczeka strasznie! Wstawaj, ja tymczasem zobaczę, kto. - Marta narzuciła swoim zwyczajem kożuch na koszulę, wsadziła bose nogi w walonki i wybiegła. Gdy stuknęła drzwiami, sowa siedząca na szczycie dachu zleciała bezszelestnie i znikła w mroku.

Zaledwie świtało. Przy furtce stał Drużko, przewodniczący sielsowietu.

- Mąż jest? - spytał.

Marta spojrzała na drogę: Drużko był sam.

- Zaraz.

Stało się tak jak co roku: śniegi zaczęły zlaźić z pochyłości nachylonych ku południowi i z łysych wierzchołków wzgórz, ale na drogach było jeszcze mokro i leżały resztki lodu, mocno uklepanego przez płozy sań.

- Co za sprawa? - spytał Paweł, dochodząc płotu i wzdrygając się z zimna.

- Obywatela wzywają do gminy. Proszę stawić się obowiązkowo dziś nie później godziny jedenastej.

- Po co?

- Nie wiem. Wczoraj późno przykazali. Obowiązkowo. - Oddalając się od furtki, Drużko podrzucił głową w kierunku zaróżowionego na wschodzie nieba i dodał: - Ot, i wiosna.

- Aha, wiosna - odparł Paweł.

Marta, skoro już raz wstała, zaczęła rozpalać ogień w kuchni na śniadanie. - Czego chciał? - zapytała.

Paweł minął ją, wszedł do pokoju, siadł ciężko przy stole i dopiero stąd odpowiedział:

- Wzywają.

Czekał kilka sekund. Milczenie. Wtedy zaczął patrzeć przez okno na ogród. Po raz pierwszy od dłuższego czasu niebo było bez chmurki. Słońce zaczęło wstawać wprost nad żywopłotem bezlistnych o tej porze akacji, tuż za młodą brzoźką, która była już w pączkach. Opodał leżała porzucona łopata, na której perliła się teraz rdzawa wilgoć. Rozkopana ziemia była czarna i też wilgotna. Marta w tym miejscu chciała założyć grzędę inspektową, przykrywając ją starymi ramami okien.

- Co chcesz tam posadzić? - Paweł usłyszał własny głos i zdziwił się mu. Po chwili dopiero Marta odezwała się z kuchni:

- A ty myślisz, że po co oni mogą wzywać?

- Nie wiem.

- Drużko nie mówił?

- Nie.

Milczeli do siebie poprzez otwarte drzwi z pokoju do kuchni, nie widząc się wzajemnie. Upłynęła dłuższa chwila.

- Słuchaj... - powiedziała Marta. - Możebyś nie szedł?...

Czekał na te słowa, ale zanim zrozumiał ich treść, poznał intonację: wypowiedziane były bez przekonania, zdawało mu się nawet, że z wymuszeniem. Wtedy pomyślał: "Stało się. Muszę iść. Pójdę".

- Do... sielsowietu czy do gminy?

- Tak. Do gminy. Uhum. - I nagle strach i żalność zaczęły mu ścisnąć gardło. Co by dał, żeby można było odwrócić bieg wydarzeń tego ranka! Rozmiękła ziemia nie pozwalała na wyjazd ani saniami, ani wozem. Wziąłby się więc za łopatę i na przykład pomagał kopać Marcie grzędę...

- Wiesz... naprawdę... Trzeba by się zastanowić... - zaczęła znów Marta.

- Nad czym? - przełamał się, by odpowiedzieć spokojnie, ale jednocześnie poczuł, że nie potrafi obronić się złej myśli: "Ona się boi, że mógłbym nie pójść". Bo nie pójść na wezwanie oznaczałoby ukrywać się, od zaraz, od już. To byłby już koniec dotychczasowego życia.

Marta, krzątając się w kuchni, potrafiła i omal nie wylała pełnego wiadra z jadłem dla świń, przygotowanym jeszcze z wieczora. Zabrała je i wyszła do chlewu. Po prostu czuła potrzebę ruszenia się z miejsca.

Od wczoraj w specjalnym odgrodzeniu siedzi na jajach kokoszka. Patrzy sztywnym okiem i nastrasza pióra. - "No, i czego się boisz?" - mówi do niej Marta, a u niej samej ręce drżą i serce kołacze nierówno. Gdy powróciła do kuchni, Paweł wypowiedział zdanie, które zapewne podczas jej nieobecności sobie przygotował, bo tonem sztucznie obojętnym:

- Tysiąc rzeczy mogą chcieć w gminie. Oczywiście. Czy to koniecznie ma znaczyć, że... Mogą na przykład... - ale żaden przykład właśnie nie przyszedł mu na myśl.

- A nie sądzisz, że jednak Karol, mimo wszystko, jaki on tam jest, że gdy mówił, że zrobił wszystko, żeby nas nie ruszano... - Nie dokończyła. Paweł potraktował jej słowa za wyraz hypokryzji i przerwał z rozdrażnieniem:

- Co za idiotyzm! I ty chcesz powiedzieć, że wierzysz w możliwość protekcji w NKGB?! Tak?!

Nie odpowiedziała.

Ogolił się i ubrał spokojnie. I dopiero, gdy miał odchodzić, znowu coś na kształt tamowanego szlochu w gardle przeszkodziło mu mówić. Zdołał jedynie wykrztusić:

- Do widzenia, Martuś...

Chciała go objąć za szyję, ale ręce miała ubabrane od roboty. - Poczekaj! - i odwróciła się raptownie, nalała wody do miednicy, ale zamiast myć ręce, pochyliła się nad nią, nisko, nisko, ukrywając twarz: "Byle się nie rozpłakać!" - Tymczasem Paweł nie czekał; kroki jego oddalały się, ale je jeszcze było słychać. Oderwała się od miednicy, wybiegła za nim przez podwórko, do furtki, na drogę.

- Paweł! Paweł!

- Co?! - odkrzyknął przystając.

- Paweł, a może? może chociaż? ja z tobą pójdę?

- Ach, nie zwracaj głowy! Pilnuj domu. - Odszedłszy kilka kroków, pożałował swych słów, zatrzymał się, odwrócił i zawołał: - A nie zapomnij dać koniowi owsa w południe. Pół miary, bo nie pracuje! Słyszysz?!

Marta, prawie zawsze samotna w domu, miała się już czas przyzwyczaić do częstszego obcowania ze zwierzętami niżeli z ludźmi. Przedwczoraj przyleciały szpaki. Najstarszy z nich nie pamiętał tak jeszcze spóźnionego kwietnia, jak w tym 1941 roku. O żadnym lataniu i zjadaniu pędraków za pługiem oracza nie mogło być mowy. Skakać pomiędzy wysterczającymi ze śniegu, oślizłymi skibami i szukać, czego się na pewno nie znajdzie, to zwyczaj godny gawronów, dla których każda rzecz na ziemi i na niebie nazywa się jednako: "kraa?" i "kraa!" Zdumiewające ubóstwo ich języka, tłumaczyć by można zasiedzeniem, parafiańszczyzną, która cechuje na przykład wrony i kawki; ale gawrony są przecież ptakami też przelotnymi, które pod swoimi skrzydłami pozwalają przesuwać się ziemi z północy na południe i z południa na północ: lasy, pola, rzeki, wieże kościelne, ubogie podwórka, twarze ku niebu obroconych drzew, wstęgi szos, kupy śmieci koło dworców kolejowych, pod słońce migające szyny i znów lasy, znów łąki? Jednym słowem, kraje całe, różnorodne, okupowane i nieokupowane, łąchy piaszczyste przy jeziorach, obce zachody i wschody słońca? jakżeby to wyrazić po ichniemu: wielką przestrzeń i wielką wolność: "kraa? kraa?" Tej jednostajności wysłowienia szpak nigdy nie zdoła pojąć. O tak pięknym świecie wiosennym, jak dziś, wzlatuje na najwyższą gałązkę najwyższego świerku, pod którym stoi psia buda, zadziera

głowę i trzepocąc w takt skrzydełkami z podniecenia opowiada Marcie wszystko, co widział i o czym pamięta właśnie, że zasłyszał w ciągu ostatniej podróży. Opowiada szybko, bezładnie, ciągle bije skrzydełkami po bokach i często łże. Tak więc na południu śpiewał już słowik: "Klask, klask?", a oto kukułka, a oto gwizd parowozu; krzyk jastrzębia, długi i przeszywający nerwy, a później ni to wiosenne bębnienie dziecięcia, ni to zasłyszany terkot karabinu maszynowego; wołanie sojki, wołanie człowieka, człapanie kopyt po bruku i znów trele: tak śpiewa kanarek w otwartym oknie dalekiego stąd domu, het, na mieszczańskiej ulicy, gdy wiaterek ledwo raczy poruszać firankę; przy okazji głos fortepianu, który rozchodzi się między żywopłotami dzielącymi ogródki, gdzie kwitną róże i na kijach tkwią różnokolorowe kule niewybrednego gustu ludzi, rozmiłowanych w ciasnych nawykach własności prywatnej? Samka zasłuchana siedzi przed domkiem na ukośnej gałązce, jedna łapka wyżej, druga łapka niżej i tylko główkę przekrzywia. Marta zasłuchana kopie i przesiewa czarną ziemię pod projektowane inspekty, od czasu do czasu wyprostowując się i zakasany rękawem ociera pot z czoła.

W ten sposób mijają ranne godziny. Później ktoś szedł drogą. Marta podnosi głowę, uświadamia sobie, że byłoby za wcześnie? Kroki minęły, zaciichły. Szpak przestał opowiadać i poleciał sobie. Marta odrzuca łopatę, wraca do domu. Na progu spotyka ją kot szerokim ziewaniem, wstaje leniwie, przeciąga się; wróble na ten jego ruch wołają ostrzegawczo: "Terr, terrrr!..." Kot patrzy na nie, jakby wzruszał ramionami z pobłażliwym lekceważeniem, i ociera się o nogi Marty. Koń dostał w południe pół porcji owsa. Słońce stoi wysoko i zaczyna zwolna mijać.

Tak omija domy ludzkie szczęście i nieszczęście.

Na płycie kuchennej rozmawiają ze sobą bulgotem, gestykulując parą wydobywającą się spod pokrywy, dwa garnki: jeden wielki z kartoflami dla świń, drugi mały z kartoflami na obiad dla Marty i - Pawła? Ale Paweł nie wraca, a Marcie nie chce się jeść. Odlewa wodę, a odstawiając garnek i cofając się od płyty następuje kotowi na łapkę. Na jego wrzask odpowiada z rozdrażnieniem:

- Psiik! Zawsze musisz być pod nogami! - Były to pierwsze słowa, które wypowiedziała od wielu godzin. Później cienie zaczynają się wydłużać: szczyt dachu stajennego sięga prawie psiej budy. "Jak ją dosięgnie zupełnie", postanawia w duchu Marta, ale zapomina. "Jak wierzchołek świerku dojdzie do płotu". Doszedł. Ale jeszcze dużo rzeczy trzeba zrobić w domu. Więc: "Jak wierzchołek tamtej sosny osiągnie leżącą cegłę". Czas płynie. Wierzchołek sosny nie osiągnął cegły i nie osiągnie jej nigdy, bo układa się bokiem. Co robić? Godzina piąta po południu.

W ten sposób upłynął pierwszy w tym roku prawdziwie wiosenny dzień. Marta czekała do późnej nocy, a później zasnęła nie rozbierając się.

Następnego ranka zadzwoniła do gminy. Po dłuższych pertraktacjach odpowiedziano jej, że takiego tu nie było. Wracając przechodziła koło domu Wincentego Rojkiewicza i zupełnie odruchowo pchnęła furtkę. Rojkiewicz laził w tej chwili po drabinie na strych stajni i z wysokości odezwał się pierwszy:

- Dzień dobry.

- Czy żona wróciła? - zapytała Marta nie odpowiadając na pozdrowienie.

- Żona?... - zdziwił się. - Nie. Nie ma jej. Pojechała i nie wróciła jeszcze.

- Ach, jeszcze nie... - powtórzyła Marta jak we śnie i wyszła, zapomniawszy zamknąć za sobą furtkę. Rojkiewicz patrzył za nią jakiś czas, po czym wzruszył ramionami i poszedł po drabinie w górę.

Marta, zrobiwszy kilka kroków, zapomniała była, czemu właściwie pytała o Weronikę. Skupiwszy całą siłę woli szła do domu, starając się sobie wyobrazić, że podczas jej nieobecności wrócił Paweł. Będzie siedział na schodach zły, że zastał drzwi zamknięte, i zamiast ją powitać, zapyta: "Gdzieś tak długo przepadała?" - Niech tak będzie, niech tak będzie - powtarzała sobie w duchu.

Na schodach siedział kot, a nad nim wisiała ciężka kłódka, koloru rdzawożelaznego, na którą Marta, wychodząc, zaniknęła drzwi i klucz od której trzymała w tej chwili w rękę.

* * *

Zanim Paweł przemierzył długą drogę do gminy, miał czas uświadomić sobie w całej pełni, iż nadzieja, że został wezwany tylko w jakiejś błahej sprawie, nie opuszcza go ani na chwilę. "Okaze się na przykład, że zapytają o dokładny obszar gruntu, który posiadam; albo kubaturę domu, albo stopień wykształcenia" - tak myślał i przyspieszał kroku; "albo inną jakąś formalność niezbędną do wypełnienia jakiegoś kolejnego kwestionariusza". Zbliżając się do budynku gminy był już prawie zupełnie spokojny i dlatego nagłe skierowanie do towarzysza Raczenki przeraziło go, ale było już za późno na cofnięcie decyzji.

Raczenko na widok wchodzącego wstał, kiwnął mu uprzejmie głową i powiedział do obecnych w pokoju chłopów: "Zaczekajcie, ja tu mam z towarzyszem jedną sprawę do omówienia". Obecni z szacunkiem spojrzeli na Pawła. Raczenko, wciąż uśmiechnięty, wprowadził go na korytarz i zastanowił się: "Gdzieżby tu można spokojnie porozmawiać?..." - Otworzył jakieś drzwi boczne, ale tam siedzieli ludzie. - "Zaraz, to może wyjdziemy się przejść, pogoda ładna". Paweł kiwnął głową i nabrał otuchy. Wszystko dalsze odbyło się w tempie przyspieszonym: poszli szosą, stąpając mimo woli noga w nogę, a Raczenko grzecznie rozpytywał o pracę, o warunki życia, o stosunki rodzinne Pawła... Jednak bez wyraźnego zainteresowania, a raz nawet przesłonił usta w dyskretnym ziewnięciu. Paweł odpowiadał lakonicznie, zaskoczony, zastanawiając się, do czego tamten zmierza. W tej chwili nadjeżdżało z tyłu auto. Paweł cofnął się instynktownie, aby uniknąć ochlapania błotem... Ale auto z raptownym zgrzytem hamulców zatrzymało się przy nich. Raczenko urwał jakieś zdanie w pół słowa, zawrócił się i odszedł bez pożegnania.. Natomiast z auta wyskoczył młody człowiek w skórzanym, rozpiętym na brzuchu płaszczu, spod którego przezierał pistolet na pasie. Wicherek blond włosów wyłaził mu spod czapki. Był to Zajcew.

- Siadajcie - powiedział, mrużąc w uśmiechu niebieskie oczy. - "Koniec!" pomyślał Paweł i siadł na tylnym siedzeniu obok Zajcewa. Pojechali do miasta. Kwadratowe plecy szofera płynęły przed nim na nierównościach szosy; krajobraz uciekał szybko wstecz. - "Koniec", powtórzył jeszcze raz w myślach i poddał się zbawczej apatii.

Okna pokoju nr 208 w głównym gmachu NKGB wychodziły na boczną ulicę. Na podeschniętym bruku dzieci bawiły się w piłkę i ich głosy dochodziły stamtąd wyraźnie. Posadzono Pawła na krześle przed małym stolikiem i zaczęły płynąć długie godziny badania. Nie odczuwał ani zmęczenia, ani głodu, ani chęci snu, ani nawet chęci wstania z tego krzesła. - "Jakże mógł się tego nie spodziewać, jak mógł zlekceważyć? ...Szedłby sobie w tej chwili wolnym lasem..." Pochłonięty całkowicie tym bolesnym uczuciem zawodu w stosunku do samego siebie odpowiadał machinalnie, prawie nie dobierając słów.

Dopiero po długim szeregu oskarżeń, które wytoczył Zajcew, a które nie wymieniały ani nazwiska Tadeusza Zakrzewskiego, ani żadnego z jego pseudonimów, ani nikogo z osób bywających w pralni lub związanych w inny sposób z całą aferą, jednym słowem - wyraźny brak koordynacji w zarzutach przywrócił elastyczność napiętym nerwom Pawła. "Nic nie wiedzą" pomyślał z ulgą i nagle postanowił się bronić. Nie żeby wierzył w skuteczność obrony, nie żeby miał nadzieję na wypuszczenie, ale by się bronić dla zasady, dla samego siebie. Przypomniła mu się sytuacja największego niebezpieczeństwa podczas bitew, w jakich bywał na wojnie, gdy człowiek nie walczy już ani o sprawę, ani o miłość ojczyzny, ani o godność sztandaru, ani o honor, ani nawet o nadzieję... Po prostu walczy o siebie i dla siebie. W mózgu ma pustkę, w sercu pustkę, ważne pozostają tylko ruchy zewnętrzne. Tak czy inaczej, wszystko przepadło, pozostało jedynie zachować siebie do końca. Spokojnie, z rozważą parować ciosy, przechodzić do natarcia, oburzać się, protestować, bić ich własnymi argumentami. I Paweł zapomniał o całym otaczającym go świecie, nie słyszał już więcej głosów dziecinnych za oknem, a cały skoncentrował się w jednym: w

walce.

- Wróg, wróg! - powtarzał Zajcew.

- Dlaczego "wróg"? - zapytał Paweł. - Furmanem jestem, nie wrogiem.

- A dlaczego wy jesteście furmanem? Hę? Czy nie dlatego, że nie chcecie teraz pracować w swoim zawodzie? Co?

- A co to złego być furmanem? Taki sam zawód, jak każdy inny. Już gdzie, jak gdzie, ale przynajmniej w Związku Radzieckim należałoby się spodziewać szacunku dla fizycznej pracy!

- Ty...! - zakrztusił się Zajcew. - My ciebie... nauczymy prawdziwego dla pracy szacunku! U nas dla takich kontrrewolucyjnych burżujów specjalne uniwersytety są, wiesz ty gdzie? W łagrach!

- Nie jestem burżujem. Jestem furmanem.

- Ojciec był kim?!

- Robotnikiem - odpowiedział spokojnie Paweł, patrząc Zajcewowi wprost w oczy. Zajcew stropił się lekko, lecz nie protestował.

- Nic nie wiedzą - pomyślał znowu Paweł.

- Więc dlaczego nie pisujecie w tutejszej prasie? Co?

- Bo ja tak nie potrafię.

- Jak: tak?!

Wszedł Kopyłow. Głowę miał jeszcze obandażowaną od ciosu zadanego mu podkutym butem w twarz. Przysłuchiwał się milcząc, wyjął paczkę papierosów, z napisem: "Teatralne. Jawa-Moskwa" i poczęstował. Paweł zaciągnął się namiętnie.

- Czy wy możecie powiedzieć, że jesteście zadowoleni z własnego losu?

- Nie w tej chwili - odparł ironicznie Paweł.

- Zostawmy ironię na boku - powiedział Kopyłow, opierając się o poręcz krzesła. - Ale tam - podrzucił głową w kierunku okna.

- Jestem zadowolony.

Kopyłow pokiwał pobłażliwie bandażem na twarzy. - Spójrzcie na wasze ręce. Są czarne od roboty. A mieliście kiedyś białe. Więc jak możecie mówić, że jesteście zadowoleni? Ech, wy... - poklepał Pawła dobrodusznie po plecach i odwrócił się.

W tej chwili otworzyły się drzwi i wszedł naczelnik Miedoczkin. Kopyłow się wyprostował, Zajcew wstał. Miedoczkin podchodził powoli.

- Za granicą bywaliście?

- Tak.

- Gdzie?

- Hm, na przykład w Paryżu.

- Po co?

- Na przykład na międzynarodowej wystawie...

- Co tam robiliście?

- Oglądałem pawilon sowiecki.

- A wy... - wycodził - a wy pawilon... sowiecki na Sołówkach widzieliście? A?!

- Jeszcze nie.

- Dwanaście lat będziecie go oglądać. Tam jego! - krzyknął. - Twarzą do ściany! - I zwracając się do wartowników stojących w progu: - Wy, towarzysze, strzec mi tu tego wroga ludu!

Urzędnicy poszli na obiad. Paweł w dalszym ciągu zupełnie nie odczuwał głodu.

Płynęły godziny. Zapadał zmierzch. Zwrócony twarzą do ściany poznał w zasięgu swego wzroku jej chropowatość, stare pęknięcia, każdą najmniejszą rysę. W jednym miejscu dostrzegł odbicie w wapnie skrzydełka muchy. W przyległym, 209 pokoju, przez wpółotwarte drzwi dochodził opanowany głos Greczannikowa. Badał chłopca, sądząc z głosu, starszego już wiekiem. Mówili o jakimś rzuconym granacie. "Za dwieście lat", myślał Paweł, "będzie o mnie mniej wiadomo, niż ja wiem o tej musze, która tu kiedyś przylgnęła

do wapna i odbiła swoje skrzydełko. Co wart jest dzień dzisiejszy..." - Mówili o rzuconym granacie w nocy; padały nazwy znajomych miejscowości. Paweł słuchał. Nie ulega wątpliwości, że to musi być ojciec tego... Jakże nazywał się ten chłopiec? Kościa! Tak. Tak go nazywano. Paweł słuchał i nie dziwił się wcale. Nie był nawet ciekaw. Dlaczegoś wydawało mu się to zupełnie naturalne. We śnie też wiele rzeczy wydaje się zupełnie naturalne. Nie, nie wstanie i nie oświadczy, że on wie coś o tej sprawie, że stary chłop jest niewinny. Nie robi tego, tak jak nie można zrobić, aby we śnie poprzestawiać kolejność wypadków. Jego sen, Pawła, to jest on sam, on, który tu tkwi twarzą do ściany i walczy za siebie, za nikogo więcej. A gdyby się obudził i powiedział? Powiedział prawdę? Wieleż innych ludzi musiałby później wydać, wiele nazwisk, wiele miejscowości wymienić... Mój ty, Boże!..

- Kto zachodził jeszcze, kto przyjaźnił się z waszym synem? No, mówcie wreszcie! Nie bałbוצcie tam językiem pod nosem! Prędko! - Greczannikow zaczął tracić zimną krew.

- Stasiek... - Chłop, widocznie już wielokrotnie badany, zaczął złamanym głosem.

- Jaki Stasiek?!

- Wilamowiczów Stasiek.

- Gdzie zamieszkały?

- Także samo w Słobódce.

- Kto jeszcze, prędzej!

- Ignaś...

- Ignasia już mówiliście. Inni, cała organizacja!

- Na konto organizacji, to ja... nie takiego, żeby wiedzieć...

Słuchać było, jak Greczannikow wstał; szurganie nóg, cios i płacz starego: - Boże-sz ty mój! Za co! Panie śledczy, towarzyszu... Oj oj oj! Nie po głowie, nie po głowie...

- Prędzej!

- To chyba jeszcze Feluś... Feliks, znaczy Chlebowiczów.

Minęła właśnie szósta godzina po południu. Wrócił Zajcew w dobrym humorze, zamknął drzwi do przyległego pokoju, zasiadł za biurkiem zacierając ręce i kazał Pawłowi zająć stare miejsce na krześle przy stoliku. Potoczyła się znów monotonna litania zarzutów i odpowiedzi. Paweł bronił się, nawet podnosił głos. Zarzucano mu właściwie wszystko: kontrewolucyjną działalność, agitację, szpiegostwo, ale nic z tego, co popełnił był naprawdę. Widoczne było, że Zajcew nie ma wiary w konkretność tych zarzutów, a tym samym większego zainteresowania dla odpowiedzi. Coraz rzadziej krzyczał, ziewał ukradkiem, zmieniał pozycję na fotelu, po kilku godzinach czuł się zmęczony nie mniej od Pawła. Wtedy na zmianę przychodził Kopyłow. Zrobiło się ciemno i zapalono żarówki. Paweł zapadał w odrętwienie i w pewnej chwili nawet nie zauważył, że przed nim nie ma nikogo. Ocknął się. Przy bocznym stole siedział Czernodanow i dyktował w telefon niekończące się nazwiska i miejscowości. Odkładał słuchawkę, a po chwili znowu: ..Dajcie mi sto

trzy. Sto trzy? Proszę przyjąć..."

Cóż to byli za ludzie, których Czernodanow wymieniał przez telefon ... Była noc.

Nagle ktoś położył rękę na ramieniu Pawła i ten obudził się z drzemki.

- Ech - zażartował szyderczo Kopyłow - sami nie śpicie i innym spać nie dajecie. - Podeszedł do swojego biurka i zabierając się do pisania pytał od niechcienia: Ile lat pracowaliście na szkodę Związku Radzieckiego?

- Wam się zdaje - odpowiedział sennie Paweł - że w państwach pozasowieckich nikt niczym innym się nie zajmuje, tylko zwalczaniem Sowietów...

- Nie nikt, tylko: nie nikt! Masy wszędzie są za nami!

- Niech będzie, że są.

- Tylko tacy, jak wy...

- Myśmy mieli też wiele innych tematów prócz tego jednego.

- Kto: myśmy? Nazwiska! - Głos Kopyłowa brzmiał tym razem sucho i rozkazująco.

- Jakie nazwiska? - ocknął się Paweł. - Mówilem "myśmy" o literatach i dziennikarzach, takich jak ja, którzy nigdy - podkreślił słowo: nigdy - przedtem nie zastanawiali się nad...fenomenem Związku Sowieckiego.

- Nazwiska tych literatów i dziennikarzy, z którymi kontaktujecie się teraz.

Paweł miał ochotę wymienić Karola i Łaszowskiego, ale zaniechał. Czuł, że nie należy niczym komplikować sprawy.

- Nie kontaktuję się z nikim. Nie mam czasu. Jestem furmanem.

- Furmanem, furmanem... - przedrzeźniał Kopyłow. - Ot, zabawia się malczyk biczkiem i zdaje mu się, że robi kontrrewolucję... Ale - zmienił raptownie intonację - przyznajcie, że kultu pracy u was takiego nie było?

- Przyznaję.

- I w literaturze takiego rozpracowania tematu od dołu, od strony każdej położonej cegły, każdego przepiłowanego pnia, każdej złapanej ryby, bo ja wiem zresztą czego... Nie było u was, prawda? Co? No, mówcie.

- Nie było.

- No, choć to przyznajecie przynajmniej - mruknął Kopyłow, poprawiając bandaż na twarzy, która mu się brzydko ropyła w miejscu uderzenia. - Tak, tak - westchnął - i ja kiedyś byłem literatem, pisałem wiersze - mówił szyderczo - a teraz piszę tragedie! Cóż wam się tedy nie podoba w naszej prasie, w której nie chcecie pracować?

- Szablon.

- Aaa... Ot, gdzie celuje, indywidualista. Wszystko to przez ten wasz przeklęty indywidualizm. Pora, pora już nauczyć się myśleć kolektywnie. - Umaczał pióro i nie zwracając więcej uwagi na Pawła, pisał. Czernodanow znowu ujął słuchawkę: "Proszę sto trzy".

Przyszedł ranek. Paweł nie ruszał się ze swego krzesła. Raz tylko wyszedł do ustępu, do którego odprowadził go Lewin, urzędnik, który zaszedł był właśnie przypadkowo dla ustalenia jakiejś formalności z Zajcewem. Zajcew powiedział doń: "Lewin, bądźcie tak dobrzy, doprowadźcie, ot... literata do wychodka".

- Furmana - poprawił Paweł.

- Niech będzie furmana.

Idąc, Paweł sięgnął mimo woli do bocznej kieszeni marynarki i nagle zbladł, i nogi się mu podkosiły w kolanach... To coś, co namacał przypadkowo, musiało być fałszywym dokumentem, którym się posługiwał podczas ostatniej podróży z Tadeuszem!... - "Jakto się mogło stać, jak to się mogło stać, powtarzał w myślach, że go nie zniszczyłem, że o nim zapomniałem... Boże, Boże, jakże to tak... A rewizji dotychczas nie robili... Ale za chwilę mogą zrobić... Wrzucę do kloaki, jeżeli się uda..." - Ale Lewin stał w otwartych drzwiach ustępu, pilnując każdego jego ruchu. Później zapytał go, czy nie wie przypadkowo, jak będzie "lipiec" po estońsku? Paweł nie wiedział.

- Po co to? - spytał

- Potrzebny. Do protokołu, który przyszedł z Tallina - i odprowadził Pawła z powrotem do pokoju 208.

Zajcew z małymi przerwami w dalszym ciągu zadawał pytania. W przyległym pokoju toczyło się znowu badanie ojca Kości. Paweł tym razem nawet się nie przysłuchiwał. Wkrótce zapomniał również o grożącej mu rewizji i kompromitującym dokumencie w kieszeni. Teraz chciało mu się spać. Tylko spać. Zajcew częstował go papierosami, to znów na przemian tłukł pięściami po stole, wymyślając od ostatnich słów. Gdy przyszła druga z kolei noc, sam zaczął drzemać. Jego niebieskie oczy zwężyły się od zmęczenia, wokół potworzyły się czerwone obwódki, co nadało im wyraz oczów starej kury.

Paweł wrócił do domu o ósmej rano, po 45 godzinach li nieobecności. Nie wchodząc do środka, usiadł na ławce pod drzewem, pogłaskał z roztargnieniem łeb psa i był rad, że Marta nie rzuciła mu się na szyję, nie płakała, nie robiła żadnych historii, a tylko przysiadła cicho obok niego. Ranek był znowu piękny, wiosenny. Paweł miał jednak wrażenie, jakby to w następnym już roku. Zapalił papierosa, a potem oparłszy się łokciami na kolanach, opuścił głowę i patrzył w rozmięktą ziemię. Z ust czuć mu było zapach alkoholu. W pewnej chwili, nie pytany, zaczął opowiadać, jak go wypuścili:

"Dochodziła chyba godzina piąta nad ranem, coś koło tego... Zajcew wyglądał jak ta kura. Mnie już było wszystko jedno, powiedziałem, że chciałbym, żeby już mnie odprowadzono do więzienia, spać. Wyśpicie się, powiada on, 25 lat w łagrze. Mówię mu, że to wszystko jedno. Wtedy on pyta, czy wiem, czym zajmuje się NKGB? Walką z wrogami Związku Radzieckiego, odpowiadam. Doskonale, mówi. A na czym polega obowiązek obywatela Związku Sowieckiego? Na pracy. I jeszcze na czym? Mówię, że nie wiem. Dobrze wiecie! I tak dalej. Wreszcie: na demaskowaniu wrogów. No, i zaczyna się stara katarynka, wiesz".

Marta słuchała, wpatrzona w usta męża.

"Powiada, że jeżeli chcę wrócić do domu, do domu, rozumiesz?..." Urwał. "To niech podpiszę zobowiązanie "współpracy". Mnie już było wszystko jedno i odpowiadam, że: nie. Na to on mnie znowu wymyśla od wrogów. A ja mówię, że skoro jestem wolnym obywatelem Związku Radzieckiego, to jego żądanie uważam za wymuszenie. Wtedy on mówi, że ma już dość mnie i całej mojej gadaniny, że jemu zbrzydłem do rzygania, że jak chcę zgnić w więzieniu... Taką całą komedię rozgrywa, wiesz. Trzymał w ręku pióro, obsadkę, o, w ten sposób..." Paweł nachylił się, podniósł leżący u nóg kawałek drzazgi sosnowej, ujął w palce jakby pióro i wyprostował się: "O, tak, patrz..."

Marta śledziła, nie odrywając wzroku, jego ruch.

"Odchylił się ku tyłowi i rękę z tą obsadką, w ten sposób, patrz, wolno, wolniutko przeciągał za siebie w kierunku drzwi, gdzie u progu stał wartownik. Był to zupełnie naturalny ruch, jakby miał kiwnąć na niego i kazać mnie odprowadzić do więzienia. A ja siedziałem bez słowa i tylko patrzyłem w tę obsadkę. Gdy ją doprowadził do połowy wysokości... nagle cofnął rękę, zmienił się zupełnie na twarzy, bo to była taka komedia, rozumiesz? Stał się rzeczowy, podszedł, położył przede mną kawałek papieru, wręczył pióro i "piszcze", powiada. Ja myślałem, że chodzi o to samo i mówię, że nie. A on powiada: "Spokojnie, spokojnie. Trzy punkty: że nie mam prawa zmieniać

miejsca zamieszkania, że na każde żądanie muszę się stawić, i że pod groźbą kary za zdradę tajemnicy państwowej nie wolno mi żadnemu człowiekowi na świecie powiedzieć, iż mnie zatrzymano i jak mnie badano." Ja podpisałem naturalnie, on kartkę schował i powiada: "Idziemy"! Poprowadził korytarzami i wypuścił. Wyszedłem na ulicę, rozumiesz?... - Paweł umilkł i znowu zwiesił głowę. Po dłuższej chwili podjął:

"Poszedłem na dworzec. Pociągu do nas nie było. Siadłem przy stoliku. Ludzi było pełno. Muzyka gra w "Czerwonym kąci". Dużo pijanych. Nagle podchodzi towarzystwo: jakiś młody facet, jakiś starszy pan i dziewczyna jakaś. Pytają, czy mogą się przysiąść? Proszę, odpowiadam. Wstawieni byli. Młody siada i pyta: czemu to pan taki smutny? Wtedy ja odpowiadam: wcale nie jestem smutny, a przeciwnie, bardzo szczęśliwy. Dwadzieścia minut temu wyszedłem z NKGB, gdzie podpisałem papier, że pod groźbą największej kary nie wolno mi o tym nikomu mówić. Więc dlatego mówię to panu, pierwszemu spotkanemu, nieznajomemu człowiekowi... Musiałem w ten sposób rozprężyć widocznie nerwy, rozumiesz mnie?"

To wiesz, że on wstał bez jednego słowa, podszedł do bufetu, własnoręcznie przyniósł i postawił przede mną talerzyk, zakąski, kieliszek, wódkę, nalał mnie i innym i wypiliśmy..."

Zamilkł.

- Kto to mógł być? - powiedziała po chwili Marta cicho.

Paweł wzruszył ramionami: - Nie mam pojęcia. Jakiś człowiek.

- Nie, ja nie o tym. Kto, myślisz, przyczynił się do twego aresztowania?

- Ach, to mógł być każdy. - Odrzucił drzazgę sosnową, którą wciąż trzymał w palcach jak obsadkę.

- Albo też nikt. Samo przez się.

XXIV

Drogi podeschły szybko. Paweł ładował drzewo z sągu na wóz w odległej części lasu, gdy gajowy idąc wielkimi krokami już z oddalenia zaczął go wymyślać za to, że zabiera drzewo nie okazawszy piśmiennego "orderu" leśniczego. Był to istotnie błąd ze strony Pawła. Zapomniał on bowiem, że wywiózł już wszystkie drzewo z rewiru poprzedniego gajowego, a numer sągu, który obecnie ładował, znajdował się w rewirze innego. Chciał mu to właśnie wytłumaczyć, gdy gajowy zbliżywszy się krzyknął:

- Musi być porządek! Drzewo z lasu zabierać, to tobie nie cudzą żonę!

Paweł nie znał go uprzednio, ale przyjrzawszy się, przypomniał: To było jeszcze w minione lato, gdy Weronika oddała mu się po raz pierwszy, w lesie wśród gęstych krzaków jagodowych, wypełniających wgłębienie, a gdy wstała była przede wszystkim zmartwiona poplamieniem swej jasnej spódniczki przez rozduszone jagody czernic. Obracała ją na sobie we wszystkie strony, oglądając plamy z tyłu i zakasując do pól uda; wykręcała głowę i tak tym zajęta, że nie usłyszała, jak w bliskości trzasnęła cicho gałązka pod czyjąś stopą. Paweł, który w tym momencie zapalał papierosa, osłaniając dłonią od wiatru ogień zapalki, podniósł wzrok i spostrzegł wówczas twarz, która mignęła między drzewami. Nie powiedział nic Weronice, tym bardziej że człowiek wydał mu się zupełnie obcy. Wtedy nie miał też na głowie zielonej czapki gajowego. Teraz poznał, że to był ten sam, a jego słowa rozzłościły Pawła. Zaciśnął zęby i nie odpowiadając wrzucił następną szczapę do wozu.

- Wyłożyć z powrotem! - wrzasnął gajowy. - Już!

- Zamknij pysk! - syknął Paweł.

- Co?!... - i gajowy zrobił krok naprzód.

Paweł ujął mały toporek, który wozził ze sobą zawsze do lasu i ściskając go w prawej ręce,

powiedział zduszonym głosem:

- Won. Poszedł stąd won.

Gajowy zbladł, pochylił się jak do skoku, ale w momencie gdy się spotkały ich oczy, cofnął się o krok, później o dwa, o trzy i krzyknął:

- To taaak! Z siekierą na gajowego! - zawrócił i pobiegł przez las. Cały incydent nie miał innego podkładu, jak tylko przypadkowe zetknięcie się złych humorów dwóch ludzi, którym obowiązek nakazywał wstawać o świcie do ciężkiej pracy. Gajowy wiedział bowiem dobrze, że Paweł wozi drzewo rządowe z nakazu leśniczego na stację, a Paweł wiedział, że nie dopełnił drobnej formalności, którą dopełnić był obowiązany. W innym doborze słów sprawa załatwiona by została w przeciągu kilkunastu sekund i prawdopodobnie zakończona wspólnym wypaleniem papierosów. W tym jednak obrocie rzeczy gajowy udał się wprost do leśniczego na skargę i złożył oficjalny meldunek.

Gdy tegoż samego wieczoru Paweł przyszedł do kancelarii po wypłatę, leśniczy siedział zasępiiony nad wykazami i przekładał językiem papierosa z jednej strony ust do drugiej. Nad jego głową wisiał na ścianie przepisowy portret, a kancelista przy bocznym stole, śliniąc koniec obsadki, z widocznym zaciekawieniem oczekiwał na treść rozmowy, bo już słyszał o incydencie. Obyczajem tych wszystkich na całym świecie, w których władzy jest dać na siebie czekać innym, leśniczy przez dłuższy czas nie odrywał wzroku od wykazu, aż wreszcie nie podnosząc głowy, mruknął do Pawła:

- Nie ma czego w lesie hrabiego z siebie strugać. - Zdanie to nie miało wielkiego sensu, ale Paweł zrozumiał, o co chodzi.

- Ja hrabiego nie strugam - odparł - ale gajowy niech nie struga chama.

Leśniczy odłożył pióro:

- Z siekierą na gajowego... - powiedział przeciągając słowa. - Oho! Prawo leśne... - Cmoknął językiem, - Oho.

Rozczarowany kancelista, który poznał po intonacji swego przełożonego, że ten nie bierze sprawy poważnie, zobojętniał i zabrał się do pisania.

Skończyło się na tym, że Paweł wycofany został z pracy w lesie i przeniesiony do pracy przy dostawie podkładów kolejowych na lotnisko wojskowe, uzyskawszy zresztą przez to lepsze warunki materialne.

Gajowy zaszedł w tym czasie niby to mimochodem do Wincentego Rojkiewicza, ale go nie zastał. Wyjechał on gdzieś z rana i jeszcze nie był powrócił.

Z szos, z szerokich piaszczystych traktów, z większych dróg, wznosiły się tumany kurzu, leniwie roznoszone wiatrem na boki, na pola, tego roku marnie zaorane, byle jak zasiane. Kurz rozpylał się w słońcu, we dnie na żółto, pod zachód na kolor sproszkowanej cegły. Resorty planowania państwowego wydały nakaz i mimo że nastał był właśnie czas wiosennych robót rolnych wiele setek wsi wygnanych zostało na przymusowe roboty przy budowie baz wojskowych i lotnisk. Ciągnęły więc całe tabory, i były to kopyta chłopskich koni, które wzbijały owe tumany kurzu. Pokrywał on wszystko: grzywy, chrapy, rzęsy, wozy i siedzących w nich ludzi. Gdyby nawet chcieli, jadąc, śpiewać na radość z wyzwolenia, nie mogliby tego czynić inaczej, jak tylko spluwając co strofkę brudnym pyłem, który im lał do gęby przy każdym jej otwarciu.

Wóz ciągnął za wozem, masa wozów, koni, masa ludzi pracujących, co słusznie podkreśliła lokalna "Prawda" w artykule wstępnym, zatytułowanym: "Radosna twórczość mas pracujących". Tylko że, na biedę, i ludziom, i koniom pić się chciało strasznie. Zwłaszcza ostatni w pochodzie, zanim doczekali swojej kolejki u wodopojów, mieli już wodę zmaconą, brudną; konie piły ją pochrapując i macąc jeszcze bardziej, a ludzie sączyli powoli i znowu spluwali.

Paweł z ciężkim, ładownym podkładami, wozem nie mógł wjechać na trakt i długo musiał czekać przy skrzyżowaniu zanim przejdzie tabor furmanek, dążący na to samo, co on lotnisko. Gdy wreszcie minął go ostatni wóz, powlókł się z tyłu, idąc pieszo z lejcami uwiązany do kłonicy. Rozjeżdżony, pełen wybojów trakt schodził w dół z łagodnego wzniesienia. Rozpościerał się stąd widok na płaską przestrzeń aż po pierwsze domy przedmieścia, na hangary, koszary i stację benzynową. Okoliczne pola prywatne i chałupy wywłaszczono teraz, planując teren pod budowę nowego, ogromnego lotniska. Po oziminach zasianych jesienią pól przelewały się tysiące furmanek chłopskich, furgonów miejskich, traktorów, aut ciężarowych. Słychać było stuk młotów, warkot motorów, rżenie koni; wielkie, ruchome dźwigi zgrzytały w oddali łańcuchami z nieprzyjemnym hałasem żelaza, przenosząc i zsypując do ciężarówek wykopaną ziemię. Paweł zatrzymał się chwilę, dając wypocząć koniowi i patrzył.

- Jedź, jedź! - krzyknął nań siedzący na skarpie strażnik z karabinem w ręku. - Czego mordę roździawił jak wrona!

Paweł zauważył dopiero teraz, że obok grupa więźniów niweluje pagórek. Ruszył, zjechał w dół i zagłębił się w mrowisko ludzi, maszyn i koni. Wracał do domu wczesnym wieczorem. Słońce jeszcze się nie schowało, ale z rozmokłych po zimie łąk i jarów, na których dnie stała woda, ciągnęło już przyjemną wilgocia nocy po dniu pełnym kurzu i skwaru. Bo wiosna była późna, ale od razu, bez przejścia prawie, ciepła jak lato.

W podrosłych oziminach odzywały się pierwsze derkacze. Na skraju leśnym przekwitały przylaszczki. Oto już znajomy krzyż, później kupa kamieni, znajomy pień samotnej brzozy rozwalonej piorunem dawno, dawno temu; znajomy dół, skąd kopano piasek, później śmieszna sosna, o podwójnym pniu w kształcie liry... Nagle na drogę padł cień Bożka, sekretarza sielsowietu. Dał ręką znak, żeby się zatrzymać.

- Czy obywatel podpisał już pożyczkę na armię czerwoną?

- Nie.

- To proszę podpisać. Jutro ostatni dzień. W szkole. - Mówił tonem urzędowym.

- Czy ta pożyczka... - odparł Paweł, chociaż wiedział, że podpisali ją już wszyscy zarówno w mieście, jak na wsi - czy pożyczka ta jest przymusowa czy dobrowolna?

Bożek ze szczerym zdziwieniem spojrzał na niego, nie rozumiejąc w pierwszej chwili, ale zaraz się domyślił złośliwości i odpowiedział:

- Pożyczka jest dobrowolna. Ale... ja radzę podpisać.

- Za radę dziękuję, ale nie podpiszę.

- Aha... - odparł dlaczegoś Bożek i poszedł nie żegnając się. Po kilku krokach uświadomił sobie, że nie znalazł właściwych słów repliki i zły był na siebie. Idąc przebierał w głowie mściwe myśli nawet poruszał niemo wargami, zupełnie tak prawie, jak nabożna w kościele kobieta przebiera paciorki różańca.

XXV

"Nie wywiesił czerwonej flagi... Nie wywiesił czerwonej flagi... Nie wywiesił czerwonej flagi..." - Szło po całej osadzie.

W gruncie rzeczy ani Paweł, ani Marta nie zastanawiali się dnia poprzedniego nad tą sprawą. Mowa była zupełnie o czym innym. Pawła rozbolały zęby i zapominając o całym świecie postanowił nazajutrz jechać do dentysty. W nocy nie zmrużył oka i nie doczekawszy świtu, nie odpowiadając nawet na współczujące odruchy żony, wyruszył jeszcze po ciemku do miasta. W ten sposób Marta była sama w domu, gdy 1 maja zaraz po świtaniu po całej osadzie podawano sobie z ust do ust, bez

złości i bez podziwu, raczej od wzruszenia ramion do wzruszenia ramion: "Nie wywiesił czerwonego sztandaru..."

Ktoś stuknął palcem w czoło, bez słów dając wyraz swej opinii. Ktoś inny szeptem zakomunikował o zdarzeniu Bożkowi i ten poszedł osobiście zobaczyć, sprawdził i odszedł bez słowa.

Nie było żadnego nakazu. Trudno też orzec, skąd we wszystkich domach znalazło się tyle czerwonego materiału i do czego mógł być używany poprzednio? Władysław Kurko, były asesor dykcji kolejowej, nie przyjęty obecnie do służby, jako element niepewny politycznie, który mieszkał w swoim letnim domu, wywiesił aż dwa zgrabnie uszyte sztandarki od frontu; następnie żółtym piaseczkiem wysypał ścieżkę przed domem i odszedłszy parę kroków obejrzał całość z perspektywy. Wyglądała świątecznie. Ale dom był narożny i czerwonych flag nie dostrzegano się z drogi bocznej. Przez krótką chwilę dłużył w nosie namyślając się, po czym wrócił i trzecią czerwoną flagę wywiesił na chlewie od strony tamtej drogi.

Marta, gdy rankiem spostrzegła czerwieniejące wszędzie flagi, zastanowiła się, co ma w domu w kolorze czerwonym? Ale niczego nie mogła sobie przypomnieć poza starą, czerwoną chustką, która od dawna służyła za ścierkę do wycierania naczyń, była brudna i pomięta, a prać jej się nie chciało. Odłożyła więc decyzję do powrotu męża, którego spodziewała się lada godzina i zajęła przygotowaniem śniadania.

Tymczasem Paweł nie mógł powrócić przed południem, jak to było przewidziane.

Okna mieszkania znajomego dentysty wychodziły na główny plac miejski. Paweł sądził, że zostawiwszy konia jak zawsze u swego znajomego za rzeką, zdąży wrócić dość wcześnie. Ale tego rana wszelki ruch w śródmieściu został wstrzymany. Ulicami maszerowały kolumny demonstrantów, aby zająć zawczasu wyznaczone im stanowiska wyjściowe. Patrole milicji i NKGB zatrzymywały i sprawdzały dokumenty osób idących samopas, bo każdy musiał przynależeć przecież do czegoś, a zatem w ramach tej organicznej przynależności znajdować się w zwartych szeregach. Bramy domów wychodzące na plac i główne ulice zostały zamknięte. Zresztą, rogatki miejskie - zablokowane, i nikogo do południa nie miano ani wpuszczać, ani wypuszczać z miasta. Było to wielkie święto, święto mas, które objęło wszystkich.

- Na wsi na pewno się tego tak nie odczuwa - mruknął dentysta, myjąc ręce.

- O, tak - odparł Paweł szczerze zatroskany tym przymusowym inernowaniem w śródmieściu i westchnął:

- Szkoda dnia.

- Szkoda całego życia - odparł dentysta.

W tej chwili za oknami dały się słyszeć okrzyki i wiwaty. Wyszli na balkon. Po środku placu ustawione były gigantycznej wielkości portrety Lenina i Stalina; pod nimi trybuna, na której najwyższe władze miejscowe odbierały defiladę. Orkiestry grały międzynarodówkę. Plac zalegała nieprzebrana ciżba, głowa przy głowie, nad którą falowały czerwone sztandary i transparenty. Z czerwonymi kokardami w klapach maszerowali robotnicy różnych zawodów i cechów, związki zawodowe, artele, urzędnicy, nauczyciele, muzycy, profesorowie, aktorzy, aktorki, dziennikarze, literaci... Paweł przechylił się przez balustradę i przyglądał twarzom. Zdawało mu się, że są nie do rozpoznania w swym uniformizmie. Twarze, twarze... Orkiestry. Oklaski. Okrzyki: "Niech żyje wolność! Stalin, Stalin, Stalin!"

- Maski - powiedział dentysta.

- Co pan mówi? - zapytał Paweł, zbliżając ucho i starając usłyszeć poprzez zagłuszający wszystko hałas.

- Mówię, że maski.

Zaczęła iść młodzież szkolna, studenci. Na pierwszym planie widniał wielki transparent z napisem:

"Dziękujemy Stalinowy za radosną przyszłość!"

- Młodzież? - zapytał dentysta, który miał krótki wzrok.

- Młodzież.

- Nikogo nie brakuje. - Paweł nie dosłyszał słów i znów zapytał:

- Co?!

"Hurra! Hurra!" - krzyczano coraz głośniejsze. Paweł dotknął policzka, w miejscu gdzie czuł ból wyrwanego zęba.

"Hurra, hurra!"

Dentysta stał zgarbiony na balkonie. Paweł nie żegnając się wycofał do pokoju, położył na stole honorarium i wyszedł przez kuchenną klatkę schodową na dziedziniec kamienicy.

Udało mu się, lawirując bocznymi ulicami, wydostać wreszcie z miasta. Na wsi, po drodze, dostrzegał też wszędzie wiszące czerwone flagi. Podjeżdżając do domu, obrzucił go szybkim spojrzeniem.

Rozprzągnął, później zgniótł w ręku wiecheć słomy i nacierał nią spotniały grzbiet konia, gdy nadbiegła Marta.

- Czemu tak próżno? Jak z twoim zębem?

- Nie boli. Ach, żebyś ty widziała... Która teraz godzina?

- Już po czwartej. Co, żebyś widziała?

W tej chwili ktoś wszedł na podwórko.

Paweł ręką z wiechciem słomy przesłonił oczy, żeby dojrzeć, kto idzie, bo słońce padało od tamtej strony. Był to Dawidowski.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział uprzejmie - ja mam do pana małą sprawę.

- Słucham - odparł Paweł. - Jeżeli będę mógł coś zrobić...

- Proszę pana... - zaczął jaskając się Dawidowski. - Ja właściwie przyszedłem do pana z prośbą. To znaczy ja chciałem pana prosić... Panie Pawle, wywieś pan na domu czerwoną flagę.

Paweł odwrócił się do konia, nacierając mu dalej grzbiet i po chwili odparł sucho: - Próżno już. Zaraz wieczór. - Marta trzymała konia za uzdeczkę i nie przemówiła słowa.

- Proszę pana, lepiej próżno niż nigdy. Pan wie, ja byłem dla pana zawsze przyjaźnie usposobiony. Po co pan takie rzeczy robi? Po co pan się naraża?

Paweł skończył nacierać i odrzucił słomę. Nastąpiła cisza.

- Proszę pana - podjął Dawidowski zniżając głos prawie do szeptu. - Ja jestem stary człowiek, ja ojcem pana mogę być... Ja pana proszę.

- Nie - odparł Paweł - nie wywieszę.

Dawidowski rozłożył ręce milcząc i pokiwał smutnie głową. - Ja chciałem tylko dla pana dobra. Pan też okazał mi przyjaźń.

- Dziękuję, bardzo dziękuję.

- Dać siana koniowi? - spytała Marta.

- Daj.

- Przepraszam - powiedział przybyły, wycofując się.

- Nie ma za co, panie Dawidowski, nie ma za co. To ja pana przepraszam.

Gdy Dawidowski powrócił swojej izdebki, żona jego, która zarabiała teraz szyciem, siedziała w okularach nad kawałkiem czarnego materiału, pikując go szpilkami. Nie odrywając oczu od roboty, poprosz szpilkę trzymaną w wargach, zapytała: - No, co? Wywiesi?

- Ach - kiwnął bródką Dawidowski - uparł się jak dureń. Co z nim robić?

Wyjęła szpilkę, wpinając w materiał, a lewą ręką sięgnęła po nową do pudełka. - No, ot, widzisz, jacy teraz ludzie. Po co dla kogoś starać się. - I wkładając szpilkę do ust, dodała: - A jeszcze mówiłeś, że to inteligentny człowiek.

Część trzecia

WERONIKA

XXVI

Gajowy, raz nie zastawszy Rojkiewicza w domu, byłby może zaniechał powtórnych odwiedzin, może by też wycofał nawet swą urzędową skargę po dobremu, gdyby się nie był dowiedział od kancelisty, że leśniczy skargę jego "zlekceważył", a Pawłowi dał wozic podkłady, na czym ów tylko zyskał. - "Isz, biały czort! Trzymają ze sobą..." - myślał, a gdy wyszedł z kancelarii, zatrzymał się wpół drogi, przeżuwał coś ruszając szczękami, a potem zawrócił do osady.

Nie wolno swego darować! Ludzie trzymają się własności do ostatka kurczowo, chociażby to była ich własna mściwość. Dlatego też gajowy, który był wprawdzie człowiek nerwowy i raptus, ale w gruncie dobroduszny, zaszedł do kowala Dubowicza, gdzie zawsze można było dostać samogonu, kupił litr i skierował się do Rojkiewicza. Zastał go w domu samego nad jakimiś rachunkami, które na widok gościa prędko schował do szuflady.

Rozmawiali zrazu o trudnościach w uzyskaniu przydziału drzewa opałowego i gajowy kiwnął głową na znak, że Rojkiewicz, jak chce, to może dostać parę metrów, a o cenę nie będą się spierać... Rojkiewicz stał się w ostatnich czasach człowiekiem milczącym. Podejrzewany, niebez racji, o tajny ubój i niedozwolony handel, unikał tematów drażliwych i był bardzo ostrożny. Gajowy wiedział też, co kosztowało Rojkiewicza uratowanie przed nacjonalizacją własnego domu, który jakkolwiek rozmiarami przekraczał kubaturę domu Dawidowskiego, uznany został, za sprawą Bożka, za niedokończony w budowie, a więc nie podlegający konfiskacie. Dom istotnie nie był oszalowany od strony podwórka, a część desek zwiezionych w tym celu leżała wciąż między stajnią i studnią.

Wypili litr przyniesiony przez gajowego i gospodarz postawił na stół drugi. Powoli, powoli, rozmowa, jakby samo przez się zeszła na Pawła i to, co po trzeźwemu mówić nie wypada, wypadło przy szklance samogonu. Rojkiewicz, czerwony na twarzy, wysłuchał, jak to było zeszłego lata, gdy gajowy znajdował się właśnie w obchodzie leśnym:

- Jak raz - opowiadał - Franek Dubowicza, kowala syn, był podkręcił się i szepnął, czy to czasem nie będzie, że ktoś drzewa piłuje na Zajęczym Uroczysku, co jego tak nazywają... Wiesz, Zajęcze Uroczysko, popod łakę Rukowskiego? - Rojkiewicz kiwnął głową. - Uhum, nu tak ja - ciągnął gajowy - poszed. Prawda, jeszcze za pałką jaką grubą obejrzał się, bo to jak raz sowieci broń kazali zdać i zabronili do lasu brać ze sobą... I poszedł ja, przyznać, nie od razu wprost, a obchodząc, krzakami, krzakami... Z boku, przez jagodniki takie, co tam są, aż tu raptem widzę... W rowku takim, pomiędzy czernicami schowawszy się byli i leżą...

Twarz Rojkiewicza pociemniała strasznie. Gajowy odchrząknął i zakończył:

- A fakt, że pilowali. Z Borkowszczyzny, dwóch. Rojkiewicz schował pod powiekami gorzejące

oczy, a wódka tętniła mu w skroniach.

- Ach, to taka sprawa... Ach, to taka sprawa... - powtarzał przez zaciśnięte zęby głośno, ale jakby do siebie samego. - Ach, to taka sprawa... - mówił i rękę leżącą na stole zbierał w pięść, gdy gajowy już zamilkł od dłuższego czasu.

Gość napełnił puste szklanki, ale Rojkiewicz, zdawało się, nie zauważył nawet tego ruchu zapatrzony w obraz, który dostrzegał oczami wyobraźni. Wahał się w wyborze zemsty, pomiędzy natychmiastową reakcją: siekierą czy nożem rzeźnickim w bok Pawła, a zemstą obmyśloną na zimno i wywartą z premedytacją na... Pawle? Na Weronice? - Działanie alkoholu, jak wiadomo, ma swoje przypływy i odpływy, porywa do rzeczy nawet niemożliwych w praktyce albo znów spala się raptownie w fantazji, opada ciężarem do nóg, wybucha raz szaleństwem, raz łzami. Nieszczęście ludzkie płynie po nim jak papierowa łódeczka porwana prądem rynsztoku miejskiego, bezwolne, bezsilne, kręcone po wirach, śmieszne. Czasem wylewa się ono jak wiadro pomyj, zaczepione niezdarną nogą pijaka: co było ukryte pod jakim zlewem, wypada wszystko na zewnątrz, na oczy ludzkie i sprzątając to po rannym wytrzeźwieniu, rzygać się chce podwójnie: i z ciała, i z duszy. Ech, wódka! Z głowy na język wyłazi taka prawda, do której by się w stanie trzeźwym nie przyznało nawet przed samym sobą. Czy Rojkiewicz nie wiedział dotychczas, że jego żona, Weronika, była kochanką Pawła? Ba, czy on nie wiedział? O tym fakcie w lesie na pewno nie, ale czy nie domyślał się w ogóle? Naturalnie, że się domyślał, a może nawet wiedział, nie chcąc wiedzieć? Raz nawet powiedział do Weroniki takie mniej więcej zdanie: "... a ty..., i jeszcze w takich czasach..." Zdanie, zdawało się na pozór bez początku i końca, ale swój sens miało. A teraz gajowy ten przyszedł i powiedział. Jego by nasamprzód butelką należało w łeb! Alkohol jednak znowu ciężko odpłynął do nóg i poczuł Rojkiewicz, jak strasznie nie na rękę, jak okropnie w poprzek ciężkiej drogi życia staje mu teraz wyznanie gajowego. Wypił haustem.

- I pomyśleć tylko - mówi gajowy - że tylu ludzi aresztowali, a zobacz, Wincenty, taka gadzina wolno chodzi, a?

- Wolno chodzi gadzina... - powtarza Rojkiewicz, ale która to jest najgorsza gadzina? Paweł? Weronika? Gajowy? Przetarł usta dłonią. - Mało, że wolno chodzi - powiedział - to jeszcze mało. Ale nawet aresztowali i wypuścili! - Porwała go czkawka. Poprzez czkawkę usłyszał, że gajowy pyta:

- Kogo?

- Jak: kogo?! Jego.

I nagle, jak to bywa w pijaństwie, obydwaj umilkli, obydwaj się zastanowili, obydwaj naraz zamyślili głęboko. Trudno ustalić, kto z nich pierwszy się odezwał:

- A może on..?

To padło samo przez się. Później znów milczeli. Później gajowy przerwał milczenie:

- Cholera jego wie! Prawda, Rojkiewicz, mówisz, że wypuścili...

- Wypuścili.

Obydwu opadła wątpliwość. Kto może zaręczyć? Wołali do gminy; mówili ludzkie, że aresztowany jakoby, ale jak tam było naprawdę? Może to wcale nie był areszt, a z porozumieniem? Rojkiewiczowi ta niespodziewana wątpliwość sprawiła podświadomie ulgę: coś jakby usprawiedliwienie za bezczynność, za brak doraźnego postanowienia, do którego poczuł nagle głęboką niechęć.

- Fakt, że wrócił.

- Fakt - powtórzył jak echo gajowy. - Tfu! - splunął - żeby jeszcze samemu w biedę nie popaść.

- Może tak wyjść.

Gajowy odwrócił głowę i w tej chwili spostrzegł przez okno Bożka idącego ulicą. - O! Bożek będzie wiedział najlepiej! - zawołał i wyskoczył, żeby go zaprosić.

Gdy Bożkowi zakomunikowano wątpliwości co do Pawła, w pierwszym odruchu zawołał zdumiony:

- Kto to powiedział?!

- Nikt nie mówił. Ale tak jakby wychodzi...

Bożek rozparł się na krześle, wyciągnął nogi przed siebie i już chciał wyrazić swoją autorytatywną opinię, gdy nagle coś go wewnętrznie tknęło.

- Bo widzisz, Bożek - plótl trochę skołowaciałym językiem gajowy - taka rzecz: ludzi, można powiedzieć, że nawet aresztowali. A ot, taka paskudztwa chodzi... Toż burżuj były, można powiedzieć, nawet kontrrewolucjoner, nie? A wychodzi tak, że nie wiadomo. Ot, my zamyślili z Wincentym... ale obacz, Bożek, żeby samym nie wyszło po głowie oberwać, a? Ty, Bożek, ja wiem, szczerzy chłopiec jesteś, a zobacz, jak wychodzi...

Bożek, nic nie odpowiadając, z namaszczeniem skręcił papierosa. Przyznać się jemu nie wypada, ale w rzeczy samej, co on wie? Nic on nie wie. Kto jemu, Bożkowi, co mówi? Nikt nie mówi. Wszystko odbywa się w tajemnicy przed wszystkimi. O taką rzecz bałby się zapytać Raczenkę nawet, a od Raczenki do tych, co na górze coś wiedzą, oho! daleko jeszcze... Prawda, że kazali śledzić i raporty składać, ale może umyślnie? A może i na niego, na Bożka, ktoś raporty składa? Bo jak zastanowić się, rzeczywiście Paweł strasznie zhardział. Innych aresztowali i trzymają, a jego wypuścili... Niepojęta rzecz: pożyczkę pytasz, czy na armię czerwoną zadeklarował? A on: nie! A teraz pomyśleć sobie: jeden w całej gminie na pierwszego maja flagi nie wywiesił! Znaczący plecy jakieś mieć musi. Sam przecie człowiek nie pójdzie głowy w pętlę wsadzać, to już na pewno. - Hm... - odchrząknął.

Tamci patrzyli mu w twarz, usiłując wyczytać z niej odpowiedź. Ale co im odpowiedzieć? On jest szefem trójki aktywu wiejskiego; władza, ale poza nim jest polityka. Księżdz też nie ruszają. No, prawda, ksiądz to jeszcze przeciw wszystkim tam prorocztwom występuje i ludzi do spokoju i pracy namawia, ale Paweł? Albo drugi taki, ten biały czort, leśniczy?... Wstał.

- Et, co tam po pijanemu z pustego w próżne bałbotać - powiedział odsuwając krzesło.

- Bożek, wypij jeszcze choć jeden - przymilał się z pijackim uporem gajowy. - Ja wiem, ty szczerzy chłopak jesteś.

- Nie mam czasu. Robota czeka. - Wyszedł prawie wyniośle, ale wewnętrznie zatroskany. Poszedł do kancelarii sielsowietu, otworzył z klucza swoją szufladę, przeczytał ostatni, jeszcze niedokończony, donos na Pawła o tym, że ten nie wywiesił flagi w dniu 1 maja, pokręcił go w grubych, chłopskich palcach. Szkoda mu było; dwa dni go kaligrafował, z trudem dobierając odpowiednie słowa... Nagle zdecydowanym ruchem podarł na drobne kawałki, chciał wyrzucić, ale później zgarnął na kupę i podpalił zapalką.

XXVII

Andrzej Bożek nigdy nie miał usposobienia wesołego. To mu z ojca poszło. Ale w ostatnich czasach widywano go wyjątkowo zachmurzonym. Nie dlatego że matka jego umarła tej zimy. Ludzie umierają o każdej porze, tym bardziej starzy. Później był pogrzeb z księdzem i do kościoła trzeba było iść, do którego już dawno przestał chodzić, naturalnie nieprzyjemne to było. Nie dlatego że na samego księdza donosy pisał. To już, ma się rozumieć, inna sprawa: życie prywatne jedna rzecz, a polityka druga rzecz, wyższa. Rozumiał to i rozróżniał. Donosy należały do czynności, jak się kiedyś wyraził uroczyście Czemołanow, "rozgromienia kontrrewolucji". Bożkowi podobał się ten wyraz "rozgromienie"! Mimo woli zaciśniesz pięść, wymawiając. Ale, ot, z ojcem zaczęły się

swary.

Stary Feliks Bożek, który z początku pochwalał i nawet dopingował swego jedyne syna w karierze, zaczął po śmierci żony, jak to się młody raz wyraził: nosem kręcić. W rzeczywistości jednak nie było to żadne kręcenie nosem, a wyraz zgorzknienia. Wcale też nie - jak sądził syn - od daty śmierci matki, a z innego przypadku, napozór tak błahego, że nikt by się nawet domysleć nie mógł.

W sąsiedztwie mieszkała niejaka Sowińska z trojgiem dzieci, żona byłego woźnego sądu okręgowego w Grodnie. Gdy bolszewicy przyszli, mąż jej został aresztowany i wywieziony do łagrów, nie wiadomo, czy pod Archangielsk, czy na, jak inni mówili, Kołymę. Ona sama wywędrowała i po długiej tułaczce zamieszkała kątem z dziećmi w tej osadzie zostawszy nędzną wyrobnicą. W najbliższym sąsiedztwie Bożków. Naturalnie stary gospodarz rozumiał jej położenie: z trojgiem nieletnich dzieci, bez męża. wśród obcych... Kilka razy pożyczył, to znaczy dał po prostu, mleka, innym razem chleba, jeszcze tam dwa-trzy razy wspomógł rozmaicie z własnej woli, gdy jeszcze nieboszczka żona, wieczny pokój, żyła. Ale wkrótce Sowińska sama zaczęła prosić i tym prośbom końca nic było. Ciągłe przychodzi, bywało, pożycz jej to, a to tamto; najpierw tylko z jedzenia, a później to gałęzi suchych, to wiadro, to donicę, to nieckę tam jaką, to znowuż mąki razowej. Stary dawał albo nie dawał, zależnie od humoru. Wreszcie niedawno zjawiała się: daj jej trochę kaszy gryczanej. I jeszcze powiada: "Gryka w zeszłym roku obrodziła pięknie". - Stary był właśnie rozdrażniony, bo mu szyna na kole pękła, a żelaza nigdzie nie było dostać. Stał nachylony przy wozie, obrócił się i zapytał ze złością:

- Ty ją siała?! Ty siała ją?! Grykę, a?!

Wtedy Sowińska niespodziewanie rozwarła gębę: - Ty, taki i owaki, stary chrzan! Kułak ty przeklęty! Ty co, myślisz, swoje bogactwo do grobu zabierzesz?! Znajdą się i na ciebie Sołowki! Nieboś, zabiorą i tobie, sukin syn ty, żeby ciebie z trumną zakopali! Czy ty jeden na ośmiu hektarach ostaniesz?! Taaak? Myślisz syn wyratuje? Taaak?!

- Ot, jak ja ciebie wraz z biczem po tej gębie...! - zachnął się Feliks.

- Spróbuj, spróbuj tylko biczem! Isz, pan jaki! Biedną kobietę biczem będzie straszył! Spróbuj! Zaraza! Myślisz, że ja tego gówniarza, twego syna, polękam się?! Pojedzie i on z tobą na Kazakstan! Teraz biednym ludziom nie ma się czego lękać kułaka!... - Wymachując pięściami wrzeszczała, aż załamywał się jej cienki, okropnie przenikliwy dyszkant. - Moje dzieci z głodu umierają! - Chustka spadła jej na ramiona, wiatr targał przedwcześnie siwiejącymi włosami.

Stary Bożek nie przestraszył się naturalnie, bo co jemu tam takie babskie krzyki: spływają jak woda po gęsi, ale w nagłym olśnieniu pojął coś, czego zdawało się dotychczas nie rozumiał: "Życie teraz na tym tylko zasadza się, że każdy nie sobie dobrego, a innym złego życzy". Gdy odeszła, myślał: "Prawda to, co mówiła, że jej lękać się nie ma czego. Co ona ma do stracenia? Nic, zupełnie nic. A on: wszystko."

Chodził posępny przez cały dzień, zaciskał szczęki, aż skóra grała na nieogolonych policzkach. Synowi nic nie powiedział o zajściu, bo szkoda nawet słów na takie głupstwo tracić, za to postanowił z nim porozmawiać o innym.. Bo prawdę też powiedziała Sowińska o tych ośmiu hektarach, że ich nie zostawia. Co ślepego udawać! Syn wyratował jakoś, wykręcił z nadmiernego podatku, ale czy na długo? - Toteż pewnego dnia ojciec odezwał się:

- Wziąłby ty jutro choć zabronować ta działeczka pod lasem.

- Nie mam jutro czasu - odparł szorstko Andrzej.

- A na co czas masz? Bronować, ale językiem w gębę? Samogon spijać, twój czas,

- To papka nie wie, że ja sekretarzem sielsowietu jestem?! Urzędnikiem jestem?! A jak trzeba było podatków umniejszyć, to pamiętał!

Stary przekroczył próg, stuknął drzwiami i na tym się na razie skończyła zamierzona rozmowa. W

złe uroki nie wierzył nigdy. Jemu, bywało, czarny kot czy zając choć tysiąc razy drogę przebiegnie, nawet uwagi nie zwróci. Ale mimo woli powierzysz, jak od czasu tego przekleństwa rzuconego przez Sowińską coś w nim jakby zapadło wewnątrz, załamało się. "Starość podeszła czy co? Może i starość. Ech, żeby nieboszczka żona, Panie świeć nad jej duszą, chociaż żyła!" - Tak sobie myślał. - A zresztą Andrzej może i miał trochę racji, że ojciec zmienił się od śmierci matki. To znaczy, może nie tyle on sam się zmienił, ile życie jego zmieniło się: nie było z kim życzliwym poradzić się. Sąsiedzi wprawdzie kłaniali się z respektem, ale wiedział, że to nie z życzliwości, a znowuż ze względu na syna.

W takich to okolicznościach zaszedł drugi wypadek, pozornie jeszcze błahszy od pierwszego: pewnego przedwieczoru, gdy syna nie było w chacie, Feliks wyszedł na ujadanie psa i zobaczył przed bramą nieznajomego. To znaczy nieznajomego z imienia, ale z wyglądu poznać go było od razu: kurtka miejskiego kroju, wytarta i połatana, a na tyle ciasna, iż widać, że nie na niego szyta; czapka cywilna z daszkiem; pod nią twarz spalona słońcem i wiatrem, poorana zmarszczkami niedoli; zarost na brodzie nie golony; spodnie sowieckie, watowane, koloru ochronnego, choć strasznie wypłowiałe i podarte; buty pod warstwą kurzu, ale również rozpoznasz: krótka miękka cholewa wojennego kroju rosyjskiego; w ręku patyk jak u włóczęgi. Jednym słowem niewprawne nawet oko oceni: zbieg albo dezterter. I nawet torba - chlebak wojskowy. Prosi wody popić albo i kawałek chleba zjeść. Stary Bożek wpuścił niechętnie do chaty, ale później odjął blachę z otworu pieca, wyjął stamtąd miskę wystygłego barszczu i również wystygłe kartofle, położył obok łyżkę i odchyliwszy leżący na stole, zawinięty w ręcznik bochenek razowca, powiedział:

- Jedz, kiedy głodny. Przybysz jadł, milcząc, łapczywie.
- Ty kto będziesz? - zapytał po dłuższej chwili gospodarz.
- Ja to? Ja, tak sobie. Pielgrzymuje.
- Ty by choć spodnie inne włożył, a to na wiorstę poznać.
- A skąd ich wziąć, spodni to innych.

Pomilczeli znowu i gospodarz widząc, że gość krępuje się samemu częstować chlebem, wziął nóż, odkroił kawał razowca i podsunął mu.

- Dziękuję - powiedział tamten.
- Z daleka sam?
- Z wołogodzkiej gubernii będę.
- Z miasta czy ze wsi?
- Z kołchozu. Na wojennej służbie był.
- Nu, jak tam - zapytał westchnąwszy czemuś gospodarz - tam życie u was?
- Jakie tam może być życie...

Stary Bożek nie pytał dalej. Wiedział przecie - co tu pytać? Jakie może być życie... Słusznie. Siadł na ławie po drugiej stronie stołu, wsparł się na łokciach i po dłuższej przerwie zmienił temat:

- Co mówisz, że pielgrzymujesz? Tak sobie tylko mówisz czy prawdę?
- A prawie, że i prawdę. Tu u was, niedaleko, mówią, w puszczy gdzieś, prorok objawił się. Ot, ja i chciałem pokłonić się. A dalej zobaczę.
- Aaa... - zdziwił się gospodarz. Ot, ty gdzie idziesz!
- Przyszłość, mówią, przepowiada?
- Nie wiem ja. Słyszałem tylko, jakoby cud ma zrobić. Zapowiedział jakoś na lato. Z kamienia ma woda trysnąć i później spod niego kobieta jakaś powstać. Prawdę ludziom obwieścić.

- Kobieta; co to królowa jakaś?
- Nie, zdaje się, tak prosto kobieta. Zresztą, ja nie wierzę.
- W Boga nie wierzysz?
- Nie w Boga, mówię, a w kobietę tę.
- Ja słyszałem, że ona wojnę ma zapowiedzieć.
- Może i wojnę, kto ją tam wie.
- Latem? To niedługo.
- A niedługo - odparł niechętnie stary Bożek i obydwaj spojrzeli w tej chwili w okno, w którym mignął cień przechodzącego człowieka. - Syn mój - objaśnił gospodarz.

Przybysz zamilkł.

Andrzej wszedł, na widok nieznanego stanął w progu, później odkiwnął mu bez słowa głową, obrzucił uważnym spojrzeniem i siadł w rogu izby skręcając papierosa. Wszyscy trzej milczeli. Ojciec nie patrzył na syna. Przybysz powoli kończył jeść. Trwało w ten sposób może pięć, może dziesięć minut, po czym Andrzej wstał i znów bez słowa wyszedł z izby. Teraz ojciec podniósł głowę i patrzył przez szybkę chaty. Syn szedł drogą w kierunku osady. Chata Bożków leżała na uboczu w odległości jednego kilometra od osady. Andrzej chodził tą drogą czasem po kilka razy dziennie. Poszedł i teraz. Ale stary w tej chwili pomyślał: "To nie jest tak, że godność ludzka nie ma żadnego znaczenia. To nieprawda. Owszem godność, ona jest. Sumienie, a jakże". Wstał.

- No, bracie - zwrócił się do gościa - u mnie nocować, to nie będzie gdzie.

Tamten, czy to zrozumiał od razu, czy wiedział z doświadczenia, czy się domyślał, dość, że uniósł się z ławy bez zdziwienia, bez urazy, ruchem naturalnym zabrał czapkę, kij i torbę, pożegnał się grzecznie, podziękował i dopiero na ganku spojrzał pytająco na gospodarza.

Stary wskazał palcem:

- W ten laszek i prosto, prosto. Aż do rzeki. Ale na drogę nie wychodź później. Wolej pomęczyć się rojstami.

Po niedługim czasie Andrzej wrócił. Sam wrócił. Rzucił czapkę na łóżko, rozejrzał się po izbie, nic nie powiedział. I oto stary ucieszył się nagle wewnątrz i wzruszył. Niedużo brakowało, a miałby łzy w oczach. Czegoś podobnego z nim przedtem nigdy nie bywało! I o co? Że syn wrócił sam?... Z niespodziewanym dla samego siebie rozrzwinięciem powiedział:

- Ty by, synku, jednak uważał. Nie zaprzedał się tak za wszystkim, z sumieniem swoim.
- Co to papko zaczął teraz... Nie ma czego nosem kręcić. Ja wiem, co robię.
- Kolację jeść będziesz? - zapytał miękko ojciec.
- Nie głodny. - I niby sobie przypominając: - A ten człowiek, poszedł dokąd?
- Poszedł. - Stary mimo odmowy syna, zaczął odgrzewać barszcz. Ciężko bez kobiety w domu, dlatego może westchnął. - Poszedł. Mówił, że do miasta idzie. A zresztą, Bóg święty jego wie.

W kilka dni później, idąc drogą spotkał Sowińską, która śpieszyła dokądś z pustym dzbanem. Już miała go wyminąć, naciągnawszy chustkę na czoło, gdy stary zatrzymał się i patrząc w inną stronę pogrzebał patykiem w piasku.

- Przychodzić - powiedział w trzeciej osobie - po mleko dla dzieci. I może podejmie się roboty w domu? Przy gospodarstwie?

Sowińska nic nie odpowiedziała, przeszła mimo z zaciśniętymi ustami. Nazajutrz jednak o świcie zjawiła się u Bożków: "Podoić krowy?" - zapytała.

- No, tak, trzeba - odparł gospodarz.

XXVIII

Jeszcze dnia 25 kwietnia ludowy komisarz bezpieczeństwa państwowego, starszy major Gładko w, wydał za nrem 0023 ściśle tajny rozkaz w przedmiocie przyśpieszenia ewidencji wrogiego elementu w republice. Dla usprawnienia tego bojowego zadania, którego celem ostatecznym ma być rozgromienie kontrrewolucji, wyłoniona została przy 2 oddziale NKGB grupa operacyjna w składzie następującym: 1) zastępca naczelnika 2 oddziału, lejtenant bezpieczeństwa państwowego, towarzysz Miedwiediew, 2) pełnomocnik operacyjnego wydziału KRO, towarzysz Jerycho, 3) pełnomocnik operacyjnego wydziału SPO, towarzysz Godliauskas, miejscowy komunista litewski, wyniesiony do tej godności ze względu na zasługi dawne, jak też obecne zaufanie, które sobie zdobył.

Praca zakończona być miała w tempie przyśpieszonym. Wydano szczegółowe instrukcje, z dołączonym spisem kategorii osób podlegających w przyszłości masowej deportacji lub aresztowaniom. Wymieniał on wszystkie narodowości i wyznania zamieszkującej kraj ludności, precyzując w dziesięciu rozdziałach dawne partie, stronnictwa, ugrupowania polityczne, społeczne, religijne, organizacje, zawody, stany zamożności itd. Kodyfikatorka sekretariatu NKGB, towarzysza Siemiechina, jak zawsze położyła swój równy podpis na poszczególnych egzemplarzach okólnego rozkazu.

W trosce o bezpieczeństwo komisarz Gładkow uznał za konieczne podjęcie akcji uspakajającej w terenie. W tym celu towarzysz Jerycho delegowany został do miejskiego komitetu partii dla omówienia organizacji wielkiego wiecu, na którym w myśl sugestii towarzysza Gładkowa przemawiać mieli głównie ludzie miejscowi. Wiec ten został wyznaczony na piątek, 23 maja, i odbył się zgodnie z programem. Zagaił go w krótkich słowach sekretarz komitetu miejskiego, następnie zabrał głos członek prezydium, młody żydowski buchalter byłej prywatnej huty szklanej "Kac i Syn", wreszcie wystąpił Karol.

Karol mówił nie tylko o wspomniałych, historycznych dniach największego w dziejach przełomu, o dumie, jaką każdy odczuwać powinien uświadamiając sobie, że jest naocznym ich świadkiem, - "Nie, towarzysze!" - wołał z mocą. - "Nie, obywatele! Nie jest tak, jak to się może niektórym z was zdawać, że się czyni różnice pomiędzy obywatelami różnych kategorii! Wielka rodzina narodów wolnych, pod wodzą najgenialniejszego ... itd. ...Józefa Stalina, jest przybytkiem ludzkiego szczęścia! Związek Radziecki jest zarazem najbardziej tolerancyjnym ze wszystkich ustrojów świata!... Związek Radziecki nikogo nie odtrąca, na nikim się nie mści! Bratnią rękę wyciąga do każdego... itd. .! Tylko podli agenci obcych wywiadów, tylko płatni lokaje plutokracji i kapitalizmu rozpuszczają mogą nikczemne plotki, siejąc niepokój. Nie słuchajcie szpiegów i prowokatorów! Nikomu nic nie grozi! Nic się nie stanie na tej ziemi, czego byście sami nie pragnęli, do czego by serce wasze nie rwało się w radości. Każda najmniejsza troska wasza odbija się troską naszego drogiego Stalina, który czuwa nad naszym dobrem, któremu zaufać możemy bezgranicznie!..."

"Towarzysze! Wdzięczni jesteśmy z całego serca i dziękujemy na tym miejscu, nie po raz pierwszy już, ale też nie przestaniemy dziękować do końca dni naszych, wybawicielowi, stwórcy naszego szczęścia, Józefowi Stalinowi! Niech żyje!!"

"Niech żyje!!" - powtórzył za nim gromko i jednocześnie tłum wypełniający salę miejską.

Towarzysz Jerycho powrócił tego samego dnia do Kowna na nadzwyczajną tajną konferencję operacyjnej trójki, którą wyznaczył był Gładkow. Towarzysz Miedwiediew przedstawił trudności, na jakie napotyka przyśpieszone tempo ewidencji takiej masy ludzi. Jerycho, zmęczony podróżą, milczał. Godliauskas nawet ziewnął kilka razy. W istocie, nie można się było im dziwić. Przepracowani w ciągu ostatniego miesiąca, ledwo mieli czas odespać po kilka godzin na dobę. Gładkow nie przerywał sprawozdania i dopiero gdy Miedwiediew skończył, wstał, obciągnął na

sobie mundur, przeszedł się dwa razy po gabinecie i usiadłszy z powrotem za swoim stołem, zabrał głos:

- Rząd Związku Sowieckiego, komisariaty NKWD i NKGB oraz, jak mi wiadomo, osobiście towarzysze Stalin włożyli na nas wzniosły obowiązek oczyszczenia republiki od wrogiego elementu. To wielkie polityczne zadanie wypełnić możemy tylko - tu położył nacisk - posiadając dobrze zorganizowany aparat operacyjnej ewidencji. Dotychczasowa praktyka wykazała, że ogromna ilość ludzi na terytorium naszej republiki, a w tej liczbie wybitne jednostki kontrrewolucyjnego aktywu, znajdują się wciąż jeszcze poza zasięgiem i kontrolą NKGB. Tak dalej być nie może - podniósł głos. - Stwierdzając niezadowolający dotychczas stan operacyjny ewidencji, oświadczam w formie najbardziej kategorycznej, iż stanu podobnego tolerować nadal nie zamierzam. - W tym miejscu stuknął lekko otwartą dłoń w blat stołu. - Towarzysze Miedwiediew przedkłada mi tu trudności w zwerbowaniu konfidentów i rozpracowaniu roboty agencyjnej w terenie. Pozwolę sobie zwrócić mu uwagę, że sprawa nie jest nowa, a przeciwnie, mieliśmy dużo czasu do pokonania tych trudności. Znany wam rozkaz NKWD SSSR za nrem 001223, datowany jest jeszcze 11 października 1939 roku, a dotyczył wszystkich terenów, które zaczęliśmy oswobadzać spod jarzma kapitalistycznego, jak również odnosił się do osób niezależnie... "Niezależnie", towarzyszu Miedwiediew, od konkretnych danych o ich antysowieckiej działalności, a więc do przeogromnej większości mieszkańców, masy mieszkańców. Rzecz zatem musiała być przewidziana w jej rozbudowie. Nie może być tłumaczenia, że nie odnosił się do naszej republiki, wówczas jeszcze nie oswobodzonej. Tym bardziej że ponowny rozkaz NKWD SSSR za nrem 001530 wydany został 9 grudnia 1940 roku, a dziś, dziś, towarzyszu Miedwiediew, mamy już drugą połowę maja 1941 roku!... Komisarz związkowy NKGB, towarzysze Merkułow, ma prawo oczekiwać od nas, że cała ta robota przygotowawcza dawno już jest wypełniona, a ja... oczekuję z dnia na dzień rozkazu towarzysza Merkułowa do rozpoczęcia akcji. O ile mi wiadomo, przewidziana była właśnie na maj. W takiej sytuacji raport wasz, towarzyszu - tu pobieżnie obrzucił wzrokiem wszystkich trzech - jest dla mnie absolutnie nie do przyjęcia. Świadczy o fałszywym podejściu do pilnej sprawy i nie znajduje żadnego usprawiedliwienia. Przewidując trudności, o których teraz wspominacie, zaproponowałem przedłużenie terminu do 1 czerwca, ale ani jednego dnia dłużej. - Sięgnął po papierosy, poczęstował zebranych, zapalił i puścił długą strugę dymu w kierunku okna zawieszonego ciężką portierą.

-Ale... - odezwał się, korzystając z przerwy towarzysze Godliauskas. Tamci dwaj spojrzeli na niego.

- Chwileczkę - przerwał mu Gładkow. - Nie skończyłem. Teraz inna sprawa. Sprawa konspiracji i sprawności wykonania. Nie potrzebuję tu robić wykładu na temat światowej sytuacji politycznej. Związek Radziecki otoczony jest wciąż wrogami zewnętrznymi, którzy podtrzymują wrogów wewnętrznych. Rozgromienie kontrrewolucji wewnętrznej budzi zawsze szerokie echa wśród kontrrewolucji zewnętrznej, czyhającej, aby przy byle okazji puścić swą nikczemną i podłą kalumnię w ruch, skierowaną przeciw narodom postępu i pokoju. Nie może być dla nas tajemnicą, że akcja oczyszczająca tereny z elementu reakcyjnego wywoła nową falę potwarzy i oszczerstw za granicą. Jakkolwiek czujemy się dość potężni, aby odeprzeć każdą z kolejnych kalumniatorskich nagoniek, to jednak biorąc rzeczy realnie, nie podobna zaprzeczyć, że ten wrzask zagraniczny przynosi nam szkodę. Zadaniem wykonawców rozkazu towarzysza Stalina musi być wykonanie ich w sposób możliwie oszczędzający nam szkód. Dlatego pierwszym warunkiem jest: konspiracja. To, co powiedziałem o wrogach zewnętrznych, w jeszcze większym stopniu odnosi się do wrogów wewnętrznych. Jeżeli ze względu na machinacje zewnętrzne wskazana jest konspiracja, dziesięć razy bardziej wskazana jest ona ze względów wewnętrznych. Orientujecie się zapewne dostatecznie w nastrojach panujących w terenie. Są one, dzięki kreciej robocie wrogów ludu, dalekie jeszcze od doskonałości. Dlatego więc zarówno znana wam instrukcja towarzysza Sierowa, jak wszystkie inne rozkazy i okólniki ludowego komisariatu bezpieczeństwa, zalecają nie tylko bezwzględną konspirację w działaniu, ale nade wszystko utrzymanie kraju w zupełnym spokoju i za każdą cenę, niedopuszczenie do żadnych wyskoków i awantur. - Gładkow przetarł sobie dłoń oczu, czoło, po czym przesunął nią po włosach w tył głowy.

- To zrozumiałe - odchrząknął Jerycho - ale okólnik towarzysza Sierowa mówi wyraźnie, ażeby

transport deportowanych na dworce kolejowe w każdej miejscowości odbywał się wyłącznie przy świetle dziennym. Otóż, czy...

- Czy to nie stoi w sprzeczności z zasadą konspiracji? - podchwycił Gładkow. - Proponuję zastanowić się wam nad moimi ostatnimi słowami: "Utrzymanie spokoju za każdą cenę." "Konwojowanie w nocy takiej masy aresztowanych pociągnęłoby za sobą niewątpliwie próby ucieczek, oporu, a nawet próby odbicia ze strony antysowieckiego aktywu. Mogłyby nawet paść strzały czy dojść do jakichś zaburzeń, bo noc jest zawsze elementem sprzyjającym działaniu sił ciemnych. Nic możemy do tego dopuścić. Nie stać nas na takie ryzyko. Znajdujemy się jeszcze na terenie podminowanym przez zjednoczony blok wszelkiego wsteczństwa. W takim stanie wystarcza, jak wiadomo, zapalka do podpalenia beczki prochu.

- Ależ - wtrącił szczerze zdziwiony Godliauskas - mnie się zdaje, że naród jest dostatecznie uległy... To jest, chciałem powiedzieć... Mamy dostatecznie karne, uświadomione... - Poczerwieniał zawstydzony, że nie potrafił od razu dobrać odpowiednich słów do właściwego zdefiniowania tego, co chciał wyrazić.

Gładkow uczynił ruch zniecierpliwienia, że mu przerwano, chciał przejść do porządku nad uwagą, ale już się zatrzymał i po chwili, gdy inni milczeli, wystukując palcami po stole, wycedził z odcieniem sarkazmu:

- Słusznie zauważyliście, towarzyszu, że wam to się tylko tak zdaje. Gzy wyście przebywali kiedykolwiek w terenie w głębi Związku Radzieckiego? - I nie czekając odpowiedzi cedził dalej każde słowo. - To byście się przekonali, jak powinno wyglądać właściwe uświadomienie mas... - Po czym zwrócił się do Miedwiediewa. - Tymczasem, na przekór tej niezbędnej zasadzie utrzymania spokoju za każdą cenę, dopuszcza się u nas nawet do tworzenia band leśnych! W powiecie rakiskim operuje biała banda jakiegoś byłego oficera litewskiego, którego nazwiska dotychczas nie zdołano ustalić! Przyznacie, że to jest niesłychane! W mariampolskim powiecie doszło do takiego skandalu, że zamiast zlikwidować bandę miejscowych kułaków, niejakich braci Rymas, po cichu i przez agentów - dokonano obławy leśnej, przy tym obydwie oddziały NKGB i milicji postrzelały się wzajemnie w ciemności, podczas gdy białobandyci uciekli. W innym miejscu kontrrewolucjonista skacze przez okno głównego gmachu NKGB, wali butem w twarz śledczego, nie potrafią go ująć i strzelają za nim po ulicy, a w dodatku nie trafiają! Podobne incydenty nie mogą być nadal tolerowane! I nie będą! W terenie musi panować spokój - wstał - cisza!

Cisza, cisza wokoło. Ledwo dosłyszalnie szemrze trzcina nad ruczajem, przy jakimś stawie, przy jakimś młynie, który śpi wśród wierzb, kwadratowy i czarny w cieniu. Zastawy spuszczone, płaszczyzna wody odbija księżyc w pełni; śpią ptaki, ryba nie pluśnie, pies nie szczeka. Tylko krople z młyńskiego koła spadają miarowo i monotonnie: kap--kap-kap-kap-kap-kap... Śpi kułak, wróg narodu; śpi po chlewach i stajniach prywatny dobytek chłopów, łańcuch nie brzęknie przy kantarze. Śpi rosa nocna na końcach traw, na kłosach niedojrzałych zbóż, zastygła w blasku księżyca, a droga wiedzie przez lasy i pola, po grobli, między młynem i wsią.

- Zgaś reflektory - mówi do szofera towarzysz Godliauskas. - Taka jasna noc.

- Prawda, że jasna. A ot, świerszcze, to one chyba nigdy nie śpią.

Słuchali przez chwilę. Cicho idzie po kraju maszyna. Nowa. Świeci lakierem, odbija światło księżyca. Nie skrzypnie karoseria. Do czego to dożył, do jakich zaszczytów syn chłopski w rodzinnej ziemi! Rozmarzył się na miękkich, skórzanych poduszkach, zapatrzył w noc letnią. Już niedługo jedna taka noc i jeszcze jedna... darowana ludziom noc.

Noc. W noc na 31 maja 1941 roku, pod "ściśle tajne", za numerem bieżącym 4/4/9174, Moskwa, plac Dzierżyńskiego 2, wystukano następującą, krótką treść:

"Do Ludowego Komisarza Bezpieczeństwa Państwowego Litewskiej SSR, starszego majora bezpieczeństwa państwowego, towarzysza Gładkova, miasto Kowno.....

.....Ludowy Komisarz Bezpieczeństwa Państwowego Związku SSR - towarzysz Merkułow -

ROZKAZAŁ:

Antysowiecko nastrojone osoby przygotować do wysiedlenia w oddalone miejsca Związku SSR. Zawiadamia się dla wykonania.

Zastępca nacz. 3 urzędu NKGB SSSR, kapitan bezp. państw.

Szewielew

Nacz. 4 oddziału 3 urzędu NKGB SSSR, kapit. bezp. państw.

Rodionow"

Dokument przechodził odnośne koleje mocy prawnej. Dopiero dnia 4/6741 otrzymał w rogu na lewo odręczną notatkę:

"Tow. Dembo. Wykonać. Gładkow".

Minęły jeszcze cztery dni i cztery noce. Pod tą notatką powstała druga:

"Tow. Szepielow.

1) wydałem instrukcje powiatom

2) wypracować na operacyjnej odprawie szefów jednostek.

8. 6. 41. Todesas"

A w tę noc, w którą właśnie wytelefonowano towarzysza Godliauskasa z prowincji, aby przybył natychmiast, na dokumencie położona została pieczętka podłużna:

"2 oddział Urz. Bezp. Państw.

NKWD LSSR - Otrzymano: 10. 6. 1941

Nr wpływu 2/2485"

- No, i po co, no, i po co! - zakrzyknął do szofera wyrwany z marzeń przez raptowne zapalenie reflektorów.

- Tu, towarzyszu, jar taki ciemny zapowiada się. Nie widać będzie.

- Ech, ślepotą ty nieszczęsny! - i odrzucił się całym ciałem na poduszki skórzane.

Droga w jarze szła pod górę, trzeba było zmienić biegi, samochód zaryczał zlekka. Na górze u wylotu drogi stała samotna chata. Słup reflektorów buchnął, uderzył w okno, poleciał po ścianie przeciwnie, po świętych oleodrukach.

- Mama! Maaama! - krzyknęło w chacie dziecko, obudzone raptownie strasznym widziałem.

- Cccicho... śpij, śpij. - Kobieta uniosła się, oparła na zgiętym łokciu, wstrzymała dech w piersiach. Samochód wleciał na górę, minął, zgasł. - Śpij, śpij spokojnie.

XXIX

Lato, lato! Czasem przychodzi taka myśl do głowy: gdybyż to człowiek był w stanie zielenią liści i zielenią traw do tego stopnia napchać sobie pełne oczy, urozmaicić kolorami kwiatów, zgarnąć do tego z powierzchni rzeki promienie słońca, a później zacisnąć ten obraz pod powiekami, zachowując w wieczność, która go czeka pod ziemią! Ale nie jest w stanie. Pejzaż jak deszcz spływa po wierzchu; przechodzą chmury, przechodzą obłoki po niebie, a oczy zasze bielmem śmierci nigdy... słyszycie to słowo: nigdy! widzieć już ich nie będą.

Bardzo trudno jest pojąć taki stan rzeczy. Trzeba by się długo zastanawiać, a wiadomo - nie każdy

ma czas po temu. A zresztą, zamyślisz się, od tego głowa boli. Po co w takim razie wszystko? Po co pszczoła leci po łące i: "bzzzz..."? podaje głos. Po co motyl? Po co skowronek nad głową, a? Ale: wszystko, wszystko na świecie? Po co?

- Ot, ty mnie powiedz, Oluk, czy Bóg, w końcu, jest, jak ksiądz prawi na ambonie, czy nie?

- Dlaczego: nie?

- A dlatego, że widzisz, choćby teraz... - nie dokończył. Furmanka podskoczyła na kamieniu leżącym w koleinie i mówiący zamilkł, raptownie wstrząśnięty. Oluk przytrzymał konia. Od kościoła ludzie liczyli z osiem kilometrów wyboistej drogi. Lata całe jeździli nią tam i nazad, zawsze podskakując na tych samych kamieniach, ale nie było wypadku, żeby który zlaźł z wozu, odrzucił kamień na bok. Pewnie, że żelazo na obręcze drogie, szkoda gadać, o kamienie się ściera, ale - wszyscy jadą. Na samotnym świerczku przydrożnym siadła siwowronka, kolorowa, rajski ptaszek północnych lasów. Oluk zapatrzył się na nią i rzekł sennie:

- Ksiądz - to, wiadomo, człowiek... A Bóg jest.

- To i bolszewiki ludzie.

- Ludzie, tylko nie wiedzą, po co żyją.

Wracali właśnie ze wsi kościelnej do domu, do Popiszek. Oluk Smolski, liczący lat osiemnaście, i jego przyjaciel, Franek, starszy odeń lat kilka. Lejce teraz leżały wolno w rękach Oluka, koń sam, znając drogę na pamięć, wracał chętnie, można było nim nie kierować. Franek spojrzał na siwowronkę, która przeleciała w tej chwili do byłego dworskiego brzeźniaka. Pomyślał i odpowiedział:

- Bolszewiki! Bolszewiki chcą niby to dla drugich żyć.

- A ty czemu dla drugich nie żyjesz?

- Dlaczego, czemu?... - I Franek szukał słów repliki, z lekka otwarłszy usta.

Wtedy Olkowi przysła myśl do głowy:

- Nu, na przykład, kamień leży w koleinie. Ty nie potrudzisz się, żeby z wozu zleźć i na bok odrzucić. Dla siebie nawet, a co tu i mówić o innych.

- A dawaj, stań! Ot zlaźła i wyrzuca. Prrr! - zawołał nie czekając i przerzucił nogi poza drabinkę. Oluk odwrócił się za Frankiem, patrząc, jak poszedł, nachylił się, wydobył kamień i rzucił nim w pole. Z miejsca, gdzie padł, zerwał się skowronek, nisko, milczkiem przeleciał i zapadł opodał. Franek wrócił. "Nooo!" - mruknął Oluk. Koń zakołysał duhą, skrzypnął hołoblami i pociągnął. Przyjaciele milczeli.

Coś jakby się poruszyło wewnątrz Smolskiego "Dla drugich" - myślał. "Chrystus dla kogo umarł na krzyżu świętym!.." Podskoczyli na następnym kamieniu, ale już nikt nie zlaźł, by go usunąć. Żeby tak każdy kamień z drogi, do wieczora nie wróciliby do chaty. Rzecz naturalnie nie w kamieniach. Począł nagle mówić, a jego ospały zazwyczaj głos nabrał ognia, jakby to on sam kazał z ambony:

- Ani żadnego sowieta jeszcze nie było, kiedy Chrystus mówił, że dla drugich trzeba żyć. Kochaj, mówił, bliźniego, jak siebie... Ot, jak mówił.

Franek nie odpowiedział, bo i prawda, że tak było.

- Cudy tworzył!...

- A czemu to teraz cudów nie spotyka się?

Tego Oluk nie wiedział, czemu. Ale wyraźnie odczuł, że gdyby do tego doszło, wszystko na świecie by się odmieniło. Z kolei on nie znalazł na poczekaniu odpowiedzi, znów się zamyślił i dopiero podjeżdżając do pierwszych sosenek lasu, z wypiekami na policzkach, które mu wystąpiły podczas rozmowy, powiedział głośno, ale na wpół do siebie:

- I cudy będą, nie bój się.
- Chyba, że obaczę.
- A ot, obaczysz! - i targnął lejcami.

Więcej tematu nie poruszali. Zresztą, dla Franka był on dosyć obojętny. Już w opłotkach wsi, spoglądając z wozu na pełne kłęby konia, zauważył tylko:

- Tłusty on u was.
- To mama - odparł Oluk - kartofli jemu do mieszanki dosypuje. Tłusty, ale poci się.

Działo się w pełni zeszłego lata 1940 roku. A jesienią, w październiku, zdaje się, zaszedł z Olkiem pierwszy przypadek.

Oluk był jedynakiem. Mieszkał z matką, owdowiałą od lat kilku. Pieściła go, gdy był mały, a po śmierci męża otoczyła jakby podwójną miłością i tak delikatnym obejściem, że aż ludzie się dziwili. Nigdy nie mówiła: Oluk, zawsze: Oluczek. Sam był on raczej słabowity, blady, wydawał się czegoś stale zaspany, powolny w ruchach i nierobotny. Ziemi mieli sześć dziesięcin starej miary, w tym dziesięcinę łąki nad rzeką Solczą, zaraz za ogrodem. Chata ich stała wprawdzie pośrodku wsi, ale w miejscu gdzie główna ulica tworzyła duży ni to plac, ni to majdan. Być może, w bardzo dawnych czasach stał tu kościół albo karczma, tego najstarsi ludzie nie pamiętali ani nie słysząc było, żeby kto opowiadał. Jak pamięć sięga, zawsze łąziły po tym placu świnie czarne albo w czarne łaty, o długich ryjach i skąpym tłuszczu, typowa puszczańska poroda spokrewniona z dzikiem. Chodziły też gęsi, szczypiąc latem trawę, a w okresie słoty babrząc się w biocie. Popiszki nie były biedną wsią.

Chata Smolskiej leżała na północnym skraju placu. Koło ganeczka posadzone miała kwiaty i parę łodyg chmielu. Po drugiej stronie, za obejściem gospodarskim, zaczynała się łąka aż do Solczy. Dalej, już nad samą wodą, szpaler olch. A na tamtym brzegu jeszcze kawał trawy i już dalej - tylko puszcza i puszcza.

Stara Smolska, gdy trzeba było, najmowała robotnika, a do syna mówiła:

- Oluczek, ty rzuć ta robota. Odpocznij trocha.

Tak i żyli. Pola ciągnęły się w kierunku południowym. Gdy się odjechało nimi z kilometr-dwa i obejrzeć było wstecz, na północ, to jakby patrzysz na czarno-zielono-siny grzebień: tak rysowała się ściana świerków na niebie; niebie raz błękitnym, częściej białym jak wata.

Oluk miał własną, małą izdebkę. Nad jego łóżkiem wisiał nieduży krzyż na ścianie. Zwyczajny krzyż z drzewa, pobejcowany na ciemny brąz, z przybitym doń małym metalowym Chrystusem. Wypadek zaszedł w południe, w niedzielę. Matka wróciła do kuchni z udoju, zaczęła coś mówić do syna przez otwarte drzwi a nie było odpowiedzi. Odstawiła cebra i wycierając ręce w fartuch zajrzała do izdebki. - Wraz będzie obiad - powiedziała do samej siebie głośno. - Wyszedł czy co?...

A on stał pośrodku, trzymając uroczyście jak na procesji krzyż zdjęty ze ściany. Twarz miał siną jak u topielca, nalaną, oczy w słup, mętne; źrenice uciekły pod górne powieki, białka wyglądały strasznie; na czole krople potu. Stara krzyknęła okropnym głosem, rzuciła się doń.

- Oluczek! Synek! Co tobie, Matko Przenajświętsza! Stał jak drewno. W rogach ust ślina. Chciała mu wyrwać krzyż z ręki, ale zaciśnięty był w pięści, jak w kleszczach.

- Oluczek!... - I nagle usłyszała jego głos, jakiś zupełnie obcy głos. Później już, opowiadając, określiła: "Jakby kto głowa do beczki pustej, przykładem po kapuście, wsadził i mówił: "Boga widzę, Boga widzę..."

Gdy na krzyk i nawoływania starej Smolskiej zbiegli się do chaty ludzie, jeszcze po upływie pół godziny Oluk stał w tej samej pozycji dzierząc krzyż i bełkotał. To, że mówił: "Boga widzę", można

było jeszcze wyrozumieć, ale inne słowa padały bez żadnego związku; między innymi często słowo "kamień". Ludzie stali, patrzyli, ci z tyłu pchali się, napierali, szeptali między sobą. Baby zaczęły już doradzać półgłosem, jedna, żeby zioła zaparzyć i dać wypić, inna, żeby posypać węgle i "odkurzyć"..., gdy nagle głos Olka nabrał wyrazistości.

- Tsss!... - obruszyli się na baby obecni.

Wtedy padła z ust chłopca owa przepowiednia, która utrzymała się do końca, później uzupełniana, ale nie

zmieniona:

"Odwali się kamień... Z niego woda tryśnie... Powstanie kobieta od siedmiu wieków pod nim pogrzebana... Cud... W czerwcu..."

Uroczystą chwilę przerwał Olszewski, ojciec Weroniki, zamieszkały na skraju wsi, który półgłosem podsunął pytanie:

- A którego to mianowicie czerwca?

Oluk zachwiał się po tym pytaniu, ale utrzymał na nogach. Po chwili z głębi gardła wydobył:

- Siedemnastego...

Następnie zemdłał, sztywność ciała przeszła. Ułożono go do łóżka, krzyż powieszono z powrotem na ścianie i rzeczywiście napojono ziołami.

Od tego dnia jeszcze kilka razy zachodził z nim podobny wypadek i wieść o nich nabrała rozgłosu. W końcu miesiąca wybrała się stara Smolska do księdza.

Proboszcz najpierw kazał czekać, a później przyjął ze zmarszczonymi brwiami, nieprzyjaźnie. Doszły do niego już te słuchy.

- Do doktora trzeba zawieźć - powiedział sucho.

Stara pocałowała go w rękę i westchnęła chytrze:

- Takim czasem. Droga teraz nadto kiepska... - Później próbowała tłumaczyć, że nie wiadomo, czy "to" dzieje się u niego od wewnątrz, czy "to" od tego krzyża. Bożego jeżeli drugi jaki krzyż weźmie do ręki, to nic. A jak tylko ten ze ściany, to jakby w nim jaka siła... niebieska - dodała i zamilkła zmieszana.

Ksiądz słuchał wciąż ze ściągniętymi brwiami i w końcu obiecał przyjechać, odwiedzić i krzyż zobaczyć.

Ksiądz jednak nie przyjechał wkrótce, jak był obiecał. Chciał widocznie rzecz odwlec, zbagatelizować, słusznie sądząc, że swoim nagłym przyjazdem może jej tylko przydać wagi. "Chory chłopiec" - zbywał. Przyjechał dopiero w listopadzie, i to nie do wdowy Smolskiej, a wezwany do umierającego starego Władysława, też Smolskiego, ale nie krewnego. Władysław i brat jego, Konstanty, choć starzy już, prowadzili wciąż wspólną gospodarkę, łącząc ziemię pozostałą im po ojcu, w rzadkiej zgodzie. Proboszcz wypowiadał umierającego, udzielił ostatnich sakramentów, pomodlił się krótko i wkładając futro w drugiej izbie, zapytał Konstantego:

- Od czego to brat zachorował?

- Prawda to księdzu powiedzieć, to i nie wiadomo, od czego.

A rzecz się tak miała: bolszewicy urządzili sobie w samym środku puszczy, na wielkiej przestrzeni pasiek*), powstałych po pożarze lasu, akurat w połowie drogi między Wisińczą i Rudnikami, stały poligon lotniczy, gdzie ćwiczili w rzucaniu bomb z samolotów. Zrzucanie bomb na las nie wydało się nikomu dziwne, raczej normalne w kraju przywykłym do tyłu przemocy: "Wiadomo, nie ich..." Otóż stary Władysław powłókł się był czegoś do puszczy i popadł pod bomby. A później, jak wrócił, zległ i więcej nie wstaje.

- Więc jakże to tak: "nie wiadomo" mówisz. Odłamek go trafił?

*) "Pasiekami" zwa w tych stronach: poręby.

- Nie, żeby oskołka, to ani śladu.

- To może od wybuchu, od powietrza?

- Chyba że od powietrza.

- Najpewniej, proszę księdza, to z przestraszenia będzie - wtrąciła żona, wycierając chustką suche oczy.

- A czego on tam łąził po puszczy, kłusownictwem może zajmował się?

- Zdaje się, nie słyszał było - odparł brat.

Baba wpadła natychmiast w rozmowę, szybkim terkotem zaklinając, że i strzelby nigdy u nich nie było, a dzisiejszym czasem, przy sowietach, niech Bóg uchroni, żeby mieć w chacie, to nawet straszno pomyśleć.

- Niech będzie pochwalony... - przerwał jej gadaninę ksiądz, zabierając się do wyjścia. ("Na wieki wieków", odpowiedzieli oboje). - A jak mnie stąd przejść do Smolskiej, wdowy? - zapytał schodząc po płaskich kamieniach, zastępujących stopnie ganku. - Może przeprowadzisz - dodał od niechcenia, podkreślając w ten sposób, że do wizyty nie przywiązuje większej wagi.

Obejrzał izdebkę Oluka, zdjął krzyż ze ściany, obrócił go w rękach parę razy, powiesił z powrotem na gwoździu, przeżegnał, powiedział kilka słów do obecnych i wyszedł do swojej furmanki, która podjechała pod ganeczek.

Na dworze panowało słońce po społu z wiatrem jesiennym i padały długie cienie. W listopadzie zawsze tak: prawie nie ma dnia; ranek, a od południa zaczyna się już zachód. Zimny kurz latał po grudzie. Koła furmanki stukwały głośno. Stara Smolska przez uszanowanie stała na ganku, aż plecy księdza zniknęły na zakręcie w podskokach wyboistej drogi, później odwróciła się, przesunęła wzrokiem po grzebieniu puszczy i weszła do chaty nie powiedziawszy słowa. Nawet nie westchnęła. Coś w niej stwardniało i usta miała zaciśnięte. Sercem była już całkowicie po stronie syna, choć może nie przeczuwała jeszcze jego przyszłych zmagania z wrogimi mu mocami.

Nazajutrz rano Władysławowi Smolskiemu pogorszyło się wyraźnie. Brat jego wyszedł ospałym krokiem z chaty, skierował się do szopy popatrzeć, czy są jakieś deszczułki zręczniejsze na trumnę, i raptem, ni z tego, ni z owego, poszedł na wieś do Oluka.

- Może co pomoże... - powiedział do matki.

- Oluczek? A cóż on, biednieńki, może zrobić.

- No, ale jak to mówią, dla wszystkiego... Niech choć przepowie, czy brat mój wraz umrze, czy jeszcze męczyć się będzie?

- Pewnie, że umrze. Już jak ksiądz był...

Ale Oluk zgodził się. Wziął krzyż do ręki, znowu twarz nabiegła mu krwią, posiniała, zatrzęsł się cały i po dłuższej chwili powiedział tym swoim dziwnym głosem: "Będzie żył".

W południe Władysław przeszedł kryzys, do wieczora mu odeszło. A nazajutrz wstał, jakby nigdy nie chorował. Wprawdzie Oluk tylko przepowiedział, ale po całej wsi jakby grom uderzył, przebiegła wieść: "Uzdrowił umierającego!!"

...Ze wsi do wsi. Do coraz dalszych. Do kolonii, do zaścianków; do miasteczek, dalej i dalej. Nad płaskim krajem, poprzez karłowate sosenki na piaskach, nad okwitłymi łąkami wrzosów, nad polami opustoszałymi po jesiennemu, biegła wieść: "Uzdrowił umierającego!" Mówiono o tym na wodopojach, przy młynach, gdzie pachnie wodną trzcina i mąką; przed kościołami w niedzielę,

przed cerkwiami; w synagogach i szkołach żydowskich, gdzie pachnie czosnkiem i starymi księgami. Nasuwa się banalne zestawienie: tak kamień rzucony w zastygły staw pędzi od siebie w promieniu coraz dalsze, coraz większe kręgi i nie zatrzyma ich po drodze najgęstsze nawet sitowie. Podobnie puszcza nie zatrzymała wieści.

Do wsi przyjechał pokryjomu wysłannik zielonoświątkowców z nowego kołchozu aż spod Radoszkowicz, dawnej granicy polsko-sowieckiej, wyszperać, czy Bóg nie zsyła wreszcie jakiej odmiany. Nie wiadomo, co powiódł z powrotem. Z bogatego osiedla pod Baranowiczami (w którym urodził się kiedyś Feliks Dzierżyński) przybył chłop Żółtko Bazyli, z sekty sztundystów, nakładając dobre dwieście kilometrów z hakiem i nawet przewiózł przez nową granicę pomiędzy białoruską i litewską sowieckimi republikami trochę miodu, trochę słoniny i płótna wyszywanego we wzory poleskie. Już po śniegu, sankami, z niedalekich Trok przybyło dwóch Karaimów i gadali w chacie Olka aż do późnej nocy. Z okolicznych wsi, zwłaszcza w niedzielę, schodziły się baby, gromadziły, szeptały, niektóre po trzy niedziele z rzędu opuszczając mszę świętą w kościele.

Trzeciego dnia po nowym, 1941, roku zjawiły się w Popiszkach w wielki mróz pod wieczór, przy czerwonym jak krew zachodzie słońca, sanie żydowskie, zatrzymując się niezdecydowanie pośrodku placyku.

- No, i czego?! - zakrzyknął surowo Antoni, przewodniczący sielsowietu, który skrzypiąc śniegiem przechodził właśnie przez placyk. Stał, zmierzy wzrokiem trzy sylwetki ciemnych jak kruki, brodatych Żydów. - Czego przyjechali?! - Na tle łuny zachodzącego słońca wyglądali jeszcze ciemniejsi. Czarne brody, czarne kapoty podbite futrem i tylko po wierzchu szron mrozu. Podali się za kupców.

- Nie ma tu, nie ma żadnego handlu! Nie ma czego! Jazda dalej!

Najstarszy z Żydów uśmiechnął się z wyrazem tej łagodnie pobłażliwej wyższości, jaką daje znajomość spraw i natury ludzkiej a także zwyczajów kraju. Z tonu chłopca domyślił się jego stanowiska.

- To jak pan sielsowiet chce, żeby my w taki mróz w nocy przez puszcze jechali?

- Nie bojęs, wilcy nie zjedzą.

- Nu, a jak zjedzą, to kto będzie odpowiadał?

- A co mnie za interes, dokąd wy chcecie jechać.

- Ja przepraszam panu, panie sielsowieta, a czy ja mówię, że to pański interes?

Żydzi pozostali we wsi dwa dni. Mimo skąpych odpowiedzi, którymi zbywali pytania, najczęściej po prostu tylko milczącym kiwnięciem bród, przecież wywiedziano się, że to nie byli żadni kupcy, a tylko chasydzi, het, aż spod Słonima. Pierwszego dnia jedna z bab przybiegła, zdyszana, do Smolskiej:

- Ale Żydów nie puskajcie do Olka!

- Niech idą - odpowiedziała władczo wdowa. - Ludzie. Takie same.

Baba pomyślała chwilkę a później równie skwapliwie przytaknęła, jak przedtem skwapliwie chciała przeszkodzić wizycie.

To była nowość: Oluk przyjmuje wszystkich, nawet Żydów!

Sam on nie brał się już teraz do żadnej roboty. Modlił się, całymi dniami nie wychodził z chaty. Dopuszczał do siebie rzadko, przeważnie tylko przyjezdnych. Ale matka nie miała powodów do narzekań. Sąsiedzi pomagali w robocie za darmo. Pielgrzymi przynosili podarki.

W międzyczasie zdarzył się jeszcze jeden wypadek, który zdawał się potwierdzać zapowiedziany cud. Oto na północy nieba pojawiło się którejś nocy zimowej dziwne zjawisko: pośrodku czerwień, jak łuna pożaru, a po bokach jasne, promienne słupy, podobne do kształtów ni to do reflektorów

poszukujących w niebie samolotu, ni to do srebrnych promieni otaczających w obrazie głowę Matki Boskiej Ostrobramskiej. Była to zorza polarna, w tych szerokościach geograficznych niezmiernie rzadka, ale pojawiająca się zimą co lat kilkadziesiąt. Ludzie zazwyczaj śpią o takiej porze, zdarzyło się jednak, że ten i ów zauważył. Ponieważ chata Smolskich wysunięta była najbardziej na północ, w samych Popiszkach rzecz wydawała się w ten sposób, jakby nieziemski blask stał wprost nad nią, podobnie jak to rysują gwiazdę betlejemską nad stajenką. Wiało przy tym dziwnym chłodem, zdawało się, innym niż zwyczajny, ziemski. Nawet dzieci rozbudzono. I po innych wsiach ludzie wszędzie powyłazili, otulając się w baranie kożuchy, stali, zadzierając głowy, patrzyli w niebo. Zjawisko drgało. To przybierało na sile, to przygasało. W pewnym momencie czerwień przybrała odcień purpury, a świetliste słupy strzeliły pod sam zenit. Bliżej puszczy podziwiano, jak delikatną koronką odbijały się na tle nieba czuby drzew. Ładnie, to ładnie, ale ludziom w tym czasie nie do ładności było. Później wszystko zgasło.

- Na wojnę, mówią. - Ale kto mówił, nie wiadomo.

Tak i rozeszli się, dosypiać resztę nocy z westchnieniem nadziei.

* * *

Minęła jesień 1940, minęła zima 1941. Franek kilkakrotnie zachodził do swego przyjaciela, choć rozumiał, że teraz, to już jemu nie koleżka on. Rozmowę zagajał jak siary, od rzeczy obojętnych najpierw, ale w końcu zawsze usiłował wydobyć jakąś ciekawszą informację, wyłuskać odpowiedź, którą by się później pochwalić mógł przed ludźmi. On też zapytał pierwszy, gdzie jest kamień, który zostanie odwalony i spod którego to...?

Oluk zamyślił się, patrząc w ścianę.

- Na naszej działce - odpowiedział wreszcie.

- Pod "Czarne Błoto"?

- Dlaczego? Na działce, mówię, na paszy - odrzekł sennie, ale z przymieszką zniecierpliwienia.

Franek pokiwał głową na znak, że rozumie dobrze, ale po chwili:

- Oluczek, a ty powiedz... a... któren to kamień właściwie będzie?

Oluk odwrócił twarz do okna z wyrazem zniechęcenia.

- Mało to kamieni na działce.

- Nu, tak, prawda, wiadomo, że kamieni dużo.

Z tym też wyszedł rozpowiadać po wsi, przygotowany na odparcie wszelkich pytań. Tak nawet pokierował opowiadaniem, że sąsiedzi sami zapytywali łączywie: "A któren mianowicie kamień?" Wtedy Franek wzruszał ramionami: "Mało to kamieni na działce" - odpowiedział tonem jakby zbywającym innych, z którego wszelako można by wnioskować, że on sam wie coś więcej. Bazyli Żółtko, sztundysta z prawosławnych, przyjechał jeszcze raz do Popiszek z dalekiej drogi. Było już pod wiosnę. Akurat tej niedzieli wieczorem, gdy ksiądz z ambony wygłosił płomienne kazanie przeciw fałszywym prorokom, fałszywym wiarom, sektom, błędnym drogom, na które szatan stara się zapędzić owieczki chrystusowe. Już uprzednio w wielu parafiach księża podczas kazań wskazywali na niebezpieczeństwo szerzących się zabobonów i gromili za łatwowierność w odniesieniu do różnych oszustów czy po prostu jednostek o chorej imaginacji bądź też zbłąkanych przejściowo. Napomnienia jednak utrzymywali w tonie raczej ogólnikowym, nie wypominając nikogo bliżej. Miejscowy proboszcz ociągał się długo z wystąpieniem, wciąż usiłując zbagatelizować wzburzenie i nie dolewać, jak się obrazowo wyrażał, oliwy do ognia podekscytowanych umysłów, aż wreszcie, gdy wystąpił, chociaż nie wymienił wprost nazwiska ani nazwy wsi, to jednak jakby palcem wskazał wprost na mieszkańców Popiszek, stawiając ich na jednej płaszczyźnie z baptystami i innymi sekciarzami. A mówił z zapalem, pięknie.

Wieczór był cichy, raczej ciepły, choć od puszczy ciągnęło zwyczajną, przejmującą wilgocia. Z południa, krzykliwie kierując się na jezioro w lesie, machały skrzydłami dzikie gęsi i zniżały lot. Chłopi niby to popatrując w górę, kręcąc samosiejny tytoń, pokaszlując i spluwając, przysiedli kto na zwalonych kłocach drzewa, kto na kupie kamieni, podsuwając pod siebie poły kożuchów. Zwolna przychodzili do środka wsi dalej mieszkający i, od słowa do słowa, rozmowa zesła na ranne kazanie księdza. Nie można powiedzieć, iżby je krytykowali, raczej wspominali poszczególne zdania. Między jednym a drugim pociągnięciem dymu każdy czekał, jaką inny wyciągnie ocenę. Wreszcie któryś zwrócił uwagę, że ksiądz do sekciarzy jakby to ich przyrównywał...

Nastało dłuższe milczenie.

- A cóż to sekciarze złego robią? - zapytał Żółtko głosem na pozór spokojnym. - Że samogonu nie piją? Że machorki nie kurzą?!... Olszewski wydmuchał cybuszek i przydeptał butem niedopałek. - Do kościoła nie chodzą - powiedział.

- A po co ja mam iść do kościoła?! - podchwycił tym razem już z wyraźnym podnieceniem Żółtko. - Owszem, bywało kiedyś... choćby na przykład u nas. Jeden prawosławny, jeden katolik, każdy Pana Boga chwali, i dobrze, zdawało się, czego więcej chcieć. A fest w cerkwi, jadą do cerkwi i prawosławne, i katoliki, zgodnie. Fest w kościele, także samo jadą wszyscy do kościoła, w zgodzie chrześcijańskiej. To nie! Nie spodobało się, zaczęli mówić: nie wolno! A dlaczego nie wolno?... Pójdiesz do księdza do spowiedzi, a on ciebie pierwsza rzecz pyta: "Czy czasem do cerkwi nie chodzisz?" Pójdiesz do popa: "Czy czasem do kościoła nie chodzisz?" Niech on zapyta, czy wódki nie pijesz, czy nie palisz, czy nie kradniesz... A cóż to za grzech cerkiew czy kościół! Nu, w końcu, jeżeli grzech, to w takim wypadku nic chodzić ani do jednego, ani drugiego. Po mojemu, to tak i wychodzi - zakończył.

Zaczęła się dyskusja utrzymana w tonie powściągliwym, podczas której nikt nie wspomniał nawet Oluka, jakby to nie o niego rzecz cała poszła. Mówili spokojnie, jeden tylko Bazyli zapalał się w atakowaniu kleru. W pewnym momencie aż zerwał się z belki, na której siedział, i zaczął ręką wymachiwać:

- Dobrze jemu dziś z ambony sekciarzy wyklinać! A czemu on z ambony sowietów nie wyklina! A? Nieboś, lęka się, nie ośmieli się, choć oni nic tylko przeciw kościołowi, ale i Bogu!...

Milczenie, które nastało, przerwał raptownie Antoni, przewodniczący sielsowietu; wstał i zawołał:

- No, dość będzie bałakać! Pogadali, starczy!

Zresztą, i bez tego napomnienia ludzie zaczęli już podnosić się z miejsc. Prawda, że późna pora... I rozchodzili się milcząc.

Z dwóch cieni, które wracały człapiąc po błocie pociemniałej uliczki aż na sam skraj wsi, jeden splunął w bok.

- Isz, kudy zahnuł.

Olszewski nie odpowiedział. Bo żeby zebrać się z myślami, to prawie nie ma jak i odpowiedzieć: księdza w tym wypadku bronić, że owszem, on w gruncie bolszewików nie przyznaje, to jakby na niego donos głosić. A odwrotnie, Bazylemu temu rację przyznać, to jakby przed całą gromadą na samego siebie donos składać...

- Jutro musić orać wyjdiesz na podeschnięte? - spytał, żeby tylko przerwać milczenie.

- Nie wiem jeszcze... Pług trzeba do kowala. - Odparł tamten niechętnie i dodał: - Co z tego, że i zaorasz...

Olszewski kiwnął na pożegnanie głową i rozeszli się do swoich chat.
* * *

Stanowisko władz NKGB przez dłuższy czas było chwiejne, jak każdej maszyny obciążonej zbytnią

biurokracją. Linia generalna, streszczająca się w słowach: "Bez szumu i paniki", w znacznym stopniu hamowała lokalne decyzje. Respektowanie tak zwanego: właściwego podejścia do rzeczy, jako obowiązującego dogmatu w każdym poszczególnym wypadku, też tej decyzji nie ułatwiało. Sprawę przekazywano co raz to wyższej instancji. Gdy komisarz bezpieczeństwa państwowego, starszy major NKGB Gładkow, wysłuchał w Kownie pierwszego raportu o Popiszkach, zwęził oczy i zapylał:

- Co, znowu ksiendzy coś wymyśliły?

- Nnnie... Niezupełnie - odpowiedział starszy lejtenant Miedwiediew, - Wychodzi tak, jakby to nawet przeciw ich woli.

- To jest, jakto tak? - Gładkow zmarszczył czoło, przewidując z góry jakąś komplikację i ze szczerą niechęcią, chociaż w skupieniu, pozwolił na wyłożenie sobie sprawy bardziej szczegółowo, przytupując przy tym nogą pod stołem. Później wstał i przeszedł się po gabinecie.

Ogólne wskazania wykonawcze dla "rozgromienia kontrewolucji w krajach oswobodzonych" nie stanowiły w tym poszczególnym wypadku dość precyzyjnego źródła postępowania, a to ze względu na inne szczegółowe instrukcje, dotyczące możliwie pobłażliwego i ostrożnego zachowania w stosunku do osób, organizacji i innych ośrodków wszelkich kultów religijnych. A z drugiej strony, jakież to kult! Mrakobiesije i tyle! Kościołów jako takich, powiedziano, na razie nie ruszać. A tu znowu sekciarze, prorocy... - Przeciągnął ręką po potylicy. Hm, nie można bez instrukcji z góry.

- Zbadać lepiej sprawę i złożyć szczegółowy raport -zakonkludował.

Na tym odterminowaniu sprawy na razie stanęło.

Pod wiosnę, wobec nowych pogłosek, postanowił Gładkow osobiście rzecz rozpatrzyć w urzędzie, któremu tamten teren podlegał bezpośrednio.

Miedoczkin był na urlopie. Obecni byli: Greczannikow, Zajcew, Czemodanow, Kopyłow i Lewin. - Starszy lejtenant Greczannikow zwrócił uwagę, iż uwzględniając specyficzne właściwości kraju najlepszym podejściem do sprawy byłoby odczekanie wyznaczonego przez Smolskiego terminu cudu, naoczne przekonanie mieszkańców o fałszywości zabobonu, a następnie aresztowanie szkodnika jako zwyczajnego oszusta.

"Najlepszym, to tam nienajlepszym..." -pomyślał Gładkow, który w zasadzie przeciwny był przeciąganiu w nieskończoność (jak mawiał) poszczególnych etapów sowietyzacji - "ale raczej najprostszy". Nie wypowiedział się jednak ani za, ani przeciw projektowi, ponieważ miał inne jeszcze powody, bardziej ważne, aby ociągać się we własnych decyzjach.

Płytki wywiad podlegających bezpośrednio jego rozkazom 105, 106 i 107 oddziałów pogranicznych wzdłuż pruskiej granicy przynosił coraz bardziej alarmujące wiadomości o przygotowaniach niemieckich z tamtej strony, o gromadzeniu wojsk itd. Sprawa nie mogła ulegać dla Gładkowa najmniejszej wątpliwości: wojna wisi na włosku. Tymczasem doczekał się najmniej oczekiwanej reakcji Moskwy na swoje meldunki. Przyszło mianowicie pismo, utrzymane w tonie nader suchym, aby zechciał bardziej sumiennie przesiewać doniesienia agentów, nie zawsze zasługujących na zaufanie. Poza tym uwaga, że wyciąganie wniosków ogólnych z sytuacji międzynarodowej należy do osób do tego powołanych. Gładkow zrozumiał to pismo w sposób, w jaki każdy inny na tak eksponowanym stanowisku rozumiałby je, że mianowicie grozi mu niełaska. Ale za co?

Dopiero po upływie pewnego czasu dowiedział się, o co chodzi: towarzysz Stalin ustalił tezę, że wojna Związkowi Sowieckiemu nie grozi, a gromadzenie sił niemieckich na granicy jest bluffem. Od razu też wszystkie źródła informacji nastawiły się w ten sposób, aby pod każdym względem potwierdzać tezę towarzysza Stalina.

Gładkow zrazu odetchnął. Kilka bardziej alarmujących raportów granicznych wycofał. Gdy jednak siedział zastanawiając się i bawiąc ołówkiem ponownie popadł w pesymizm.

Zła myśl, zwyczajna myśl ludzka, zachowuje się czasem jak wesz. Ten, kto poznał dolę więzień,

baraków, okopów wojennych, a Gładkow je znał, wie dobrze, że wszy oblażą przede wszystkim ludzi o budowie wątłej, zmęczonych; organizmy osłabione. Podobnie, nadszarpnięte pracą nerwy i sterana głowa nie dają dostatecznego oporu złym myślom, które oblażą mózg. Gładkow nie był wątłej budowy, ale miał sterane nerwy.

"Katastrofa wisi na włosku, a kto za nią będzie odpowiedzialny?" - myślał. "Ci oczywiście, których za odpowiedzialnych się uzna. Czy nie w pierwszym rzędzie osoby odpowiedzialne za informacje? Tak by w gruncie nawet wypadło. Jeżeli się zważy, że on jest komisarzem bezpieczeństwa republiki związkowej granicznej... graniczącej z katastrofą..."

Cóż więc dziwnego, że w takim stanie rzeczy i w takim nastroju, który potęgował rozstrój nerwowy, konieczność powzięcia decyzji w najbliższej sprawie drażniła go niewymownie. Bo każda z nich w wypadku małego nawet poślizgnięcia się, stanowić mogła później o dowodzie obciążającym albo służyć za pretekst do obciążenia.

"Taki" - myślał - "parszywy drobiazg, Popiszki! A gdzie jest pewność że nie stanę się kamieniem u szyi! - Tfu, ty, czort!" - i złamał ołówek. Równie dobrze powiedzieć będzie można, że sabotował plan, sprowokował ludność nieumiejętnym podejściem albo też odwrotnie: tolerował machinacje kontrrewolucji! Spojrzał bezradnie w okno. Błękitniało niebo, zieleniły się po miejsku przyszyryżone topole, na których ćwierkały wróble...

XXX

Kiedys Weronika nosiła się z zamiarem napisania do Pawła listu, ale nie umiała ani ortograficznie pisać, ani sklecić przyzwoicie zdania. Same słowa, które dobierała w tym celu w myślach, wydawały się jej nieprawdziwe, więc ubolewając z tej przyczyny, składała ją na karb swej nieumiejętności pisania. Po pamiętnej kłótni z Pawłem wyjechała do Popiszek... przesiedziała u rodziców aż do maja miesiąca, a mąż ze względów, które przeczuwał a na których bliższe poznanie nie chciał się zdobyć, nie naglił do powrotu. Starszy brat Weroniki nie wrócił z wojny polsko-niemieckiej. Młodsza siostra wyszła za mąż przed Bożym Narodzeniem. Rodzice w gruncie cieszyli się z pobytu córki w opustoszałej chacie. Byli też z niej trochę dumni: ładna; nazywało się, że bogata, mąż. kupiec; ubrana na wpół po miejsku, a nawet w zwykłym odzieniu wiejskim, pomagając przy gospodarstwie, wyróżniała się w ruchach i słowach czymś, co nazywali "delikatnością". Weronika, ażeby nie pysznić się przed innymi kobietami, wzdychała, jak one, po babsku: o interesach mówiła: "Nie te czasy..." Wzdychała czasem naprawdę ciężko i szczerze. Dawne znajome, sąsiadki, przytakiwały głowami i zazdrościły jej.

Gdy przyszła wiosna, szła ze swoją ukrytą miłością jak z dzieckiem w brzuchu najczęściej w kierunku puszczy do brzeźniaka. Grunt był rozmiękły jeszcze, podmokły; stapała po kępkach w maminyh łapciach z lipowego łyka, a spod każdej kępki wylaziły syczące pęcherzyki ciemnej wody. Bała się gadzin, ale nie bardzo. Cięła gałązki brzozowe na nową miotłę. Później przypomniawszy sobie dawne lata nacinała w odpowiednim miejscu pnie brzoź, podstawiając pod wiosenny sok drewniane korytka.

- Dobra rzecz sok brzozowy - zagadnął raz niespodziewanie za jej plecami Franek, który choć o kilka lat młodszy dawno się już był w nią zapatrzył, ale nie mając śmiałości krążył tylko wokół jak karszun nad ofiarą. Drgnęła z zaskoczenia, ale od razu opanowała się, i przykucnięta koło korytka - nawet nie odwracając głowy odpowiedziała:

- Kto lubi.

- Oho, na drugi dzień po samogonie, kiedy w gardle pali. Oho!

- A po co jego pić, samogon?

- Po co pić? Na zmartwienie.

- Czy to pomaga?

Odważył się zbliżyć i kucnął obok na wilgotnych mchach. Nie wiedząc, co zrobić z rękami, zaczął szukać tytoniu po kieszeniach, ale nie znalazł. - Na próbę można skosztować - mówił niezręcznie. - U mnie jak raz litr w chacie jest.

- Nie wiadomo jeszcze, czy twój baćka pozwoli? - odparła ironicznie.

- No, ot, zobaczmy, czy pozwoli - odpalił ze sztuczną zuchowatością. Pójdziem, dobrze?

- Niech próbuje, która ma zmartwienie. Ja, to nie mam - odpowiedziała zdecydowanie i wstała.

Razu pewnego, gdy zamiatając izbę nachylona była nad podłogą, matka zagadnęła ją niby od niechcenia, ale obydwie rozumiały, że chodzi tu o sprawy potocznie zwane sercowymi. Bo chociaż Weronika nigdy ani jednym słowem nie zdradziła się przed matką ze swych uczuć, tamta i bez słów nabrała podejrzenia, że musi być jakaś głębsza przyczyna długiego przebywania córki w rodzicielskim domu. Wybrała moment, gdy ojca nie było w chacie a córka nachylona - bo bez świadków i konieczności patrzenia sobie w oczy najłatwiej jest rozmawiać o rzeczach intymnych, kobiecych. Obrzuciła też wzrokiem spódnice, obciągniętą na wypiętym w tej chwili zadzie Weroniki: "Dzieci nie rodzi...", pomyślała.

- A czemu to twój, Wercia, nawet nie zajedzie? Może jaka niezgoda między wami?

- Czasu nie ma - zamiatała dalej. - W czym tam może być niezgoda.

Matka postukała garnkami, przesuwając je niepotrzebnie w zastygłym piecu. - No, a powiedz, jaki on?

- Jaki ma być. Taki, jak i wszystkie.

Stara westchnęła dla porządku i siadła na zydelku skrobać kartofle. Weronika wyprostowała się, uniosła twarz, czerwoną od nabiegłej z nachylenia krwi, i milcząc wyniosła śmiecie z chaty. Umyślnie pobyła dłużej na podwórzu, ażeby już do tematu nie wracać. Istotnie, matka więcej go nie poruszała. Gdyby tutaj, we wsi, Boże strzeż, miała Wercia jakiego gacha, to wtedy już pewnie, że na nią, na matkę, spadałaby odpowiedzialność przed zięciem. Ale dopóki siedzi spokojnie i z nikim nie zadaje się, niech siedzi.

A zadawała się Weronika tylko z jedną Anią, dawną swoją przyjaciółką i rówieśniczką, jeszcze niezamężną. Była to zarazem najbliższa sąsiadka; zagrody ich dzielił tylko niski nieszczelny płot. W dzień Ania miała dużo roboty do opędzenia. Rozmawiały głównie o zmierzchu, bywało do późnego wieczora, przeważnie szeptem. Jej jednej mogła się Weronika trochę zwierzyć, choć też nie ze wszystkim. Lata biegną, zmieniły się obydwie od czasów pierwszej młodości, i Ania nie zawsze pojmowała zawiły splot przyczyn i skutków, który Weronikę wpędził w stan głębokiej miłosnej depresji.

Skłamał też Rymaszewski, gdy opowiadał Pawłowi, że Weronika pojechała "leczyć się u proroka". Ani jej to w głowie nie było. Raz, prawda, zaszła do Smolskiej w odwiedzin, posiedziała w kuchni, pogadały o rzeczach obojętnych; później naturalnie rozmowa zeszła na Oluka, ale nawet nie starała się z nim widzieć. Raczej dla przyzwoitości okazała zainteresowanie rzeczami tak odległymi, jak Bóg w niebie i cudowne przemiany na ziemi, które mają nastąpić. Bo dla niej wszystkie sprawy nieba i ziemi wypierane były przez jej własną sprawę.

- A jak ona, ta kobieta, która powstanie spod kamienia, goła będzie? - zapytała.

Smolską wyraźnie zaskoczyło pytanie, które jej dotychczas nie przychodziło do głowy. - Goła?... Nie może być chyba goła.

- Może w cokolwiek przyodziana - zgodziła się szybko Weronika.

- Pewnie, że w cokolwiek; jakieś szaty, jak dawniej nosili, czy prześcieradło jakieś, no, jak święta na obrazie.

- To ona święta będzie?
- A jak chcesz, Wercia? Z ziemi zmartwychwstaje, żeby była taka, jak ty?
- Dlaczego: jak ja? Niekoniecznie, jak ja, ale może nie być święta.
- Nie pytałam ja - odparła Smolska. - Oluczek nie mówił. Pan Bóg jeden raczy wiedzieć.

Weronika poszła od niej do brzeźniaka. Ziemia zaczęła wysychać, choć pod ciężarem stóp ciągle jeszcze występowały spod kęp trawy pęcherzyki i sycząca woda. Zlewała świeży sok do dzbanka; czasem postąpiła wsparta o brzozę, patrzyła, jak krople soku skapywały do koryta; wyobraziła sobie, jakby to mogło być, gdyby przy niej był Paweł w tej chwili; byliby sami w wielkim lesie, jak on to mawiał: "bezpieczni od ludzi"... Nachyliła się, wyjęła wpadłą muchę czy komara, palec wytarła o spódnicę i z powrotem odnosiła do wsi swą miłość, tak jak ją była przyniosła do lasu.

Niespodziewanie pewnego ranka w końcu maja, zaledwie siedli do śniadania, oświadczyła, że wraca do domu.

- Myślałem - rzekł ojciec - że Wincuk po ciebie przyjedzie - i spojrzał na córkę znad drewnianej łyżki, którą siorbał parzone mleko. - A nie, tak zaczekaj jeszcze do niedzieli. Wolnym czasem założę konia...
- Pójdę. Nie trzeba konia. Może kto podwiezie po drodze.
- Ładną babę, to każdy podwiezie - przetarł ręką po wąsach.
- Nu, nu, już ty tylko, stary! - ofuknęła go żona. - O ładnych babach zagadał. Jakby to dziś nie mógł do drabinki założyć!
- Wczoraj przykazali na dziś jechać reperować, aż pod...
- Nie trzeba mnie, mówię - przerwała dyskusję córka. - Piechotą pójdę.

Poszła.

Bóg ją tam raczy wiedzieć, bo ona sama nie wiedziała, Weronika, czego chciała wyjeżdżając do Popiszek. Być może, nie przynajmniej się nawet przed sobą oczekiwała, nie, jak jej ojciec, że po nią przyjedzie Wincenty, a że właśnie nagle zjawi się Paweł? Raptownie stęskniony, z dalekiej drogi, jak to wróżą cyganki? Teraz idąc postanowiła wrócić do męża, a z Pawłem zerwać na amen i więcej się z nim nie starać zobaczyć.

Mąż przyjął ją łagodnie i ucieszył się z jej powrotu, tak jak uprzednio cieszyli się z jej przyjazdu rodzice. Zaczęła wierzyć, że dalsze życie ułoży się im pomyślnie.

XXXI

Którejś niedzieli pierwszych dni czerwca Paweł, siedząc na stopniach werandy, zszywał dratwą rozpruty rzemień uzdeczki, gdy Marta - usadowiona na poręczy - huśtając nogami w powietrzu, zapytała:

- Co się koniec końców stało z tą pralnią, z tą Hałą i tak dalej? Wiesz ty coś o tym czy nie?
- Nie mam pojęcia. Nie miałem czasu się dowiadywać.
- Czy mogło coś podobnego zniknąć jak widmo?
- Może i mogło.

Marta zaczęła się bawić listeczkami dzikiego wina obrastającego werandę i po chwili milczenia zmieniła temat. Zaczęła opowiadać o pewnym rodzaju strachu, który odczuwa:

- Widzisz, od dzieciństwa człowiek zapoznaje się w życiu i czyta o rzeczach, które budzą strach. Ale ja się nie boję tych rzeczy samych w sobie. Ja się boję najbardziej strachu przed strachem. Nie

wiem, czy mnie rozumiesz. Największe wrażenie wywarł na mnie kiedyś opis jakiegoś zatonięcia okrętu: jak ludzie walczyli o miejsce w łodziach ratunkowych, spychając się nawzajem, jak mąż odpływał w morzu dalej od swej żony, która go błagała o ratunek, a on, nieprzytomny ze strachu, bał się, żeby go nie uchwyciła za nogę czy rękę i nie pociągnęła w dół. Jakaś matka w ten sposób odepchnęła od siebie rodzone dziecko i tak dalej. To jest właśnie najstraszniejsze ze strasznych, że żaden człowiek nie wie właściwie, jak pod wpływem strachu może postąpić i jak postąpi. Wyobraź sobie, że taki się wyratuje i później żyć musi ze świadomością tego wspomnienia. Potworne. Nie znajdujesz, że to jest okropne?

- Pewnie - mruknął Paweł.

- Otóż mnie teraz, nie wiem skąd się to bierze, ciągle nawiedza takie widmo strachu, strachu przed sobą. - Zamilkła i przestała machać nogami. Po pewnej chwili innym tonem:

- Wiesz... wtedy, gdy wezwano ciebie do... gminy.

Przyznam ci się, że istotnie zachowałam się wówczas...

- Ach, nie mówmy o tym.

- Ciągłe jesteś teraz zapracowany. A jak mamy chwilkę czasu dla siebie, też nie chcesz rozmawiać.

- Słuchaj, jak się pracuje sześć dni w tygodniu, to nie jest odpoczynkiem siódmego dnia rozmawiać o strachach.

- Ciekawa jestem, o czym rozmawiasz z tą... swoją Weroniką?

Paweł wyciągnął dratwę i pochylił się nad robotą. -Nie ma jej. Wyjechała.

- Nie dalej, jak wczoraj, widziałam ją na ulicy. A i dziś nawet - przypomniawszy sobie - w kościele na mszy. Wróciła, wróciła. - Powiedziała to po prostu, bez żadnej ukrytej intonacji w głosie.

- Daj mi spokój - odparł.

Marta oderwała ręce od poręczy werandy i wyciągając je w górę ruchem, który z boku mógłby się wydawać patetycznym, przeciągnęła się całym ciałem, jakby w ten sposób chciała dać wyraz niemej tęsknocie do czegoś dalekiego. Paweł ziewnął sztucznie, co zawsze czynił w zakłopotaniu. Het, za drzewami nad niewidocznym stąd traktem stał w powietrzu kurz jak mgła. Trwała susza nad głębą piaszczystą. Wszędzie po ogrodzie zaczęły się pnieć chwasty.

- Żeby to chociaż deszcz spadł - westchnęła.

On skończył robotę i poszedł do stajni, podzwaniając po drodze wędzidłem uzdeczki.

W ciągu następnych dni wciąż był przygotowany na spotkanie z Weroniką, ale ona nie pokazywała się na drodze, którą przechodził lub przejeżdżał. Podświadomie rozczarowany w swoich oczekiwaniach, Paweł próbował w końcu kilkakrotnie lawirować samemu, niby to przypadkowo, ale w sposób zbliżający możliwość takiego spotkania. Nie zobaczył jej jednak nawet z daleka. W rezultacie doszedł do przekonania, że Weronika postanowiła z nim zerwać ostatecznie.

* * *

Zaczął się od tego, że Mania, żona Jana, biegła rankiem 14 czerwca i powtarzała szeptem wciąż te same słowa:

- Boże, Boże!... Boże, Boże!...

Marta, która w tym czasie podlewała sadzonki pomidorów, uderzona wyrazem twarzy sąsiadki, zatrzymała się w pracy.

- Mania! Co się stało?!

- Boże, Boże!...

- Mania! Co się stało?!!

- Ludzi wywożą!

- Co takiego?! - zbladła - jak to: ludzi?!

- Ludzi, ludzi wywożą! - I Mania, nie oglądając się, biegła dalej do swej chaty. Marta stała jakiś czas nieporuszona, a później zapominając o sadzonkach pomidorów poszła na podwórko, trzymając wciąż konewkę w dłoni.

Paweł wyjechał o świcie, jak zawsze, z podkładami na lotnisko.

W tej chwili po drodze zadudniła ciężarówka. Marta cisnęła konewkę, z której wylała się reszta wody, i pobiegła do furtki.

Była to ta sama ciężarówka NKGB, która pierwsza, przed świtem jeszcze, zawitała do okolicy po rodzinę Rukowskich i ich sąsiada Witolda z Wykont. Wszystko odbyło się ściśle według przepisów instrukcji towarzysza Sierowa. Na jeden i ten sam wóz załadowano Rukowskiego, który dostarczył wszystkie ziarno dla rządu, i Witolda, sąsiada, który nie dostarczył ani jednego kilograma. Załadowano też Józia Rukowskiego, któremu się tyle rzeczy w nowym ustroju podobało, i jego matkę, i starszą siostrę. Załadowano całą rodzinę Witolda, żonę, dwie córki. Dobytek został spisany, a deportowanym pozwolono zabrać kilka tobołów naprędce spakowanych drżącymi ze strachu rękami. Nikt nie płakał. Dwa razy agent NKGB, starszy grupy, zawołał:

"No, prędzej, prędzej...", ale też bez zbytniej gorliwości i bardziej, aby uczynić użytek z formalnego brzmienia swego głosu względnie dla pokrzepienia własnego autorytetu niżli z istotnej potrzeby.

Ciężarówka koloru kurzu biegła teraz po szosie, zbliżała się, można już było rozpoznać sterczące z niej dwa czterograniaste bagnety na karabinach. Marta zaciskała w rękach sztachety swej zagrody, jakby się nie chciała dać nikomu oderwać. Poznała. Rukowski siedział na przodzie z głową opuszczoną, w letniej czapce, z daszkiem zsuniętym na oczy; pośrodku żona Witolda, ponura i zgarbiona; córka Rukowskiego leżała bokiem na jakimś worku i dwoma rękami zawiązywała w tej chwili końce chustki na głowie. Żołnierze na końcu platformy usiłowali mimo pędu zapalić papierosy, trzymając karabiny między nogami. - Minęli Martę. Pióropusz kurzu uderzył w nią, przesłonił widok całkowicie. Zmrużyła oczy, ale patrzyła ciągle. Coraz dalej, coraz dalej biegnie kurz, śmiesznie tak, bokiem, jak pies zarzucający tylnymi łapami; słaby wiatr zwiewa go na pole koniczyny; zaraz znikną na zakręcie... Zniknęli. Odcięta postać: kurzu jak błędna dusza zawisła bezmyślnie nad pustą drogą i Marta czekała aż się rozwieje ostatecznie. Rozwiała się. Wtedy odeszła od furtki i stanęła pośrodku podwórka z opuszczonymi rękami.

Siwa pliszka biegła po szczycie dachu trzęsąc ogonkiem. Robiła gwałtowny ruch w bok, chwyciła muchę i biegła dalej.

Marta szepnęła: "Boże, Boże...", podobnie jak to przed chwilą szeptała Mania i jak od wieków przed nimi i wieki jeszcze po nich szeptać będą miliony ludzi w rozmaitych okolicznościach, nie pomni przykazania, aby imienia bożego nie wzywać nadaremnie!

Straszną wieść rozbiegła się z niespodziewaną szybkością. Zanim jeszcze wczesnym południem podwiązano koniom obrok w torbach na przerwę obiadową wiedzieli już o niej wszyscy furmani i wszyscy robotnicy zajęci przy budowie lotniska. Wiedziało miasto i wieś. Chłopi jadący traktem i pasażerowie w pociągach. Od Zatoki Fińskiej, poprzez kraje Estonii, Łotwy i Litwy, aż het, po lasy białoruskie z tamtej strony górnego Niemna nie mówiono o rym zdarzeniu inaczej jak tylko: "Wywożą ludzi." Nikt nie precyzował ich przynależności socjalnej czy politycznej, wszyscy mówili po prostu: "ludzi"! Może dlatego, że w gazetach tego ranka brakło właściwego komentarza politycznego i nie było na ten temat ani jednego słowa. - Pawłowi zaraz rano, gdy przywiózł podkłady, powiedział człowiek, który je przyjmował i liczył na miejscu. Pierwsza, w ten sposób uzyskana wiadomość, nie była ścisła. Robotnik mówił, że na razie wywożą jedynie z miasta.

- A ze wsi?!

- Nie słysząc było.

Praca szła wokół normalnie. Jej miarowy, wielostronny gwar, zagłuszał wszelkie szepty między ludźmi.

- No, i co będzie? - spytał Paweł mimo woli.

- Dziś narodził się czy co - odburknął robotnik.

W pierwszej chwili chciał Paweł gnać natychmiast do domu, bez jakiegokolwiek z góry powziętej decyzji, ale wyobraził sobie godziny oczekiwania w bezradnym strachu i nade wszystko ciężkiej niepewności, więc zmienił zamiar. Dotychczas wiadomo było tylko, że "wywożą ludzi", ale tego mało jeszcze, trzeba się dowiedzieć, upewnić, jak, co i kogo? Może istotnie deportacja nie dotyczy mieszkańców wsi? Może we wszystkim jest trochę, jak to bywa, przesady? Może... Zawsze jakaś nadzieja i ciągle nadzieja! Po wyładowaniu zatem podkładów, wyjeżdżając na drogę, pociągnął nie lewą, a prawą lejącą, zaciął batem i podążył do miasta

Do tradycji miasta, sięgającej chyba odległych wieków, przywiązany był urząd rakarza magistrackiego, którego zarówno obowiązkiem, jak przywilejem było wyłapywanie z ulic - wałęsających się i bezdomnych psów. Wyjeżdżał on na miasto jednokonnym wózkiem w kształcie małej platformy, do której przymocowana była z góry klatka o żelaznych prętach. Bokami szło dwóch czeladników-oprawców, zaopatrzonych w długie kije z pętlą na końcu, na którą łapali przygodnego psa, a następnie drżącego ze strachu, wrzucali do wózka, i pochód posuwał się dalej. Cała ta procedura sprawiała wrażenie niemiłe, nieestetyczne, można by zaryzykować twierdzenie, że wręcz przykre. Żałosne skomlenie złapanego psa przechodziło nieraz w zawodzenie podobne do płaczu skrzywdzonego dziecka. Dochodziło też do scen brutalnych. Od niepamiętnych tedy czasów wydany był surowy nakaz dla rakarza, ażeby możliwie niezadługo po świcie zakańczył swój proceder i zjeżdżał z ulic, a już w każdym wypadku przed ranną godziną, o której młodzież szkolna wysypuje się z domów do szkół, aby zaoszczędzić jej gorszącego widoku łapanych psów. W gruncie rzeczy psom tym nic działa się wielka krzywda. Rakarz zdawał sobie sprawę, że wykup, jaki pobierał od właścicieli złapanych psów, wynosił więcej niżby mógł uzyskać za skórę lub tłuszcz. Niewykupione zatrzymywał po prostu na sprzedaż, i tylko nieliczne bywały unicestwiane. Wiedzieli o tym dobrze mieszkańcy miasta, ale widocznie leżało już coś w naturze ludzkiej, co buntowało się przeciwko brutalnej przemocy nad bezbronnymi zwierzętami, bo protesty przechodniów i wynikające z nich awantury stały się równie zadawnioną tradycją miasta, jak sam urząd rakarski. Paweł pamiętał od dziecka te incydenty, gdy krocząc, bywało, do szkoły spotykał klatkę hyclowską, zapóźnioną na ulicy wbrew przepisom policyjnym.

W sobotę, 14 czerwca 1941 roku, gdy szedł ulicami tego samego miasta, był jasny, słoneczny dzień i akcja deportacji rozpoczęta przez organy NKGB o świcie była jeszcze w pełnym toku. Płaskie ciężarówki sowieckiej produkcji stały pojedynczo i szeregami przed kompleksami kamienic lub jechały w różne strony. Brano nie włóczęgów bezdomnych, a przeciwnie: ludzi przeważnie dawno zdomowionych; brano do więzień, katongi, obozów, na zsyłkę lub śmierć, i żaden wykup, za żadne pieniądze, nie mógł wchodzić w rachubę; brano nie kilku czy kilkunastu, ale od razu tysiące; brano otwarcie, na oczach całego miasta. Brano nie psów! Przeciwnie, brano ludzi... I oto nikt nie protestował, nie krzyczał, nie awanturował się, nie bronił, nie wyzwalał, nie wygrażał pięściami. Nawet nikt nie skomlał. Miasto z wyższego nakazu miało nie przerywać codziennej pracy i ludzie, którzy pozostawali, lubo niewiedzieli, czy jutro jeszcze pozostaną, szli prędko chodnikiem, nie zatrzymując się, odwracając oczy. Panowała cisza i spokój.

Zabierano tylko z domów, w wyjątkowych wypadkach z miejsc pracy, prawie nigdy z lokali publicznych. Po głównej ulicy, przezwanej obecnie Prospektem Lenina, toczyły się w obydwu kierunkach ciężarówki ładowne ludźmi. Zajeżdżano do jednego domu, zabierano rodzinę figurującą na spisie ewidencyjnym NKGB i jechano pod nowy adres. W ten sposób niektórzy z wcześniej aresztowanych krążyli po mieście tam i sam w ciągu kilku godzin, mijali się nawzajem, znowu

jechali. Widziało się znajomych, bliższych, dalszych, krewnych czasem.

W pewnym momencie na jednej z takich ciężarówek, w samym jej końcu, Paweł dojrzał wystającą ponad bokówkę postać Łaszowskiego. On, ojciec, stara matka i żona z córeczkami. Stary włożył futro choć było lato. Syn patrzył przed siebie w plecy siedzącego przed nim nieznanego. Patrząc w ten sposób musiał nie widzieć nic. Było w wyrazie jego twarzy coś ze skamieniałego zdumienia. Przejeżdżali właśnie w chwili gdy Paweł równie zdumiony stanął u wejścia kawiarni, w której tak niedawno jeszcze rozmawiał z Łaszowskim. Później wszedł do środka, bo zobaczył reżysera siedzącego przy stoliku koło okna. Nie widzieli się od czasu gdy jeszcze namawiał Pawła do współpracy w teatrze. Teraz nie witając się wyciągnął rękę wskazując następną ciężarówkę, jadącą w przeciwnym kierunku, na której siedziało dwóch uczniów, a trzeci stał.

- To jest syn tych... Jakże oni... Zaraz sobie przypomnę nazwisko. Odwrócił twarz marszcząc czoło i jął

nerwowo mieszać w filiżance łyżeczką. - No, na ulicy Zamkowej mieszkają... Zaraz!

- Niech pan nie miesza, i tak bez cukru - odezwała się kelnerka.

Spojrzał na nią z roztargnieniem, mieszał dalej i nie mógł sobie przypomnieć. Paweł przysiadł się doń, też nie witając się, i uważał to czemuś za naturalne, jak i to, że reżyser był źle ogolony i miał krzywo zawiązany krawat.

- Czy wie pan, kogo jeszcze ze znajomych? - spytał.

- Dużo - reżyser sięgnął po papierosy i zapalając złamał dwie zapalki.

Widok z tego okna był jak z łoża na arenę. Paweł nie mógł długo wysiedzieć, wyszedł, wskoczył do przejeżdżającego autobusu, który był przepełniony. Wiedział już wszystko, czego się chciał dowiedzieć.

Nie mogąc dostać się do autobusu, zawisł na schodkach. Wszyscy pasażerowie milczeli. W chwili gdy mijano wylot wąskiego zaułku, doleciał stamtąd pojedynczy, przeraźliwy krzyk. Był on szczególnie rażący na tle powszechnego milczenia. Jakaś stara kobieta zawodziła: "Aaa! Aaa!! Synku! Aaa... synku mój" - Tkwiący przed Pawłem człowiek poruszył się niezręcznie, odwrócił i mruknął nerwowo:

- Przejechali kogo czy co...

Po tym poruszeniu pasażera, niewygodnie było się utrzymać na stopniu, więc Paweł zeskoczył i poszedł chodnikiem piechotą. Zaraz za narożnikiem następnej kamienicy wyprowadzano jakąś rodzinę. Auto ciężarowe, które na nich czekało na wprost bramy wjazdowej, było już prawie wypełnione. Przechodnie musieli się w tym miejscu zatrzymać na chwilę, aby dać drogę wyprowadzanym. U samego brzegu ciężarówki siedział zecer, którego Paweł spotkał w swoim czasie u fryzjera. Patrząc ze swej wysokości uśmiechnął się blado z wyrazem winy. Paweł, na którego ustach pojawił się odruchowo podobny uśmiech współwinnego, podszedł i wyciągnął w górę prawicę.

- Za co?

Tamten, nie przestając się uśmiechać: - Za winy. Wiceprezes dawnego związku drukarzy.

- Aaa... - odparł Paweł, jakby wyjaśnienie zecera tłumaczyło wszystko.

W tym momencie zbliżył się agent NKGB: - A wy, obywatelu, co tutaj robicie? - zapytał Pawła.

Ten wzruszył ramionami. - Nic. Chciałem porozmawiać ze znajomym. Dokąd to ich powiozą?

- Gdzie cieplej. No, i maszerujcie dalej!

- Nie wolno rozmawiać?

- Wolno, ale po co? - i zmierzył go zimnym wzrokiem.

Paweł, który chciał jeszcze zapytać zecera o los starego ptasznika, wycofał się, wmieszał w tłum i poszedł prędko swoją drogą.

Tego dnia aresztowano między innymi Marię Zwolińską. Na dalekim przedmieściu zabrano rodzinę kulawego drwala, który na jesieni pracował razem z Pawłem; o godzinie 6 rano przyszli po dentystę. W dalekim miasteczku Ejszyszki wyprowadzono ze znacjonalizowanego domu Kowarskiego; jego samego, chorą na serce żonę; Gałkę, która była członkiem komsomołu, i Sonię, która biegła na każde zebranie polityczne. Aresztowano też jego konkurenta z rynku, Goldmana, w bramie domu, właśnie w chwili gdy zamierzał udać się do synagogi, bo to była sobota.

Do ptasznika zajechała ciężarówka o czwartej rano. Sierżant bezpieczeństwa państwowego na widok licznych klatek z ptakami powiedział: "Ech, ty, stary dozorca więzienny..." Pootwierał klatki i okna, wypuszczając wszystkie ptaki na wolność, a te, które nie chciały od razu wychodzić, straszył poprzez pręty palcami. W tej liczbie też samkę kanarka, która miała pisklęta w sztucznie przyrządzonym gniazdku. Ale gniazdko było od zewnątrz przesłonięte i sierżant go nie zauważył. Kanarek wyleciał wreszcie przerażony i ogłupiały, potrzepotał na swych nieudolnych skrzydłach, przysiadł na barierze werandy. W następnej chwili porwał go kot, zwabiony niezwykłym nagromadzeniem ptaków i ich piskiem. Niósł go właśnie w paszczy, szeroko otwierając żrenice i poruszając koniuszkiem ogona, gdy wszedł ptasznik, blady, siwy i milczący. Był w koszuli i spodniach. Spojrzał niemo na kanarka w paszczy kota, nic nie odpowiedział na krzyk sierżanta: "Prędeż, prędeż!", minął go, przeszedł do kuchni i nachylając się w kącie błyskawicznym ruchem porwał siekierę! Sierżant, który postępował był za nim, zdążył odskoczyć i odruchowo zasłonić się lewą ręką. Starzec chybił ciosu i trafił tylko w dłoń, przerabując z góry dwa palce. Na krzyk wpadli inni. Ptasznik uderzony jednocześnie pięścią w skroń, kopnięty w biodro i otrzymawszy następny cios w twarz, zwałił się na podłogę. Jego garbata córka, korzystając z zamieszania, wyskoczyła do ogrodu i na wpół ubrana przebiegła po kładce przez rzeczkę na drugą stronę i bocznymi ulicami poleciała do koszar, aby prosić o ratunek Fiodora Mikołajewicza. Ale major powiedział jej, że jest bezsilny. Zaczęła go błagać, używając różnych naiwnych argumentów. Wtedy zlitował się nad nią i obiecał, że spróbuje... może da się coś zrobić... Po jej wyjściu jednak siadł na łóżku i siedział nieruchomy.

Gdy wróciła, ojciec leżał już z obwiązaną głową na dnie ciężarówki. Był to jedyny w mieście wypadek czynnego oporu, o którym wszelako nie dowiedział się nikt, nawet z najbliższych sąsiadów.

Strach bardziej od innych wzruszeń ma właściwości uwielokrotniania rzeczy. Wszystkim się zdawało, że całe miasto objęte jest przepotężnym ruchem masowych aresztowań. W istocie jednak tego pierwszego dnia deportacji aresztowano i wywieziono z miasta 2.208 osób, co na ogólną liczbę 250 tysięcy mieszkańców stanowiło procent znikomy.

XXXII

Andrzej Bożek, który po rozmowie z Rojkiewiczem i gajowym stracił dużo z poprzedniej pewności siebie, odzyskał ją na nowo, gdy w nocy z 13 na 14 czerwca przyjechali ludzie z NKGB i przywołali go do siedziby sielsowietu dla zapoznania z instrukcją oraz odbycia narady nad planem akcji, która miała się rozpocząć od świtu tegoż dnia poczynszy. Wśród osób przeznaczonych do deportacji jedno z pierwszych na liście figurowało nazwisko Pawia.

Nie odbyło się jednak tak sprawnie, jak to przewidywał okólnik. Nie można się było zresztą temu dziwić. Słusznie powiedział Drużko, rozkładając ręce z poczuciem winy: "Na pierwszy raz..." - Oczywiście, nikt nie był jeszcze wdrożony. Powstało więc trochę bieżaniny w podnieceniu, jałowej dyskusji i trochę niedyskrecji w następstwie wypitej dla kurażu wódki. Później już, rano, wzywano też Rymaszewskiego, ale nie zastano go w chacie. Żona powiedziała, że jest w mieście. Bożek nie umiał się powstrzymać, ażeby z wielomówiącą tajemniczością w wyrazie twarzy, która znakomicie

podkreślała zarówno ważność chwili, jak ważność jego osoby, nie rozpytywać sąsiadów, czy Paweł jest w domu?

Tymczasem przystąpiono do aresztowania zamieszkałych w osadzie uchodźców wojennych, którzy przedostali się na teren litewskiej republiki radzieckiej, uchodząc z Polski przed wojną, a którzy w myśl wyższego nakazu musieli być deportowani w pierwszym rzucie. Rzecz cała przeciągnęła się aż do południa. Poza uchodźcami zdołano tylko aresztować całą rodzinę b. asesora dyrekcji kolejowej, Kurko, staruszków Dawidowskich i jeszcze kilku. Ciężarówki wypełnione ludźmi zaczęły opuszczać osadę, kierując się na dworzec kolejowy w mieście, gdyż na miejscu nie było odpowiedniej bocznicy.

Akcja pierwszego rzutu, rozpoczęta o świcie, zakończona być miała w ciągu pierwszej połowy dnia. Że jednak do tego czasu nie wykonano, jak to zadowcipkował przybyły na lotną inspekcję Raczenko, "nawet 25% normy!", przeto porozumiał się telefonicznie z urzędem NKGB i postanowiono w drodze wyjątku dalszą część akcji rozpocząć tegoż dnia przed zmierzchem, tym bardziej że nazajutrz wypadała niedziela.

Andrzej Bożek, spotniały i zmęczony zjawił się dopiero w obiadowej porze do domu. Zerwanemu tej nocy nagle z łóżka kazano wziąć ze sobą pistolet służbowy. Ale rozespany, śpiesząc się, nie mógł go, szukając po omacku, znaleźć tam gdzie zazwyczaj chował. Teraz, już od progu, wystąpił do ojca z pretensjami, że wszystko w domu jest do góry nogami, że nic, co położyć, nie leży na swoim miejscu, że gdzie jest pistolet, który miał schowany w środkowej szufladzie komody?!

Ten pistolet był dumą Andrzeja, dowodem zaufania i dowodem władzy. Wydany mu został za podpisem z jednoczesną instrukcją, że ma go trzymać w domu, dobrze ukrytym; pod groźbą kary surowej nie wolno mu go nosić ze sobą, chyba tylko na wyraźny rozkaz władz przełożonych. I oto dzień taki przyszedł, a pistolet gdzieś się zapodział. Prawda, że ostatnio nie widział go i nie sprawdzał od kilku dni, ale musiał być przecie tam gdzie zawsze, w środkowej szufladzie, na samym dnie, pod stertą haftowanych ręczników z grubego, wiejskiego płótna.

- Nie widział ja twojego pistoletu - powiedział ponuro ojciec. Sowińskiej, która, ugodzona do pomocy w gospodarstwie domowym, przychodziła dwa razy dziennie, nie było w domu. Wychodziła ona zaraz po zgotowaniu obiadu, ażeby wrócić na wieczorny udój.

Andrzej przekąsił tylko naprędce, jeść mu się nie chciało od rannego podniecenia nerwów i musiał śpieszyć z powrotem na posterunek. Odrzucił talerz, przeszedł do drugiej izby i słychać było, jak przewracał w niej wszystko, zaglądał pod łóżka, otwierał skrzynie, wreszcie wziął się do przeszukania po raz trzeci komody. Komoda była z sosnowego drzewa, kupiona jeszcze przed pierwszą wojną światową na dorocznym jarmarku. Malowana ongiś na naiwno różowy kolor, dziś doszczętnie wypłowiały, rozeschła się i nie poddawała się łatwo. Szuflady jej zacinały się, gdy je wyciągać niewprawną ręką, a tym bardziej gdy targać nimi w bezmyślnej irytacji. Od tego cała aż się chybotała. W pewnym momencie stary usłyszał stuk padającego przedmiotu. Wstał ciężko od stołu i podszedł do progu. - Pośrodku na komodzie stała zawsze spora figura Matki Boskiej z gipsu, w szacie niebiesko-białej, z rodzaju najtańszych dewocjonali, którymi przed laty handlowali domokrażni, wiejscy handlarze. Pierwszego roku ich pożycia, pamiętał, kupiła nieboszczka żona. Tyle lat! Teraz figura ta zachwiała się od gwałtownego ruchu komody, Andrzej chciał ją podtrzymać jedną ręką i nie zdążył. Gipsowa postać upadła na blat. Ażeby pokryć zmieszanie, krzyknął z przesadną złością do ojca:

- Papko schował!

- Na co mnie? Na co mnie ten twój pistolet?! - i stary powoli podszedł do komody.

Matka Boska leżała bokiem, jak zawsze z rozłożonymi wzdłuż szat rękami, odłupana od podstawki, na której pozostała stopa deptająca symbolicznego węża. Uszkodzony został również nos, przeświecając białą plamką świeżego gipsu, odbijającą czystością od zbrukanej latami powierzchni twarzy. Wziął do ręki figurę i w milczeniu, zaszępił przyglądał się rażącej bieli nosa. Odruchowo

spróbował potrząść go brudnym palcem. Syn odsunął się od komody, podciągnął spodnie na pasku i nie patrząc na ojca, jakby dla zatarcia przykrego wypadku, zmienił temat: poprosił, żeby ojciec, jak zobaczy stąd, bo widać dobrze drogę, Pawła, gdy będzie wracał wozem z pracy, z lotniska, bo on tam pracuje, żeby wtedy ojciec podszedł do sielsowietu i zawiadomił.

- Idź, idź! Szpiega sobie znalazł! Nie był ja nigdy syszczykiem i nie będę!

Andrzej przestępując próg zachnął się.

- Co to, widza, z nimi teraz trzyma!

- Kogo to, z nimi?

- Już ja wiem, co mówię.

- Idź ty, gadzina, idź ty... - nie dokończył, gdyż głos mu zadrżał z hamowanej pasji.

- Ja to moga pójść, owszem. Mnie nie bieda. A ot, żeby ojcu tylko, uważać, biedy nie było - odpowiedział Andrzej groźnie.

- Jakąż to biedę mnie sulisz*), a?

- Wiadomo, jaką. Co to, papko nie widzi, co robi się wokoło, czy co? Wszystko tylko o gospodaaaaarce swojej myśli i więcej nic. A tu o gospodarce przyjdzie się zapomnieć, o drugim za wszystkim pomyśleć. Teraz gospodarz, to kułak, ot, jaka rzecz wychodzi. A kułakom wiadomo gdzie miejsce.

- A, ty! Szczenie! A, ty, szczenie!... Ja dla kogo całe życie... - Zatkło go w gardle, a gdy tak stał, trzymając oburącz w spracowanych dłoniach gipsową figurę, żyły nabrzmiały mu na twarzy, twarz poczerwieniała od nabiegłej krwi po same siwe włosy nad czołem i nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, trzasnął raptownie figurą Matki Boskiej o podłogę!

Andrzej drgnął, spojrział z ukosa, ale dojrzawszy strasznie wyraziste białka ojcowych oczu, zmiłkł i wyszedł uderzywszy drzwiami. Stary stał przez chwilę oszołomiony, wciągnął w nozdrza kwaśny odór niewietrzzonej izby, powoli zgął się, ukląkł na ziemi i z pieczołowitością ją zbierał rozbite szczątki. To, co zebrał, położył na komodzie, ale później rozmyślił się, wyciągnął górną, małą szufladę i tam wsypał te resztki, między rupiecie. Odetchnął ciężko.

Onegdaj jeszcze postanowił skosić kawałek łączki za stodołą w sobotę. Przez niedzielę, planował, podeschnie sobie leżąc, a w poniedziałek zgrabi się w kopki. Ale nie do roboty mu było dzisiejszego ranka. Chyba teraz? Po południu! Wyszedł do sieni. Za belką pułapu, obok nieużytecznego ziela, zbieranego przez nieboszczkę żonę zeszłego lata, tkwiła zatknięta osełka do kosy. Tam też przed dwoma dniami, między to stare ziele schował był, wepchnąwszy, pistolet syna, który mu wpadł pod rękę w szufladzie komody. Dlaczego to zrobił, sam nie wiedział dokładnie. Ot, wziął i schował. I dlaczegoś też nie przyznał się, nie powiedział synowi. Po prostu tak się złożyło. Teraz sięgnął po osełkę i pomyślał: "Późno już kosić". I nagle zamiast osełki wyjął pistolet, odbezpieczył, zarepetował; dzierżąc lufą w dół wyszedł na ganek, na podwórko, zatrzymał się. - „Nie koło psiej budy”. - Równym krokiem poszedł wzdłuż stajni, nie patrząc na nic, jak tylko pod nogi. Z tyłu nie poznać by było po jego ruchach żadnego wzruszenia, ale twarz przybrała kolor ziemisty, szarej, sapowatej ziemi. Pod okapem wisiał na kołku stary chomąt roboczy, już przetarty, z wylażącymi na zewnątrz pakułami; zapomniał był wczoraj wnieść go do sieni; długi rzemień suponia zwisał i snuł się pod nogami. Stary zgął z trudem plecy i lewą ręką podniósł go, strzepnął, założył za obwód chomātu, minął stajnię, wyszedł na tył stodoły. Łączka była podrośnięta, rzeczywiście tylko ją kosić. Przy ścianie stodoły rośło trochę łąpuchów, kilka mleczy żółciło się jeszcze, tuląc do bierwion budynku, reszta już była w okrągłych puchach; dalej jaskry i sine dzwoneczki polne między liśćmi jasnoty podobnej do pokrzywy, zwyczajnie jak to pod stodołą... Kury grzebią... Ostatnim w oczach był pstry kogut...

Na huk strzału pies aż przysiadł na tylnich łapach, szczeknął krótko, później wyciągnąwszy najdłużej, jak mógł łańcuch, szyję i mordę, wietrzył w tamtym kierunku niespokojnie. Kury za

stodołę rzuciły się precz w popłochu, trzepocząc skrzydłami, ale zatrzymały opodał, ufając kogutowi, który osłaniał ich ucieczkę i pierwszy stanął, patrzył zdumiony, jak z roztrzaskanej czaszki pomiędzy kawałki mózgu i siwe włosy wylewa się krew. Bocząc, bocząc, kołował kogut, nie śmiejąc podejść bliżej, i mówił do trwających w bezruchu kur: "kwooo-kwooo-kwo-kwo..." Obchodził i patrzył: strząchnięty puch kilku mleczy osiadł na włosach leżącego. - "Kwooo-kwo..." - kogut bał się podejść i dziobnąć w kawałki mózgu, na co miał apetyt, a bał się

dlatego, że jedna ręka wyrzucona w trawie przed głowę wciąż jeszcze drżała; długo drżała ręka o krótkich spracowanych palcach i nabrzmiałych pod skórą żyłach; krew wylewała się dalej z rany, aż strumień jej dosięgnął tych palców i zwolna zaczął zastygać.

*) "Sulić" - obiecywać.

XXXIII

Budowa podziemnego lotniska wojennego wymagała skupienia przeogromnych sił roboczych i mechanicznych. Boczna droga okazała się w naprawie i Paweł, wyjechawszy z miasta, śpiesząc do domu, musiał się posuwać w natłoku pojazdów głównym odcinkiem szosy prowadzącej na lotnisko. Akurat w miejscu, gdzie zepsuło się jedno z aut transportowych i powstał zator, oddział funkcjonariuszy NKCB i milicji, z pistoletami automatycznymi przewieszonymi na szyi, lustrował ludzi ciągnących z miasta. Paweł zajęty podwożeniem w ścisku wozów, usłyszał, że go ktoś prosi o podwiezienie i zgodził się, nie odwracając głowy. Jego roboczy wóz nie wzbudził żadnego podejrzenia u funkcjonariuszy bezpieczeństwa. Gdy po pewnym czasie obejrzał się, to aż powiekami zamrugał w zdumieniu: przygodnym pasażerem okazał się Bogucki!

Mało się zmienił, brak mu było tylko okularów na bardziej opalonej niż poprzednio twarzy. Natomiast ubranie jego było stare, wypłowiałe na słońcu, koszula bez kołnierzyka. Zwrócił się do Pawła z dawnym, uprzejmym uśmiechem:

- Widzę, że to pan jedzie z pustym wozem, więc myślę sobie, że nie odmówi podwieźć mnie kawałeczek. - Przy sobie miał tylko małą paczkę, zawiniętą w gazetę i obwiązaną sznurkiem, co mogło robić wrażenie roboczego posiłku. Paweł w ciągu kilku sekund przyglądał się mu w milczeniu.

- Co się z panem działo? - zapytał wreszcie. - Dwa razy zachodziłem - powiedział, choć zachodził tylko raz jeden. - Znikł pan gdzieś. Pan wie, że...

- Ja wiem, ja wiem.

- Co pan wie?

- Wiem, że skończyło się wtedy nieudaniem.

- Taaak... - przeciągnął Paweł złośliwie - można to też nazwać: "nieudaniem"...

- No, cóż pan chce. Ryzyko było wasze. Panowie chcieli zarobić.

Paweł nie znalazł odpowiedzi, zmuszony znów skupić całą uwagę na omijaniu jadących. Po chwili dopiero zagadnął:

- A skąd pan wie?

- Dowiedziałem się.

"Posyłał na przespiegi" - pomyślał Paweł. W milczeniu dojechali do miejsca, gdzie w bok od szosy prowadziła gruntowa droga do cegielni a później przez las, ta sama, po której jesienią szedł z ojcem Serafimem. Paweł chciał zatrzymać się na rozstaju, aby dać wysiąść Boguckiemu, ale ten prosił o podwiezienie go jeszcze, twierdząc, że byle w tym kierunku, a którą drogą jest mu obojętnie.

- Ucieka pan? - spytał Paweł szorstko.

- Hm.

Glina, skamieniała na słońcu, o wyschniętych, głębokich koleinach nie pozwalała na szybką jazdę.

- No i co pan powie o tym, co się dzieje wokoło? - Bogucki poprawił się w wozie wstrząsanym na wybojach. - Czegoś podobnego świat nie widział jeszcze. A nie wiadomo też, czy uwierzy, jak mu się opowie.

Pawła trzęsła wewnętrzna febra niepokoju o Martę, o dom, o los własny i gotów był w tej chwili przeklinać słońce piekące, zmęczenie, pragnienie, wyboistość drogi, muchy, które dokuczały koniowi, konia, który co chwila przystawał, aby tylną nogą dosięgnąć gryzące go w brzuch owady. Machnął biczem z irytacją.

- Co powiem?! Powiem, że wszystko w porządku. Bolszewicy likwidują swoich wrogów. Co pan w tym widzi takiego, czego "świat nie widział"?! Co, ja albo pan, to nie wróg? A kto?!

Bogucki ze zdziwieniem spojrzał na mówiącego.

- Tu nie chodzi o pana czy o mnie - odparł - chociaż nawiasem mówiąc ja osobiście nie poczuwam się do żadnej winy, ale a tysiące, które...

- Tysiące wrogów! - przerwał mu Paweł. - Dziesiątki tysięcy, setki, miliony. No i co? No i co?!

- Nie rozumiem pana.

- Co tu jest do nierozumienia? Narzekamy na zakłamanie bolszewików, ale gdy oni raz robią to, co głosili jawnie od początku i czego nigdy się nie wyrzekali, że mianowicie zdruzgoczą każdą antysowieckość na świecie, nagle załamujemy ręce! Wkraczają do nas po to, żeby nas zniszczyć czyli z walką, z jaką od wieków wiecznych ktoś jeden nachodził drugiego. A my zamiast podjąć tę walkę kwilimy, że oni nie pozwalają nam całować ich w dupę! Albo że nie chcą zamykać oczu, że będziemy tylko udawać ich przyjaciół, fałszywych przyjaciół. Śmieszna pretensja! - "Czego ja się do niego czepiam"? - pomyślał, czując jednocześnie jak mu ślina wysycha w ustach. W uschłych badyłach nad brzegami glinianek cykały koniki polne. - Co to znaczy, co pan powiedział przed chwilą, że nie poczuwa się do winy? Względem kogo nie poczuwa się pan do winy? Względem bolszewików?! Czy pan rozumie, co pan mówi? Czy pan zdaje sobie sprawę ze swych słów?! Właśnie największą pańską winą jest, że nie poczuwa się pan do winy! Obowiązkiem pana jest poczuwać się do winy względem wroga! A pan by pewnie chciał zamiast tego jakąś lukratywną posadkę, co? Na przykład w sowieckim banku, co? Wolał przypłaszyc się, zmienić skórę, na pewien czas, co? - "Czego ja chcę od tego człowieka??"...

- A pan?

- Ja! - wykrzyknął Paweł bezmyślnie. Dojechali do lasu właśnie.

- No, ja podziękuję pięknie - powiedział Bogucki - i stąd pójde piechotą. Może pan z łaski swojej zatrzyma na sekundę.

- Prrr!

- Dziękuję. Dziękuję też za pański wykład, szkoda tylko, że jestem za stary już na wysłuchiwanie podobnych lekcji.

- To nie mnie niech pan dziękuje za lekcje... Przekazuję panu tylko słowa tego, który jeździł po pański skarb i zginął. Słowa, które, widzę dziś, więcej są warte niż pańskie durne złoto!

- Już wolałbym, przyznam szczerze, żeby mi przekazał raczej złoto. Żegnam.

Paweł nie odwrócił się nawet, usłyszał tylko, że gdzieś za nim, w lesie, trzasnęła sucha gałązka pod nogą Boguckiego, i nie myślał o nim. Myślał o czym innym, myślał, że tak nie powinien wracać, że raczej powinien ukryć gdzieś wóz, zbliżyć się do domu piechotą, niepostrzeżenie, wywiedzieć... W

każdym razie postąpić inaczej, nie tak jak na codzień... Myślał, że oto może w tej chwili nie ma już własnego domu ani niczego... Że Marta może już jest aresztowana albo błąka się gdzieś... Ale tak myśląc nie mógł sobie jednocześnie tego uprzytomnić dość wyraźnie, po prostu wyobrazić, i jechał dalej drogą, otwarcie, poganiając coraz tylko konia, z głośnym turkotem kół wzbijając tuman kurzu.

W istocie to, co zastał było podobne do tego, czego się podświadomie spodziewał: Martę rozczochraną, z sinymi kręgami pod oczami, postarzałą nagle, bladą i zbrzydłą. Za przegrodą chlewu kwiczały głodne świny. Bezląd. Kury bezkarnie grzebały w grzędach jarzynowych. Pośrodku podwórka leżała porzucona konewka. Ale dom stał. Był.

- No i gdzieś ty się włóczył cały dzień ! - krzyknęła Marta na powitanie. - Nie wiesz, co się dzieje?!

W domu, na podłodze, porozrzucane były rzeczy, stało kilka otwartych walizek, wśród nich, na krześle dławczego, balowe pantofle o bardzo wysokich obcasach, nie nadające się na wymianę. Szafy - pootwierane, a z szuflad wysterczały rozmaite rupiecie. Wszystko robiło wrażenie nieładu tak doskonałego, że niemal sztucznego. Paweł nie mógł się oprzeć wrażeniu, że żona w rozpaczy i gniewie, może podświadomie, ale w intencji, przygotowała na jego przyjazd ten smutny widok. - "Chce uciekać" - przechodząc kopnął bez złości leżący mu na drodze garnek miedziany.

- Dokąd? - zapytał i usiadł bezradnie.

Nie odpowiedziała. Nachyliła się nad do połowy wypchanym koszem ruchem bezmiernej rozpaczy. Przez otwarte okno wdierał się zapach ciepłej ziemi i rozgrzanych na słońcu jarzyn.

Wskazówki zegara pokazywały za dziesięć minut siódmą wieczorem, gdy Marta zdjęła go z kredensu i postawiła na stole. Paweł wstał, podszedł do okna i przysłuchiwał się ciszy.

- Zegar też chcesz wziąć? - powiedział cierpko. - To może i krzesło, i kanapę!

Marta opuściła ręce, patrzyła nań przez chwilę i nagle wybuchnęła:

- Więc, co ty chcesz, ty?! Powiedz, co ty chcesz?! Co ty chcesz robić?!

- Nic nie chcę - odparł ponuro.

- Jezus, Maria! Przecież postanowiliśmy... Przecież sam mówiłeś!... Stoisz z założonymi rękami... Boże święty! Co ty chcesz, co ty chcesz? Mieliliśmy uciekać!

- Dokąd uciekać?

- Ja chyba oszaleję! Dokądkolwiek uciekać! Ja nie chcę iść do więzienia ani do obozu! Jeżeli ty zostajesz, to powiedz, ja sama ucieknę! - upadła na krzesło, ręce złożyła na stole i głowę ukryła w rękach. - Wszystko przez ciebie! Przez tę twoją przekłątą niezaradność!

- Więc co mogłem zrobić?! - krzyknął w pasji odchodząc od okna. - Stalina zamordować?!

- Dlaczego inni mogli. Dlaczego inni już dawno mogli coś wymyśleć! Ileż to ludzi przedostało się do Prus, do Szwecji, ja nie wiem gdzie! Wszystko jedno zresztą co, coś robili, coś kombinowali, jakoś się urządzali, asekurowali, tylko ty jeden jak idiota trzymasz się tego przekłanego domu!...

- To ja się trzymam przekłanego domu! Ja?! A jak przychodzili po mnie, wzywać mnie... Wówczas co?! Nie pamiętasz! Myślisz, że ja nie widziałem, że tobie żal było tych kur przeklętych, tych świń czy innego ścierwa! - Pchnął jakiś koszyczek, który spadł na ziemię rozsypując drobiazgi. - Ty myślałaś, że ja nie widziałem, nie czułem tego! A mogłem już nigdy nie wrócić!...

- Ja chciałam z tobą iść, a tyś nie chciał, przecież sam mówiłeś...

- Mówiłem, mówiłem. Ty dobrze wiedziałaś... - urwał, przeszedł się po pokoju, umyślnie potrącając rozmaite przedmioty. Przystanął, znowu tępo patrząc w okno.

- Zresztą, teraz też nic jeszcze nie wiadomo.

- O Boże, jeszcze tobie mało! Wszystkich wywożą! Więc powiedz: chcesz czekać jeszcze?

Milczał.

- Odezwij się!

- Ty śmiesz wypominać mi, że, inni coś kombinowali", że "inni się asekurowali"! Ty? A kto mnie przeszkodził, gdy ja chciałem właśnie "urządzić się"? Kto mnie przeszkodził, gdy chciałem się o coś zaczepić, coś robić, jakoś asekurować, bo ja wiem... Gdy mogłem jeszcze... - Nie dokończył. Nie wiedział, jak ma dokończyć. Czuł, że mówi tylko przez złość i łże, strasznie łże, że nic nie mógł i że nic by przecie nie pomogło, że przekonał się o tym przed chwilą w mieście, że okłamuje Martę dlatego, iż ona nic nie widziała z tego, co on. Łże, łże i zamilkł zaciskając pięści.

Twarz Marty wyrażała straszną nienawiść, gdy zaczęła mówić urywanym głosem:

- Ja ciebie nie namawiałam, żebyś jeździł z przemytem! Ja ciebie nie namawiałam, żebyś sobie brał jakąś dziwkę! Ja nie namawiałam, żebyś prowadził jakieś ciemne interesy, żebyś włóczył się z jakimiś typami w rodzaju... Nie namawiałam ciebie do żadnych twoich kryminalnych sprawek!

- Jakich znowu kryminalnych sprawek? - Skrzywił się. - Co ty mówisz? W takiej chwili... Marta. - Bezwiednie uderzył w ton żalony.

- Właśnie, właśnie, w takiej chwili!

- Cóż nam pozostaje w takim razie...

- O to chodzi, że nic! Że nic nam nie pozostaje! Tylko o sobie potrafiłeś całe życie myśleć, tylko o sobie, co tobie w danej chwili podoba się lub nie podoba! Dlaczegoś nie zapłacił tej głupiej pożyczki na armię czerwoną?! Bo tobie się po prostu nie chciało...

Paweł, który zatrzymał się pośrodku pokoju osłupiały, teraz zrobił krok naprzód i wybuchnął:

- A ty, dlaczegoś nie wywiesiła czerwonego sztandaru?! Gdy wszyscy wieszali!

Marta zaczerpnęła tchu.

- Ach, to tak! To tyś dlatego ulotnił się z domu, żeby mi zostawić wolne ręce... To tegoś po mnie się spodziewał, tak?! A teraz, to ja mam być: winna!!

- Idiotka, przecież pojechałem do dentysty... - nie mógł dokończyć, gdyż przerwał mu spazmatyczny krzyk Marty:

- ...Ja nie chwytalam cię za rękę. gdyś odmówił w NKGB podpisania!... - I nagle zamilkła. Podniosła głowę, jakby budząc się z zamroczenia i patrzyła rozszerzonymi z przerażenia oczami w twarz męża, tak zdumiona własnymi słowami, jak gdyby oczekując, że on jej wyjaśni ich treść, wytłumaczy, skąd się mogły wziąć?... Ale on tylko otworzył usta i pozostał przykuty na miejscu. Nastąpiła cisza, poprzez którą leciała jedynie z brzękiem osa, która zbłądziła do pokoju i ze ślepym uporem ją uderzała o szybę. Oni stali jeszcze chwilę, patrząc na siebie w niemym zdumieniu, jakby się nawzajem nie poznając. Paweł zrobił kilka kroków ku żonie, a ona, jeszcze nie rozumiejąc, odruchowo uniosła lewą rękę, zupełnie jakby się spodziewała ciosu, ale on pierwszy zrozumiał i tylko objął ją ramieniem.

- Ja... ja... - wybuchnęła szlochem - ja się boję! Ja chcę żebyś mnie ratował!

"Tu, tu-tu, tu!" - zatrąbił zbliżający się samochód. Marta obydwie ręce przytknęła do ust, zatykając nimi łkanie, gryzła palce, nie czując bólu, a łzy pociekły jej przez te palce. Paweł prawą ręką trzymając żonę, lewą uchwycił się poręczy krzesła. Jak niewinne wydały się w tej chwili te straszące kiedyś po nocy samochody, gdy prawdopodobieństwo, że miną, było tak duże! Bo ten samochód... Krople potu wystąpiły mu na czoło, twarz skurczyła się jak do płaczu, ale był to tylko skurcz największego skupienia. Zdawało się serce stanęło, a razem wszystko, i tylko jeden samochód jechał. Minął.

Marta odjęła ręce od ust, a jemu zwolna zaczynało znów bić serce, choć stał wciąż bez ruchu. Owszem, Paweł przypomina sobie teraz doskonale te wszystkie razy, gdy wypowiadał się za

ucieczką, gdy obiecywał, że on przynajmniej nie da się wziąć tak gołymi rękami jak śnięta ryba. Naturalnie że tak mówił. Pamięta twarze ludzi, do których to mówił. Pamięta twarz Marty w one czasy, jeszcze spokojną, z uśmiechem zaufania na ustach. Jak to łatwo było mówić takie rzeczy! Ach, jak łatwo w tych dobrych czasach sprzed kilku miesięcy... Sprzed kilku dni nawet... Wczoraj jeszcze... Przypomniawszy sobie, że dziś jest sobota i należy mu się tygodniówka od leśniczego... Dokąd, dokąd uciekać? Wszystkie drogi zamknięte, wszystkie granice zamknięte. - Machnął ręką i... raptownie, jak to się zdarza czasem w życiu, ten jego ruch pozbawiony znaczenia wyzwolił sparaliżowaną dotychczas energię, przywrócił mu niespodziewanie wewnętrzną równowagę. Odetchnął, przeszedł się po pokoju i zaczął prędko, ale spokojnie i dokładnie dysponować, układać plan:

"Dziś już pewnie nie przyjdą, aż w nocy albo o świcie. On zaraz napoi i nakarmi konia, wysmaruje wóz, wymości, przygotuje wszystko do odjazdu. Trzeba zabrać wszystek owies dla konia, trochę mąki i siana. Marta niech przygotuje co ma z zapasów żywności i niektóre rzeczy. Do dużego kosza. Tylko najpotrzebniejsze. Kozuchy, ubrania itd. Nie zapomnieć łańcucha, siekiery, bo się może przydać w drodze. Wszystko trzeba robić bardzo prędko, ale nie biegać po podwórku, nie stwarzać nastroju popłochu, żeby nikt z sąsiadów nie zauważył".

- A dokąd uciekniemy? - spytała cicho.

- To później, to później...

- Słuchaj - podeszła wycierając łzy - ja chciałam ci jeszcze powiedzieć, że to wszystko co mówiłam przed chwilą...

- To później, to później... Nie zapomnij wiadra.

- A możeby jeszcze nakarmić zwierzęta? Po raz ostatni...

- Jeżeli zdążysz. Ale to później, to później...

Gdy już wszystko było przygotowane i spakowane, Paweł wyprowadził konia, założył do wozu i rzuciwszy wokół okiem, wymiarkował miejsce, gdzie będzie najmniej widoczny. Spojrzał w niebo. Słońce zachodziło, już prawie dotykało górnej granicy lasu. Zaraz zacznie się mrok. Ach, teraz już trzeba bardzo szybko - myślał, i nie wytrzymując naprężenia prawie pobiegł do domu. Marta stała już ubrana do drogi. Weszli do pokoju po kosz.

- Pomóż mi go trochę podciągnąć, powiedział Paweł, nachylając się ujął za chwyt... I właśnie w tej chwili stuknęła furka! Usłyszeli, jak pies wyskoczył z budy, zatargał łańcuchem, głośno ujadając. - "Za późno"!

Paweł puścił kosz i wyprostował się bardzo powoli. Marta przypadła do niego, ukrywając twarz na jego piersi; coś szeptała, czego nie dosłyszał, później chciała go pocałować.

Mówił do niej:

- Cccicho, ccicho. Cccicho moja... - i gładził po włosach.

Zbliżały się bardzo szybko czyjeś kroki, zdążył jeszcze zdziwić się, bo mu się wydały lekkie i pojedyncze, ktoś ujął za klamkę, ktoś otworzył drzwi, drzwi, które otwierają się z takim znanym skrzypnięciem. Na progu stanęła Weronika.

Spojrzała na nich, jak byli przytuleni jeszcze do siebie, zamrugła rzęsami, przeniosła wzrok na nieład w mieszkaniu i powiedziała ochryple:

- Idą po was.

XXXIV

Ciężarówka, która minęła dom Pawła, była tą samą, która zajechała przed zarząd sielsowietu.

Enkagebiści zeskoczyli z niej, z lubością odprężając zasiedziały nogi.

- Zgasić motor? - zapytał szofer.

- Zgaś.

Z okna patrzył Andrzej Bożek, który na nich czekał. Zza jego pleców wyglądała twarz Drużki. Franciszek spod Lasu miał już być, ale czemuś się spóźniał.

Tego ranka Wincenty Rojkiewicz dał Bożkowi 5 tysięcy rubli tylko w zamian za uprzedzenie go zawczasu, czy znajduje się na liście osób przeznaczonych do deportacji. Natomiast obiecał jeszcze 10 tysięcy, czyli razem 15 tysięcy rubli, jeżeli go potrafi uratować i skreślić z tej listy. Bożek słuchał propozycji dla zachowania pozorów posępnie, pięć tysięcy przyjął, przeliczył i wsadził do tylnej kieszeni spodni. Później zastanowił się i obiecując, że zobaczy, co się da zrobić, mrugnął jednocześnie znacząco, dając do zrozumienia, że następne pieniądze weźmie nie dla siebie a na ewentualną łapówkę dla Raczenki czy kogoś z NKGB. Mrugając w ten sposób wiedział doskonale, że przekupić nikogo z nich się nie da, że będą się bali przyjąć, a przede wszystkim, że on, Bożek, będzie się bał, i nawet nie ośmieli się nigdy z takim zamiarem wobec nich wystąpić. Ale, kombinował, że jeżeli istotnie Rojkiewicza nie będzie na liście, uda przed nim, że to on go wyratował. Tym bardziej, że w sprawie nacjonalizacji domu istotnie potrafił nakłonić po swej myśli komisję, do której wówczas sam należał. Naturalnie, nie porównać tamtej sprawy do tej, ale Rojkiewicz musiał nabrać już doń zaufania.

- Dobra! - zakonkludował wreszcie i pożegnał się krótko. - "Ot, żyła" - myślał, idąc szybko do sielsowietu. - "Ma tych pieniędzy jak lodu!"

Rojkiewicz, handlarz wytrawny, nie był oczywiście na tyle głupi, ażeby nie przewidywać możliwości tego rodzaju kombinacji ze strony Bożka, ale w obecnej sytuacji myślał: "Co można zrobić? Co można innego zrobić?".

Na liście pierwszego rzutu deportowanych nazwiska Rojkiewicza nie było. A więc Bożek, gdy po południu, po kłótni z ojcem wyszedł od siebie z domu, skierował się wprost do Wincentego. Był podniecony możliwością wyłudzenia odeń tak dużej sumy pieniędzy, z drugiej jednak strony obawiał się, że postępuje może zbyt szybko i choć młody temperament i brak opanowania przynaglały jego kroki, nie był pewien, czy Rojkiewicz zechce mu uwierzyć, że w ciągu kilku godzin już zdążył całą sprawę załatwić. ("I to jaką sprawę!") Ale Rojkiewicz był człowiekiem doświadczonym w sprawach tak zwanych delikatnych, jak się już z rana o niej wyraził. Wiedział, że wszelkie targi w podobnych wypadkach równie są nie na miejscu, jak, przeciwnie, nieodłączne są one od kupna krowy czy świni. Bez słowa wyszedł tedy do drugiego pokoju, wydobył ze skrytki pieniądze i wróciwszy wręczył Bożkowi. Ten nie liczył tym razem. Był po prostu zaskoczony, prawie po dziecinnemu ucieszony i mimo wysiłku nie potrafił pohamować objawów tego zadowolenia; zatracił też postawę sztucznej powagi i stanowczości, którą był przybrał, gdy wchodził przed chwilą. Pokręcił się po izbie i zatarł ręce.

- Wypić by nam z tobą, Wincenty, należało po służbowemu, a to i po litrze. Na twoje szczęście. Tylko że, szkoda, czasu nie ma. Zaraz robota będzie.

- Czy znowu przyjadą? - spytał Rojkiewicz odwracając twarz i hamując drżenie głosu. Wygląd miał dziś szary i wymięty, jak po niewyspanej nocy.

- A jakże! - odparł nieomal wesoło Bożek. I prawie nie zniżając głosu poufnie, jak swemu, zdradził tajemnicę, kogo mają brać pod wieczór, a w pierwszą kolejkę tego... Wiesz, podmrugnął. - Uważał, iż wiadomość o tym, że Pawła wywiozą, należy się Rojkiewiczowi jako dobra nowina za tyle pieniędzy.

Rojkiewicz westchnął.

Weronika w tej chwili stała za drzwiami i podsłuchiwała z prostej ciekawości. Bożek mówił jeszcze w ciągu kilku minut, a gdy wyszedł wreszcie, narzuciła chustkę na ramiona i wymknęła się z domu.

- Wercia! - zawołał za nią mąż łagodnie, gdyż od czasu jej powrotu z puszczy, z Popiszek, starał się być dla niej dobry. - Ty dokąd?

- Ja do Heli. Nici pożyczyć.

- Patrzaj, teraz może lepiej nie chodź... I po co tobie teraz nici te?

- A cóż to "teraz"? Z ulicy wezmą mnie czy co? - Poszła.

Rojkiewicz postął chwilę w progu. Żona szła nie śpiesząc w kierunku kooperatywy, do centrum osady i znikła z oczu niebawem. Za zakrętem wzięła w prawo, przebiegła opuszczony cudzy ogród, przelazła przez przełaz z drugiej strony i zbliżyła się niepostrzeżenie do sielsowietu właśnie w chwili gdy nadjechała ciężarówka.

Raczenko zarządził, aby zaniechano poprzedniego procederu podjeżdżania od razu autem pod dom deportowanego, a to dla uniknięcia ewentualnego zbiegowiska ciekawych. Auto powinno pozostać przy zarządzie wiejskim, a na miejsce udaje się tylko ekipa wyznaczona do przeprowadzenia aresztowania. Dopiero gdy formalności zostaną załatwione, rzeczy spakowane, pozostałość spisana, podjeżdża ciężarówka i zabiera ludzi, możliwie nie robiąc zbytniego hałasu. Do wieczora już wszyscy we wsi wiedzieli, że tak musi być, bo taki jest porządek.

Weronika, stojąc w cieniu wielkiego świerku, widziała dokładnie, jak wchodzili i wychodzili czegoś ludzie z sielsowietu, jak jeden enkagebista odlał się na uboczu i zawrócił szeroko rozstawiając nogi, słyszała urywane głosy, czyjs krótki śmiech; zapalanie papierosów, trzaśnięcie drzwiczek w kabinie szofera i całe to czysto męskie zachowanie. Odwróciła głowę, spojrzała na czarnozielony świerk, który rósł nad nią, przeświecając czerwienią zachodu i pomyślawszy, że słońce zachodzi na wiatr, cofnęła się kilka kroków pod obwisłe gałęzie. Stąd w dalszym ciągu nie spuszczała wzroku z ganeczku sielsowietu, nie mając w głowie żadnego planu ani konkretnego zamiaru, sama nie zdając sobie sprawy, po co tu stoi i na co właściwie czeka z takim napięciem. Dopiero gdy po schodkach zszedł pierwszy Bożek, za nim trzech przybyłych, później Drużko, a na samym końcu Franciszek spod Lasu i uformował się rodzaj pochodu, który wolno wyminął stojące im na drodze auto, zawahała się. Był to rodzaj wahania dosłowny, podobny do ruchu cienkiego drzewa, które wiatr zakołysze raz w jedną, raz w przeciwną stronę; a więc Weronika zakołysała się lekko w talii, dostrzegła jeszcze, jak Bożek rzucił niedopałek papierosa, i wtedy nagle, cicho się przesunęła wokół pnia i pobiegła co tchu na przełaj, tyłami ogrodów, później przez las, łapiąc i ścisząc zarazem oddech, wprost do domu Pawła. Gdyby mogła szeptać w tym biegu do siebie samej, byłyby to zapewne słowa wypowiedane z wyrzutem: "Za późno, za późno, Weronika!"

Tamci szli drogą. Doświadczenie mówi bowiem, że wszelkie przekradanie się bokami odbiera akcji należną jej powagę i budzi tylko niepotrzebną panikę. Gdy minęli kościółek, plebanię i znacionalizowany pod "Dom Dziecka" dawny dom Dawidowskiego, stojący ciągle pustką, z którego rozkradano stopniowo drzwi i ramy okienne - gdy wyszli na dużą drogę, przy której w lesie mieszkał Paweł, ujrzeli jak im naprzeciw biegnie jakaś kobieta z rozwianym włosom. Była to Sowińska.

- Zamordowali! Zamordowali!! - krzyczała z daleka. Starszy grupy przystanął, zmarszczył brwi i spytał ostro:\

- Kogo?

Sowińska dobiegła zdyszana: - Baćki twego zamordowali! - wołała wprost do Bożka i nie patrząc na innych. Bożek zbladł jak chusta.

Było tak, że gdy Sowińska, jak co wieczór, przyszła do Bożków, zastała drzwi domu otwarte, a na podwórku zwrócił jej uwagę pies przy budzie, który siedział nieruchomo na wyciągniętym łańcuchu, z napięciem węszył w jednym kierunku i skomlił przy tym w krótkich odstępach. Od razu ją tknęło, że stać się musiało coś niedobrego. Zaczęła szybko obchodzić całe gospodarstwo, ale dopiero po dłuższych poszukiwaniach zobaczyła trupa za stodołą.

Wszystko, co żyło dokoła, gromadziło się już przy tym, który przestał żyć. Muchy duże i matowo czarne, a także mniejsze o metalicznym połysku, obsiadły oczy i krzepnącą we włosach krew. Rozpychając żdźbła zielonej trawy gramolił się z trudem jakiś żuk. Do kącików ust lazły mrówki. Trzy jaskółki, nisko latając tam i na powrót, łapały muchy. Wróble na wystającej krokwi omawiały głośno zdarzenie, przechylając łebki. Kury rozdziobały już kawałki mózgu. W odległości pięćdziesięciu kroków na samotnej wśród łąki brzoźce przysiadła wrona; czekała cierpliwie, ozierając się na wszystkie strony, nieufna, podejrzliwa i zła zarazem na krzyk, jaki wokół niej wyczyniały szpaki, których była wrogiem; słaba gałązka ugiwała się pod jej tłustym ciężarem, a ona wciąż jeszcze nie mogła się zdecydować. Tymczasem słońce wchodziło już do rządowego lasu, zamykającego zachodni horyzont.

Bożek, usłyszawszy od Sowińskiej straszną nowinę, nie oglądając się na towarzyszy, pobiegł wprost do swojej chaty. Starszy w grupie zawahał się tylko przez chwilę; zabójstwo ojca sekretarza sielsowietu było zdarzeniem bardzo poważnym. Uczynił tedy zdecydowany ruch głową:

- Pójdziemy, - powiedział krótko i ruszyli za Bożkiem.

Zastali go klęczącego wśród wymiętej trawy, z drgającymi w szlochu plecami, pochylonego nad trupem.

- Papka! Papka! - przemawiał z cicha, ostrożnie wstrząsając trupem za ramię, jakby go chciał obudzić. - Papka... - Rękawem roztarł łzy po twarzy, ale nowe ciekły mu z oczu. - Za co? Za co? Powiedz za cożesz? Papuśka... - i zaczął głośno płakać jak dziecko.

Ludzie z NKGB postali milcząc. Jeden z nich dostrzegł pistolet, nachylił się i podnosząc mruknął:

- To chyba on sam, jak widać. Sam ze sobą skończył.

Z tyłu dochodzili zwlekając przewodniczący sielsowietu, szewc Drużko, i Franciszek spod Lasu.

- Podnieść zwłoki i zanieść do chaty - rozkazał starszy grupy.

Weronika jeszcze stała na progu we drzwiach domu Pawła, gdy zauważyła przez okno grupę ludzi na drodze. Chciała coś krzyknąć, ale w następnym momencie dostrzegła, że idą nie tu, a skierowali się wyraźnie ścieżką w prawo, co mogło tylko oznaczać, że poszli do zagrody Bożków. - "Wódkę im chyba będzie stawiał czy co?" - przemknęło jej przez głowę, ale nie było nawet czasu, aby się podzielić tym nieważnym szczegółem. Bo nade wszystko na świecie ważnym w tej chwili był fakt, że jeszcze nie za późno!

- Poszli tam! - machnęła ręką. - Prędkiej! - i chwyciła za kosz. Paweł nie wymówił słowa, porwał z drugiej strony i powlekli. Marta przodem, otwierając drzwi na oścież. Nikt nikogo o nic nie pytał. Słysząc było wyłącznie ich oddechy przyspieszone. Dopiero na podwórzu Marta zawołała półgłosem:

- Boże! zapomniałam wiadra! - i pobiegła do studni.

Weronika pomogła władować kosz na wóz. Paweł nerwowo kiełznał konia, starając się nie patrzeć na drogę. Marta wracała już z wiadrem.

- Weronika... - szepnął. - Weronika, ja nigdy... ja nigdy nie porzucę swojej żony. Wiesz?

- A czy ja co mówię? - odszepnęła ciągle tym samym zachrypłym jeszcze głosem.

Marta siadła na wóz. Otwarli bramę. Wtedy Weronika zdecydowanym ruchem podeszła od tyłu, wskoczyła po żerdzi wozu, przekroczyła, zadzierając spódnicę powyżej kolan, tylnie siedzenie i siadła obok Marty. Nikt nie powiedział słowa. Nikt nie oglądał się za domem. Tylko już w bramie, Paweł raptem wstrzymał konia, zeskoczył, podbiegł do drabiny opartej o dach, wbiegł po szczeblach i przeginając się całym ciałem w bok, sięgnął pod trzecią dachówkę z lewa. Miał tam pistolet, który mu kiedyś zostawił do przechowania Tadeusz, a o ukryciu którego nie powiedział nawet Marcie. - Wrócił biegiem, wepchnął go w słomę pod nogami przedniego siedzenia i chwycił lejce. Ściemniało się. Skręcili w piaszczystą dróżkę wzdłuż płotu, otaczającego ogród. Weronika

nasunęła chustkę głęboko na oczy, dla ukrycia twarzy, ale zerknęła w bok i zauważyła szeptem:

- Tak późno i kartofli jeszcze nie podorywali?

- Jeszcze nie - odparła Marta. Paweł kierował na drogę do widniejącego w oddali zagajnika. Koła chrzęściły po piasku. Koń sapał. W tej chwili do uszu ich doszło krótkie szczeknięcie i bezpośrednio potem długie wycie; i znowu: dwa szczeknięcia i długie wycie. To płakał pies przywiązany łańcuchem do budy. Paweł przynaglił konia. W oknach najbliższych chat mignęły ciekawe twarze, usiłując w zapadającym zmroku rozeznac jadących. Chłodniejszy powiew wiatru, pierwsza zapowiedź zbliżającej się nocy, przyniósł teraz wyraźniej od strony domu smutne zawodzenie psa. Paweł odwrócił się raptownie do Marty:

- Czyś ty nie zapomniała skrzyneczki z tytoniem, co stała na półce?

- Wzięłam.

Zjechali z pochyłości, wciąż po piasku głuszącym turkot. Dojechali do zagajnika; skrył ich on ostatecznie z oczu wsi. Przejechana droga leżała za nimi pusta. Nikt nie gonił, nikt nie wołał. Nawet daleka skarga psa rozplynęła się ni to w ciszy letniego wieczoru, ni to w dalekich poszczekiowaniach innych psów.

Z zagajnika rozchodziły się drogi na otwartą przestrzeń między pola zasiane żytem. Zatrzymali się więc, aby dać zgęstnieć mrokowi. Po czym skręcili w lewo w kierunku rządowego lasu.

Było już zupełnie ciemno. Zapach kwitnącego żyta, kurzu i polnych ziół pozostał w tyle. Na zmianę pociągnęło wilgocią mchu i upajającym odorem żywicy. Koła zaczęły podrzucać na nierównościach korzeni, trzeba było przejść na stępa.

Jechali już może z godzinę i w lesie mrok stawał się coraz bardziej nieprzenikniony. Nagle Paweł odczuł poprzez lejce leżące na bokach końskich charakterystyczne drżenie skóry i w tejże samej chwili usłyszał szelest kroków przed sobą. Zanim zdążył dostrzec w ciemności, kto idzie, prosto w oczy błysnęło mu światło ręcznej latarki, zatrzymało się na sekundę i zgasło. - "Zasadzka"! - ledwo pomyślał i raptowna fala rozpaczliwej determinacji uderzyła mu do głowy i zaślepiła bardziej niż poprzedni błysk latarki; szczęki zacisnęły się w skurczu aż do bólu, błyskawicznie przesunął bat do lewej ręki i, nachylając się, prawą sięgnął do słomy, gdzie pod nogą wyczuwał pistolet... Naprzeciw zbliżyła się pojedyncza postać, postukując prętem po cholewach; nikogo więcej nie było wokół widać.

- W drogę, znaczy się?... usłyszał przeciągający słowa, znajomy głos leśniczego.

Paweł gwałtownie wstrzymał konia, ręką, która teraz dopiero zadrżała z emocji, śpiesznie wetknął pistolet z powrotem, popychając go obcasem w słomę, wyprostował się i odetchnął pełną piersią.

Leśniczy przystanął: - Uhum... No, cóż... Nic nie poradzisz.

- No, a pan? - zapytał Paweł.

- Ja? Ja, ot, sobie urzęduję. Leśniczego praca w lesie - zaśmiał się krótko.

- Z miejsc pracy też zabierają - zażartował Paweł przez zęby.

- Owszem, niech przychodzą... - Zatoczył ręką krąg W ciemność dokoła. Po czym oparł się łokciami o drabinkę wozu, obojętnie rzucił wzrokiem na siedzące z tyłu kobiety i odchrząknął, jak to się czyni w poszukiwaniu nowego tematu, gdy poprzedni został już wyczerpany. - Aha... - podjął - ot, jaka sprawa przy okazji spotkania: panu tygodniówka należy się, tak? I w tę sobotę, to znaczy dziś, też woził podkłady? Tak? - Nie czekając odpowiedzi cofnął łokcie z wozu, pręt wsadził pod pachę, drugą ręką sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki, wydobyl z niej zwitek pieniędzy, nie licząc wydzielił plik banknotów i wręczył Pawłowi. - Proszę.

Paweł trochę niezgrabnie, mnąc palcami pieniądze, wziął je do ręki, rozpoznał ze zdziwieniem banknoty po trzy czerwonce, chciał coś powiedzieć, ale leśniczy zrobił już krok w tył i zawrócił

swoim zwyczajem bez pożegnania.

- Za dużo! Leśniczy! - zawołał za nim, odwracając się w ciemności. Ale nie było odpowiedzi. Kroki tamtego zanikały już, głuszone przez mech leśny. Paweł w półobrocie ku tyłowi czekał chwilę, a później uczynił ruch, jakby zbierał się jeszcze zawołać, ale Weronika szepnęła:

- Cicho. Jedziem dalej.

Pojechali. Dopiero po przebyciu lasu, gdy zbliżając się do przeciwnego skraju ujrzeli gwiazdy nad łąkami, nad mgłą z nocnej wilgoci powstałą, Paweł po raz pierwszy zapytał głucho:

- Dokąd? - Patrzył przed siebie i nie zwracał się do nikogo, ale rozumiało się samo, że pytanie skierowane było do Weroniki.

- Przez rzekę - powiedziała. - Do puszczy. Już ja wiem, dokąd.

Pawłowi się wydało, że w intonacji jej głosu rozpoznaje nutę tryumfu, która w tej chwili mogła być już tylko wątlm echem jej tajonych pragnień.

XXXV

Gdy wieczorem, owego 14 czerwca, Weronika powiedziała mężowi, że zajdzie do sąsiadki pożyczyć nici i gdy on w słabych, grzecznych słowach usiłował ją zatrzymać w domu, czuł jednocześnie, że nie są to słowa odpowiednie. Powinien zabronić i już. Krzyknąć. "Ach, dlaczegoż tego nie uczynił!" - wyrzucał sobie później. Była to naprawdę Straszna sobota, ten pierwszy dzień masowej deportacji. Czyżby zapomniał, że nieszczęścia chadzą zazwyczaj razem jak było w stadzie?

Tymczasem w zagrodzie Bożków starszy grupy po złożeniu zwłok Feliksa na łóżku zostawił na miejscu Andrzeja, zupełnie roztrzęsionego nerwowo, oraz jednego ze swych ludzi, z pozostałymi zaś kazał się prowadzić Drużce do domu Pawła.

Brama była otwarta na oścież. Drzwi do domu uchylone. Pusto. Do stajni nawet nie zaglądali: jej czarniejszy od zmroku otwór upewniał, że żaden tam w tej chwili koń nie żuje owsa. Nie było wątpliwości: uciekli. Ani Drużko, ani Franciszek spod Lasu nie śmieli wypowiedzieć na ten temat swego zdania. Wrażenie tego domu przytłoczyło ich wyobraźnię: oto człowiek otworzył bramy w ciemną noc i zostawił tyle dobra za nic; powiedział: bierzcie! A przecież każda rzecz ma swoją cenę, każda prawie przyda się w gospodarstwie; chociażby ta łyżka, na którą nastąpił Franciszek, schylił się, podniósł i cicho położył na stole jak przedmiot przynależny umarłemu. W ciemności cykał zegarek. Obok widniała jasna plama kalendarza ściennego. W pokojach czuć było jeszcze zapach żywych ludzi, którzy kilka chwil temu tu mieszkali. Inni dotychczas do ostatniej chwili, trzymali się kurczowo swego dobytku. Ten uciekł. Wielka odpowiedzialność spadała za to na Antoniego Rymaszewskiego.

Ola Rymaszewska, dojrawszy ludzi wyraźnie zmierzających do jej chaty, przyłożyła swoim zwyczajem rękę do falującej piersi i chciała z początku oczekiwać wewnątrz na cokolwiek, co ma nastąpić, ale nie wytrzymała: strach ją wygnał na spotkanie nieszczęścia i wyszła na ganek zanim zastukali. Musiała być bardzo blada, bo twarz jej jaśniała na tle czarnego wnętrza chaty. - "Zupełnie jak tamten kalendarz", pomyślał Franciszek, przesuając dlaczegoś czapkę to na tył głowy, to znów na oczy.

Nie było to jeszcze najgorsze, czego się Ola mogła obawiać. Zapytana jedynie o męża, zaczęła się jąkać i płatać, że rankiem poszedł, że do miasta, że może tam zatrzymali, że dzisiejszym czasem... - Enkagebista nie sprawdzał i nie wchodził do chaty. Wiedział już przedtem, że Rymaszewski gdzieś znikł. Zrobił ruch ręką wstecz, ukazując niedbale kierunek, w którym leżał dom Pawła, i zapytał, co się z "nimi" stało? W tej chwili wśliznęła się na ganek Krysia, przytulając do matki. Ola usłyszawszy pytanie dotyczące nie jej męża i nie jej samej, a innych ludzi, uchwyciła się za nie, jak

tonący się chwyta za kawał deski. Zaczęła natychmiast mówić trochę bezładnie, w kurczowym pragnieniu podtrzymania uwagi pytających w tamtym kierunku. Zresztą, czy nie leżało to w jej względem własnego męża obowiązku, aby go wyręczyć?

- Paweł... Zabrał obydwie. Obydwie wsadził na wóz... - mówiła, bo ten szczegół najgłębiej zapadł jej w pamięć. - Widziałam...

- Co za obydwie?

- I żonę, i...

Franciszek podszedł i cicho, na ucho, zaczął coś tłumaczyć starszemu grupy. Ola urwała z otwartymi ustami, usiłowała dosłyszeć, co mówił, ale zdenerwowanie nie dało jej się skupić. Tamten słuchał, milcząc. Inni, stojący dalej w ciemności, zapalili papierosy i zaczęli o czymś rozmawiać półgłosem. Franciszek, opowiadając szeptem, zachichotał krótko. - "O Weronice mówi", domyśliła się Ola.

- I dokąd pojechali? - usłyszała głos, tym razem skierowany znowu do niej.

- Ja nie wiem... To jest, owszem, ja widziałam. Obydwie posadził na wóz, przejechał, o tędy... poza ogrodem, na te brzoźki. Teraz nie widać, brzoźki... O, tu zaraz, jak ta dróżka.

- Nu.

- I pojechali. Z rzeczami pewnie. Słysząc było wóz ciężki. No i dwie kobiety... Może na drogę do miasta, a może i skręcili gdzie... W bok znaczy. - Przestraszyła się, że tak mało wie, a czuła, że za wszelką cenę trzeba wygodzić tym, którzy pytają. Nagle przyszło jej do głowy i aż stąpnęła bliżej. - Najlepiej psa spuścić. Ichże psa. Bo to niedawno pojechali. Pies poleci z tyłu, śladem, śladem za nimi i doprowadzi... - mówiła coraz śpieszniej.

- Mama, Miskę spuścić? - zapytała Krysia, która знаła psa Pawłów.

- Cicho! - odkrzyknęła matka.

- Złapiem i bez psa - rzucił lekceważąco starszy grupy, zawrócił, coś powiedział do towarzyszy i zaczęli odchodzić.

- Mama... - szepnęła znowu Krysia.

- Cicho! - ścisnęła ją za rękę i stała wciąż w miejscu nasłuchując, dopóki kroki nie ucichły w ciemności.

- Mama.

- No, co chcesz, Krysieńko, co chcesz?

- Tatuś wróci?

- Wróci, wróci.

- Wróci dziś czy wróci jutro?

- Wróci, prędko wróci.

- A czego oni chcieli?

- Niczego nie chcieli. Tak sobie przyszli. Idź spać. Późno. Zmów pacierz. - Weszły do izby. Lampa się nie paliła. "Gdzie zapaliki, gdzie zapaliki?"

- Mama, ty nie pójdziesz spać dopóki tatuś nie wróci?

- Nie pójde, jeszcze nie. "Gdzie zapaliki, gdzie zapaliki?"

Powinien był już dawno wrócić. Wyszedł, jak stał, rano, nawet nie zauważyła, o której. I czego oni jego szukają?

- Gdzie zapalki, Krysia, nie widziałaś?

- Zapalków nie widziałam.

Tymczasem Rymaszewski Antoni szedł na zachód. Bez niczego. Bez pieniędzy i bez rzeczy, bez pożegnania, bez oglądania się, bez łez i bez uśmiechu, bez palta. Tak właśnie jak zbiegł z ganku i bez myśli poszedł. A głównie bez pamięci. Poszedł bez pamięci. Poszedł najpierw drogą, później lasem, znowu drogą. Tego rodzaju podróż mieści się w jednym wykrzykniku: „Poooooszedł!” - Prosto, ciągle na zachód, bez planu i bez dokumentów. Dalej i dalej. Poprzez kwitnące żyto, pomiędzy jakieś pola czerwonej koniczyny, koło psów szczekających, koło ludzi, osłaniających z daleka oczy przed słońcem, pod jastrzębiem kołującym nad głową; pod gwiazdami. Raz tylko, jakby przeblask świadomości zabłądził w jego zwoje mózgowe. Było to piątego dnia, koło samej granicy, gdy przysiadł na skraju lasu na kupie kamieni, z trudem ściągając nie zdejmowane dawno buty. Od skarpet na rozpuchłych, przepoconych nogach, pociągnęła przykra woń. Widocznie granicę chciał przejść boso i nagle pomyślał: "Nu, a wreszcie, jeżeli przypadkiem zastrzelą, to niech!"

Nie żałował ani Oli, ani Krysi. Wyszedł był wtedy z domu i natknął się na ciężarówkę, którą wieziono Rukowskiego z rodziną i od tego widoku, czy od jakiegoś strasznego przypomnienia, coś mu się w głowie pomieszało. Wtedy i poszedł.

- "Niech! powtórzył głośno, pochylony nad śmierzącymi potem nogami, poruszając palcami w skarpetach. Doczekał wieczoru i ruszył z butami na plecach.

Przyszła noc z 19 na 20 czerwca na odcinku 106 pogranicznego oddziału. Rymaszewski nie szedł wprost na druty, jakby to po jego dotychczasowym zamroczeniu można się było spodziewać. Owszem, przekradał się planowo, wykonywał niezbędne ruchy, ale było w nich coś ze ślepego automatyzmu robota, pozbawionego tej twórczej elastyczności, którą Bóg obdarzył istoty walczące o swoje życie. Na przykład Rymaszewski dostrzegł sylwetkę drzewa, obliczył, że musi już być na samym styku granic i postanowił: "Dopełzam do niego, a dalej biegnę". Dopełził, ale nie przyczaił się, zataiwszy oddech w piersiach, nie wsłuchał w szmery, nie odczekał dłuższej chwili a po prostu jak był postanowił, tak wstał i pobiegł. Nie zatrzymał się też na okrzyk i padł od pierwszej wystrzelonej kuli.

Zwłok jego nie dało się zidentyfikować i zakopano je w pobliżu. Bez butów naturalnie. Jedna z kul przebiła cholewę, przewieszoną przez plecy. Buty były jeszcze dobre. Miejscowy szewc wstawił łątę, ale niezręcznie. Strażnik, dla którego okazały się za ciasne, sprzedał je za 100 rubli, choć żądał początkowo 600, a i to w pośpiechu, bo właśnie zaczęła się wojna.

Późnym wieczorem przyjechał Raczenko po raz wtóry tego dnia, zasiadł przy biurku sielsowietu i powiedział zwracając się do Drużki:

- Co, słyszę, u was jakieś trudności?

- Nie... Żeby tak wielkich trudności, to nie. Ot, tylko że...

W drugim pokoju ktoś rozmawiał głośno przez telefon. Raczenko ruchem ręki przerwał Drużce, przysłuchiwał się chwilę, co się mówi w telefon a później przeszedł tam i długo o czymś rozmawiał ze starszym grupy. Następnie rozkazał przywołać Wincentego Rojkiewicza.

We wszystkich chatach było ciemno, choć ludzie nie spali. Tylko przed sielsowietem świeciły reflektory auta i padały przez okna na drogę prostokąty świetlne. Rojkiewicz wszedł mrużąc oczy.

- Dobry wieczór - powiedział pierwszy Raczenko.

- Dobry wieczór.

- Słuchajcie, Rojkiewicz, gdzie jest... Co to ja chciałem zapytać... Aha, gdzie jest wasza żona?

- Żona?

- Uhum.
- Tu.
- Tu, to znaczy, gdzie tu?
- W domu.
- W tej chwili, o, teraz, ona jest w domu?
- Nie... W tej chwili... To znaczy, ona wyszła.
- Dokąd?
- Do sąsiadki.
- Której? Jak nazwisko?
- Ja... prawdę mówiąc, sam nie wiem. Nie pytałem. Nu, po prostu wyszła tutaj, pożyczyć, mówiła, nici. Ona teraz szyje...
- Aha, ale w domu jej nie ma?
- A co takiego? W jakiej sprawie ona potrzebna?
- Ojciec jej, jak się nazywa?
- Olszewski.
- Gdzie mieszka?
- W Popiszkach.
- Tu niedaleko, nad jeziorem?
- Nie, w drugich Popiszkach. Za puszcą.
- Aaa... To tam, gdzie cudy? Rojkiewicz nie odpowiedział nic.
- Teść co, kułak?
- Jaki on tam kułak - wzruszył ramionami - może ma trzy hektary piasku. - Skłamał, bo wiedział, że ma pięć hektarów dobrej ziemi. - Wygonik dla bydła może tam jaki... - dodał.
- To nieważne, zresztą. Krewnych tu bliżej nie ma?
- Nie ma. A ja przepraszam, chciałem zapytać, dlaczego to towarzysz pyta o' nią? Czy może coś stało się?
- Drobiazg. Potrzebna. Co mogło stać się? Sami mówicie, że wyszła nici pożyczyć. Tak?
- No, tak ...- odpowiedział złamanym głosem Rojkiewicz.
- Jeżeli wróci, proszę nas zaraz zawiadomić. Formalność.

Rojkiewicz zrobił krok ku drzwiom.

- A jak tam handel, Rojkiewicz?
- Ja nie handluję teraz.
- Nie? No, i świetnie, że nie. Dobranoc, Rojkiewicz.
- Dobranoc.

Gdy wyszedł, Raczenko zwrócił się do Drużki:

- A tamtego... co uciekł, dom, rzeczy, inwentarz zabezpieczony?

Drużko otworzył trochę usta, nie wiadomo, czy bardziej z zaskoczenia, czy niepokoju. - Nie było rozporządzenia... - zaczął.

- Po co rozporządzenia! Kto tu ma rozporządzać? Kto tu gospodarz? Ech, wy! I jeszcze przewodniczący sielsowietu się nazywa! Ile jeszcze czasu przejdzie, zanim zrozumiecie najprostsze rzeczy? Drużko? A? To znaczy: drzwi otworem, a zwierzęta może nie karmione, nie pojone; pies, kury, świnię, krowa...

- Krowy u niego nie było.

- Świnia też nie było?

- Owszem, miał dwa parsiuki, ale niewielkie.

- No więc co, że niewielkie? To znaczy - mają zdychać? Żywe przecież stworzenia. Gdzież u was poczucie gospodarskie? A wy wiecie, co to jest przewodniczący sielsowietu? To jest gospodarz całej wsi, gromady. Przewodniczący gospodarzy. Bo wy teraz wszyscy gospodarze jesteście, na swoim własnym, ludowym. To wasze dobro, wspólne ale wasze. Nie rozumiecie tego jeszcze, co? Każda rzecz do was należy, nie do obcych, nie do wrogów ludu, a do was. I tamte parsiuki, co mówicie, że niewielkie, i kury, i wszystko. Nawet kwiaty w doniczkach, i te trzeba podlać, bo wasze. Wasze własne, Drużko! Rozumiecie? Ziemia, lasy.

- Rozumiem - odparł chwiejnym głosem.

- To-to! "rozumiem", - przedrzeźnił go łagodnie. - To trzeba naprawdę, szczerze raz wreszcie pojąć, a nie tylko formalnie. Skostnieśliście pod tym pańskim jarzmem, a tu trzeba inicjatywy, ruchu. Przecież wolni jesteście teraz ludzie.

- Naturalnie, wolni - powtórzył Drużko.

W sąsiednim pokoju funkcjonariusz NKGB skończył telefonować i wszedł:

- Akcja wysiedleńcza odłożona do poniedziałku. Można iść spać - powiedział.

Koło pustego domu Pawła raz jeszcze przejechały auta, obojętnie uderzyły reflektorami w okno i cienie pelargonii poszły od nich w górę po ścianie i zgasły koło pieca.

Raczenko ociągał się z wyjściem, przeszedł do kancelarii, nie patrząc na Drużkę, który tkwił wciąż w postawie na wpół służbowej, zmęczony, poszarzały na twarzy.

- Jeszcze jedna rzecz... - Raczenko przesunął ręką po włosach. - Gospodarstwo Bożka trzeba wziąć pod opiekę.

- A on sam? - spytał zdumiony Drużko.

- Na razie pojechał do... miasta. Ile tam hektarów, osiem?

- Będzie chyba koło tego.

- No, to właśnie. Nie może być kułak sekretarzem sielsowietu.

- Wprzód...

- Co wprzód! Wprzód ojciec jego żył. Co jeszcze syn kułaka, to nie sam kułak. Po drugie rozkiś on, mówią, zupełnie. Co z takiego! Do kościoła jemu iść się modlić, a nie bolszewikiem być. Nie nadaje się. A zresztą, kto go wysunął na to stanowisko?

- Wszyscy wtedy...

- Głupstwa gadacie. To i kontrrewolucją mogą być: wszyscy! Tu nie chodzi o wszystkich, tu chodzi, Drużko, o masy uświadomione. Zresztą, porozmawiamy o tym szczegółowo jutro. - Wziął ze stołu czapkę i skierował się do drzwi. - Dobranoc, Drużko.

Stary szewc stał pośrodku wciąż jeszcze jakby przykuty do podłogi, gdy już kroki tamtego zacichły wśród nocy.

A noc wypadła ciepła, letnia noc czerwcową.

Raczenko szedł po skrzypiących, drewnianych schodach na poddasze domu kooperatywy, do izdebki, w której mieszkała jego żona. Pachniało świeżą, sosnową deską.

- To ty, Wasia?! - ucieszyła się Katarzyna, otwierając drzwi i pobiegła z powrotem do łóżka, bo już była spała. - Domyślałam się, że dziś przyjedziesz. No, jak tam?

- Po staremu - zapalił małą lampkę stojącą na stole przed oknem, siadł ociężale na niskiej sofce, szeroko rozstawiając nogi, jak człowiek zmęczony. Powiódł wzrokiem po pustych ścianach, deskach zbiegających się w suficie poddasza, ściągnął z głowy czapkę, rzucił na stół.

- A jak u ciebie? - zagadnął, przesłaniając ręką szerokie ziewanie.

Katarzyna podparła głowę gołym ramieniem, wystającym spod koca i patrzyła na męża jakiś czas w zamyśleniu. - Kiedy to skończy się, Wasia?

- Co? A, wysiedlania? Dopiero się zaczęło. Ale i skończy się nieza długo. - Odpiał powolnym ruchem pas, wyjął z kabury pistolet systemu "Nagan", obejrzał w rękę i położył na stole koło czapki i lampki. Znowu ziewnął szeroko. - Z początku tak będzie wszędzie a później ułoży się. Spokój będzie.

- Czemu nie rozbierasz się? - spytała.

Nie chciało mu się ruszać z sofki. Cały dzień na nogach, nerwy naprężone. Przyjemnie było siedzieć w cichej izdebce. Wreszcie leniwym gestem zaczął rozpinać pod szyją guziki bluzy. Z czarnego otworu okna wpadła ćma, uderzyła o lampkę, spadła na stół, popęzła i znów się zerwała do bezradnego lotu, tłukąc się o deski sufitu. Raczenko spojrzał na nią w górę, gdy nagle doleciał daleki, ale wyraźny śpiew słowika; urywany w pierwszych akordach, przeszedł w długie kłaskanie, a później w dźwięki podobne do fletu.

- Późno, póóóóóno śpiewają. Połowa czerwca. U nas...

- i urwał ściągając przez głowę bluzę. - Słuchaj, kto to jest ta żona tego handlarza tu, Rojkiewicza, jak jej na imię? Znasz ją?

- Znam. Weronika.

- Ładna podobno.

- A bo co? Nie wiem. Nie dla mnie konkurentka - odsunęła się do ściany, aby dać mężowi miejsce koło siebie w łóżku.

Raczenko już w kalesonach, zdmuchując po drodze lampkę i idąc do łóżka, zapytał:

- A ty w jaki sposób nie boisz się, żeby nie włamali się, nie okradli kooperatywy?

- Mało tam jest do kradzenia. Zresztą, też mam... - uśmiechnęła się uchylając poduszkę, pod którą leżał mały pistolet.

- Oho, to my tu z tobą, widzę, rzeczywiście, jak w pierwszych okopach na posterunku - zażartował, okrywając się wspólnym kocem.

Słowik śpiewał ciągle.

Słowiki śpiewają zazwyczaj w maju, zależnie jednak od daty przylotu, dłużej lub krócej, bywa przez cały czerwiec, bo muszą wyśpiewać swoje. Śpiewają też we dnie i nawet w samo południe, ale ludzie nie słyszą ich wtedy, zajęci mnóstwem powszednich, dziennych spraw.

XXXVI

Furmanka przetoczyła się bokami, omijając łańcuch wsi rozsiadłych nad rzeką i wyjechała na boczną drogę. Ewentualnej pogoni nie było się tu czego obawiać. Noc była ciemna i cicha. Wszelki

głos dochodził z bardzo daleka, również dojrzeliby zawczasu światła reflektorów. Droga nie posiadała rowów i wystarczyło skrócić po prostu w bok, w pola, między żyta, czy ukryć się za jakąś kępą drzew, by przepuścić goniących. Ale poza turkotem własnego wozu nic nie przerywało ciszy. Paweł dał wytchnąć koniowi i puścił go krokiem.

- Stań na chwilę - odezwała się Marta. Zsunęła się z wozu, zaczepiając z tyłu spódnicą, odeszła kilkanaście kroków, niknąc w ciemności.

- Skorzystam i ja - powiedziała po chwili Weronika z pewnym zawstydzeniem i poszła w tym samym kierunku. Paweł, opierając się jedną ręką o zad koński, a drugą o bokówkę wozu zeskoczył, wyprostował nogi, pochodził koło konia, wsadził rękę pod chomąt, by sprawdzić, czy bardzo zgrzany, i poprawił uprzęż. Wtedy doszedł jego uszu daleki odgłos jadącego pojazdu. Wróciły kobiety i we troje stali jakiś czas nasłuchując z niepokojem. Ktoś jechał z tyłu.

- Człowiek jakiś - szepnęła Weronika. Tak, teraz nie było już wątpliwości, że wśród nocnej ciszy toczyła się gospodarskim truchtem, bez pośpiechu, próżna, klekocząca żelaziwem, chłopska furmanka. W milczeniu ruszyli dalej krokiem. Paweł odwrócił się dwa razy, ale nie było widać, kto nadjeżdża.

Dopiero po upływie pół godziny nieznajomy dołączył się do nich, przeszedł również na krok i pojechał z tyłu. Koń jego sapał w plecy kobietom, usiłując pyskiem doszukać siana w przednim wozie. Było odeń przyjemne ciepło i zapach końskiego potu. Z wozu zeskoczył człowiek niskiego wzrostu z biczem w rękę i podszedł do Pawła.

- Przez puszcę pojedziecie? - zapytał.

- Przez puszcę.

Podreptał milcząc, a później głośno wciągnawszy powietrze, wysmarkał nos w dwa palce.

- Nu, to pojedziem razem. Śmielej razem. Paweł nie odpowiedział.

- Wy co, od wywózki moża uciekacie? - zapytał nieznajomy, idąc ciągle obok i kładąc rękę na drabinkę.

- Nieee...

- Ech, życie nasze! - Zawrócił z westchnieniem na swój wóz i nie rozmawiali, aż zaczęła się puszcza. Po godzinie chłop znów podszedł do Pawła.

- Koniom trzeba dać odpocząć.

- Trzeba.

Ale przejechali jeszcze kawał drogi, zanim skęcili z traktu w boczną ścieżkę, między gęste krzewy i wreszcie wybrali miejsce na trawiastej polanie.

Teraz, gdy nieznajomy był już między nimi, wszyscy dla czegoś radzi byli jego obecności. Marta rozłożyła jedzenie i natychmiast zaprosiła go, by sobie podjadł. Ponieważ się ociągał przez grzeczność, Weronika dorzuciła prędko:

- Proszę zakąsić - choć nie była tu gospodynią i prowiant nie należał do niej. I ona nie chciała, żeby odszedł. Było rażniej przy nim i można było nie rozmawiać na tematy, których wszyscy pragnęli uniknąć.

- Pewnie że jedna będzie żona, a druga może siostra? - zapytał tamten, kładąc kawał słoniny na chleb.

Która żona a która siostra - nie pytał. Nad lasem zbierała się mgła. Noc była ciepła, ale wilgoć przejmowała plecy odwrócone od ogniska. Kobiety nie chciały jeść i poszły spać w sianie, na wozie. Okryły kożuchami głowy, bo komary zaczęły strasznie dokuczać.

Chłop wstawał co chwila, znikał poza kręgiem światła padającego z ogniska. Jakimś przyrodzonym

węchem znajdował w tej ciemności suche gałęzie i smolaki, wracał i podsyczał nimi ogień. Spać mu się widocznie nie chciało. Paweł co jakiś czas pochrząkiwał, dając tym do zrozumienia, że dotrzymuje mu towarzystwa.

- Od wywózki można uciekać? - zapytał powtórnie, niezrażony uprzednim milczeniem Pawła.

- A czy od wywózki uciekają gdzie ludzie?

- Nie słyszałem. Ale - dodał po krótkiej pauzie - człowiek człowiekowi nie równy. Na oko zdaje się i podobny jeden do drugiego, ot, chociażby jak ta sosna jedna do drugiej. A podejdiesz piłować, każda inna. I wysokość i grubina i sęki u jednej takie, a u drugiej, obacz, zdaje się podobne, a dlatego za wszystkim inne. Mnie zdaje się, że bolszewiki też różne są. Z daleka jedne i te same, a pogadasz, niektóre bardzo przyzwoite ludzie, a inne niegodne.

- Co z tego, że różne, kiedy jedni i drudzy żyć nie dają.

- To inna sprawa. To, ja licza, za nasze grzechy. Żyli my, zdaje się, dobrze, niczego nie brakło, a, ot, podeszło. Znaczący żyli, ale grzeszyli... Tfu! i tych komarów, skąd ich bierze się taka siła, czuma ich wie!... - Odmachnął ręką i zamilkł.

Cierpko pachniało surową ziemią, mokrą trawą, z lasu szła ostra woń nawilgłych liści, zmieszana z jakimś nieuchwytnym zapachem trochę drzewnej kory, trochę mchu, błota, czy gnijącego igliwa, czegoś takiego znanego od dziecka, a przecież z trudem dającego się określić.

"Ach, dlaczego zamilkł, dlaczego zamilkł" - pomyślał Paweł, uciekając od własnych myśli. Przez chwilę szukał, czym by podsycić rozmowność przygodnego towarzysza i wreszcie zapytał:

- Co to za słowo takie: czuma?

- A, to, ot, przywyczka taka; niby to przekleństwo. To jest choroba.

- Ach, dżuma! Ale w naszym kraju ani jako choroba, ani przekleństwo nie znane. To chyba gdzieś z południa Rosji czy z Azji?

- Po prawdzie powiedzieć, to prawie zgadł. Tam, w tych stepach nad Azowem, na Kubaniu, to wszyscy tak przeklinają. Ja jeszcze w tamtej wojnie z carskiej armii popadł do krasnej. Jeszcze jak Trocki był wojennym komisarzem. No i wojował tam dwa lata. Ale niech ich czum... To jak pan mówisz?

- Dżuma.

- Niech będzie dżuma, niech będzie jaka chce choroba! Dość. Ot, wiesz, nieochota pod sowiecką władzą żyć. Straszno.

- Straszno?

- Straszno. - Poprawił patykiem w ognisku. - To znaczy, jakby to powiedzieć... Przykładem siedzimy teraz w puszczy, a naokoło las czarny, noc, tylko sowy krzyczon. Strach z tego nie duży, ale choćby muły, a zawsze strach. Ale to nie ten strach... Nie tego gatunku. Bo jest taki, że człowiek nie umierać się boi, a żyć. Bywa tak w życiu. Zdaje się jednego dnia nic takiego i nie stało się, i jeść masz co, i spać gdzie, i tych pieniędzy kilka groszy, i żywioły w chlewie nakarmione, a wyjdiesz z chaty, spojrzysz w pole czyli w niebo, i jakby jakaś nudność człowieka za gardło chwyta. Bywa tak, nie?

- Bywa - odparł Paweł.

- No, właśnie. Podobnie choroba. Różne są i nawet niektóre bardzo bolesne. Rak jaki, róża, klucie w boku... człowiek umiera. Ale bywa taka choroba, zdaje się, boli-nie-boli, a nawet jeżeli boli, to nie od bólu, ale taka straszna nudność nachodzi i gryzie, i człowiek sechnie nie wiedzieć od czego. A doktor, uczony człowiek, a tego nie rozumie... Może czasem znachor jaki, ale też rzadko, żeby wykrył samą tę główną przyczynę. Dlatego każdy teraz przy sowietach chodzi wszystko równo jak kwaśne jabłko zjadłszy, różnych przyczyn dopatruje się, a głównej zrozumieć nie może. A ta

przyczyna, to i jest: zgryzota.

Paweł położył się na wznak i patrzył w gwiazdy. Słysząc było jak konie potrząsnęły w ciemności uzdeczkami i wciągając głośno powietrze, zaczęły się obwąchiwać, zawierając bliższą znajomość.

- Na przykład mój teść, wieczny jemu pokój, umarł jak raz w tamta wojna, ale przy życiu miał gospodarka i jeziorko dzierżawił. Niewielczeńkie takie jeziorko. No, ale jednym słowem gospodarz i rybak. To pamiętam jeszcze, młodym będąc, wyjdiesz o świtanu, spojrzysz w woda, a ona jakaś sina, przymierzając u człowieka palce zmarznęte; a później robi się różowa... a później taka jasna, jasna; w słońcu, w południe jak monstrancja świeci... no tak. A gdzie w cieniu, tam zielona jak liść, a pod wieczór znowu inna... jednym słowem, co ja tu będę opowiadał, różna. Pod deszczem znowu robi się jak ten ołów i ciężka zda się, nieprzenikniona, woda, rozumie pan? No, a teraz weź zrobić z tego jeziora, żeby ono było i rankiem oławiane, i w słońcu oławiane, i o zachodzie, i o wschodzie, i na deszczu, zawsze tylko pod ten sam ołów, i będziesz wiedział, że już nigdy a nigdy nie zmieni się. To, powiedzcie prawda, ja bym przy takim jeziorze i mieszkać nie chciał, niechby w nim ryby, choć rękami czerp!

Zastanowił się chwilę patrząc w ogień, później pogrzebał w węgielkach, odrzucił jeden na bok, zapalił odeń zgasłego papierosa i śnać pożałował tej ryby, co ją, "choć rękami czerp", gdyż dodał:

- Może jaki rok, drugi, ale nie dłużej, nie dłużej. I gospodarka by sprzedał, i jezioro te za pół ceny, i pojechał od niego, żeby na oczy nie widzieć!

Paweł pomyślał: "Co tam jezioro!... Dach nad głową, jakikolwiek dach..." I przypomniał mu się pies a później musiał chyba zdrzemnąć się chwilę, bo uczył nagle, jak świadomość przywraca mu okrzyk Marty.

- Paweł! Paweł!... - Obudziła się, nie mogła zrozumieć, kto koło niej leży, gdzie jest? Odrzuciła gwałtownym ruchem kożuch z głowy.

- Co? Ja tu - odezwał się Paweł, powstając.

- Gdzie!... Gdzie my?!...

- To nic, to sowa tak zakrzyczała blisko.

- Ach... - Zaszeleściła sianem, przewracając się na bok. - Te komary.

- Nakryj dobrze głowę.

- Nie pomaga, wszędzie włożą. - podciągnęła nogi, trącąc kolanami Weronikę.

Paweł usiadł z powrotem przy ognisku.

- Wraz pojedziem chyba? - zagadnął chłop.

- Jak zacznie świtać. Tamten spojrzał w niebo.

Ruszyli bocznymi drózkami przez las, bo z pobliskiego traktu dochodził jakiś ruch niezwykajny.

Droga stawiała się coraz gorsza, puszcza coraz bardziej ponura, z zielonej po wierzchu przechodziła w burą u spodu. Czarny dzięcioł, duży jak kruk, lubiący pustkowia i ciszę, poleciał spłoszony nisko nad mchem pomiędzy pniami.

- Ech, głusz jaka - westchnął chłop.

Jest w tej części puszczy nieduże jezioro zwane Kiernowskim od osady Kiernowo, na którą składają się trzy chaty kułackie. Do jeziora nie ma dostępu suchą nogą, gdyż brzegi jego stanowią dziko splątane krzaki, podmyte wodą; dalej wstęga trzcin. Olbrzymie leśne ustąpiły z respektem czy też pobłażaniem dla tej roślinności pozwalając jej krzewić się i kąpać dowoli w bagnie, błocie, wodzie przybrzeżnej. Ale środkiem jeziora, pchane wiatrem biegną wolne fale, z grzywą na wierzchu; gdy zaś wiatru nie ma, woda jest niezwykle, jak na takie miejsce, czysta, prawie modra. Niezliczone pokolenia kaczek wyszły tu z jajek i stawiały pierwsze kroki w życiu. Znały te wody karawany

przelotnych ptaków, lecących odwiecznym szlakiem jezior i lasów. Ale lasów robi się po drodze coraz mniej i z każdym dziesiątkiem lat mniej i mniej. Wokół dużych jezior rozrosły się ludne wsie. W taki to sposób Jezioro Kiernowskie ostało w środku puszczy z podrzędnego ongiś przystanku, niemal, chciałoby się powiedzieć: z prowincjonalnej karczmy przydrożnej, przeistoczyło się w ważny zajazd nie tylko dla szarego ptaka wodnego, ale dla podróżujących gęsi, a nawet dzikich łabędzi.

Łabędzie zobaczyć jest trudno, zresztą, nie popasają tu nigdy dłużej. Czasem tylko, w pogodną wiosnę, bywa, chybcze się w powietrzu białe jak w bajce ze skrzydeł uronione pióro łabędzie i długo, długo opada ruchem obrotowym, znów się uniesie podmuchnięte wiatrem, znów opada, kręcąc się lub bujając, zatrzyma nieruchomo, przez chwilę stoi w miejscu, a później coraz niżej i niżej, i jeżeli wiatr nie zniesie go w bok między ajery i wiklinę albo jeszcze dalej, na wiosennym puchem pokryte olchy, to wtedy takie pióro osiada w końcu na jeziorze i pływa sobie po nim...

Prowadzili konie w lejcach idąc koło wozów, które mimo suszy zapadały w błocie.

- Oj, żeby nie zbłądzić - biadał chłop. - A to kilka dni przyjdzie się po puszczy brodzić.

Zabrakło mu machorki i gdy na następnym postoju dostał od Pawła sporą garść tytoniu, zaciągnął się z lubością i przyznał wreszcie, że porzucił samowolnie roboty państwowe: - Pracuj, pracuj i końca nie widać. A w domu, co? Żona, dzieci, głodne może.

Paweł domyślał się, że przesadza, że pewnie i żona, i dzieci mają co jeść, ale że się tak utarło mówić, więc nie odpowiedział i tylko przytaknął ruchem głowy.

- Ja, to tam, nie boję się - ciągnął - mnie wywózka nie straszna. Ziemi u mnie dwa i pół hektara wszystkiego: nie kułak ja, nie. Mnie nic nie zrobią - powtórzył raz jeszcze, ale już mniej pewnym tonem, w którym wyczuwało się obok twierdzenia zdradliwy podchwyt pytania. Że jednak Paweł milczał w dalszym ciągu, nie wytrzymał:

- Chyba, że... Bo ja od nich, z tej ichniej krasnej armii uciekł do Polsszczy... Ale, lat temu piętnaście... Dawno, prawda?

- Dawno - przytwierdził Paweł.

Chłop się ożywił: - I mnie zdaje się, że to za dawno.

- A sąsiedzi wiedzą?

Tamten znowu sposepniał, pomilczał, a później splunął. - Wiedzą... Jeżeli nie zapomnieli. Ale nie zapomną, oni. Kto taką rzecz zapomni! A złość mając jaką, to i dobrze przypomną.

Na to nie było pocieszenia.

Jechali dalej krok za krokiem, zanim dobrnęli do pierwszej osady ludzkiej. Spotkał ich zaraz przy wjeździe na polanę młody wyrostek, który nie odpowiadając nawet na powitanie, zapytał przede wszystkim:

- Prawda to, co mówią, że wojna już jakoby z Sowietami? - W oczach jego tliła się nadzieja, ale chłop uciął krótko:

- Nie słysząc jeszcze.

Wyrostek przeniósł wzrok na Pawła.

- Nikomu wierzyć nie można - mruknął statecznie i zapytał znowu: - A czy to prawda, że sowietci wywożą każdego, u kogo więcej niż siedem hektarów?

- Nie wiem, braciszku - odpowiedział Paweł.

- Na cud chyba jedziecie?

- Na jaki cud?... - Paweł zapomniiał, o czym mówiono w okolicy. Weronika z wozu coś do niego powiedziała, ale w tej chwili chłop splunął z pasją i podbiegł do Pawła:

- Widzisz, jak to bywa, że maci czasem ludziom w głowie! A! I my bali się traktem jechać i dali się w taką głusz, bokami, drogi nałożyli, konie zmitrężyli po tych dołach-lasach bez przyczyny. Toż przecie te wozy, co ich słyszać było na trakcie, to ludzie, ludzie na cud do Popiszek jechali! I nam trzeba było razem. Jutro szesnasty miesiąca, pojutrze znaczy siedemnasty, wtorek. I jak to mogło z głowy wylecieć! Spokojnie, bez lęku między ludźmi by pojechali, traktem, jak należy. Tfu! - splunął ponownie - kara Boża. I czemu wcześniej nie przypomniała? - zwrócił się z wyrzutem do Weroniki.

Odprzągnięto konie i mężczyźni poprowadzili je na paszę. Marta szukała w wozie jakichś rzeczy, gdy podeszła do niej Weronika, chwilę stała niezdecydowana, a później przekroczyła leżące na ziemi hołoble, zbliżyła się do wozu od przodu, sięgnęła ręką w słomę pod siedzeniem Pawła i ostrożnie wyciągając stamtąd pistolet spojrzała ku Marcie.

- Wyrzucić? - szepnęła porozumiewawczo.

Marla drgnęła, obejrzała się wokół, a potem przytaknęła mrugnięciem powiek i ledwo dostrzegalnym ruchem warg. Czuła się bardzo źle, prawie chora. W gruncie rzeczy obie myślały o tym samym już od początku: "Po co on to brał?"... Weronika ukryła pistolet pod chustką i poszła niby to w krzaki, w istocie minęła chatę, weszła na kładkę wiodącą do jeziora, stanęła nad wodą, zastanowiła się nad wyborem miejsca, ale rzuciła broń wprost przed siebie. Pistolet chlupnął jak żaba, poszedł na dno w muł przybrzeżny, błysnąwszy po drodze jak ryba łuską i znikł, by rdzewieć na wieki.

Podczas gdy konie pasły się, siedzieli w chacie. Paweł z łokciami na stole, z głową ukrytą w dłoniach, starał się drzemać. Obok, przygodny towarzysz podróży półgłosem wymieniał z gospodarzem środki zapobiegawcze na czerwone u świń. Weronika tkwiła bez ruchu w rogu izby, co pewien czas opędzając się muchom, których roje brzęczały w chacie monotonnie. Tylko Marta legła na ławie, na posłanych kozuchach i zasnęła. - Niech śpi, niech śpi. - Muchy lały jej do oczu i kącików ust; przez sen odganiała je ślepym gestem ręki. W izbie pachniało świeżym chlebem, widocznie pieczono go dziś rano.

Weszła gospodyni z dzieżą po kwaśnym cieście, spojrzała na leżącą i westchnęła, jak zwykle są wzdychać kobiety nad losem innych kobiet.

- Może przykryć czym? - zapytała.

Paweł budząc się raptownie z zamyślenia odjął twarz od dłoni, wodząc nic rozumiejącymi jeszcze oczami.

- Za ciepło będzie - wyprzedziła go Weronika. - Chyba głowę od much. Ale - dodała - może być duszno.

- Trzeba jechać niezadługo - mruknął Paweł.

Gospodyni postawiła dzieżę, znów westchnęła i nie zapraszając, by pogościli, poszła za przepierzenie izby.

- Niech pośpi jeszcze - odezwała się Weronika.

Gospodarz wyrzwał oknem dla sprawdzenia godziny, którą mierzył według cieni wysokich drzew padających na polanę. Widocznie oczekiwał już, by goście ruszyli.

- Niech śpi - przytaknął Paweł. - Niech śpi.

Postanowili najkrótszą drogą wy kierować się na trakt.

- Konie trzeba poić - powiedział chłop i wstał.

Któż mógłby stwierdzić z całą pewnością, co pchało tysiące ludzi leśnymi drogami do biednej wsi. Wiara czy rozczarowanie do wiary? Nadzieja czy beznadziejność? Ciekawość czy apatia? Zapewne rozmaite pobudki, być może, wzajem sobie nawet sprzeczne. Jedno jest tylko pewne, że nie wymyślono dotychczas słowa bardziej magicznego ponad słowo: cud! Zapowiada ono wytłumaczenie wszystkiego, co jest na ziemi i niebie; potwierdza wiarę, rozprasza wątpliwości, tłumaczy przeszłość, wyjaśnia przyszłość. W zasadzie każda siła materialna traci wobec cudu swe znacznie jak licha bariera kopnięta nogą przechodnia. Ale z drugiej strony, nie może być takiej siły duchowej, autorytetu kościelnego, takiej nauki, takiego kapłana, który by potrafił przeciwstawić cudowi coś bardziej atrakcyjnego. Najbardziej ważne i przekonujące argumenty przeistaczają się w puste słowa. Wobec naocznego cudu bowiem nikłe wydają się tysiącletnie wierzenia na słowo, niepotrzebnie wszelkie przekonywania, piaskiem w oczy kazania z ambony. Gdy Pan schodzi do ludzi osobiście, czy może mieć znaczenie, co mówią jego urzędnicy, jego słudzy, pośrednicy wszystkich rodzajów? Któż zechce wtedy słuchać ich wykładni, ich interpretacji, kogo interesować mogą ich poglądy? Dość, dość! Wieki płynęły za wiekami, a ludzie wciąż słuchali, słuchali? Teraz, raz wreszcie chcą zobaczyć! Pewnie, że rzeczy takiej jeszcze nie bywało, ale czy nie może być dlatego? I czy nie raczej w czasie wielkiej niedoli niż kiedy indziej?

O! rozległe były kiedyś ziemie Wielkiego Księstwa Litewskiego, od Bałtyku po Morze Czarne, a któż zna dzisiaj jego granice?!... Ludzie przełazili sztucznie szlabany, mimo wszystkie zakazy poruszania się, mimo ryzyka podróży, sprawdzania dokumentów. Jakoś objeżdżali bocznymi drózkami, brodem przez rzekę, lasem, rojstem, pastwiskami. W gruncie rzeczy nie było tego dużo. Sporo odstało po drodze, trochę zawrócono z drogi, niektórzy wsiąkali do lokalnych więzień. Tak deszcz letni, gdy wypadnie w kraju, wytworzy płytkie strumienie wody, które biegą pozornie na oślep, a przecież tu i tam, chytrze się precyzyjnie, wywróca jakąś grudkę ziemi, inną grudkę obejdą bokiem, płyną dalej, choćby wyslizganą w błocie koleiną, znów się rozpieczętną na płask, rozbiegną, wykołują i ciekną. Bardzo łatwo jest je zatrzymać, chociażby dziecinną tamą z piasku; wtedy się powoli gromadzą te luźne wody koloru brudnej kawy, nie protestują, zdawałoby się, godzą z losem, ustają na miejscu, jak staw zatrzymany groblą, ale niech tylko ręka się odwróci i zajmie w innym miejscu, już po krótkim czasie zerwą uklepaną tamę i prędko, prędko, ciurkiem pobiegą znowu, wijąc się jak szpagat, unosząc na swej drodze żdźbła trawy, słomy, kawałek końskiego nawozu, a czasem nawet czarnego żuka, który się zagapił nieopatrznie?

Podobnie i teraz: cienkim, raczej skąpym nurtem, ale z całego szerokiego kraju, ciekły sznurki furmanek, a obok ścieżką wydeptaną szli pojedynczy ludzie piechotą. Szli przeważnie boso, obuwie oszczędzając przerzucone na ramieniu, bo to cud ? cudem, ale para butów kosztuje sześćset, siedemset, a jeżeli nowa i dobra, to i osiemset rubli!

Kiedy podjeżdżali do traktu, wydało się Pawłowi, że furmanka z tyłu odstała nieco. Odwrócił się i ze zdziwieniem spostrzegł, że jest daleko. Pomiędzy dotychczasowym towarzyszem podróży a jego koniem zachodziła wyraźna sprzeczność w dążeniach: koń, który się już przyzwyczaił do przedniego, parł naprzód i wyrывał, a chłop wstrzymywał go na wyciągniętych lejcach, mając widocznie na uwadze inne względy. W pierwszym odruchu Paweł omal nie przystanął, by zaczekać, ale później coś zmiarkował, odwrócił się ku przodowi, wjechał na trakt lewą stroną i podążył równolegle do szeregu jadących furmanek. Chłop zaś zatrzymał konia, odczekał chwilę i potem powlókł się na końcu, za rzędem wozów. Siadł bokiem i odwróciwszy głowę wyraźnie nie patrzył za oddalającym się Pawłem, jakby go nigdy nie znał.

Zostali więc znowu sami we troje. Marta miała podkrążone oczy i niezdrowe wypieki wystąpiły jej na twarzy.

- Źle się czujesz? - zapytał ją Paweł.

- Tak - odparła głucho - nie bardzo dobrze.

"Ma gorączkę" pomyślał. W tej chwili starzec stąpający boso bokiem traktu z butami i workiem na plecach odezwał się:

- Oj, deszcz potrzebny i jak jeszcze potrzebny - popatrzył w górę na zbierające chmury.
- Z daleka, ojciec?
- Z daleka...

Paweł nie zapytał, skąd, pochylił się naprzód, aby biczowiskiem strącić dokuczliwego bąka, który wpił się w koński bok, ale starzec sam dodał po chwili:

- Zza Dźwiny, z Łotwy.
- Piechotą?
- Drugi tydzień.

Paweł pognął konia kłusem, wyprzedził inne furmanki, zostawił je daleko z tyłu. Pierwszy dojechał do wodopoju w rzece. Zatrzymał przed mostem, zeskoczył z wozu, odpiął wiszące z tyłu wiadro i poszedł po wodę.

Gdy wrócił z pełnym i podpierając go zgiętym kolaniem stał przed koniem, który pił chciwie, Weronika odrzuciła żdźbło trawy, które gryzła w zębach, poweselała i jakby innych chciała do wesołości namówić:

- Już niedługo - powiedziała - prędko będziemy w domu. - Milczenie, które nastąpiło po tych słowach, zdawało się inne niż dotychczas podczas drogi; bardziej napięte, drażniące, kłopotliwe. A przecież nie ulegało wątpliwości, że Weronika odezwała się w najlepszej intencji. Paweł uniósł głowę i uśmiechnął się do niej. Był to uśmiech raczej wymuszony i zdawkowy. Nagle Marta powiedziała przyduszonym, nieswoim jakimś głosem:

- W "domu"... Weronika u ojca, Paweł u... teścia, a ja...

Ręce Pawła z nabiegłymi żyłami od wysiłku trzymania wiadra zadrżały. Koń w tej chwili kończył pić i głośno mlaskając wciągał ostatek wody z dna. "Ach, jak przykro", pomyślał Paweł. "To chyba najprzykrzejszy z wodopojów". I trzymał wciąż wiadro, choć już było puste, aż koń wyjąwszy zeń pysk, mlaszcząc i podzwaniając opuszczonym wędzidłem, opryskał końce jego butów. Właściwie należało przynieść jeszcze drugie pełne wiadro, ale zaczął się nerwowo śpieszyć i kiełzać konia. W tej chwili Weronika odezwała się cicho głosem prawie proszącym nie patrząc na Martę:

- Tylko takich rzeczy... Proszę nie mówić tam, w chacie...

Marta odwróciła twarz do lasu i jak mała dziewczynka poduszką dłoni wycierała nabiegłe do oczu łzy.

Paweł westchnął. Marta mogła przecie pokrzyżować cały plan ich ucieczki... Co by zrobili teraz bez Weroniki, bez bliskich Popiszek, bez jakiegokolwiek, choćby przejściowego dachu nad głową? Bez pomocy z zewnątrz? Bez przyjaznych ludzi?... Z dala dochodził turkot zbliżających się wozów. Odruchowo pognął, byle prędzej. Słyszał za sobą, jak Marta głośno wycierała chusteczką zakatarzony nos.

Wyjechali z puszczy.

Widok, który się rozpostarł niespodzianie, zaskoczył oczy przywykłe do jednostajnej zieloności lasu. Na prawo zachodziło słońce, ścieląc swe promienie prawie poziomo, od czego pola gryki, koniczyny i łąny żyta przeświecały różnymi kolorami. Chmury, grożące uprzednio deszczem, uciekły wysoko i zawisły nad ziemią w kształcie olbrzymich, płowych ryb, zaróżowionych po bokach. Wiła się żółta od piasku droga, dalej pagórek, na którym rosły pojedyncze sosny, w tej chwili jakby miedzią pokryte, i z tego pagórka zobaczyć było można na lewo, schowany w olchach, ślad rzeki Solczy, a obok wieś Popiszki, na którą zleciały niby nieprzeliczone stada białych ptaków: chusteczki, chusteczki, chusteczki...

- Ach, Boże! - wykrzyknęła Weronika. - Bab, bab! Co bab zebrało się!

Stary Olszewski po dłuższej rozmowie, którą odbył z córką na osobności, zjawił się w szopie, gdzie postawiono wóz, i powoli, ważąc każde słowo, wyraził swój pogląd na sytuację. Przez otwarte wierzeje dochodził ze wsi chórálny śpiew nabożnych kobiet.

"Dobrze się stało" - mówił - "że trafili w taki zjazd. W tłumie rozmaitych ludzi nie zwrócą niczyjej uwagi, to fakt. No, ale chodzi oczywiście, co dalej? Cóż, Paweł musi zrozumieć" - tu rozwiódł rękami - "że na razie widoków na ukrycie mało, bo i gdzie? We wsi sielsowiet..."

Czarny pies z jednym białym uchem, który wszedł do szopy, obwąchiwał bardzo dokładnie buty Pawła, i Olszewski odsunął go nogą. Paweł słuchał w nerwowym skupieniu.

„... A więc wychodzi tak, jakby nie było innego ratunku, tylko i pozostaje las... No tak, las. Ze dwa dni niech tu posiedzą, pogoszczą, owszem, on ze szczerego serca prosi, a później, to już chyba do lasu. - Podrapał się w głowę zastanawiając. - On zna takie jedno miejsce niedaleko, prawdę mówiąc, nieładne to miejsce, bagno wokół, no, ale cóż... Sama kobieta tam mieszka, żołdatka, mąż z wojny niemieckiej nie wrócił, choćby przykładem, jak i jego syn. Też nie wrócił. Bóg święty raczy wiedzieć, czy zginął, czy może do niewoli popadł. Żadnej wieści. No, to właśnie. U niej na razie niech przesiedzą, w lesie znaczy. Ma ona chatkę, ale ciasną i niedokończoną, bo mąż zaczął słomą kryć, kiedy na służbę przywołali. Wóz będzie można w krzakach postawić, a koń, wiadomo, niech chodzi do paszy, choć tam i marna trawa, kwaśna, ale zawsze: trawa. Teraz, latem, wilków nie ma czego się obawiać".

Paweł słuchał. Olszewski uczynił pauzę. Gospodarskim okiem przyglądał się wozowi i nawet dwoma palcami ujął za szynę tylnego koła, sprawdził grubość żelaznego obręcza, pokiwał głową z aprobatą.

"No, a co się dotyczy dalej... To, ma się rozumieć, trzeba będzie zobaczyć. Ot, jak ta cała sumatocha przejdzie, założę konika, podjadę tu do jednego miejsca, nie tak żeby daleko, ale będzie kilometrów z dziesięć, może dwanaście... Gospodarz tam bogaty, sprawiedliwy, i to jeszcze, że z drogi mieszka, aha."

- Może wojna do tego czasu wybuchnie- wtrąciła Weronika.

Olszewski spojrzał na nią z nieukrywaną niechęcią. Urwał swe wywody, a po chwili powiedział szorstko:

- Co tam i gadać o wojnie! Nie wiadomo, czy ona będzie jeszcze... A po pustemu nadziejać się nie ma co. Mało co może być. To i cud może być jutro. Ot, ludzie, zebrali się, czekają, ale czy będzie tylko?

Weronika stała z założonymi na piersiach rękami, czarna na tle otwartych drzwi szopy, za którymi dogasał dzień. Paweł wiedział, że w kalkulacji Olszewskiego czarna plama Weroniki stanowi największą lukę i może wytworzyć powikłanie, którego tamten na pewno się nie spodziewa, a więc nie mógł wziąć najpoważniejszego pod uwagę. Tego mianowicie, że Weronika właściwie uciekła od męża i że Rojkiewicz może jej szukać albo nawet mścić się, donieść... Po czyjej stronie wtedy stanie Olszewski? Po stronie córki i ryzyka ukrywania zbiegów, czy po sprawiedliwej stronie zięcia i własnego spokoju? Czy Weronika ma jakiś plan zapobiegawczy? Nie spytał jej dotychczas i nie będzie pytał. Jeżeli ma, to dobrze, a nie ma, co pomogą pytania? Może i najlepiej by było dla nich wszystkich, żeby zechciała zaraz wrócić do męża i wyklamać się przed nim jakoś. Ale właśnie Paweł nie będzie i nie chce jej czegoś podobnego radzić... Podziękował gospodarzowi i stali jakiś czas w milczeniu. Paweł wsparty o drabinę swego wozu snuł dalej swe ciężkie, bezdomne myśli. Olszewski przerwał je pół szeptem:

- Chyba może za granicę dać się.

- Dokąd?! - wtrąciła Weronika.

- Do Polsczy, do Giermanii.

- Trudno - mruknął Paweł.

- To prawda, że trudno.

Poszli wszyscy do chaty. Po drodze Paweł wciąż pochłonięty myślami zagadnął:

- Ale jeżeli ten gospodarz, co pan mówił, bogaty jest...

- Który?

- No, ten, o dwanaście stąd kilometrów. - Aa...

- To jego też mogą deportować wkrótce.

- Wszystkiego może być.

Późnym wieczorem, po kolacji, Martę zaczęła palić gorączka. Matka Weroniki, nie poznać: z udanym czy szczerym współczuciem, zauważyła:

- Wiadomo, kto nie przywykły tego chłód łatwo przejmie w lesie. A głównie od komarów, choć bywa też taka choroba, co z nerwu. Wercia, ty by zbiegała do starej, do Tośki, niech da zioła zaparzyć.

Weronika zabrała się do wyjścia. Paweł odczekał aż zamknęły się za nią drzwi.

- No, widzisz, Martuś - zwrócił się do żony, kładąc rękę na jej rozpalonym czole. - Widzisz, kochana, jaka burżujka z ciebie - zażartował łagodnie. - W lesie spać nie możesz...

Ścisnęła go za rękę. - Tak mi przykro, tak mi przykro. Ale może do jutra przejdzie...

- Przejdzie, na pewno przejdzie.

- Bo, widzisz, te komary...

- I komary przejdą. Nie bój się. Jeszcze wszystko ułoży się dobrze.

- Bo ja bym chciała wyjechać.

- Wyjedziemy.

- Ale zupełnie wyjechać. Daleko. Już nie tęsknię do domu. Ja nie chcę więcej. Wyjechać w ogóle z tego kraju, z tego wszystkiego, od tych wszystkich ludzi...

- Pojedziemy sobie od tych złych ludzi...

- I od dobrych też. Zupełnie.

Gorączka jej wzmagала się. "Co robić, myślał, jeżeli się rozchoruje?"

- Paweł.

- Co, kochana?

- Ty pójdziesz jutro oglądać cud?

- Pójdę.

- A wierzysz, że będzie?

- Nie.

- To po co pójdziesz?

- Żeby tobie opowiedzieć.

Uśmiechnęła się. A po chwili: - Gdzie będziesz nocować?

- Tu, przy tobie na ławie. Albo nie wiem jeszcze... - Zawahał się. - Nie wiem, jak tu gospodarze śpią. Może pójdę do wozu, w szopie... - Zamilkł nagle.

Po chwili Marta szepnęła: - O czym myślisz?

Nie odpowiedział. Przeszyła go straszna myśl, że przecież Rojkiewicz mógł prostą drogą, nie kołując jak oni, zdążyć i lada chwila nadjechać. Zaciśnął palce aż paznokcie pobieły.

Gospodyni widocznie podsłuchiwała, o czym mówili, bo wtrąciła się:

- Wercia może obok niej spać w łóżku, a pan... Marta spuściła rozpalone powieki. Paweł przerwał szybko:

- Razem z chorą, to może niedobrze będzie.

W tej chwili wróciła Weronika. Gdy po wypiciu ziół Marta zasnęła, Paweł wyszedł do wsi. Za progiem spotkał gospodarza wspartego o żerdzie płotu.

- Zdeptali owies - powiedział melancholijnie. - Na czysto zdeptali. - Nie znać było jednak złości w tym, co mówił, nie utyskiwał, a tylko z rezygnacją podawał do wiadomości rzecz oczywistą.

Uliczką wsi przewalał się tłum, ciemny o zmroku, słysząc było gwar rozmów, śmiechy i nawoływania. Jak okiem sięgnąć paliły się ogniska, w ogródkach i na polu; depcząc zasiewy stały wozy i konie przy wozach. Ludzie chodzili tam i sam, przełazili płoty, lokowali się gdzie niebądź. Ochryple od kilku dni, psy wioskowe przestały już szczekać. Gospodarze, tak zazdrośni zazwyczaj o każde posiane w ziemię ziarno, o zdeptane zboże czy łąkę, teraz nie protestowali, przyjmując to za dopust Boży.

Paweł z trudem przeciskał się ku środkowi wsi, skąd ponad ogólny gwar wybijał się chóralny śpiew kobiet. Zbitą ławą otaczając chatę Smolskich śpiewały nieskładnie i wciąż na tę samą żalną nutę kraju skarżącego się przed Bogiem na swój los.

Nawet zawsze świeży, wilgotny o tej porze wieczornej podmuch puszczy został jakby zdeptany odorem koni i ludzi, baranicy, machorki, skórzanej uprzęży, smarem do kół. Było duszno.

Noc na ogół jasna, gwiazdna, jedna z najkrótszych w roku, czerwcowych nocy, rozświetlona odbłaskiem ognisk i świateł padających z okien chat, pozwalała rozpoznać rozmaite twarze i ubiory, czasem niezwykłe dla tej okolicy. W pewnym momencie zdawało się Pawłowi, że poznaje w osobie żebraka siedzącego na złożu drzewa budulcowego ojca Serafima w kapturze na głowie. Zatrzymał się niepewny, gdy nagle poczuł, że ktoś go ujął z tyłu za łokieć. Odwrócił się szybko i zobaczył przed sobą Wulfkę, owego szofera Żyda, którego spotkał kiedyś w pralni Tadeusza i nie widział od tego czasu.

- A pan co tu robi? - zapytał w zdumieniu.

Wulfka się uśmiechnął:

- A jeżeli powiem, że to samo, co pan?

- Nie myślałem, że pan się takimi rzeczami zajmuje. - Paweł był szczerze ucieszony z spotkania.

- Jakimi?

- No, świętymi.

- A czym mam zajmować się? Siedzieć w domu i czekać aż mną się zajmą, tak?

Po sekundzie milczenia, która nastąpiła, obydwaj jednocześnie otwarli usta i jednocześnie, jak to się czasem zdarza, nagle zaczęli mówić.

Wulfka:

- A pan wie, co stało się z pralnią pana Zakrzewskiego?!...

Paweł:

- To - fatalnym zbiegiem okoliczności zaczął swe zdanie nietaktownie - jakże tak, stracił pan już u sowietów łaski?... - urwał w tymże mgnieniu, gdy tylko słowa tamtego doszły jego świadomości i porwał Wulfkę za ramię:

- Mów, mów pan! Co, co się stało?! Co się stało z pralnią?!

Ale Wulfka strącił jego rękę i odparł z rozdrażnieniem, obrażony, szorstko:

- At, daj pan spokój! Takie gadanie: "łaski"!... - i bez pożegnania zawrócił.

- Wulfka! - zawołał za nim Paweł zapominając o ostrożności, i może dlatego tamten tym szybciej wmieszał się w tłum, aby nie być postrzeżonym. - Wulfka! - Paweł próbował przepychać się za nim przez ciżbę ludzi; ktoś go potracił, odepchnął. Było ciemno. Wulfka znikł. Jeszcze chwilę przedzierał się Paweł na oślep w tłoku, wreszcie, zniechęcony, zatrzymał się. Postanowił odszukać go rano, wytłumaczyć, jeżeli trzeba, że to był żart, przeprosić nawet, byle tylko dowiedzieć się tej rzeczy...

Gdy powracał do chaty Olszewskiego, zauważył, że Weronika wyszła z niej właśnie i skierowała się do szopy. Pies z białym uchem szedł jej śladem. - "Może mnie szuka?" - przemknęło mu przez głowę. Bokiem, szybko przemierzył podwórze i wszedł do izby niepostrzeżenie. Na ławie obok łóżka, w którym spała Marta, leżała rozłożona pościel. Poduszka była jeszcze ciepła. Siadł i przysłuchiwał się oddechowi chorej. Weronika wróciła i w nogach łóżka postawiła wiadro.

- Czyje to posłanie? Nie... twoje? - zapytał szeptem.

- Nic, nic, proszę tu spać. Ja będę razem z mamą. - Słowo "proszę" wymówiła uprzejmie jak gospodyni do gościa. - Tu wiadro przyniosłam dla chorej. Jeżeli czasem w nocy... Żeby nie potrzebowała wychodzić, a to przy gorączce niedobrze.

Paweł podziękował i zwałił się zmęczony na pościel Weroniki. Głęboko, głęboko uciekł w sen i nie słyszał ani długich jej szeptów z matką, ani gorączkowych westchnień Marty, ani cichnącego już gwaru za oknami, ani świerszcza w belkach pułapu, ani brzęczenia komarów, które przez rozbity i niedokładnie workiem zatkaną szybę chaty wciąż przedostawały się do jej wnętrza.

Zarządzenia NKGB poszły po linii proponowanej przez starszego lejtnanta Greczannikowa. Nie przeszkadzano specjalnie w napływie ludzi do Popiszek, natomiast w kilku miejscowościach, położonych w promieniu od 5 do 10 kilometrów, skoncentrowano silne oddziały bezpieczeństwa, przybyłe ciężarówkami i uzbrojone w broń maszynową. Ciężarówki stały na uboczu, pod drzewami; żołnierze w rozpiętych bluzach poukładali się w cieniu sadów, z nudów popatrując w obłoki, kręcąc cygaretki, spluwając, gwarząc, jedząc lub wstawszy z trawy i poziewając szeroko, przeciągali odleżałe mięśnie. Istniał wyraźny zakaz wychodzenia większymi grupami na drogę lub łączenia po ulicach wsi, zachodzenia do chat i temu podobne wzbudzanie niepokoju i paniki wśród mieszkańców. Szczęściem pogoda i ciepło sprzyjały tego rodzaju prymitywnej dyslokacji.

Dnia 17 czerwca o świcie zarządzono ostre pogotowie.

XXXVIII

O świcie w dzień zapowiedzianego cudu rozbudził Pawła gwar głosów w drugiej izbie. Jacyś ludzie przyszli prosić gospodarza o stare butelki. Już w ciągu dnia wczorajszego cena pustej litrowej butelki po wódce wahała się od 3 do 5 rubli. Do wieczora poszła w górę. Dziś ofiarowywano 10 rubli za sztukę. Wiadomo było, że Oluk Smolski błogosławi, a przez to poświęca, wodę w rzece naprzeciw swej chaty, i że ta poświęcona woda posiada właściwości lecznicze. Podawano sobie słuchy o uzdrowieniu wielu ludzi, którzy tę wodę pili. Jakoby Władysław Smolski, uzdrowiony w listopadzie zeszłego roku, właśnie życie swoje zawdzięcza tej wodzie. Sam Władysław nie przeczył tej wersji, która nie wiedzieć skąd powstała; właśnie bowiem u niego i brata Konstantego znalazł się większy zapas pustych butelek, jeszcze ze starymi etykietami polskiego i litewskiego monopolów spirytusowych. Nie brali za nie ceny większej od innych, ale sprawiedliwą, jaką płacono w całej wsi. A pielgrzymi potrzebowali wiele tych butelek, gdyż chcieli nie tylko napić się wody na miejscu, ale zabrać jej możliwie najwięcej ze sobą w daleką drogę do domu. W ciągu kilku godzin bracia Smolscy sprzedali wszystko, co mieli.

Stary Olszewski opędział się przybyszom:

- Nie mam ja! - mówił. - Co miałem butelek starych kilka, to oddałem.

- Moża choć półlitówka, choć ćwiarteczka jaka?

- Nawet żeby szkalik jeden, i tego nie ma.

Ludzie stali zawiedzeni. Czarny pies z jednym białym uchem siedział pod stołem i wydrapując sobie pchły stukał tylną nogą o podłogę. Jeden z obecnych zauważył po namyśle:

- Ta woda tylko sprawiedliwemu człowiekowi pomoże. A chtëren, on, wiary w siebie nie ma, to wypij nie jeden, a cała beczka, wszystko równo, co z rowu na wiosna.

- No, rzecz pewna, że któren nie wierzy...

- A czy ksiądz przyznaje ją za święconą?

- Poszed ty precz! - krzyknął gospodarz na psa. - Poszed stąd pchłów wysypywać!... - Odwrócił się do ludzi: - Idźcie, idźcie - przynaglał łagodnie - może gdzie w drugim miejscu dostaniecie.

Gdy wyszli, przeszedł się bez celu po izbie i westchnął:

- Oj, żeby nie wyszło nam całą wsią odpowiadać, jeżeli, nie daj Bóg sowieci naskoczą.

Paweł wziął ręcznik i mydło, wyszedł, aby umyć się pod studnią. Powietrze było rzeźkie. Znad opadającej przy rzece mgły wysterczały czubki świerków zabarwione w tej chwili na złotą zieleń, gdyż od tamtej strony, nad puszcza, wstawało słońce. Droga do wsi jechały wciąż nowe furmanki. Zimna woda orzeźwiła ciało, ale jednocześnie przywróciła trzeźwość myślom. Przebieg dotychczasowej ucieczki wydał mu się nieomal naiwny. Przede wszystkim każda z następnych furmanek, wyłaniających się z kurzu i mgły, może należeć do Rojkiewicza, a wtedy ich sytuacja w tej chacie stanie się nie do zniesienia... W każdej też chwili wyłonić się może auto NKGB... Drgnął usłyszawszy stuknięcie drzwi. Wyszła Weronika.

"Pewno ze mną chce porozmawiać" pomyślał, ale ona przeszła bokiem do chlewu. - "Kiedy to było już raz tak, gdy mył się podobnie przy studni, a ona szła udając, że go nie dostrzega?... Aha, Karol wtedy powiedział: "I skąd się taka wyrodziła piękna w tym kraju..." Tak samo słońce przeświecało jej włosy, przydając głowie niby aureolę. Prawda, że się wyrodziła... "Ja nie chcę żadnego podarku..", powiedziała innym razem. Śmieszna. A teraz zachowuje się z godnością, gdy Marta jest chora, bezbronna, w gruncie rzeczy oboje na jej łasce... Paweł podczas całej podróży starał się nie przestawać na osobności z żadną, i dlatego nie rozmówił się z Weroniką. Był jej wdzięczny za to dyskretne, prawie obojętne, i jakby to się wyrazić: po gospodarsku gościnne zachowanie... Zresztą, postąpił otwarcie, powiedział jej przecie jeszcze na swoim podwórzu, w ostatniej chwili, że "nigdy nie porzuci..."

Wsadził głowę w zimną wodę, a później zlał się nią do pól ciała. Weronika szła z powrotem do chaty i spodziewał się, że może teraz podejdzie, ale ona znowu nie patrzyła w jego stronę. "Naturalnie, że jest wdzięczny, naturalnie, że bardzo wdzięczny, z inną na jej miejscu, byłoby zgoła nie do wytrzymania, ale... może to po prostu objaw zubożenia? A co wtedy? Co, jeżeli ona ma już tego dosyć? Bo koniec końców nie jest, nie może być dla niej zabawną taka sytuacja. Miłość? Los, wszystko oprzeć na tej kruchej podstawie, bo innej nie ma? Miłość ma swoje wloty i odloty, szczyty i przepaście; jak morze: przypiły i odpływy. Było kiedyś Weroniki mania, żeby z nią pojechać. Dopięła swego, ale chyba nie tak to sobie wyobrażała, to spełnienie marzeń?! Uśmiechnął się sam do siebie gorzko. Który to z sąsiadów, bodaj tenże Franciszek spod Lasu, powiedział o niej: "Cóż to ona, święta? Nie święta, nie!" - I w tej chwili uprzytomnił sobie, że przecie on zmienił się też w stosunku do Weroniki, podświadomie, oczywiście, odruchowo, ale stracił dotychczasową pewność siebie, poczucie wyższości, męskiej przewagi czy jak to tam nazwać a przede wszystkim niezależność. Nie jest już dla niej tym dawnym Pawłem. Jest teraz trochę niezaradnie grzeczny, czasem nieomal zapobiegliwy, teraz to widzi: wbrew swej woli, bynajmniej nie z niskich pobudek wyrachowania, nie, broń Boże, po prostu z sytuacji, z zależności. Ale jest inny, i może już ona

patrzy nań innymi oczami? A co będzie, gdy straci całkowicie zainteresowanie dla jego... ich losu?.." - Wytarł się śpiesznie ręcznikiem i powrócił do chaty.

Marta wypoczęła i wypotniała w nocy, czuła się trochę lepiej, ale bardzo osłabiona. Patrzyła na Pawła wzrokiem pod wpływem którego ścisnęło mu się serce. Musiało jej być strasznie nieprzyjemnie w tym otoczeniu. Stara Olszewska nalewała z dzbanka do kubka szarozielonkawego płynu.

- To dobrze - mówiła - że wyparowała, a teraz pić się chce. Nie szkodzi. Niech napije się troszkę kwasu brzoźowego. W ta wiosna, to nasza Wercia, jak przyjechała, tego kwasu nazbierała aż za dużo. Wstanie, bywało, rano, ledwo śniadanie siak-takie zje i do brzeźniaka. - Podała Marcie pełny kubek. - Chodzi, chodzi po lesie, jakby kto na nią, zdawało się, urok rzucił jaki. A ona tymczasem sok zbiera...

- Mama! - zawołała ostro Weronika. - Mleka patrzeć, a to wyleci za wszystkim!

Marta piła kwas, trzymając kubek w drżącej ręce, i nie odejmując go od ust spytała Pawła: -Dokąd się wybierasz?

- Muszę koniecznie spotkać jednego człowieka, który mnie wczoraj zniknął w tłumie. - Ubrał się i poszedł na wieś, aby odszukać Wulfkę.

Mimo wczesnej pory ogromny tłum, większy niż wczoraj, zalegał wieś. Można się było jedynie powoli poruszać. Paweł z trudem przeciskał się między ludźmi i wozami, jak na wielkim dorocznym feście czy jarmarku. Mimo to starał się systematycznie przeszukiwać całą wieś. Zachodził w opłotki, zaglądał nawet do wnętrza chat, przepychał się dalej, spotkał po drodze grupę Żydów, zatrzymał się i zapytał, czy nie widzieli takiego... Wzruszyli w odpowiedzi ramionami. Wulfki nigdzie nie było.

Wulfka, bardziej z wewnętrznej pasji do ruchu niż dla zarobku, wpadł w nocy na pomysł, aby udać się do odległego o kilka kilometrów na trakcie szynku, który znał ze swych dawnych przejazdów taksówką, zakupić tam puste butelki po wódce i następnie sprzedać je z dużym zarobkiem w Popiszkach. Wynajął furmankę i wyjechał o północy. Gdy wracał powoli z pełnym wozem, brzęcząc szkłem w ciszy nocnej, zatrzymany został niespodziewanie przez patrol NKGB, wysłany przez jeden z oddziałów skoncentrowanych w okolicy. Po raz pierwszy chyba zdarzyło się Wulfce zmieszać do tego stopnia i nie znaleźć ani właściwego tonu, ani właściwej odpowiedzi. Rozumiał, że cała afera z zapowiadzanym cudem pachniała trochę kontrrewolucją, że więc w tym macza palce w jakikolwiek sposób nie zdało się tłumaczeniem odpowiednim; opowiadanie o przeznaczeniu butelek wypadło więc bardziej niż mglisto. Fakt, że on, Żyd, właśnie w nowej socjalistycznej rzeczywistości handluje gdzieś po nocy, pod puszcą, starymi litrówkami po wódce, ażeby zarobić na święconej wodzie... to było po prostu tak śmieszne, a przede wszystkim zbyt skomplikowane, że postanowił wyłgać się w inny sposób, ale z zaskoczenia zaczął się płatać w odpowiedziach coraz bardziej; stracił wątek, wpadł w sprzeczność i w rezultacie, mając wszelkie dane, aby go puszczono spokojnie, został aresztowany jako typ wysoce podejrzany i odstawiony do miejsca koncentracji oddziałów. Rankiem odwieziono go do miasta.

Takim zbiegiem okoliczności Paweł poszukiwał daremnie i utracił ostatnie szanse, aby się dowiedzieć, co się stało z pralnią...

Tymczasem słońce rozegnało ostatki mgieł nad rzeką i szło w górę. Od świtu do godziny dwunastej w południe, o której cud miał się stać, nie jest znowu tak długo. Podniecenie tłumu rosło. Gdzie leżała działka Smolskich na pastwisku, o tym wiedzano, ale który to miał być kamień, nie wiedzano. Największa ciżba zebrała się przed chatą Oluka, ale inni chytrze krążyli i stali na pastwisku koło domniemanych kamieni; trzeci wreszcie zajęli stanowisko pośrednie, pomiędzy wsią i działką. Zrobiło się znowu duszno, choć nie było jeszcze gorąco.

O godzinie wpół do jedenastej wyskoczył nagle z krzaków zajęć, który tam zapadł był o świcie, ale którego nerwy nie wytrzymały dłużej wciąż narastającego tłumu. W przeciagu pięciu minut rzucał

się i biegał we wszystkie strony, odganiany i straszony okrzykami, aż wreszcie na wpół oszalały, ostatnim wysiłkiem ratując cenne życie, skoczył prawie na oślep między ludzi i wyrwawszy się z otoczenia, pognął do lasu. Ten incydent rozładował trochę napięcie, ale już w dziesięć minut czy kwadrans później otwarły się drzwi chaty i przestąpiwszy wysoki próg wyszedł na ganek - prorok. Prowadziło go pod ramiona dwóch statecznych sąsiadów. On sam był blady, z nieprzytomnymi oczami człowieka w transie. Trzymał swój krzyż drewniany z małym, metalowym Chrystusem i utkwiał wzrok w przestrzeń przed siebie, której zapewne nie widział wcale.

Tłum runął naprzód, naciskał na boki, biegł na wyprzódki, łamał płoty, w mgnieniu oka zdeptał zagon gryki, który leżał na drodze. W zbitej ciżbie poczęto przewracać ludzi, tratować się nawzajem, krzyczeć i zabiegać w ten sposób drogę procesji, że wreszcie inni, stojący dalej zaczęli krzyczeć:

- Dajcie droga proroku! Dajcie droga proroku!
- Won hdzie idzie!
- Jezus, Maria, zaduszę!
- Tu, tu!!...
- Ludzie, ludzie! Ustąpcie przed krzyżem świętym!

Ale mało kto słuchał i był słuchany. W morzu spotniałych twarzy, zmierzwionych włosów, opadłych z głowy chusteczek babskich i latających na wietrze kosmyków panowała tylko jedna, wspólna, zbiorowa namiętność: być bliżej cudu! Zobaczyć! Zobaczyć na własne oczy!

W olszynowym zagajniku o kilometr od wsi, przed średniej wielkości kamieniem obrośniętym z wierzchu jak inne mche siwozielonkawym zatrzymał się wreszcie Oluk i wzniosł ręce z krzyżem do góry... W niebo. Zrobiła się cisza.

Była to cisza podobna do tej, jaka następuje w przerwach pomiędzy uderzeniem jednej i drugiej fali o skaliste wybrzeże. Nie trwała też dłużej. Rozprysnęła się nagle, najpierw w głuchym, zbiorowym jęku, następnie rozbiła na masę pojedynczych krzyków, szlochów, nawoływań. Lud padł na kolana. Niektórzy poczęli wołać:

- Cicho! Cicho!

I zrobiło się znowu cicho. Dochodziła dwunasta. Ale cóż z tego... Cud się nie stawał.

Słońce grzało z góry normalnie, po letniemu. Zdała nieruchomo stałą ściana puszczy. Dochodził ostry głos jastrzębia.

Cud się nie stawał.

Znaleźli się tacy, którzy powstali z kolan.

- Na kolana, na kolana! - wołali inni. Uklękli znowu.
- Modlić się! Modlić się!

Koś podjął fałszywym falsetem - podtrzymały go głosy kobiece, przyłączyły się basy - wielką, nabożną pieśń. Po pierwszej śpiewano drugą. Najwyraźniej była już godzina dwunasta.

Ale cud się nie stawał.

Tymczasem od strony Butrymańc oraz piaszczystą drożyną z traktu zwolna zbliżały się ku Popiszkom pojedyncze samochody i kilka ciężarówek NKGB. Polami zaś szli tyralierą milicjanci. Słońce grzało coraz silniej. Z ogrodów wioskowych unosił się zapach gorącej, zrytej nogami zieleni, w pomieszanu z zapachem liści jarzynowych, kopru. Wieś leżała prawie opustoszała. Gdzieś w chacie zegarek wybił godzinę dwunastą czasu moskiewskiego, że jednak dawno już nie był regulowany, dokładność tego czasu nie mogła być stwierdzona, tym bardziej że - cud się nie stawał!

Szerokim wygonem szli na pastwiska ludzie z NKGB. Z daleka wyglądali na razie jak grupa spacerowiczów. Idący przodem, z czerwono-sinym otokiem na czapce, prawą ręką machinalnie odpinał i zapinał futerał pistoletu bez żadnej wyraźnej intencji. Podeszli bliżej, postali, patrząc na klęczący tłum; nadeszli inni, rozproszyli się nieco wśród ludzi; zbliżyli się milicjanci z karabinami. Nic, żeby takiego... Po prostu pieśń zaczęła się urywać, klęczący bliżej odwracali głowy. Jakaś baba, nie wstając z klęczek, poderwała spódnicę i usunęła się z drogi. Śpiew zamierał powoli.

- Ej! Grażdanie! - zawołał ten, który szedł przodem. - Dosyć już będzie! No, po co zebraliście się? Przecież czasu szkoda! Przecież tu niczego nie ma i nie będzie. Nie dawajcie się zwodzić! Wracajcie do domów, do robót waszych! - wołał z wyszukaną, spokojną wyrozumiałością.

- Rozchodź się, rozchodź się, obywatele! - krzyknął wesołym tenorem szatyn, spychając na tył głowy czapkę mundurową, i jakby dla rozbawienia ludzi klasnął po dziecinnemu w dłoń.

Tłum odpowiedział milczeniem. Nagle młodzieniec ukryty wśród chustek kobiecych, krzyknął naderwanym głosem:

- Jak nie wierzą, to czego przyszli! Nie przeszkadzać! - Nikt nie odezwał się na ten okrzyk. Wtedy chłopak zerwał się, stanął, poznano Franka, Oluka przyjaciela. Ciemne, zmierzwiłone włosy opadały mu na wszystkie strony.

- Chłopcy!! - wrzasnął, uniósł rękę i powiódł rozpaczliwym wzrokiem dokoła. Miałże ten okrzyk być hasłem do buntu?... Milczenie. Sekunda wahania i Franek skulił się w sobie, ukląkł z powrotem spieszenie, chowając się w tłumie.

- Obywatele! - zawołał znowu ten sam wesoły bolszewik, który pozornie nie zauważył nawet wyskoku Franka. - Dwunasta już minęła! Popatrzcie na zegarek! - wyciągnął rękę z zegarkiem na pasku. Niektórzy istotnie powyciągali odruchowo szyje, jakby mogli cośkolwiek dojrzeć. - Ho! Słońce kudy już poszło! Nie wróci, nie!

Był to ważki argument: dwunasta minęła. Lecz oto nagle jedna z kobiet porwała się z kolan:

- My nie po sowieckim czasie liczymy. Po starym!

- Po starym! Jeszcze dwie godziny! - krzyknęli inni.

Ale już pierwsi ludzie zaczęli się ruszać, nastrój prysł, jak lód na jeziorze, który się nagle zacznie łamać, łamać coraz szybciej i wiadomo, że nic już nie uratuje jego powierzchni, do niedawna jeszcze tak jednolitej. Podobnie też nie uratował cudu ostatni okrzyk dziwnego starca, o bardzo długich, siwych włosach i bardzo wysokich, rybackich butach. Uniósł on obydwie ręce do nieba:

- Matkę Przenajświętszą, Ostrobramską widzę! Widzę! Widzę Matkę Bożą w niebie! Luuuudzie!...

Wokół niego zrobił się na chwilę ścisk, poruszenie, niektórzy patrzyli w jasne niebo, inni nawet rękami przesłaniali oczy od blasku, ale nic poza kilkoma skowronkami tam nie było. Ktoś się roześmiał.

To był koniec. Dwóch milicjantów, tym razem stanowczym krokiem, rozpychając brutalnie tłum podeszło do starego.

Brakowało jeszcze sporo czasu do starej dwunastej, gdy enkagebiści, lawirując z początku nieznacznie, później już otwarcie, przedostali się do kamienia, z którego woda nie trysnęła i żadna kobieta nie powstała, wzięli między siebie Oluka Smolskiego i jego matkę i poprowadzili do wsi.

Paweł wydostał się na gałąź niskiej sosny, ale nie mógł dojrzeć z odległości ani wyrazu twarzy, ani zachowania Smolskiego. Czy szedł jeszcze w transie, czy się zeń obudził? Co zrobił z krzyżem, niósł go w ręku czy też schował w kieszeń siermięgi? Mężczyźni przeważnie odwracali głowy, szukając przejścia dla siebie, inni otrzepywali się właśnie z kurzu, tłum się rozstępował. Kilka kobiet zaczęło zawodzić. Nikt nie zwracał na nie uwagi. Przed chatą Smolskich stała ciężarówka, silna eskorta, i nie dopuszczono nikogo blisko. Sprowadzono tam też starca o długiej brodzie i długich butach, a także oglądano się za Frankiem, ale on znikł.

- Rozchodź się! Rozchodź się! - grzmiały teraz krótko i groźnie rozkazy.

Ludzie grupami i w pojedynkę śpieszyli do wsi, zakładali konie. Kto był pieszo i z pobliskiego sąsiedztwa, ten z miejsca ruszał naprzelaj, miedzami polnymi, do najbliższej drogi. Wyciągnęły się w ten sposób gęsiego długie szeregi bab. Gdzieniedzie jeszcze pobłyskiwały w słońcu niesione przez nich butelki wody święconej. Któryś z bardziej gorliwych milicjantów, widocznie z miejscowego werbunku, wyrwał kobiecie butelkę z ręki, zrobił krok do brzozy, rosnącej na miedzy, rozmachnął się i celnym rzutem wyrzucił butelkę w pień, tak że pękła z trzaskiem, z bryzgiem wody i szkła, aż zamigotało w powietrzu.

- Eeech, nie trzeba! - syknął nań przechodzący opodał oficer NKGB. - Po co! - Milicjant cofnął się i poczerwieniał.

We wsi panowało nerwowe podniecenie tłumu, jakie się zdarza na stacji kolejowej, gdy wszyscy naraz chcą odjechać pierwszym, podanym pociągiem.

- Hoo! Ho-ho ho! Droga! - krzyczeli ci, którzy już zdołali zaprząć i czym prędzej starali się wylawirować z opłotków na wolną przestrzeń.

Paweł obszedł bokami wieś, podniósł czyjś zgubiony w pośpiechu kapciuch z machorką i kręcąc nim bezmyślnie w powietrzu za sznureczek, wyszedł na ogród Olszewskiego, przesadził plot i znalazł się na podwórzu. Weronika, ubrana po miejsku, jak na święto, starała się zagnać kury, które wylazły z chlewu, a stojący za nią ojciec wołał:

- Zaganiaj, zaganiaj, a to pokradną!

W sieniach gospodyni szybko, aby nadrobić czas stracony, siekała w ceberku kartofle dla świń. Paweł wszedł do izby, zobaczył, że na ławie przy stole siedział stary chłop, i poznał od razu, że jest to ten sam z Łotwy, którego spotkał na trakcie. Teraz moczył on swe nabrzmiałe nogi w wiadrze z wodą i nie podnosząc głowy, przemówił:

- Ach, nogi, nogi... Noszą człowieka po świecie, ale do czasu.

Paweł zająrzał do Marty. Spała; miała znów gorączkowe wypieki na twarzy. Nie budząc jej, wrócił do pierwszej izby, usiadł ciężko naprzeciw starego, przysunął do siebie kubek kwasu brzozonego i wypił chciwie jednym haustem. Wylał ręką wargi, rzucił znaleziony kapciuch na stół, podparł się łokciami i zapadł w milczenie.

Z sieni dochodził głos gospodarza:

- Gdzie to mój toporek... Leżał tu...

- Ot, zmyślił kiedy toporka szukać! - odpowiedziała żona. - Południe, obiad trzeba robić, żywioła karmić...

- A, ot, i zmyślił. Widziałaś płot, jak poniszczyli.

Chłop z Łotwy nie zdziwił się, gdy Paweł po dłuższym milczeniu, na wpół do siebie, a na wpół do niego, skierował uwagę:

- Ale żeby choć ktokolwiek palcem ruszył. Taki tłum! A tych garstka.

- Wiadomo, przegrani - odpowiedział.

- Jakto przegrani?

- Chyba pan w karty grałeś kiedykolwiek?... No, to i będzie tak samo, jak w kartach. Postawił na złą kartę i przegrał. A kiedy przegrał, to czy pan, czy drugi, pójdiesz wrywać swoje pieniądze siłą? Nie pójdiesz. I pomyślenia nawet takiego u pana nie będzie, ani nawet żeby śmiałości takiej. Podobnie choćby i teraz: ludziom cudu zechciało się. Na cud znaczy postawili. A cudu: nie ma! Znaczy przegrali. Bo to: jak pan chcesz, siłą jego wrywać, cud ten? Nie wrywiesz siłą. Na to nie ma ludzkiej siły, a wola Boża. - Wyjął lewą nogę z wiadra, obejrzał, oderwał kawał odparzonej skóry

spod palców i po chwili podjął rozmowę:

- Ot, ja stał koło drzewka takiego, przysłoniwszy się był do pnia, bo mnie w lewej nodze skurcz bywa, na ziemi klękać trudno... No to stał ja i patrzył na ludzi: chtóren modli się, chtóren śpiewa, krzyczą wszystkie, a ja stoję sobie i myślę: za co to im Pan Bóg ma ten cud zrobić? Za jakie to zasługi? Pan żesz widziałeś sam. Ponazbierało się tego barachła ludzkiego, tu i katoliki, i ruskie prawosławne, i nie wiedząc jakie sektanty, i żydki także samo, i tatarów widziałem, i burłaki starowiercy, nu, jednym słowem, éma! A wiele między nimi sprawiedliwych, powiedz pan sam? Dziesiątek, dwa... Nasz gospodarz, słyszę, kury zagania do chlewu... I prawda, że tylko kury im kraść. To dla kogo? Dla nich było cud robić? Owszem, mówią, prorok ten, chłopczyk młody, obiecał. Może i prawda chciał. Ale widać żadnego on posłuchania nie ma...

Monolog przerwany został przez hałas klaksonu samochodowego za oknem, i wielka, kurzem pokryta ciężarówka, rozgarniając tłum, który przyciskał się do opłotków, przejechała ulicą wsi, kierując się do traktu. Obydwaj spojrzeli w okno.

- Powieźli - rzekł poważnie starzec.

W drzwiach ukazał się Olszewski: - Powieźli - przestąpił próg, siadł w milczeniu na końcu ławy i ręce złożył na kolanach. Z sieni wciąż dochodziło postukiwanie siekanych kartofli.

- Dużo, musić, wieprzy macie? - przerwał milczenie stary.

- Nieee...

- Uhum... No, to widzisz pan - zwrócił się do Pawła - ja tak i mówiłem: jeżeli nie uda się jemu cudu stworzyć, to będzie bardzo ile. A pan dziwisz się, że jego ludzie nie bronili. Kiedy sami oni od Pana Boga ochrony czekają. A tymczasem Pan Bóg za wszystkim tymi sprawami nie zajmuje się i wtrącać nawet nie chce. Pan Bóg do ludzkich spraw nie miesza się. Powiedział raz Adamu: masz tobie wolna wola! Znaczy, i patrzaj swego interesu. Pan Bóg, On, widzisz, z szatanem wojuje, ale nie z ludźmi. Garsteczka... Ja sam widzę, że garsteczka. Żeby to byli diabły jakie z ogonami, na kopytach krowich i widłami od gnoju, jak ich malują, to może w ta pora Pan Bóg i zesłałby jaki zastęp aniołów z mieczami. Ale sowieci... takie same ludzie, jak i my, i Pan Bóg w taka małość ani nawet wdawać się nie będzie. Nie wiem, może ja czasem i niesprawiedliwie mówię, ale po mojemu, to tak: na szatańska siła jest boska odpowiedź, a na ludzka siła tylko ludzką można dać odpór. To i nie ma czego Panu Bogu głowa durzyć i cudu domagać się, a trzeba za wszystkim inaczej... zaaa wszystkim inaaaaczaj!..,

- A samżesz - odezwał się gospodarz - dwa tygodnie szedłeś piechotą, że ot - uczynił ruch podbródkiem w kierunku wiadra - nogi zdarłeś.

- Szedł. I wróćę. Nowej mądrości nauczony.

Gospodarz wzruszył ramionami, sięgnął do stołu milcząc po kapciuch z machorką, otworzył, powąchał: - Niczego sobie - mruknął. A później do starego:

- Czas już było mądrości nauczyć się. Tobie chyba i mało już zostało czasu tego.

- Dużo grzechów na sumieniu - odparł zagadkowo pielgrzym.

Raptem drzwi otwarły się i wpadła Weronika.

- Ojciec! Sielsowiet wszystkich ze wsi wygania!...

- Jakto wszystkich?... - przybladł Olszewski.

- Wszystkich, kto nietutejszy! - I podeszła do Pawła, oparła się ręką o stół, jakby chciała coś powiedzieć, ale on nie odwrócił do niej głowy wspartej na rękach, patrząc wciąż wprost przed siebie, w okno. Nie dosłyszał, czy nie chciał słyszeć tej ponurej nowiny.

Na podwórze wpadł przewodniczący sielsowietu, krzycząc ochryple:

- Kto obcy, wszyscy! Już! Żeby ani nogi nie było! Opuszczać wieś albo pod areszt! Natychmiast pod areszt! - Marta poruszyła się przez sen na łóżku.

W tej chwili w starym pielgrzymie zaszła dziwna zmiana. On, który tak poważnie rozprawiał, skurczył się w sobie, oczy w zmarszczkach zalatały niespokojnie, broda przestała robić wrażenie patriarchalnej, a przypominała raczej wiecheć słomy; szybkimi ruchami, nie wytarłszy nóg i zostawiając mokre ślady na podłodze, prędko skręcał swój węzelek. Prawie trząśł się ze strachu. Przykro było nań patrzeć. Paweł odwrócił wzrok, ale sam się nie ruszył. Wtedy Weronika cicho odstała od stołu, przy którym siedział, i wyszła. Zobaczył przez okno, jak dogoniła Antoniego, o coś prosiła, starała się go zatrzymać, tłumacząc mu z przekonaniem w gestach. Przewodniczący sielsowietu słuchał jej tylko chwilę, potem przerwał, zamachał swymi długimi jak wiatraki rękami, jeszcze raz zrobił zły, przeczący ruch i poszedł. Weronika wracała powoli ze spuszczoną głową.

- Niech będzie pochwalony... - rzucił pielgrzym śpiesznie na pożegnanie, wychodząc z izby. Nikt mu nie odpowiedział. Tylko Paweł wstał ciężko z ławy i poszedł budzić Martę.

- Marta - dotknął jej ramienia. - Musimy zaraz stąd się wynosić! Marta.

Otworzyła szeroko oczy, patrzyła przez chwilę milcząc i nagle przypomniała sobie:

- No, a co z cudem?!

- Nie stał się.

XXXIX

Chata, do której przyprowadził ich Olszewski, stała samotnie na podmokłych pastwiskach otoczonych lasem i budowana była systemem obronnym siedzib, który się jeszcze zachował w puszczy. Zarówno izba mieszkalna, jak pomieszczenia zwierząt objęte łącznym czworobokiem ścian z nieociosanych belek, o jednych, wspólnych wrotach i wspólnym dachu. Strzecha jednak, jak to uprzedził był Olszewski, doprowadzona była zaledwie do połowy. Stanowiła zatem raczej jednostronny okap. Pod nim, nad izbą gromadzono siano. Tu Paweł i Marta ułożyli się wczoraj do snu, gdyż w izbie było za ciasno. Prawie całkowicie wypełniał ją ręczny warsztat tkacki, pod ścianą łóżko pokryte łachmanami, gdzie spała gospodyni z dwuletnią córeczką. Obok z pułapu zwisało na sznurach koryto, zastępujące kołyskę, z niemowlęciem poczętym i urodzonym już po odejściu męża. Nie było nawet miejsca na stół. Nie było też ani psa, ani kota. Wszystko ciemne, lepkie od brudu. Śmierdziało tam starzyzną, niemytym ciałem, mlekiem i pieluchami.

Pod okapem z półstrzechy było natomiast przestronnie; pachniało sianem, z dołu krowim nawozem, z góry wilgocią lasu. Wchodziło się po drabinie. Roje komarów swym niestrudzonym brzękiem przywoływały na pamięć dalekie, wielkie miasta, które brzęczą i turkoczą monotennie w przestrzeni, na co się z przyzwyczajenia nie zwraca uwagi.

W bliskości musiały się mieścić gniazda wróbli; rano stary samiec, o czarnym zniszczonym dziobie i brudnoszarym brzuchu, wrzeszczał siedząc na krokwi, wykładając coś młodszemu z klanu, najwidoczniej zaniepokojonym niespodziewaną bliskością obcych ludzi.

Paweł otworzył oczy i ujrzał przede wszystkim obłok, o kształcie kopulastej cerkwi, zakończony rodzajem dwugarbnego wielbłąda a oświetlony z jednej strony promieniami wschodzącego słońca. Na tle obłoku widać było orła krążącego na nieruchomych skrzydłach nad moczarami. Z tej odległości robił wrażenie czarnego patyczka. Siano i ubrania, którymi byli przykryci, nasiąkły wilgocią nocnej rosy. Paweł leżał nieruchomo, przyglądając się, jak dwugarbny wielbłąd obłoku przeistaczał się zwolna w fantastyczną torpedę. Chciał zapalić papierosa, ale się rozmyślił, bojąc zaproszyć ogień. Później zestawivszy końce palców obydwóch dłoni skonstruował rodzaj połączonych krokwi, porównując je do nieukończonego dachu nad głową. Później znowu spojrzał w obłok, który odpływał już za okap i nie był podobny do niczego. Ciekaw był, czy długo w ten sposób potrafi nie myśleć o własnym losie, ale pomyślał, że tak myśląc, już o nim myśli... Na dole

gospodyni zaczęła wyganiać bydło na paszę. Z izby dochodził płacz dziecka. Z przykrością uświadomił sobie, że koń, spętany i puszczony w nocy na trawę, mógł zabrnąć daleko i trzeba go będzie szukać wśród wilgotnych krzaków.

Wczoraj odjechali szybko, prawie skrycie, wpław przez rzekę, między zaroślami, gęsto okalającymi bród, by ludzie nie dostrzegli kierunku. Weronika pomagała przy noszeniu rzeczy. Nawet się z nią nie pożegnał. Zwrócił tylko uwagę, by wiadra nie uwiązywała z tyłu wozu, ażeby nie czerpało wody podczas przejazdu przez rzekę. Marta dzielnie udawała zdrową... Oto o czym najbardziej chciał nie myśleć: jeszcze kilka takich nocy, prawie pod gołym niebem, w wilgoci i komarach, a Marta rozchoruje się na dobre. Trzeba zaraz coś przedsięwziąć. Do Popiszek było stąd zaledwie kilka kilometrów. Weronika obiecała i miała przyjść z samego rana, ażeby omówić dalsze ich losy. Weronika, jedyna dziś na świecie łączność ze światem...

Paweł zaczął złazić z drabiny, gdy Marta zapytała:

- Czy Weronika jeszcze nie przyszła?
- Jeszcze nie. Za wcześnie.

Rozłożył między kamieniami ognisko, postawił czajnik i gotował wodę na herbatę. Słońce zaczęło grzać, dzień zapowiadał się upalny.

Tak minęły ranne godziny.

- Paweł! - zawołała z góry Marta.
- Co?
- Weroniki jeszcze nie ma?
- Jeszcze nie. - Wszedł po drabinie na górę, aby przez nieosłoniętą połowę dachu lepiej widzieć drogę.

Westchnęła.

- Gorzej ci?
- Chyba nie...

Pawła przeszył lęk. Spojrzał na puszcę prawie z nienawiścią. Weronika może nie przyjść. Może nie przyjść... Ale dlaczego: może nie przyjść?... - W tej chwili Marta zapytała:

- Ile to kilometrów do tego chłopa?
- Do jakiego chłopa? - odparł prawie z rozdrażnieniem.
- No, do tego co obiecywał Olszewski.
- Nie wiem. - Później poprawił się: - Dwanaście czy ileś tam. - "Weronika", myślał, "może nie przyjść. Fatalnie się składa, że nigdy nie umiem się opanować w ważnych momentach. Łaszowski mówił kiedyś: tylko ludzie opanowani robią karierę... Ładną on zrobił! Nie ma co. Teraz właśnie powinien być dla Marty najlepszy w życiu. Ale Weronika może właśnie nie..."

- Słuchaj, mnie się zdaje - szepnęła Marta - że nam może być tam wcale dobrze.

- Gdzie?

- U tego chłopa. Nie wiem dlaczego, ale wyobrażam sobie jego chatę obrośniętą krzakami bzu... W ogródku kwiaty. Izba. Dach. A przede wszystkim zacisznie. - Po chwili dodała. - Może dlatego, że ten Olszewski mówił, że to "z drogi".

Paweł milczał. Stał oparty o poprzeczną belkę i patrzył w dal. Wokół rozpościerały się krzaki na błotnistych pastwiskach; na prawo bagna otoczone rzędem niskorosłych brzoźek, wyrastających z kępek ziemi, pomiędzy którymi stała woda; z tyłu puszcza; na wprost drożyna, również niknąca w lesie. Tą drożyną musiała nadejść Weronika.

- A ty, jak sobie wyobrażasz? - zapytała Marta.
- Uhum. Też tak.
- O Boże, żeby to przyszyła wojna.
- Nie ty jedna. Wszyscy na nią czekają.
- Tak sądzisz?
- Przynajmniej od pruskiej granicy po Ocean Spokojny.
- Wiesz, należałoby zmienić słowa litanii na: "Od powietrza, głodu, ognia i... pokoju, wybaw nas, Panie!"

Paweł miał zrazu wielką ochotę odpowiedzieć, że to by się i tak na nic nie przydało, ale nagle owładnęła nim głęboka niechęć do wszelkiej dyskusji i zamilczał.

- Jednak... - westchnęła Marta - czuję, niestety, że jest mi naprawdę trochę gorzej niż wczoraj...
- Jest! Idzie! - krzyknął Paweł radośnie i rzucił się ku drabinie. Złaząc złamał nadpróchniały szczebel, zeskoczył i wybiegł przed chatę.

Weronika. Bardzo jeszcze daleko, na skraju lasu i pastwisk. Szła równym krokiem, ale raczej śpiesząc. Nie wytrzymał i ruszył na jej spotkanie. Po kilku jednak krokach zaczął je zwalniać, aż zatrzymał się jak wryty! To nie była Weronika...

Patrzył, patrzył, coraz wyraźniej widział: najpierw chustkę na ramionach, jakiej Weronika nie nosiła. Jeszcze miał nadzieję, że to może jej matki, ale nie: włosy ciemne, niższa, nie te ruchy... Dziewczyna jakaś. Rozpoznał wreszcie twarz: była to Ania, córka najbliższego sąsiada Olszewskiego, przyjaciółka Weroniki. Zawrócił wolniutkim krokiem, niby się przechadzając obojętnie wokół chaty i czekał aż się zbliży. Odwrócony bokiem słyszał ciche stąpanie. Musiała być w łapciach. W ostatniej chwili wstrzymał dech.

- Powieźli... - powiedziała przystając.

Wtedy odwrócił się do niej i zapytał bez potrzeby:

- Kogo?
- Ich powieźli. Wszystkich z chaty.
- Weronikę?
- I Wercię, i starych. Wszystkich.

Paweł oparł nogę o pniak, nachylił się i oderwał trawę przyklejoną do podeszwy buta. Z izby wyszła gospodyni i słuchała.

Ania opowiadała:

- Dziś rankiem przyjechali. Sześciu. Na ciężarówce. Aresztowali. Ledwo stara zdążyła kawałek chleba zawinąć. Może jeszcze słoniny kawałek...

Chciał odchrząknąć; nie mógł.

- Pytali o was. Zresztą, ja nie wiem. Ale chyba o was.
- I... co... Co odpowiedzieli? Wzruszyła ramionami:
- Nie słyszałam. Stałam koło płotu. Jak raz wyszłam płótno suszyć, ale ciekawość wzięła. Ojciec mój zaczął krzyczeć: „Czego tam stoisz! Chodź do chaty!” Ale jak raz Wercia przechodziła z takim tobołkiem małym, może być co swego zdążyła spakować, a może też z jedzenia cokolwiek... I przechodząc, ot tak, głowy nie odwracając, szepnęła tylko: „Ania”, mówi, "ty zleć do żołdatki, do lasu..." Nie skończyła, bo sowiet jej pilnował i kiedy skrzyknie, żeby nie rozmawiać! Ale ja domyśliła, że to pewnie zawiadomić was chciała, bo widziała was u nich, jak to cud miał być, tego

dnia... Ale nie chciała zrazu iść do lasu i ojcu nie powiedziała ani słowa, a to by nie puścił. A Wercia błada była, bladziénka. A u starego twarz tak za wszystkim zmarszczywszy się i taka szara stała, jak, przyrównać, gniazdo osie.

- No, i co? - szepnął Paweł.

- A cóż, powieźli. Wercia siadła z samego kraju. Przez okno widziałam, bo do końca stać przy płocie nie pozwolili. Na nic, ażeby choć na cokolwiek spojrziała. Oczy tylko wbiła przed siebie jak umarła. Ani słowa. Stary jak siadał, też nic nie mówił. A matki nie widziałam później. - Po chwili dodała: - Źle tak.

- Niestety - wyrwało się Pawłowi banalne słowo.

- Pewnie, że nieszczęście. - A później pochyliła głowę.

- I co jej przyszło wdać się w żonatego człowieka...

Nagle za plecami odezwała się gospodyni suchym głosem:

- No, to jedźcie i wy zaraz. A to tylko patrzeć, jak tu przyjdą. Ludzie powiedzą. I mnie jeszcze biedy będzie.

- Żeby tak zaraz, to chyba nie - wtrąciła Ania rzeczowo. - Musić, dlatego nie powiedzieli nic, bo pojechali na trakt. Chyba później może. Jak na spytki wezmą.

Ale gospodyni przeszła raptownie w głośny lament;

- Oj, będzie biedy, biedy! I po co ja przystała ludzi nie wiadomo jakich przyjmować! Jechaliby swoją drogą! A to Pan Bóg wie, czego po lasach szukają bez domu! I tyleż dróg jest, to nie, na moja nieszczęścia, jak raz trzeba było... do mnie, do lasu zajechali! I biedna ja, i męża nie ma, i dzieci małe! Och, Boże, Boże... - Po chwili złamanym i proszącym głosem:

- Jedźcie, jedźcie, jedźcie prędzej, żeby was tu nie było! Ania, a ty, mileńka, choć nie mów nikomu! Na serce Jezusa miłosierne, nie mów nikomu!

- A komuż ja będę mówić - odparła Ania, przypatrując się własnym łapciom.

Paweł odszedł, zapominając nawet podziękować dziewczynie.

- Marta! - zawołał cicho, głosem, który mu się wydał dla czegoś obcym.

- Już, już - usłyszał w odpowiedzi. - Już wstaję, już idę...

Nie pomógł jej nawet zleźć po drabinie. Poszedł po konia. Dopiero rozpętując mu nogi, przypomniał sobie: "Prawda, że szczebel złamałem. Trzeba było jej pomóc. Jak ona stamtąd zeszła".

Kobiety starały się nie patrzeć na Martę. Gospodyni, być może, wstyd było, że wygania chore z domu. Ania jednak pomagała jej w końcu znieść rzeczy do wozu. Paweł wrócił z koniem i śpiesznie, milcząc, zaprzęgał.

- Słuchaj - powiedziała doń nieśmiało Marta. - Przecież to ich... przez nas wzięli, czy... coś... - nie potrafiła sformułować odpowiedniego zdania.

On wzruszył ramionami. Naturalnie, że nic nie można poradzić. Z trudem zaczęła włączyć na wóz.

- Jaka tu droga... - zwrócił się do gospodyni i uprzytomnił sobie jednocześnie, że właściwie nie ma o co pytać.

Tamta ożywiła się, gdy stwierdziła, że już odjeżdżają.

- A dokąd chcecie?

Paweł namyślił się, kręcąc w ręku biczem.

- Do Rudnik - powiedział na chybił trafił.

- Jeżeli do Rudnik, to prosto, prosto. Ot, tą drożyną prosto. A później za mostkiem nie skręcać, aż dojedziecie, jakby to powiedzieć, kamień taki wielki będzie. Otóż tam, koło tego kamienia, paproć gęsta, wielka rośnie, znaczna paproć taka. To od tego miejsca dwie dróżki rozchodzą się, jedna w prawo, a druga w lewo, to nie brać w lewo, a w prawo.

Wjechali w las i droga prowadziła między puszcza i moczarami. Marta nie mogła usiedzieć i wyciągnęła się w wozie.

- Zimno mi - powiedziała.

Otulił ją kożuchem. Nad moczarami drgało, rozpalone w słońcu, wilgotne powietrze.

"Istotnie, jakże to tak, jak powiedziała słusznie Ania" - myślał Paweł - "mogło przytrafić się Weronice?... Spotkała go na dworcu kiedyś, gdy włączano właśnie republikę do Związku, orkiestra grała, biały dzień był... Ale jej wydało się dla czegoś straszno... Od tego poszło. Ludzka rzecz.

Wszędzie zdarza się to samo. Ludzka rzecz. Gmatwanina. Kto tu zawinił, że się tak skończyło? Ludzka rzecz..." - myślał.

Z prawa na moczarach rosły kwiaty, na lewo był las. Droga prowadziła istotnie prosto. Nie można było zbłądzić. Prosto przed siebie.

Jechali długo lasem. Później minęli mostek, później dojechali do kamienia wielkiego, który był pokryty zupełnie mchem i zdaleka wyglądał jak pagórek; rzeczywiście rosła tu wyjątkowo wysoka paproć. Paweł zatrzymał konia. Marta uniosła się trochę na łokciu.

- Chyba nie pojedziemy tą drogą, o której ta kobieta wie, że mieliśmy jechać.

- Jasna rzecz, że nie - i skręcił nie w prawo, a w lewo.

Droga szła zrazu tym samym lasem, później przez gęste podszycie. Kilka razy odbiegały od niej inne dróżki, ale znać sezonowe, wyjeżdżone kiedyś, gdy wożono drzewo, teraz zarośnięte. Pawłowi zdawało się, że jadą ciągle prosto, ale pod nimi droga zaczęła zanikać stopniowo. Koń szedł leniwie. Gąszcz stawał się bardziej nieprzenikniony po bokach. Później na wprost las widocznie rzednął i zaczął przeświecać. - "Może natrafimy na chatę jakąś? Powiem, że zbłądziliśmy". - Zbliżał się wieczór, robiło się chłodniej. Martę trzęsło.

- Zimno mi - powtórzyła.

Okrył był ją już przedtem, czym tylko miał, więcej nie miał. Koła podskakiwały po korzeniach. Droga przechodziła w ledwo dostrzegalną ścieżkę i wyjechali na starą, dawno już opuszczoną porębę. Koń stanął. Paweł zeskoczył, by zbadać. Przed nimi było bagno z uformowanym pośrodku rodzajem stawu, na którym kwitły białe i żółte nenufary. Zerwały się dwie dzikie kaczki. Po obydwu stronach ścieżki stały gęsto pnie po ściętych drzewach, tak że nie było nawet jak wykręcić wozem. Powrócił i siadł na najbliższym pniu. Wysoko, wysoko krzyczał jastrząb. Paweł posiedział chwilę, patrząc bezmyślnie, jak koń sięga pyskiem po jakieś ziele. Przypomniawszy sobie nagle, dla czegoś właśnie w tej chwili, że pod przednim siedzeniem w słomie musi leżeć schowany pistolet. Wstał ociężale, by zobaczyć. Nie dlatego, żeby miał jakiś konkretny zamiar w głowie, a tak, po prostu, przez ciekawość, bo zapomniał był o nim dotychczas. Sięgnął ręką, przeszukał. Nie było go.

"Może wypadł jak przejeżdżaliśmy w bród rzekę" - pomyślał obojętnie i znowu usiadł na pniu.

Marta zapytała głosem rozgorączkowanym:

- Czemu stoimy, Paweł?

- Niech koń trochę odpocznie - odpowiedział ze znużeniem.

- Zimno mi. A dokąd ta droga?

-